

RED RISING

TOM I

ZŁOTA KREW



PIERCE BROWN

Pierce Brown

Red Rising Tom 1

Złota Krew

Tytuł oryginału Golden Blood

Przekład Kinga Składanowska

Dla Ojca, który nauczył mnie chodzić

PODZIĘKOWANIA

Jeśli pisanie jest wspólnym dziełem serca i rozumu, to chciałbym podziękować Aaronowi Phillipsowi, Hannah Bowman oraz Mike'owi Braffowi, którzy obdarzyli mnie swoją mądrością i radami.

Dziękuję rodzicom, siostrze, przyjaciołom oraz klanowi Phillipsów, którzy troszczyli się o mnie z miłością i lojalnością.

Dziękuję również i Tobie, czytelniku. Na pewno pokochasz kolejne dwie części.

Chciałem żyć w pokoju. Ale moi wrogowie rozpętali wojnę.

Patrę na setki ich najsilniejszych synów i córek słuchających mowy bezlitosnego Złotego, stojącego między wielkimi marmurowymi filarami. Słuchają bestii, która sprowadziła ogień trawiący moje serce.

– *Nie* wszyscy ludzie zostali stworzeni równi – ogłasza. Wysoki, władczy, ideał człowieka. – Słabi was oszukali. Powiedzieli, że cisi na własność posiadają Ziemię. Że silniejsi będą karmić słabszych. To Najszlachetniejsze Kłamstwo Demokracji. Rak, który zatruwa ludzkość. – Przeszywa wzrokiem zebranych uczniów. – Wy i ja należymy do Żółtych. To my stoimy na końcu łańcucha ewolucji. Górujemy ponad resztą, prowadząc niższe rangą Kolory. To dziedzictwo jest w waszych rękach. – Milknie, obserwując twarze zebranych. – Ale nie jest za darmo. Po władzę trzeba sięgnąć. Bogactwo wygrywa. Rządy, panowanie, imperium, to wszystko okupuje się krwią. Wy, nieznające strachu dzieci, nie zasługujecie na nic. Nie wiecie nic o bólu. Nie macie pojęcia, co wasi przodkowie poświęcili, aby zapewnić wam najwyższe miejsce w hierarchii. Wkrótce się tego dowiedziecie. Wkrótce nauczymy was, dlaczego Żłoci rządzą ludzkością. I przysięgam, że ci spośród was, którzy są zdolni sięgnąć po władzę, tylko oni przetrwają.

Ja jednak nie należę do Żółtych. Jestem jednym z Czerwonych.

Wydaje mu się, że ludzie tacy jak ja są gorsi. Uważa mnie za głupka, słabeusza, podgatunek człowieka. Nie wychowałem się w pałacach. Nie jeździłem konno po łąkach i nie jadłem wymyślnych dań. Zostałem wykuty w trzewiach tego okrutnego świata. Zahartowany nienawiścią. Wzmocniony miłością.

Ten człowiek nie ma racji.

Żaden z nich nie przetrwa.

CZEŚĆ PIERWSZA NIEWOLNIK

Na Marsie rośnie pewien kwiat. Jest czerwony i zahartowany do życia w naszej nieprzyjaznej glebie. Nazywa się haemanthus. To znaczy krwawy kwiat.

*Rozdział pierwszy
Helldiver*

Pierwsza rzecz, jaką musicie o mnie wiedzieć, to że jestem synem swego ojca. Kiedy po niego przyszli, zrobiłem, co mi kazał. Nie płakałem. Nie zrobiłem tego, gdy telewizja transmitowała moment aresztowania. Ani wtedy, gdy Złoci go skazali. Ani wtedy, gdy Szarzy go powiesili. Matka spoliczkowała mnie za to. To mój brat Kieran miał zachować stoicki spokój. Był starszy. To ja miałem płakać. Zamiast tego Kieran szlochał jak baba, gdy mała Eo wsunęła haemanthus do lewego roboczego buta mojego ojca i uciekła, by stanąć u boku własnego taty. Moja siostra Leanna lamentowała obok mnie. Ja zaś obserwowałem ich i przeszło mi przez myśl, że to wstyd, że umarł, tańcząc bez swoich butów do tańca.

Na Marsie nie ma zbyt wielkiej grawitacji. Żeby skazańcowi złamać kark, trzeba go mocno pociągnąć za nogi. Pozwalają, żeby zajęła się tym najbliższa rodzina.

Czuję swój własny smród wewnątrz skafandra termicznego. To rodzaj jakiegoś nanoplastiku, który jest równie gorący, jak sugeruje jego nazwa. Izoluje mnie od stóp do głów. Nic nie przedostaje się do środka. Nic nie wychodzi na zewnątrz. A zwłaszcza gorąco. Najgorsze jest to, że nie można wytrzeć potu zalewającego oczy. Okropnie piecze, gdy przecieka przez opaskę na czole i zbiera się w kałuży na piętach. Nie wspominając już o smrodzie, kiedy sikasz. Co, oczywiście, zawsze robisz. Trzeba wypić mnóstwo wody przez rurkę. Równie dobrze mogliby zaopatrzyć nas w cewniki, ale my wolimy śmierdzieć.

Wiertacze z mojego klanu plotkują przez wspólne łącze w moim uchu, gdy stoję na szczycie świdra. Jestem sam w głębokim tunelu nad maszyną wyglądającą jak olbrzymia metalowa dłoń chwytająca i mieląca ziemię dookoła. Kontroluję jej topiące skały palce z gniazda na wierzchołku świdra, w miejscu, w którym normalnie byłby staw łokciowy. To tam, z dłońmi wsuniętymi w rękawice kontrolujące, poruszające wieloma podobnymi do macek świdrami, siedzę jakieś dziewięćdziesiąt metrów pod swoją półką. Mówią, że jeśli się chce być Helldiverem, palce muszą być równie szybkie co języki ognia. Moje śmigają jeszcze szybciej.

Pomimo głosów jestem sam w tunelu. O mojej egzystencji świadczy wibracja, echo oddechu oraz upał tak gęsty i nieznośny, że czuję się, jakbym pływał w gorących sikach.

Nowy strumyczek potu przecieka ze szkarłatnej opaski zawiązanej na czole i wpada mi do oczu, wypalając je, aż są równie czerwone, jak moje rdzawe włosy. Kiedyś miałem w zwyczaju unosić rękę i próbować zetrzeć pot z czoła, lecz tylko drapałem płytę zabezpieczającą. Nadal mam odruch, aby to zrobić. Nawet po trzech latach łaskotanie i pieczenie potu to czysta udręka.

Ściany tunelu wokół mojego gniazda są skąpane w żółtym, siarkowym świetle padającym z korony reflektorów. Ich zasięg słabnie, gdy zaglądam do wąskiego, pionowego szybu, jaki dziś wyłobiliśmy. Powyżej błyszczy cenne helium-3 przypominające płynne srebro, ale ja wpatruję się w cienie, rozglądając się za jaskiniowymi zmijami pełzającymi w ciemnościach i szukającymi ciepła bijącego

Z mojego świdra. Mogą również wgryźć się w skafander, przebić przez osłonę, a potem próbować zagnieździć się w najcieplejszym miejscu, zazwyczaj w brzuchu, żeby złożyć jaja. Zostałem kiedyś ukąszony. Nadal śni mi się ta bestia – czarna, podobna do grubego, wijącego się sznura. Mogą być szerokie jak ludzkie udo i osiągać długość trójki dorosłych mężczyzn, ale to małych trzeba bać się najbardziej. One nie wiedzą, jak dawkować truciznę. Podobnie jak ja, ich przodkowie wywodzili się z Ziemi, a potem Mars i przepastne tunele zmieniły je na zawsze.

W tunelach jest przerażająco. Samotnie. Nie licząc ryku wiertła, słyszę głosy swoich przyjaciół, samych starszych. Nie widzę ich jednak w ciemności. Drażą wysoko nade mną, w pobliżu ujścia tunelu, który wywierciłem, opadając na linach i hakach, żeby zebrać całą rudę helium-3. Kopia długimi na metr wiertłami, zbierając urobek. Ich praca również wymaga niebywalej zręczności rąk i stóp, ale to ja zarabiam w tej grupie. To ja jestem Helldiverem. Trzeba mieć do tego pewne predyspozycje – a na dodatek jestem najmłodszy w historii.

Pracuję w kopalni od trzech lat. Zaczyna się schodzić do roboty po skończeniu trzynastego roku życia. Wówczas człowiek jest wystarczająco dorosły, żeby pieprzyć. A przynajmniej tak powiedział wujek Narol. Sęk w tym, że ożeniłem się zaledwie sześć miesięcy temu, więc nie mam pojęcia, dlaczego to powiedział.

Eo wiruje w moich myślach, gdy wpatruję się w ekran kontrolny i obejmuję mackami wiertła nową żyłę, topiąc i zdrapując skałę wokół, żeby wydobyć minerał, nie niszcząc go po drodze. *Eo*. Czasami trudno mi myśleć o niej inaczej niż tak, jak nazywaliśmy ją w dzieciństwie.

Mała Eo – drobniutka dziewczyna, ukryta pod grzywą rudych włosów. Rudych jak otaczające mnie skały, ale nie prawdziwie czerwonych, tylko czerwonych jak rdza. Czerwonych jak nasz dom, jak Mars. Eo również ma szesnaście lat. I choć jest podobna do mnie – wywodzi się z klanu Czerwonych górników, klanu pieśni, tańca i ziemi – równie dobrze mogłaby być z powietrza, z eteru wiążącego gwiazdy w całość. Nie żebym kiedykolwiek widział gwiazdy. Żaden Czerwony z górniczej kolonii nigdy nie widział gwiazd.

Mała Eo. Chcieli wydać ją za męża, gdy skończyła czternaście lat, jak wszystkie dziewczęta. Ona wolała jednak jeść mniejsze racje żywnościowe i poczekać, aż sam skończę szesnaście, zanim wsunęła na palec obrączkę. Wiedziała, że się pobierzemy od czasu, gdy byliśmy dziećmi. Ja nie.

– *Czekaj. Czekaj!* – odzywa się przez wspólne łącze głos wujka Narola. – *Darrow, zatrzymaj się, chłopaku!* – Moje palce zastygają w bezruchu. Jest wysoko nade mną wraz z resztą, obserwując moje postępy na ekranie wmontowanym w hełm.

– Co znowu? – pytam poirytowany. Nie lubię, gdy mi się przeszkadza.

– *Co znowu, pyta mały Helldiver* – chichocze stary Barlow.

– *Pęcherz gazowy, ot co* – warczy Narol. To on zawsze mówi w imieniu naszej całej dwuosobowej załogi. – *Wstrzymaj pracę. Wzywam grupę skanującą, żeby sprawdziła wszystkie dane, zanim wyślesz nas do piekła.*

– Mówisz o tym pęcherzu? Jest malutki – mówię. – Przypomina bardziej pryszczka. Poradzę sobie z nim.

– *Pracuje na świdrze zaledwie rok i już mu się wydaje, że pozjadał wszystkie rozumy, szczył mały* – stwierdza cierpkim tonem stary Barlow. – *Pamiętaj o słowach naszego Złotego przywódcy. Cierpliwość i posłuszeństwo, młody. Cierpliwość to zaleta męstwa. A posłuszeństwo jest zaletą ludzkości. Słuchaj starszyny.*

Przewracam oczami, słuchając jego uwag. Gdyby starszyna mogła dokonać tego, co ja, to może słuchanie ich miałyby jakiś sens. Oni są jednak zbyt spowolnieni fizycznie i umysłowo. Czasami odnoszę wrażenie, że chcą, abym był taki sam. Zwłaszcza mój wujek.

– Ale się wzruszyłem. Jeśli sądzisz, że to pęcherz gazowy, to zeskoczę tam i przeskanuję go ręcznie. To łatwizna. Nie marnujmy czasu.

Wiem, że zaraz będzie kazanie o ostrożności. Jakby ostrożność kiedykolwiek im w czymś pomogła. Nie zdobyliśmy Lauru od wieków.

– *Chcesz, żeby Eo została wdową?* – śmieje się Barlow głosem trzeszczącym od zakłóceń. – *Jak dla mnie to w porządku. Ładna z niej mała. Wwierć się w ten pęcherz i zostaw ją mnie. Może jestem stary i tłusty, ale moje wiertło ciągle daje radę.*

Na górze wybucha śmiechem dwustu wiertaczy. Moje dłonie bieleją na uchwytych kontrolnych.

– *Słuchaj wujka Narola, Darrow. Lepiej się wycofać do czasu, aż dostaniemy skan* – dodaje mój brat Kieran. Jest trzy lata starszy. Wydaje mu się, że został mędrcom, że wie więcej. Tak naprawdę wie cokolwiek tylko o ostrożności. – *Będziemy mieli czas.*

– Czas? Cholera, to zajmie wieki – warczę. Wszyscy są przeciwko mnie. Wszyscy są w błędzie i nie rozumieją, że Laur jest o jeden śmiały krok przed nami. Co więcej, wątpię we mnie. – Jesteś tchórzem, Narol.

Na drugim końcu połączenia zapada cisza.

Nazywanie mężczyzny tchórzem to niezbyt dobry sposób, aby zyskać jego poparcie. Nie powinienem tego mówić.

– *Sam zajmij się zrobieniem skanu* – odzywa się skrzekliwym głosem Loran, mój kuzyn i syn Narola. – *A jak nie, to Gamma nie będą się niczym różnić od Złotych – dostaną Laur już chyba setny raz.*

Laur. Dwadzieścia cztery klany w podziemnej górniczej kolonii Lykos, jeden Laur na każdy kwartał. To oznacza więcej pożywienia, niż jesteś w stanie zjeść. Więcej papierosów do wypalenia. Importowane kilty z Ziemi. Piwo ze znakiem jakości Elity. Oznacza wygraną. Klan Gamma miał Laur, odkąd wszyscy pamiętają. Zawsze było tak, że niżej stojące w hierarchii klany dostawały określony przydział, wystarczający zaledwie na przeżycie. Eo mówi, że Laur to marchewka, którą macha nam przed nosem Elita i która zawsze pozostanie poza naszym zasięgiem. Wystarczająco daleko, żebyśmy

wiedzieli, jak mało znaczymy i jak niewiele możemy z tym zrobić. Mieliśmy być pionierami. Eo nazywa nas niewolnikami. Ja z kolei myślę, że nigdy się wystarczająco nie staramy. Nigdy nie podejmujemy wielkiego ryzyka z powodu starców.

– *Loran, zamknij się i przestań gadać o Laurze. Darrow, jak trafisz w pęcherz, ominą nas wszystkie cholerne Laury do końca świata* – warczy wujek Narol.

Bełkocze. Prawie czuję smród alkoholu przez łącze. Chce wezwać grupę sensorów, żeby ratować własny tyłek. Albo jest przerażony. Ten pijak od małego sikał ze strachu. Strachu przed czym? Przed naszymi panami, Złotymi? Ich sługusami, Szarymi? Kto wie? Kogo to obchodzi? Tak naprawdę tylko jednemu człowiekowi zależało na moim wujku, ale on umarł w chwili, gdy Narol pociągnął go za stopy.

Mój wujek jest słaby. Ostrożny i nie zna umiaru w picciu. To zaledwie blady cień ojca. Mruga powoli i z trudem, jakby oczy bolały go za każdym razem, gdy musi je otwierać i patrzeć na świat. Nie ufam mu na dole, w kopalniach, i nigdzie indziej. Ale moja matka każe mi go słuchać. Zawsze przypomina mi, żebym szanował starszych. Choć jestem żonaty i jestem Helldiverem swojego klanu, matka zawsze powtarza, że moje „pęcherze nie stały się jeszcze nagniotkami”. Jestem posłuszny, choć doprowadza mnie to do szału równie mocno, jak stróżka potu płynąca po twarzy.

– Dobra – mamroczę.

Zaciskam pięść wiertła i czekam, aż wujek zgłosi się do mnie z bezpiecznej jamy nad głębokim tunelem. To zajmie wiele godzin. Liczę szybko w głowie. Osiem godzin do momentu sygnału gwizdkiem. Żeby pokonać Gamma, muszę utrzymać wskaźnik sto pięćdziesiąt sześć i pół kilograma na godzinę. Dwie i pół godziny zajmie grupie skanującej dotarcie tutaj i wykonanie roboty. W najlepszym razie. Potem muszę pompować dwieście dwadzieścia siedem i sześć dziesiątych kilo na godzinę. To niemożliwe. Jeżeli będę pracował dalej i zignoruję ten nudny skan, zwycięstwo będzie nasze.

Zastanawiam się, czy wujek Narol i Barlow wiedzą, jak niewiele nam brakuje. Pewnie tak. Tyle że nie sądzą, by cokolwiek było warte takiego ryzyka. Wydaje im się, że jakaś boska interwencja zaprzępaści nasze szanse. Gamma dostanie Laur. Tak było zawsze i zawsze będzie. My z Lambda próbujemy przeżyć na naszych skromnych racjach żywnościowych i marnych wygodach. Żadnego awansu. Żadnego upadku. Nic nie jest warte ryzyka zmiany hierarchii. Mój ojciec odkrył to w drodze na stryczek.

Nic nie jest warte ryzyka śmierci. Na piersi czuję ciężar ślubnej opaski z włosów i jedwabiu, zwisającej ze sznurka oplatającego moją szyję, i myślę o żebrach Eo.

W tym miesiącu na pewno zobaczę więcej kości wystających spod jej skóry. Za moimi plecami pójdzie do rodzin Gamma prosić o resztki. A ja będę udawał, że o niczym nie wiem. Ale nadal będziemy głodni. Jem dużo, bo mam szesnaście lat i nadal rosnę. Eo kłamie i mówi, że nigdy nie ma wielkiego apetytu. Niektóre kobiety sprzedają się za jedzenie i towary luksusowe Blaszakom (a konkretnie rzecz ujmując, Szarym), wojskowemu garnizonowi Elity naszej niewielkiej kolonii. Eo nie sprzedałaby swojego ciała, żeby mnie nakarmić, prawda? Choć z drugiej strony, ja zrobiłbym

wszystko, żeby miała wystarczająco dużo jedzenia...

Spoglądam ponad krawędź wiertła. Upadek na dno szybu byłby długi i bolesny. Nie ma tam nic prócz płynnych skał i syku wiertła. Zanim jednak orientuję się, co robię, odpinam pasy, chwytam skaner w dłoń i zeskakuję dwieście metrów w dół, ku palcom wiertła. Odbijam się między ścianami szybu a podłużnym, wibrującym korpusem wiertła, żeby spowolnić upadek. Upewniam się, że nie jestem w pobliżu gniazd jaskiniowych żmij, gdy wyciągam rękę i zaciskam ją na kole zębatym tuż nad mackami świdra. Wtedy jego odnóża zaczynają błyszczeć z gorąca. Powietrze migocze i faluje. Czuję żar na twarzy, kłuje mnie w oczy, brzuch i jaja. Te wiertła mogą stopić kości, jeśli nie jest się ostrożnym. A ja nie jestem ostrożny. Tylko zwinny.

Opuszczam się powoli, wkładając stopy między wiertła tak, że mogę umieścić skaner wystarczająco blisko pęcherza gazowego i zrobić odczyt. Gorąco jest nieznośne, a nagrzanym powietrzem praktycznie nie da się oddychać. To był błąd. Słyszę wrzask przez łącze. Prawie dotykam jednego z wiertła, gdy w końcu udaje mi się przysunąć do pęcherza. Skaner mruga w mojej dłoni i robi odczyt. Mój skafander zaczyna wrzeć, a ja czuję zapach czegoś słodkiego i ostrego, jak przypalony syrop. Dla Helldivera to zapach śmierci.

Rozdział drugi

Osiedle

Mój skafander nie radzi sobie z temperaturą panującą na dole. Zewnętrzna warstwa prawie się stopiła. Wkrótce zejdzie następna. Chwilę później skaner mruga na srebrno i mam już to, po co przyszedłem. Prawie tego nie zauważam. Oszołomiony i przestraszony, odsuwam się od wiertła. Podciągam się w górę na rękach, uciekając od potwornego gorąca. Wtedy zawadzam o coś nogą.

Okazuje się, że moja stopa utknęła tuż pod kołem zębatym, blisko świdra. Wciągam gwałtownie powietrze w przyływie paniki. Ogarnia mnie strach. Na własne oczy widzę, jak topi się podeszwa mojego buta. Pierwsza warstwa schodzi. Druga zaczyna bulgotać. Następna w kolejce jest moja skóra.

Zmuszam się do zaczerpnięcia powietrza i tłumię narastający w gardle krzyk. Przypominam sobie o istnieniu ostrza. Z tylnej osłony pasa na broń wyciągam nóż. To wrednie wyglądający obcinak długi jak moja noga, zaprojektowany do odcinania i przyżegania kończyn, które zaplątały się w maszynię, zupełnie jak moja. Większość mężczyzn panikuje, gdy wpadnie w jakąś dziurę, więc ostrze ma kształt półksiężyca i posłużyć się nim mogą nawet niezdarne ręce. Tnę trzy razy, rozcinając nanoplastik zamiast ciała. Przy trzecim zamachu udaje mi się uwolnić stopę. Gdy to robię, ocieram się dłonią o krawędź wiertła. Przeszywający ból. Czuję smród palonego ciała, ale udaje mi się podciągnąć, uciec jak najdalej od piekielnego gorąca, wspiąć z powrotem do swojej kabiny i śmiać się przez całą drogę. Tak naprawdę czuję, jakbym miał się zaraz rozplakać.

Mój wujek miał rację. Myliłem się. Ale prędzej szlag mnie trafi, niż dam mu satysfakcję.

– *Idiota* – oto jego najłagodniejszy komentarz.

– *Wariat! Cholerny wariat!* – drze się Loran.

– Niegroźny gaz – mówię. – Można wiercić.

Biorę się do pracy i nie przerywam aż do chwili, gdy słyhać gwizd. Wysuwam się z kabiny, pozostawiając ją w tunelu na czas nocnej zmiany, i chwytam linę, którą inni spuścili w dół kilometrowego szybu, żeby wyciągnąć mnie na wierzch. Pomimo oparzenia na grzbiecie dłoni szybko posuwam się w górę, aż w końcu wyłażę na zewnątrz. Kieran i Loran idą ze mną, żeby dołączyć do pozostałych przy najbliższej windzie, kilometr wzdłuż odwiertów ogromnej, nowej kopalni. Żółte światła dyndają z sufitu jak pająki.

Mój klan oraz trzystu ludzi z klanu Gamma stoją już pod metalową barierką, gdy docieramy do prostokątnej windy grawitacyjnej. Unikam wuja – jest na mnie wystarczająco wściekły – a ludzie klepią mnie po plecach z uznaniem za mój wyczyn. Młodzi, tacy jak ja, myślą, że zdobyliśmy Laur. Znają mój miesięczny wskaźnik wydobywania surowego helium-3. Jest lepszy niż ten, który mają Gamma. Stare pierniki ograniczają się do zrzędzenia i narzekania, że jesteśmy głupcami. Chowam rękę i staję razem z innymi.

Grawitacja się zmienia, a my wystrzeliwujemy w górę. Jakiś Gamma z co najmniej tygodniowym brudem za paznokciami zapomniał wsadzić stopy pod barierkę. Wisi więc w powietrzu, gdy winda pruje pionowo sześć kilometrów. W uszach aż strzela.

– *Mamy tu fruującego Gammę* – śmieje się Barlow do pozostałych Lambd.

I choć to tylko drobiazg, zawsze fajnie widzieć, jak Gammom coś nie wychodzi. Dostają więcej jedzenia, więcej papierosów, więcej wszystkiego z powodu Lauru. Przywykliśmy ich nienawidzić. Ciekawe, czy teraz oni będą nienawidzić nas.

Ale dość tego. Chwytam za pokryty rdzą, czerwony skafander nieostrożnego dzieciaka i ściągam go na dół. Dzieciak. Śmiechu warte. Jest ledwie trzy lata młodszy ode mnie.

I śmiertelnie zmęczony, ale kiedy dostrzega mój zakrwawiony strój, sztywnieje, unika mojego wzroku i jest jedynym, który widzi poparzenie na dłoni. Mrugam do niego i wydaje mi się, że właśnie narobił w skafander. Wszystkim się to zdarza. Pamiętam, jak spotkałem swojego pierwszego Helldivera. Uważałem go za boga.

Teraz nie żyje.

W hali, wielkiej szarej jaskini z betonu i metalu, ściągamy hełmy i wciągamy do płuc świeże, zimne powietrze świata, w którym nie ma wiertła. Nasz zbiorowy smród i pot wkrótce sprawią, że będzie tu jechać jak w kiblu. Światła migają w oddali, każąc nam trzymać się z dala od magnetycznych torów pociągu po drugiej stronie jaskini.

Nie mieszam się z Gammami, gdy stajemy w kolejce rdzawoczerwonych skafandrów. Połowa Lambd ze znakiem L, połowa Gamm z rysunkiem trzciny na ciemnoczerwonym tle na plecach. Dwójka szkarłatnych dowódców. Dwóch czerwonych jak krew Helldiverów.

Oddział Blaszków przygląda nam się bacznie, gdy posuwamy się powoli po wytartej betonowej podłodze. Ich szare, wytrzymałe zbroje są proste i znoszone, równie niechlujne, jak ich włosy. Powstrzymałyby cios zwykłego noża, ale już nie jonowego, a elektryczne ostrze i kosa wbiłyby się w pancerz jak w masło. Ale takie rzeczy widzieliśmy tylko na hologramach. Szarzy nie silą się na pokaz władzy. Pałki zwisają im po bokach. Wiedzą, że wcale nie muszą ich wyciągać.

Posłuszeństwo to największa cnota.

Kapitan Szarych, Brzydki Dan, oślizgły drań, rzuca we mnie kamykiem. Choć jego skóra pociemniała od ekspozycji na słońce, włosy ma szare jak reszta jego Koloru. Zwisają mu smętnie nad oczami, bryłkami lodu obtoczonymi w popiele. Sigil jego Koloru, wijący się, szary symbol w postaci cyfry cztery z widocznymi obok kilkoma kreskami, oplata mu dłonie i nadgarstki. Jest okrutny i ponury, jak wszyscy Szarzy.

Słyszałem, że ściągnęli go tu z pierwszej linii frontu jeszcze z Eurazji – gdziekolwiek to jest – po tym, jak został kaleką, a oni nie chcieli kupić mu nowej ręki. W jej miejscu jest przestarzały substytut. Ma z tego powodu kompleks, a ja upewniam się, że widzi, jak zerkam na jego rękę.

– Zdaje się, że miałeś dziś ekscytujący dzień, kochanie. – Głos ma równie ciężki i stęchły, jak powietrze w moim skafandrze termicznym. – Odważny z ciebie koleś, Darrow. Zawsze wiedziałem, że zostaniesz bohaterem.

– To ty jesteś bohaterem – mówię, kiwając głową w stronę ręki.

– A tobie wydaje się, że jesteś mądrałą, co?

– Tylko Czerwonym.

Mruga do mnie.

– Pozdrów ode mnie swoją małą ptaszynę. Dorodna z niej dziewczyna – mówi, oblizując wargi.

– Nigdy nie widziałem ptaka. Poza tymi na hologramie.

– Też mi coś – chichocze. – Chwila, dokąd to? – pyta, gdy się odwracam. – Ukłon dla lepszych od ciebie nie zaszkodzi, nie sądzisz? – Parska śmiechem w stronę swoich towarzyszy. Nie robiąc sobie nic z jego kpiny, odwracam się i robię głęboki ukłon. Mój wuj widzi to i odwraca się z niesmakiem.

Zostawiamy Szarych za plecami. Nie mam nic przeciwko kłanianiu się, ale gdybym kiedykolwiek dostał szansę, prawdopodobnie poderżnąłbym Brzydkiemu Danowi gardło. Ale to zupełnie jakbym powiedział, że pojedę sobie na Wenus, jeśli będę miał taką zachciankę.

– Hej, Dago! Dago! – woła Loran do Helldivera Gamm. Facet jest chodzącą legendą. Reszta to tylko gwiazdy jednego sezonu. Mam szansę być lepszy od niego. – Co wyciągnąłeś?

Dago, blady strzęp pomarszczonej skóry ze złośliwym uśmieszkiem zamiast twarzy, zapala długiego papierosa i wydmuchuje chmurę dymu.

– Nie wiem – odzywa się, przeciągając sylaby.

– Daj spokój!

– Nie obchodzi mnie to. Surowy urobek się nie liczy, Lambdo.

– Cholera, pewnie, że nie! Ile wyciągasz na tydzień? – pyta Loran, gdy ładujemy się do pociągu. Wszyscy zapalają papierosy i odkorkowują piwo. I uważnie słuchają każdego słowa.

– Dziewięć tysięcy osiemset dwadzieścia jeden kilo – przechwala się Gamma. Słyszając to, odchyłam głowę i uśmiecham się. Młodsze Lambdy wiwatują. Starsi nie reagują w żaden sposób. Jestem zajęty zastanawianiem się, co Eo zrobi w tym tygodniu z cukrem. Nigdy wcześniej nie zdobyliśmy cukru. Kiedyś udało nam się wygrać go w karty. I owoce. Słyszałem, że dzięki Laurowi dostaje się owoce. Eo pewnie rozda wszystko głodnym dzieciom, choćby tylko po to, żeby udowodnić Elicie, iż nie potrzebuje ich nagród. Jeśli chodzi o mnie, zjadłbym owoce i bawił się w politykę z pełnym brzuchem. Jednak Eo ma pasję do wzniosłych idei, podczas gdy ja nie mam pasji do niczego prócz niej.

– I tak nie wygracie – mówi Dago, gdy pociąg rusza. – Darrow to młody szczeniak, ale wystarczająco bystry, żeby to wiedzieć. Prawda, Darrow?

– Młody czy nie, skopię twój pomarszczony tyłek.

– Jesteś pewny?

– Jak cholera. – Mrugam i posyłam mu całusa. – Laur jest nasz. Tym razem to ty będziesz musiał przysłać swoje siostry po cukier do mojego osiedla.

Moi przyjaciele śmieją się i klepią pokrywami skafandrów o swoje uda.

Dago obserwuje mnie uważnie. Po chwili zaciąga się głęboko papierosem, który jasno płonie i szybko się wypala.

– To ty – mówi. Po niecałej minucie z papierosa zostaje tylko popiół.

Po wyjściu z pociągu kieruję się do Oczyszczalni z resztą górników. Miejsce jest zimne, zatechłe i cuchnie dokładnie tak jak trzeba: zatłoczonym, metalowym barakiem, w którym tysiące mężczyzn rozbierają się ze skafandrów po wielu godzinach sikania i pocenia się, żeby wziąć powietrzny prysznic. Jest ciemno. Na podłodze zalega brud. Ściany są popękane. W betonie widać szczeliny, w których gromadzą się ludzkie włosy i inne takie.

Zdejmuję skafander, zakładam czepek i idę nago do jednego z najbliższych przezroczystych cylindrów. W Oczyszczalni stoją ich całe tuziny. Szum silników i pogwizdywanie wypełniają to miejsce, gdy nadzy chłopcy i mężczyźni przepychają się między sobą w kolejce pod prysznic. Tutaj nie ma zabawy ani przechwałek. Łączy nas wspólne zmęczenie i ciche plaśnięcia dłoni o uda, tworzące rytm przy akompaniamencie świstu pryszniców.

Drzwi cylindra zamykają się za mną z sykiem, tłumiąc odgłosy muzyki. Ustrojstwo jest dość zniszczone. Ziemia, fragmenty martwego naskórka oraz stare włosy pokrywają zaskorupiałą warstwą otwory na dole, gdzie wypływa powietrze. Odsuwam stopy od brudu, gdy maszyna uruchamia się. Z silnika wydobywa się znajomy szum, a po nim następuje ogromny nacisk atmosfery i jednostajna wibracja, gdy pełne antybakteryjnych molekuł powietrze wystrzeliwuje z góry i zalewa mnie, zrywając martwą skórę i brud, które znikają w odpływie na dnie cylindra. Boli jak cholera.

Później dołączam do Lorana i Kierana, którzy idą na Błonia pić i tańczyć w tawernach, zanim oficjalnie rozpocznie się Święto Lauru. Blaszkaci będą rozdawać przydziały na żywność i ogłaszać o północy, kto zdobędzie Laur. Tańce rozpoczną się przed tym i będą trwały później dla nas, którzy zeszliliśmy z dziennej zmiany.

Legenda głosi, że bóg Marsa był ojcem łez, wrogiem tańców i zabawy. Zgadzam się co do pierwszego. Lecz my z kolonii Lykos, jednej z pierwszych założonych pod powierzchnią Marsa, jesteśmy ludźmi tańca, pieśni i rodziny. Plujemy na legendę i sami tworzymy naszą historię. To jedyna forma oporu, jaką jesteśmy w stanie wymóc na Elicie, która nami rządzi. Dodaje nam to odrobiny charakteru. Nie obchodzi ich, że tańczymy i śpiewamy, o ile dalej posłusznie kłaniamy im się w pas. Tak długo, aż przygotujemy planetę do życia dla innych. Mimo to, żeby przypomnieć nam, gdzie nasze miejsce, jedna pieśń i jeden konkretny taniec są karane śmiercią.

Dla mojego ojca ten taniec był ostatnim. Widziałem to tylko raz. Pieśń również słyszałem tylko raz. Nie rozumiałem jej, gdy byłem mały. Mówiła o odległych dolinach, mgle, zagubionych kochankach i żniwiarzu prowadzącym nas do naszego niewidocznego domu. Byłem mały i ciekawski, gdy kobieta śpiewała to, kiedy jej syna wieszano za kradzież żywności. Byłby wysokim chłopakiem, ale nigdy nie miał dość jedzenia, by rosnąć jak należy. Jego matka umarła następna. Mieszkańcy Lykos wykonali dla nich Pieśń Żałobną – tragicznie brzmiące uderzanie pięści o klatki piersiowe, cichnące powoli, aż w końcu pięści, tak jak jej serce, przestały bić.

Ten dźwięk prześladował mnie tamtej nocy. Płakałem samotny w naszej małej kuchni, zastanawiając się, dlaczego robiłem to wtedy, a nie w chwili, w której zginął mój ojciec. Leżąc na zimnej podłodze, usłyszałem ciche drapanie do drzwi mojego domu. Gdy je otworzyłem, w kupce czerwonej ziemi znalazłem mały pączek haemanthusa. Wokół nie było żywego ducha, tylko małe odciski stóp Eo. To był drugi raz, kiedy przyniosła kwiaty po czyjejś śmierci.

Skoro pieśni i tańce mamy we krwi, nikogo nie zdziwi moje odkrycie, że właśnie przez nie zakochałem się w Eo. Ale nie w małej Eo, tylko w Eo takiej, jaką jest teraz. Mówi, że kochała mnie, zanim powieszono mojego ojca. Dopiero w zadymionej tawernie, gdy jej rdzawe włosy wirowały w powietrzu, stopy poruszały się w takt melodii wygrywanej na cytrze, a biodra kołysały w rytmie bębnow, moje serce zamarło na moment. Nie chodziło wcale o jej piruety ani wygibasy, żaden z chełpliwych wygłupów, które tak bardzo widać w popisach nastolatków. Jej ruchy były dumne i pełne wdzięku. Beze mnie nie miałyby co włożyć do ust. Bez niej nie miałbym po co żyć.

Może mi za to dokuczać, ale to ona jest dobrym duchem naszego ludu. Nasze życie nie jest usłane różami. To my mamy się poświęcić dla dobra mężczyzn i kobiet, których nie znamy. To my mamy przygotować Marsa dla innych. To sprawia, że część z nas staje się naprawdę nieprzyjemna. Ale dobroć, jaką emanuje Eo, jej radość, wola przetrwania, to najlepsze, co może pochodzić z domu takiego jak nasz.

Szukam jej w naszym osiedlu, oddalonym pół mili drogi tunelem od Błoni. Osiedle jest jednym z dwudziestu czterech innych otaczających Błonia. Konstrukcją przypomina ul, zlepek mieszkań wyciętych w skalnych ścianach starych kopalni. Kamień i ziemia są naszymi sufitami, podłogami, domem. Klan to wielka rodzina. Eo dorastała o rzut kamieniem ode mnie. Jej bracia są jak moi właścici. Jej ojciec jak ten, którego straciłem.

Płatanina elektrycznych przewodów łączy się ze sobą wzdłuż sklepienia jaskini jak dżungla czarnych i czerwonych lian. Z tej dżungli zwisają światła, kołysząc się łagodnie, gdy powietrze z centralnego systemu tlenowego Błoni krąży wokół. Na samym środku osiedla wisi masywny ekran hologramowy. To kwadratowe pudło z obrazami na każdej stronie. Piksele są wygaszone, a obraz niewyraźny, ale to urządzenie jeszcze nigdy nie miało awarii. Nigdy nie zostało wyłączone. Zalewa nasze ściśnięte domostwa swoim własnym bladym światłem. Nagraniami wideo od Elity.

Mój rodzinny dom jest wykuty w skale sto metrów nad klepiskiem osiedla. Na ziemię prowadzi z niego stroma ścieżka, choć liny i wózki mogą zawieźć każdego jeszcze wyżej. Korzystają z nich wyłącznie starzy i niedołążni. Jednych i drugich mamy niewielu.

Nasz dom ma tylko kilka pokoi. Dopiero niedawno Eo i ja mogliśmy wziąć jeden z nich wyłącznie dla siebie. Kieran i jego rodzina zajmują dwa, a moja matka i siostra zamieszkują pojedynczy pokój na piętrze.

Wszystkie Lambdy w Lykosie mieszkają w naszym osiedlu. Omegi i Upsilon zajmują kwatery minuty stąd, jeśli podążać szerokim tunelem prowadzącym na drugą stronę. Wszyscy jesteśmy połączeni. Poza Gammami. Oni mieszkają na Błoniach, ponad tawernami, warsztatami naprawczymi, sklepami z jedwabiem i bazarami. Blaszkaki zajmują górującą nad nami wszystkimi fortecę blisko jałowej powierzchni nieprzyjaznego świata. To tam są porty, którymi sprowadzana jest z Ziemi żywność dla

nas, porzuconych pionierów.

Hologram nade mną pokazuje trudy ludzkości, po których rozbrzmiewa wzniosła muzyka towarzysząca triumfowi Elity. Ich Sigil, złota piramida, z trzema równoległymi liniami łączącymi się z trzema stronami piramidy, wpisana w koło, ukazuje się na ekranie. Głos Octavii au Lune, podstarzałej Monarchini, opowiada o trudach, jakie ludzkość musi podjąć w celu kolonizacji pozostałych planet i księżyców Układu Słonecznego.

– Od czasu zmierzchu rodzaju ludzkiego nasza opowieść jako gatunku łączyła się niezmiennie z wojnami współplemieńców. Z próbą, poświęceniem, odwagą sprzeciwienia się narzuconym przez naturę ograniczeniom. Teraz, poprzez obowiązek i posłuszeństwo, jesteśmy zjednoczeni, ale nasza walka nie różni się od tamtej. Synowie i córki wszystkich Kolorów, znów zostaliśmy poproszeni o ofiarę. Tutaj, w tej oto godzinie, wysyłamy naszych najlepszych ludzi do gwiazd. Gdzie najpierw mamy zacząć się rozwijać? Na Wenus? Na Marsie? Księżycach Neptuna albo Jowisza?

Jej głos poważnieje, gdy spogląda na dół królewskim spojrzeniem. Grzbiety jej dłoni migoczą, ozdobione złotymi symbolami – kropką w centrum uskrzydłonego koła. Tylko jedna niedoskonałość zniekształca złocistą twarz – długa, sierpowata blizna biegnąca przez prawy policzek. Jest równie piękna, jak drapieżny ptak.

– Odważni Czerwoni pionierzy Marsa – najsilniejsi z rasy ludzkiej – poświęćcie się dla postępu, przecierając szlak przyszłym pokoleniom. Wasze życie, wasza krew są zapłatą za nieśmiertelność ludzkości, gdy przeniesiemy się poza Ziemię i Księżyc. Wy idźcie tam, dokąd my nie potrafimy. Cierpcie, żeby inni nie musieli cierpieć. Składam wam hołd. Kocham was. Helium-3, które wydobywacie, jest siłą napędową procesu terraformowania. Wkrótce Czerwona Planeta będzie miała powietrze nadające się do oddychania i glebę zdatną do uprawy. Niedługo, gdy Mars będzie się nadawał do zamieszkania, gdy wy, odważni pionierzy, przygotujecie planetę dla naszych pozostałych Kolorów, dołączymy do was i będziemy was obdarzać najwyższym szacunkiem pod niebem, które stworzyła wasza ciężka praca. Wasz pot i krew są siłą napędową terraformowania! Odważni pionierzy, zawsze pamiętajcie, że posłuszeństwo jest najwyższą z cnót. Ponad wszystko posłuszeństwo, szacunek, poświęcenie, hierarchia...

Kuchnia jest pusta, ale słyszę Eo krzątającą się w sypialni.

– Stój tam, gdzie jesteś! – rozkazuje przez drzwi. – Pod żadnym pozorem nie zaglądam do tego pokoju.

– W porządku.

Zatrzymuję się.

Wychodzi po minucie, podenerwowana i zarumieniona. Włosy ma pokryte kurzem i pajęczynami. Przeczesuję dłonią ich gąszcz. Przyszła prosto z Pajęczarni, w której zbierają biojedwab.

– Nie byłeś w Oczyszczalni – mówię, uśmiechając się.

– Nie miałam czasu. Musiałam coś zabrać.

– Co takiego?

Uśmiecha się słodko.

– Nie ożeniłeś się ze mną dlatego, że wszystko ci mówię, pamiętasz? I nie wchodź do tamtego pokoju.

Rzucam się w stronę drzwi. Eo blokuje wejście i naciąga mi opaskę na oczy. Przyciska czoło do mojej piersi. Śmieję się, zdejmuję opaskę i chwytam żonę za ramiona wystarczająco mocno, żeby spojrzała mi w oczy.

– Bo co? – pytam z uniesionymi brwiami.

Uśmiecha się tylko i przekrzywia głowę. Odsuwam się od metalowych drzwi. Bez mrugnięcia okiem potrafię wskoczyć do głębokiego tunelu. Ale są ostrzeżenia, które można zignorować, oraz takie, których nie można.

Eo staje na palcach i całuje mnie w nos.

– Dobry chłopak. Wiedziałaś, że łatwo cię będzie wyszkolić – mówi. Jej nos marszczy się, gdy wyczuwa woń poparzenia. Nie skacze nade mną jak nad jajkiem, nie krytykuje, nie mówi nic prócz zwykłego „kocham cię” z zaledwie śladem zmartwienia w głosie.

Wyciąga stopione kawałki skafandra z mojej rany, która ciągnie się od kłykci aż po nadgarstek, i bandażuje ciasno paskiem jedwabiu, nasączonym antybiotykiem i biopolimerem.

– Skąd to masz? – pytam.

– Ja nie będę cię pouczać, ty nie będziesz zadawał mi zbędnych pytań.

Całuję ją i bawię się cienką opaską splecionych włosów wokół jej palca serdecznego. Moje włosy połączone z kawałkami jedwabnych nici tworzą ślubną obrączkę.

– Mam dla ciebie niespodziankę – mówi.

– A ja mam jedną dla ciebie – odpowiadam, myśląc o Laurze. Zakładam swoją opaskę na jej głowę. Wygląda jak korona. Eo marszczy nos z powodu wilgoci.

– Och, cóż, właściwie to mam dla ciebie dwie, Darrow. Szkoda, że na to nie wpadłeś. Mógłbyś przynieść mi kostkę cukru albo satynowe prześcieradło, albo... może nawet kawę na pierwszy prezent.

– Kawę! – Wybucham śmiechem. – Jaki Kolor wydaje ci się, że poślubiłaś?

Eo wzdycha.

– Żadnego pożytku z Helldivera, zupełnie żadnego. Szalony, uparty, narwany...

– Zręczny? – pytam z diabelskim uśmiechem, przesuając dłoń w górę po jej spódnicy.

– To chyba ma swoje zalety. – Uśmiecha się i odpędza moją rękę jak pająka. – A teraz zakładaj rękawiczki, jeśli nie chcesz, żeby kobiety zaczęły trajkotać. Twoja matka zdążyła już wyjść.

Rozdział trzeci

Laur

Ręka w rękę idziemy wraz z innymi mieszkańcami osiedla przez tunele aż do Błoni. Octavia au Lune rozprawia o czymś wysoko na hologramie. Pokazują okropieństwa zamachu bombowego, w którym zginęła załoga górnicza Czerwonych oraz grupa techniczna Pomarańczowych. Winę za to ponoszą Synowie Aresa. Ich dziwny glif, groźnie wyglądający hełm z kolczastymi promieniami słońca wychodzącymi z korony, płonie na ekranie. Z kolców kapie krew. Pokazują okaleczone dzieci. Synowie Aresa są nazywani mordercami i wichrzycielami. Są potępieni. Szara policja Elity i żołnierze usuwają gruz. Dwóch Obsydianowych żołnierzy, ogromna kobieta i mężczyzna prawie dwukrotnie przewyższający mnie wzrostem, wynosi razem ze zwinnymi Żółtymi lekarzami ofiary z miejsca eksplozji.

W Lykosie nie ma żadnych Synów Aresa. Ich bezcelowa wojna nie dotyka nas bezpośrednio, choć za informacje o Aresie, królu terrorystów, są oferowane nagrody. Słyszeliśmy tę transmisję setki razy, a ona nadal wydaje się fikcją. Synowie myślą, że jesteśmy źle traktowani, więc wysadzają wszystko w powietrze. Daremny trud. Każde zniszczenie, jakie powodują, opóźnia proces przygotowywania Marsa pod zasiedlenie dla innych Kolorów. To krzywdzi ludzkość.

W tunelu, gdzie chłopcy rywalizują ze sobą, próbując dotknąć sklepienia, mieszkańcy osiedla

maszerują z radością na tańce. W trakcie marszu śpiewamy piosenkę Święta Lauru – o tym, jak mężczyzna znajduje swoją ukochaną na polu złota. Ludzie śmieją się, gdy młodzi chłopcy biegają wzdłuż ścian i robią fikołki, tylko po to, by upaść na twarz lub zostać zauważonym przez dziewczęta.

W długim korytarzu zawieszono światła. W oddali pijany wujek Narol, wyglądający jak starzec w wieku trzydziestu pięciu lat, gra na cytrze dla dzieci, które tańczą u jego stóp. Nawet on nie może być ponury przez cały czas. Instrument ma zawieszony na pasach na ramionach, tak że część spoczywa mu na biodrach. Plastikowe pudło rezonansowe i mnóstwo naprężonych metalowych strun są zwrócone w stronę sufitu. Prawym kciukiem trąca struny, nie licząc momentu, w którym wybiera pojedynczą, a lewa ręka wygrywa linię basową. Strasznie trudno sprawić, żeby cytra wydawała z siebie coś innego prócz żałobnych dźwięków. Wujkowi Narolowi się to udaje, choć moja cytra gra jedynie tragiczne melodie.

Kiedyś grał także i dla mnie, ucząc mnie kroków różnych tańców, których mój ojciec nigdy nie miał szansy mi pokazać. Nauczył mnie nawet zakazanego tańca, takiego, za który mogą zabić. Tańczyliśmy go w starych kopalniach. Smagał mnie po kostkach różgą, dopóki nie nauczyłem się wirować bezbłędnie w skocznych momentach, a kawałek metalu w mojej dłoni nie przypominał miecza. Gdy robiłem to dobrze, całował mnie w czoło i mówił, że jestem nieodrodnym synem swojego ojca. To dzięki jego lekcjom nauczyłem się poruszać i biłem na głowę każdego dzieciaka, gdy bawiliśmy się w duchy w starych tunelach.

– Złoci tańczą w parach, Obsydianowi trójkami, a Szarzy w dwunastu – powiedział mi kiedyś. – My tańczymy sami, ponieważ Helldiverzy wiercą wyłącznie w samotności. Tylko w samotności chłopiec może stać się mężczyzną.

Tęsknię za tamtymi dniami, gdy byłem na tyle mały, że nie osądzałem go za odór piwa wyczuwalny w oddechu. Miałem wtedy jedenaście lat. Zaledwie pięć lat temu, a mam wrażenie, jakby upłynął szmat czasu.

Lambdy klepią mnie po plecach z uznaniem. Nawet Varlo, piekarz, skłania przede mną głowę i rzuca Eo kawałek chleba. Bez wątpienia słyszeli o Laurze. Eo chowa chleb w fałdach spódnicy na później i rzuca mi pełne zaciekawienia spojrzenie.

– Szczerzysz się jak idiota – mówi, podszczypując mnie. – Co takiego zrobiłeś?

Wzruszam ramionami i staram się zetrzeć uśmiech ze swojej twarzy, ale to niemożliwe.

– Jesteś z czegoś dumny – dodaje podejrzliwym głosem Eo.

Reagan i Iro, syn i córka Kierana, mój bratanek i bratanica, biegną przed siebie. Bliźniaki są wystarczająco szybkie, żeby prześcignąć zarówno Dionę, żonę Kierana, jak i moją matkę.

Uśmiech mojej matki należy do kobiety, która przekonała się, co życie ma jej do zaoferowania, i jest w najlepszym razie zaskoczona.

– Wygląda na to, że się oparzyłeś, kochanie – mówi, gdy widzi moje obciążone rękawiczkami

dłonie. Ton jej głosu jest leniwy, ironiczny.

– To pęcherz – mówi za mnie Eo. – Całkiem paskudny.

Matka wzrusza ramionami.

– Jego ojciec wracał do domu z gorszymi.

Obejmuję ręką jej ramiona. Są szczuplejsze niż dawniej, gdy uczyła mnie pieśni naszego ludu, podobnie jak inne kobiety uczyły swoich synów.

– Czyżbym słyszał w twoim głosie zmartwienie, mamó? – pytam.

– Zmartwiona? Ja? Och, ty głuptasie – wzdycha z leniwym uśmiechem. Całuję ją w policzek.

Połowa klanów jest pijana, gdy docieramy na Błonia. Prócz tego, że jesteśmy narodem tańczącym, jesteśmy również narodem pijącym. Blaszkami nam tego nie utrudniają. Gdyby powiesili kogoś bez żadnego powodu, w osiedlu odezwałyby się pomruki niezadowolenia. Ale gdyby chcieli wymusić na nas trzeźwość, nie pozbialiby się przez miesiąc. Eo jest zdania, że grendel, grzyb, który destylujemy, nie należy do naturalnej flory Marsa i został tu posiany, byśmy stali się niewolnikami piwa. Przypomina o tym za każdym razem, gdy moja matka warzy nową partię. Matka zazwyczaj odpowiada na to, upijając łyk i mówiąc: „Piwo jest lepszym panem od człowieka”.

A będzie jeszcze lepsze dzięki syropom, jakie zdobędziemy w laurowych pudłach. Smakują alkoholem, jak jagody i coś, co zwą cynamonem. Możliwe, że dostanę nawet nową cytrę, z drewna zamiast z metalu. Czasami je rozdają. Moja jest stara i zniszczona. Zbyt długo na niej grałem. Należała jeszcze do mojego ojca.

W oddali słychać muzykę – wesole melodie improwizowanych perkusji i zawodzących cytr. Dołączają do nas Omega i Upsilon, podskakując radośnie w kierunku tawern. Wszystkie drzwi stoją otworem, więc dym i hałas z ich wnętrza kłębią się na głównym placu. Otaczają go stoły, a wokół środkowej szubienicy zrobiono wolne miejsce do tańczenia.

Błonia to wielopoziomowa, kolista spirala. Tawerny i warsztaty naprawcze zajmują najniższy poziom. Domy Gamm znajdują się na kilku kolejnych razem z punktami dostawczymi. Później widać przezroczysty mur, a wysoko nad nim zapadniętą, metalową kopułę z portami widokowymi z nanoszkła. Nazywamy to miejsce Kotłem. To forteca, w której mieszkają i śpią nasi opiekunowie. Za nią rozciąga się nienadająca się do zamieszkania powierzchnia naszej planety – jałowa pustynia, którą znam jedynie z hologramu. Helium-3, które wydobywamy, ma to zmienić.

Tancerze, żonglerzy i śpiewacy już zaczęli świętować. Eo dostrzega Lorana i Kierana i przywołuje ich okrzykiem. Stoją przy długim, zatłoczonym stole w pobliżu Mokrej Szubienicy, tawerny, gdzie najstarszy z naszego klanu, Ol’Ripper, czyni honory i opowiada baśnie pijanym ludziom. Dzisiaj zasnął na stole. Szkoda. Wolałbym, żeby widział, jak w końcu zdobywam dla nas Laur.

Na uczcie, gdzie dla każdego ledwie starcza jedzenia, picie i tańce stanowią główną atrakcję. Loran

nalewa mi kufel piwa, zanim jeszcze zdążę usiąść. Zawsze stara się upić wszystkich dokoła, żeby wtykać im we włosy śmieszne wstążki. Robi miejsce dla Eo obok swojej żony, Dio, jej siostry bliźniaczki z wyglądu, jeśli nie z urodzenia.

Loran kocha Eo tak samo, jak jej brat Liam, ale ja wiem, że był nią kiedyś zauroczony bardziej niż Dio. W zasadzie to uklęknął przed moją żoną, gdy ta skończyła czternaście lat. Choć, z drugiej strony, zrobiła to ponad połowa chłopaków. Eo wcale się tym nie przejęła. Wyraziła się jasno, jakiego dokonała wyboru.

Kierana otaczają jego dzieci. Żona całuje go w usta. Ja całuję go w czoło i mierzwię jego rude włosy. Nie mam pojęcia, jakim cudem po całym dniu ciężkiej pracy w Pajęczarni kobietom udaje się wyglądać tak cudownie i uroczo. Urodziłem się przystojny, z nieregularnymi rysami twarzy i smukłą sylwetką, ale kopalnie odcisnęły na mnie swoje piętno. Jestem wysoki, nadal rosnę. Mam włosy w kolorze zaschniętej krwi, a tęczęwki nadal rdzawoczerwone, tak jak Octavia au Lune ma złociste. Moja skóra jest sprężysta i blada. Cały jestem w bliznach po poparzeniach i nacięciach. Jeszcze trochę, a zacznę wyglądać na równie zahartowanego co Dago albo zmęczonego jak wujek Narol.

Jednak kobiety prześcigają nas pod względem urody. Są wystrojone i piękne pomimo pracy w Pajęczarni i mimo dzieci, które urodziły. Noszą warstwowe spódnice sięgające za kolana i bluzki w odcieniach czerwieni. Nic innego. Zawsze czerwień. Są sercem naszych klanów. Będą wyglądały jeszcze piękniej w importowanych kokardkach, wstążkach i koronkach, jakie znajdują się w laurowych pudłach.

Dotykam Sigili na swoich kościstych dłoniach. Składają się na nie prymitywne czerwone koła przecięte strzałami i siatka nakładających się na siebie kresek. Czuję się z nimi dobrze, są na właściwym miejscu. Ale nie Eo. Z wyglądu może należeć do nas, ale równie dobrze mogłaby być jedną ze Złotych, których widzimy na hologramie. Zasługuje na to. Widzę, jak trzepie po głowie Lorana, który wypija jednym haustem kufel ryżowego piwa matki. Uśmiecham się. Gdy spoglądam ponad jej ramieniem, mój uśmiech blednie. Nad skaczącym tłumem, na zimnej, wysokiej szubienicy kołysze się samotny szkielet. Pozostali go nie zauważają. Dla mnie jest przypomnieniem losu, jaki spotkał mego ojca.

Choć jesteśmy górnikami, nie pozwalają nam grzebać naszych zmarłych. To kolejne z praw narzuconych przez Elitę. Mój ojciec wisiał dwa miesiące, zanim odcięli jego szkielet i starli kości na proch. Miałem zaledwie sześć lat, ale próbowałem ściągnąć go stamtąd już pierwszego dnia. Powstrzymał mnie przed tym mój wuj. Znienawidziłem go, bo trzymał mnie z dala od ciała ojca. Znienawidziłem go po raz kolejny, gdy odkryłem, jakim był słabym człowiekiem. Mój ojciec umarł za sprawę, podczas gdy Narol żył, upijał się i przegrywał swój los.

„To szaleniec. Któregoś dnia się o tym przekonasz. Szalony, wspaniały i szlachetny, Narol to najlepszy z moich braci” – powiedział kiedyś mój ojciec.

Teraz został ostatnim.

Nigdy nie sądziłem, że mój ojciec odtańczy Taniec Diabła, coś, co starzy ludzie nazywają śmiercią przez powieszenie. Był uczciwym, spokojnym człowiekiem. Jego głównym poglądem stała się

wolność, nasze własne prawa. Marzenia były jego bronią. Do spuścizny ojca należy Taneczna Rebelia, która umarła wraz z nim na szubienicy. Dziewięciu mężczyzn naraz, wierzgających w powietrzu, aż w końcu tylko on pozostał.

Nie była to rebelia w pełnym tego słowa znaczeniu. Myśleli, że pokojowy protest przekona Elitę do zwiększenia racji żywnościowych. Odtńczyli więc Taniec Dożynek przed windami grawitacyjnymi i usunęli fragmenty maszynierii z wiertel tak, że przestały pracować. Ich strategia upadła. Tylko zdobycie Lauru może zapewnić więcej jedzenia.

Jest po jedenastej, gdy mój wujek siada do swojej cytry. Rzuca mi groźne spojrzenie. Jest pijany jak bela. Nie zamieniamy ani słowa, choć zwraca się uprzejmie do Eo, a ona do niego. Wszyscy kochają Eo.

Dopiero gdy matka Eo podchodzi i całuje mnie w tył głowy, mówiąc bardzo głośno: „Słyszeliśmy wieści, nasz złoty chłopcze. Laur! Jesteś nieodrodnym synem swego ojca”, wujek wierci się nerwowo.

– O co chodzi, wujku? – pytam. – Masz gazy?

Jego nozdrza drżą.

– Ty mały gówniarzu!

Rzuca się przez stół i obaj spadamy na ziemię w plątaninie rąk i nóg. Jest wielki, ale obracam go na plecy i walę w nos poranioną ręką tak długo, aż ojciec Eo i Kieran mnie odciągają. Wujek Narol pluje na mnie. Więcej w tym krwi i gorzały niż czegokolwiek innego. Chwilę później znów pijemy na przeciwnych końcach stołu. Moja matka przewraca oczami.

– Jest zły, że nie zrobił ani jednej cholernej rzeczy, żeby zdobyć Laur. Popisuje się tylko – mówi Loran o swoim ojcu.

– Cholerny tchórz nie wiedziałby, jak wygrać Laur, nawet gdyby ten wylądował mu na kolanach – mówię, patrząc spode łba.

Ojciec Eo klepie mnie po głowie i widzi, jak jego córka opatruje pod stolikiem moją poparzoną dłoń. Nasuwam z powrotem rękawiczki. Ojciec Eo mruga do mnie.

Eo domyśliła się, o co chodzi z tym całym zamieszaniem z Laurem, zanim zjawili się Blaszkaki, ale nie jest tym podekscytowana tak, jak miałem nadzieję. Gniece w dłoniach rąbek spódnicy i uśmiecha się do mnie. Przypomina to zresztą bardziej grymas niż uśmiech. Nie wiem, dlaczego jest taka pełna obaw. Nikt z pozostałych klanów nie jest. Wielu przyszło złożyć wyrazy szacunku, wszyscy Helldiverzy prócz Dago, który siedzi w otoczeniu błyszczących stołów Gamma – jedynych, na których jest więcej jedzenia niż piwa – i pali papierosa.

– Nie mogę się doczekać, aż ten łajdak zacznie jeść zwykłe racje – chichocze Loran. – Dago nigdy wcześniej nie próbował chłopskiego zarcia.

– A mimo to jest chudszy niż kobieta – dodaje Kieran.

Śmieję się razem z Loranem i podaję Eo skromny kawałek chleba.

– Rozchmurz się – mówię. – Świętujemy.

– Nie jestem głodna.

– Nawet gdy chleb będzie posypany cynamonem?

Wkrótce tak właśnie będzie.

Rzuca mi ten swój półuśmiech, jakby wiedziała coś, o czym ja nie mam pojęcia.

O dwunastej grupa Blaszków opuszcza Kocioł w specjalnych butach grawitacyjnych. Ich zbroje są liche i poplamione. Większość z nich to chłopcy lub starsi mężczyźni, którzy odeszli na emeryturę po wojnach na Ziemi. To nie ma jednak znaczenia. Do pasów na broń mają przypięte pałki i miotacze. Nigdy nie widziałem, żeby użyli któregoś z nich. Nie ma takiej potrzeby. Mają powietrze, jedzenie i port. My nie mamy nawet jednego miotacza. Nie żeby Eo nie spodobał się pomysł ukradzenia jakiegoś.

Mięśnie jej szczęk napinają się, gdy Blaszkaci dryfują w powietrzu i dołącza do nich Główny Zarządca Kopalni, Timony cu Podginus, malutki miedzianowłosa człowieczek z Koloru Miedzi.

– Patrzcie, patrzcie, Czerwoni! – woła Brzydki Dan. Zapada cisza, gdy tamci unoszą się nad nami. Buty grawitacyjne Głównego Zarządcy są poniżej standardów, więc chwieje się w powietrzu jak starzec. Zastępy Blaszków zjeżdżają na dół windą, gdy Podginus rozkłada swe malutkie, zadbane dłonie.

– Koledzy pionierzy, jakże cudownie jest oglądać wasze święto. Muszę się przyznać – mówi, chichocząc nerwowo – że darzę wielkim sentymentem prostotę waszego szczęścia. Zwykłe napitki, zwykłe jedzenie, zwykły taniec. Och, jakże fantastycznie musicie się bawić. Sam chciałbym tak umieć. Nie potrafię już odnaleźć przyjemności nawet w Różowym burdelu po posiłku złożonym z przedniej szynki i wspaniałych ananasowych tart! Jakie to smutne! Gdybym tylko mógł być taki jak wy. Jednak mój Kolor to mój Kolor, i jestem skazany na nudny żywot wypełniony informacjami, biurokracją i zarządzaniem. – Cmoka, a jego miedziane loki podskakują. – A wracając do sedna sprawy, wszystkie Parytety zostały przyznane, nie licząc Mu i Chi. A zatem w tym miesiącu nie otrzymają wołowiny, mleka, przypraw, środków higienicznych ani opieki dentystycznej. Tylko zboże i podstawowe rzeczy. Rozumiecie chyba, że statki z orbity ziemskiej są w stanie przetransportować ograniczone ilości towarów dla kolonii. To cenne zasoby! A my musimy podzielić je między tych, którzy się *wykazują*. Być może następnym razem, Mu i Chi, będziecie się mniej ociążać.

Mu i Chi stracili tuzin ludzi w eksplozji gazu podobnej do tej, której obawiał się wujek Narol. Nie ociągali się. Zwyczajnie zginęli.

Podginus trajkocze bez sensu jeszcze przez jakiś czas, zanim dochodzi do sedna. Wyjmuje Laur

i unosi go w powietrze. Wieniec jest pomalowany sztuczną złotą farbą, ale jego małe gałązki i tak błyszczą. Loran szturcha mnie łokciem. Wujek Narol patrzy spode łba. Odchylam głowę w tył, świadom wpatrujących się we mnie oczu. Młodzi biorą ze mnie przykład. Dzieci uwielbiają wszystkich Helldiverów. Starsi również przypatrują mi się uważnie. Jak to zawsze mawiała Eo, jestem ich dumą, ich złotym chłopcem. Teraz pokażę im, jak zachowuje się prawdziwy mężczyzna. Nie będę skakał z radości z powodu zwycięstwa. Uśmiechnę się tylko i pokiwam głową.

– W imieniu ArcyGubernatora Marsa, Nero au Augustusa, mam zaszczyt ogłosić, że Laur miesięcznej efektywności, doskonałości, męstwa, posłuszeństwa, poświęcenia otrzymują...

Szok i niedowierzanie. To niemożliwe!

Laur dostali Gamma.

A my nie.

Rozdział czwarty
Prezent

Gdy owinięte laurem pudła trafiają do klanu Gamma, rozmyślam o tym, jakie to wszystko sprytne i zaplanowane. Nie pozwolą nam zdobyć Lauru. Nie obchodzi ich, że wyliczenia się nie zgadzają. Mają gdzieś, że młodzi krzyczą w wyrazie protestu, a starzy wygłaszają po raz kolejny te same stare mądrości. To po prostu demonstracja siły. Oni wybierają zwycięzcę. Zaslужują na to z racji urodzenia. Dzięki temu utrzymują hierarchię. To sprawia, że ciągle się staramy, lecz nigdy przeciw nim nie spiskujemy.

Pomimo rozczarowania jakaś część nas nie obwinia za to Elity. Winnymi są Gamma, którzy otrzymują dary. Kiedy człowiek widzi sterczące żebra swoich dzieci, podczas gdy sąsiedzi napęlniają brzuchy mięsnymi gulaszami i posypanymi cukrem tartami, trudno ich nie nienawidzić. Można by pomyśleć, że się z tobą podziela. Nie robią tego.

Wujek wzrusza ramionami. Reszta jest wściekła. Loran wygląda, jakby chciał zaatakować Blaszkę lub Gammy. Jednak Eo nie dopuszcza do tego, żebym kotłował się od środka ze złości. Nie pozwala, by moje palce pobieleły od zaciskania się w pięści z furii. Zna mnie lepiej niż moja własna matka i wie, co zrobić, żeby wściekłość wyparowała. Moja mama uśmiecha się łagodnie, patrząc, jak Eo ujmuję mnie za rękę. Bardzo kocha moją żonę.

– Zatańcz ze mną – szepcze. Krzyczy do cytrzystów i bębniarzy, by grali dalej. Bez wątpienia dolewa oliwy do ognia. Nienawidzi Elity bardziej niż ja. Ale to dlatego kocham swoją żonę.

Wkrótce skoczna muzyka płynąca z cytr robi się głośniejsza, a starcy zaczynają uderzać dłońmi w stoły. Warstwowe spódnice wirują w powietrzu. Stopy przytupują. Chwytam żonę w objęcia, gdy klany płyną w tańcu przez plac, by do nas dołączyć. Pocimy się i śmiejemy, próbując zapomnieć o złości. Razem dorastaliśmy i jesteśmy dorośli. W oczach Eo widzę swoje serce. W jej oddechu słyszę swoją duszę. Ona jest moją ziemią. Moją rodziną. Miłością.

Odciąga mnie w tył ze śmiechem. Przedzieramy się przez tłum, żeby pobyć chwilę w samotności. Gdy nam się udaje, Eo wcale się nie zatrzymuje. Prowadzi mnie wzdłuż metalowych pasaży z niskimi, mrocznymi sufitami do starych tuneli i Pajęczarni, gdzie harują wszystkie kobiety. Jest przerwa między zmianami.

– Dokąd właściwie idziemy? – pytam.

– Jeśli nie zapomniałeś, to wiesz, że mam dla ciebie prezenty. A jak będziesz mnie przeproszał za to, że twój prezent okazał się kiepski, to palnę cię w łeb.

W tym momencie widzę pączek krwistoczerwonego haemantusa wystający ze ściany. Zrywam go i podaję Eo.

– Mój prezent. Miałem zamiar cię zaskoczyć.

Eo chichocze.

– W porządku. Wewnętrzna część jest moja. Zewnętrzna należy do ciebie. Nie! Nie ciągnij za niego. Zatrzymam twoją połowę.

Wącham kwiat w jej dłoni. Pachnie rdzą i kiepskimi gulaszami mamy.

We wnętrzu Pajęczarni grube jak ludzkie udo jedwabniki o długich, kościstych odnóżach, pokryte czarnym i brązowym futrem, tkają wokół nas jedwab. Pełzają po swoich żerdziach na nogach nieproporcjonalnie cienkich do krępych odwłoków. Eo prowadzi mnie na najwyższy poziom. Stare, metalowe żerdzie są owinięte jedwabiem. Drzę, patrząc na stworzenia widoczne w dole i na górze.

Jaskiniowe żmije rozumiem, jedwabników nie. Stworzyli je Snycerze Elity. Śmiejąc się, Eo prowadzi mnie w stronę ściany i odciąga na bok grubą zasłonę pajęczyn, odsłaniając zardzewiały, metalowy kanał.

– To przewód wentylacyjny – tłumaczy. – Tynk na ścianach opadł jakiś tydzień temu, odsłaniając to.

– Eo, zostaniemy wychłostani, jeśli nas tu złapią. Nie wolno nam...

– Nie pozwolę, żeby i ten prezent zniszczyli. – Całuje mnie w nos. – Chodź, Helldiverze. W tym tunelu nie ma ani jednego wiertła.

Idę za nią wąskim, krętym tunelem, aż w końcu wychodzimy przez kratę do świata pełnego nieludzkich odgłosów. W ciemności słychać bzyczenie. Eo ujmuje mnie za rękę. To jedyna znajoma rzecz.

– Co to takiego? – pytam, mając na myśli dźwięk.

– Zwierzęta – mówi, prowadząc mnie dalej w osobliwą ciemność. Pod stopami czuję coś miękkiego. Podenerwowany, pozwalam, żeby ciągnęła mnie dalej. – Trawa. Drzewa. Darrow, drzewa. Jesteśmy w lesie.

Zapach kwiatów. Światełko w ciemności. Migoczące żyjątka z zielonymi podbrzuszami przecinają mrok. Wielkie robaki o opalizujących skrzydełkach wyłaniają się z cieni. Pulsują kolorami i życiem. Oddech więźnie mi w gardle, a Eo wybucha śmiechem, gdy motyl przelatuje tak blisko nas, że mogę go dotknąć.

Te wszystkie stworzenia istnieją w naszych pieśniach, ale widzieliśmy je wyłącznie na hologramach. Ich barwy są niepodobne do żadnych innych. Moje oczy nie widziały niczego prócz ziemi, blasku świdrów, Czerwonych oraz szarości betonu i metalu. Ekran hologramu był jedynym oknem, przez które mogłem zobaczyć kolory. Ale to całkiem odmienny spektakl.

Barwy fruujących stworzeń ranią moje oczy. Drzę, śmieję się i wyciągam ręce, żeby dotknąć zwierząt latających przede mną w ciemności. Chwytam je w dłonie i patrzę na przejrzystą kopułę. To transparentna bańka spoglądająca na niebo.

Niebo. Kiedyś to było tylko słowo.

Nie dostrzegam powierzchni Marsa, ale mam przed sobą widok, jaki się z niej roztacza. Gwiazdy płoną wdzięcznie na gładkim, czarnym niebie, jak światła porozwieszane nad naszym osiedlem. Eo wygląda tak, jakby mogła do nich dołączyć. Jej twarz płonie, gdy mnie obserwuje. Śmieje się, kiedy osuwam się na kolana i wdycham zapach trawy. To dziwna woń, słodka i nostalgiczna, choć nie posiadam żadnych wspomnień dotyczących trawy. Owady bzyczą między drzewami, a ja kładę Eo na ziemi i całuję ją z otwartymi oczami po raz pierwszy. Drzewa i ich liście kołyszą się łagodnie w powietrzu wypływającym z wentylatorów. Upajam się dźwiękami, zapachami i widokami, gdy kochamy się na łożu z trawy pod sklepieniem z gwiazd.

– To Galaktyka Andromedy – mówi Eo po wszystkim, gdy leżymy na plecach. Z ciemności dobiegają odgłosy wydawane przez jakieś zwierzęta. Niebo nade mną jest przerażające. Jeśli zacznę się w nie wpatrywać zbyt intensywnie, zapomnę o przyciąganiu i będę miał wrażenie, że się zapadam. Dreszcz przebiega mi po plecach. Jestem istotą tuneli, zakamarków i szybów. Kopalnia jest moim domem. Często mnie chce uciec z tego dziwnego pomieszczenia żyjących stworzeń i wielkich przestrzeni.

Eo przekręca się na brzuch, żeby na mnie spojrzeć, i przesuwa palcami po bliznach od oparzeń, pokrywających moją pierś. Niżej na brzuchu odnajduje ślady po ukąszeniu żmii.

– Mama opowiadała mi historie o Andromedzie. Malowała je farbami, które dostała od tamtego Błaszaka, Bridge’a. Zawsze ją lubił.

Gdy tak leżymy razem, Eo bierze głęboki wdech, a ja już wiem, że chce mi o czymś powiedzieć. Że zostawiła coś właśnie na tę chwilę. To miejsce jest kartą przetargową.

– Wszyscy wiemy, że zdobyłeś Laur.

– Nie musisz mnie pocieszać. Nie jestem już zły. To bez znaczenia. Po zobaczeniu tego miejsca nic już nie ma znaczenia.

– Co masz na myśli? – pyta ostrym tonem. – To wszystko liczy się bardziej niż kiedykolwiek. Zdobyłeś Laur, ale oni nie pozwolili ci go wziąć.

– To bez znaczenia. To miejsce...

– Istnieje, ale oni nie pozwalają nam tu przychodzić, Darrow. Szarzy sami z niego korzystają. Nie dzielą się niczym.

– A powinni? – pytam zdezorientowany.

– Powinni, bo my to stworzyliśmy. To nasze!

– Czyżby? – Ta myśl jest mi obca. Wszystko, co posiadam, to moja rodzina i ja sam. Reszta należy do Elity. To nie my wydaliśmy pieniądze, żeby przysłać tu pionierów. Bez nich nadal tkwilibyśmy na umierającej Ziemi, tak jak reszta ludzkości.

– Darrow! Naprawdę jesteś taki Czerwony, że nie dostrzegasz, co oni nam zrobili?

– Uważaj, co mówisz – mówię cierpkim tonem.

Mięśnie jej szczęk napinają się.

– Przepraszam. To dlatego, że... *jesteśmy* zniewoleni, Darrow. Nie jesteśmy kolonistami. No cóż, w pewnym sensie tak, ale bardziej na miejscu wydaje się określenie niewolnicy. Żebrzemy o jedzenie. Żebrzemy o Laury, tak jak psy proszące o resztki ze stołu swojego pana.

– Może ty jesteś niewolnikiem – odpowiadam zgryźliwie – ale nie ja. Ja nie żebrzę. Ja zarabiam.

Jestem Helldiverem. Urodziłem się gotowy do poświęcenia, do przygotowania Marsa dla reszty ludzkości. Jest pewna szlachetność w posłuszeństwie...

Eo unosi dłonie.

– Co z tobą? Gadasz zupełnie jak oni. Twój ojciec miał rację. Może nie był ideałem, ale miał absolutną rację. – Chwyta kępę trawy i wrywa ją. Przypomina to świętokradztwo. – Masz prawo do tej ziemi, Darrow. Ziemi, która spłynęła naszym potem i krwią. Mimo to należy do Żółtych, do Elity. Od jak dawna to trwa? Sto, sto pięćdziesiąt lat, od kiedy pionierzy kopią i umierają? Nasza krew i ich rozkazy. Przygotowujemy ziemię pod zasiedlenie dla Kolorów, które nigdy nie uroniły za nas ani kropli potu, Kolorów, które siedzą wygodnie na swoich tronach na dalekiej Ziemi, Kolorów, które nigdy nie były na Marsie. Czy to jest coś, dla czego warto żyć? Powtórzę to jeszcze raz. Twój ojciec miał rację.

Kręcę głową z powątpiewaniem.

– Eo, mój ojciec zginął, zanim skończył dwadzieścia pięć lat właśnie dlatego, że *miał rację*.

– Twój ojciec był słaby – mamrocze pod nosem.

– Co to, do jasnej cholery, miało znaczyć? – Czuję, jak krew uderza mi do głowy.

– To znaczy, że ograniczało go zbyt wiele rzeczy. Twój ojciec miał właściwe marzenia, ale zginął dlatego, że nie walczył o ich urzeczywistnienie – mówi Eo twardym głosem.

– Miał rodzinę, którą musiał chronić!

– Mimo to nadal był słabszy od ciebie.

– *Ostrożniejszy* – syczę.

– *Ostrożniejszy*? I kto to mówi? *Darrow*, szalony Helldiver z Lykos? – Śmieje się z wyższością. – Twój ojciec urodził się ostrożny i posłuszny. A ty? Nie myślałam tak, gdy wychodziłam za ciebie za mąż. Ludzie mówią, że jesteś jak maszyna, bo wydaje im się, że nie odczuwasz strachu. Są zaślepieni. Nie widzą, jak bardzo strach cię ogranicza.

Wodzi kwiatem *haemanthusa* po moim obojczyku w nagłym przyływie czułości. Jej nastrój zmienia się w ciągu chwili. Kwiat ma ten sam kolor, co ślubna obrączka na jej palcu.

Podpieram się na łokciu, by móc spojrzeć jej w twarz.

– Mów. Czego właściwie chcesz?

– Wiesz, dlaczego cię kocham, Helldiverze?

– Z powodu mojego poczucia humoru.

Wybuchła krótkim, cierpkim śmiechem.

– Dlatego że myślałeś, iż możesz zdobyć Laur. Kieran opowiedział mi, w jaki sposób się oparzyłeś.

Wzdycham.

– To szczur. Zawsze wszystko wypapla. Myślałem, że to młodszy bracia powinni tak robić, nie starsi.

– Kieran się bał, Darrow. Nie o ciebie, jak ci się pewnie zdaje, tylko *ciebie*, bo sam nie potrafi tego, co ty. Nigdy nie przeszłoby mu to przez myśl.

Zawsze mówi w ten swój tajemniczy sposób. Nienawidzę abstrakcyjnych idei, dla których ona żyje.

– Więc kochasz mnie dlatego, że wierzysz, iż myślę, że istnieją rzeczy warte ryzyka? – zgaduję. – Czy dlatego, że jestem ambitny?

– Dlatego że używasz mózgu – odpowiada, drażniąc się ze mną.

– Co mam dla ciebie zrobić, Eo? – pytam ponownie.

– Działać. Chcę, żebyś wykorzystał swój talent do spełnienia marzeń swojego ojca. Wiesz, jak ludzie na ciebie patrzą, jak biorą z ciebie przykład. Chcę, żebyś zrozumiał, że przejęcie władzy nad tą ziemią, naszą ziemią, jest warte ryzyka.

– Jak wielkiego?

– Takiego, które może cię kosztować nawet życie. Moje też.

– Tak bardzo chcesz się mnie pozbyć? – kpię.

– Zaczynaj mówić, a będą cię słuchać – nalega. – To cholernie proste. Wszyscy pragną usłyszeć głos, który poprowadzi ich przez ciemność.

– Jasne, żeby zawisnąć razem z innymi. Zupełnie jak ojciec.

– Nie powieszą cię.

Wybucham nieco zbyt ochryłym śmiechem.

– Ależ mam odważną żonę. Zawisnę, to oczywiste.

– Nie jesteś przeznaczony do bycia męczennikiem. – Wzdychając, kładzie się z powrotem, rozczarowana. – Nie zrozumiałbyś, o co w tym chodzi.

– Och, naprawdę? W takim razie wyjaśnij mi, Eo. Jaki jest sens w umieraniu? Jestem zwykłym synem męczennika. Powiedz mi, co on takiego osiągnął? Co dobrego przychodzi z tego całego *cholernego* smutku? Dlaczego to lepiej, że nauczyłem się tańczyć od wuja zamiast od niego? Czy jego śmierć

sprawiała, że na twoim stole pojawiło się więcej jedzenia? Czy cokolwiek stało się lepsze? Umieranie za sprawę nie zmienia ani jednej cholernej rzeczy, tylko pozbawia nas jego śmiechu. – Czuję łzy napływające do oczu. – Zabrało nam ojca i męża. Co z tego, że życie nie jest sprawiedliwe. Jeśli mamy rodzinę, tylko to powinno się liczyć.

Eo oblizuje usta i nie śpieszy się z odpowiedzią.

– Śmierć nie jest tak pusta, jak o niej mówisz. Pustką jest życie bez wolności, Darrow. Pustka oznacza życie w strachu. W strachu przed utratą, przed śmiercią. Chcę, żebyśmy zerwali wiążące nas pęta strachu. Jeśli to zrobisz, uwolnimy się od Żółtych i Elity. Wyobrażasz to sobie? Mars mógłby należeć do nas. Mógłby należeć do kolonistów, którzy żyli i umierali tu jak niewolnicy. – Jej twarz robi się lepiej widoczna, gdy niebo staje się coraz jaśniejsze. Jest pełna życia, wręcz płonie. – Gdybyś tylko poprowadził innych ku wolności... Pomyśl o rzeczach, których mógłbyś dokonać. Marzeniach, jakie mógłbyś urzeczywistnić. – Milknie na chwilę, a ja widzę błysk w jej oczach. – Mam dreszcze na samą myśl o tym, co mógłbyś zrobić. Otrzymałeś tak wiele, ale mierzysz zbyt nisko.

– Wciąż powtarzasz to samo – mówię zgorzkniałym tonem. – Myślisz, że za marzenia warto umrzeć. Ja myślę, że nie. Mówisz, że lepiej umrzeć, stojąc. Ja uważam, że lepiej żyć na kolanach.

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz! – krzyczy Eo. – Jesteśmy jak nakręcane maszyny z umysłami maszyn i egzystencją godną maszyn...

– I sercami maszyn? – pytam. – Chcesz powiedzieć, że tym właśnie jestem?

– Darrow...

– Dla kogo żyjesz? – pytam niespodziewanie. – Dla mnie? Dla rodziny i miłości? A może jakiegoś snu?

– To nie jest *jakiś* sen. Żyję dla *snu*, w którym moje dzieci urodzą się wolne. Będą, kim tylko zechcą. Będą posiadać na własność ziemię, którą dał im ich *ojciec*.

– Ja żyję dla ciebie – mówię ze smutkiem.

Eo całuje mnie w policzek.

– W takim razie musisz żyć dla czegoś więcej.

Zapada długa, okropna cisza. Eo nie rozumie, jak bardzo te słowa ranią moje serce. Nie kocha mnie tak, jak ja kocham ją. Jej umysł sięga zbyt wysoko. Mój zbyt nisko. Czyżbym nie był dla niej wystarczająco dobry?

– Powiedziałaś, że masz dla mnie drugi prezent – mówię, zmieniając temat.

Eo kręci głową.

– Innym razem. Zaraz wszędzie słońce. Chcę, żebyś to ze mną zobaczył.

Leżymy w milczeniu i patrzymy, jak światło zapala się na niebie, przypominając falę atramentu zrobionego z ognia. Jest niepodobne do niczego, co mógłbym sobie wyśnić. Nie mogę powstrzymać łez zbierających się w kącikach oczu, gdy światło rozlewa się dookoła, odsłaniając wszystkie odcienie zieleni, brązów i żółci. To prawdziwe piękno. To sen.

Milczę, gdy wracamy do szarej rzeczywistości betonowego duktu. Oczy zachodzą mi łzami, gdy wspaniałość tego, co zobaczyłem, blednie. Zastanawiam się, czego chce ode mnie Eo. Żebym wziął broń i wszczął bunt? Zginę. Moja rodzina również. Eo też umrze, a nic nie zmusi mnie do zaryzykowania jej życia. Dobrze to wie.

Zastanawiam się, jaki może być jej drugi prezent, gdy opuszczamy kanał i wracamy do Pajęczarni. Gdy wychodzę pierwszy i wyciągam rękę do Eo, słyszę czyjś głos. Słysząc w nim wyraźny akcent, pochodzi z Ziemi.

– Czerwoni w naszym ogrodzie – cedzi. – Coś takiego.

Rozdział piąty
Pierwsza pieśń

Brzydki Dan stoi przed nami z trójką Blaszaków. Elektryczne pałki trzeszczą w ich dłoniach. Dwójka mężczyzn opiera się o metalowe bariery. Za nimi kobiety z Mu i Upsilon owijają nici jedwabiu produkowane przez owady na długich, srebrnych drążkach. Kręcą natarczywie głowami, jakby chciały powiedzieć, że bym nie był głupi. Przekroczyliśmy granice dozwolonej strefy. Karą za to jest chłosta, ale jeśli będę stawiał opór, skazą mnie na śmierć. Zabiją Eo i mnie.

– Darrow... – szepcze Eo.

Staję między nią a Blaszkami, ale nie podejmuję walki. Nie pozwolę, żebyśmy zginęli z powodu zwykłego gapienia się na gwiazdy. Wyciągam ręce, żeby wiedzieli, że się poddaję.

– Helldiverzy – chichocze Brzydki Dan. – Nawet najsilniejsza mrówka pozostaje tylko mrówką. – Uderza mnie pałką w brzuch. Mam wrażenie, jakbym dostał jednocześnie kopniaka butem i został ukąszony przez żmiję. Łapiąc oddech, upadam na metalową kratę. Prąd razi moje ciało. Czuję żółć podchodzącą do gardła. – Zamachnij się, Helldiverze – grucha Dan. RzUCA mi pod nos jedną z pałek. – Proszę. Zamachnij się. Nie będzie żadnych konsekwencji. Tylko trochę zabawy między nami chłopakami. Weź ten cholerny zamach.

– Zrób to, Darrow! – krzyczy Eo.

Nie jestem głupi. Unoszę dłonie w geście poddania, a Dan wzdycha pełen rozczarowania, zapinając magnetyczne kajdanki wokół moich nadgarstków. Co według Eo miałem niby zrobić? Wyrzuca z siebie stek przekleństw, gdy skuwają ją i wloką nas przez Pajęczarnię do cel. To oznacza chłostę. I tylko chłostę, bo nie posłuchałem Eo i nie podniosłem pałki.

Mijają trzy dni w celi Kotła, zanim pozwalają mi zobaczyć się z Eo. Bridge, jeden ze starych, dobrych Blaszków, wypuszcza nas razem, pozwala się dotykać. Zastanawiam się, czy Eo mnie opluje, czy przeklnie za moją niemoc. Zamiast tego ściska mocno moje palce i całuje mnie w usta.

– Darrow. – Jej wargi muskają moje ucho. Jej oddech jest ciepły, usta spękane i drżące. Jest taka krucha, kiedy mnie ściska – jak mała dziewczynka, chudzielec okryty bladą skórą. Kolana jej się trzęsą. Dygocze w moich objęciach. Ciepło, jakie widziałem w jej twarzy, gdy patrzyliśmy na wschód słońca, zniknęło. Teraz jest zaledwie wyblakłym wspomnieniem. Nie zwracam uwagi na nic innego prócz jej oczu i włosów. Obejmuję ją i słyszę pomruki tłumu, jaki zebrał się na Błoniach. Oczy krewnych i członków klanu wpatrują się w nas, jak stoimy na krawędzi szubienicy, gdzie nas wychłostają. Pod ich spojrzeniami i żółtawymi światłami czuję się jak dziecko.

Mam wrażenie, jakbym śnił, gdy Eo mówi, że mnie kocha. Dotyka dłonią mojej dłoni. W jej oczach jest jednak coś dziwnego. Mają ją tylko wychłostać, a mimo to jej słowa brzmią ostatecznie, a oczy są smutne, nie wystraszone. Domyślam się, że to pożegnanie. Potworny strach ściska mnie za serce. Czuję, jak pełza mi po krzyżu, gdy Eo szepcze mi do ucha:

– Zerwij pęta, ukochany.

Odciągają mnie od niej za włosy. Łzy płyną strumieniami po jej twarzy. Są przeznaczone dla mnie, choć nie rozumiem dlaczego. Nie jestem w stanie myśleć. Świat wiruje dookoła. Tonę. Szorstkie ręce popychają mnie na kolana, a potem podrywają do góry. Nigdy nie słyszałem na Błoniach takiej ciszy. Szuranie stóp moich oprawców odbija się echem, gdy robią ze mną, co chcą.

Blaszki wciskają mnie w mój skafander termiczny. Jego cierpki zapach sprawia, że wydaje mi się, że jestem bezpieczny, że mogę wszystko kontrolować. Nie mogę. Odciągają mnie od Eo na sam środek Błoni i porzucają na brzegu szubienicy. Metalowe schodki są zardzewiałe i poplamione.

Sciskam je dłońmi i spoglądam w górę. Dwudziestu czterech dowódców czeka na mnie na szczycie platformy ze skórzanymi pasami w dłoniach.

– Och, jakże okropna jest ta sytuacja, przyjaciele – zawodzi Podginus. Jego miedziane buty grawitacyjne bucżą nade mną, gdy dryfuje w powietrzu. – Och, jakże więzi, które nas łączą, rozciągają się, gdy ktoś zechce złamać Prawo, które chroni nas wszystkich. Nawet najmłodszy, nawet najlepszy, muszą przestrzegać Prawa. Porządku! Bez nich bylibyśmy jak zwierzęta! Bez posłuszeństwa i dyscypliny nie byłoby kolonistów! A te nieliczne osiedla rozpadłyby się w pył pod wpływem chaosu! Człowiek na zawsze pozostałby na Ziemi. Utknąłby na tej planecie do końca swoich dni. A Porządek, Dyscyplina i Prawo to rzeczy, które wzmacniają naszą rasę. Niech przeklęty będzie ten, który łamie te dogmaty.

Jego przemowa jest bardziej elokwentna niż zwykle. Podginus stara się zaimponować komuś swoją inteligencją. Unoszę wzrok znad schodów i widzę coś, czego nigdy nie spodziewałem się ujrzeć na własne oczy. Patrzenie na niego, na blask bijący z jego włosów i Sigili, aż boli. Widzę Złotego. W tym ponurym miejscu wygląda tak, jak sam wyobrażałbym sobie anioła. Odzianego w złoto i czerń. Owiniętego słońcem. Lwa ryczącego pełną piersią.

Twarz ma starszą, surową i promieniującą czystą mocą. Jego włosy lśnią, zaczesane na tył głowy. Na jego ustach nie ma uśmiechu ani żadnego grymasu, a jedyną linią, jaką widzę, jest blizna przecinająca prawy policzek.

Dowiedziałem się z hologramów, że taką bliznę noszą wyłącznie najwspanialszy ze Złotych. Zwą ich Niezrównanymi Naznaczonymi – to mężczyźni i kobiety sprawującego władzę Koloru, którzy ukończyli Instytut, gdzie poznali sekrety, jakie pewnego dnia pozwolą ludzkości na skolonizowanie wszystkich planet w Układzie Słonecznym.

Nie odzywa się do nas. Mówi do innego Złotego, wysokiego i tak szczupłego, że z początku wzięłem go za kobietę. Pozbawiona blizny twarz mężczyzny jest pokryta dziwną pastą, która podkreśla rumieniec jego policzków i maskuje wszelkie zmarszczki. Jego usta błyszczą, a włosy lśnią w sposób, w jaki nie lśnią włosy jego pana. Widok jest groteskowy. O nas pewnie myśli to samo. Węszy w powietrzu, pełen pogardy. Starszy Złoty przemawia do niego łagodnie, nie zwracając się do nas ani jednym słowem.

Niby czemu miałby to zrobić? Nie jesteśmy warci słów Złotego. Prawie nie chce mi się na niego patrzeć. Mam wrażenie, że brudzę jego piękny złoto-czarny strój swoimi czerwonymi oczami. Czuję wstyd i w tej samej chwili uświadamiam sobie dlaczego.

Znam tę twarz. Każdy mężczyzna i każda kobieta ze wszystkich kolonii ją znają. Obok Octavii au Lune to najślawniejsza twarz na Marsie – twarz Nero au Augustusa. ArcyGubernator Marsa przyszedł obejrzeć moją chłostę i przyprowadził ze sobą orszak. Dwa Kruki, Obsydiani, krążą wokół niego bezszelestnie. Hełmy okrywające ich czaszki pasują do ich Koloru. Ja urodziłem się, żeby pracować w kopalni. Oni urodzili się, żeby zabijać. Są wyżsi ode mnie o ponad dwie stopy. U każdej z masywnych rąk widać po osiem palców. Wyhodowano ich do walki. Samo patrzenie na nich przypomina obserwowanie zimnokrwistych jaskiniowych żmij atakujących nasze kopalnie. Obaj wyglądają jak gady.

Orszak składa się z tuzina innych osób, wliczając w to kolejnego Złotego, który wygląda na czeladnika. Jest jeszcze piękniejszy od ArcyGubernatora i sprawia wrażenie, jakby nie darzył sympatią chudego, zniewieściałego kolegi. Dalej widać zespół kamerzystów Zielonych, którzy w porównaniu z Obsydianami wyglądają jak krasnoludki. Włosy mają ciemne, nie zielone jak ich oczy, i Sigile na dłoniach. W tych oczach błyszczy gorączkowe podniecenie. Nieczęsto zdarza się, że mogą dać innym nauczkę na przykładzie Helldivera, więc robią z tego niezłą szopkę. Zastanawiam się, jak wiele innych górniczych kolonii ogląda transmisję. Skoro jest tu sam ArcyGubernator, to pewnie wszystkie.

Robią przedstawienie ze zdarcia ze mnie skafandra, w który ledwo co mnie ubrali. Widzę siebie na ekranie hologramu, widzę swoją obrączkę dyndającą na sznurku wokół szyi. Wyglądam na młodszego, niż się czuję, chudszego. Ciągną mnie po schodach i kładą na metalowym pudle obok szubienicy, na której zawisł mój ojciec. Dygoczę, gdy rozciągają mnie na zimnej stali, i zaciskam dłonie w kajdanach. Czuję syntetyczną skórę, z której są zrobione baty, słyszę, jak jeden z dowódców kaszle dyskretnie.

– Niech sprawiedliwości stanie się zadość – ogłasza Podginus.

Wtedy spadają baty. Czterdzieści osiem naraz. Nie są tak miękkie, jak ten mojego wujka. Nie mogą. Wgryzają się w moją skórę, wydając z siebie dziwne, świszczące odgłosy, gdy wyginają się łukiem w powietrzu. Muzyka terroru. Ledwie patrzę na oczy, gdy chłosta dobiega końca. Mdleję dwukrotnie i za każdym razem, gdy się budzę, zastanawiam się, czy na ekranie widać już mój kręgosłup.

To przedstawienie, demonstracja ich siły. Pozwalają, żeby Brzydki Dan wykazał się współczuciem, jakby było mu mnie żal. Szepcze słowa pociechy do mojego ucha wystarczająco głośno, by podłapała to kamera. Gdy pada ostatni cios, wkracza na platformę, jakby chciał powstrzymać kolejny. Podświadomie wydaje mi się, że mnie uratował. Jestem wdzięczny. Chcę go ucałować. Jest wybawieniem. Pamiętam jednak o czterdziestu ośmiu batkach.

Odciągają mnie na bok. Zostawiają na miejscu moją krew. Jestem pewien, że krzychałem, że okryłem się hańbą. Słyszę, jak przyprawdzają moją żonę.

– Nawet młodzi i piękni nie są w stanie uciec przed sprawiedliwością. To my utrzymujemy porządek. Bez niego popadlibyśmy w anarchię. Bez posłuszeństwa pojawiłby się chaos! Rodzaj ludzki wyginałby na napromieniowanych pustyniach Ziemi. Piłby wodę z zanieczyszczonych mórz. Jedność musi istnieć. Niech więc sprawiedliwości stanie się zadość.

Słowa Głównego Zarządcy Podginusa brzmią pusto.

Nikommu nie przeszkadza, że jestem pobity i zakrwawiony. Jednak gdy Eo staje na platformie, odzywają się krzyki. Ludzie przeklinają. Nawet teraz jest piękna, mimo iż pozbawili jej oczy światła, które widziałem trzy dni temu. Gdy widzi mnie i pozwala, by łzy napłynęły jej do oczu, jest piękna jak anioł.

I to wszystko dla jednej małej przygody. Dla jednej nocy pod rozgwieżdżonym niebem z mężczyzną, którego kocha. Mimo to zachowuje spokój. Jeśli jest w tym jakiś strach, to tylko we mnie, bo

wyczuwam, że w powietrzu wisi coś niepokojącego. Eo dostaje gęziej skórki, gdy kładą ją na zimnym pudle. Wzdryga się. Żałuję, że moja krew nie ogrzała go lepiej.

Staram się nie patrzeć, gdy chłoszczą Eo. Jednak opuszczenie jej w tym momencie boli bardziej. Oczy żony odnajdują moje. Lśnią jak rubiny, a powieki drgają za każdym razem, gdy spada bat. „Wkrótce będzie po wszystkim, kochany. Niedługo wrócimy do normalnego życia. Padnie ostatni z razów, a potem wszystko będzie jak dawniej”. Tylko czy będzie w stanie znieść ich tak dużo?

– Zakończ to – mówię do Blaszkaka obok mnie. – Zakończ! – błagam. – Zrobię wszystko. Będę posłuszny. Wezmę na siebie jej karę, tylko zakończcie to, wy cholerni dranie!

ArcyGubernator patrzy na mnie z góry, a jego twarz jest złocista, bez porów i całkowicie wyprana z emocji. Jestem tylko jedną z mrówek. Moje poświęcenie robi na nim wrażenie. Okaże litość, jeśli sam się upokorzę, jeśli wezmę na siebie karę w imię miłości. Okaże łaskę. Tak to się zazwyczaj odbywa.

– Wasza Ekscelencjo, oddaj mi jej karę! – skomlę. – Błagam! – krzyczę, bo w oczach żony widzę coś, co mnie przeraża.

Widzę w niej ducha walki, gdy kaleczą jej plecy do krwi. Widzę narastający gniew. Jest powód, dla którego niczego się nie boi.

– *Nie, nie, nie* – błagam ją. – *Nie, Eo. Proszę, nie!*

– Zakneblujcie tę żalostną kreaturę! Jej wrzaski ranią słuch ArcyGubernatora – rozkazuje Podginus. Bridge siłą wciska mi do ust kamień. Krztuszę się i płaczę.

Gdy bat opada po raz trzynasty, a ja mamroczę, żeby tego nie robiła, Eo spogląda w moje oczy po raz ostatni, a potem zaczyna śpiewać. Melodia jest cicha, żałobna, jak pieśń, którą nuca kopalnie, gdy wiatr hula w opuszczonych szybach. To pieśń śmierci i lamentu, pieśń, która jest zakazana. Słyszałem ją wcześniej tylko raz.

I za tę pieśń ją zabijają.

Głos Eo jest łagodny i prawdziwy, lecz nie tak piękny, jak ona. Odbija się echem od Błoni, rozbrzmiewając niczym nieziemskie wołanie syreny. Chłosta zostaje przerwana. Dowódcy drżą. Nawet Blaszkaki kiwają smutno głowami, gdy rozpoznają słowa. Niewielu ludzi lubi patrzeć, jak ginie piękno.

Podginus spogląda zażenowany na ArcyGubernatora Augustusa, który schodzi na dół w swoich złotych butach, by popatrzeć z bliska. Jego lśniące włosy połyskują nad szlachetnie sklepionym czołem. W wysokich kościach policzkowych odbija się światło. Jego złote oczy obserwują moją żonę z taką uwagą, jakby była robakiem, któremu nagle wyrosły motyle skrzydła. Blizna na policzku wygina się, gdy odzywa się głosem ociekającym władzą.

– Niech śpiewa – mówi do Podginusa, nie próbując nawet ukryć fascynacji.

– Ależ, mój panie...

– Żadne zwierzę prócz człowieka nie rzuca się dobrowolnie w ogień, Miedziany. Rozkoszuj się widokiem. Więcej go nie zobaczysz. – Odwraca się do swojej ekipy filmującej. – Kontynuujcie nagrywanie. Zmienimy to, co uznamy za niemożliwe do zaakceptowania.

Jak bardzo jego słowa czynią jej ofiarę daremną...

Mimo to Eo jeszcze nigdy nie była dla mnie piękniejsza niż w tamtej chwili. W obliczu zimnej, bezdusznej władzy jest prawdziwym ogniem. To dziewczyna, która tańczyła w zadymionej tawernie z burzą rudych loków. To ona uplotła mi obrączkę ze swoich włosów. To ta dziewczyna woli umrzeć za żałobną pieśń.

Ukochany, ukochany,

Pamiętasz ten krzyk,

Gdy zima ustąpiła wiosnie?

On rośnie, on rośnie.

A my wzięliśmy swoje ziarno

I stworzyliśmy pieśń

Przeciwko ich chciwości.

Na dnie doliny

Usłysz kosi świst, kosi świst.

Na dnie doliny

Ustysz żniwiarza śpiew

I pieśń o końcu zimy.

Synu mój, synu mój,

Pamiętaj niewolę,

Gdy Złoci rządzą żelazną ręką.

Krzyczeliśmy, krzyczeliśmy,

Wołając o swoje,

Wołając o lepsze sny.

Gdy jej głos w końcu wybrzmiewa, a słowa się kończą, wiem już, że ją straciłem. Staje się czymś ważniejszym. Miała rację. Niczego nie rozumiem.

– Ciekawa piosenka. Czy to już wszystko, na co cię stać? – pyta ArcyGubernator. Patrzy na nią, lecz mówi głośno do tłumu, do tych, którzy będą to oglądać w innych koloniach. Jego świta śmieje się z broni Eo, jaką jest jej pieśń. Czymże jest pieśń, jeśli nie nutami zawieszonymi w powietrzu? Równie bezużyteczna, jak wypalona zapałka w buncie przeciwko jego władzy. Zawstydza nas. – Czy któryś z was chce do niej dołączyć? Proszę, odważni Czerwoni z... – patrzy na swojego asystenta, który bezgłośnie podpowiada mu nazwę – z Lykos, dołączcie do niej, jeśli chcecie.

Ledwie oddycham z powodu kamienia w ustach. Szczerbi mi zęby. Łzy spływają strumieniami po twarzy. Z tłumu nie odzywa się żaden głos. Widzę, jak moja matka drży z wściekłości. Kieran

przyciska do siebie żonę. Narol wbija wzrok w ziemię. Loran szlocha. Są tu wszyscy, wszyscy milczą. Wszyscy się boją.

– Niestety, Wasza Ekscelencjo, dziewczyna jest osamotniona w swoim szaleństwie – ogłasza Podginus. Eo patrzy wyłącznie na mnie. – To czyni z niej odmieńca i wyrzutka. Kontynuujemy?

– Tak – mówi ArcyGubernator z roztargnieniem. – Mam spotkanie z Arcosem. Powieście tę rudą sukę, zanim znów zacznie wyć.

Więcej na: www.ebook4all.pl

Rozdział szósty
Męczennik

Z powodu Eo nie reaguję. Jestem wcielonym gniewem. Nienawiścią. Wszystkim. Mimo to wytrzymuję jej spojrzenie, gdy ściągają ją z pudła i zakładają pętlę na szyję. Patrzę na Bridge'a, który w milczeniu wyjmuję knebel z moich ust. Moje zęby już nigdy nie będą takie jak dawniej. Oczy Blasząka zachodzą łzami. Zostawiam go i idę jak otępiały, potykając się co i rusz, do stóp szubienicy, żeby Eo mogła mnie widzieć w chwili śmierci. To jej wybór. Zostanę z nią aż do końca. Dłonie mi się trzęsą. W tłumie za moimi plecami słysząc płacz.

– Twoje ostatnie słowa. Komu je przekażesz, nim sprawiedliwość cię dosięgnie? – pyta Podginus. Ocieka współczuciem na użytek kamer.

Jestem gotowy na to, że wypowie moje imię, ale nie robi tego. Nie spuszcza ze mnie wzroku, ale

wywołuje z tłumu swoją siostrę.

– Dio.

Słowo drży w powietrzu. Jest wystraszona. Nie reaguję, gdy Dio wspina się po schodach szubienicy. Nie rozumiem tego, ale nie będę zazdrosny. Tu nie chodzi o mnie. Kocham Eo. A ona podjęła już decyzję. Nie rozumiem, ale nie pozwolę, by umarła, nie wiedząc o mojej miłości.

Brzydki Dan pomaga Dio wspiąć się na szubienicę. Jest oszołomiona i nieprzytomna, gdy przysuwa się do siostry. Cokolwiek powiedziała Eo, nie usłyszałem, ale z ust Dio wrywa się jęk, który będzie mnie prześladował przez wieczność. Spogląda na mnie, szlochając. Co takiego powiedziała jej moja żona? Kobiety płaczą. Mężczyźni ocierają oczy. Żeby odciągnąć Dio na bok, muszą ją ogłuszyć, ale mimo to czepia się stóp siostry, lamentując. ArcyGubernator kiwa głową, choć ani przez moment nie wydaje się zainteresowany tym, że Eo, podobnie jak mój ojciec, zostanie powieszona.

– Żyj dla czegoś więcej – mówi moja żona bezgłośnie. Sięga do kieszeni i wyciąga haemanthusa, którego jej podarowałem. Kwiat jest zupełnie zgnieciony. Eo krzyczy na całe gardło do tłumu: – Zerwijcie pęta!

Zapadnia pod jej stopami otwiera się. Eo spada, a przez jedną sekundę jej włosy zastygają zawieszony w powietrzu jak czerwony kwiat. Wierzga stopami i spada. Dławi się. Otwiera szeroko oczy. Gdybym tylko mógł ją przed tym uratować... Ale świat jest dla mnie zimny i niełaskawy. Nie robi tego, co mu każę. Jestem słaby. Patrzę, jak moja żona umiera, a haemanthus wypada jej z ręki. Kamera nagrywa wszystko. Pędzę przed siebie, by ucałować jej kostkę. Tulę do siebie jej nogi. Nie pozwolę, żeby cierpiała.

Na Marsie nie ma zbyt dużej grawitacji, więc trzeba pociągnąć za stopy, by złamać kark. Pozwalają, żeby zrobili to członkowie rodziny.

Wkrótce nie słyhać już żadnego dźwięku, nawet skrzypienia liny.

Moja żona jest zbyt lekka.

Była młodą dziewczyną, prawie dzieckiem.

Chwilę później słyhać Pieśń Żałobną. Pięści uderzające w klatki piersiowe. Tysiące pięści. Uderzają szybko, jak gwałtownie bijące serce. Potem wolniej. Jedno uderzenie na sekundę. Jedno na pięć. Jedno na dziesięć. A potem cisza. Tłum żałobników rozprasza się jak pył, a w starych tunelach wyje wiatr.

Złoci odlatują.

Loran, ojciec Eo i Kieran siedzą pod moimi drzwiami przez całą noc. Mówią, że przyszli dotrzymać mi towarzystwa. Tak naprawdę są tu po to, żeby mnie pilnować i upewnić się, że nie umrę. A ja chcę umrzeć. Matka bandażuje moją ranę jedwabiem, który moja siostra Leanna ukradła z Pajęczarni.

– Utrzymuj biopolimer w suchości, to nie zostanie ci blizna.

Czym w tej sytuacji są blizny? Nie mają żadnego znaczenia. Eo już ich nie zobaczy, więc co mnie to obchodzi? Nie przesunie dłonią po moich plecach, już nigdy nie ucałuje moich ran.

Eo odeszła.

Leżę w naszym łóżku na plecach, żeby czuć ból i zapomnieć o żonie. Nie jestem w stanie. Eo wisi na szubienicy nawet teraz. Rankiem minę jej ciało w drodze do kopalni. Wkrótce zaczną cuchnąć i gnić. Moja piękna żona płonęła ogniem zbyt jasnym, by żyć. Nadal czuję kręgi jej szyi pękające w moich dłoniach, które nie przestają drżeć.

W sypialni jest ukryty tunel, który wydrążyłem, by móc się wymykać, gdy byłem dzieckiem. Korzystam z niego teraz. Opuszczam potajemnie dom tak, żeby krewni nie widzieli.

W osiedlu panuje cisza, nie licząc ekranu hologramu. Zamierzali pokazać bezsensowność czyjegoś nieposłuszeństwa i częściowo im się udało, ale na nagraniu widać coś jeszcze. Pokazują moją i Eo chłostę, cały czas grając jej pieśń. W momencie, w którym umiera, puszcza ją ponownie, co zdaje się nadawać filmowi złe wrażenie. Nawet gdyby nie była moją żoną, widzę w niej męczennika. Cudowną pieśń młodej dziewczyny uciszoną sznurem przez okrutnych ludzi.

Nagle ekran miga na czarno przez kilka chwil. Nigdy wcześniej tego nie robił. Sekundę później pojawia się Octavia au Lune razem ze swoim starym przesłaniem. Wygląda to niemal tak, jakby ktoś włamał się do sieci, bo znów pokazują materiał o mojej żonie.

– Zerwijcie pęta! – krzyczy. Potem znika, a ekran robi się czarny. Trzeszczy chwilę. Obraz powraca. Eo znów wykrzykuje słowa. Znowu czarno. Powraca standardowy przekaz, aż wreszcie pokazują, jak krzyczy po raz ostatni, a potem widać mnie ciągnącego ją za nogi. I znów zakłócenia.

Ulice są pogrążone w ciszy, gdy idę przez Błonia. Niedługo wróci nocna zmiana. Nagle słyszę jakiś dźwięk, a na ulicę przede mną wychodzi mężczyzna. Wuj Narol przypatruje mi się z twarzą ukrytą w cieniu. Nad jego głową wisi pojedyncza żarówka, oświetlając butelkę w dłoni i znoszoną czerwoną koszulę.

– Jesteś taki sam jak ojciec, mały draniu. Głupi i próżny.

Zaciskam dłonie w pięści.

– Przyszedłeś mnie powstrzymać, wujku?

Narol burczy pod nosem.

– Nie mogłem powstrzymać twojego ojca od zabicia się. Był lepszym człowiekiem od ciebie. Bardziej opanowanym.

Robię krok naprzód.

– Nie potrzebuję twojego pozwolenia.

– Jasne, że nie, ty mały zasańcu. – Przeczesał dłoń włosy. – Ale nie rób tego, co zamierzasz. Twoja matka całkiem się załamie. Pewnie myślisz sobie, że nie wie o tym, jak się wymknął. Otóż wie. Sama mi powiedziała. Powiedziała, że umrzesz jak mój brat. Jak twoja żona.

– Gdyby matka wiedziała, powstrzymałaby mnie.

– Nie. Pozwala nam, mężczyznom, popełniać nasze własne błędy. Ale to nie jest coś, czego chciałaby dla ciebie twoja kobieta.

Celuję palcem w wuja.

– O niczym nie wiesz. Nie masz zielonego pojęcia, czego chciała.

– Eo powiedziała, że nie rozumiem idei bycia męczennikiem. Pokażę jej, że się myliła.

– Dobrze więc – mówi, wzruszając ramionami. – Pójdę z tobą, skoro masz łeb pełen kamieni zamiast rozumu. – Chichocze. – My, Lambdy, kochamy stryczki.

Rzuca mi swoją butelkę, a ja idę niepewnym krokiem obok niego.

– Próbowałem odciągnąć twojego ojca od pomysłu z tym małym protestem. Powiedziałem mu, że słowa i taniec znaczą tyle samo co kurz. Próbowałem go naprostować, ale spieprzyłem sprawę. Kompletnie mnie zignorował. Przychodzi taki moment w życiu, kiedy wiesz, że człowiek podjął pewną decyzję i zniewagą jest to kwestionować.

Upijam łyk z butelki i oddaję mu ją. Piwo smakuje inaczej i mocniej niż zazwyczaj. Dziwne. Wuj zmusza mnie do opróżnienia całej butelki.

– A ty podjąłeś już swoją? – pyta, klepiąc się po głowie. – Oczywiście, że tak. Zapomniałem już, że to ja nauczyłem cię tańczyć.

– Uparty jak żmija, tak chciałeś powiedzieć? – mówię przyciszonym głosem, pozwalając sobie na nikły uśmiech.

Przez moment idziemy w ciszy. Wujek kładzie dłoń na moim ramieniu. Czuję, że szloch chce się wyrwać z mojej piersi. Tłumię go.

– Zostawiła mnie – szepczę. – Po prostu odeszła.

– Widocznie miała powód. Nie była głupia.

Łzy płyną mi z oczu, gdy wchodzę na Błonia. Wujek obejmuje mnie jednym ramieniem i całuje w czubek głowy. To wszystko, co jest mi w stanie zaoferować. Nie został stworzony do czułości. Twarz ma upiornie bladą. Trzydzieści pięć lat, a wygląda na starego, zmęczonego życiem. Blizna przecina jego górną wargę. We włosach widać pasma siwizny.

– Pozdrów ich ode mnie w dolinie – mówi mi do ucha, drapiąc mnie brodą w szyję. – Wnieś toast

z moimi braćmi i ucałuj moją żonę, a zwłaszcza Tancerza.

– Tancerza?

– Poznasz go. Jeśli zobaczysz dziadka i babcię, powiedz, że nadal dla nich tańczymy. Nie pozostaną długo sami. – Odchodzi, a potem zatrzymuje się i mówi bez odwracania: – Zerwij pęta, słyszysz?

– Słyszę.

Zostawia mnie na Błoniach z moją kołyszącą się na linie żoną. Wiem, że kamery obserwują mnie, gdy podchodzę do szubienicy. Jest metalowa, więc schody nie trzeszczą. Eo wisi jak lalka. Twarz ma białą jak kreda, a jej włosy poruszają się lekko w podmuchach powietrza z wentylatorów.

Przecinam linę zakrzywionym slingiem, który ukradłem z kopalni, chwytam przypalony koniec i delikatnie opuszczam w dół jej ciało. Biorę żonę w ramiona i razem opuszczamy plac, zmierzając w stronę Pajęczarni. Nocna zmiana wypracowuje ostatnie godziny. Kobiety patrzą w milczeniu, gdy niosę Eo do szybu wentylacyjnego. Widzę Leannę, swoją siostrę. Wysoka i cicha jak moja matka, obserwuje mnie twardym wzrokiem, ale nie robi nic, tak jak pozostałe kobiety. Nie zdradzą miejsca pochówku mojej żony. Nie zdradzą niczego, nawet za czekoladę przyznawaną szpiegom. W ciągu trzech pokoleń tylko pięć osób zostało pochowanych.

To ostateczny akt miłości. Milczące requiem dla Eo.

Kobiety zaczynają płakać. Gdy mijam je po drodze, wyciągają dłonie i dotykają twarzy Eo i mojej, i pomagają otworzyć szyb. Wciągam żonę przez niewielki metalowy otwór, zabierając ją do miejsca, w którym kochaliśmy się pod gwiazdami, gdzie opowiedziała mi o swoich marzeniach, a ja nie słuchałem. Trzymam jej bezwładne ciało i mam nadzieję, że jej dusza widzi mnie w miejscu, w którym byliśmy szczęśliwi.

Wykopuję dziurę w pobliżu pnia drzewa. Moje dłonie, pokryte ziemią naszej krainy, są czerwone jak jej włosy, gdy ujmuję jej dłoń i całuję ślubną obrączkę. Kładę zewnętrzną część haemanthusa na piersi nad sercem, a wewnętrzną chowam blisko swojego. Składam pocałunek na jej ustach i zasypuję ciało ziemią. Zaczynam szlochać, nim udaje mi się skończyć. Odkrywam twarz Eo i całuję ją ponownie, trzymając w ramionach tak długo, aż widzę wschód czerwonego słońca przez sztuczny dach. Kolory tego miejsca ranią moje oczy. Nie mogę powstrzymać łez. Gdy się odsuwam, widzę swoją opaskę wystającą z jej kieszeni. Zrobiła ją dla mnie, żeby wsiąkał w nią pot. Teraz ocieram nią łzy i zabieram ze sobą.

Kieran uderza mnie w twarz, gdy tylko wracam do osiedla. Loran nie jest w stanie wykrztusić z siebie ani słowa, podczas gdy ojciec Eo garbi się przy ścianie. Myślą, że mnie zawiedli. Słyszę lament matki Eo. Moja matka nie mówi nic, przygotowując dla mnie posiłek. Nie czuję się dobrze. Trudno mi oddychać. Leanna zjawia się chwilę później i pomaga jej, całując mnie w głowę, gdy jem. Przenoszę jedzenie z talerza do ust jedną ręką. Moja matka trzyma drugą w swoich pokrytych zgrubieniami dłoniach. Wpatruje się w nią zamiast we mnie, jakby chciała sobie przypomnieć czasy, kiedy rączka była mała i miękka, a teraz dziwiła się, jakim cudem stała się tak twarda.

Kończę posiłek w momencie, w którym nadchodzi Brzydki Dan. Matka nie wstaje od stołu, gdy wyciągają mnie z domu. Oczy ma utkwione w miejscu, gdzie leżała moja dłoń. Pewnie wierzy, że jeśli nie podniesie wzroku, to wszystko nigdy się nie zdarzy. Nawet ona nie jest w stanie znieść więcej.

Wieszają mnie przed pełnym zgromadzeniem o dziewiątej rano. Z jakiegoś powodu mam zawroty głowy. Moje serce bije dziwnie wolno. Słyszę echo słów ArcyGubernatora do mojej żony.

„Tylko na to cię stać?”

Moi pobratymcy śpiewają, tańczą, kochają. W tym tkwi nasza siła. Ale pracujemy też w kopalniach. A potem umieramy. Rzadko udaje nam się wybrać przyczynę śmierci. Ten wybór to siła. Ten wybór był naszą jedyną bronią. Ale to za mało.

Każą mi wymówić ostatnie słowa. Wzywam do siebie Dio. Oczy ma przekrwione i zapuchnięte. Jest taka krucha, zupełnie niepodobna do siostry.

– Jakie były ostatnie słowa Eo? – pytam, a moje usta poruszają się dziwnie wolno.

Dio zerka na matkę, która w końcu wyszła z domu, ale kręci przecząco głową. Jest coś, czego mi nie mówią. Coś, o czym nie chcą, żebym wiedział. Tajemnica, którą nie chcą się podzielić nawet wtedy, gdy mam umrzeć.

– Powiedziała, że cię kocha.

Nie wierzę jej, ale uśmiecham się i całuję ją w czoło. Nie jest w stanie znieść następnych pytań. A mnie kręci się w głowie.

– Przekażę jej twoje pozdrowienia – mówię z trudem.

Nie śpiewam. Jestem stworzony do innych rzeczy.

Moja śmierć jest bezsensowna. To miłość.

Eo miała rację. Nie rozumiem tego. To nie jest zwycięstwo. To egoizm. Powiedziała, żebym żył dla czegoś więcej. Chciała, żebym walczył. I oto jestem, umieram pomimo jej pragnień. Poddałem się z powodu bólu.

Panikuję tak samo, jak wszyscy samobójcy, gdy uświadamiają sobie swoją głupotę.

Za późno.

Czuję otwierającą się pod stopami zapadnię. Moje ciało szybuje w dół. Lina zdiera mi skórę na szyi. Mój kręgosłup trzeszczy. Igły bólu przeszywają lędźwie. Kieran podbiega do mnie na chwiejnych nogach. Narol odpycha go na bok. Puszczając oko, dotyka moich stóp i ciągnie.

Mam tylko nadzieję, że mnie nie pochowają.

CZEŚĆ DRUGA
ODRODZONY

Istnieje święto, podczas którego nosimy maski demonów, by chronić naszych zmarłych w dolinie przed złymi duchami. Czasami ponosimy klęskę.

Rozdział siódmy

Inne sprawy

Nie widzę Eo po śmierci. Mój lud wierzy, że spotykamy naszych bliskich, gdy umieramy. Czekają na nas w zielonej dolinie, gdzie unosi się dym z drewna i zapach gulaszu. To Poczekalnia. Bezpieczeństwa doliny pilnuje Starzec. Stoi z naszymi krewnymi i czeka na nas przy wyłożonej kamieniami drodze, obok pastwiska, na którym wypasa owce. Mówią, że mgła w tym miejscu jest świeża, kwiaty pachną słodko, a ci, którzy zostali pogrzebani, przechodzą kamienną drogę o wiele szybciej.

Nie widzę jednak swojej ukochanej. Nie widzę doliny. Nie widzę nic prócz widmowych świateł w ciemności. Czuję ucisk i wiem, tak jak każdy górnik, że leżę zakopany pod ziemią. Z mojego gardła wyrывa się bezgłośny wrzask. Ziemia wpada mi do ust. Ogarnia mnie panika. Nie mogę oddychać, nie mogę się poruszać. Ziemia obejmuje mnie, aż w końcu wygrzebuję się z dołu gołymi rękami, czuję powietrze, wdycham je, kaszlę i wypluwam ziemię.

Dojście do siebie zajmuje mi kilka chwil. Znalazłem się w opuszczonej kopalni, w starym tunelu,

który nadal jest podłączony do szybu wentylacyjnego. Pachnie ziemią. Pojedyncza flara płonie obok mojego grobu, rzucając na ściany dziwaczne cienie. Razi mnie w oczy zupełnie jak słońce, które weszło nad mogiłą Eo.

Nie umarłem. Uświadomienie sobie tego faktu zajmuje mi sporo czasu. Wokół szyi mam krwawą pręgę od liny. Kręgosłup boli mnie tak bardzo, że rozglądając się na boki, muszę obracać całą górną połowę ciała. A w podłużnych ranach na moich plecach jest pełno ziemi.

Mimo to nie umarłem.

Wujek Narol nie pociągnął wystarczająco mocno za stopy. Blaszkaci powinni byli to sprawdzić. Chyba że im się nie chciało. Nie mam powodu tak myśleć, ale coś nie daje mi spokoju. Byłem zbyt słaby, gdy szedłem w stronę szubienicy. Nawet teraz czuję to w żyłach, ten letarg, w jaki mogłem zapaść tylko po środkach odurzających. Narol to zrobił. Uśpił mnie. Zakopał. Tylko po co? I jakim cudem udało mu się uniknąć złapania, gdy ściągał moje ciało?

Gdy z ciemności daje się słyszeć niski pomruk, wiem, że zaraz poznam odpowiedzi. Wózek podobny do metalowego chrząszcza toczy się środkiem tunelu. Jego przednia krata syczy, wydmuchując parę. Zatrzymuje się tuż przede mną. Osiemnaście reflektorów razi mnie w oczy. Jakieś kształty wysiadają po bokach, przecinając snopy światła. Jestem zbyt oszołomiony, żeby stawiać opór. Ich dłonie są pokryte zgrubieniami jak u górników, a twarze zakryte maskami demonów noszonymi podczas święta Nocy Październikowej. Mimo to prowadzą mnie delikatnie, wskazując kierunek, zamiast wciskać mnie na siłę do wjazdu.

Światło żarówki w środku jest czerwone i krwawe. Siedzę na zniszczonym, metalowym krześle naprzeciwko dwóch osób, które zabrały mnie z grobu. Maski kobiety jest kredowobiała i ozdobiona rogami jak u demona. Jej ciemne oczy połyskują w otworach. Obok niej siedzi wystraszony chłopak. Jest smukły, milczący i najwidoczniej się mnie boi. Jego szczerząca kły nietoperza maska nie jest w stanie ukryć nieśmiałych spojrzeń ani sposobu, w jaki chowa dłonie – to cecha charakterystyczna bojących się ludzi, co zawsze twierdził wujek Narol, gdy uczył mnie tańczyć.

– Jesteście Synami Aresa, prawda? – strzelam.

Słabeusz wzdyga się, a kobieta obrzuca mnie kpiącym spojrzeniem.

– A ty jesteś Łazarz – mówi. Głos ma zimny i nieśpieszny.

– Jestem Darrow.

– Och, dobrze wiemy, kim jesteś.

– Nic mu nie mów, Harmony! – bełkocze słabeusz. – Tancerz zabronił nam z nim rozmawiać, dopóki nie dotrzemy do domu.

– Dzięki za przypomnienie, *Ralph*. – Harmony wzdycha, patrząc na chłopaka, i kręci głową.

Kolejna zamaskowana postać prowadzi pojazd przez opuszczone tunele. Wnętrze trzęsie się

i grzechocze, gdy jedziemy po wybojach. Po uświadomieniu sobie swojego błędu słabeusz wierci się niespokojnie na siedzeniu, ale ja przestałem zwracać na niego uwagę. To kobieta jest dowódcą. W odróżnieniu od niego jej maska jest cyfrowa. Zmienia wygląd i z łatwością mogłaby udawać twarz kobiety albo mężczyzny. Wymyślna rzecz. Na początku skojarzyła mi się z opowieścią o bladych demonach, którą kiedyś słyszałem. Demonach w głębokich, zapomnianych tunelach Marsa. Teraz już jednak maska wygląda jak jedna z twarzy starej wiedzmy z upadłych ziemskich miast, które robiły zupę ze szpiku małych dzieci.

– Wyglądasz okropnie. – Harmony dotyka mojej szyi. Łapię ją za rękę i ściskam. Jej kości są kruche jak plastik w moich dłoniach Helldivera. Słabeusz sięga po elektryczną pałkę, ale Harmony każe mu się uspokoić.

– Dlaczego nie jestem martwy? – pytam. Po powieszeniu mój głos przypomina żwir sypiący się po metalu.

– Dlatego że Ares ma dla ciebie misję, mały Helldiverze.

Krzywi się, gdy ściskam jej dłoń.

– Ares... – Wracam wspomnieniami do zamachów bombowych, rozerwanych ciał, chaosu. Ares. Wiem, jaką misję będzie chciał mi zlecić. Jestem zbyt ośpiąły, żeby wiedzieć, co mu odpowiem, kiedy zapyta. Myślami jestem przy Eo, nie przy tym życiu. Stałem się pustą skorupą. Dlaczego nie pozwolili mi zostać w grobie?

– Czy mógłbyś, z łaski swojej, zwrócić mi dłoń? – pyta Harmony.

– Jeśli zdejmiecie maski. W przeciwnym razie ją zatrzymam.

Wybucho śmiechem i zrywa maskę. Jej twarz jest jak dzień i noc – prawa strona to poszarpana masa pofałdowanej skóry, przecinająca policzek licznymi, gładkimi bliznami. Ślad po oparzeniu. Znajomy widok, lecz nie w przypadku kobiety. Kobieta w zespole górników to wielka rzadkość.

Druga część, nietknięta przez oparzenie, zaskakuje. Jest piękna, piękniejsza nawet od Eo. Mięka, kremowa jak mleko skóra, kości wyraziste i delikatne. Mimo to sprawia wrażenie strasznie zimnej, wściekłej i okrutnej. Dolne zęby ma nierówne, a paznokcie w kiepskim stanie. W obu butach nosi ukryte noże. Widziałem ruch, jaki uczyniła wolną ręką, kiedy chwyciłem jej dłoń.

Słabeusz, Ralph, jest niewiarygodnie brzydki – mroczna, toporna twarz, zęby krzywe i brudne jak kabiny w Oczyszczalni. Wygląda przez okno, gdy toczymy się przez opuszczone tunele, aż w końcu docieramy do oświetlonych, wyłożonych płytami dróg przeznaczonych do szybkiej jazdy. Nie znam tych Czerwonych i choć mają Czerwone Sigile na dłoniach, nie ufam żadnemu z nich. Nie należą do Lambd z Lykos. Równie dobrze mogą być Srebrnymi.

Po jakimś czasie dostrzegam kolejne pojazdy i wózki. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, ale martwi mnie to mniej niż rosnący w piersi smutek. Im dalej jedziemy i im więcej czasu poświęcam na rozmyślanie, tym ból staje się gorszy. Obracam w palcach ślubną obrączkę. Eo w dalszym ciągu jest

martwa. Nie czeka na mnie na końcu tej przejażdżki. Dlaczego przeżyłem, skoro jej się nie udało? Dlaczego tak mocno pociągnąłem ją za nogi? Czy ona również mogłaby żyć? Zamiast trzewi mam czarną dziurę. Potworny ciężar uciska mi pierś. Marzę o tym, by wyskoczyć i rzucić się pod koła najbliższego pojazdu. Śmierć jest łatwa, gdy już raz próbowało się ją znaleźć. Nie skaczę jednak. Siedzę dalej z Harmony i Ralphem. Eo wymagała ode mnie więcej. Umarła po to, żebym mógł być kimś więcej niż kolejnym męczennikiem, a potem to ja zabiłem siebie. A przynajmniej próbowałem. Wstyd zżera mnie od środka. Ściskam w dłoni czerwoną opaskę.

Droga rozszerza się, gdy docieramy do punktu granicznego obsługiwanego przez brudnych Blaszków w znoszonych zbrojach. Elektryczna brama nie jest nawet podłączona do prądu. Przepuszczają wózek przed nami po skanowaniu boku pojazdu. Nadchodzi nasza kolej i to ja zaczynam wiercić się niespokojnie na swoim siedzeniu razem z Ralphem. Harmony chichocze pogardliwie, gdy siwowłosey Blaszak skanuje bok wózka i pozwala nam przejechać przez bramę.

– Zdobyliśmy hasło. Ci niewolnicy nie mają za grosz rozumu. Podziemne Blaszkaki to idioci. To elity Szarych i tych potworów, Obsydianów, trzeba się bać najbardziej. Nie marnują jednak czasu tutaj, na dole.

Próbuję sobie wmówić, że to nie jest jedna ze sztuczek Złotych, że Harmony i Ralph nie są wrogami, gdy skręcamy z głównego tunelu w boczny zaułek prowadzący do magazynów nie większych od samych Błoni. Ostre, siarkowe światła zwisają z uchwytych. Połowa żarówek jest wypalona. Jedna mruga bez przerwy nad garażem blisko magazynu oznaczonego dziwnym symbolem. Kierujemy się w jego stronę. Drzwi zamykają się, a Harmony każe mi wysiąść.

– Nie ma to jak w domu – mówi. – Najwyższy czas, żebyś poznał Tancerza.

Rozdział ósmy
Tancerz

Tancerz przeszywa mnie wzrokiem na wylot. Jesteśmy prawie tego samego wzrostu, rzadko spotykam takich ludzi. Jest nabity i strasznie stary, być może po czterdziestce. Jego skronie przetykają pasma siwizny. Na szyi ma tuzin bliźniaczych blizn. Widziałem takie kiedyś. Ślady po ukąszeniach jaskiniowych żmij. Lewa ręka zwisa bezwładnie. Uszkodzenie nerwów. Jego oczy sprawiają, że nieruchomieję. Są jaśniejsze niż u większości i wirują w nich prawdziwe czerwone wzory. Ma ojcowski uśmiech.

– Pewnie się zastanawiasz, kim jesteśmy – odzywa się. Jest wielki, ale głos ma łagodny, przyjazny. Towarzyszy mu ósemka Czerwonych, sami mężczyźni, nie licząc Harmony. Wpatrują się w niego z uwielbieniem. To górnicy z silnymi, pokrytymi bliznami dłońmi naszego gatunku. Poruszają się z wdziękiem charakterystycznym dla naszych ludzi. Część z nich była skoczkami i chwaliپیętami, jak nazywaliśmy tych, którzy biegali wzdłuż murów i tańczyli. Był tu może choć jeden Helldiver?

– On się nie zastanawia. – Harmony nie śpieszy się z odpowiedzią. Ścisną Tancerza za dłoń, spoglądając na mnie. – Cholerny pajac domyślił się tego godzinę temu.

– Ach. – Tancerz uśmiecha się do niej łagodnie. – Oczywiście, że tak. Gdyby był głupi, Ares nie poprosiłby nas, żebyśmy ryzykowali ściągnięcie go tutaj. Wiesz, gdzie on jest, Darrow?

– To bez znaczenia – mamroczę. Patrzę na ściany, na ludzi, kołyszące się światła. Wszystko jest takie zimne, brudne. – Liczy się tylko to... – Nie udaje mi się dokończyć zdania. Myśl o Eo sprawia, że łamię mi się głos. – Liczy się tylko to, czego ode mnie chcecie.

– Tak, to się liczy – mówi Tancerz. Dotyka mojego ramienia. – Ale to może poczekać. Jestem zaskoczony, że w ogóle stoisz. Rany na twoich plecach są brudne. Potrzebujesz środka antybakteryjnego i nowego naskórka, żeby nie dopuścić do powstania blizn.

– Blizny nie mają znaczenia – mówię. Gapię się na dwie krople krwi skapujące z mojej koszuli na podłogę. Rany otworzyły się, gdy uwolniłem się z grobu. – Eo... nie żyje, prawda?

– Zgadza się. Nie żyje. Nie mogliśmy jej uratować, Darrow.

– Dlaczego nie? – pytam.

– Po prostu nie mogliśmy.

– Dlaczego? – pytam jeszcze raz. Obrzucam morderczym spojrzeniem jego i jego ludzi, cedząc po kolei słowa. – Uratowałeś mnie. Mogłeś ją ocalić. To jej powinieneś chcieć. Cholernego męczennika. Zależało jej na tym. A może Ares potrzebuje jedynie Synów, a nie Córek?

– Męczenników mamy na pęczki – ziewa Harmony.

Rzucam się naprzód jak wąż i łapię ją za gardło. Fale wściekłości przetaczają się przez moją twarz,

która w końcu drętwieje, a ja czuję łyzy napływające do oczu. Buczenie miotaczy otacza mnie ze wszystkich stron. Jeden z nich wbija się w mój kark. Czuję na skórze jego zimny koniec.

– Puść ją! – krzyczy ktoś. – Natychmiast!

Pluję na nich, potrząsam Harmony ostatni raz i rzucam ją na bok. Ląduje na podłodze na czworaka, a gdy wstaje, w jej dłoni lśni nóż.

Tancerz staje pomiędzy nami.

– Przestańcie! Oboje! Darrow, proszę!

– Twoja dziewczyna była marzycielką, chłopcasiu – warczy Harmony. – Równie bezwartościową, jak ogień nad wodą...

– Harmony, stul ten cholerny dziób – rozkazuje Tancerz. – Odłóżcie te przeklęte gnaty. – Miotacze milkną. Zapada pełna napięcia cisza, a on pochyła się nade mną i mówi przyciszonym głosem: – Darrow, jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy przyjaciółmi. Nie mogę mówić za Aresa, dlatego nie pomógł nam uratować dziewczyny. Jestem tylko jednym z jego podwładnych. Nie uśmierzę twojego bólu. Nie przywrócę życia twojej żonie. Darrow, spójrz na mnie. Spójrz na mnie, Helldiverze. – Robię, co mi każe. Patrzę wprost w jego krwistoczerwone oczy. – Nie potrafię wielu rzeczy. Ale potrafię wymierzyć sprawiedliwość.

Tancerz podchodzi do Harmony i szepcze jej coś do ucha, pewnie mówi, że mamy być przyjaciółmi. Nie będziemy. Mimo to obiecuję, że jej nie uduszę, a ona obiecuje, że mnie nie dźgnie.

Milczy, prowadząc mnie przez ciasne metalowe przejścia do niewielkich drzwi z powykręcaną klamką. Nasze kroki odbijają się echem od pordzewiałych podłóg. Pomieszczenie jest małe i zawałone stołami oraz sprzętem medycznym. Każe mi się rozebrać i usiąść na jednym z zimnych stołów, żeby oczyścić moje rany. Jej dłonie wcale nie są delikatne, gdy zeskrobuje brud z moich okaleczonych pleców. Staram się nie wrzeszczeć.

– Głupiec z ciebie – mówi, wydlubując kamyk z wyjątkowo głębokiego rozcięcia. Rzęzę z bólu i próbuję coś powiedzieć, ale powstrzymuje mnie skutecznie, wciskając palec w ranę. – Marzyciele tacy jak twoja żona mają swoje ograniczenia, Helldiverze. – Upewnia się, że nie wypowiem ani słowa. – Musisz to zrozumieć. Jedyne ich siła tkwi w śmierci. Im straszniej umierają, tym głośniejszy jest ich głos i większy odzew. Twoja żona spełniła swoją rolę.

Swoją rolę. To brzmi tak zimno, tak odlegle i smutno, jak gdyby moja uśmiechnięta żona została stworzona wyłącznie do śmierci. Słowa Harmony zapadają mi w duszę. Gapię się w metalową kratę, a potem odwracam wzrok i patrzę w jej pełne wściekłości oczy.

– A jaka jest twoja rola? – pytam.

Unosi ubrudzone ziemią i krwią dłonie.

– Taka sama, jak twoja, Helldiverze. Sprawić, żeby to marzenie się spełniło.

Harmony kończy szorować moje plecy z ziemi, podaje mi antybiotyk i zabiera mnie do pokoju obok szumiących generatorów. Stoi tu szereg łóżek polowych i wodny prysznic. Zostawia mnie w środku. Prysznic jest czymś okropnym. Choć obchodzi się ze mną delikatniej niż powietrze Oczyszczalni, to przez połowę czasu mam wrażenie, jakbym tonął, a przez drugą przetacza się przeze mnie mieszanina rozkoszy i bólu. Włączam dyszę na pełen regulator, aż spowijają mnie kłęby gęstej pary, a ból przeszywa plecy.

Ból sprawia, że moje myśli o Eo wydają się idiotyczne. Ból daje fałszywą perspektywę. Chcę go polubić, ale ledwie jestem w stanie go znieść. Mikstura wody i krwi zbiera się pod moimi bladymi stopami. Wspomnienie dyndających stóp Eo sprawia, że upadam na podłogę, szlochając. Przyciskam plecy do ściany prysznicza tak długo, aż ból uniemożliwia dalsze myślenie. Przygryzam język do krwi. Nie jestem tak twardy, jak mi się zdawało. Żaden Helldiver tak naprawdę nie jest. Żaden człowiek.

Jestem mężczyzną, przypominam sobie, nie chłopcem. Mężczyzną z szesnastką na karku. Gdy ożeniłem się z Eo, czułem się niewiarygodnie silny i mądry. Gdy ją pochowałem, to wszystko odeszło. Szesnaście. Prawie siedemnaście. Teraz tylko o dziewięć młodszy od ojca w chwili, gdy zginął. Mam wrażenie, jakby upłynął szmat czasu.

Ubieram się w dziwny strój, jaki dla mnie zostawili. Nie jest to kombinezon ani ręcznie tkany materiał, do których noszenia jestem przyzwyczajony. Materiał jest gładki, elegancki i przypomina coś, co mógłby nosić ktoś innego Koloru. Jest czarny, wygląda trochę jak krótki szlafrok i nie rani mi pleców, gdy go wkładam. Ma wysoki kołnierz i epolety. Spodnie są czarne i obcisłe, buty miękkie i dziwaczne.

Tancerz wchodzi do pokoju, gdy jestem na wpół ubrany. Lewa stopa wlecze się za nim, niemal tak samo bezużyteczna, jak lewa ręka. Mimo to nadal jest imponującej postury, bardziej umięśniony niż Barlow i przystojniejszy ode mnie, pomimo wieku i blizn po ukąszeniach na szyi. Niesie miseczkę i siada na jednej z pryczy, która trzeszczy pod jego ciężarem.

– Uratowaliśmy ci życie, Darrow. Tak więc twoje życie należy teraz do nas, prawda?

– Mój wujek uratował mi życie – mówię.

– Ten pijak? – prycha Tancerz. – Najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek uczynił, było powiedzenie nam o tobie. Powinien to zrobić, gdy byłeś chłopcem, ale trzymał cię w sekrecie. Pracował dla nas jako informator, jeszcze zanim zginął twój ojciec.

– Powiesili go już?

– Za to, że ściągnął cię ze stryczka? Mam nadzieję, że nie. Daliśmy mu urządzenie zakłócające, by mógł odciąć przekaz waszych starożytnych kamer.

Wujek Narol. Dowódca, a mimo to pijany w sztok głupiec. Zawsze myślałem, że jest słaby. Nadal tak uważam. Żaden silny człowiek nie upijałby się tak jak on i nie był tak zgorzkniały. Nigdy jednak nie zasłużył sobie na pogardę, jaką go darzyłem. Tylko dlaczego nie uratował Eo?

– Zachowujesz się tak, jakby mój wujek był ci winien cholerną przysługę.

– Jest coś winien swoim ludziom.

– *Ludziom.* – Śmieję się z tego określenia. – Istnieje coś takiego jak rodzina. Jak klan. Może być nawet osiedle i kopalnia, ale ludzie? *Ludzie.* A ty zachowujesz się, jakbyś był moim przedstawicielem, jakbyś miał prawo do *mojego* życia. Tak naprawdę jesteś tylko głupcem, jak reszta Synów Aresa. – Mój głos jest pełen arogancji. – Jesteście głupcami, którzy nie potrafią niczego prócz wysadzania wszystkiego w powietrze. Zupełnie jak banda dzieciaków kopiająca w napadzie szału w gniazda jaskiniowych żmij.

Właśnie to chcę teraz robić. Kopać, rzucić się na kogoś. Dlatego go obrażam, dlatego pluję na Synów, choć tak naprawdę nie mam powodów, by ich nienawidzić.

Na przystojną twarz Tancerza wypływa zmęczony uśmiech. Właśnie wtedy uświadamiam sobie, jak słaba jest jego martwa ręka – cieńsza od umięśnionej prawej i zgięta niczym korzeń kwiatu. Jednak pomimo uschniętej kończyny w Tancerzu tkwi pewne niebezpieczeństwo i groźba, mniej oczywiste niż u Harmonii. Ujawnia się dopiero wtedy, gdy się z niego śmieję, gdy lekceważę jego samego i jego marzenia.

– Nasi informatorzy istnieją po to, by dostarczać nam informacji i pomagać w wyszukiwaniu wybrańców, byśmy mogli wydostać z kopalni najlepszych Czerwonych.

– I wykorzystać ich do swoich celów.

Tancerz uśmiecha się nieznacznie, podnosi miseczkę z pryczy.

– Zagramy w grę, żeby sprawdzić, czy jesteś jednym z tych wybrańców, Darrow. Jeśli wygrasz, zabiorę cię do miejsca, które widziało niewielu PodCzerwonych.

PodCzerwoni. Nigdy nie słyszałem takiego określenia.

– A jeśli przegram?

– To znaczy, że nie jesteś wybrańcem, a po raz kolejny wygrają Złoci.

Wzdragam się na dźwięk tego słowa.

Wyciąga miseczkę i tłumaczy zasady.

– W środku są dwie karty. Na jednej jest kosa żniwiarza. Na drugiej jagnię. Jeśli wybierzesz kosę, przegrasz. Jeśli wybierzesz jagnię, wygrasz.

Zauważam zmianę w tonie jego głosu, gdy mówi ostatnie zdanie. To test. Co znaczy, że nie ma w nim żadnego elementu szczęścia. Musi zatem oceniać moją inteligencję, czyli gdzieś tkwi haczyk. Gra może oszacować poziom mojej inteligencji tylko wtedy, jeżeli obie karty to kosy. To jedyny czynnik podlegający zmianom. Łatwizna. Spoglądam w piękne oczy Tancerza. To oszukańcza gra. Jestem do

nich przyzwyczajony i zazwyczaj przestrzegam zasad. Ale nie tym razem.

– Zagram.

Wkładam dłoń do miseczki i wyciągam kartę, upewniając się, że tylko ja ją widzę. To kosa. Tancerz nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Wygrałem – mówię.

Wyciąga rękę po kartę, żeby sprawdzić, ale wpycham ją do ust, zanim udaje mu się jej dotknąć. Nigdy się nie dowie, co wyciągnąłem. Patrzy, jak żuję papier. Połykam go, wyjmuję z miseczki drugą kartę i rzucam w jego stronę. To kosa.

– Jagnię wyglądało tak smakowicie, że nie sposób było go nie zjeść.

– Doskonale cię rozumiem.

Czerwień w jego oczach migocze. Odkłada miseczkę na bok. Promieniujące z niego ciepło powraca, jak gdyby nigdy nie było w nim groźby.

– Wiesz, dlaczego nazywamy się Synami Aresa, Darrow? Dla Rzymian Mars był bogiem wojny – bogiem wojennej chwały, obrony domowego ogniska i domu. Honorowym i tak dalej. Ale Mars jest oszustem. To wyidealizowana wersja greckiego boga Aresa.

Tancerz zapala papierosa i podaje mi drugiego. Generatory szumią, a papieros wypełnia moje płuca dymem.

– Ares był draniem, złym patronem gniewu, przemocy, rozlewu krwi i masakry – ciągnie.

– Więc przez nazwanie siebie jego imieniem pokazujecie, jak wygląda prawda we wnętrzu Elity. Jak ładnie.

– Coś w tym rodzaju. Złoci woleliby, żebyśmy zapomnieli o historii. Większość z nas nie pamięta albo nigdy nie została jej nauczona. Ale ja wiem, w jaki sposób Złoci doszli do władzy setki lat temu. Nazywają to Zwycięstwem. Wymordowali wszystkich, którzy im się sprzeciwili. Zmasakrowali miasta, kontynenty. Wcale nie tak dawno temu zredukowali cały świat do sterty popiołu – Rheę. Zgładzili to miejsce całkowicie bronią nuklearną. Działali napędzani gniewem Aresa. A my jesteśmy teraz synami tego gniewu.

– Jesteś Aresem? – pytam ściszonego głosem. Światy. Zniszczyli światy. Tyle że Rhea była bardziej oddalona od Ziemi niż Mars. Wydaje mi się, że była jednym z księżyców Saturna. Po co mieliby wysadzać w powietrze cały świat?

– Nie. Nie jestem Aresem.

– Ale należysz do niego.

– Nie należę do nikogo prócz Harmonii i moich ludzi. Jestem taki jak ty, Darrow. Urodziłem się w klanie górników w kolonii Tyros. Tyle że ja wiem więcej o świecie. – Marszczy brwi, widząc moje zniecierpliwienie. – Masz mnie za terrorystę. Nie jestem nim.

– Nie? – pytam.

Odchyła się i zaciąga głęboko papierosem.

– Wyobraź sobie stół pokryty pchłami – tłumaczy. – Pchły skaczą tak wysoko, jak tylko się da. Wtedy przychodzi człowiek i nakrywa pchły słoikiem. One skaczą i uderzają w dno słoika, nie mogąc podskoczyć wyżej. Wtedy człowiek zabiera słoik, a mimo to pchły nadal nie skaczą wyżej, niż zdążyły się przyzwyczaić, ponieważ dalej wierzą, że mają nad głowami szklany sufit. – Wypuszcza kłęb dymu. Jego oczy płoną niczym żarzący się koniec papierosa. – My jesteśmy jak te skaczące wysoko pchły. A teraz pokażę ci, jak wysoko.

Tancerz prowadzi mnie korytarzem do cylindrycznej, metalowej windy. To ciężka, zardzewiała maszyna. Zgrzyta, gdy wznosimy się stabilnie ku górze.

– Musisz wiedzieć, że twoja żona nie zginęła na darmo, Darrow. Zieloni pomogli nam się włamać do sieci. Odtworzyliśmy prawdziwą wersję wydarzeń na każdym hologramie na naszej planecie. Cały Mars, sto tysięcy klanów z górniczych kolonii i ci w miastach, wszyscy słyszeli pieśń twojej żony.

– Żartujesz – mamroczę. – Nie ma aż tylu kolonii.

Ignoruje mnie.

– Słyszeli pieśń i już zdążyli ochrzcić twoją żonę Persefoną.

Wzdrygam się i spoglądam na niego. Nie. To nie jest jej imię. Ona nie jest ich symbolem. Nie należy do tej zgrai bandytów ze zmyślonymi imionami.

– Miała na imię Eo – mówię drwiącym głosem. – I należy do Lykos.

– Należy teraz do swoich ludzi, Darrow. A oni pamiętają stare legendy o bogini wykradzonej matce przez boga śmierci. Mimo tego śmierć nie mogła zatrzymać jej na zawsze. Była Dziewicą, boginią wiosny, i miała powracać po każdej zimie. Wcielone piękno może dawać życie nawet zza grobu. Właśnie tak myślą o twojej żonie.

– Ona już nie wróci – mówię, żeby to zakończyć. Rozmawianie z tym człowiekiem to strata czasu.

Winda zatrzymuje się, a my wysiadamy w niewielkim tunelu. Idąc dalej, natykamy się na kolejną windę z gładszego metalu, lepiej utrzymaną. Pilnuje jej dwóch Synów Aresa z miotaczami. Chwilę później znów jedziemy w górę.

– Ona nie wróci, ale jej piękno i głos będą odbijały się szerokim echem aż po koniec świata. Wierzyła w coś wykraczającego poza nią samą, a śmierć dała jej głosowi moc, której nie miał za życia. Była czysta, nieskażona, zupełnie jak twój ojciec. My, ty i ja – dotyka mojej piersi palcem

wskazującym – jesteśmy brudni. Jesteśmy stworzeni do rozlewu krwi. Mamy twarde dłonie. Brudne serca. Jesteśmy mało znaczącymi stworzeniami w wielkim planie, lecz bez nas, bez żołnierzy, nikt prócz mieszkańców Lykos nie usłyszałby pieśni Eo. Bez naszych twardych dłoni marzenia czystych serc nigdy nie zostałyby zrealizowane.

– Do rzeczy – przerywam mu. – Chcesz, żebym coś dla was zrobił.

– Próbowalesz umrzeć – mówi Tancerz. – Chcesz zrobić to ponownie?

– Chcę... – Czego właściwie chcę? – Chcę zabić Augustusa – mówię, przypominając sobie zimną twarz Złotego, który skazał moją żonę na śmierć. Była tak odległa, tak beznamiętna. – Nie może żyć, skoro Eo jest martwa. – Myślę o zarządcy Podginusie i Brzydkim Danie. Ich też zabiję.

– W takim razie zemsta – wzdycha.

– Powiedziałaś, że możesz mi ją umożliwić.

– Powiedziałem, że mogę pomóc wymierzyć ci *sprawiedliwość*. Zemsta to pusta rzecz, Darrow.

– Wypełni mnie. Pomóż mi zabić ArcyGubernatora.

– Darrow, mierzysz zbyt wysoko. – Winda przyspiesza. W uszach mi strzyka. Strzyka i strzyka. Jak daleko sięga ta winda? – ArcyGubernator jest tylko jednym z najważniejszych Złotych na Marsie. – Tancerz wręcza mi parę ciemnych okularów. Wkładam je niepewnie, czując, jak serce wali mi w piersi.

Winda zatrzymuje się. Drzwi się otwierają. A ja ślepnę.

Moje źrenice za okularami zwężają się, żeby przystosować się do światła. Gdy w końcu udaje mi się otworzyć oczy, spodziewam się zobaczyć ogromną płonąca żarówkę albo flarę, jakieś źródło światła. Nie widzę jednak niczego. Światło rozchodzi się we wszystkich kierunkach, dochodząc z odległego, nieosiągalnego źródła. Jakiś ludzki instynkt w moim wnętrzu zna tę moc, zna jej prymitywne pochodzenie. To słońce. Jest dzień. Moje dłonie trzęsą się, gdy wychodzę z windy razem z Tancerzem, który milczy. Wątpię, żebym usłyszał go, nawet gdyby się odezwał.

Stoimy w dziwnym pomieszczeniu, które jest niepodobne do wszystkich, jakie sobie wyobrażałem. Pod stopami mam jakąś substancję. Twardą, ale nie jest to ani metal, ani skała. Drewno. Znam je z hologramów z Ziemi. Rozciąga się na nim różnobarwny, miękki dywan. Ściany dokoła są z czerwonego drewna, rzeźbionego w drzewa i jelenie. W oddali słychać ciche dźwięki muzyki.

Widzę wielką ścianę ze szkła. Rozprasza wpadające światło, oświetlające czarny instrument z białymi klawiszami, który gra sam w pokoju o trzech ścianach i wysokich oknach. Wszystko jest takie gładkie. Za instrumentem, za ścianą, leży coś, czego nie rozumiem. Idę chwiejnym krokiem w stronę okna, ku światłu, i opadam na kolana, przyciskając dłonie do bariery. Z mojego gardła wyrywa się przeciągły jęk.

– Teraz rozumiesz – mówi Tancerz. – Jesteśmy oszukiwani.

Za szkłem rozciąga się miasto.

Więcej na: www.ebook4all.pl

Rozdział dziewiąty

Kłamstwo

Na miasto składają się wieże, parki, rzeki, ogrody i fontanny. To miasto jak ze snów, miasto błękitnej wody, zieleni i życia na Czerwonej Planecie, która podobno ma być równie jałowa, co najsurowsza pustynia. To nie jest Mars, jaki pokazują nam na ekranach hologramów. To nie jest miejsce nieprzystosowane dla człowieka. To miejsce kłamstw oraz niewiarygodnego dostatku.

Ta groteskowa sytuacja sprawia, że nie mogę złapać tchu.

Mężczyźni i kobiety latają. Połyskują Złotem i Srebrem. To jedyne kolory, jakie widzę na niebie. Ich buty grawitacyjne unoszą ich jak bogów. Technologia jest o wiele bardziej wdzięczna i zaawansowana niż niechlujne buciory, jakie noszą w kopalniach nasi nadzorcy. Młody mężczyzna szybuje obok mojego okna. Skórę ma jak wypolerowaną, a włosy łopoczą mu za plecami, gdy niesie dwie butelki wina ku wieży najbliższego ogrodu. Jest pijany, a jego chwiejne ruchy w powietrzu przypominają mi o tym, jak któregoś razu w skafandrze jednego chłopaka zepsuł się system doprowadzający powietrze. Umierając, próbował łapać oddech, podrygiwał i szarpał się. Ten Złoty śmieje się jak idiota i robi w powietrzu wesoły młynek. Cztery dziewczęta wcale nie starsze ode mnie lecą za nim z zawrotną prędkością, chichocząc. Ich obcisłe suknie sprawiają wrażenie płynnych i otulają ich młode krągłości. Wyglądają, jakby były w moim wieku, ale są niewymownie wręcz głupie.

Niczego nie rozumiem.

Za nimi, wzdłuż oświetlonej latarniami alei, przelatują statki. Niewielkie okręty, które Tancerz nazwał szturmowcami, eskortują najbardziej okazałe ze wszystkich statków powietrznych. Na ziemi widzę ludzi poruszających się szerokimi drogami. Są tam automobile, oznaczone Kolorami lampy ciągnące się wzdłuż niższych poziomów – Żółte, Niebieskie, Pomarańczowe, Zielone i Różowe, setki odcieni tuzina Kolorów tworzące hierarchię tak skomplikowaną, tak obcą, że trudno mi ją uznać za ludzki koncept. Budynki, między którymi wiją się drogi, są ogromne. Część jest ze szkła, część z kamienia. Jednak wiele przypomina mi te, które widziałem na hologramach. Budowle Rzymian, tym razem stworzone dla bogów, nie ludzi.

Za miastem, które ciągnie się jak okiem sięgnąć, czerwona i jałowa powierzchnia Marsa jest poprzecinana pasami zielonej trawy i walczącymi o przetrwanie lasami. Miasto otacza dziwaczna bańka. Połyskuje niczym magiczna bariera. Niebo nad nią jest niebieskie i upstrzone gwiazdami. Proces terraformacji dobiegł końca.

Oto przyszłość. Ten stan rzeczy nie powinien utrzymywać się od pokoleń.

Moje życie to kłamstwo.

Octavia au Lune tak wiele razy mówiła nam, że jesteśmy pionierami Marsa, odważnymi ludźmi poświęcającymi się dla rasy, że wkrótce nasza praca zostanie ukończona. Wkrótce pozostałe Kolory dołączą do nas, kiedy Mars stanie się zdatny do zamieszkania. Tyle że one już do nas dołączyły. Ziemia zawitała na Marsa, a nas, pionierów, pozostawiono w tyle, żebyśmy byli niewolnikami, harowali i cierpieli, by stworzyć i utrzymać podwaliny dla tego... imperium. Jesteśmy tym, o czym zawsze mówiła Eo – niewolnikami Elity.

Tancerz siedzi na krześle za mną i czeka, aż znów będę mógł dobyć głosu. Mówi coś, a szyby ciemnieją. Nadal widzę miasto, ale słońce już mnie nie oślepia. Obok nas instrument zwany pianinem wygrywa ponurą melodię.

– Mówili nam, że jesteśmy jedyną nadzieją ludzkości – mówię cicho. – Że Ziemia jest przeludniona, że cały ten ból i poświęcenie jest dla ludzi. Poświęcenie jest dobre. Posłuszeństwo to najwyższa z cnót...

Śmiejący się Złoty dotarł do pobliskiej wieży. Poddaje się dziewczynom i ich pocałunkom. Niedługo wypiją całe wino i będą się świetnie bawić.

Tancerz mówi mi, jak wygląda prawda.

– Ziemia nie jest przeludniona, Darrow. Siedemset lat temu ludzkość przeniosła się na swój księżyc, Lunę. A ponieważ niezmiernie trudno jest wysłać statki kosmiczne przez grawitację Ziemi i jej atmosferę, Luna stała się portem, przez który skolonizowano księżycy i planety Układu Słonecznego.

– Siedemset lat? – sapię, czując się nagle strasznie głupio.

– Na Lunie wydajność i porządek stały się głównym problemem. W przestrzeni kosmicznej każda para płuc musi mieć swój cel. Dlatego stopniowo utworzono poszczególne Kolory, a Czerwonych wysłano na Marsa, by wydobywali paliwo dla ludzkości. Utworzono tu kolonie górnicze, ponieważ Mars ma najwyższe stężenie helium-3, którego używa się do terraformowania innych światów i księżyców.

Przynajmniej to nie było kłamstwem.

– Czy te pozostałe światy i księżyce zostały już sterraformowane?

– Owszem. Niewielkie księżyce i większość planet. Pomijając, oczywiście, gazowe giganty. To we wczesnym stadium kolonizacji bogaci mieszkańcy Luny zaczęli sobie uświadamiać, że Ziemia jest dziurą bez dna. Nawet gdy udało im się skolonizować Układ Słoneczny, nałożono na nich podatki i zarządzały nimi korporacje oraz państwa na Ziemi. Kolonie pozostawały ubezwłasnowolnione, uniemożliwiono im osiągnięcie jakiegokolwiek autonomii. Na Lunie wybuchł bunt – Złoci i ich Elita zwarli szyki przeciwko państwom na Ziemi. Ziemia walczyła i przegrała. To właśnie określa się mianem Zwycięstwa. Ekonomia zmieniła Lunę w port Układu Słonecznego. A Elita zaczęła się zmieniać w to, czym jest dzisiaj – imperium zbudowane na plecach Czerwonych.

Obserwuję poruszające się w dole Kolory. Są tacy malutcy, trudno rozróżnić ich z wysokości. Moje oczy nie są przyzwyczajone do patrzenia z tak wysoka i do tak dużej ilości światła.

– Czerwonych wysłano na Marsa pięćset lat temu. Inne Kolory zjawiły się tu jakieś trzysta lat temu, a nasi przodkowie nadal harowali pod powierzchnią planety. Przybysze zamieszkali w paraterraformowanych miastach, nad którymi unosiły się bańki atmosfer, podczas gdy reszta świata terraformowała bardzo powoli. Teraz bańki są likwidowane, a świat nadaje się do zamieszkania przez wszystkich ludzi. NadCzerwoni pracują jako konserwatorzy, pracownicy sanitarni, żniwiarze i monterzy. PodCzerwoni to ci z nas, którzy urodzili się pod powierzchnią – prawdziwi niewolnicy. W miastach Czerwoni, którzy tańczą, znikają. Ci, którzy mówią głośno o tym, co myślą, znikają. Ci, którzy skłaniają głowy i zgadzają się na rządy Elity oraz swoje miejsce w społeczeństwie, żyją, korzystając ze względnych swobód.

Wydmuchuje chmurę dymu. Nawet nie zauważyłem papierosa w jego dłoni.

Czuję się, jakbym patrzył na wszystko z boku, jakbym oglądał kolonizację światów, transformację rasy ludzkiej oczami, które nie należą do mnie. Moi pobratymcy stali się niewolnikami. Jesteśmy na samym dnie Elity, brudem pod ich paznokciami. Eo zawsze mówiła o czymś takim, choć sama nie znała prawdy. Gdyby ją poznała, przemawiałaby z o wiele większą pasją. Ta egzystencja jest o wiele gorsza niż wszystko, co byłaby sobie w stanie wyobrazić. W tym przypadku nietrudno zrozumieć determinację, z jaką walczą Synowie Aresa.

– Pięćset lat. – Kręcę głową. – To nasza cholerna planeta.

– Uczyniliśmy ją taką przez pot i znoj – zgadza się ze mną Tancerz.

– Czego potrzeba, żeby ją odzyskać?

– Krwi. – Tancerz uśmiecha się do mnie jak miastowy rzezimieszek. Za tymi ojcowskimi uśmiechami czai się bestia.

Eo miała rację. Wszystko sprowadza się do przemocy.

Ona była głosem, zupełnie jak mój ojciec. A czym ja mam być? Ręką zsyłającą zemstę? Nie potrafię zrozumieć, jak ktoś tak czysty, tak pełny miłości, mógłby chcieć, żebym odegrał taką rolę. Zrobiła to jednak.

Myślę o ostatnim tańcu mojego ojca. Myślę o mamie, Leannie, Kieranie, Loranie, rodzicach Eo, wuju Narolu, Barlowie, wszystkich, których kocham. Wiem dobrze, jak będą żyć i jak szybko będą umierać. Teraz już wiem dlaczego.

Spoglądam w dół na swoje dłonie. Są takie, jak określił je Tancerz – pocięte, pokryte bliznami i śladami po oparzeniach. Gdy Eo je całowała, stawały się łagodne i stworzone do miłości. Ale teraz, kiedy Eo odeszła, są gotowe do walki. Zaciskam je w pięści tak mocno, aż kłykcie mi bieleją.

– Jaka jest moja misja?

Rozdział dziesiąty
Snycerz

Znałem kiedyś uśmiechniętą piętnastolatkę tak bardzo zakochaną w swoim młodym mężu, że kiedy poparzył się w kopalni, a jego rana zaczęła ropieć, sprzedała swoje ciało jednemu z Gamm w zamian za antybiotyki. Była silniejsza od męża. Gdy wyzdrowiał i odkrył, co się stało, zabił Gammę slingiem

wykradzionym z kopalni. Łatwo się domyślić, co zaszło później. Nazywała się Lana i była córką wuja Narola. Nie żyje.

Myślę o niej, patrząc na ekran hologramu w czymś, co Harmony nazwała penthouse'em, podczas gdy Tancerz czyni ostatnie przygotowania. Przeskakuję przez kanały pstryknięciem kciuka. Nawet tamten Gamma miał rodzinę. Kopał w ziemi jak ja i nigdy nie widział słońca. Różnica polegała na tym, że Elita zapewniła mu niewielki pakiet lekarstw. Jakie to sprytne z jej strony. Jak wiele nienawiści potrafią wykreować między ludźmi, którzy powinni być dla siebie krewnymi. Gdyby klany odkryły, jakie bogactwa istnieją na powierzchni, gdyby ludzie dowiedzieli się, z jak wielu rzeczy ich okradziono, poczuliby nienawiść, jaką czuję ja, i zjednoczyliby się. Ludzie z mojego klanu są wybuchowi i porywcy. Jak wyglądałaby ich rebelia? Prawdopodobnie tak jak papieros Dago – płonąłaby jasno, lecz szybko, zmieniając się w popiół.

Zapytałem Tancerza, dlaczego Synowie Aresa pokazali w kopalniach transmisję śmierci mojej żony. Dlaczego zamiast tego nie puścili materiału pokazującego PodCzerwonym bogactwa istniejące na powierzchni? To wzbudziłoby przecież powszechny gniew.

– Ponieważ bunt zostałby zmiażdżony w przeciągu paru dni – tłumaczył. – Musimy obrać inną drogę. Narodu nie da się zniszczyć od zewnątrz dopóty, dopóki nie zostanie zniszczony od środka. Pamiętaj o tym. Jesteśmy burzycielami narodów, nie terrorystami.

Gdy Tancerz opowiedział mi o mojej misji, wybuchnąłem śmiechem. Nie wiem, czy podołam. Jestem nikim. Powierzchnię Marsa pokrywa tysiąc miast. Metalowe potwory żeglują między planetami w flotach, przewożąc broń, która mogłaby zniszczyć powłokę księżyca. Na odległej Lunie budynki wznoszą się na siedem mil w górę. Najwyższy Konsul, Octavia au Lune, rządzi ze swoimi Imperatorami i Pretorami. Pan Popiołów, który zmienił Rheę w pogorzelnisko, jest jej sługą. Octavia kontroluje dwunastu Rycerzy Olimpijskich, legiony Niezrównanych Naznaczonych i niezliczone zastępy Obsydianów. Obsydianów należących do elity. Szarzy żołnierze krążą po miastach, utrzymując porządek i posłuszeństwo względem hierarchii. Biali wymierzają sprawiedliwość i zajmują się filozofią. Różowi zapewniają rozkosze i służą w domach wyższych Kolorów. Srebrni zajmują się rachunkami, rozporządzają walutami i logistyką. Żółci studiują nauki medyczne. Zieloni rozwijają technologię. Niebiescy nawigują w gwiazdach. Miedziani prowadzą biurokrację. Każdy Kolor ma określony cel. Każdy Kolor wspiera Złotych.

Ekran pokazuje mi Kolory, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Pokazuje mi styl ubierania. Absurdalny i zmysłowy. Dostrzegam biomodyfikacje i implanty ciała – kobiety mają skórę tak gładką, piersi tak jędrne i krągłe, a włosy tak błyszczące, że sprawiają wrażenie odrębnego gatunku różniącego się od Eo i wszystkich kobiet, jakie znałem. Mężczyźni są cholernie wysocy i muskularni. Ich ramiona i klatki piersiowe są rozdęte od sztucznej siły. Obnoszą się z mięśniami jak dziewczynki chwalące się nowymi zabawkami.

Jestem Helldiverem z Lykos, ale to nic w porównaniu z nimi.

– Jest Harmony. Czas ruszać – mówi Tancerz od strony drzwi.

– Chcę walczyć – mówię mu, gdy zjeżdżamy na dół razem z Harmony. Poprawili moje Sigile tak, że

są jaśniejsze i pasują do NadCzerwonego. Mam na sobie luźny ubiór i niosę paczkę ze sprzętem do szorowania ulicy. Na włosach mam farbę, a w oczach kontakty, żebym wyglądał na jaśniejszy odcień Czerwonego. Mniej brudny. – Nie chcę brać udziału w *tej* misji. Gorzej, nie potrafię. Kto by temu podołał?

– Powiedziałeś, że zrobisz wszystko, co trzeba – mówi Tancerz.

– Ale to... – Misja, jaką mi przydzielił, to czyste szaleństwo, ale nie tego się boję. Moją największą obawą jest to, że stanę się czymś, czego Eo by nie rozpoznała. Demonem z bajek z Nocy Październikowej. – Daj mi miotacz albo bombę. Niech kto inny to zrobi.

– To do tego cię ściągnęliśmy – wzdycha Harmony. – I tylko do tego. To największe marzenie Aresa od czasów, kiedy narodzili się jego Synowie.

– Jak wielu przede mną tu przyprowadziliście? Ilu próbowało dokonać tego, o co mnie prosicie?

Harmony spogląda na Tancerza, który nie odzywa się ani słowem, więc odpowiada zniecierpliwiona w jego imieniu:

– Dziewięćdziesięciu siedmiu nie przeszło rzeźbienia... a przynajmniej o tylu wiemy.

– *Jasna cholera*. Co się z nimi stało?

– Umarli – odpowiada ona obojętnym tonem. – Albo prosili o śmierć.

– Może Narol powinien był pozwolić mi zawisnąć. – Próbuję się roześmiać.

– Darrow. Chodź tutaj. – Tancerz chwyta mnie za ramię i przyciąga do siebie. – Inni zawiedli. Ale z tobą będzie inaczej. Czuję to w kościach.

Moje nogi trzęsą się, gdy po raz pierwszy spoglądam w nocne niebo i na otaczające mnie budynki. Dostaję lekkich zawrotów głowy. Czuję się, jakbym spadał, jakby świat wypadł ze swojej osi. Wszędzie jest za dużo przestrzeni. Wygląda to tak, jakby miasto miało runąć w niebo. Patrząc na swoje stopy, na ulicę, i staram się wyobrazić sobie, że jestem w tunelu prowadzącym z osiedla do Błoni.

Nocą ulice Yorkton są dziwnym miejscem. Świeące kule światła stoją wzdłuż chodników i ulic. Hologramy niczym strumienie ciągną się przez aleje w tym wysoko rozwiniętym sektorze miasta, więc większość ludzi chodzi po ruchomych ścieżkach lub korzysta z transportu publicznego. Jaskrawe światła sprawiają, że noc wygląda niemal jak dzień. Widzę jeszcze więcej Kolorów. Ta część metropolii jest czysta. Grupy Czerwonych pracowników oczyszczania miasta przeczesują ulice. Drogi i ścieżki są utrzymane w idealnym porządku.

Tam, dokąd idziemy, ciągnie się cienka czerwona linia. Nasza dróżka nie porusza się jak pozostałe. Miedziana kobieta idzie swoją ścieżką. Ulubione programy pojawiają się wszędzie na jej drodze, chyba że mijają Złotego, w tym przypadku ekrany hologramów są czarne. Jednak większość Złotych nie chodzi na własnych nogach. Mają pozwolenie na buty grawitacyjne i powozy, tak jak wszyscy Miedziani, Obsydiani, Szarzy oraz Srebrni z odpowiednią licencją. Mimo to buty na licencję są

strasznie tandetne.

Reklama kremu na pęcherze pojawia się na ekranie przede mną. Kobieta o dziwnie smukłej budowie ciała zrzuca czerwony, koronkowy szlafrok. Naga, nakłada krem w miejscu, w którym żadna kobieta jeszcze nigdy nie miała pęcherza. Czerwienię się i odwracam z odrazą wzrok, ponieważ nago widziałem w życiu tylko jedną kobietę.

– Będziesz musiał zapomnieć o skromności – radzi Harmony. – Wyróżniasz się przez nią bardziej, niż robi to twój Kolor.

– To obrzydliwe.

– To tylko reklama, kochanie – mruczy protekcyjnie. Chichocze razem z Tancerzem.

Starsza Żłota szybuje w górze. Wygląda starzej niż jakakolwiek inna istota ludzka, jaką widziałem. Zniżamy głowy, gdy przelatuje nad nami.

– Pracujący tutaj Czerwoni otrzymują zapłatę – tłumaczy Tancerz, gdy zostajemy sami. – Niedużą. Ale dostają pieniądze i wystarczająco dużo bonusów, by uczynić ich zależnymi. Wydają pieniądze na rzeczy, których sądzą, że potrzebują.

– Tak jest ze wszystkimi – syczy Harmony.

– W takim razie nie są niewolnikami – mówię.

– Och, ależ oczywiście, że są – odpowiada. – Są zniewoleni chciwością, z jaką zgarniają dobra tych łajdaków.

Tancerz z trudem dotrzymuje nam kroku, więc zwalniam. Harmony wydaje pełen irytacji odgłos.

– Żłoci przystosowali wszystko tak, żeby ułatwić sobie życie. Produkują programy do zabawiania i udobruchania mas. Rozdają pieniądze i datki, by uzależnić całe generacje ludzi, a czynią to celowo siódmego dnia każdego nowego ziemskiego miesiąca, by ich nawet od daty uzależnić. Tworzą rzeczy zapewniające nam pozory wolności. Jeśli przemoc można nazwać sportem Żłotych, to manipulacja jest ich formą sztuki.

Wchodzimy do dzielnicy pomniejszych Kolorów, gdzie nie ma żadnych specjalnych ścieżek. Witryny sklepów są oznaczone elektronicznymi wstążkami Zielonych. Niektóre sklepy handlują miesiącem alternatywnej rzeczywistości, mieszczącym się w godzinie i kosztującym tygodniową pensję. Dwóch niewielkich mężczyzn z bystrymi zielonymi oczkami, łysymi głowami nabijanymi metalowymi kolcami i tatuażami ze zmieniającym się cyfrowym kodem sugeruje mi wycieczkę do miejsca zwanego Osgiliath. Inne sklepy oferują usługi bankowe, biomodyfikacje lub zwykłe produkty do higieny osobistej. Sprzedawcy wykrzykują rzeczy, których nie rozumiem, posługując się liczbami i skrótami. Nigdy wcześniej nie widziałem podobnego zamieszania.

Burdele oznaczone Różowymi wstążkami wywołują rumieniec na mojej twarzy, tak samo jak kobiety i mężczyźni w witrynach. Każde z nich ma połyskującą metkę z ceną zwisającą ze sznurka. To

zmieniająca się suma, odpowiadająca potrzebom. Piękna dziewczyna woła do mnie. Jej głos jest jednocześnie słodki i ochrypliwy. Razem z mężczyznami i kobietami w witrynach stoją maszyny pokryte hodowlaną skórą. Są tańszymi kompanami, a ich operatorzy próbują zwabić mnie do siebie, podczas gdy Tancerz tłumaczy mi ideę pieniędzy. W Lykos handlowaliśmy jedynie towarami, piwem, papierosami i usługami.

Niektóre dzielnice miasta są zarezerwowane wyłącznie dla wysokich rangą Kolorów. Dostęp do nich zależy od upoważnienia. Nie mógłbym ot tak sobie wejść do Złotego lub Miedzianego dystryktu. Mimo to Miedziak zawsze ma prawo włóczyć się po Czerwonej dzielnicy i bywać w tutejszych barach i burdelach. Ale nigdy odwrotnie, nawet na tym dzikim, wolnym dla wszystkich Bazarze – rozpustnym przybytku handlu, gwaru i ciężkiego powietrza przesyconego odorem ciała, zapachem jedzenia i spalin samochodowych.

Wchodzimy głębiej na teren Bazaru. Czuję się bezpieczniej w zaułkach niż na otwartych przestrzeniach szerokich alei w wysoko rozwiniętych sektorach. Jeszcze ich nie polubiłem, a widok gwiazd nad głową przeraża mnie. Bazar jest mroczniejszy, choć światła nadal się palą, a ludzie krzątają dokoła. Budynki wydają się ściśnięte. Setka balkonów tworzy zebra w wąskich przejściach między nimi. Pasaże krzyżują się w górze, a wokół nas światelka mrugają z przeróżnych urządzeń. Zapachy unoszą się jak namacalny hałas. Jest tu wilgotniej, bardziej brudno. Widzę zaledwie garstkę patrolujących Blaszków. Tancerz mówi, że na Bazarze są takie miejsca, w które nie powinien iść nawet Obsydian.

– Im większe skupisko ludności, tym łatwiej pozbyć się człowieczeństwa.

Bycie częścią tłumu, gdzie nikt nie zna twojej twarzy i nikogo nie obchodzi twój cel, to dziwna rzecz. Na Lykos zarobiłbym kilka szturchnięć od mężczyzn, z którymi dorastałem, i natknął się na dziewczyny, które goniłem i z którymi siłowałem się jako dzieciak. Tutaj inne Kolory wpadają na mnie i nikt nawet nie przeprasza. To jest miasto, a mnie się ono nie podoba. Czuję się samotny.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Tancerz, prowadząc mnie w stronę ciemnych drzwi, gdzie elektroniczny latający smok połyskuje na powierzchni kamienia. Masywny ochroniarz ze zmodyfikowanym nosem zatrzymuje nas. Czekamy, aż jego metalowy nochal parsknie i zacznie węszyć. Jest większy od Tancerza.

– Farba we włosach – warczy, wachając moje włosy. – To musi być Czerwony.

Miotacz wystaje mu zza paska. Za nadgarstkiem ma schowany majcher – domyślam się tego po sposobie, w jaki porusza się jego dłoń. Dołącza do niego kolejny zbir. W gałkach ocznych ma kamienie jubilerskie, czerwone rubiny, które połyskują, gdy wpadnie w nie odrobina światła. Gapię się na kamienie i brązowe oczy.

– A temu o co chodzi? Chce oberwać? – wypluwa zbir. – Patrz tak dalej, a wytnę ci wątrobę i sprzedam na targu.

Myśli, że go prowokuję. Jestem po prostu zaciekawiony rubinami, ale kiedy zaczyna mi grozić, uśmiecham się i mrugam do niego tak, jak zrobiłbym to w kopalni. Nóż pojawia się w jego dłoni.

Widać tutejsze zasady są inne.

– No dalej. Wyzywam cię.

– Mickey nas oczekuje – odzywa się Tancerz.

Spoglądam na kumpla Nochala, który próbuje patrzeć na mnie z góry, jakbym był dzieckiem. Nochal uśmiecha się krzywo i przypatruje uważnie nodze i ramieniu Tancerza.

– Nie znam żadnego Mickeya, kaleko. – Przenosi wzrok na swojego kompana. – A ty? Znasz jakiegoś Mickeya?

– E tam. Nie ma tu żadnego Mickeya.

– Co za ulga. – Tancerz kładzie dłoń na miotaczu ukrytym pod kurtką. – Skoro nie znacie Mickeya, nie będziecie musieli mu tłumaczyć, dlaczego mój... hojny przyjaciel nie mógł się z nim spotkać. – Odsuwa kurtkę tak, żeby zobaczyli glif wyrzeźbiony na kolbie pistoletu. Hełm Aresa.

Na ten widok Nochal z trudem przełyka ślinę i mówi:

– Cholera. – Wpadają na siebie, próbując otworzyć drzwi. – M-m-musimy zabrać wam broń.

W naszą stronę idzie następna trójka z miotaczami. Harmony rozpiną kamizelkę i pokazuje im bombę przypiętą pasami do brzucha. W zwinnych Czerwonych palcach toczy mrugający detonator.

– Nie trzeba.

Nochal przełyka i kiwa głową.

– Nie trzeba.

Wnętrze budynku jest mroczne. To ciemność pełna dymu i pulsujących świateł, prawie jak w mojej kopalni. Dudni muzyka. Szklane cylindry stoją jak filary między krzesłami i stolikami, gdzie mężczyźni piją i palą. W środku cylindrów tańczą kobiety. Niektóre wiją się w wodzie. Ich dziwne, pletwiaste stopy i smukłe uda poruszają się w rytm muzyki. Inne wirują w otoczeniu złocistego dymu i srebrnej farby. Czerwienię się, patrząc na kobietę oplecioną niebieskim i pomarańczowym dymem. Jej gładka skóra nie płonie. Wydaje mi się, że widzę skrzydła na jej plecach. Wygląda tak młodo... Dostrzegam mężczyzn siedzących wokół niej na sofach z małymi elektronicznymi podkładkami. Przekrzywiam głowę.

– Licytują ją – mówi ponurym głosem Harmony. – Chodź.

Grupa osiłków prowadzi nas do stolika na tyłach, który wygląda, jakby był zrobiony z opalizującej wody. Szczupły mężczyzna leży przy nim z kilkoma przedziwnymi stworzeniami. Z początku wydają mi się potworami, ale im dłużej się przyglądam, tym bardziej jestem zmieszany. To ludzie, ale stworzeni inaczej. Wyrzeźbieni inaczej. Śliczna młoda dziewczyna, niewiele starsza od Eo, siedzi, spoglądając na mnie szmaragdowymi oczyma. Skrzydła białego orła wyrastają z jej pleców. Wygląda

jak coś wyrwanego żywcem ze snu, tyle że powinno się ją tam zostawić. Podobne do niej stworzenia leżą w kłębach dymu i dziwnych światłach.

Mickey Snycerz jest chudym jak skalpel facetem z krzywym uśmiechem i czarnymi włosami zwisającymi z boku głowy niczym plama oleju. Tatuż na twarzy, przedstawiający ametystową maskę oplecioną dymem, wiję się wokół jego lewego oka. To Sigil Fioletowych – twórców – więc zawsze jest w ruchu. Pozostałe Fioletowe symbole plamią jego dłonie. Bawi się małą, elektroniczną kostką z puzzlami, w której zmieniają się obrazki. Palce ma szybkie, cieńsze i dłuższe niż normalnie. Jest ich dwanaście. Fascynujące. Nigdy wcześniej nie widziałem artysty, nawet na ekranie hologramu. Są równie rzadcy co Biali.

– Och, Tancerz – wzdycha, nie podnosząc oczu znad kostki. – Poznałem cię po szuraniu. – Mruży oczy, spoglądając na kostkę w dłoniach. – A oto i Harmony. Wyczułem cię już od drzwi, kochanie. Tak na marginesie, nieszczęśliwa ta bomba. Kiedy następnym razem będziecie potrzebować dobrego sprzętu, popytajcie o Mickeya, jasne?

– Mick. – Tancerz siada za stolikiem. Widzę, że Harmony zaczyna się kręcić w głowie od dymu. Ja przyzwyczałem się do wdychania gorszych paskudztw.

– Moja cudowna Harmony – mruży Mickey. – Rzuciłaś już tego starego kalekę? Przyszłaś dołączyć do mojej rodziny? A może po nową parę skrzydeł? Pazur? Ogon? Rogi... Wyglądałabyś bosko z rogami. Zwłaszcza owinięta moimi jedwabnymi prześcieradłami.

– Wyrzeźb sobie duszę, to może dam ci szansę – prycha Harmony.

– Ach, jeśli posiadanie duszy wymaga bycia Czerwonym, to spasuję.

– W takim razie porozmawiajmy o interesach.

– Od razu przechodzisz do konkretów, kochana. Konwersacja to forma sztuki, niczym wielka uczta. Każde danie w swoim czasie. – Jego palce przesuwają puzzle. Dopasowuje je na podstawie elektronicznej częstotliwości, ale robi to o ułamek sekundy za wolno, nim zdążą zmienić obraz. Ani razu nie podniósł wzroku.

– Mam dla ciebie propozycję, Mickey – mówi Tancerz zniecierpliwionym tonem. Zerka w dół, na kostkę.

Uśmiech Mickeya jest szeroki i krzywy. W dalszym ciągu patrzy na puzzle. Tancerz powtarza jeszcze raz:

– Mam dla ciebie propozycję.

– Od razu zmierzasz do dania głównego, co, kaleko? Cóż, propozycja odrzucona.

Tancerz wytrąca kostkę z dłoni Mickeya. Przy stoliku zapada cisza. Zbiry najeżyły się za naszymi plecami. Muzyka dudni dalej. Moje serce bije spokojnie, gdy mierzę wzrokiem miotacz przypięty do uda stojącego najbliżej ochroniarza. Mickey powoli unosi wzrok i rozładowuje napięcie krzywym

uśmiechem.

– O co chodzi, przyjacielu?

Tancerz kiwa głową w stronę Harmony, która przesuwa niewielkie pudełko w kierunku Mickeya.

– Prezent? Nie powinieneś. – Mickey ogląda pudełko. – Taniocha. Czerwony, co za pozbawiony gustu Kolor. – Otwiera wieczko i wstrzymuje pełen przerażenia oddech. Odsuwa się gwałtownie od stolika, zatrzasnąwszy pudełko. – Cholerni głupi dranie. Co to ma być?

– Dobrze wiesz, co to jest.

Mickey pochyła się do przodu, a jego głos zmienia się w przeciągły syk.

– Przyniosłeś je tutaj? Jakim cudem je zdobyłeś? Czyś ty oszalał? – Mickey zerka na swoich popleczników, którzy łypią na pudełko, zastanawiając się, co tak bardzo wytrąciło z równowagi ich szefa.

– Oszalał? Jesteśmy cholernymi maniakami – uśmiecha się Tancerz. – I chcemy, żebyś je przytwierdził. Wkrótce.

– Przytwierdził? – Mickey zaczyna się śmiać.

– Do niego. – Tancerz wskazuje na mnie.

– Wynocha! – wrzeszczy Mickey do swojej obstawy. – Wynocha, wy sztuczne, włożące w dupę łajdaki! Mówię do was... dziwadła! Wynoście się!

Gdy jego orszak rozpierzcha się po kątach, otwiera pudełko i wyrzuca zawartość na stół. Dwa skrzydła, Sigile Złotych, wypadają z brzękiem na blat.

– Chcemy, żebyś zrobił z naszego chłopaka Złotego – mówi Tancerz.

Rozdział jedenasty

Wyrzeźbieni

– Zwariowałeś.

– Dzięki. – Harmony uśmiecha się.

– Zakładam, że się przejęzyczyłeś. Powtórz, proszę – mówi Mickey do Tancerza.

– Ares zapłaci ci więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek widziałeś na oczy, jeżeli z powodzeniem uda ci się przytwierdzić Sigile do dłoni mojego młodego przyjaciela.

– Niemożliwe – deklaruje Mickey. Zerka na mnie po raz pierwszy. Pomimo wzrostu nie wywarłem na nim żadnego wrażenia. Nie dziwię mu się. Kiedyś uważałem się za przystojnego mężczyznę. Silnego. Umieśnionego. Tutaj jestem blady i żyłasty, młody i pokryty bliznami. Mickey pluje na stolik. – Niemożliwe.

Harmony wzrusza ramionami.

– Już raz się udało.

– Kiedy, pytam? I kto tego dokonał? – Odwraca głowę. – Nie. Nie skusicie mnie niczym.

– Ktoś bardzo utalentowany – szydzi Harmony.

– Niemożliwe. – Mickey pochyla się jeszcze bardziej. Na jego wąskiej twarzy nie ma ani jednego pora. – Potrzebujesz słownika? Mogę ci zainstalować jakiś w mózgu, jeśli chcesz. To niemożliwe. Jego DNA stanowi o jego pochodzeniu. Wiedzieliście, że mają podskórne znaki w czaszkach? Oczywiście, że nie. To czipy przytwierdzone do płatów czołowych, oznaczające przynależność do właściwych kast. Do tego dochodzą połączenia synaps, wiązania molekularne, urządzenia naprowadzające, Zarząd Kontroli Jakości. Później jest trauma i adaptacja do nowego środowiska. Możemy uczynić jego ciało idealnym, ale pozostaje jeden problem: nie sprawimy, że stanie się mądrzejszy. Nie można z myszy zrobić lwa.

– Potrafi myśleć jak lew – mówi wyraźnie Tancerz.

– Oho! Potrafi myśleć jak *lew* – parska śmiechem Mickey.

– Ares chce, żeby to doszło do skutku. – Głos Tancerza jest lodowato zimny.

– Ares. Ares. Ares. To, czego Ares chce, nie ma żadnego znaczenia, pawianie. Nie chodzi tylko o naukę. Psychicznie i mentalnie jest prawdopodobnie równie tęp, jak pomywacz. A jego zdolności nie są wystarczające. Nie należy do ich gatunku! To Czerwony!

– Jestem Helldiverem z Lykos – odzywam się.

Mickey unosi brwi.

– Oho! Helldiver! Święci pańscy! Co ty nie powiesz! – Kpi ze mnie, ale mruży oczy, jakby widział mnie już wcześniej. Moją chłostę pokazano w telewizji. Wielu ludzi zna moją twarz. Jeśli zostanę Złotym, stworzonym na podobieństwo ich, a nie mojego ojca, to sam z trudem się rozpoznam. – Niech mnie szlag – mamrocze.

– Rozpoznałeś moją twarz – stwierdzam.

Włącza wideo i ogląda, patrząc na mnie co chwila.

– Czy ty czasem nie powinienesz być martwy razem z tą twoją dziewczyną?

– Żoną – warczę.

Mięśnie w szczęce Mickeya drgają, gdy mnie ignoruje.

– Chcesz stworzyć zbawiciela – rzuca oskarżycielskim tonem, spoglądając na Tancerza. – Ty draniu. Chcesz stworzyć mesjasza dla swojego przeklętego celu.

Nigdy nie patrzyłem na to pod tym kątem. Czuję niepokojące mrowienie na skórze.

– Tak – zgadza się Tancerz.

– Jeśli zrobię z niego Złotego, co z nim uczynisz?

– Zgłosi się do Instytutu. Zostanie przyjęty. Tam wyróżni się na tyle, żeby trafić w szeregi Niezrównanych Naznaczonych. Jako jeden z nich, może trenować i zostać Pretorem, Legatem, Politykiem albo Kwestorem. Kimkolwiek. Awansuje na wysoką pozycję, im wyższa, tym lepsza. Wtedy będzie mógł zrobić to, czego zażąda od niego Ares.

– Matko Boska – mamrocze Mickey. Gapi się na Harmony, potem na Tancerza. – Chcesz zrobić z niego autentycznego Naznaczonego. A może Brązowego?

Brązowy to upadły Złoty. Z tej samej klasy społecznej, ale lekceważony z powodu gorszego wyglądu, pochodzenia i umiejętności.

– Nie.

– W takim razie Pixie?

– Nie chcemy, żeby chodził do nocnych klubów i zajadał się kawiosem jak reszta tych bezwartościowych Żółtych. Chcemy, żeby dowodził flotami.

– *Flotami*. Jesteście obłąkani. Szaleni. – Fioletowe oczy Mickeya spoglądają przez długą chwilę w moje. – Mój chłopcze, oni chcą cię zamordować. *Nie* jesteś Żółtym. Nie zdołasz funkcjonować tak, jak oni. To zabójcy, urodzeni, by dominować nad nami. Czy spotkałeś kiedykolwiek któregoś z Aureatów? Jasne, wyglądają na pięknych i pełnych pokoju. Ale czy masz pojęcie, co stało się w trakcie Zwycięstwa? To potwory.

Kręci głową i śmieje się złowieszczo.

– Instytut to nie szkoła. To miejsce odstrzału, gdzie Żłoci wyrzynają się nawzajem, dopóki na arenie nie zostanie najsilniejszy na umyśle i ciele. A. Ty. Zginiesz – akcentuje ostatnie słowa.

Kostka leży po drugiej stronie stolika. Podchodzę do niej, nie mówiąc ani słowa. Nie mam pojęcia, na jakiej działa zasadzie, ale znam się na układankach.

– Chłopcze, co robisz? – wzdycha Mickey ze współczuciem. – To nie zabawka.

– Czy byłeś kiedyś w kopalni? – pytam. – Czy kiedykolwiek używałeś palców, by przekopać się przez uskok pod kątem dwunastu stopni, obliczając jednocześnie, jak dostosować osiemdziesięcioprocentową moc obrotową wiertła i pięćdziesięciopięcioprocentowy nacisk tak, by nie naruszyć pęcherza gazowego, siedząc we własnych sikach i kałuży potu, martwiąc się o jaskiniowe żmije, które tylko czekają, by wdrzeć się do twojego brzucha i złożyć tam jaja?

– To...

Jego głos cichnie, gdy obserwuje, jak wiertło nauczyło ruchów moje palce, jak wdzięk, z którym mój wujek pokazał mi, jak tańczyć, skupia się teraz w moich dłoniach. Nucę pod nosem, pracując. Zajmuje mi to chwilę, może minutę albo trzy. Odkrywam zasadę działania puzzli, a potem rozwiązuję zadania łatwo, zgodnie z częstotliwością. Wchodzę na drugi poziom matematycznych zagadek. Nie znam obliczeń, ale znam wzór. Dopasowuję kolejne cztery puzzle, które zmieniają się jeszcze raz w moich dłoniach, układając się w koło. Dopełniam krąg i rzucam urządzenie w stronę Mickeya. Gapi się na moje dłonie, poruszając własnymi dwunastoma palcami.

– *Nieemożliwe* – mamrocze.

– Ewolucja – odpowiada Harmony.

Tancerz uśmiecha się.

– A teraz musimy omówić cenę.

Rozdział dwunasty
Zmiana

Moje życie zmienia się w agonię.

Moje Sigile są przytwierdzone do kości śródreçza w kaźdej z dłoni. Mickey usuwa stare Sigile i hoduje nową skórę oraz kości wokół ran. Później przystępuje do instalowania kradzonego podskórnego czipu do przedniego płata mózgowego. Mówią, że trauma zabiła mnie podczas zabiegu i musieli ponownie zrestartować moje serce. Wygląda na to, że umarłem już dwa razy. Mówią też, że przez dwa tygodnie byłem w śpiączce, ale dla mnie to było jak jeden wielki sen. Byłem wtedy w dolinie z Eo. Pocałowała mnie w czoło, a potem obudziłem się, czując miejsce założenia szwów i ból.

Leżę w łóżku, podczas gdy Mickey poddaje mnie testom. Każe mi przenosić marmurowe kulki z jednego pojemnika do innych, oznaczonych kolorami. Mam wrażenie, że zajmuje mi to całą wieczność.

– Formujemy synapsy, kochanie.

Testuje mnie słownymi zagadkami i próbuje zmusić do czytania, ale nie mam pojęcia, jak się to robi.

– Będziesz musiał nauczyć się tego dla Instytutu – chichocze.

Moje sny zmieniły się w koszmary. Eo pociesza mnie w nich, lecz gdy się budzę, jest zaledwie ulotnym wspomnieniem. Czuję pustkę, leżąc w prowizorycznym pokoju medycznym Mickeya. Jonowy anihilator bakterii brzęczy obok mojego łóżka. Wszystko jest białe. Mimo to słyszę dudnienie muzyki dobiegające z klubu. Jego dziewczyny zmieniają mi pieluchy i opróżniają worki z moczem. Dziewczyna, która nigdy się nie odzywa, kąpie mnie trzy razy dziennie. Ramiona ma smukłe, twarz łagodną i smutną, tak jak wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyłem ją za płynnym stołem Mickeya.

Skrzydła rozwijające się za jej plecami są przewiązane szkarłatną wstążką. Nigdy nie patrzy mi w oczy.

Mickey kontynuuje rozwój synaps, naprawiając jednocześnie blizny powstałe podczas operacji nerwów. Nie przestaje się uśmiechać i gładzić mnie po czole, nazywając swoim kochaniem. Czuję się jak jedna z jego dziewczyn, jeden z aniołów, które stworzył dla własnej przyjemności.

– Nie możemy jednak zadowalać się wyłącznie mózgiem – mówi. – Czekają nas mnóstwo pracy nad twoim ciałem, jeśli chcemy zmienić je w ciało Żelaznego Złotego.

– Kim oni byli?

– Złotymi przodkami. Nazywają ich Żelaznymi Złotymi. Byli twardymi ludźmi. Z wściekłą determinacją dowodzili krążownikami bitewnymi, niszcząc armie i floty republik na Ziemi. Co z nich były za stworzenia! – Wzrok Mickeya robi się rozmyty. – Trzeba było setek lat eugeniki i biologicznego manipulowania genomem, żeby ich stworzyć. Wymuszony darwinizm. – Milczy przez chwilę. Wygląda na to, że narasta w nim gniew. – Mówili, że Snycerze nigdy nie będą w stanie powielić piękna Złotego Człowieka. Zarząd Kontroli Jakości kpi z nas. Osobiście wcale nie chcę robić z ciebie człowieka. Ludzie są tacy delikatni. Tak łatwo ich złamać. Ludzie umierają. Nie, ja zawsze chciałem stworzyć boga. – Uśmiecha się psotnie, rysując jakieś szkice na cyfrowej podkładce. Obraca ją i pokazuje mordercę, jakim się stanę. – Dlaczego więc nie zrobić z ciebie boga wojny?

Tkanka bliznowata na moich plecach zostaje usunięta laserem, a odsłonięte mięśnie są pokryte komórkami mojej własnej skóry, hodowanej w probówkach, która zostaje potem napromieniowana, by przyspieszyć rozwój molekularny. Rośnie szybko, jak jakieś oddzielne stworzenie. Swędzi jak cholera. Mickey wymienia skórę na moich plecach i dłoniach, które Eo owinęła bandażem. To, mówi, nie jest prawdziwa skóra. To zaledwie homogeniczna warstwa podstawowa.

– Twój szkielet jest słaby, ponieważ grawitacja Marsa wynosi zero koma trzy w stosunku do Ziemi, mój delikatny, mały ptaszku. Ponadto twoja dieta była uboga w wapń. Złoty standard gęstości szkieletu jest pięć razy większy niż naturalna gęstość kości występująca na Ziemi. Będziemy zatem musieli wzmocnić twoje rusztowanie aż sześć razy. Musisz być z żelaza, jeśli chcesz przetrwać Instytut. To dopiero będzie zabawa! Dla mnie oczywiście. Nie dla ciebie.

Mickey poddaje mnie kolejnej fazie rzeźbienia. Agonia wykracza ponad wszelkie zrozumienie. Później oglądam nagrania z zabiegów, żeby odwrócić uwagę od słabnącego bólu. Mickey posługuje się vibroskalpelem, by rozciąć mięsień mojego uda. Rozsuwa boki zaciskami, odsłaniając kości. Później ścina ich warstwy i domalowuje nowe swoją ulepszoną formułą.

– Ktoś musi postawić za Boga kropkę nad „i”.

Następnego dnia rozcina moje ręce. Potem robi to samo z żebrami, kręgosłupem, ramionami, stopami, miednicą oraz twarzą. Poprawia również elastyczność ścięgien i umieszcza biokultury, żeby zwiększyć gęstość mojej tkanki mięśniowej. Dzięki Bogu, przez kilka następnych tygodni nie pozwala, żebym wybudził się po ostatniej operacji. Gdy przychodzi do siebie, widzę jego

dziewczyny nakładające nowe komórki ciała i ugniatające kciukami moje mięśnie. Zastanawiam się, co się z nimi stanie, gdy ze mną skończą. Potem znów zapadam w sen.

Śpię w cylindrycznej maszynie, w której specjalne niebieskie światło wzmacnia wapniową formułę pod warstwą skóry. Powoli zaczyna się goić. Wyglądam jak szachownica. Zaczynają karmić mnie syntetyzowanym białkiem, kreatyną i hormonem wzrostu, by przyspieszyć rozrost mięśni i regenerację ścięgien. Moje ciało dygocze nocami i swędzi, gdy pocę się przez nowe, mniejsze pory. Nie mogę zażywać środków przeciwbólowych działających wystarczająco mocno, żeby stłumić agonię, ponieważ zmienione nerwy muszą nauczyć się funkcjonować razem z nową tkanką i zmienionym mózgiem.

Mickey siedzi przy mnie w trakcie najgorszych nocy, opowiadając mi historie. Tylko wtedy czuję do niego sympatię i nie wydaje mi się potworem stworzonym przez zdegenerowaną Elitę.

– Mój zawód polega na tworzeniu, ptaszyno – mówi którejś nocy, gdy obaj siedzimy w ciemności. Niebieskie światło tańczy po moim ciele, skrywając jego twarz w dziwnym cieniu. – Gdy byłem młody, żyłem w miejscu zwanym Gajem. Można nas było uważać za grupę cyrkowców. Wystawialiśmy spektakle każdego wieczora. To było święto kolorów, dźwięków i tańca.

– Brzmi strasznie – mamroczę sarkastycznym tonem. – Zupełnie jak w kopalniach.

Uśmiecha się łagodnie, a jego oczy znów nabierają odległego wyrazu.

– Dla ciebie to sprawia wrażenie wygodnego życia. Jednak w Gaju czaiło się pewne szaleństwo. Zmuszali nas do brania cukierków. Cukierków, po których można było trafić do piekła albo na pielgrzymkę do nieba. Te tabletki sprawiały, że fruwałam między planetami na skrzydłach z pyłu, odwiedzając wróżki na Jupiterze i syreny w głębiach Europy. Nie było od nich ucieczki, żadnego końca tych szalonych wypraw. Ślinałam się, leżąc na ziemi, a zabawa trwała dokoła w najlepsze. Mój umysł zawsze był oddzielony od ciała. Zero spokoju. Żadnego końca tego obłądu. – Klaszcze w dłonie. – A teraz rzeźbię rzeczy, które widziałem w tych snach, tak jak tego chcieli. Chyba śniłem też o tobie. Koniec końców, pewnie woleliby, żebym nie śnił wcale.

– Czy to był dobry sen?

– Słucham?

– Ten o mnie.

– Nie. Nie, to był koszmar. Sen o mężczyźnie z piekła, kochanku ognia. – Milczy przez chwilę.

– Dlaczego to takie okropne? – dopytuję się. – Życie. Cała reszta. Dlaczego zmuszają nas, żebyśmy to robili? Dlaczego traktują nas, jakbyśmy byli ich niewolnikami?

– Przez władzę.

– Władza nie jest prawdziwa. To tylko pusty frazes.

Mickey rozważa to w milczeniu. Potem wzrusza wąskimi ramionami.

– Mówią, że ludzkość od zawsze była zniewolona. Wolność czyni nas niewolnikami pożądania, chciwości. Wystarczy ją zabrać i dać komuś życie wypełnione snami. Życie pełne poświęceń, życie rodzinne, życie społeczne. Społeczeństwo jest stabilne. Nie ma głodu. Nie ma ludobójstwa. Żadnych wielkich wojen. A gdy Złoci walczą, przestrzegają zasad. Są... *szlachetni*, gdy wielkie domy się ze sobą ścierają.

– Szlachetni? Okłamali mnie. Powiedzieli, że byłem pionierem.

– A czy byłbyś szczęśliwszy, gdybyś wiedział, że jesteś niewolnikiem? Nie. Żaden z miliarda PodCzerwonych żyjących pod powierzchnią Marsa by nie był, gdyby odkrył to, co wiedzą NadCzerwoni – że są niewolnikami. Czy nie lepiej jest zatem skłamać?

– Lepiej nie robić z ludzi niewolników.

Gdy jestem gotowy, umieszcza generator mocy w moim cylindrze, który wytwarza zwiększoną grawitację oddziałującą na mój szkielet. Nigdy wcześniej nie znałem takiego bólu. Kości, skóra i mięśnie wrzeszczą z powodu ciśnienia i zmiany, dopóki nie dostają leków, które zmieniają moje wrzaski w nieustający, zduszony jęk. Zanim mój szkielet zostaje ukończony, Mickey wymienia moje stare zęby na proste, wzięte zapewne z jakiegoś laboratorium lub od trupa. Sam już nie wiem. Przesuwam po nich językiem. Są takie śliskie. Zupełnie jakbym miał w ustach zimne płytki.

Śpię całymi dniami. Śnię o domu i rodzinie. Każdej nocy budzę się po tym, jak znów wieszają Eo. Tęsknię za ciepłem jej ciała w łóżku, choć dali mi hologramową maskę dla odwrócenia uwagi.

Stopniowo odstawiają mi środki przeciwbólowe. Mięśnie nadal nie są przyzwyczajone do gęstych kości, więc moje życie jest ciągłym pasmem bólu. Zaczynają mnie karmić prawdziwym jedzeniem. Mickey siedzi na brzegu pryczy, nocami głaszcząc moje włosy. Nie obchodzi mnie, że jego palce dotykają mnie niczym pajęczce odnóża. Mam gdzieś, że traktuje mnie jak jakieś dzieło sztuki, swojej sztuki. Daje mi coś zwanego hamburgerem. Uwielbiam go. Czerwone mięso, gęste sosy, chleb, owoce i warzywa tworzą podstawę mojej diety. Nigdy wcześniej nie jadłem tak dobrze.

– Potrzebujesz kalorii – grucha Mickey. – Byłeś dla mnie taki silny. Musisz się dobrze najeść. Zasługujesz na to.

– Jak mi idzie? – pytam.

– Och, najgorsza część już za nami, kochanie. Jesteś wspaniałym chłopakiem. Pokazali mi nagrania z procedur, w trakcie których inni Snycerze próbowali tego samego. Och, jakże niechlujni byli pozostali Snycerze, jak słabi inni kandydaci... Ale ty jesteś silny, a ja wspaniała. – Klepie mnie po piersi. – Masz serce jak u ogiera. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem. Możesz tego nie wiedzieć, ale jest tak duże dlatego, że gdy byłeś młodszy, zostałeś ugryziony przez jaskiniową zmiję.

– To prawda.

– Tak myślałem. Twoje serce musiało się dostosować, by przeciwdziałać skutkom trucizny.

– Mój wujek wyssał większość trucizny.

– Nie – śmieje się Mickey. – To mit. Trucizny nie da się wyssać. Nadal krąży w twoich żyłach, zmuszając twoje serce do bycia silniejszym, o ile chcesz dalej żyć. Jesteś wyjątkowy, zupełnie jak ja.

– W takim razie mam nadzieję, że tu nie umrę – udaje mi się wykrztusić.

Mickey zanosi się śmiechem.

– Nie! Skąd! To już za nami. Co prawda nacierpisz się jeszcze, ale groźba śmierci już dawno minęła. Wkrótce zrobimy z ciebie boga. Czerwony w Złotego. Nawet twoja żona by cię nie poznała.

Tego właśnie obawiałem się najbardziej.

Gdy usuwają moje oczy i zastępują je Złotymi, czuję się martwy w środku. Mickey mówi, że to prosta sprawa, polegająca na podłączeniu nerwów optycznych do oczu „dawcy”. Prosta rzecz, którą wykonywał setki razy dla celów kosmetycznych. Mówi, że najtrudniejsza była operacja płatu czołowego mózgu. Nie zgadzam się z nim. Owszem, czuję ból, lecz dzięki nowym oczom widzę rzeczy, których kiedyś nie mogłem widzieć. Przedmioty są wyraźniejsze, o bardziej zarysowanych konturach i jeszcze trudniejsze do zniesienia. Nienawidzę tego procesu. To wszystko tylko potwierdza wyższość Złotych. Wystarczy kilka zabiegów, żebym fizycznie był na równi z nimi, by poprawić to, co spaczyła natura. Być może faktycznie *powinniśmy* im służyć.

Nie mam pojęcia, jak długo śpię. Gdy się budzę, moje ciało odrzuca przeszczep oczu. Krzyczę i pocę się strasznie. We śnie obgryzłem do krwi rękę i zadrapałem rogówkę lewego oka. Nie *mojego* lewego oka. Moje leży gdzieś w jakimś pojemniku. Zadrapałem czyjeś oko i czuję ból. Jakim cudem może mnie boleć? Przecież nie jest moje. Nic z tego nie jest moje. Moja skóra jest zbyt gładka, zbyt błyszcząca, bez skaz. Nie znam już swojego ciała, skoro nie ma na nim blizn. Nie rozpoznaję grzbietów własnych dłoni. Eo w życiu by mnie nie poznała.

Potem przychodzi kolej na włosy. Mickey wyrywa cebulki i zastępuje je złotymi pasmami, które swędzą jak małe, złote larwy wgryzające się w skórę głowy. Wszystko zostaje zmienione.

Później następują tygodnie fizycznej terapii. Chodząc powoli po pokoju z Evey, dziewczyną ze skrzydłami, mam dużo czasu na rozmyślanie. Żadne z nas nie sili się, by dużo mówić. Ona ma swoje demony, a ja swoje, więc zachowujemy spokój i milczenie, dopóki nie przychodzi Mickey i nie zaczyna szczebiotać, jakie śliczne mielibyśmy dzieci. Evey siedzi przy moim łóżku, gdy gorączkuję. Budzę się, a ona już tam jest, zawsze cicha, zawsze milcząca.

Któregoś dnia Mickey przynosi mi nawet antyczną cytrę, z pudłem rezonansowym z drewna zamiast plastiku. To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił. Nie śpiewam co prawda, lecz gram uroczyste pieśni Lykos. Tradycyjne melodie mojego klanu, których nie usłyszy już nikt spoza kopalni. Mickey i Evey siedzą ze mną czasami i choć uważam go za pokreconą kreaturę, czuję, że doskonale rozumie znaczenie muzyki. Jej piękno. Jej doniosłość. Później nie odzywa się ani słowem. Lubię go w tych

momentach spokoju. To musi być całkiem sprzeczne z chaosem jego dzieciństwa. Jaką muzykę musieli wtedy grać, gdy jadł cukierki, które wypaczały mu umysł?

– Cóż, jesteś nieco twardszy, niż na początku sądziłam – mówi Harmony któregoś ranka, gdy się budzę.

– Gdzie byłaś? – pytam, otwierając oczy.

– Wynajdywałam dawców. – Wzdraga się na widok moich tęczywek. – Świat nie stanął w miejscu dlatego, że ty tu jesteś. Mieliśmy zadanie do wykonania. Mickey mówi, że możesz już chodzić.

– Jestem coraz silniejszy.

– Ale nie wystarczająco silny – domyśla się, oglądając mnie. – Wyglądasz jak mała żyrafa. Naprawię to.

Harmony zabiera mnie w podziemia klubu Mickeya, do brudnej sali gimnastycznej oświetlonej siarkowymi żarówkami. Lubię dotyk zimnego kamienia pod stopami. Moje poczucie równowagi wróciło. To dobrze, ponieważ Harmony nie oferuje mi pomocnego ramienia. Zamiast tego wskazuje ręką na środek mrocznej sali.

– Kupiliśmy je specjalnie dla ciebie – mówi.

Pokazuje dwa urządzenia stojące na środku. Są srebrne i przypominają zbroje noszone przez rycerzy. Każda zbroja jest zawieszona między dwoma metalowymi drutami.

– To maszyny kondensujące.

Wsuwam ciało do urządzenia. Suchy żel otacza moje stopy, nogi, tors, ramiona i szyję tak, że tylko głowa pozostaje wolna. Maszyna została zbudowana po to, by opierać się moim ruchom, a mimo to reaguje nawet na najmniejsze bodźce. Jeśli rozprostuję stopę, opór utworzy się wokół mojego palca, naprężając mięśnie, które momentalnie się kurczą. Idea zwiększania mięśni polega na ich ćwiczeniu, czyli na używaniu ich wystarczająco intensywnie, by stworzyć mikroskopijne rozdarcia w tkance mięśniowej. To właśnie ból, który człowiek czuje przez kilka dni po wyczerpującym treningu. Ból spowodowany rozerwanymi tkankami, nie kwasem mlekowym. Gdy mięśnie regenerują się i naprawiają pęknięcia, rozrastają się. Maszyna kondensująca ma umożliwić ten proces. To prawdziwy wytwór szatana.

Harmony wsuwa panel urządzenia, zakrywając moje oczy.

Moje ciało nadal jest na sali, ale widzę siebie biegnącego po surowej powierzchni Marsa. Maszyna potrafi obracać się po niezależnych osiach, więc gdy zeskakuję z trzydziestometrowej krawędzi skalnej półki, skaczę również we wnętrzu maszyny. Znów biegnę, pompując nogami opór urządzenia, który wzrasta zgodnie z nastrojem Harmony lub miejscem symulacji. Czasami przemierzam dżungle Ziemi, gdzie ścigam pantery, lub udaję się na pokrytą kraterami powierzchnię Luny, zanim została zaludniona. Zawsze jednak wracam do swojego domu na Marsie, by pędzić po czerwonej ziemi

i skakać nad stromymi rozpadlinami. W ten sposób uczę się planety, wyszukując sterraformowane części świata, gdzie rzeki wypływają z twardej, czerwonej gleby, kierując się w doliny pokryte zielenią i drzewami. Morza rozciągają się na tysiące mil, powiększając, gdy olbrzymie maszyny napędzane helium-3 roztopiają podziemne lodowce. Czasami Harmony dotrzymuje mi towarzystwa w drugiej maszynie, więc mam się z kim ścigać.

Zmusza mnie do wyczerpanego wysiłku, a ja zastanawiam się, czy nie próbuje mnie czasem złamać. Nie pozwalam jej na to.

– Jeśli nie wymiotujesz na samą myśl o treningu, to znaczy, że się nie starasz.

Kolejne doby są wypełnione niewyobrażalnym bólem. Ciało boli mnie od stóp do głów. Różowi Mickeya masują mnie co dzień. Nie ma większej przyjemności na świecie niż to, ale po trzech dniach treningu z Harmony budzę się, wymiotując we własnym łóżku. Trzęsę się, dygoczę i słyszę przekleństwa.

– To zasługa nauki, ty podła mała wiedźmo – wrzeszczy Mickey. – Będzie dziełem sztuki, ale nie można wylewać wody na farbę, dopóki nie wyschnie. Nie zrujnuj go!

– Musi być idealny – mówi Harmony. – Tancerzu, jeśli będzie słaby w jakimkolwiek aspekcie, inne dzieci zarzną go jak nowego pierwszoroczniaka.

– To wy go zarzyniecie! – wyje Mickey. – Rujnujcie go! Jego ciało nie da rady znieść uszkodzenia mięśni.

– Ani razu nie sprzeciwił się terapii – przypomina mu Harmony.

– Dlatego że nie wie, że *może* się sprzeciwić! Tancerzu, ona nie ma zielonego pojęcia o biomechanice, która jest w to zaangażowana. Nie pozwól jej zniszczyć mojego chłopaka!

– To nie jest *twój chłopak!* – prychna szyderczo Harmony.

Głos Mickeya łagodnieje.

– Tancerzu, Darrow jest jak ogier, jeden z tych starych ogierów zamieszkujących Ziemię. Cudownych bestii, które pobiegną przed siebie tak daleko, jak im każesz. Będą biec. I biec. I biec. Aż w końcu ich serca eksplodują.

Na moment zapada cisza, a potem słychać głos Tancerza:

– Ares powiedział mi kiedyś, że to najgorętszy ogień formuje najsilniejszą stal. Nie przestawaj zmuszać chłopaka do wysiłku.

Po podsłuchaniu rozmowy jestem wściekły na obu moich nauczycieli: na Mickeya za myślenie, że jestem słaby, i na Tancerza za to, że wydaje mu się, iż jestem jego zabawką. Tylko Harmony mnie nie wkurza. W jej głosie i oczach wrze gniew, który sam odczuwam w głębi duszy. Może teraz ma przy sobie Tancerza, ale wiem, że kogoś straciła. Mówi mi to niepokryta bliznami część jej twarzy. Jest

równie zimna jak kosmos. Nie jest taktykiem tak jak Tancerz czy jego pan, Ares. Jest podobna do mnie – we wnętrzu cała kotłuje się z wściekłości, która sprawia, że wszystko inne jest bez znaczenia.

Tej nocy płaczę.

Przez kilka następnych dni faszerują mnie lekami przyspieszającymi syntezę białek i regenerację mięśni. Po tym, jak moja tkanka mięśniowa wygoiła się z początkowych urazów, zaczynają trenować mnie ostrzej niż przedtem. Nawet Mickey – którego oczy są okolone ciemnymi kręgami, a wąska twarz ma ziemisty kolor – nie protestuje. W ciągu tych paru tygodni stał się chłodniejszy. Już nie opowiada mi historii. Zupełnie jakby bał się tego, co stworzył.

Harmony i ja rozmawiamy niewiele, ale w naszej relacji nastąpiła subtelna zmiana, pewien rodzaj prymitywnego zrozumienia, że jesteśmy takimi samymi stworzeniami. Kiedy jednak moje ciało staje się silniejsze, Harmony nie jest już w stanie dotrzymać mi tempa, choć sama jest twardą kobietą. To dzieje się zaledwie po dwóch tygodniach. Przepaść między naszymi umiejętnościami stale się powiększa. Po upływie kolejnego miesiąca jest dla mnie jak dziecko. Pełne wdzięku, ale tylko dziecko. Małe. Słabe. Nadal szybkie. Bardzo szybkie. Ale to wszystko. Nawet wtedy ani na moment nie zwalniam.

Moje ciało zaczyna się zmieniać. Nabieram masy. Mięśnie stają się silne i dobrze widoczne w maszynie kondensującej, którą uzupełniają treningi z obciążeniami w zwiększonej grawitacji. Z początku czuję się, jakbym był miażdżony, i ledwie mogę przenieść ciężary z jednego końca pomieszczenia w drugi. Stopniowo moja siła wzrasta. Ramiona mam szersze, bardziej nabite. Widzę ścięgna wyrzuszające się na przedramionach. Zbita masa twardych mięśni tworzy mój tors, który staje się podobny do zbroi. Nawet moje ręce, które zawsze były silniejsze od reszty ciała, stają się jeszcze potężniejsze. Prostym ściśnięciem dłoni potrafię zetrzeć na proch kamień. Mickey podskoczył w miejscu, kiedy to zobaczył. Od tamtej pory już nikt nie podaje mi ręki.

Śpię w zwiększonej grawitacji, więc kiedy przemierzam powierzchnię Marsa, czuję się szybki, zwinny, bardziej sprawny niż kiedykolwiek. Kształtują się moje w lot reagujące mięśnie. Moje dłonie poruszają się jak dwie błyskawice, a gdy uderzają w worek treningowy, odskakuje daleko, jakby został trafiony miotaczem. Teraz mogę przebić go na wylot. Jestem w takiej formie, że o wiele wolniej się męczę. Czasami potrzeba trzydziestu minut, żebym zaczął się pocić przez swoją czerwoną opaskę na czole.

Moje ciało przemienia się w ciało Złotego, najlepszego z rodów. Nie Pixie czy Brązowego. To ciało rasy, która podbiła Układ Słoneczny. Moje dłonie to wybryki natury. Są gładkie, opalone i zwinne, jak u wszystkich Złoty. Jednak mają w sobie siłę idącą w sprzeczności z resztą mnie. Jeśli mam być ostrzem, to one są jego krawędziami.

Nie tylko moje ciało się zmienia. Zanim kładę się spać, piję tonik nafaszerowany wzmocniaczami i słucham nagrań *Kolorów*, *Iliady*, *Ulissesa*, *Metamorfoz*, sztuk tebańskich, *Smoczycy opowieści* oraz zakazanych dzieł takich jak *Hrabia Monte Christo*, *Władca much*, *Pokuta lady Casterly*, *Rok 1984* i *Wielki Gatsby*. Budzę się, znając trzy tysiące lat literatury, kodeksu prawa i historii. Efektem ubocznym są występujące czasami wielokrotne skurcze spowodowane „szokiem mózgu”, kiedy to wysyłam silny sygnał elektromagnetyczny. Mickey mówi, że przejdzie mi po jakimś czasie. Wszyscy

Złoci przechodzą przez ten proces jako dzieci. Nie ma długoterminowych udoskonaleń poznawczych, występuje tylko natychmiastowe przetwarzanie.

Mój ostatni dzień u Mickeya przychodzi dwa miesiące po ostatniej operacji. Harmony uśmiecha się do mnie po treningu, odstawiając do pokoju. W tle dudni muzyka. Tancerze Mickeya pójdą dziś na całość.

– Przyniosę ci ubranie, Darrow. Tancerz i ja chcemy zjeść z tobą kolację i świętować. Evey doprowadzi cię do porządku.

Zostawia mnie samego z Evey. Dziś, jak zawsze zresztą, jej twarz emanuje takim samym spokojem jak śnieg, który widziałem na hologramie. Obserwuję ją w lustrze, gdy przycina mi włosy. W pokoju jest ciemno, nie licząc światła nad lustrem. Świeci z góry, więc Evey wygląda jak anioł. Niewinny i czysty. Z tym że nie jest ani niewinna, ani czysta. Jest Różowa. Hodują ich do zaspokajania potrzeb, dla krągłości piersi i bioder, sprężystych, gładkich brzuchów i pełnych warg. Mimo to jest dziewczyną, a jej iskra jeszcze się nie wypaliła. Pamiętam ostatni raz, kiedy próbowałem ochronić kogoś takiego jak ona.

A ja? Trudno mi patrzeć na siebie w lustrze. Wyglądam jak sam diabeł. Jestem uosobieniem arogancji i okrucieństwa, takim samym człowiekiem, jaki zabił moją żonę. Jestem Złotym. I jestem równie zimny jak złoto.

Moje oczy lśnią jak jego sztabki. Skórę mam gładką i nieskazitelną. Moje kości są silniejsze. Czuję zwarte mięśnie na swojej smukłej klatce piersiowej. Gdy Evey kończy obcinać złociste włosy, odsuwa się o krok i patrzy na mnie. Czuję jej strach i doświadczam go także w głębi siebie. Nie jestem już człowiekiem. Fizycznie stałem się czymś zupełnie innym.

– Jesteś piękny – mówi cicho Evey, dotykając moich złotych Sigili. Są o wiele mniejsze od jej pierzastych skrzydeł. Krąg jest widoczny na środku grzbietu każdej z dłoni. Skrzydła zataczają koła po skórze, zakrzywiając się jak kosy po obu bokach nadgarstków.

Patrzę na białe skrzydła Evey i wiem, jak bardzo musi ich nienawidzić. Chcę jej powiedzieć coś miłego. Chcę, żeby się uśmiechnęła, o ile potrafi. Powiedziałbym jej, że jest piękna, ale ona żyje w świecie, w którym mężczyźni mówią to stale dla swoich korzyści. Nie uwierzyłaby chłopakowi takiemu jak ja. A ja nie wierzę w to, co powiedziała. Eo była piękna. Nadal pamiętam rumieńce na jej policzkach, kiedy tańczyła. Miała w sobie wszystkie żywe kolory życia, nieokrzeseane piękno natury. Ja jestem tylko ludzkim pojęciem piękna. Gładkim i wypolerowanym Złotym wtłoczonym w ludzką formę.

Evey całuje mnie w czubek głowy, a potem odsuwa się szybko i zostawia mnie samego, oglądającego ekran hologramu w odbiciu lustra. Nie zauważyłem, kiedy wsunęła mi pióro ze swoich skrzydeł do kieszeni na piersi.

Jestem zmęczony oglądaniem. Znam już ich historię i każdego dnia uczę się coraz więcej. Ale męczy mnie przebywanie w środku, słuchanie dudniącej muzyki klubu Mickeya i zapach miętowych liści, które pali. Męczy mnie widok dziewczyn, jakie sprowadza do swojej rodziny tylko po to, by

sprzedać je komuś, kto zapłaci odpowiednią cenę. Jestem zmęczony patrzeniem, jak ich pełne życia oczy stają się puste. To nie jest Lykos. Tu nie ma miłości, rodziny ani zaufania. To miejsce jest chore.

– Mój chłopcze, wyglądasz na odpowiednią osobę do dowodzenia flotą statków szturmowych – mówi Mickey od drzwi. Wsuwa się do środka, pachnąc swoimi papierosami. Patykowatymi palcami wyjmuję pióro Evey z mojej kieszeni i obraca w tę i z powrotem. Dotyka nim moich złotych Sigili. – Skrzydła to moi ulubieńcy. Twój też? Stanowią o lepszych aspiracjach ludzkości.

Staje za mną, gdy siedzę, gapiąc się w lustro. Kładzie mi dłonie na ramionach i opiera podbródek na mojej głowie, jakbym był jego własnością. Z łatwością to dostrzegam. Lewą dłonią dotykam Sigila na prawej.

– Mówiłem ci, że byłeś wspaniały. Teraz nadszedł moment, żebyś odleciał.

– Dajesz dziewczynom skrzydła, ale nie pozwalasz im latać.

– Niemożliwością jest sprawić, by *one* zaczęły latać. Są prostszymi stworzeniami od ciebie. Ponadto nie stać mnie na licencję na buty grawitacyjne. Więc tańczą dla mnie. Ich kości nie są puste jak u ptaków – tłumaczy Mickey. – Była kiedyś jedna, którą taką uczyniłem. Navia. I wiesz, co się z nią stało? Nie potrafiła latać. One nie mają do tego odpowiednich warunków fizycznych. Ale ty polecisz wysoko, prawda, mój wspaniały chłopcze?

Wpatruję się w niego natarczywie, ale nie mówię ani słowa. Jego usta rozciągają się w uśmiechu, ponieważ udało mi się wytrącić go z równowagi. Zawsze tak jest.

– Boisz się mnie? – pytam.

Mickey wybucha śmiechem.

– Czyżby? Oho! Naprawdę tak uważasz, mój chłopcze?

– Tak. Przywykłeś do tego, że wiesz, co jest czym. Twój tok rozumowania jest taki sam, jak ich. – Kiwam głową w stronę odbicia hologramu. – Myślisz, że wszystko zostało na zawsze utrwalone. Że sprawy są uporządkowane. Czerwoni na dole, a wszyscy inni stoją na naszych plecach. A teraz patrzysz na mnie i uświadamiasz sobie, że za cholere nie podoba się nam tam, na dole. Czerwoni się buntują, Mickey.

– Och, masz przed sobą jeszcze daleką drogę do...

Wyciągam rękę i chwytam go za nadgarstek tak, że nie może się ruszać. Gapi się na mnie w odbiciu lustra, próbując się uwolnić. Lecz nie ma nic silniejszego od uścisku Helldivera. Uśmiecham się do lustra, patrząc złotymi oczami prosto w jego fioletowe. Cuchnie strachem. Prymitywnym przerażeniem. Zupełnie jak mysz zapędzona przez lwa w pułapkę.

– Bądź dobry dla Evey, Mickey. Nie każ jej tańczyć. Masz jej zapewnić wygodne życie, bo w przeciwnym razie wrócę tu i wyrwę ci rękę.

Rozdział trzynasty
Złe rzeczy

Matteo jest wysokim, smukłym jak trzcina Różowym z długimi kończynami, obdarzonym drobną, piękną twarzą. Jest niewolnikiem. A raczej był niewolnikiem cielesnych rozkoszy. Mimo to paraduje jak lord. W jego chodzie widać piękno. Maniery i wdzięk emanują z każdego machnięcia dłonią. Ma nawyk noszenia rękawiczek i prychnania na nawet najmniejszą plamkę brudu. Pielęgnacja ciała to jego życiowy cel. Nie widzi więc w tym nic dziwnego, kiedy pomaga mi nałożyć środek niszczący cebulki włosów na ręce, nogi, tors i części intymne. Za to ja jestem zdziwiony. Kiedy kończymy, obaj przeklinamy – ja z powodu pieczenia, a on uderzenia, jakie wymierzyłem mu w ramię. Zwichnąłem je przypadkowo, zadając zwykły cios. Nadal nie znam swoich możliwości. W dodatku Żłoci robią tak, że ich Różowi są krusi i delikatni. Jeśli Matteo jest różą, to ja jestem kolcami.

– Jesteś teraz łysy jak niemowlak, narwany dzieciaku – wzdycha Matteo odpowiednio do sytuacji. – Tak jak wymagają tego *najnowsze* trendy na Lunie. *Teraz* wystarczy tylko trochę wyregulować brwi – och, twoje wyglądają jak wielkie gąsienice skubiące grzyby – usunąć zbędne owłosienie w nosie, wyciąć skórki przy paznokciach, wybielić te gładkie, nowe zęby – które, o ile mogę się tak wyrazić, są żółte jak musztarda... Powiedz, czy kiedykolwiek szczotkowałeś swoje nowe zęby? Do tego usunięcie zaskórników, co będzie przypominać nieco dłubanie w poszukiwaniu helium-3, opalenizna, zastrzyki z melatoniny i będziesz wyglądał jak nowo narodzony.

Prycham pogardliwie na te wszystkie głupoty.

– Przecież wyglądam już jak Żłoty.

– Wyglądasz jak Brązowy! Jak fałszywy Złoty! Jeden z tych nisko urodzonych łajdaków, którzy wyglądają bardziej na khaki niż Złotych. Musisz być idealny.

– Cholerny z ciebie głupek, Matteo.

Daje mi klapsa.

– Uważaj na słowa! Złoty prędzej by umarł, niż użył w rozmowie tego obrzydliwego slangu rodem z kopalni. Masz mówić „niech to szlag” i „pieprzyć” zamiast „cholera”. Za każdym razem, gdy powiesz „cholerny”, strzelę cię nie w twoją niewyparzoną gębę, tylko w usta. A jeśli powiesz „cholera” albo „morda”, kopnę cię między nogi – a na pewno się zorientuję, kiedy to zrobisz. Tak samo postąpię, jeśli nie pozbędziesz się tego *okropnego* akcentu. Mówisz, jakbyś urodził się na pieprzonym śmietniku.

Marszczy brwi i opiera dłonie na swoich wąskich biodrach.

– Później będziemy musieli nauczyć cię manier. I kultury. Kultura jest najważniejsza, *przyjacielu*.

– Posiadam maniery.

– Na Stwórcę, wyplenimy z ciebie ten akcent tak samo, jak przeklinanie.

Obszturkuje mnie, wyliczając moje wady.

– Może sam spróbujesz nauczyć się manier, *dupku* – warczę.

Ściąga jedną z moich rękawic i uderza mnie nią w twarz, a potem bierze do ręki butelkę i przyciska mi do gardła. Śmieję się.

– Wkrótce będziesz musiał odzyskać swój refleks Helldivera, żeby pasował do tego nowego, niezdarnego ciała.

Mierzę wzrokiem butelkę.

– Chcesz mnie zaszturchać na śmierć?

– To miecz polienowy. Innymi słowy, kosa. W jednej chwili jest mięciutki jak włosy, ale pod wpływem organicznego impulsu staje się twardszy od diamentu. To jedyna rzecz, jaka jest w stanie przebić się przez tarczę pulsacyjną. W jednej sekundzie bat, w drugiej idealny miecz. To broń dżentelmena. Złotego. Dla każdego innego Koloru noszenie jej oznacza śmierć.

– To zwykła butelka, ty stuknięty...

Wbija mi ją w gardło tak, że zaczynam się dławić.

– To twoje maniery zmusiły mnie do wyciągnięcia mojego ostrza i rzucenia ci wyzwania, a tym samym drastycznego zakończenia twego beczelnego żywota. Może i walczyłeś pięściami za swój

honor w tej norze, którą nazywasz domem, ale wtedy byłeś zwykłym robakiem. Mrówką. Aureaci walczą na noże nawet z powodu najmniejszej prowokacji. Nie masz zielonego pojęcia o ich honorze. Twój jest osobisty, a ich osobisty, rodzinny i planetarny. To wszystko. Walczą o wysokie stawki i nie wybaczą, gdy dochodzi do rozlewu krwi. Nie mówiąc już o Niezrównanych Naznaczonych. Maniery, *przyjacielu*. Maniery będą cię chronić do momentu, w którym będziesz w stanie ochronić się przed butelką *szamponu*.

– Matteo... – mówię, pocierając gardło.

– Tak? – wzdycha.

– Co to jest szampon?

Kolejny okres w pracowni Mickeya spędziłem po opieką Matteo. Mickey przynajmniej się mnie bał. Matteo nie szczędzi mi szyderstw i kpin, które normalnie by mi nie przeszkadzały, o ile mógłbym uderzyć tego kościstego faceta, ale gdybym to zrobił, uszkodziłbym go. Mimo wszystkich wycelowanych we mnie uwag darzę go sympatią. Ze swoim sprytem i energią przypomina mi Lorana, z dodatkiem zrzędzenia wujka Narola. Tęsknię za nimi.

Następnego ranka Tancerz próbuje zmienić mi imię.

– Zostaniesz synem względnie mało znanej rodziny z odległego roju asteroid. Wkrótce twoja rodzina zginie w wypadku okrętu. Ty jesteś jedynym ocalałym i spadkobiercą ich długów. Od teraz nazywasz się Caius au Andromedus.

– Pieprzyć to – mówię. – Będę się nazywał Darrow albo wcale.

Tancerz drapie się po głowie.

– Darrow to... dziwne imię.

– Kazałeś mi wyrzec się włosów po ojcu, oczu po matce i Koloru, z jakim się urodziłem, więc przynajmniej zatrzymam dawne imię.

– Wolałem, gdy nie zachowywałeś się jak Złoty – narzeka Tancerz.

– Kluczem do zachowania się przy posiłku jak Aureat jest jedzenie powoli – mówi Matteo, gdy siedzimy razem przy stole w apartamencie, w którym Tancerz po raz pierwszy pokazał mi świat. – Zostaniesz zaproszony na wiele uczt w stylu Trymalchiona. W takich przypadkach zaserwują siedem dań – aperitif, zupa, ryba, mięso, sałatka, deser oraz libacje.

Wskazuje małą tacę ze srebrną zastawą i tłumaczy różne metody posługiwania się każdym ze sztuców.

– Jeśli musisz skorzystać z toalety w trakcie posiłku, powstrzymujesz się od tego. Kontrolowanie funkcji ciała to coś, czego oczekuje się po Złotym.

– Chcesz powiedzieć, że tym mięczakom nie wolno srać? Ciekawe, czy jak już to robią, wychodzi złote.

Matteo strzela mnie w policzek rękawiczką.

– Jak jesteś taki chętny, żeby znów zobaczyć czerwień, wysuń język w ich obecności, *przyjacielu*, a oni z radością przypomną ci, na jaki kolor krwawią wszyscy ludzie. Maniery i samokontrola! Nie masz ani jednego, ani drugiego. – Kręci głową. – A teraz powiedz mi, do czego używa się tego widelca.

Chcę mu powiedzieć, że do dłubania w tyłku, ale wzdycham i podaję poprawną odpowiedź:

– Do ryby, ale tylko wtedy, gdy ości nadal są w mięsie.

– Jak dużo ryby możesz zjeść?

– Całą – zgaduję.

– Nie! – krzyczy. – Czy ty w ogóle mnie słuchasz? – Małymi dłońmi chwyta się za włosy i bierze głęboki wdech. – Muszę ci przypominać? Istnieją Brązowi. Istnieją Żłoci. Są też Pixie.

Resztę zdania pozostawia mnie.

– Pixie nie mają nad sobą żadnej kontroli – mówię. – Przyjmują wszelkie dobrodziejstwa mocy, ale nie robią nic, żeby na nie zasłużyć. Gonią za przyjemnościami. Dobrze?

– Nie *dobrze*, tylko świetnie. A teraz powiedz, czego oczekuje się od Żłotego? Od Niezrówanego Naznaczonego?

– Perfekcji.

– To znaczy?

Mój głos jest zimny, gdy naśladowuję Żłoty akcent.

– To oznacza kontrolę, *przyjacielu*. Samokontrolę. Wolno mi zaspokajać swoje potrzeby tak długo, jak nie pozwalam im przejąć kontroli nade mną. Jeśli istnieje sposób na zrozumienie Aureatów, to jest nim zrozumienie kontroli we wszystkich jej formach. Zjedz rybę i zostaw dwadzieścia procent na talerzu, żeby pokazać, iż jej smakowitość nie zdominowała twojej determinacji i nie uczyniła cię niewolnikiem kubków smakowych.

– A więc jednak słuchałeś.

Tancerz znajduje mnie następnego dnia, gdy ćwiczę akcent w hololustrze apartamentu. Widzę przed sobą trójwymiarowy obraz swojej głowy. Zęby poruszają się dziwnie, zaczepiając o język, gdy próbuję wymawiać słowa. W dalszym ciągu przyzwyczajam się do swojego ciała, choć od ostatniej operacji upłynęło wiele miesięcy. Moje zęby są większe, niż mi się na początku wydawało. Nie

pomaga również fakt, że Złoci mówią, jakby mieli złote kije wepchnięte w cholerne tyłki. Odkrywam, że łatwiej mówi mi się jak jeden z nich, gdy widzę, że wyglądam jak jeden z nich. Arogancja przychodzi wtedy łatwiej.

– Zmiękczy „r” – mówi Tancerz. Siedzi i obserwuje z uwagą, gdy czytam z podkładki. – Udawaj, że na początku każdego z nich jest „h”. – Jego papieros przywraca wspomnienia o domu, a ja przypominam sobie, jak ArcyGubernator Augustus wyglądał w Lykos. Przypominam sobie jego spokój. Cierpliwą protekcyjność. Uśmiezek. – Wydłuż „l”.

– *Czy to cała siła, jaką masz?* – mówię do lustra.

– Idealnie – chwali mnie Tancerz. Klepie zdrową ręką o kolano.

– Niedługo będę śnił jak cholerny Złoty – mówię z odrazą.

– Nie powinieneś mówić „cholerny”. Mów „szlag” albo „pieprzyć”.

Rzucam mu mordercze spojrzenie.

– Gdybym zobaczył się na ulicy, zniechęciłbym się. Chwyciłbym za slinga, rozplątał na pół i spalił trupa. Eo zwiymiotowałyby na mój widok.

– Nadal jesteś młody – śmieje się Tancerz. – Boże, czasem zapominam, jak bardzo. – Wyjmuje flaszkę z buta i wypija kilka haustów, po czym podaje ją mnie.

Wybucham śmiechem.

– Kiedy ostatnim razem piłem, wujek Narol nafaszerował mnie środkami odurzającymi. – Upijam łyk. – Może zapomniawsz już, jak jest w kopalniach. Nie jestem młody.

Tancerz marszczy brwi.

– Nie chciałem cię obrazić, Darrow. Chodzi o to, że rozumiesz, co masz zrobić. Wiesz, dlaczego masz to zrobić. Mimo to nadal nie masz dystansu i osądzasz się. W tej chwili prawdopodobnie mdli cię na swój własny widok. Racja?

– Racja. – Upijam potężny haust.

– A ty tylko odgrywasz pewną rolę, Darrow. – Pstryka palcem, a zakrzywione ostrze wysuwa się z pierścienia na jego palcu. Mój refleks jest na tyle szybki, że mógłbym wbić ostrze w jego gardło, gdybym uznał, że chce zrobić mi krzywdę. Zamiast tego pozwalam, by przejechał nim po moim palcu wskazującym. Ukazuje się kropla krwi. Czerwonej krwi. – Na wypadek gdybyś potrzebował przypomnienia, kim naprawdę jesteś.

– Pachnie jak w domu – mówię, ssąc palec. – Mama robiła krwistą polewkę z jaskiniowych zmij. Prawdę mówiąc, nie była aż taka zła.

– Maczaliście w niej chleb z siemieniem lnianym i posypywaliście ketmią?

– Skąd wiesz?

– Moja mama robiła to samo – śmieje się Tancerz. – Jedliśmy to na Święto Tańca albo przed Świętem Lauru, kiedy ogłaszali zwycięzcę. Zawsze pokonywaliśmy Gamma.

– Za Gamma – śmieję się i upijam kolejny łyk.

Tancerz przygląda mi się. Uśmiech w końcu znika z jego twarzy, a oczy stają się zimne.

– Matteo nauczy cię jutro, jak tańczyć.

– Myślałem, że ty się tym zajmiesz.

Tancerz klepie się po chorej nodze.

– Minęło sporo czasu, odkąd to robiłem. Byłem najlepszym tancerzem na Oikos. Poruszałem się jak wiatr w tunelach. Wszyscy nasi najlepsi tancerze byli Helldiverami. Ja byłem nim przez kilka lat.

– Domyśliłem się tego.

– Jak?

Pokazuję ręką na jego blizny.

– Tylko Helldiver mógł zostać pokąsany tak wiele razy i nie mieć w pobliżu nikogo z załogi, kto pomógłby odpędzić żmije. Ja też zostałem ugryziony. Mam przez to większe serce.

Tancerz kiwa głową, a jego wzrok staje się odległy.

– Wpadłem do gniazda, gdy naprawiałem łożysko kulkowe w świdrze. Pełzały po jednym z traktów, a ja ich nie zauważyłem. Były z tego niebezpiecznego gatunku.

Rozumiem, co ma na myśli.

– Były młode – mówię.

Kiwa twierdząco głową.

– Młode mają mniej jadu. O wiele mniej w porównaniu z rodzicami, więc nie zamierzały składać jaj w moim brzuchu. Ale kiedy zaczęły mnie kąsać, robiły to z całą zajadłością, na jaką było je stać. Na szczęście mieliśmy ze sobą antidotum. Wyhandlowaliśmy je od Gamm.

W Lykos nie mamy żadnego antidotum.

Pochyla się w moją stronę.

– Wrzucamy cię w gniazdo młodych żmij, Darrow. Pamiętaj o tym. Rekrutacja zaczyna się za trzy miesiące od teraz. Będę uczył cię razem z Matteo. Jeśli nie oduczysz się osądzania samego siebie, jeśli nadal będziesz nienawidził swojego nowego ciała, wtedy oblejesz test albo gorzej – zdasz, popełnisz jakiś błąd, a oni odkryją, kim jesteś. Wtedy wszystko pójdzie na marne.

Wiercę się na swoim siedzeniu. Po raz pierwszy czuję w głębi inny strach – nie z powodu stania się czymś, czego nie rozpoznałaby Eo – ale bardziej pierwotny strach, śmiertelny strach przed moimi wrogami. Jacy oni będą? Już słyszę ich drwiny i pogardliwe uwagi.

– To bez znaczenia, czy się dowiedzą. – Klepię Tancerza po kolanie. – Już i tak wszystko mi zabrali. Właśnie dlatego jestem bronią, której możesz użyć.

– Mylisz się – odparowuje Tancerz. – Wykorzystamy cię, ponieważ jesteś czymś więcej niż bronią.

Gdy umarła twoja żona, nie podarowała ci powodu do zemsty. Podarowała ci swoje marzenie. Jesteś jego powiernikiem. Jego sprawcą. Więc nie pluj jadem i nie pałaj nienawiścią. Nie walczysz przeciwko nim, bez względu na to, co mówi Harmony. Walczysz *za* marzenia Eo, *za* swoją rodzinę, która nadal żyje, *za* swój lud.

– Czy to opinia Aresa? To znaczy twoja?

– Nie jestem Aresem – przypomina mi Tancerz. Nie wierzę mu. Widzę sposób, w jaki patrzą na niego jego ludzie, nawet Harmony darzy go szacunkiem. – Zajrzyj w głąb siebie, Darrow, a zdasz sobie sprawę, że jesteś dobrym człowiekiem, który będzie musiał robić złe rzeczy.

Moje pozbawione blizn dłonie są obce, kiedy zaciskam je w pięści tak mocno, że kostki przybierają znajomy odcień bieli.

– I to jest właśnie coś, czego nie rozumiem. Skoro jestem dobrym człowiekiem, to czemu chcę robić złe rzeczy?

Rozdział czternasty

Andromedus

Matteo nie potrafi nauczyć mnie tańczyć. Pokazuje mi, jak wygląda każdy z pięciu głównych tańców Aureatów i mamy to już za sobą. W tańcach Złotych kładzie się większy nacisk na partnera niż w tych, których nauczył mnie wujek, ale ruchy są podobne. Wykonuję wszystkie pięć lepiej, niż potrafi Matteo. Żeby się popisać, zawiązuję oczy przepaską i tańczę wszystkie od nowa z pamięci, bez muzyki. Wujek Narol nauczył mnie tańczyć, a po setkach nocy wypełnionych jedynie tańcem

i śpiewem jestem mistrzem w odtwarzaniu ruchów mojego ciała, nawet tego nowego. Potrafię rzeczy, których nie umiało stare. Włókna mięśni kurczą się inaczej, ścięga rozciągają dalej, a nerwy odczuwają mocniej. Czuję przyjemne palenie w mięśniach, gdy płynę w powietrzu.

Jeden z tańców, Polemidy, jest pełen nostalgii. Matteo każe mi trzymać batutę, a ja obracam się i wiruję z nią, zupełnie jakbym walczył na miecze. Gdy moje ciało się porusza, słyszę echa przeszłości. Czuję wibrowanie kopalni, zapach mojego klanu. Widziałem już kiedyś ten taniec i wykonuję go lepiej niż wszyscy inni. To taniec, do którego moje ciało jest stworzone, niesamowicie podobny do nielegalnego Tańca Śmierci.

Gdy kończę, Matteo jest wściekły.

– Czy to jakaś gra z twojej strony? – burczy.

– Co masz na myśli?

Piorunuje mnie wzrokiem i klepie się po stopie.

– Nigdy nie przekroczyłeś granic kopalni?

– Znasz odpowiedź.

– Nigdy nie walczyłeś na miecze ani nie posługiwałeś się tarczą?

– Owszem, walczyłem. Co więcej, byłem kapitanem gwiazdowego krążownika i jadałem z Pretorami. – Wybucham śmiechem i pytam, o co mu chodzi.

– To *nie* jest gra, Darrow.

– Czy powiedziałem, że jest? – Jestem zmieszany. Co takiego zrobiłem, żeby go sprowokować? Popelniam błąd, wybuchając śmiechem, żeby zmniejszyć napięcie.

– Śmiejesz się? Chłopcze, będziesz musiał sobie poradzić z Elitą, a ty się śmiejesz? Oni nie są jakimś odległym tworem wyobraźni. To zimna rzeczywistość. Jeśli odkryją, kim jesteś, nie powieszają cię. – Na jego twarzy pojawia się wyraz zagubienia, gdy to mówi. Zupełnie jakby wiedział za dużo.

– Wiem.

Ignoruje mnie.

– Obsydiani złapią cię i oddadzą w ręce Białych, a potem zabiorą do mrocznych cel, gdzie będą torturować. Wyłupią ci oczy i obetną wszystko, co czyni z ciebie mężczyznę. Stosują bardziej wyrafinowane metody, ale domyślam się, że wydobyć z ciebie informacji nie będzie ich jedynym celem. Do zwykłych przesłuchań mają chemikalia. Wkrótce po tym, jak powiesz im wszystko, zabiją mnie, Harmony i Tancerza. Potem zabiją twoją rodzinę laserowymi mieczami i zmiażdżą głowy twoich siostrzenic i bratanków. To nie są rzeczy, jakie pokazuje się na hologramach. To konsekwencje sytuacji, w której władcy planet są twoimi wrogami. *Planet*, chłopcze.

Czuję dreszcz strachu przebiegający po plecach. Wiem to. Dlaczego Matteo nie przestaje mi wbijać do głowy tych wszystkich rzeczy? Już się boję. Nie chcę, ale nic na to nie poradzę. Powierzona mi misja zaczyna pochłaniać mnie w całości.

– Więc zapytam cię ponownie. Czy jesteś tym, za kogo uważa cię Tancerz?

Milknę. *A więc to tak.* Zakładałem, że wśród Synów Aresa zaufanie jest głębokie, że myślą tak samo. Teraz widzę rysę na tym wizerunku, podział. Matteo jest sojusznikiem Tancerza, ale nie przyjacielem. Coś w moim tańcu kazało mu zastanowić się jeszcze raz. Wtedy to sobie uświadamiam. Matteo nie widział, jak rzeźbił mnie Mickey. Wierzy na słowo, że byłem kiedyś Czerwonym i jak musiało być to trudne. Coś w moim tańcu sprawiło, że uznał, iż urodziłem się, żeby to zrobić. To ma coś wspólnego z ostatnim tańcem, tym, który nazwał Polemidami.

– Jestem Darrow, syn Dale'a, Helldiver z klanu Lambd z Lykos. Nigdy nie byłem nikim innym, Matteo.

Matteo krzyżuje ramiona na piersi.

– Jeśli mnie okłamujesz...

– *Nie okłamuję sprzymierzeńców.*

Później tego samego dnia szukam informacji na temat tańców. „Polemidy” to po grecku „dzieci wojny”. To taniec, który przypominał mi o tańcach wujka Narola. To taniec wojenny Złotych, taki, którego uczą dzieci, by poznały tajniki sztuki wojennej i nauczyły się korzystać z miecza. Oglądam hologram z bitwy Złotych, a serce zamiera mi w piersi. Walczą jak letnia nawałnica. Nie jak ryczący, monstrialni Obsydiani, lecz jak ptaki prujące w powietrzu. Walczą w parach, gwałtownie skręcając, tańcząc, zabijając, przedzierając się przez zaporę z Obsydianów i Szarych, jakby bawili się mieczami, a wszystkie ciała upadające na ziemię były kłosami rozsiewającymi krew zamiast ziaren. Ich złociste zbroje lśnią. Ich miecze błyskają. To bogowie, nie ludzie.

I ja mam ich zniszczyć?

Tej nocy śpię kiepsko w swoim łóżu z jedwabiu. Długo po pocałowaniu pączka haemanthusa Eo zasypiam i śnię o ojcu i o tym, jak by to było mieć go przy sobie w trakcie dorastania, nauczyć się tańca od niego zamiast jego pijanego brata. Ściskam szkarłatną opaskę w dłoni, gdy się budzę. Trzymam ją równie czule, jak ślubną obrączkę. Te wszystkie rzeczy przypominają mi o domu.

Jednak to za mało.

Boję się.

Tancerz znajduje mnie rano na śniadaniu.

– Ucieszysz się pewnie, gdy ci powiem, że nasi hakerzy spędzili dwa tygodnie na włamywaniu się do bazy danych Zarządu Kontroli Jakości, by zmienić Caius au Andromedus na Darrow au Andromedus.

– Świetnie.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? Czy ty wiesz, jak bardzo... zresztą nieważne. – Potrząsa głową i chichocze. – Darrow. To takie mało Kolorowe imię. Ludzie będą kręcić nosami.

Wzruszam ramionami, żeby ukryć swój strach.

– Więc schrzanię ten ich pieprzony test, a oni będą mieli to gdzieś.

– Mówisz jak Złoty.

Następnego dnia Matteo zabiera mnie statkiem do stajni Ishtar, niedaleko Yorkton. To miejsce nad morzem, gdzie zielone pola rozciągają się nad falującymi wzgórzami. Nigdy wcześniej nie byłem w takim rozległym miejscu. Nigdy nie widziałem, by ziemia rozciągała się tak daleko ode mnie. Nigdy nie widziałem prawdziwego horyzontu ani zwierząt tak przerażających, jak bestie, które Matteo kazał przyprowadzić na naszą lekcję. Tupią, stąpają, parskają, machając ogonami i obnażając monstrualne żółte zębiska. Konie. Od zawsze bałem się koni, pomimo opowieści Eo o Andromedzie.

– To potwory – szepczę do Matteo.

– Mimo to – odpowiada – jazda konna jest obowiązkiem każdego dżentelmena. Musisz dobrze jeździć, bo inaczej zostaniesz ośmieszony w trakcie jakiejś oficjalnej sytuacji.

Obserwuję innych jeżdżących obok Złotych. Dzisiaj jest ich w stajni tylko trójka. Każdemu towarzyszy służący taki jak Matteo, sami Różowi i Brązowi.

– Sytuacja taka jak ta? – syczę do niego. – Dobrze, dobrze. – Wskazuję na masywnego, czarnego ogiera, orzącego kopytami ziemię. – Wezmę tego.

Matteo się uśmiecha.

– Nie. Ten bardziej pasuje do twoich warunków.

Daje mi kucyka. Wielkiego kucyka, ale w dalszym ciągu kucyka. Nie zachodzi tutaj żadna interakcja. Pozostali jeźdźcy truchtają i kiwają głowami na powitanie, ale to wszystko. Ich uśmiechy wystarczają jednak, bym wiedział, jak idiotycznie wyglądam. Niezbyt dobrze znoszę jazdę. Jest jeszcze gorzej, gdy mój wierzchowiec skacze naprzód, a Matteo i ja kierujemy się w stronę zagajnika. Po drugiej stronie drzew zeskakuję ze zwierzęcia i ląduję zwinnie na trawie. Ktoś śmieje się w oddali. Dziewczyna z długimi włosami. Jedzie na ogierze, którego chciałem wybrać.

– Może powinieneś trzymać się miasta, Pixie – krzyczy w moją stronę, a potem dźga konia ostrogami i odjeżdża. Podnoszę się z kolan i patrzę, jak znika w oddali. Włosy rozsypują się jej na plecach, bardziej złociste niż zachodzące słońce.

Mój test rozpoczyna się dwa miesiące po treningu umysłu z Tancerzem. Niczego nie zapamiętuję. Tak naprawdę niczego się nie uczę, kiedy jestem z nim. Jego nauczanie polega na tym, żeby pomóc mojemu mózgowi dostosować się do zmian we wzorach. Na przykład, jeśli grawitacja została nagle odwrócona, większość mózgów nie potrafiłaby zrozumieć ani modyfikować zmian w przykładach. Mój przetwarza, systematyzuje i kalkuluje. Kolejny przykład. Jeśli ryba ma trzy tysiące czterysta pięćdziesiąt trzy łuski po lewej stronie i trzy tysiące czterysta pięćdziesiąt trzy łuski po prawej, to która ze stron ma więcej łusek? Zewnętrzna. Nazywają to myśleniem ekstrapolacyjnym. To stąd wiedziałem, że powinienem zjeść kartę z kosą, gdy po raz pierwszy spotkałem Tancerza. Jestem w tym bardzo dobry.

Ironią jest fakt, że Tancerz i jego przyjaciele potrafią stworzyć dla mnie fałszywą historię, fałszywą rodzinę, fałszywe życie, ale nie potrafią sfabrykować moich testów. Po upływie trzech miesięcy od rozpoczęcia treningu zdaję test w jasnym pokoju obok hałaśliwej, myszowatej Złotej, która bez przerwy stuka swoim rylcem w jadesitową bransoletę. Z tego, co wiem, ona również może stanowić część testu. Kiedy nie patrzy, wyrywam rylec z jej palców i chowam go w rękawie. Jestem Helldiverem z Lykos, więc potrafię ukraść głupi rylec dziewczynie tak, żeby nawet się nie zorientowała, że to zrobiłem. Gapi się dokoła, jakby właśnie ktoś odprawił magiczną sztuczkę. Później zaczyna wyc. Gdy nie dają jej kolejnego rylca, dziewczyna zanosi się płaczem. Po wszystkim jeden z Cenzorów patrzy na swoją podkładkę i przewija nagranie na nanokamerze. Patrzy na mnie i uśmiecha się. Najwidoczniej takie zalety są godne podziwu.

Inna Złota nie zgadza się z nim i szepcze mi szydzącym głosem do ucha „rzeźnik”, mijając mnie w korytarzu. Matteo zakazał mi odzywać się do kogokolwiek, bo nie jestem jeszcze gotowy na udzielanie się towarzysko, więc ledwie udaje mi się zdusić odpowiedź w Czerwonym stylu. Obracam słowo w myślach. Rzeźnik. Morderca. Przebiegły. Bezwzględny. Wszystkie opisują to, co

o mnie myśli. Zabawne, że większość Złotych wzięłaby to określenie za wyraz uznania.

Zwraca się do mnie czyjś muzykalny głos:

– Wydaje mi się, że właśnie powiedziała ci komplement. Więc nie miej jej tego za złe. Jest apetyczna jak brzoskwinka, ale zgniła od środka. Któregoś razu wzięłem jednego kęsa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Okazał się całkiem smaczny, ale cuchnący. Niezła z niej sztuka. Chciałem własnoręcznie wydłubać oczy tej idiotce.

Dźwięczny głos wydobywa się z ust młodego mężczyzny wziętego żywcem z greckich opowieści. Ocieka arogancją i pięknem. Zapewne odebrał nieskazitelne wychowanie. Nigdy wcześniej nie widziałem tak szerokiego i białego uśmiechu, skóry tak gładkiej i połyskliwej. Uosabia wszystko, czym gardzę.

Klepie mnie po ramieniu i ściska moją dłoń w jeden z kilku sposobów półformalnego powitania. Odwzajemniam się tym samym. On również ma mocny chwyt, ale kiedy próbuje narzucić dominację, ściskam jego dłoń do momentu, w którym jej nie wyrywa. Widzę błysk zmartwienia w jego oczach.

– Na Boga, masz rękę jak imadło! – chichocze. Przedstawia się bardzo szybko jako Cassius, a ja mam szczęście, że nie daje mi czasu na rozwinięcie się, bo jego brwi marszczą się na dźwięk mojego głosu. Mój akcent nadal nie jest doskonały.

– Darrow – powtarza. – Cóż, to raczej mało Kolorowe imię. Och... – Zerka na swoją elektroniczną podkładkę, czytając moje dane osobowe. – Cóż, tak naprawdę nie pochodzisz od nikogo ważnego. Mieszkaniec dalekiej planety. Nic dziwnego, że Antonia potraktowała cię z pogardą. Posłuchaj, wybaczę ci to pod warunkiem, że powiesz mi, jak poradziłeś sobie na teście.

– Och, ty wybaczysz mi?

Ściąga brwi.

– Próbuję być miły. My, Bellona, nie jesteśmy reformatorami, ale wiemy, że wartościowi ludzie mogą się wywodzić z niskiego rodu. Współpracuj ze mną, stary.

Widząc sposób, w jaki na mnie patrzy, czuję potrzebę sprowokowania go. Muszę się powstrzymać.

– Cóż, ośmielę się powiedzieć, że oczekiwałem, iż test będzie trudniejszy. Możliwe, że opuściłem jedno pytanie o świece, ale poza tym...

Cassius obserwuje mnie z wyrozumiałym uśmiechem. Jego żywe oczy tańczą po mojej twarzy, a ja zastanawiam się, czy jego matka zakręca mu co rano włosy na złotych żelazkach.

– Z dłońmi takimi jak twoje, musisz być niepokonany w walce na noże – mówi zachęcająco.

– Jestem całkiem niezły – kłamię. Matteo nie pozwalał mi ich dotykać.

– Co za skromność! Wychowali cię kapłani czy co? Nieważne. Po teście fizycznym idę na Ageę.

Dołączysz do mnie? Słyszałem, że Snycerze wykonali kawał świetnej roboty z nowymi damami w Pokusie. A w Schadzce zainstalowali nową podłogę grawitacyjną. Możemy unosić się tam w powietrzu bez butów. Co ty na to, stary? Jesteś zainteresowany? – Stuka w jedno ze swoich skrzydeł i mruga. – Mnóstwo tam brzoskwinek. I żadna nie jest zgniła.

– Niestety, nie mogę.

– Och. – Podskakuje, jakby przypomniał sobie, że pochodzę z dalekiej planety. – Nie martw się, przyjacielu. Za wszystko zapłacę.

Grzecznie odmawiam, ale on już idzie naprzód. Stuka palcem w moją podkładkę, nim odchodzi. Ekran hologramu rzutujący na moje lewe ramię mruga. Wymiary jego twarzy i informacje na temat naszej rozmowy pozostają w tle – adresy klubów, o których mówił, encyklopedyczne odniesienie do Agei oraz informacje o jego rodzinie. Nazywa się Cassius au Bellona. Syn Pretora Tiberiusa au Bellona, Imperatora Szóstej Floty Elity i prawdopodobnie jedyne go człowieka na Marsie, który mógłby rywalizować z ArcyGubernatorem Augustusem o władzę. Wygląda na to, że obie rodziny się nienawidzą. I że mają paskudny nawyk zabijania się nawzajem. Faktycznie, zupełnie jak młode jaskiniowe zmije.

Myślałem, że będę się bał tych ludzi. Że będą jak małe bóstwa. Mimo to, nie licząc Cassiusa i Antonii, większość nie robi żadnego wrażenia. W moim pokoju testowym jest ich zaledwie siedemdziesięciu. Część wygląda jak Cassius. Ale nie wszyscy są urodziwi. Nie wszyscy są wysocy i władczy. I niewielu sprawia wrażenie, jakby byli dorośli. Pomimo fizycznych warunków wyglądają jak dzieci z rozbuchanym poczuciem własnej wartości. Nie znają trudów życia. Dzieci. W większości Pixie i Brązowi.

W następnej kolejności sprawdzają moje zdolności fizyczne. Siedzę nagi w fotelu powietrznym w białym pomieszczeniu, a Miedziani testerzy z Zarządu Kontroli Jakości obserwują mnie przez nanokamery.

– Mam nadzieję, że podoba wam się ten widok – mówię.

Brązowy pracownik podchodzi i zakłada zacisk na mój nos. Oczy ma puste. Nie ma w nim żadnej chęci walki, żadnej pogardy względem mnie. Jego skóra jest blada, a ruchy niezdarne.

Każą mi wstrzymać oddech tak długo, jak potrafią moje płuca. Dziesięć minut. Później Czerwony zdejmuje zacisk i wychodzi. Następnie mam wziąć głęboki wdech i wypuścić powietrze. Robię to i nagle orientuję się, że w pomieszczeniu nie ma tlenu. Gdy zaczynam tracić przytomność, wpuszczają tlen. Zamrażają pokój i obliczają, ile czasu zajmie, zanim zacznę dygotać w niekontrolowany sposób. Później ogrzewają go, żeby sprawdzić, po jakim czasie moje serce zacznie szwankować. Zwiększają grawitację, aż w końcu moje serce nie może już pompować wystarczającej ilości krwi i tlenu do mózgu. Potem sprawdzają, jak długą aktywność fizyczną jestem w stanie znieść, zanim zacznę wymiotować. Przywykłem do kierowania dziewięćdziesięciometrowym świdrem, więc muszą się poddać.

Kiedy jestem już gotowy zabić każdego, kto stoi przy przełączniku tej małej, piekielnej komory,

wysyłają Brązowych asystentów, żeby wsunęli mnie w skafander biometryczny, i prowadzą na salę gimnastyczną. Tam mierzą przepływ tlenu w moich mięśniach, bicie serca, gęstość i długość włókien mięśniowych, wytrzymałość kości. Wszystko to po przebiegnięciu kilku okrążeń i wspinaniu się na skalną ścianę w wysokiej grawitacji. Po przejściu piekła z Harmony to jak przejażdżka po parku.

Każą mi rzucać piłki, a potem ustawiają pod ścianą i mówią, żebym zatrzymywał małe piłeczki, które wystrzelują w moją stronę z maszyny kołowej. Moje dłonie Helldivera są szybsze od ich maszyny, więc sprowadzają Zielonego technika, który dostraja urządzenie tak, że zaczyna ciskać prawdziwymi rakietami. W końcu obrywam piłką w czoło. Na moment tracę przytomność. To również sprawdzają.

Jeszcze tylko test oka, ucha, nosa i ust, i po wszystkim. Czuję się zupełnie oderwany od swojego jestestwa. Jakby sprawdzili funkcjonowanie mojego ciała i mózgu, ale nie mnie. Nie nawiązałem żadnych relacji towarzyskich prócz tej z Cassiusem. Całość sprawiała wrażenie potwornie obojętnej, formalnej.

Wtaczam się do szatni, obolały i zdezorientowany. W środku jest kilka przebierających się osób, więc zabieram ubranie i przechodzę do bardziej ustronnej sekcji długich rzędów plastikowych szafek. Wtedy słyszę dziwne gwizdanie. Melodię, którą znam. Tę, która odbija się echem w moich snach. Tę, za którą zginęła Eo. Podążam za dźwiękiem i natykam się na dziewczynę przebierającą się w kącie szatni. Stoi plecami do mnie. Obserwuję jej smukłe mięśnie, gdy zakłada koszulę. Wydaję z siebie jakiś dźwięk. Dziewczyna odwraca się gwałtownie, a ja przez jedną niezręczną chwilę stoję w miejscu i się czerwienię. Złoci nie przejmują się nagością. Nie mogę jednak nic na to poradzić. Jest piękna – ma twarz w kształcie serca, pełne usta, śmiejące się oczy. Śmieją się tak samo, jak wtedy, gdy odjeżdżała na swoim koniu. To ta sama dziewczyna, która nazwała mnie Pixie.

Unosi w górę jedną brew. Nie wiem, co powiedzieć, więc w przyływie paniki odwracam się i wychodzę z szatni najszybciej jak się da.

Złoty nigdy by tego nie zrobił. Ale gdy siedzę z Matteo na statku, który wiezie nas z Yorkton do Towton, przypominam sobie twarz dziewczyny. Ona również się zarumieniła.

To krótki lot, aż za krótki. Obserwuję Marsa przez wzmocnianą szybę. Choć planeta jest terraformowana, na trasie naszego lotu rośliny stanowią rzadkość. Powierzchnia Marsa jest poprzecinana wstęgami zieleni w dolinach i wokół swojego równika. Roślinność przypomina zielone blizny biegnące po jej wyboistej powierzchni. Odbywaliśmy wirtualne podróże po planecie niemal każdego dnia, odkąd otrzymałem złote oczy.

Woda wypełnia jej kratery, tworząc wielkie jeziora. Basen Zorzy Polarnej, który rozciąga się wzdłuż północnej półkuli, to zbiornik świeżej wody, w której rozwija się dziwaczne morskie życie. Są tu olbrzymie równiny, gdzie małe tornada wzbijają w powietrze chmury z górnej warstwy gleby. Burza i lód rządzą biegunami, na których trenują i mieszkają Obsydiani. Tamtejsza pogoda jest podobno brutalna i zimna, choć klimat umiarkowany obecnie przeważa na całej powierzchni Marsa.

Na Marsie jest tysiąc miast, każde rządzone przez Gubernatora. ArcyGubernator sprawuje władzę nad wszystkimi. Każde miasto znajduje się w centrum setki górniczych kolonii. Gubernatorzy zarządzają koloniami dzięki jednostkom takim jak Główny Zarządca Podginus. Cytadela

ArcyGubernatora jest ulokowana na Agei w Valles Marineris – największym kanionie Układu Słonecznego.

Biorąc pod uwagę tak dużą ilość kopalni i miast, to przypadek zaprowadził ArcyGubernatora z ekipą filmową do mojego domu. Przypadek i moja pozycja jako Helldivera. Chcieli zrobić ze mnie przykład dla innych. Eo była pokłosem. Nie zaśpiewałaby swojej piosenki, gdyby nie obecność ArcyGubernatora. Ironie życia wcale nie są przyjemne.

– Jaki będzie Instytut, kiedy już się tam dostanę? – pytam Matteo, wyglądając przez okno.

– Prawdopodobnie pełen zajęć. Skąd mam to niby wiedzieć?

– Nie ma na ten temat żadnych informacji?

– Nie.

– Nie? – pytam.

– Cóż, jakies są – przyznaje Matteo. – Instytut kończą trzy rodzaje ludzi: Niezrównani Naznaczeni, Absolwenci oraz Zhańbieni. Naznaczeni mogą awansować w społeczeństwie. Absolwenci również, ale ich perspektywy są ograniczone i nadal muszą zasłużyć na swoje Blizny. Zhańbieni zaś są odsyłani do odległych, ciężkich kolonii, takich jak Pluton, by nadzorować pierwsze lata terraformowania.

– Jak można zostać Naznaczonym?

– Domyślam się, że istnieje jakiś ranking, *prawdopodobnie* zawody. Nie wiem na pewno. Ale Złoci to gatunek stworzony do podbojów. To miałoby sens, gdyby to była część twoich zawodów.

– Wszystko jest takie niejasne – wzdyham. – Czasami jesteś równie pomocny, jak beznogi pies.

– Wytlumaczę ci to.

– Nikt cię przed tym nie powstrzymuje.

– Cała gra, *przyjacielu*, w społeczeństwie Złotych polega na zdobyciu patronatu. Twoje czyny w Instytucie posłużą jako przedłużenie przesłuchania w celu zdobycia tego patronatu. Potrzebujesz praktyki. Potężnego dobroczyńcy. – Uśmiecha się. – Więc jeśli chcesz pomóc naszej sprawie, poradzisz sobie *cholernie* najlepiej, jak tylko potrafisz. Wyobraź sobie, że zostajesz praktykantem u Pretora. Po dziesięciu latach sam możesz nim zostać. Możesz mieć własną flotę! Wyobraź sobie, czego mógłbyś dokonać z własną flotą, *przyjacielu*. Wyobraź to sobie.

Matteo nigdy nie opowiada o takich fanaberiach, więc podekscytowanie w jego oczach jest zaraźliwe. Sprawia, że zaczynam sobie wyobrażać.

Rozdział szesnasty
Institut

Wyniki mojego testu przychodzą, gdy ćwiczę zagadnienia kulturowe i modulację akcentu z Matteo w naszym luksusowym apartamencie. Mamy widok na miasto. Z tyłu zachodzi słońce. Jestem w połowie błyskotliwej riposty o yorktońskich klubach sportowych, gdy moja elektroniczna podkładka zaczyna piszczeć, sygnalizując nadejście wiadomości. Prawie rozlewam swoją kawę.

– Moja podkładka zniewolona przez inną – mówię. – To Zarząd Kontroli Jakości.

Matteo zrywa się z krzesła.

– Mamy prawdopodobnie jakieś cztery minuty. – Pędzi do biblioteki, gdzie Harmony czyta na ergosofie. Podskakuje i w ułamku sekundy znika z apartamentu. Upewniam się, że holograficzne zdjęcia mnie i mojej rodziny są poustawiane w sypialni i innych pomieszczeniach. Czwórka wynajętych służących – Brązowych i Różowych – zabiera się do wypełniania swoich domowych obowiązków. Mają liberie z Pegazem mojej fałszywej rodziny.

Jeden z Brązowych wychodzi do kuchni. Różowa masuje mi ramiona. Matteo poleruje buty w moim pokoju. Oczywiście od takich rzeczy są maszyny, ale Aureat nigdy nie wykorzystałby maszyny do czegoś, co może zrobić żywa osoba. Nie miałby nad nią żadnej władzy.

Miejski statek powietrzny pojawia się na horyzoncie jak majacząca w oddali ważka. Powiększa się, podlatując bliżej, i unosi się po zewnętrznej stronie mojego okna. Boczne drzwi rozsuwają się, a widoczny za nimi mężczyzna w uniformie Miedzianego składa formalny ukłon. Dzięki podkładce otwieram szybę, a mężczyzna wchodzi do środka. Towarzyszy mu trójka Białych. Każdy ma białe Sigile na grzbietach dłoni. To członkowie Instytutu oraz Miedziany biurokrata.

– Czy mam przyjemność rozmawiać z niejakim Darrowem au Andromedusem, synem niedawno zmarłego Linusa au Andromedusa i Lexus au Andromedus?

– Masz honor rozmawiać.

Biurokrata taksuje mnie od stóp do głów pełnym szacunku, lecz niecierpliwym wzrokiem.

– Nazywam się Bondilus cu Tancrus i jestem z Zarządu Kontroli Jakości Instytutu. Jest kilka pytań, które musimy ci zadać.

Siedzimy naprzeciwko siebie przy moim dębowym stole kuchennym. Podpinają mój palec do maszyny, a jeden z Białych zakłada mi okulary, które przeanalizują ruchy moich źrenic i pozostałe reakcje fizjologiczne. Będą w stanie stwierdzić, czy kłamię.

– Zacniemy od kontrolnego pytania w celu oszacowania twoich normalnych reakcji podczas mówienia prawdy. Czy pochodzisz z rodziny Andromedus?

– Tak.

– Czy jesteś z gatunku Aureatów?

– Tak. – Kłamię przez zaciśnięte zęby, rujnując ich pytania kontrolne.

– Czy oszukiwałeś w swoim teście dwa miesiące temu?

– Nie.

– Czy korzystałeś z biopolimerów, by zwiększyć komprehensję oraz funkcje analityczne mózgu podczas testu?

– Nie.

– Czy posłużyłeś się interfejsem graficznym, żeby gromadzić i syntezować zewnętrzne zasoby w czasie rzeczywistym?

– Nie. – Wzdycham zniecierpliwiony. – W pomieszczeniu był środek zakłócający, ergo to było niemożliwe. Cieszę się, że zrobiłeś analizę i nie marnujesz mojego czasu, Miedziaku.

Jego uśmiech jest urzędowy.

– Czy wiedziałeś wcześniej, jakie będą pytania?

– Nie. – W tym momencie przywołuję gniewną odpowiedź: – O co tu właściwie chodzi? Nie jestem przyzwyczajony, żeby ktoś twojego pokroju nazywał mnie kłamcą.

– To procedura, jaką obejmujemy wszystkich, którzy osiągają najwyższe wyniki, lordzie Aureacie. Błagam o zrozumienie – mówi biurokrata monotonnym głosem. – Każdy kandydat pochodzący

z odległych rejonów kosmosu musi odpowiedzieć na pytania takiej ankiety. Czy włamałeś się do sieci innego kandydata w czasie testu?

– Nie. Jak już mówiłem, był tam środek zakłócający. Dziękuję, że nadążasz, Miedziaku.

Pobierają próbkę mojej krwi i skanują mózg. Wyniki są natychmiastowe, ale biurokrata nie zamierza się nimi dzielić.

– Tego wymaga protokół – przypomina mi. – Za dwa tygodnie otrzymasz wyniki.

Przychodzą po czterech. Zdaję egzamin Kontroli Jakości. Nie oszukiwałem. Później przychodzi wynik testu, dwa miesiące po tym, jak przystąpiłem do tego cholerstwa. Wtedy uświadamiam sobie, dlaczego myśleli, że oszukuję. Pomiąłem jedno pytanie. Tylko jedno. Jedno z setek. Gdy dzielę się wynikami z Tancerzem, Harmony i Matteo, zwyczajnie gapią się na mnie. Tancerz osuwa się ciężko na fotel i zaczyna się śmiać w dość histeryczny sposób.

– Niech to cholera – przeklina. – Udało nam się.

– Jemu się udało – poprawia go Matteo.

Minutę zajmuje Tancerzowi odzyskanie dawnego rezonu i przyniesienie butelki szampana. Nadal czuję na sobie jego wzrok. Patrzy na mnie, jakbym był czymś innym, obcym. Zupełnie jakby nagle przestali rozumieć to, co sami stworzyli. Myślę o paku haemanthusa w kieszeni i czuję ciężar ślubnej obrączki wokół szyi. To nie oni mnie stworzyli. To ona.

Dopiero gdy zjawia się lokaj, by odeskortować mnie do Instytutu, żegnam się z Tancerzem we wnętrzu apartamentu. Ścisną mocno moją dłoń i rzuca mi takie samo spojrzenie jak ojciec, zanim został powieszony. To spojrzenie pełne wsparcia. Ale pod nim widać zmartwienie i wątpliwości. Czy przygotował mnie wystarczająco na spotkanie ze światem? Czy dobrze wypełnił swój obowiązek? Mój ojciec miał dwadzieścia pięć lat, kiedy spoglądał na mnie w ten sposób. Tancerz ma czterdzieści jeden. To zupełnie bez różnicy. Chichoczę. Wujek Narol nigdy tak na mnie nie spojrzał, nawet wtedy, gdy pozwolił mi odciąć linę Eo. Pewnie dlatego, że miał okazję wziąć na siebie wystarczająco dużo moich prawych sierpowych. Ale kiedy myślę o swoich nauczycielach i ojcu, okazuje się, że to wuj Narol ukształtował mnie najbardziej. Nauczył tańczyć, nauczył, jak być mężczyzną. Pewnie dlatego, że wiedział, iż taka czeka mnie przyszłość. I choć próbował powstrzymać mnie przed byciem Helldiverem, to jego nauki utrzymały mnie przy życiu. Teraz doszły nowe. Miejmy nadzieję, że również okażą się pomocne.

Tancerz daje mi nóż, którym miesiąc temu rozciął mi palec. Zmienił jednak jego kształt i teraz przypomina literę L.

– Pomyślą, że to szewron, który Spartanie nosili na tarczach – mówi. – L jak Lacadaemonia. Ale tak naprawdę to Lykos. I Lambda.

Harmony zaskakuje mnie, ujmując moją prawą dłoń i składając pocałunek w miejscu, w którym był przedtem Czerwony Sigil. W jednym oku ma łzy, tym zimnym, pozbawionym blizn oku. Drugie nie

potrafi płakać.

– Evey zamieszka z nami – mówi. Uśmiecha się, zanim zdążę zapytać dlaczego. Uśmiech wygląda dziwnie na jej twarzy. – Myślisz, że jesteś jedynym, który widzi wokół siebie różne rzeczy? Zapewnimy jej lepsze życie niż Mickey.

Matteo i ja wymieniamy uśmiechy i ukłony. Po wymianie uprzejmości Matteo wyciąga dłoń. Nie chwyta mojej. Zamiast tego wyrywa kwiat z mojej kieszeni. Sięgam po niego, ale Matteo nadal jest jedynym człowiekiem na świecie, który jest szybszy ode mnie.

– Nie możesz go ze sobą zabrać, *przyjacielu*. Ślubna obrączka na twojej dłoni jest już wystarczająco dziwna. Kwiat to zdecydowanie za dużo.

– W takim razie daj mi chociaż płatek.

– Wiedziałem, że możesz o to poprosić. – Wyciąga medalion. To Sigil Andromedusa. Mój Sigil, jak sobie przypominam. Jest złoty. Upuszcza go na moją dłoń. – Wyszep taj jej imię. – Robię to, a Pegaz otwiera się jak pączek haemanthusa. Matteo kładzie płatek na samym środku. Medalion zamyka się z powrotem. – To twoje serce, więc ochraniaj je metalem.

– Dziękuję ci, Matteo – mówię ze łzami w oczach. Podnoszę go w górę i ściskam pomimo jego protestów. – Jeśli przeżyję więcej niż tydzień, będę ci musiał podziękować, mój *przyjacielu*. – Rumieni się, gdy odstawiam go na ziemię.

– Panuj nad sobą – przypomina mi. Jego piskliwy głos poważnieje. – Maniery i jeszcze raz maniery, a potem możesz spalić ich *cholerny* dom do gołej ziemi.

Ściskam Pegaza w dłoni, gdy prom kosmiczny sunie nad powierzchnią Marsa. Pasma zieleni rozciągają się po ziemi. Z racji urodzenia miałem do końca życia wiercić. Zastanawiam się, kto został Helldiverem Lambd. Loran jest za młody. Barlow za stary. Może Kieran? Zbyt odpowiedzialny. Ma dzieci, które kocha, i naoglądał się wystarczająco dużo śmierci w rodzinie. Nie ma w nim ognia. Leanna ma go w sobie dość, ale kobietom nie wolno kopać. W takim razie Dain, brat Eo. Dziki, ale niezbyt bystry. Typowy Helldiver. Umrze szybko. Ta myśl sprawia, że robi mi się niedobrze.

Nie chodzi tylko o myśl. Jestem zdenerwowany. Dociera to do mnie powoli, gdy rozglądam się po wnętrzu promu. Szóstka pozostałych młodych ludzi siedzi w milczeniu. Jeden z nich, smukły chłopak z przyjaznymi oczami i szerokim uśmiechem, przykuwa moją uwagę. Należy do tego typu ludzi, którzy nadal śmieją się na widok motyli.

– Julian – przedstawia się, ujmując mnie za przedramię. Nie mamy żadnych danych osobowych, które moglibyśmy sobie przekazać przez elektroniczne podkładki. Zabrali je nam, gdy wsiedliśmy na prom. Zamiast tego oferuję mu miejsce naprzeciwko siebie.

– Darrow – mówię.

– Darrow, całkiem interesujące imię.

– Byłeś kiedykolwiek na Agei? – pytam.

– Oczywiście. – Uśmiecha się. Zawsze się uśmiecha. – A co, chcesz powiedzieć, że ty nie? Dziwne. Wydawało mi się, że znam wielu Żółtych, ale rzadko któremu udało się zdać wstępny egzamin. Obawiam się, że nadszedł czas odważnych, nowych ludzi. Tak czy inaczej, zazdroszczę ci, że jeszcze nigdy nie odwiedziłeś Agei. To osobliwe miejsce. Bez wątpienia piękne, ale tamtejsze życie jest, jak to mówią, szybkie i tanie.

– Ale nie dla nas.

Chichocze.

– Chyba nie. No chyba że bawisz się w politykę.

– Nie przepadam za bawieniem się. – Zauważam jego reakcję, więc przykrywam swoją powagę mrugnięciem oka. – Chyba że jest się o co zakładać. Słyszysz?

– Słyszę! W co dokładnie grasz? Krwawe szachy? Gravicross?

– Och, krwawe szachy są całkiem w porządku, ale Wojna to zdecydowanie moja gra – przyznaję ze Żółtym uśmiechem.

– Zwłaszcza że jesteś fanem Nortown! – zgadza się ze mną.

– Och... *Nortown*. Nie wiem, czy się dobrze zrozumieliśmy – mówię, krzywiąc się. Dźgam się kciukiem. – *Yorkton*.

– *Yorkton!* Faktycznie, nie wiem, czy *kiedykolwiek* się dobrze zrozumiemy! – Wybucham śmiechem.

Uśmiecham się, a Julian nie ma pojęcia, jak zimny jestem w środku. Rozmowa, żarty, uśmiechy – to wszystko elementy towarzyskości. Matteo dobrze mnie przygotował, ale muszę przyznać, że Julian wcale nie wygląda mi na potwora.

Powinien być potworem.

– Mój brat pewnie też przyjechał do Instytutu. Był już na Agei, w naszej rodzinnej posiadłości, bez wątpienia wywołując same kłopoty! – Julian z dumą kręci głową. – To najlepszy człowiek, jakiego znam. Będzie Prymusem, zobaczysz. To radość i duma naszego ojca, a to już o czymś świadczy, biorąc pod uwagę fakt, jak wielu mam członków rodziny!

W jego głosie nie ma ani cienia zazdrości. Tylko miłość.

– Prymusem?

– Och, gadka Instytutu. Oznacza przywódcę danego Domu.

Domy. Znam je. Zostały utworzone na podstawie ukrytych cech charakteru. Każdy z nich jest nazwany imieniem jednego z bogów rzymskiego panteonu. Szkolne Domy tworzą sieć udogodnień i klubów poza granicami szkoły. Odnoś sukcesy, a znajdą ci potężną rodzinę, której możesz służyć. Rodziny są prawdziwą potęgą Elity. Mają własne armie i floty, które stanowią również część sił wojskowych Królestwa. Od nich zaczyna się lojalność. Nie darzą zbyt wielką miłością mieszkańców swoich własnych planet. Wiadomo, są rywalami.

– Skończyliście już z tą płacziwą gadką? – prychnął chochlikowaty dzieciak z rogu promu. Jest tak brązowy, że wygląda na khaki zamiast Złotego. Ma wąskie usta i twarz przypominającą bezlitosnego jastrzębia polującego na mysz.

– Przeszkadzamy ci? – Mój sarkazm ma w sobie uprzejmą nutę.

– A czy przeszkadzają mi dwa parzące się psy? Jasne, że tak. Zwłaszcza gdy są hałaśliwe.

Julian wstaje z miejsca.

– Przepróż, kundlu.

– Pieprz się – mówi dzieciak. W ułamku sekundy Julian wyciąga skądś białą rękawiczkę. – I co? Mam tym podetrzeć tyłek, ty złoty dupku?

– Słucham? Ty mały dzikusie! – woła Julian zszokowany. – Kto cię wychował?

– Wilki, po tym jak wyleciałem z cipki twojej matki.

– Ty bestio!

Julian rzuca rękawiczką w dzieciaka. Obserwuję, myśląc sobie, że to szczyt komedii. Dzieciak wygląda jak wyrwany żywcem z Lykos. Jest jak brzydki, mały, irytujący Loran. Julian nie ma pojęcia, co robić, więc rzuca mu wyzwanie.

– Wyzwanie, *przyjacielu*.

– Pojedynek? Aż tak bardzo poczułeś się obrażony? – Brzydki dzieciak kpi z księcia. – W porządku. Poskładam dumę twojej rodziny do kupy zaraz po Chrzcie, ty dupku. – Wydmuchuje nos w rękawiczkę.

– Czemu nie teraz, tchórze? – pyta Julian. Jego szczupła pierś nadyma się w sposób, którego musiał go nauczyć ojciec. Nikt nigdy nie obraża jego rodziny.

– Głupi jesteś? Widzisz gdzie miecze? Idiota. Odejdź. Zmierzymy się po Chrzcie.

– Chrzcie...? – Julian w końcu pyta o to, o czym sam myślę.

Kościsty dzieciak uśmiecha się złowieszczo. Nawet jego zęby mają kolor khaki.

– To ostatni test, idioto. I najlepiej utrzymywany sekret po tej stronie tyłka Octavii au Lune.

– W takim razie skąd o nim wiesz? – pytam.

– Dzięki kontaktom – odpowiada dzieciak. – I to nie tak, że się o tym dowiedziałem. Ja to wszystko *wiem*, ty gigantyczny palancie.

Na imię ma Sevro i podoba mi się jego podejście.

Jednak rozmowa o Chrzcie mnie zaniepokoiła. Gdy przysłuchuję się, jak Julian zaczyna konwersację z ostatnim członkiem załogi naszego promu, dociera do mnie, jak mało wiem. Rozmawiają o wynikach swoich testów. Między ich niskimi ocenami a moimi zieje głęboka przepaść. Widzę, jak Sevro prycha pod nosem, gdy mówią o nich na głos. Jakim cudem aplikanci z tak niskimi wynikami dostali się do Instytutu? Mam złe przeczucia. Ciekawe, jaki wynik zaliczył Sevro.

Do Valles Marineris docieramy w ciemności. To olbrzymi pas światła przecinający czarną powierzchnię Marsa jak okiem sięgnąć. W jego środku stolica mojej planety unosi się w mroku jak ogród z kamieni szlachetnych. Nocne kluby z parkietami ze skondensowanego powietrza migają na dachach. Głupiutkie dziewczyny i chłopcy unoszą się i opadają, gdy technicy od grawitacji manipulują fizyką. Bańki wygłaszające hałas oddzielają dzielnice miasta. Przelatujemy przez nie i słyszymy całkiem nowe, obce dźwięki.

Instytut znajduje się poza granicą nocnych dystryktów Agei i jest wbudowany w bok wysokich na osiem kilometrów ścian Valles Marineris. Ściany unoszą się jak morskie fale z zielonego kamienia skrywającego cywilizację. Sam Instytut jest wykuty z białego kamienia – to budowla z kolumnami i rzeźbami, rzymska do szpiku kości.

Nigdy wcześniej tu nie byłem. Ale widziałem kolumny. Cel naszej podróży. Gorycz narasta we mnie jak żółć podchodząca do gardła, gdy myślę o jego twarzy. Jego słowach. Oczach przeczesujących tłum. Oglądałem hologram, na którym ArcyGubernator co jakiś czas przemawiał do uczniów. Wkrótce sam usłyszę to z jego ust. Niedługo będę cierpiał z powodu gniewu. Gdy znów go zobaczę, pocuję ogień pełzający po moim sercu.

Łądujemy na platformie i jesteśmy prowadzeni w stronę przestronnego, marmurowego placu rozciągającego się ponad szeroką doliną. Nocne powietrze jest rześkie. Agea znajduje się za naszymi plecami, a przed nami bramy Instytutu. Stoję z ponad tysiącem Złotych rozglądających się dokoła z pewnością siebie charakterystyczną dla ich rasy. Wielu tworzy grupki. Nie sądzę jednak, by na zajęciach było aż tylu uczniów.

Wysoki Złoty mężczyzna otoczony Obsydianami i orszakiem Złotych doradców unosi się przed bramą na butach grawitacyjnych. Moje serce lodowacieje, gdy rozpoznaję jego twarz, słyszę głos i widzę błysk w złotych oczach.

– Witajcie, potomkowie Aureatów – mówi ArcyGubernator Nero au Augustus głosem równie gładkim, jak skóra Eo. Jest nienaturalnie głośny. – Zakładam, że rozumiecie powagę waszej obecności w tym miejscu. Z tysiąca miast na Marsie, ze wszystkich Wielkich Rodzin, wy jesteście

niewielką grupą wybrańców. Jesteście na szczycie ludzkiej hierarchii. Dziś rozpoczniecie swoją kampanię w celu dołączenia do najlepszej kasty waszej rasy. Wasi koledzy stoją teraz tak jak wy w Instytutach Wenus, Wschodniej i Zachodniej Hemisfery Ziemi, Luny, Wielkich Gazowych Gigantów, Europy, Greckich i Trojańskich Planetoid, Merkurego, Callisto, Wspólnoty Enceladusa i Ceres i dalekich pionierów Hild.

Mam wrażenie, że minął zaledwie dzień, od kiedy sam byłem pionierem z Marsa. Zaledwie dzień temu cierpiałem, by ludzkość, pragnąca opuścić umierającą Ziemię, mogła zasiedlić Czerwoną Planetę. W istocie moi władcy okazali się doskonałymi kłamcami.

Za Augustusem, w gwiazdach, widać jakieś poruszenie, ale to nie gwiazdy są w ruchu. Nie są to ani asteroidy, ani komety. To Szósta i Piąta Flota. Armada Marsa. Przez chwilę brakuje mi tchu. Szósta Flota jest dowodzona przez ojca Cassiusa, podczas gdy mniejsza znajduje się pod bezpośrednim nadzorem samego ArcyGubernatora. Większość okrętów należy do rodzin, które przysięgły lojalność Augustusowi albo Bellonie.

Augustus pokazuje nam, dlaczego my, to znaczy oni rządzą. Dostaję gęziej skórki. Jestem taki mały. Miliony ton wzmocnionej stali i nanometalu poruszają się w niebiosach, podczas gdy ja nigdy nie przekroczyłem atmosfery Marsa. Wyglądają jak srebrne drobinki w oceanie atramentu. A ja jestem nikim. Jednak, z drugiej strony, te drobinki mogą zniszczyć Marsa. Mogłyby zniszczyć księżyc. Te drobinki rządzą atramentem. Każdą flotą dowodzi Imperator. Pretor dowodzi szwadronami wewnątrz floty. To, czego mógłbym dokonać z taką władzą...

Augustus jest wyniosły, gdy przemawia. Przetykam żółć nagromadzoną w gardle. Z powodu dużej odległości dzielącej mnie od wrogów gniew był kiedyś zimny i uspiiony. Teraz płonie w moim wnętrzu.

– Społeczeństwo przechodzi przez trzy fazy: Zwycięstwo, Przewagę i Upadek. Wznosi się na szczyt dzięki Zwycięstwu. Rządzi w czasach Przewagi. Popada w ruinę z powodu własnego Upadku.

Opowiada, jak zostali oszukani Persowie i jak doszło do upadku Rzymian, których władcy zapomnieli o tym, że ich przodkowie zbudowali imperium. Papie o dynastiach muzułmańskich, europejskiej zniewieściałości, chińskim regionalizmie oraz amerykańskiej nienawiści i samozagładzie. Same starożytne nazwy.

– Nasze Zwycięstwo zaczęło się, gdy nasza stolica, Luna, zbuntowała się przeciwko tyranii Ziemi i uwolniła z okowów Demokracji, od Najszlachetniejszego Kłamstwa – idei, że wszyscy ludzie są sobie równi.

Augustus opowiada swoje kłamstwa. Mówi o cierpieniu Żłoty. O masach siedzących na wozie i oczekujących, że wielcy go pociągną. Siedzieli, chłoszcząc wielkich, dopóki tamci nie mogli tego dłużej znieść.

Ja pamiętam inną chłostę.

– Ludzie nie są sobie równi. Wszyscy to wiemy. Istnieją jednostki przeciętne. Są też wybrańcy.

Brzydcy. Piękni. Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby ludzie byli sobie równi. Czerwony nie może dowodzić statkiem tak samo, jak Zielony nie może służyć jako lekarz!

Po placu rozchodzi się śmiech, gdy każe nam przypomnieć sobie Ateny, kolebkę raka, którego nazywają demokracją, i to, jak upadły w starciu ze Spartą. Najszlachetniejsze Kłamstwo osłabiło Ateny. Sprawilo, że ich obywatele z powodu zazdrości odwrócili się od swojego najlepszego generała, Alcybiadesa.

– Nawet narody Ziemi stały się zazdrosne o siebie. Stany Zjednoczone obu Ameryk wymusiły ideę równości dzięki przemocy. A kiedy narody się zjednoczyły, Amerykanie byli zaskoczeni, gdy odkryli, jak wielką są darzeni niechęcią! Masy są zazdrosne! Jakże cudownie by było, gdyby wszyscy ludzie byli sobie równi! Ale tak nie jest. To wbrew Najszlachetniejszemu Kłamstwu, że stawiamy opór i walczymy. Jak wspomniałem wcześniej i powtarzam wam to teraz, istnieje kolejne zło, przeciw któremu walczymy. To o wiele bardziej szkodliwe zło. Wywrotowe i powolne. Nie rozprzestrzenia się jak pożar. To rak. A tym rakiem jest Upadek. Nasza Elita przeszła już od Zwycięstwa do Przewagi. Tak jak nasi duchowi przodkowie, Rzymianie, my również możemy pogrążyć się w Upadku.

Przytacza przykład Pixie.

– Jesteście najlepsi z całej ludzkości. Ale byliście chronieni. Traktowani jak dzieci. Gdybyście urodzili się w innym Kolorze, na waszych dłoniach byłyby zgrubienia. Mielibyście blizny. Poznalibyście, czym jest ból.

Uśmiecha się, jakby sam to wiedział. Nienawidzę go.

– Wydaje wam się, że wiecie, czym jest ból. Wydaje wam się, że Elita to niezniszczalna siła tworząca historię. Że to ona przyczyniła się do jej końca. Wielu przed wami myślało tak samo. Klasy rządzące wierzyły, że są ostatnimi, że są na szczycie. Zmiękli. Okryli się tłuszczem. Zapomnieli, że pęcherze, rany, blizny i ciężka praca utrzymują wszystkie kluby, które wy, chłopcy, tak uwielbiacie odwiedzać, oraz zapewniają wspaniałe jedwabie, diamenty i jednorożce, o które wy, dziewczęta, prosicie na urodziny. Wielu Aureatów nie poświęciło się ani razu. To dlatego nie mają tego. – Pokazuje długą bliznę na prawym policzku. Octavia au Lune ma identyczną. – To Blizna Naznaczonego. Nie jesteśmy panami Układu Słonecznego dlatego, że takimi się urodziliśmy. Jesteśmy jego panami, ponieważ my, Niezrównani Naznaczeni, Żelazni Złoci, przyczyniliśmy się do tego.

Dotyka Blizny na policzku. Gdybym stał bliżej, dołożyłbym mu kolejną. Młodzi ludzie wokół mnie chłoną kłamliwe słowa tego człowieka jak tlen.

– W tej chwili Kolory, które tworzą tę planetę, są bardziej zahartowane niż wy. Urodzili się ze zgrubieniami na dłoniach. Z bliznami i nienawiścią. Są twardzi jak nanostal. Na szczęście są również bardzo głupi. Na przykład ta *Persefona*, bez wątpienia o niej słyszeliście, to tylko ciemna dziewczyna, której się zdawało, że odśpiewanie piosenki jest warte poświęcenia życia.

Wygryzam krwawą dziurę w policzku. Moja skóra drży od emocji, które ogarniają mnie, gdy odkrywam, że moja żona jest częścią przemowy tego łajdaka.

– Dziewczyna nie miała pojęcia, że nagranie z jej śmiercią wycieknie. To właśnie chęć do poniesienia cierpienia nadała jej moc. Widzicie, męczennicy są jak pszczoły. Ich jedyna moc tkwi w śmierci. Ilu z was poświęciłoby się, żeby nie zabić, a zaledwie zranić swojego wroga? Żaden, jak myślę.

Czuję w ustach posmak krwi. Mam nóż, który podarował mi Tancerz. Mimo to tłumię w sobie furję. Nie jestem męczennikiem. Nie pałam chęcią zemsty. Jestem marzeniem Eo. Jednak trwanie w bezczynności, podczas gdy mordercy mojej żony chełpią się, odczuwam jak zdradę.

– Z czasem otrzymacie swoje Blizny od mojego miecza – kończy Augustus. – Ale najpierw musicie na nie zasłużyć.

Rozdział siedemnasty

Pobór

– Syn Linusa i Lexus au Andromedus, oboje z Domu Apollo. Czy chcesz dołączyć do Domu Apollo?
– pyta mnie nudny urzędnik Aureat.

Lojalność Złotego należy w pierwszej kolejności do Koloru, potem do rodziny, planety i na końcu Domu. Większość Domów jest zdominowana przez jedną czy dwie potężne rodziny. Na Marsie rodziny Augustus, Bellona i Arcos mają wpływ na pozostałe.

– Nie.

Bazgrze coś na swojej podkładce.

– W porządku. Jak myślisz, jak poszło ci na teście ze slangu? To dodatkowy test ekstrapolacyjny – wyjaśnia.

– Myślę, że moje wyniki mówią same za siebie.

– Nie słuchasz mnie, Darrow. Dopiszę to jako minus na twoją niekorzyść. Pytam *ciebie*, po to, żebyś powiedział o swoich wynikach.

– Wydaje mi się, że poszło mi kurewsko dobrze, *sir*.

– Ach. – Uśmiecha się. – Cóż, to prawda. Dom Minerwa może być dla ciebie dobry ze względu na inteligencję. Albo Pluton, z uwagi na przebiegłość. Apollo z powodu dumy. Tak. Hmm. No dobrze, mam dla ciebie zadanie. Proszę, rozwiąż je najlepiej jak potrafisz. Przesłuchania rozpoczną się, jak skończysz.

Test jest szybki i ma formę wirtualnej gry. Na wzgórzu jest czara, którą muszę zdobyć. Na mojej drodze pojawia się wiele przeszkód. Omijam je najrozsądniej, jak tylko umiem, próbując ukryć gniew, gdy mały elf kradnie klucz, który zdobyłem. Na każdym kroku dochodzi do jakiegoś przekłętego fiaska, nigdy niedającego się przewidzieć. To coś, co zawsze wykracza poza granice ekstrapolacji. Na końcu udaje mi się zdobyć czarę, ale dopiero po zabiciu irytującego czarodzieja i brutalnym zniewoleniu rasy elfów dzięki różdżce wyżej wspomnianego maga. Mogłem zostawić elfy w spokoju, ale strasznie mnie wkurzały.

Wkrótce po tym w odstępach pojawiają się przesłuchujący. To Cenzorzy. Każdy z nich jest Niezrównanym Naznaczonym. Są wybierani przez ArcyGubernatora, by uczyć i reprezentować studentów poszczególnych Domów wewnątrz Instytutu.

Cenzorzy robią wrażenie. Wśród nich jest olbrzymi mężczyzna z włosami jak lew i błyskawicą na kołnierzyku oznaczającą przynależność do Jupitera, stateczna kobieta o złocistych oczach oraz inteligentny mężczyzna z uskrzydłonymi stopami na kołnierzyku. Nie może usiedzieć na miejscu, a jego twarz dziecka zdaje się ogromnie zafascynowana moimi dłońmi. Każe mi zagrać ze sobą w grę, w której wyciąga obie ręce na płask grzbietem do góry, a ja kładę na nich swoje grzbietem do dołu. Próbuje trafić w moje, ale nigdy mu się to nie udaje. Oddala się, zacierając ręce z radości.

Do kolejnego dziwnego spotkania dochodzi, gdy zaczyna mnie przesłuchiwać urodziwy mężczyzna z kręconymi włosami. Na kołnierzyku ma łuk Apolla. Pyta mnie, za jak atrakcyjnego się uważam, i jest niezadowolony, gdy moja ocena nie dorównuje jego. Mimo to wydaje się, że mnie lubi, ponieważ pyta, kim chciałbym zostać w przyszłości.

– Imperatorem floty – mówię.

– Z flotą mógłbyś dokonać wielkich rzeczy. Ale to dość wydumany pomysł – wzdycha, akcentując każde słowo kocim pomrukiem. – Być może zbyt wydumany, jak na twoją rodzinę. Może gdybyś zdobył dobrego fundatora albo miał lepsze pochodzenie... Tak, może wtedy. – Zerka na swoją podkładkę. – Ale to mało prawdopodobne ze względu na twoje urodzenie. Hmm. Życzę szczęścia.

Siedzę sam przez godzinę albo więcej, gdy dołącza do mnie posepny mężczyzna. Jego nieszczęsna twarz jest ostra jak topór, ale ma Bliznę, a do biodra przytroczony sztylet. Nazywa się Fitchner. Żuje gumę. Czarny uniform ma ozdobiony złotem. Ledwie zakrywa jego brzuch, który wystaje lekko pomimo słabego zapachu metabolizerów. Tak jak inni, nosi oznakę przynależności. Na kołnierzyku ma złocistego wilka o dwóch głowach, na mankiecie zaś wizerunek dziwnie wyglądającej dłoni.

– Oddają mi pod opiekę wściekle psy – mówi. – Oddają zabójców naszej rasy, buzujących energią, napalmem i złością. – Węszy w powietrzu. – Cuchniesz gównem.

Milczę. Opiera się o drzwi i marszczy brwi, jakby obraziły go w jakiś sposób. Odwraca się do mnie, pociągając nieelegancko nosem.

– Problem polega na tym, że my, z Domu Mars, zawsze szybko się wypalamy. Dzieciaki z początku rządzą Instytutem. Potem odkrywają, że napalm pali się jakieś... – strzela błyskawicznie palcami.

Nie zaszczycam go odpowiedzią. Wzdycha i osuwa się ciężko na krzesło. Po chwili obserwacji wstaje i uderza mnie w twarz.

– Jeśli mi oddasz, zostaniesz odesłany do domu, Pixie.

Kopię go w goleń.

Odchodzi, utykając i śmiejąc się po drodze jak pijany wujek Narol.

Nie zostaję odesłany. Zamiast tego, wraz z setką innych, zostaję odeskortowany do dużego pomieszczenia z krążącymi w powietrzu krzesłami i wielką ścianą zdominowaną przez siatkę z kości słoniowej. Sieć tworzy kwadrat szachownicy liczącej sobie po dziesięć rzędów pionowo i poziomo. Wchodzę do windy prowadzącej do środkowego rzędu, jakieś pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Dziewięćdziesięciu dziewięciu pozostałych studentów zostaje wprowadzonych na swoje miejsca, aż w końcu tablica się zapełnia. To pierwsza grupa, najlepsi z uczniów. Spoglądam w górę. Dziewczęce stopy dyndają z kabiny nad moją głową. Przed moją pojawiają się liczby i litery. Moje statystyki. Wychodzi na to, że działam bardzo lekkomyślnie, a moimi głównymi cechami charakteru są intuicja, lojalność i, co najbardziej zauważalne, gniew.

Audytorium dzieli się na grupy. Każda siedzi razem na krzesłach wokół pionowych złotych sztandarów. Pośród nich widzę między innymi łucznika, błyskawicę, sowę, dwugłowego wilka, odwróconą koronę i trójzab. Każdej grupie towarzyszy jeden Cenzor. Tylko oni nie mają zakrytych twarzy. Pozostali noszą ceremonialne maski – złociste, pozbawione rysów i przypominające nieco zwierzęta reprezentujące ich Domy. Gdybym tylko wiedział, że tak się stanie. Wtedy przyniósłbym ze sobą bombę nuklearną. To Poborowcy, mężczyźni i kobiety o nieskazitelnej reputacji. Pretorzy, Imperatorzy, Trybuni, Arbitrzy i Namiestnicy siedzą tu i obserwują mnie, próbując wybrać nowych studentów do swoich Domów. Znaleźć młodych mężczyzn i kobiety, których mogą poddać testom i zaoferować praktykę. Dzięki jednej bombie mógłbym zniszczyć najlepszych i najwspanialszych ze wszystkich rządzących Złotych. Możliwe, że przemawia przeze mnie lekkomyślność.

Poborowcy zaczynają swoją pracę, gdy olbrzymi, genetycznie zmieniony chłopak zostaje wybrany

jako pierwszy do Domu ze znakiem błyskawicy. Do Jupitera. W ślad za nim idą dziewczęta i chłopcy obdarzeni nienaturalnym pięknem i fizycznymi umiejętnościami. Mogę się tylko domyślać, że są również geniuszami. Wybrana zostaje piąta osoba. Cenzor o dziecięcej twarzy z uskrzydłonymi stopami na kołnierzyku podfruva do mnie na złotych butach. Towarzyszy mu kilku Poborowców z Domu Merkury. Rozmawiają między sobą przyciszonymi głosami, zanim zadają mi kilka pytań.

– Kim są twoi rodzice? Jakie są ich dokonania?

Opowiadam im o swojej skromnej fałszywej rodzinie. Jeden z nich zdaje się myśleć wyjątkowo dobrze o moim dawno zmarłym krewnym. Jednak mimo obiekcji Cenzora wymieniają mnie na innego studenta z rodziny posiadającej dziewięćdziesiąt kopalni i udziały na jednym z południowych kontynentów Marsa.

Cenzor Merkurego przeklina pod nosem i rzuca mi szybki uśmiech.

– Mam nadzieję, że będziesz dostępny w drugiej rundzie – mówi.

Następna w kolejności jest delikatna dziewczyna o kpiącym uśmiechu. Ledwie udaje mi się skupić i czasami z trudem orientuję się, kto jeszcze został wybrany. Jesteśmy ustawieni w dziwnym porządku. Przy dziesiątym picku Cenzor, który spoliczkował mnie w trakcie przesłuchania, podpływa w moją stronę. Między Poborowcami zapanowała niezgoda. Mam dwóch zagorzałych zwolenników: kobieta jest równie wysoka jak Augustus, ale jej włosy spływają po plecach, splecione w trzy złociste warkocze, a mężczyzna lepiej zbudowany, choć wcale nie wysoki. I stary. Stwierdzam to po jego bliznach i zmarszczkach na grubych dłoniach. Na jednej z nich widnieje sygnet Rycerza Olimpijskiego. Natychmiast go rozpoznaję, mimo że nie widzę twarzy. To Lorn au Arcos. Pan Gniewu. Trzeci największy człowiek na Marsie, który wybrał służbę dla Elity poprzez ochronę jej Konwencji zamiast samodzielnego sięgnięcia po władzę w polityce. Gdy wskazuje na mnie, na twarzy Fitchnera pojawia się uśmiech.

Zostaję wybrany jako dziesiąty. Dziesiąty spośród tysiąca.

Rozdział osiemnasty
Koledzy

Czuję ściskanie w żołądku, gdy idę z gadatliwą masą ludzi do jadalni. Jest ogromna – z marmurowymi podłogami, kolumnami i holograficznym niebem usianym ptakami w locie o zachodzie słońca. Instytut nie jest taki, jak się spodziewałem. Według Augustusa zajęcia będą dla tych małych bogów bardzo trudne. Tłumię wybuch śmiechu. Niech ta banda popracuje choć rok w kopalni.

Stoją tu stoły, przy każdym jest setka miejsc. Nasze imiona, wypisane złotymi literami, fruwią nad krzesłami. Moje unosi się po prawej od szczytu stołu. To miejsce oznaczające wyróżnienie. Dla pierwszych z Poboru. Pojedyncza kreska unosi się po prawej stronie mojego imienia. Po lewej napisano –1. Pierwsza osoba, która zdobędzie pięć kresek, zostanie Prymusem swojego Domu. Każda z kresek to nagroda za zasługi. Najwidoczniej mój wysoki wynik na teście przyczynił się do pierwszej nagrody.

– Cudownie, rzeźnik w pogoni za Prymusem – odzywa się znajomy głos. Należy do dziewczyny z egzaminu. Odczytuję jej imię. Antonia au Severus. Jej uroda ma w sobie coś okrutnego – wysokie policzki, szyderczy uśmiech, pogarda w oczach. Włosy ma długie, bujne i równie złote, jak dotyk Midasa. Urodziła się, by nienawidzić i być nienawidzoną. Obok jej imienia unosi się –5. To drugi najlepszy wynik przy naszym stole. Cassius, chłopak, którego poznałem w trakcie testu, siedzi po przekątnej. Tuż obok jego szerokiego uśmiechu połyskuje –6. Dłonią przeczesuje kręcone włosy.

Kolejny chłopiec siedzi dokładnie naprzeciwko mnie. Złota kreska i –1 unoszą się przy jego imieniu. Podczas gdy Cassius rozpiera się wygodnie, drugi chłopak, Priam, siedzi wyprostowany jak struna. Ma anielską twarz. Czujne oczy. I ułożone włosy. Dorównuje mi wzrostem, ale jest szerszy w ramionach. Nie sądzę, bym kiedykolwiek widział doskonalszą istotę ludzką od niego. Wygląda jak cholerny posąg. Dowiaduję się, że nie brał udziału w Poborze. Jest kimś, kogo nazywają Premierem. Oni nie mogą być wybierani. Jego rodzice wybrali Dom za niego. Potem odkrywam dlaczego. Jego matka, przewodnicząca Domu Bellona, rządzi dwoma księżycami naszej planety.

– Los znów nas ze sobą zetknął – chichocze Cassius. – I Antonię. Kochana! Wygląda na to, że nasi ojcowie potajemnie umieścili nas obok siebie.

Antonia odpowiada pogardliwym prychnięciem.

– Przypomnij mi, żebyś przesłała im podziękowania.

– Toni! Po co te złośliwości? – Kiwa palcem. – A teraz uśmiechnij się do mnie, jak przystało na dobrą dziewczynę.

Antonia pokazuje mu skrzyżowane palce.

– Wolałabym wyrzucić cię przez okno, Cassi.

– Mrr. – Cassius posyła jej pocałunek. Antonia ignoruje go. – Cóż, Priam, rozumiem, że będziemy musieli obchodzić się delikatnie z tymi głupcami, co?

– Jak dla mnie są całkiem spoko – odpowiada przesadnie Priam. – Domyślam się, że poradzimy sobie dobrze jako grupa.

Rozmawiają w wysokim lingo.

– O ile męty z Poboru nas nie przebijają, przyjacielu! – Wskazuje ręką na koniec stołu i zaczyna wyliczać. – Śrubokręt, z oczywistych powodów. Klaun dlatego, że ma nedorzeczną, napuszoną fryzurę. Chwast, bo, no cóż, jest chudy. Ej, ty! Nazywasz się Oset, bo nos masz zakrzywiony jak jeden z nich. A ta... Ta malutka obok chłopaka wyglądającego jak Bronzie to Kamyczek.

– Myślę, że jeszcze cię zaskoczą – mówi Priam w obronie dalekiego końca stołu. – Może i nie są tak wysocy ani atletyczni, ani nawet tak inteligentni jak ty czy ja, o ile inteligencja faktycznie może być zmierzona na *tym* teście, ale nie uważam tego za nedorzeczną, gdy powiem, że będą podporą tej grupy. Solą tej ziemi, jeśli wolisz. Porządnyimi ludźmi.

Widzę małego dzieciaka z promu, Sevro, na samym końcu stołu. Sól tej ziemi nie nawiązuje nowych znajomości. Ja też nie. Cassius zerka na moje –1. Przyznaje, że Priam mógł poradzić sobie lepiej niż on, ale kładzie nacisk na to, że nigdy nie słyszał o moich rodzicach.

– A więc, drogi Darrow, w jaki sposób oszukiwałeś? – pyta. Antonia zerka na nas, rozmawiając z Arrią, drobną dziewczyną z czupryną kręconych włosów i dołeczkami.

– Daj spokój, stary – śmieję się. – Wysłali za mną członka Zarządu Kontroli Jakości. Jakim cudem miałbym oszukiwać? To niemożliwe. A ty oszukiwałeś? Masz wysoki wynik.

Odzywam się w środkowym lingo. Jest o wiele łatwiejszy niż wysokie lingo, w którym jazgocze ten wypierdek Priam.

– Ja? Oszukiwać! Nie. Widocznie się nie postarałem – odpowiada Cassius. – Gdybym był mądrzejszy, spędzałbym mniej czasu z dziewczynami i poświęcił więcej na naukę, tak jak ty.

Próbuje mi wmówić, że gdyby się postarał, mógłby dostać taką samą ocenę co ja. Ale jest zbyt zajęty, by się do tego przykładać. Jeśli chcę, żeby został moim przyjacielem, muszę pozwolić, aby mu się upiekło.

– Uczyłeś się? – pytam. Czuję nagłą potrzebę ośmieszenia go. – Ja nie uczyłem się ani przez chwilę.

Atmosfera ochładza się.

Nie powinienem tego mówić. Czuję ściskanie w żołądku. *Maniery*.

Twarz Cassiusa wykrzywia cierpki grymas, a Antonia uśmiecha się złośliwie. Obraziłem go. Priam marszczy brwi. Jeżeli chcę zrobić karierę we flocie, bardzo prawdopodobne, że potrzebuję patronatu ojca Cassiusa au Bellony. Syna Imperatora. Matteo wbił mi to do głowy. Jak łatwo o tym zapomnieć. To we flocie tkwi potęga. We flocie, rządzie lub armii. A ja nie znoszę polityki, nie wspominając już o tym, że takie obelgi dają początek pojedynkom. Czuję strach pełzający po plecach, gdy uświadamiam sobie, po jak cienkiej stąпам linie. Cassius wie, jak się pojedynkować. Ja, pomimo wszystkich swoich nowych zdolności, tego nie potrafię. Rozerwałby mnie na strzępy i wygląda, jakby właśnie chciał to zrobić.

– Żartuję. – Przekrzywiam głowę w stronę Cassiusa. – Daj spokój, stary. Jakim cudem mógłbym dostać tak wysoką ocenę i jednocześnie nie zakuwać tak ostro, aż oczy zaczęły mi krwawić? Żałuję, że nie spędziłem więcej czasu na wygłupianiu się, jak ty – w końcu teraz jesteśmy w tym samym miejscu. Nauka naprawdę dużo mi dała.

Priam kiwa głową z aprobatą, słysząc moją mowę pojednawczą.

– Założę się, że to była prawdziwa męczarnia! – triumfuje Cassius, pochylając głowę, by przyjąć moje dziwaczne przeprosiny. Domyślam się, że starannie wszystko przeanalizował. I choć duma zaślepiła go na moment z powodu moich przeprosin, z pewnością nie jest głupi. Żadne z nich nie jest. Muszę o tym pamiętać.

Po tym incydencie robię rzeczy, z których Matteo byłby dumny. Flirtuję z dziewczyną imieniem Quinn, zaprzyjaźniam się i żartuję z Cassiusem i Priamem – który prawdopodobnie jeszcze nigdy w życiu nie przeklinał – i podaję dłoń wysokiemu brutalowi Titusowi, którego kark jest grubości mojego uda. Celowo ściska moją rękę zbyt mocno. Jest zaskoczony, gdy prawie łamię mu palce, ale niech to szlag, ma naprawdę mocarny chwyt. Jest jeszcze wyższy od Cassiusa i ode mnie, ma głos jak tytan i wyszczerza zęby w uśmiechu, gdy uświadamia sobie, że mój uścisk jest mocniejszy od jego. Mimo to w głosie Titusa słychać coś obcego. Coś zdecydowanie pogardliwego. Poznaje również smukłego chłopaka imieniem Roque, który wygląda i mówi jak poeta. Jego uśmiechy są leniwe i rzadkie, ale prawdziwe. To dopiero wyjątek.

– Cassius! – woła Julian. Cassius wstaje i zarzuca rękę wokół ramion swojego chudszeo, ładniejszego bliźniaka. Nie zauważyłem tego przedtem, ale są braćmi. Bliźniakami, ale nie identycznymi. Julian wspomniał, że jego brat był już na Agei.

– Darrow nie jest taki, na jakiego wygląda – ogłasza Julian z poważnym wyrazem twarzy. Ma słabość do dramatyzowania.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że... – Cassius zatyka ręką usta.

Miażdżę palcami nóż do mięsa.

– Tak. – Julian kiwa uroczyście głową.

– Nie. – Cassius kręci swoją. – Nie jest kibicem *Yorkton*? Julian, błagam, powiedz, że nie! Darrow! Jak możesz? Oni jeszcze nigdy nie wygrali Wojny! Priam, słyszysz to?

Wyrzucam ręce w górę w geście przeprosin.

– Przekleństwo urodzenia. Jestem ofiarą swojego wychowania. Zawsze kibicuję temu, kto nie jest faworytem. – Udaje mi się nie podszyć słów szyderstwem.

– Wyznał mi to na promie.

Julian jest dumny, że mnie zna. Dumny z tego, że jego brat wie, że on mnie zna. Czeką na aprobatę z jego strony. Cassius jest tego świadom. Obdarza go komplementem, a Julian opuszcza wysokoPoborowych, by zasiąść na swoim miejscu w połowie stołu średnioPoborowych z pełnym zadowolenia uśmiechem i wyprostowanymi ramionami. Nie sądziłem, że Cassius okaże się uprzejmym człowiekiem.

Z tych, których poznałem, tylko Antonia żywi do mnie otwartą niechęć. Nie patrzy na mnie tak, jak pozostali za stołem. Czuję z jej strony wyłącznie pogardę. W jednej chwili śmieje się i flirtuje z Roque, ale gdy czuje na sobie moje spojrzenie, staje się zimna jak lód. Niechęć jest wzajemna.

Dyrektor Instytutu, Clintus, jest kobietą. Chudą i nijaką, ale rządzi nami jedynie dzięki sile swojego głosu. Głosu kulturalnego i zarazem przerażającego, niczym krzyk orła. Nie mam pojęcia dlaczego. Wita nas krótko, powtarza te same uwagi, które powiedział Augustus, i jest tym tak samo znudzona, jak ja jej przemówieniem. Nie obchodzimy jej ani trochę.

– Jesteście najlepszymi ze swojego Koloru. – I tak dalej, i tak dalej. Nadal mam złe przeczucia. – Chrzest rozpocznie się jutro rano. Do tego czasu porządnie się wyśpijcie.

Moje dormitorium jest jak ze snu. Złota obwódka otacza okno, które wychodzi na dolinę. Łóżko zasłano jedwabiami, kołdrami i satynami. Leżę na nim, gdy Różowy masażysta przez godzinę ugniata moje mięśnie. Później trójka gibkich Różowych wchodzi, by zaspokoić wszystkie moje potrzeby. Odsyłam je do pokoju Cassiusa. Żeby ostudzić pokusę, biorę zimny prysznic i włączam wirtualną grę, w której jestem górnikiem z kolonii Korynt. Helldiver z gry jest mniej utalentowany ode mnie, ale wstrząsy, symulowane gorąco, mrok i zmije pocieszają mnie tak bardzo, że zawiązuję wokół głowy swoją starą szkarłatną opaskę.

Zjawia się jeszcze więcej jedzenia. Augustus nic, tylko mówił. Gęba pełna przechwałek. Oto ich wersja ciężkiego życia. Czuję się winny, gdy zasypiam z pełnym brzuchem, ściskając medalion z kwiatem Eo. Moja rodzina pójdzie dzisiaj spać głodna. Szepczę jej imię. Wyjmuję obrączkę z kieszeni i całuję ją. Czuję ból. Odebrali mi ją. Pozwoliła im na to. Zostawiła mnie. Zostawiła ze łzami, bólem i tęsknotą. Zostawiła, by dać mi gniew, a ja nie mogę nic poradzić na to, że nienawidzę jej przez chwilę, choć za tym momentem nienawiści nadal kryje się miłość.

– Eo – szepczę, a medalion się zamyka.

Budzę się, wymiotując. Drugi cios trafia mnie w pełny brzuch. Później trzeci. Opróżniam żołądek i próbuję zaczerpnąć tchu. Cierpię. Kaszlę. Rzęzę. Staram się odczołgać. Męska dłoń chwyta mnie za włosy i rzuca o ścianę. Boże, ależ jest silny. I ma dodatkowe palce. Sięgam po sztylet, ale oni zdążyli już wywlec mnie do korytarza. Jeszcze nigdy nie byłem taki poturbowany. Nawet moje nowe ciało nie jest w stanie wyleczyć się po ich uderzeniach. Jest ich czwórka, cali na czarno – to Kruki, zabójcy. Zdemaskowali mnie. Wiedzą, kim jestem. To koniec. Już po wszystkim. Ich twarze to pozbawione wyrazu czaszki. Maski. Wyciągam nóż z obiadu, który wsunąłem za pas, i już mam dźgnąć jednego w pachwinę, gdy widzę jakiś złoty błysk na ich nadgarstkach. Biją mnie do momentu, w którym upuszczam nóż. To test. Fakt, że biją kogoś z wyższego Koloru, jest usankcjonowany przez emitenta złotych bransoletek. Wcale nie odkryli mojej tożsamości. To test. Tylko tyle.

Mogli użyć ogłuszaczy. W biciu jest jakiś cel. To coś, czego większość Złotych nigdy nie doświadczyła. Więc czekam. Zwijam się w kłębek i pozwalam im się tłuc. Gdy nie stawiam oporu, myślą, że spełnili swoje zadanie. W pewnym sensie tak jest. Do czasu, zanim są usatysfakcjonowani, jestem już kompletnie sponiewierany.

Mężczyźni wysocy prawie na trzy metry wloką mnie korytarzem. Na głowę wciągają mi worek. Trzymają się z dala od technologii, żeby mnie przestraszyć. Zastanawiam się, ile z tych dzieciaków doświadczyło kiedyś przemocy fizycznej podobnej do tej. Jak wielu zostało upokorzonych? Worek śmierdzi szczynami. Zaczynam się śmiać. Zupełnie jakbym się znalazł w moim cholernym skafandrze. Wtedy czyjaś pięść trafia mnie w klatkę piersiową i zwijam się wpół, dysząc.

W worku zainstalowano również urządzenie dźwiękowe. Nie oddycham głośno, ale moje wdechy są głośniejsze niż powinny. Jest tu ponad tysiąc uczniów. Dziesiątki muszą cierpieć ten sam los, a mimo to niczego nie słyszę. Nie chcę, żebym słyszał pozostałych. Mam myśleć, że jestem sam, że mój Kolor nic nie znaczy. Czy oni nie wiedzą, że jestem cholernym Złotym? Tłumię śmiech. Stosują całkiem

skuteczne sztuczki.

Zostaję podniesiony i rzucony mocno o podłogę. Wyczuwam wibracje, smród spalin. Wkrótce znajdujemy się w powietrzu. Coś w worku zakrywającym mi głowę dezorientuje mnie. Nie jestem w stanie stwierdzić, w jakim kierunku lecimy ani na jaką wysokość się wznieśliśmy. Odgłos mojego chrapliwego oddechu stał się straszny. Wydaje mi się, że worek odfiltrowuje tlen, bo nagle zaczynam hiperwentylować. Mimo to nadal jest lepiej niż w skafandrze.

Po jakimś czasie – godzinie, może dwóch? – lądujemy. Ciągną mnie za pięty. Obijam się głową o kamień i kaleczę. Worek ściągnają mi dopiero w pustym pomieszczeniu oświetlonym zaledwie jednym światłem. W środku jest już druga osoba. Kruki zdzierają ze mnie ubranie i zabierają cenny medalion z Pegazem. Wychodzą.

– Zimno ci, Julian? – chichoczę, podnosząc się. Na czole nadal mam czerwoną opaskę. Mój głos odbija się echem. Obaj jesteśmy nadzy. Udaję, że utykam na prawą nogę. Dobrze wiem, o co tutaj chodzi.

– Darrow, czy to ty? – pyta Julian. – Nic ci nie jest?

– Nie, czuję się świetnie, choć przywalili mi nieźle w prawą nogę – kłamię.

On również się podnosi, podpierając na lewej ręce. Jest dominująca. W świetle sprawia wrażenie wysokiego i kruchej. Jak zgięty snop siana. Przyjąłem na siebie więcej kopniaków i uderzeń niż on, o wiele więcej. Bardzo możliwe, że mam pęknięte żebra.

– Jak myślisz, o co tu chodzi? – pyta. Zakrywa swoje części intymne.

– Najwidoczniej to Chrzest.

– Okłamali nas. Powiedzieli, że zacznie się rano.

Grube, drewniane drzwi zgrzytają na pordzewiałych zawiasach, a Cenzor Fitchner wchodzi do środka spacerowym krokiem, wydmuchując balon z gumy do żucia.

– Cenzorze! Sir, okłamałeś nas – protestuje Julian. Odgarnia z oczu swoje śliczne włosy.

Ruchy Fitchnera są leniwe, ale oczy ma jak u kota.

– Kłamstwo kosztuje zbyt dużo wysiłku – mamrocze roztargniony.

– Cóż... jak śmiecie nas tak traktować! – krzyczy Julian. – Dobrze wiesz, kim jest mój ojciec. Moja matka jest Legatem! W mgnieniu oka mogę cię oskarżyć o napaść. W dodatku zraniliście Darrowa w nogę!

– Jest pierwsza rano, młotku. To jest rano. – Fitchner robi kolejnego balona. – A was jest dwóch. Niestety, w waszej klasie mamy tylko jedno dostępne miejsce. – Rzuca na brudny kamień złoty pierścień ozdobiony marsjańskim wilkiem i gwiazdą Instytutu. – Mógłbym wyrazić się

dwuznacznie, ale nie wyglądacie mi na wystarczająco bystrych, by załapać. Tylko jeden wyjdzie z tego żywy.

Wychodzi tą samą drogą, którą wszedł. Drzwi zgrzytają, a potem zamykają się z hukiem. Julian wzdraga się, słysząc ten dźwięk. Ja nie. Wpatrujemy się w pierścień, a ja mam złe przeczucie, że jestem jedyną osobą w pomieszczeniu, która wie, co się właśnie wydarzyło.

– Co oni teraz robią? – pyta mnie Julian. – Spodziewają się, że...

– Zabijemy się nawzajem? – kończę. – Tak. Właśnie tego oczekują. – Czuję gulę w gardle, zwijam dłoń w pięść. Obrączka Eo oplata ciasno mój palec. – Zamierzam nosić ten pierścień, Julian. Pozwolisz mi go zdobyć?

Jestem większy od niego. Nie aż tak wysoki. Ale to nie ma znaczenia. Julian nie ma ze mną żadnych szans.

– *Muszę go mieć, Darrow* – mamrocze. Unosi wzrok. – Pochodzę z rodziny Bellona. Nie mogę wrócić do domu bez niego. Czy ty wiesz, kim jesteśmy? Możesz wrócić, nie wstydząc się za siebie. Ja nie. Potrzebuję go bardziej niż ty!

– Nie wracasz do domu, Julian. Tylko jeden z nas wyjdzie stąd żywy. Słyszałeś go.

– Nie zrobiliby tego...

– Nie?

– Proszę. Proszę, Darrow. Wracaj do domu. Nie potrzebujesz go tak bardzo, jak ja. Nie potrzebujesz. Cassius... będzie zawstydzony, jeżeli nie przejdę dalej. Nie będę umiał spojrzeć mu w oczy. Każdy członek mojej rodziny jest Naznaczony. Mój ojciec to Imperator. Imperator! Jeśli jego syn nie da rady przejść przez Chrzest... to co pomyślą sobie jego żołnierze?

– Nadal będzie cię kochał. Mój by tak zrobił.

Julian kręci głową. Bierze głęboki oddech i prostuje się.

– Jestem Julian au Bellona z rodziny Bellona, mój przyjacielu.

Wcale nie chcę tego robić. Nie potrafię wytłumaczyć, jak bardzo nie chcę skrzywdzić Juliana. Ale od kiedy to, czego chciałem, miało jakiegokolwiek znaczenie? Moi ludzie tego potrzebują. Eo poświęciła szczęście i własne życie. Jestem w stanie poświęcić własne potrzeby. Mogę złożyć w ofierze tego smukłego księcia. Mogę poświęcić nawet własną duszę.

Robię pierwszy krok w stronę Juliana.

– Darrow... – szepcze.

Darrow był dobry, ale na Lykos.

Ja nie jestem. Nienawidzę się za to. Wydaje mi się, że płaczę, bo widzę jak przez mgłę.

Zasady, maniery i moralność społeczna idą na bok. Wystarczy wziąć kamienny pokój i dwójkę ludzi pragnących tej samej, trudnej do osiągnięcia rzeczy. Mimo to zmiana nie jest natychmiastowa. Nawet gdy uderzam Juliana w twarz, a jego krew plami moje kłykcie, nie wygląda to jak prawdziwa walka. W pokoju jest cicho. Niezręcznie. Uderzając Juliana, czuję się jak brutal. Jakbym grał. Kamień pod moimi stopami jest zimny. Dostaję gęziej skórki.

Oddech odbija się echem od ścian.

Chcę, żebym go zabił, bo nie poradził sobie wystarczająco dobrze na ich testach. To dysharmonia. A ja jestem kosą Darwina. Naturą oddzielającą plewy. Nie wiem, jak zabić. Nigdy nie zabiłem człowieka. Nie mam przy sobie ani noża, ani ogłuszacza, ani miotacza. To niemożliwe, żebym zabił tego chłopca gołymi rękami. Chce mi się śmiać. Julian wybucha śmiechem. Jestem gołym dzieciakiem bijącym drugiego gołego dzieciaka w zimnym pokoju. Jego wahanie jest oczywiste. Stopy poruszają się, jakby chciał przypomnieć sobie kroki tańca. Ale gdy jego łokcie znajdują się na wysokości mojego oka, panikuję. Nie znam sposobu, w jaki walczy. Uderza mnie bez entuzjazmu w obcy, artystyczny sposób. Jest niepewny i powolny, ale jego nieśmiałe pięści trafiają mnie w nos.

Ogarnia mnie wściekłość.

Moja twarz drętwieje. Serce mi wali. Podchodzi do gardła. Czuję mrowienie na całym ciele.

Łamię mu nos prawym prostym. Boże, moje dłonie są takie silne.

Julian wyje z bólu i atakuje, wyginając moją rękę pod dziwnym kątem. Wyskakuje ze stawu. Uderzam go czołem i trafiam w nasadę nosa. Chwytam go za kark i znów uderzam o swoje czoło. Nie może się uwolnić. Robię to ponownie. Coś pęka z trzaskiem. Krew i ślina moczą mi włosy. Zęby Juliana wbijają się w moją skórę na czubku głowy. Odskakuję od niego, jakbym tańczył, obracam się na prawej nodze, pędzę naprzód i uderzam go z całej siły w pierś. Moja dłoń Helldivera roztrzaskuje jego wzmocniony mostek.

Słysząc potworny, świszczący wdech. I trzask przypominający pękające gałązki.

Julian upada na ziemię. Jestem oszołomiony od uderzenia go czołem. Widzę na czerwono. I w dodatku podwójnie. Potykając się, idę w jego stronę. Łzy płyną mi po policzkach. Ciałem Juliana wstrząsają konwulsje. Gdy łapię go za złociste włosy, odkrywam, że jest całkiem bezwładny. Jak złote, mokre pióro. Krew wypływa mu z nosa. Jest taki cichy. Nie porusza się. Nie uśmiecha.

Mamrocze imię swojej żony, gdy tulę do siebie jego głowę. Jego twarz przypomina teraz krwawy kwiat.

CZEŚĆ TRZECIA

ZŁOTY

„Oto twój sling, synu. Dzięki niemu zdobędziesz ziemię. Zabijesz jaskiniowe żmije. Dbaj o to, by był ostry, a jeśli utkniesz między wiertłami, ocali ci życie za cenę kończyny”. Tak powiedział mój wujek.

Rozdział dwudziesty
Dom Mars

W mojej duszy panuje spokój, gdy patrzę na bezwładne ciało chłopca. Nawet Cassius nie rozpoznałby teraz Juliana. W sercu mam ziejącą dziurę. Dłonie drżą, gdy krew ścieka z nich na zimny kamień. Strumienie krwi płyną po Złoty Sigilach. Jestem Helldiverem, ale szlocham nawet wtedy, gdy obsychają łzy. Krew Juliana cieknie mi po kolanie, po bezwłosej łydce. Jest czerwona. Nie złota. Pod kolanami czuję kamień. Dotykam go czołem, zanosząc się płaczem do momentu, w którym jestem kompletnie wyczerpany.

Gdy na niego patrzę, nadal jest martwy.

Nie powinno tak być.

Myślałem, że Elita tylko bawiła się swoimi niewolnikami. Błąd. Julian nie zdobył na teście tego samego wyniku, co ja. Nie był tak sprawny fizycznie. I stał się barankiem ofiarnym. Na Dom przypadła setka uczniów, z których mniej wybitna pięćdziesiątka była tu tylko po to, żeby zostać zabita przez lepszą połowę. To tylko cholerny test... ale nie dla mnie. Nawet potężna rodzina Bellona nie była w stanie ochronić swojego mniej zdolnego syna. I o *to* w tym chodzi.

Nienawidzę samego siebie.

Wiem, że mnie do tego zmusili, a mimo to nadal mam wrażenie, jakby dawali mi wybór. Tak jak wtedy, gdy pociągnąłem Eo za nogi i poczułem trzask jej drobnego kręgosłupa. Mój wybór. Ale jaki miałem wybór w jej przypadku? W przypadku Juliana? Zrobili to, żebyśmy okryli się poczuciem winy.

Nie mam o co obetrzeć krwi. Jest tylko kamień i dwa nagie ciała. Nie jestem taki i nie chcę taki być. Chcę zostać ojcem, mężem, tancerzem. Niech pozwolą mi kopać w ziemi. Śpiewać pieśni moich ludzi i skakać na murze. Nigdy nie zaśpiewam zakazanej pieśni. Będę pracował. Pokłonię się. Niech pozwolą mi zmywać brud z moich dłoni zamiast krwi. Chcę tylko żyć ze swoją rodziną. Byliśmy wystarczająco szczęśliwi.

Wolność kosztuje zbyt wiele.

Ale Eo się z tym nie zgadzała.

Niech ją szlag.

Czekam, ale nikt nie przychodzi, żeby obejrzeć bałagan, jakiego narobiłem. Drzwi są otwarte. Wsuwam złoty pierścień na palec po tym, jak zamykam oczy Juliana, i wychodzę nago na korytarz. Jest pusty. Miękkie światło prowadzi mnie w górę niekończących się schodów. Woda kapie z sufitu podziemnego tunelu. Próbuję użyć jej do obmycia ciała, ale udaje mi się jedynie rozcieńczyć krew. Nie mogę się uwolnić od tego, co zrobiłem, bez względu na to, jak daleko brnę tunelem. Jestem sam ze swoim grzechem. To w ten sposób oni rządzą. Niezrównani Naznaczeni wiedzą, że złe uczynki ciągną się za nami przez całe życie. To ich pierwsza lekcja. A może chodziło o to, że słabi nie zasługują, by żyć?

Nienawidzę ich, lecz słyszę.

Zwycięzaj. Noś ze sobą poczucie winy. Rządź.

Chcę, żebym stał się bezlitosny. By moja pamięć była krótka.

Ale ja zostałem inaczej wychowany.

Mój lud śpiewa wyłącznie o wspomnieniach. Ja również zapamiętam tę śmierć. Obciąży mnie w sposób, w jaki nie obciąży moich kolegów – nie mogę dopuścić, żeby to się zmieniło. Nie mogę stać się taki jak oni. Muszę pamiętać, że każdy grzech, śmierć i ofiara są ceną wolności.

Mimo to boję się.

Czy będę w stanie znieść kolejną lekcję? Czy dam radę udawać, że jestem tak zimny jak Augustus? Teraz wiem, dlaczego nawet nie wzdrygnął się, gdy wieszali moją żonę. I zaczynam rozumieć, dlaczego Złoci rządzą. Potrafią to, czego ja nie umiem.

Choć jestem sam, wiem, że wkrótce znajdę pozostałych. Na razie chcę, żebym pograżył się w poczuciu winy. Żebym był samotny i w żałobie. Dzięki temu, gdy spotkam pozostałych zwycięzców, odczuję ulgę. Morderstwa zwiążą nas, a ja odkryję, że towarzystwo zwycięzców to wybawienie od poczucia winy. Nie kocham żadnego z kolegów, ale wydaje mi się, że to niedługo ulegnie zmianie. Będę potrzebował ich wsparcia i zapewnienia, że nie jestem zły. A oni będą chcieli tego samego. W ten sposób stworzymy rodzinę – rodzinę obciążoną straszliwymi sekretami.

Mam rację.

Tunel prowadzi mnie do innych. Jako pierwszego widzę Roque, poetę. Krwawi z rany z tyłu głowy. Śliska krew pokrywa jego prawy łokieć. Nie sądziłem, że będzie w stanie zabić. Czyja to krew? Oczy ma czerwone od płaczu. Jako drugą widzę Antonię. Jest naga tak jak my. Porusza się niczym złoty statek dryfujący na falach, cichy i powściągliwy. Jej stopy zostawiają krwawe ślady na podłodze.

Boję się spotkać Cassiusa. Mam nadzieję, że nie żyje. Przypomina mi Tancerza – przystojnego, roześmianego, smoka w ludzkiej skórze. Ale nie dlatego się boję. Boję się, ponieważ ma powód, by mnie nienawidzić, by mnie zabić. Jeszcze nikt w moim życiu nie miał powodu, żeby mnie nienawidzić. Nagle coś sobie uświadamiam. Jakim cudem można utworzyć Dom obciążony takimi sekretami? Nie można. Cassius będzie wiedział, że ktoś z tu obecnych zabił jego brata. Pozostali stracili przyjaciół, a Dom zniszczy sam siebie. Elita dokonała tego celowo. Chcieli, by zapanował chaos. To nasz drugi test. Plemienne konflikty.

Nasza trójka znajduje pozostałych ocalałych w ogromnej, kamiennej jadalni zdominowanej przez długi, drewniany stół. Pochodnie oświetlają pokój. Nocna mgła wpływa przez otwarte okna. Pomieszczenie wygląda jak wyjęte ze starych baśni. Z czasów, które nazywali średniowieczem. Na końcu znajduje się cokół. Góruje tam gigantyczny kamień. W środku tkwi złota dłoń Prymusa. Czarno-złote gobeliny otaczają kamień z obu stron. Przedstawiają wyjącego wilka, który wygląda, jakby dawał ostrzeżenie. To dłoń Prymusa zniszczy Dom od środka. Każdemu z tych małych książąt i księżniczek wydaje się, że to on czy ona zasługuje na honor przewodzenia Domowi. A tylko

jednemu się to uda.

Idę jak duch z innymi studentami, włócząc się po czymś, co przypomina gigantyczny zamek. Jest tu pokój, w którym możemy doprowadzić się do porządku.

Z koryta na kamienną podłogę wypływa lodowata woda. Krew pomieszana z wodą płynie w prawo i wsiąka w kamień. Czuję się jak upiór krążący nad krainą mgły i skał.

W prawie pustej zbrojowni zostawiono dla nas czarne i złote szaty. Każdy uczeń znajduje tobolek oznaczony swoim imieniem. Złoty symbol wyjącego wilka zdobi kołnierzyki i rękawy naszych strojów. Zabieram ubranie ze sobą i zakładam w jakimś pustym magazynie. Osuwam się w kąć i płaczę, nie z powodu Juliana, ale dlatego, że to miejsce jest takie zimne i ciche. I tak daleko od domu.

Znajduje mnie Roque. Zaskakuje w swoim uniformie – jest smukły jak kłos złotego ziarna, z wysokimi kośćmi policzkowymi, ciepłymi oczami, ale jego twarz jest blada. Siedzi w kucki naprzeciwko mnie przez kilka minut, zanim wyciąga dłoń, by uścisnąć moje ręce. Zabieram je, ale nie daje za wygraną, dopóki na niego nie popatrzę.

– Jeśli rzucą cię na głęboką wodę, a ty nie umiesz pływać, utoniesz – mówi, unosząc wąskie brwi. – Więc pływaj, dobrze?

Ocieram milczące łzy i zmuszam się do chichotu.

– Logika poety.

Wzrusza ramionami.

– Nie za bardzo się przydaje. Podam ci fakty, bracie. Tak wygląda system. Niższe w hierarchii Kolory rodzą dzieci dzięki katalizatorom. Szybkie ciążę, czasami trwające po pięć miesięcy, nim wywołuje się sztucznie poród. Nie licząc Obsydianów, tylko *my* czekamy dziewięć miesięcy do momentu narodzin. Nasze matki nie dostają żadnych przyspieszaczy, środków uśmierzających ból ani biopolimerów. Zadałeś sobie kiedyś pytanie dlaczego?

– Żeby produkt był czysty.

– I żeby matka natura miała szansę nas zabić. Zarząd Kontroli Jakości jest mocno przekonany, że trzynaście koma sześć tysięcy dwieście trzynaście procent wszystkich dzieci Złotych powinno umrzeć przed ukończeniem pierwszego roku życia. Czasami doprowadzają do tego, żeby rzeczywistość odpowiadała tej liczbie. – Rozkłada wąskie dłonie. – A dlaczego? Ponieważ wierzą, że cywilizacja osłabia naturalną selekcję. Wykonują pracę natury, żeby nasza rasa nie zmiękła. Wygląda na to, że Chrzest jest kontynuacją tej polityki. Tylko że to my byliśmy narzędziami w ich rękach. Moja... *ofiara*... była, niech Bóg błogosławi jego duszę, głupcem. Pochodził z nic nieznaczącej rodziny, był pozbawiony sprytu, inteligencji i ambicji. – Marszczy brwi, a potem wzdycha. – Nie miał niczego, co ceni Zarząd. Dlatego musiał umrzeć.

Czy istniał jakiś powód, dla którego i Julian musiał umrzeć?

Roque wie to wszystko, ponieważ jego matka zasiada w Zarządzie. Nienawidzi jej i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że powinienem go polubić. Ale nie chodzi tylko o to. Znajduję ukojenie w jego słowach. Nie zgadza się z zasadami, ale podąża za nimi. To możliwe. Mogę postępować tak samo, dopóki nie zyskam siły potrzebnej, by zmienić ten stan rzeczy.

– Powinniśmy dołączyć do pozostałych – mówię, podnosząc się.

W jadalni nasze imiona ze złotych liter unoszą się nad krzesłami. Wyniki testów zniknęły. Nasze nazwiska pojawiły się również pod dłonią Prymusa, na tle czarnego kamienia. Dryfują w powietrzu, wznosząc się w stronę złocistej dłoni. Jestem najbliżej, choć w dalszym ciągu mam do pokonania spory dystans.

Część studentów płacze, stoją w niewielkich grupach za długim stołem. Pozostali siedzą plecami do ściany, z twarzami ukrytymi w dłoniach. Kulejąca dziewczyna szuka przyjaciółki. Antonia patrzy spod byka tam, gdzie siedzi i je mały Sevro. Tylko on ma apetyt. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że przeżył. Jest drobniutki i dołączył do nas jako dziewięćdziesiąta dziewiąta osoba i ostatni uczeń z Poboru. Gdyby świat rządził się zasadami opisanymi przez Roque, dzieciak już by nie żył.

Gigant Titus jest żywy i posiniaczony. Jego łapy wyglądają jak brudny rzeźnicki stół. Stoi arogancko z dala od innych, szczerząc się, jakby to wszystko było świetną zabawą. Roque rozmawia przyciszonym głosem z kulejącą dziewczyną, Leą, która osuwa się na ziemię i rzuca pierścień. Z szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami wygląda jak przerażona sarna. Roque siedzi obok niej i trzyma za rękę. Emanuje spokojem, wyjątkowym i unikalnym w tym pomieszczeniu. Ciekawe, czy był taki spokojny, gdy musiał zadusić innego dzieciaka. Bawię się moim pierścieniem, wsuwając i zsuwając go z palca.

Ktoś za moimi plecami klepie mnie lekko w głowę.

– Hej, bracie.

– Cassius. – Kiwam głową na powitanie.

– Gratulacje z powodu zwycięstwa. Już się martwiłem, że jesteś zbyt wielkim mózgowcem – śmieje się.

Jego złociste loki nie są nawet wzburzone. Obejmuje mnie ramieniem i rozgląda się po pokoju ze zmarszczonym nosem. Udaje nonszalancję, ale ja wiem, że jest zmartwiony.

– Ach, czy jest coś paskudniejszego od uzalania się nad sobą? Cały ten płacz. – Uśmiecha się krzywo i wskazuje na dziewczynę z poharatanym nosem. – A ta przed chwilą zrobiła się agresywna. Nie żeby w ogóle wzbudzała zainteresowanie. Ech, ech.

Zapominam języka w gębie.

– Co, doznałeś wstrząsu psychicznego? Oberwałeś w tchawicę?

– Nie mam zbyt wielkich powodów do wesołości – mówię. – Dostałem parę razy w łeb. Moje ramię też jest odrobinę niesprawne. Nie jestem przyzwyczajony do czegoś takiego.

– Ramię da się od razu naprawić. Zaraz wstawimy je na miejsce. – Niedbale chwyta mnie za zwichnięte ramię i szarpnięciem wsuwa je do stawu, zanim zdążę zaprotestować. Wypuszczam gwałtownie powietrze z bólu. Cassius chichocze. – Nieźle. Nieźle. – Klepie mnie w to samo ramię, które przed chwilą nastawił. – Pomożesz mi?

Wyciąga lewą rękę. Jego wybite ze stawów palce wyglądają jak pioruny. Prostuję je. Cassius śmieje się z bólu, nie mając pojęcia, że mam pod paznokciami krew jego brata. Za wszelką cenę staram się nie hiperwentylować.

– Widziałeś gdzieś Juliana? – pyta w końcu. Teraz, kiedy Priama nie ma w zasięgu wzroku, mówi w środkowym lingo.

– Ani śladu.

– Ech, dzieciak pewnie stara się być delikatny w swojej walce. Ojciec nauczył nas Milczącego Tańca, Kravat. Julian jest w nim geniuszem. Myśli, że ja jestem lepszy. – Cassius marszczy brwi. – Myśli, że we wszystkim jestem lepszy... Co jest całkiem zrozumiałe. Po prostu musi się rozkręcić. A skoro już o tym mowa, to kogo zabiłeś?

Mój żołądek zaciska się w supeł.

Wymyślam jakieś kłamstwo, i to całkiem dobre. Ogólnikowe i nudne. Cassius i tak chce rozmawiać wyłącznie o sobie. W końcu do tego się urodził. Jest tu niecała piętnastka dzieciaków, które mają ten sam błysk spokoju w oczach. Nie zła, tylko ekscytacji. Słabsza część grupy została wytrzebiona przez lepszą. Prawie nikt nie jest ranny, nie licząc dwójki drobnych uczniów z niskiego Poboru. Czasami naturalna selekcja przynosi niespodzianki.

Cassius mówi, że jego pojedynek był łatwy. Sprawny i szybki. Zmiażdżył komuś tchawicę kantem dłoni dziesięć sekund po rozpoczęciu walki. Mimo to w dziwny sposób uszkodził sobie palce. Wspaniale. Zrobiłem trupa z brata najlepszego zabójcy. Czuję ogarniający mnie strach.

Cassius milknie, gdy zjawia się Fitchner i każe nam podejść do stołu. Jedno po drugim zapełnia się pięćdziesiąt miejsc. Twarz Cassiusa staje się coraz bardziej mroczna, gdy uciekają kolejne szanse na pojawienie się Juliana. Gdy ostatnie miejsce zostaje zajęte, Cassius ani drgnie. Promieniuje lodowatą wściekłością. Antonia siedzi naprzeciwko nas i obserwuje go. Jej usta poruszają się, ale nie mówi ani słowa. Takich jak Cassius się nie pociesza. A mnie się nie wydaje, by ona należała do ludzi, którzy to robią.

Brakuje nie tylko Juliana. Arria, cała w lokach i dołeczkach, leży gdzieś bezwładnie na zimnej podłodze. Nie ma też Priama. Priam, Premier, spadkobierca marsjańskich księżyców. Słyszałem, że był Pierwszym Mieczem w Układzie Słonecznym ze swojego rocznika. Niepokonanym wojownikiem.

Najwidoczniej jego pięści nie były wystarczająco zabójcze. Przyglądam się zmęczonym twarzom. Kto, u diabła, go zabił? Zarząd nawalił w tym przypadku, a matka Priama rozpęta piekło, bo jej syn z pewnością nie miał umrzeć.

– Marnujemy najlepszych z nas – mruczy Cassius spokojnym tonem.

– Witajcie, małe gównojady – ziewa Fitchner i kładzie nogi na stół. – Chyba stało się dla was oczywistym, że Chrzest można równie dobrze nazwać Odstrażalem. – Drapie się po kroczu rękojeścią noża.

Jego maniery są jeszcze gorsze od moich.

– Pewnie myślicie sobie, że to marnotrawstwo wspaniałych Złotych, ale jesteście idiotami, jeśli wydaje się wam, że pięćdziesiątka dzieciaków jest w stanie nadszarpnąć naszą liczebność. Powierzchnię Marsa zamieszkuje ponad milion Złotych. W Układzie Słonecznym jest ich więcej niż sto milionów. Mimo to nie wszystkim udaje się zostać Naznaczonymi, co? Jeżeli nadal myślicie, że to podłość, zauważcie, iż Spartanie zabijali więcej niż dziesięć procent wszystkich urodzonych dzieci. Natura wykańczała kolejne trzydzieści. W przeciwieństwie do nich wykazujemy się pieprzonym humanitaryzmem. Z tych, którzy przetrwali, większość zalicza się do lepszej części aplikantów. Ci, którzy nie żyją, w większości należeli do gorszej. Nie doszło więc do żadnej straty. – Chichocze i rozgląda się wokół z zaskakującą dumą. – Nie licząc tego idioty Priama. O tak. To dla was nauczka. Był cudownym chłopcem – przystojnym, silnym, szybkim, geniuszem uczącym się dzień i noc z tuzinem wychowawców. Ale był rozpieszczony. Ktoś, nie powiem kto, bo to zniszczyłoby całą frajdę szkolenia, powalił go na ziemię, a potem tak długo miażdżył mu stopą tchawicę, aż umarł. Trochę to trwało.

Splata dłonie za głową.

– Wracając do rzeczy, oto wasza nowa rodzina. Dom Mars – jeden z wielu. Nie jesteście wyjątkowi dlatego, że żyjecie na Marsie i jesteście w jego Domu. Ci z Domu Wenus też nie są wyjątkowi. Ledwie pasują do standardów tego Domu. Chyba rozumiecie, o co mi chodzi. Po pobycie w Instytucie będziecie się rozglądać za praktyką – przy odrobinie szczęścia w rodzinie Bellona, Augustus lub Arcos, o ile chcecie, żebym był z was dumny. Zeszłoroczni absolwenci Domu Mars mogą wam w tym pomóc. Mogą zaproponować praktykę także u siebie. Możliwe, że poradzicie sobie tak dobrze, że nie będzie wam potrzebna niczyja pomoc. Pozwólcie jednak, że coś wam wyjaśnię. W tej chwili jesteście dziećmi. Głupimi, małymi dziećmi. Wasi rodzice zapewniali wam wszystko. Inni podcierali wasze małe tyłki. Gotowali dla was jedzenie. Walczyli w waszych wojnach. Przykrywali nocą kołderkami. Czerwoni wiercą, jeszcze zanim mają okazję się pieprzyć. Budują wasze miasta, wydobywają paliwo i sprzątają po was. Różowi uczą się sztuki zaspokajania cielesnych potrzeb, zanim nauczą się golić. Obsydiani mają najgorsze życie, jakie jesteście sobie w stanie wyobrazić – nic tylko mróz, stal i ból. Urodzili się do tego, wcześniej trenowali. Waszym jedynym zadaniem było wyglądać jak małe wersje mamusi i tatusiów, nauczyć się manier, gry na pianinie, jazdy konnej i innych sportów. Od teraz należycie do Instytutu, do Domu Mars, jego Prefektury, waszego Koloru, do Elity. Bla, bla, bla.

Fitchner uśmiecha się leniwie. Żyłaste dłonie opiera na wystającym brzuchu.

– Dziś wieczorem w końcu zrobiliście coś sami. Pokonaliście dziecko takie jak wy. Ale to jest warte tyle samo, co pierdnięcie Różowej dziwki. Nasza mała Elita balansuje na czubku noża. Pozostałe Kolory wyrwałyby wam serca, gdyby otrzymały taką szansę. Nie zapominajcie o Srebrnych, Miedzianych i Niebieskich. Myślicie, że będą lojalni wobec bandy dzieciaków? Że Obsydiani posłuchają takich gnojków jak wy? Ci dusiciele dzieci zrobią z was swoich niewolników, jeżeli dostrzegą słabość. Nie możecie pokazać, że jakąś macie.

– Więc jak? Instytut ma z nas zrobić twardzieli? – burczy olbrzym Titus.

– Nie, ty wielki głąbie. Ma was uczynić sprytnymi, okrutnymi, mądrymi i twardymi. Ma was postarzyć o pięćdziesiąt lat w dziesięć miesięcy i pokazać, co wasi przodkowie zrobili, by zapewnić wam imperium. Mogę kontynuować?

Wydmuchuje balon z gumy do żucia.

– Dom Mars. – Chudą dłonią drapie się po brzuchu. – Należymy do dumnego Domu, który może się równać z niektórymi Starszymi Rodzinami. W naszych szeregach są Politycy, Pretorzy i Sędziowie, obecni ArcyGubernatorzy Merkurego i Europy, Trybun, tuzin Pretorów, dwóch Senatorów, Imperator floty. Nawet Lorn au Arcos z rodziny Arcos, trzeciej najpotężniejszej na Marsie, dla tych, którzy o tym nie wiedzą, utrzymuje z nami więź. Ci wszyscy wysoko urodzeni ludzie szukają nowych talentów. Wybrali was spośród innych kandydatów, by zapełnić listę. Zaimponujcie tym ważnym osobistościom, a otrzymacie praktykę. Wygrajcie, a dostaniecie się na staż w Domu lub Starszej Rodzinie. Może nawet sam Arcos będzie chciał mieć was u siebie. Jeśli tak się stanie, znajdziecie się na najlepszej drodze do zdobycia pozycji, sławy i potęgi.

Pochylam się naprzód.

– Wygrać? – pytam. – A co jest do wygrania?

Fitchner uśmiecha się.

– W tej chwili znajdujecie się w odległej, sterraformowanej dolinie w południowej części Valles Marineris. Leżą w niej Domy, ulokowane w zamkach. Po jutrzejszym rekonesansie wyruszyście na wojnę z waszymi kolegami, by przejąć kontrolę nad doliną przy użyciu wszelkich dostępnych środków. Możecie to uznać za studium przypadku zdobycia i rządzenia imperium.

Zewsząd słyhać podniecone szepty. To gra. A ja myślałem, że będę musiał uczyć się czegoś w klasie.

– A co, jeśli ktoś zostanie Prymusem zwycięskiego Domu? – pyta Antonia. Przeczesuje palcami swoje złociste kędziory.

– Wtedy witaj, chwało kochana. Witaj, sławo i władzo.

Już wiem, że muszę zostać Prymusem.

Jemy prosty posiłek. Gdy Fitchner opuszcza salę, Cassius odzywa się zimnym głosem, przepełnionym

czarnym humorem:

– Zagrajmy w grę, przyjaciele. Każdy z nas powie, kogo zabił. Ja zacznę. Nexus au Celintus. Znałem go od dziecka, tak jak część z was. Palcami zmiażdżyłem mu tchawicę. – Nikt się nie odzywa. – No dalej. Rodziny nie powinny mieć przed sobą tajemnic.

Mimo to wszyscy zachowują milczenie.

Sevro jest pierwszym, których wychodzi, szydząc jawnie z gry Cassiusa. Pierwszy w jedzeniu. Pierwszy do spania. Chcę za nim iść. Zamiast tego rozmawiam o błahostkach z emanującym spokojem Roque i masywnym Titusem po tym, jak Cassius się poddaje i również opuszcza jadalnię. Nie sposób polubić Titusa. Nie jest zabawny, ale wszystko wydaje się być dla niego żartem. Zupełnie jakby kpił ze mnie i z pozostałych nawet wtedy, gdy się na pozór miło uśmiecha. Chcę go uderzyć, ale nie daje mi powodu. Wszystko, co mówi, jest całkowicie niewinne. Mimo to nienawidzę go. Sprawia wrażenie, jakby nie uważał mnie za człowieka. Dla niego jestem pionkiem w grze, a on tylko czeka, żeby mnie przesunąć. A raczej mną pomiatać. Jakimś cudem zapomniał zachowywać się jak nastolatek, jak reszta grupy. Jest mężczyzną. Wysokim na co najmniej dwa metry. Może nawet dwa i pół. Z drugiej strony, zwinny Roque przypomina mi Kierana, pod warunkiem że Kieran potrafiłby zabijać. Jego uśmiechy są szczerze i uprzejme. Słowa pełne cierpliwości i mądrości, tak jak wcześniej. Lea, dziewczyna, która wygląda jak kulejąca mała sarenka, chodzi za nim wszędzie. Okazuje jej cierpliwość w sposób, w jaki ja nigdy bym nie potrafił.

Późnym wieczorem szukam miejsc, w których zginęli pozostali uczniowie. Nie mogę ich znaleźć. Schodów już nie ma. Zamek je pochłonął. Natykam się na resztę w długim dormitorium, zasłanym cienkimi materacami. Wilki wyją w kłębiącej się mgle spowijającej wyżyny otaczające nasz zamek. Zaspiam w mgnieniu oka.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Nasze dominium

Fitchner budzi nas ciemnym rankiem w dormitorium. Narzekając, staczamy się z piętrowych łóżek i wyruszamy ze stołu na zamkowy plac, gdzie robimy rozgrzewkę, a potem biegamy. Pędzimy susami w zero koma trzydzieści siedem g.

Z chmur pada drobny deszczyk. Zbocza kanionu rozciągające się pięćdziesiąt kilometrów na zachód i czterdzieści na wschód od naszej małej doliny są wysokie na sześć kilometrów. Między nimi znajduje się ekosystem poprzecinany górami, lasami, rzekami i równinami. Nasze pole bitwy.

Do nas należy terytorium wyżyn. Porosłe mchem wzgórze i skaliste szczyty opadają w stronę ukształtowanych w literę U trawiastych dolin. Wszystko spowija mgła, nawet gęste lasy przypominające ręcznie tkane dywany przykrywające przedgórze. Nasz zamek stoi na wzgórzu na północ od rzeki, na środku podobnej do misy doliny – część porasta trawa, część drzewa. Wyższe wzniesienia otaczają ją półkolem od północy i południa. Mam przecucie, że będzie mi się tu podobać. Eo na pewno polubiłaby to miejsce. Jednak bez niej czuję się tak samotny, jak nasz zamek na wysokim, dalekim wzgórzu. Sięgam odruchowo po medalion z haemanthusem. Nie mam go przy sobie. Czuję pustkę w tym pięknym rajku.

Trzy ściany naszego zamku stoją na szczycie wysokich na osiemdziesiąt metrów kamiennych klifów. Sam zamek jest ogromny. Jego mury wznoszą się na trzydzieści metrów. Wartownia wystaje ze ścian jak forteca z wieżyczkami. Za murami wieża warowna stanowi część północno-zachodniej ściany i wznosi się na pięćdziesiąt metrów. Łagodne zbocze prowadzi z podłoża doliny do zachodniej bramy zamku. Zbiegamy po nim po samotnej, zakurzonej drodze. Otacza nas mgła. Rozkoszuję się zimnym powietrzem. Oczyszcza mnie po wielu godzinach niespokojnego snu.

Mgła znika wraz z nadejściem ciepłego, letniego dnia. Sarnię, chudsze i szybsze niż stworzenia na Ziemi, pasie się w jodłowym lasku. Nad naszymi głowami krążą ptaki. Samotny kruk wydaje dziwne odgłosy. Owce stoją na polu, a kozły przemierzają wysokie, skaliste wzgórza, na których zgromadziliśmy się w pięćdziesięcioosobowej grupie. Pozostali uczniowie z mojego Domu widywali zwierzęta pochodzące z Ziemi albo cudaczne stworzenia, które dla zabawy rzeźbili Snycerze. Ja widzę w nich jedynie pożywienie i odzież.

Święte zwierzęta Marsa zamieszkują nasze terytorium. Dziecioty stukają w pnie dębów i jodeł. Nocą na wyżynach niesie się wycie wilków, które za dnia przemierzają lasy. W pobliżu rzeki mieszkają węże. Sępy zajmują ciche przesmyki. Obok mnie biegną zabójcy. Co z nich za przyjaciele? Gdybym tylko miał przy sobie Lorana, Kierana i Matteo, którzy by mnie ochraniać... Kogoś, komu mógłbym zaufać. Jestem niczym owca w przebraniu wilka.

Gdy Fitchner każe nam biec pod górę po skalistych wzgórzach, Lea, kulejąca dziewczyna, upada. Fitchner szturcha ją stopą, aż w końcu zabieramy ją ze sobą i niesiemy na ramionach. Roque i ja zmieniamy się co jakiś czas. Titus uśmiecha się krzywo. Tylko Cassius pomaga, gdy Roque się męczy. Wtedy Pollux, smukły chłopak z ochrypłym głosem i rozczochranymi włosami, przejmuje po mnie dziewczynę. Mówi tak, jakby palił papierosy, odkąd skończył dwa lata.

Posuwamy się z trudem przez zalaną słońcem dolinę drzew i pól. Kąsają nas owady. Złoci ociekają potem, ale nie ja. To lodowa kąpiel w porównaniu z rygiorem mojego starego skafandra. Mam świetną kondycję, więc Cassiusa, Sevro, Antonię, Quinn (najszybszą dziewczynę lub najszybsze coś, co kiedykolwiek widziałem na dwóch nogach), Titusa i trójkę jego nowych przyjaciół mógłbym spokojnie zostawić w tyle. Tylko Fitchner ze swoimi butami grawitacyjnymi jest w stanie nas prześcignąć. Odbija się od ziemi, a potem dopada jedną z saren i wyciąga nóż. Ostrze zatacza krąg wokół gardła zwierzęcia.

– Kolacja – mówi, szczerząc zęby w uśmiechu. – Bierzcie ją.

– Mogłeś zabić ją bliżej zamku – mamrocze Sevro.

Fitchner drapie się po głowie i rozgląda dokoła.

– Czy ktoś jeszcze słyszał tego brzydkiego, małego Goblina? Brać ją.

Sevro łapie za nogę sarny.

– Dupek.

Docieramy na skalisty szczyt pięć kilometrów na południowy zachód od naszego zamku. Stoi na nim kamienna wieża. Z jej wierzchołka obserwujemy pole bitwy. Gdzieś tam nasi wrogowie robią to samo. Pole rozciąga się na południe dalej, niż jesteśmy w stanie zobaczyć. Po zachodniej stronie widać pokryty śniegiem łańcuch górski. Na południowym wschodzie krajobraz wypełnia pierwotny las. Oddziela je od siebie bujna równina, przecięta szeroką wstęgą skręcającej na południe rzeki Argos i jej dopływami. Na południu suchy grunt zastępują bagna. Mój wzrok nie sięga dalej. Ogromna, dryfująca w powietrzu góra unosi się dwa kilometry od ziemi na niebieskawym, usianym gwiazdami niebie. Fitchner mówi nam, że to Olimp, sztuczna góra, z której Cenzorzy sprawują pieczę nad nowymi klasami. Na jej wierzchołku połyskuje zamek jak z bajki. Lea powłóczy nogą, żeby stanąć bliżej mnie.

– W jaki sposób to fruwa? – pyta słodkim głosem.

Nie mam najmniejszego pojęcia.

Patrzę na północ.

Dwie rzeki w zalesionej dolinie przecinają nasze północne terytorium wyżyn, które znajduje się na skraju rozległej dziczy. Kształtem przypominają literę V, z czubkiem skierowanym na południowy zachód aż do nizin, gdzie na końcu spotykają się i tworzą jeden z dopływów Argos. Dolinę otaczają wyżyny – wzgórza i karłowate góry poprzecinane strumieniami, nad którymi nadal unosi się mgła.

– To wieża Fobos – mówi Fitchner. – Leży w dalekiej, południowo-zachodniej części naszego terytorium. – Popija wodę z manierki, podczas gdy my jesteśmy spragnieni, i wskazuje na północny zachód, gdzie dwie rzeki łączą się w dolinie. Masywna wieża wieńczy szczyt odległego, karłowatego pasma górskiego tuż poza granicami węzła. – A to Deimos. – Wyznacza niewidzialną linię, by pokazać nam granice obszaru Domu Mars.

Rzeka na wschodzie nazywa się Furor. Rzeka na zachodzie, która przepływa tuż obok naszego zamku, to Metas. Tę drugą spina pojedynczy most. Wróg musiałby więc przekroczyć ją, by dostać się do zbiegu obu rzek w dolinie, zaatakować od północnego zachodu przez łatwy do przejścia, zalesiony teren i zdobyć nasz zamek.

– To jakiś pieprzony żart, tak? – pyta Fitchnera Sevro.

– Co masz na myśli, Goblinie? – Fitchner wydmuchuje balon z gumy do żucia.

– Nogi mamy tak rozkraczone jak u Różowej dziwki. Co z tego, że są tu góry i zbocza, skoro każdy może sobie tu wejść frontowymi drzwiami? Do naszej bramy wiedzie idealnie płaski pas ziemi wychodzący z nizin. Wystarczy tylko przekroczyć jedną, cuchnącą rzekę.

– Wskazujesz na oczywiste, co? Wiesz, ja naprawdę nie darzę cię sympatią, ty plugawy, mały Goblinie. – Fitchner wpatruje się w Sevro, a potem wzrusza ramionami. – Tak czy inaczej, będę na Olimpie.

– Co to znaczy, Cenzorze? – pyta Cassius kwaśnym tonem. Nie podoba mu się obrót sprawy. I choć oczy ma czerwone, bo płakał przez całą noc z powodu nieżyjącego brata, nie stępiło to jego potęgę.

– To znaczy, że to twój problem, księciuniu. Nie mój. Nikt nie będzie za was niczego załatwiał. Jestem waszym Cenzorem, nie mamusią. Jesteście w szkole, pamiętacie? Więc skoro wasze nogi są takie rozkraczone, to zróbcie sobie pas cnoty, żeby chronić wrażliwe miejsce.

Słysząc ogólne narzekanie.

– Mogło być gorzej – mówię. Wskazuję ponad głową Antonii na południowe równiny, gdzie wroga twierdza spina brzegi wielkiej rzeki. – Mogliśmy być całkiem na widoku, jak ci biedni głupcy.

– Ci biedni głupcy mają uprawy i sady – rozmyśla głośno Fitchner. – A wy macie... – Wygląda za półkę skalną, by znaleźć sarnę, którą zabił. – No cóż, Goblin zostawił sarnę, więc nie macie niczego. Wilki zjedzą to, czego wy nie mogliście.

– Chyba że to my zjemy wilki – mruczy Sevro, ściągając na siebie dziwne spojrzenia reszty Domu.

A więc sami musimy zdobywać pożywienie.

Antonia wskazuje w kierunku nizin.

– Co oni robią?

Czarny statek towarowy wyłania się zza chmur. Ląduje na środku trawiastej równiny między nami a odległą rzeczną fortecą Ceres. Dwóch Obsydianów i tuzin Blaszaków stoi na straży, podczas gdy grupa Brązowych pośpiesznie wyklada szynki, steki, biszkopty, wino, mleko, miód i sery na rozkładane stoły oddalone o osiem kilometrów od wieży Fobos.

– To pułapka – prycha pod nosem Sevro.

– Dzięki za przypomnienie, Goblinie – wzdycha Cassius. – Ale ja nie jadłem jeszcze śniadania. – Wokół oczu ma ciemne kręgi. Ogląda się na mnie przez ramię i uśmiecha. – Gotowy na mały bieg, Darrow?

Jestem zaskoczony. Później odwzajemniam uśmiech.

– Gotowi, na miejsca...

I już go nie ma.

Zrobiłem już wiele głupich rzeczy, żeby nakarmić swoją rodzinę lub gdy umierał ktoś, kogo kochałem. Cassiusowi należy się towarzystwo w zbieganiu po stromym zboczu.

Czterdzieści osiem dzieciaków patrzy, jak pędzimy przed siebie, by napełnić brzuchy. Żaden z nich nie idzie w nasze ślady.

– Przynieście mi plaster miodowej szynki! – krzyczy Fitchner. Antonia nazywa nas idiotami. Statek odlatuje, gdy schodzimy z wyżyn na bardziej wyrównany teren. Osiem kilometrów w zero koma trzysta siedemdziesiąt sześć grawitacji to dla nas przyszcz. Złazimy z kamienistego zbocza, a potem docieramy do równiny i biegniemy najszybciej jak się da przez sięgającą kostek trawę. Cassius pokonuje mnie w biegu do stołu o całą długość ciała. Jest szybki. Każdy z nas chwyta za dzbanek wody z lodem. Ja wypijam swój szybciej. Cassius śmieje się.

– Wygląda na to, że Dom Ceres ma znak na swoim drzewcu. Bogini Żniw. – Cassius wskazuje ponad zieloną równiną na fortecę. Między nami a zamkiem rośnie kilka drzew na przestrzeni paru kilometrów. Na ich murach obronnych łopoczą proporczyki. Cassius wrzuca winogrono do ust. – Powinniśmy się lepiej rozejrzeć, zanim zaczniemy się opychać.

– Zgadzam się... ale coś mi tu nie pasuje – mówię przyciszonym głosem.

Śmiech Cassiusa niesie się po otwartej równinie.

– Nonsens. Wyczulibyśmy kłopoty, gdyby się zbliżały. Nie sędzę, by któryś z nich był szybszy od nas. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy przespacerować się do ich bram i załatwić się pod nimi.

– Czuję coś na żołądku. – Dotykam brzucha.

Coś jest nie w porządku. I nie chodzi tylko o mój żołądek.

Od rzecznej twierdzy dzieli nas sześć kilometrów otwartej przestrzeni. Rzeka kipi w oddali na prawo. Po lewej rośnie las. Przed nami leży równina. Za rzeką widać góry. Wiatr szeleści w wysokiej trawie. W powietrzu leci wróbel. Pikuje nisko w stronę ziemi, a sekundę później podrywa się i odlatuje. Wybucham głośnym śmiechem i pochylam się nad stołem.

– Są w trawie – szepczę. – To zasadzka.

– Możemy im ukraść worki i wrócić z jedzeniem – mówi głośno Cassius. A potem szeptem: – *Uciekamy?*

– Pixie.

Szczerzy zęby w uśmiechu, choć żaden z nas nie jest pewien, czy wolno nam walczyć podczas rekonesansu. Wszystko jedno.

Na trzy kopniakami wylamujemy nogi stołu tak długo, aż w końcu każdy z nas ma w rękach metrowy pręt ze wzmocnianego plastiku. Wrzeszczę jak opętany, biegnąc w kierunku miejsca, z którego uciekł wróbel. Cassius pędzi u mojego boku. Pięciu Złotych z Domu Ceres podnosi się z trawy. Są zaskoczeni naszym szalonym biegiem. Cassius trafia pierwszego w twarz celnym ciosem szermierza. Ja mam o wiele mniej wdzięku. Moje ramię jest sztywne i obolałe. Krzyczę i łamię pręt na czyimś kolanie. Przeciwnik upada na ziemię, wyjąc z bólu. Uchylam się przed uderzeniem. Cassius odpiera je. Tańczymy w parze. Została ich trójka. Jeden z nich mnie atakuje. Nie ma przy sobie ani noża, ani pałki. O nie. Ma coś, czym jestem o wiele bardziej zainteresowany. Miecz przypominający znak zapytania. Sling do ścinania zboża. Staje ze mną do walki z dłonią wspartą na biodrze i wyciągniętym ostrzem. Gdyby to faktycznie było ostrze, już byłbym martwy. Ale nie jest. Robię unik i rzucam się na napastnika. Jestem o wiele szybszy od niego, a do tego mam uścisk jak imadło. Zabieram mu slinga i nóż, a potem powalam go na ziemię.

Gdy widzi, jak obracam miecz w dłoni, ostatni niepoturbowany chłopak wie, że czas się poddać. Cassius skacze wysoko w zero koma trzysta siedemdziesiąt sześć grawitacji i częstuje go całkiem niepotrzebnym, podkreślonym kopniakiem w twarz. Przypomina mi to o tancerzach i skoczkach Lykos.

Kravat. Milczący Taniec. Dziwnie podobny do pełnego energii tańca młodych Czerwonych.

W przekleństwach rzuconych przez chłopaka nie ma nic milczącego. Nie odczuwam żadnej litości dla tych uczniów. Wszyscy zamordowali kogoś poprzedniej nocy, tak samo jak ja. W tej grze nie ma

niewiniątek. Jediną rzeczą, która mnie martwi, jest sposób, w jaki Cassius załatwił swoje ofiary. Jest uosobieniem wdzięku i finezji. Ja odzwierciedlam wściekłość i pęd. Gdyby znał moją tajemnicę, mógłby mnie zabić w sekundę.

– Łatwo poszło! – woła. – Byłeś kurewsko przerażający! Po prostu zabrałeś mu broń! I to jak szybko! Dobrze, że nie sparowali nas wcześniej. A wy, podstępni głupcy, co macie do powiedzenia?

Schwytani Złoci ograniczają się do obrzucenia nas przekleństwami.

Stoję nad nimi i przekrzywiam głowę.

– To pierwszy raz, kiedy w czymś przegraliście? – Żadnej odpowiedzi. Marszczę brwi. – Cóż, to musi być żenujące.

Twarz Cassiusa promienieje blaskiem – na chwilę zapomniał o śmierci brata. Ja nie zapomniałem. Czuję mrok w swoim wnętrzu. Pustkę. Niegodziwość, gdy opada nadmiar adrenaliny. Czy właśnie tego chciała Eo? Żebym wziął udział w tej grze? Fitchner pojawia się w powietrzu ponad nami, klaszcząc w dłonie. Jego buty połyskują złościście. W zębach ma plaster swojej miodowej szynki.

– Nadchodzą posiłki! – śmieje się.

Titus oraz pół tuzina szybszych chłopców i dziewcząt biegnie ku nam z wyżyn. Po przeciwnej stronie widać złote postaci zbliżające się w naszą stronę z odległej rzecznej fortecy. Piękna kobieta z krótkimi włosami zatrzymuje się obok Fitchnera. Cenzor Domu Ceres. Ma przy sobie butelkę wina i dwa kieliszki.

– Mars! Piknik! – woła, zwracając się do niego imieniem bóstwa jego Domu.

– Kto zaaranżował to przedstawienie, Ceres? – pyta Fitchner.

– Apollo, rzecz jasna. Jest taki samotny w swojej górskiej posiadłości. To zinfandel z jego winnicy. O wiele lepszy od zeszłorocznego trunku.

– Przepyszny! – oznajmia Fitchner. – Twoi chłopcy czaili się w trawie. Zupełnie jakby spodziewali się, że piknik sam się spontanicznie zorganizuje. Podejrzane, co?

– Szczegóły! – Cenzor Ceres wybucha śmiechem. – Pedantyczne szczegóły!

– Cóż, jeden szczegół jest wart uwagi. Wygląda na to, że w tym roku dwójka moich jest warta pięciu twoich, kochana.

– Mówisz o tych ślicznych chłopcach? – parska śmiechem Ceres. – Myślałam, że ten próżny trafił do Apollo lub Wenus.

– Oho! A twoi z całą pewnością walczą jak gosposie i farmerzy. Dobrze trafili.

– Nie osądzaj ich jeszcze, łajdaku. To uczniowie ze średniego Poboru. Ci z pierwszego są gdzie

indziej, starając się zasłużyć na swoje pierwsze bliźny!

– Uczą się, jak korzystać z piekarników? – mówi ironicznym tonem Fitchner. – Słyszałem, że z piekarzy są wspaniali władcy.

Ceres szturcha go łokciem.

– Och, ty *diable*. Nic dziwnego, że zgłosiłeś się na stanowisko Rycerza. Niezły z ciebie łotr!

Trącają się kieliszkami, podczas gdy my obserwujemy ich z dołu.

– Jak ja uwielbiam dzień rekonesansu – chichocze Ceres. – Merkury wpuścił tysiąc szczurów do cytadeli Jupitera. Jupiter zdążył się jednak przygotować, bo Diana pogadała z kim trzeba i zorganizowała dostawę tysiąca kotów. Chłopcy Jupitera nie pójda spać głodni, tak jak w zeszłym roku. Koty będą równie tłuste jak Bachus.

– Diana to ladacznica – stwierdza Fitchner.

– Trochę uprzejmości!

– Jestem uprzejmy. Wysłałem jej ogromny tort w kształcie fallusa wypełniony żywymi dzieciętami.

– Chyba żartujesz.

– Ani trochę.

– Ty draniu! – Ceres głaszczę go po ramieniu, a ja domyślam się, że łączy ich luźny związek. Jestem ciekaw, czy pozostali Cenzorzy również są kochankami. – Jej forteca zostanie całkiem podziurawiona. Och, hałas musi być nieznośny. Świetnie to rozegrałeś, Mars. Mówią, że to Merkury jest oszustem, ale twoje żarty zawsze mają w sobie pewien... *urok!*

– Urok, tak? Cóż, jestem pewien, że mógłbym pokazać ci kilka sztuczek na Olimpie...

– Hurra – grucha sugestywnie Ceres.

Ponownie wznoszą toast, fruując nad swoimi spoconymi i zakrwawionymi uczniami. Nie mogę się powstrzymać i wybucham śmiechem. To szaleńcy. Cholerni wariaci z pustymi złotymi łbami. Jakim cudem zostali moimi władcami?

– Ej! Fitch! Co mamy zrobić z tymi farmerami? – woła Cassius. Szturcha jednego z rannych jeńców w nos. – Jakie są zasady?

– Zjedzcie ich! – krzyczy Fitchner. – Darrow, odłóż tę przeklętą kosę. Wyglądasz jak żniwiarz.

Nie odkładam jej. Kształtem przypomina mój sling z domu. Nie jest tak ostra, ponieważ nie stworzono jej do zabijania, ale waży dokładnie tyle samo.

– *Możecie* puścić moich uczniów wolno i oddać im kosa z powrotem – sugeruje Ceres.

– Zgodzę się, jeśli dasz mi całusa – woła Cassius.

– Syn Imperatora? – pyta Ceres. Fitchner kiwa twierdząco głową. – Przyjdź po niego, jak już zostaniesz Naznaczonym, chłopczyku. – Ogląda się przez ramię. – Na razie doradzałabym wam jak najszybszą ucieczkę.

Słyszymy dudnienie kopyt, zanim jeszcze dostrzegamy pomalowane konie galopujące na nas przez równinę. Pędzą od strony otwartej bramy Domu Ceres. Dziewczeta na końskich grzbietach niosą sieci.

– Dali ci konie! Konie! – narzeka Fitchner. – Co za niesprawiedliwość!

Uciekamy i ledwie udaje nam się dobiec do lasu. Nie podobało mi się już moje pierwsze spotkanie z końmi. Nadal potwornie mnie przerażają. Cassius i ja wciągamy łąpczywie powietrze. Ramiona mnie bolą. Dwójka pomocników Titusa zostaje schwytana po tym, jak otaczają ich na otwartej przestrzeni. Szalony Titus powala konia na ziemię i śmiejąc się, chce skopać jedną z dziewczyn swoim buciorem. Ceres trafia go ogłuszaczem i jedna się z Fitchnerem. Ogłuszacz sprawia, że Titus sika w spodnie. Tylko Sevro jest na tyle lekkomyślny, by wybuchnąć śmiechem. Cassius mówi coś o braku manier, ale sam nabija się z niego po cichu. Titus widzi wszystko.

– Wolno nam ich zabić czy nie? – burczy Titus wieczorem przy kolacji. Jemy resztki ze stołów. – A może za każdym razem mam być ogłuszany, co?

– Nie chodzi o to, żeby ich zabić – tłumaczy Fitchner. – Więc nie. Nie będziesz chodził dokoła i masakrował swoich kolegów, głupi osiłku.

– Już raz to zrobiliśmy! – protestuje Titus.

– Co jest z tobą nie tak? Chrzest miał na celu odstrzelenie części z was. Nie chodzi już o przetrwanie najlepszych, ty wielki walnięty gorylu. Co byśmy osiągnęli, gdyby najlepsi wymordowali się nawzajem tak, że zostałyby ich tylko garstka? Przed wami nowe testy, które musicie zdać.

– Bezwzględność – mówi Antonia, krzyżując ręce. – Chcesz powiedzieć, że już nie jest akceptowana?

– Och, lepiej, żeby była. – Titus uśmiecha się szeroko. Cały wieczór przechwala się, jak powalił konia na ziemię, zupełnie jakby to miało sprawić, że wszyscy zapomną o mokrej plamie na jego spodniach. Część zapomniała. Udało mu się zebrać grupę pomocników. Wygląda na to, że tylko Cassiusa i mnie darzy ułamkiem szacunku, ale nawet nam nie szczędzi złośliwych uśmiezków. To samo tyczy się Fitchnera.

Nasz Cenzor odkłada swoją miodową szynkę.

– Wyjaśnijmy sobie coś, drogie dzieci, żeby ten byczek nie hasał dokoła, deptając wszystkim po głowach. Bezwzględność jest akceptowalna, droga Antonio. Jeśli ktoś zginie przez przypadek, to

całkiem zrozumiałe. Wypadki zdarzają się najlepszym. Ale nie będziecie się mordować za pomocą miotaczy. Nie będziecie wieszać ludzi na swoich szańcach, chyba że są już martwi. Załogi medyczne są w gotowości na wypadek, gdyby ktoś potrzebował pomocy. Są wystarczająco szybkie, by uratować komuś życie. Przeważnie. – Wydmuchuje balon z gumy do żucia. – *Pamiętajcie* jednak, że nie chodzi o to, by zabijać. Nie obchodzi nas, czy jesteście równie bezlitośni, jak Vlad Drakula. Koniec końców, i tak przegrał. To wygrana jest waszym celem. To jest to, czego chcemy.

Ten prosty test na okrucieństwo jest już za nami.

– Chcemy, byście pokazali nam swoją wspaniałość, tak jak Aleksander Wielki, Cezar, Napoleon czy Merrywater. Oczekujemy od was, że będziecie w stanie stworzyć armię, wymierzać sprawiedliwość i gromadzić zapasy jedzenia oraz broni. Każdy idiota potrafi wbić nóż w brzuch drugiej osoby. Rolą tej szkoły jest wyszukanie wśród was *przywódców*, nie *morderców*. Celem jest więc nie zabijanie, wy głupiutkie małe dzieci, lecz podbój. Jak zamierzacie to zrobić, skoro prócz was jest w tej grze kilkanaście wrogich plemion?

– Będziemy je pokonywać jedno po drugim – mówi Titus.

– Nie, ogrze.

– Głupek – szydzi sam do siebie Sevro. Grupa Titusa w milczeniu obserwuje najmniejszego chłopca w Instytucie. Nie padają żadne groźby. Czuć tylko milczącą obietnicę. Trudno pamiętać o tym, że wszyscy są geniuszami. Wyglądają zbyt pięknie. Zbyt atletycznie. Emanują zbyt wielkim okrucieństwem, by być geniuszami.

– Czy ktoś jeszcze prócz ogra ma jakiś pomysł? – pyta Fitchner.

Nikt nie odpowiada.

– Wystarczy stworzyć jedno plemię ze wszystkich – odzywam się w końcu. – Z niewolników.

Zupełnie jak Elita, zbudowana na plecach pozostałych. To postępowanie nie jest okrutne. Jest praktyczne.

Fitchner klaszcze kpiąco w dłonie.

– Świetnie, Kosiarzu, świetnie. Wygląda na to, że ktoś tu chce zostać Prymusem. – Wszyscy wiercą się na swoich miejscach, podnieceni z powodu ostatnich słów. Fitchner wyciąga spod stołu długie pudło. – Panie i panowie, oto narzędzie do robienia niewolników. – Wyjmuje nasz sztandar. – Chrońcie je. Chrońcie swój zamek. I podbijcie całą resztę.

Fitchner znika nad ranem. Na jego krześle leży sztandar. To długi na trzydzieści centymetrów żelazny pręt zakończony naszym wyjącem wilkiem. Pod jego stopami wije się wąż, a pod spodem widać ozdobioną gwiazdą piramidę charakterystyczną dla Elity. Wysoki na sto pięćdziesiąt centymetrów dębowy kij łączy się z żelazną końcówką. Jeżeli zamek ma symbolizować nasz dom, to sztandar symbolizuje honor. Dzięki niemu jesteśmy w stanie zmienić naszych wrogów w niewolników – przez przyciśnięcie go do ich czoła. Wtedy pojawi się na nich Sigil z wilkiem, o ile nie zastąpi go inny znak. Niewolnicy muszą słuchać naszych rozkazów lub na zawsze pozostaną Zhańbionymi.

Siedzę naprzeciwko sztandaru, jedząc resztki ze stołu Apolla. We mgle słychać wycie wilka, które niesie się przez okna stołpu. Wysoka Antonia dołącza do mnie jako pierwsza. Płynie w powietrzu niczym samotna wieża lub piękny złoty pająk. Nie zdecydowałem jeszcze, w którą stronę skłania się jej osobowość. Wymieniamy spojrzenia, lecz nie powitania. Wiem, że chce zostać Prymusem.

Cassius i Pollux o ochrypłym głosie zjawiają się jako następni. Pollux narzeka, że musiał iść do łóżka bez zajmujących się nim Różowych.

– Całkiem szkaradny sztandar, nie sądzisz? – gdera Antonia. – Mogli przynajmniej dodać trochę koloru. Udrapować w czerwień symbolizującą wściekłość i krew.

– Nie jest zbyt ciężki. – Cassius chwyta sztandar za kij. – Myślałem, że będzie złoty. – Podziwia złocistą dłoń Prymusa obramowaną czarnym kamieniem. On również jej pragnie. – Dali nam też mapę. Ekstra.

Nowa, kamienna mapa dominuje jedną ze ścian. Szczegóły w pobliżu naszego zamku są niesamowite. Reszta już mniej. Wojenna mgła. Cassius klepie mnie po plecach i dotrzymuje towarzystwa podczas jedzenia. Nie wie, że słyszałem, jak szlocha w środku nocy. Zajmujemy nowe dwupiętrowe łóżka w stołpie. Wielu pozostałych nadal śpi w głównej wieży. Titus i jego przyjaciele zajęli dolną wieżę, choć ich grupa nie jest na tyle liczna, by zasiedlić ją w całości.

Większość członków Domu obudziła się po tym, jak Sevro wciągnął do środka za nogi wypatroszonego i oskórowanego wilka.

– Goblin przyniósł jedzenie! – bije brawo Cassius. – Hmm. Będziemy potrzebować drewna na ognisko. Czy ktoś wie, jak rozpalić ogień? – Sevro wie. Cassius uśmiecha się. – Jasne, że umiesz, Goblinie.

– Co, owca była zbyt łatwa do zabicia? – pytam. – Skąd wzięłeś broń?

– Urodziłem się z nią. – Jego paznokcie są zakrwawione.

Antonia marszczy nos.

– Gdzieś ty się, u licha, wychował?

Sevro przykłada środkowy palec do jej palca, tworząc krzyż.

– Och. – Antonia pociąga nosem. – W takim razie w piekle.

– W porządku. Jestem pewien, że zauważyliście, iż minie trochę czasu, nim ktoś otrzyma wystarczająco dużo kresiek i zostanie Prymusem – ogłasza Cassius wszystkim zebranych przy stole. – Pomyślałem sobie, że będziemy potrzebować przywódcy, jeszcze zanim wybiorą Prymusa. – Wstaje i odsuwa się jak najdalej od Sevro, tak że jego palce spoczywają na krawędzi sztandaru. – W celu dalszego funkcjonowania musimy podjąć skoordynowane i natychmiastowe decyzje.

– Któremu z was się wydaje, że będzie się nadawał? – pyta Antonia oschłym tonem. Wielkimi oczami spogląda raz na mnie, raz na Cassiusa. Potem zwraca się do wszystkich głosem słodkim jak gęsty syrop: – Czemu któryś z was ma być lepszy od reszty?

– Zapewnili nam obiad... i śniadanie – odzywa się łagodnym tonem Lea, stojąca u boku Roque. Wskazuje na pozostałości po pikniku.

– Wpadając prosto w pułapkę... – przypomina Roque.

Antonia kiwa głową niczym mędrzec.

– Tak, tak. Celną uwagę. Lekkomyślność może wyrządzić nam krzywdę.

– ...z której wyszli obronną ręką – kończy Roque. Antonia obrzuca go morderczym spojrzeniem.

– I to dzięki stołowym nogom w starciu z prawdziwą bronią – mówi Titus z aprobatą i jednocześnie zastrzeżeniem. – *Ale* potem uciekli i zostawili jedzenie. Więc tak naprawdę zapewnił je nam Fitchner. W przeciwnym razie oddaliby je wrogowi.

– Tak, to było dość niespodziewane – przyznaje Cassius.

Titus wzrusza ramionami.

– Widziałem tylko, jak uciekacie niczym małe Pixie.

Cassius zastyga w bezruchu.

– Pilnuj swoich manier, *przyjacielu*.

Titus unosi dłonie w obronnym geście.

– Mówię, co widziałem. Czemu się wściekasz, książę?

– Uważaj, co mówisz, *przyjacielu*, albo zamienimy słowa na miecze. – Cassius dzierży w dłoni zdobyczny widelec i celuje nim w Titusa. – Słyszałeś, Titusie au Ladros?

Titus wytrzymuje jego spojrzenie, a potem zerka w moją stronę, parując mnie razem z Cassiusem. Niespodziewanie on i ja w oczach wszystkich zaczynamy tworzyć plemię. Paradygmat szybko się zmienia. Polityka. Nie śpieszę się z niczym, obracając w palcach ukradziony nóż. Cały stół go obserwuje. Zwłaszcza Sevro. Moja prawa Czerwona dłoń dzięki swojej zręczności przerzuciła milion ton metrycznych helium-3. Lewa przerzuciła pół miliona. Zręczność przeciętnego PodCzerwonego zaskoczyłaby tych Żłoty. Oszłamia ich. Nóż w moich zwinnych palcach wiruje jak skrzydła kolibra. Sprawiam wrażenie opanowanego, ale moje myśli szaleją.

Wszyscy kogoś zabiliśmy. Taka była stawka. Jaka jest teraz? Titus wyraził się jasno, że chce zabijać. Mógłbym go powstrzymać. Wbić nóż w jego szyję. Sama myśl o tym sprawia, że prawie go upuszczam. Czuję na dłoniach dotyk skóry umierającej Eo. Słyszę wilgotne plaśnięcie martwego ciała Juliana. Nie jestem w stanie znieść krwi, zwłaszcza gdy jej rozlew nie wydaje się konieczny. Potrafię utemperować zapal tego olbrzyma.

Spoglądam chłodno w oczy Titusa. Uśmiecha się leniwie z ledwie zauważalną pogardą. RzUCA mi wyzwanie. Będę musiał się z nim zmierzyć albo zrobić cokolwiek, jeśli nie odwróci wzroku – zdaje się, że tak postępują wilki.

Mój nóż obraca się i obraca. Nagle Titus wybucha śmiechem. Spuszcza wzrok. Moje serce zwalnia. Wygrałem. Nienawidzę polityki. Zwłaszcza w pokoju pełnym samców alfa.

– Jasne, że słyszałem, Cassius. Stoisz trzy metry ode mnie – chichocze Titus.

Wie, że nie jest wystarczająco silny, by rzucić wyzwanie Cassiusowi i mnie, nawet przy wsparciu swojej watahy. Widział, co zrobiliśmy z chłopakami Domu Ceres. Mimo to granice zostały wyznaczone. Zrywam się nagle z miejsca, potwierdzając, że jestem z Cassiusem. To pozbawia Titusa impetu.

– Czy jest tu ktoś, kto nie chce, żebyśmy przewodzą? – pytam.

– Nie chciałbym tylko, żeby przewodziła Antonia. To suka – mówi Sevro.

Antonia wzruszeniem ramion wyraża zgodę, ale przekrzywia głowę.

– Cassi, czemu tak się śpieszysz, żeby znaleźć nam przywódcę?

– Jeżeli go nie wybierzemy, dojdzie do podziałów i będziemy postępować tak, jak każdy uzna za słuszne – tłumaczy Cassius. – W ten sposób przegramy.

– Zamiast robić to, co ty uznasz za słuszne – mówi Antonia z uśmiechem i kiwa głową. – Rozumiem.

– Oszczędź sobie protekcjonalności, Antonio. Nawet Priam zgodził się z tym, że potrzebujemy przywódcy.

– Kim jest Priam? – śmieje się Titus. Znowu próbuje zwrócić na siebie uwagę. Każdy dzieciak na tej planecie znał Priama. Titus stara się dać nam do zrozumienia, kto go zabił, a reszta od razu wszystkiego się domyśla. Odzyskał impet. Tyle tylko, że wiem, że to nie on zabił Priama. Nie wsadziliby kogoś takiego do celi razem z nim. Prędeż jakiegoś słabeusza. Titus jest więc kłamcą i tyranem.

– Ach, już rozumiem. Wiesz, co trzeba zrobić dlatego, że spiskowałeś z Priamem? Wiesz lepiej od nas? – Antonia macha ręką w stronę stołu. – Chcesz powiedzieć, że jesteśmy bezradni bez twojej pomocy?

Zapędziła go w kozi róg. Mnie również.

– Słuchajcie, chłopaki. Wiem, że jesteście chętni przewodzić. Doskonale to rozumiem. Wszyscy jesteśmy z natury przywódcami. Każda osoba w tym pomieszczeniu jest urodzonym geniuszem i kapitanem. I właśnie po to istnieje system nagród. Gdy ktoś zdobędzie wszystkie pięć kresek i jest gotowy, by zostać Prymusem, wtedy będziemy mieli swojego przywódcę. Do tego czasu powinniśmy spasaować. Jeśli Cassius lub Darrow zasłużą na nie, to w porządku. Zrobię wszystko, co rozkażą, będę posłuszna jak Różowa. Wydaje mi się, że do tego momentu każdy z nas powinien mieć szansę na zdobycie Prymusa... W końcu to może zadecydować o waszej dalszej karierze!

Spryciara. I w dodatku nas pogrążyła. Bez wątpienia każdy rozpuszczony bachor w tym pokoju pragnął od samego początku być bardziej asertywny i mieć kolejną szansę na zaistnienie. Teraz Antonia dała im szansę. Zapanuje chaos. A ona może zostać Prymusem. Zdecydowanie jest pajakiem.

– Patrzcie! – woła Lea u boku Roque.

Za murami zamku słyhać dźwięk rogu.

Akurat w tym momencie sztandar zaczyna migotać. Wąż i wilk zamieniają żelazo na błyszczące złoto. Kamienna mapa na ścianie również ożywa. Rysunek wilka faluje nad miniaturą naszego zamku. Obrazek Domu Ceres robi to samo. Na mapie nie ma żadnych innych zamków, lecz sztandary pozostałych nieodkrytych Domów łopoczą w legendzie. Bez wątpienia znajdziemy ich lokalizację, gdy tylko zrobimy rozpoznanie najbliższego terytorium.

Gra się rozpoczęła. Teraz wszyscy chcą być Prymusem.

Już rozumiem, dlaczego demokracja jest nielegalna. Najpierw są wrzaski. Potem frustracja.

Niezdecydowanie. Niezgoda. Pomysły. Zwiad. Wznoszenie fortyfikacji. Gromadzenie zapasów. Zakładanie pułapek. Najazd. Obrona. Pollux splota. Titus uderza go tak, że traci przytomność. Antonia wychodzi. Sevro mówi Titusowi coś uszczypliwego i wywleka swojego wilka Bóg wie gdzie, wcale nie rozpalając ognia. Zachowują się zupełnie jak moja ekipa wiertaczy, gdy dowódca robił sobie godzinną przerwę. To tak nauczyłem się wiercić. Barlow wymknął się na papierosa, a ja wskoczyłem do maszyny i pracowałem najlepiej jak się da. Teraz robię to samo, podczas gdy dzieciaki się sprzecniają.

Cassius, Roque i Lea – która chodzi wszędzie za Roque – idą za mną, choć Cassius sądzi, że idziemy za nim. Zgadza się co do tego, że reszta nie wie, jak postępować, i że dzisiaj już niczego nie dokona. Będą strzegli zamku, szukali drewna na opał albo tłoczyli się wokół sztandaru w strachu, że zniknie.

Nie mam pojęcia, co robić. Nie wiem, czy wrogowie nie przekradają się teraz między wzgórzami w naszą stronę. Nie wiem, czy zawierają sojusze przeciwko Marsowi. Nie znam nawet zasad tej przeklętej gry. Ale z jakiegoś powodu zakładam, że wszystkie Domy popadną w niezgodę, tak jak my. Wygląda na to, że członkowie Domu Mars są bardziej skłonni do kłótni.

Pytam Cassiusa, co według niego powinniśmy zrobić.

– Któregoś razu rzuciłem wyzwanie temu prostakowi za znieważenie mojej rodziny. Był bardzo metodyczny. Poprawił rękawiczki, związał swoje lśniące włosy, pomachał nożem, tak jak przed każdym pieprzonym treningiem, jaki odbył w Klubie Wojskowym Agei.

– No i?

– No i poczęstowałem go prawym sierpowym, a potem dźgnąłem w kolano, podczas gdy on ciągle wymachiwał nożem. – Cassius dostrzega dezaprobatę Lei. – *No co?* Pojedynek się rozpoczął. Jestem przebiegły, ale nie jestem bestią. Po prostu wygrałem.

– Mam wrażenie, że wy wszyscy tak myślicie – mówię. – To znaczy *my* wszyscy.

Nikt nie zauważa mojego potknięcia.

Stanowisko Cassiusa zostaje podtrzymane. W takim stanie nasz Dom nie może zaatakować wroga, ale wróg może zaatakować nas, gdy biegamy dokoła, przygotowując się, i zniszczyć moje nadzieje na awans w szeregach Elity. Musimy mieć dostęp do informacji. Musimy wiedzieć, czy nasi wrogowie są w dolinie, pół kilometra na północ czy piętnaście na południe. Czy znajdujemy się na obrzeżach pola bitwy czy w samym jego centrum? Czy nieprzyjaciel zajmuje wyżyny? A może jest na północ od wyżyn?

Cassius i ja dochodzimy do porozumienia. Musimy zrobić zwiad.

Rozdzielamy się. Razem z Cassiusem kierujemy się w stronę Fobos, a potem idziemy w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Lea i Roque ruszają do Deimos i idą od drugiej strony. Mamy się spotkać o zmierzchu.

Ze szczytu wieży nie widzę żywej duszy. Na nizinach nie ma koni wojowników Ceres, a pasmo wyżyn na południu jest pełne jezior i kozłów. Na południowym wschodzie, na czubku wysokiej góry, dostrzegamy fragment Wielkiej Kniei ciągnącej się na południe i południowy wschód. Równie dobrze może się tam ukrywać armia gigantów, a my i tak nie damy rady się do nich zbliżyć. Pół dnia zajęłoby dotarcie choćby do linii drzew.

Jakieś dziesięć kilometrów od naszego zamku natykamy się na zniszczony przez wiatr kamienny fort wzniesiony na niskim wzgórzu strzegącym przełęczy. W środku znajdujemy prostą skrzynkę z jodyną, jedzeniem, kompasem, liną, sześcioma wzmocnionymi workami, szczoteczką do zębów, siarkowymi zapałkami i bandażami. Chowamy przedmioty w przezroczystym worku.

A więc zaopatrzenie zostało pochowane po całej dolinie. Coś mi mówi, że ukryto tu o wiele ważniejsze przedmioty niż tylko małe zestawy służące do przetrwania. To może być broń, środki transportu, broń i technologia. Nie wierzę, że chcą, byśmy walczyli na kije, kamienie i narzędzia. Jeśli nie chcą, byśmy się nawzajem pozabijali, wkrótce broń ogłuszająca musi zastąpić metalową.

Pierwszego dnia dostajemy paskudnych poparzeń słonecznych. Mgła chłodzi je, gdy wracamy. Titus i jego wataha, w której skład wchodzi już sześć osób, wrócili przed chwilą z bezowocnej wyprawy po równinach. Zabili dwa kozły, ale nie mają ognia, na którym mogliby je upiec, skoro Sevro zniknął nie wiadomo gdzie. Nie mówię im ani słowa o zapałkach. Razem z Cassiusem zgadzamy się, że jeśli Titus chce być ważniakiem, powinien przynajmniej umieć rozpalić ogień. Sevro, gdziekolwiek teraz jest, na pewno by się z nami zgodził. Chłopaki z grupy Titusa uderzają metalem o kamień, próbując skrzesać iskry, ale kamienie zamku się do tego nie nadają. Sprytni Cenzorzy.

Pomimo tego, że nie mają ognia, paczka Titusa każe dregom, uczniom z niskiego Poboru, zebrać drewno. Tej nocy wszyscy idą spać głodni, prócz Lei i Roque. Daliśmy im trochę batonów z naszych zapasów. Lubię tę parę, mimo że są Złotymi. Zaprzyjaźnienie się z nimi usprawiedliwiam wmawianiem sobie, że robię to wyłącznie w celu zbudowania własnego plemienia. Cassius jest zdania, że szybka dziewczyna imieniem Quinn może się nam przydać, choć równie dobrze może tak myśleć o większości ślicznych dziewcząt.

Plemiona rosną w siłę, a pierwsza lekcja jest dopiero przed nami.

Antonia zaprzyjaźnia się z niskim, szorstkim chłopakiem o kręconych włosach, imieniem Cipio, i wysyła grupy uzbrojone w znalezione w zamku łopaty i siekiery do garnizonu Deimos i Fobos. Dziewucha może i jest rozpuszczoną wiedźmą, ale przynajmniej nie jest głupia. Później paczka Titusa kradnie im siekiery podczas snu, a ja muszę zmienić swoją opinię.

Cassius i ja wspólnie robimy rozpoznanie. Trzeciego dnia widzimy w oddali smugę dymu, jakieś dwadzieścia kilometrów na wschód. Jest jak latarnia w mroku. Wrogie grupy zwiadowców krążą po okolicy, tak jak my. Gdybyśmy byli bliżej albo mieli konie, zajęlibyśmy się rekonesansem. Gdybyśmy mieli więcej ludzi, wyruszylibyśmy na całonocną wyprawę i zaplanowali napad na niewolników. Odległość i nasz brak jedności stanowią po temu poważną przeszkodę. Między nami a unoszącym się dymem są doliny i jary, w których mogą się kryć wrogie bojówki. Do tego dochodzi wiele kilometrów marszu po nieosłoniętej równinie. Nasza wyprawa poniosłaby klęskę, zwłaszcza że niektóre Domy mają konie. Nie mówię tego Cassiusowi, ale boję się. Wyżyny dają mi poczucie

bezpieczeństwa, ale gdzieś tam grasują bandy psychotycznych bożków. Bożków, z którymi nie chcę jeszcze zadzierać.

Myśl o spotkaniu z innymi Domami staje się jeszcze straszniejsza, gdy uświadamiam sobie, że nawet Dom nie jest bezpieczny. Jest tak, jak zawsze mówiła Octavia au Lune: żaden człowiek nie może dążyć do realizacji swojego celu w obliczu plemiennych wojen. Nie możemy pozwolić na pozostawienie Titusa samemu sobie. Zdążył już ukraść jagody, które zebrały Lea i Quinn. Na domiar złego dziś rano próbował użyć sztandaru na Quinn, żeby sprawdzić, czy da radę zapewnić sobie niewolników do najazdów wśród członków własnego Domu. Okazało się, że nie.

– Musimy wymyślić sposób na zjednoczenie Domu – mówi Cassius, gdy przemierzamy północne wyżyny. – Instytut stoi za nami do końca naszego życia. Jeśli przegramy, możemy już nigdy nie odzyskać pozycji.

– A jeśli zostaniemy wzięci do niewoli w trakcie gry? – pytam.

Spogląda na mnie zmartwionym wzrokiem.

– Czy może być coś gorszego?

Jakbym potrzebował motywacji.

– Domyślam się, że twój ojciec wygrał w swoim roczniku. Został Prymusem?

Musiał wygrać, żeby być Imperatorem.

– Zgadza się. Od zawsze to wiedziałem, choć nie miałem zielonego pojęcia, co to znaczy, dopóki się tu nie znalazłem.

Obaj jesteśmy zgodni co do tego, że aby znów zjednoczyć Dom, Titus musi odejść. Jednak bezpośrednia walka z nim jest bezcelowa. Ta szansa minęła bezpowrotnie już po pierwszym dniu. Jego plemię za bardzo się rozrosło.

– Zabijmy go we śnie – sugeruje Cassius. – Razem moglibyśmy to zrobić.

Te słowa sprawiają, że robi mi się zimno. Nie podejmujemy żadnej decyzji, ale jego propozycja przypomina mi, że on i ja to dwa całkiem inne stworzenia. Ale czy naprawdę? Gniew Cassiusa to okrutne, zimne uczucie. Mimo to nigdy nie miałem okazji zobaczyć, by je okazywał, nawet w obecności Titusa. Jest wiecznie roześmiany i rywalizuje z członkami paczki Titusa w wyścigach i zapasach za każdym razem, gdy nie udają się na wypady – robi to samo, co ja przy swoich wrogach.

I podczas gdy ja jestem postrzegany przez większość z rezerwą, Cassiusa kochają wszyscy prócz paczki Titusa. Zaczął się nawet wymykać z Quinn. Lubię ją. Dzięki pułapce schwytała jelenia, a potem opowiedziała historię o tym, jak zabiła zwierzę własnymi zębami. Pokazała nam nawet dowody – sierść wbitą w dziąsła i ślady ugryzień wokół rany. Myśleliśmy, że trafiła nam się ładniejsza wersja Sevro, dopóki nie zaczęła się śmiać tak mocno, że nie mogła ciągnąć dalej. Cassius pomógł jej wyjąć sierść jelenia spomiędzy zębów. Lubię tego oddanego kłamcę.

Kondycja ludzi pogarsza się w ciągu kilku dni. Jesteśmy głodni, bo jeszcze nikt w zamku nie rozpałił ognia. Higiena szybko odchodzi w zapomnienie, gdy dwie nasze dziewczyny zostają porwane przez jeźdźców Domu Ceres w czasie kąpeli w rzece tuż za bramą. Złoci są zażenowani, gdy ich wąskie pory zaczynają się zatykać i dostają pryszczycy.

– Wyglądacie, jakby was pokąsały pszczoły! – Roque śmieje się ze mnie i Cassiusa. – Albo jak promieniste, odległe słońce!

Udaję, że jestem zafascynowany pryszczami, zupełnie jakbym nie miał ich przez całe swoje Czerwone życie.

Cassius pochyla się nad Roque, by lepiej się przyjrzeć.

– Bracie, to jest...

Roque wyciska pryszcz prosto w twarz Cassiusa, który odskakuje w tył i krztusi się z obrzydzenia. Quinn przewraca się na ziemię, chichocząc.

– Zastanawiam się czasami – mówi Roque po tym, jak Cassius dochodzi do siebie – jaki jest cel tego wszystkiego. Jakim cudem to ma być najbardziej skuteczna metoda przetestowania naszych zalet i uczynienia z nas przyszłych władców Elity?

– Doszedłeś już do jakichś wniosków? – pyta z rezerwą Cassius. Znowu zachowuje dystans.

– Poeci nigdy tego nie robią – mówię.

Roque wybucha śmiechem.

– W odróżnieniu od większości poetów mnie się to czasem udaje. I mam gotową odpowiedź.

– Wal – nalega Cassius.

– Zupełnie jakbym nie miał tego zrobić bez polecenia naszej primadonny – wzdycha Roque. – Ściągnęli nas tutaj, ponieważ dolina symbolizuje ludzkość jeszcze sprzed czasów rządów Złotych. Podzieloną ludzkość. Rozbitą nawet wewnątrz własnych plemion. Chcą, żebyśmy przeszli przez proces, przez który przeszli nasi przodkowie. Krok po kroku ta gra ewoluuje i nauczy nas nowych rzeczy. Rozwiną się szczeble hierarchii. Będziemy mieli swoich Czerwonych, Złotych i Miedzianych.

– Różowych też? – pyta z nadzieją Cassius.

– To ma sens – stwierdzam.

– Och, to by było naprawdę dziwne – śmieje się Cassius, obracając na palcu pierścień z wilkiem. – Nasi rodzice dostaną apopleksji, jeśli to będzie trwało dalej. Pewnie dlatego Titus przygląda się tak pożądliwie dziewczynom. Chce mieć zabawkę. A skoro mowa o zabawkach, to dokąd właściwie wysłał Vixusa?

Parskam śmiechem. Vixus, chyba najgroźniejszy z popleczników Titusa, i pozostali wyruszyli z zamku niemal dwie godziny temu na rozkaz tego ostatniego, żeby wykorzystać wysokość wieży Fobos i rozejrzeć się po równinach w celu przygotowania najazdu na Ceres.

– Jeśli chcemy zyskać przewagę, będzie lepiej mieć Vixusa po naszej stronie – mówię. – To prawa ręka Titusa.

Roque dokańcza inną myśl.

– Ja... nie wiem nic o Różowych – dodaje. Pomysł, że Złoty mógłby stać się Różowym, jest dla niego obraźliwy. – Ale reszta... jest prosta. To mikrokosmos Układu Słonecznego.

– Zupełnie jak gra w „schwytaj flagę mieczem”, o ile ją pamiętasz – mówię.

Nigdy nie uprawiałem tego sportu, ale dzięki szkoleniu z Matteo poznałem gry, w jakie te dzieciaki bawiły się w ogrodach rodziców.

– Hmm. – Cassius kiwa głową. Palcem dźga Roque w pierś w kpiącym geście. – Dobra, a teraz możesz wziąć tę swoją błyskotliwą gadkę i wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi. Nasza dwójka podjęła już decyzję. To gra w „schwytaj flagę”.

– Rozumiem. – Roque śmieje się. – Nie wszyscy ludzie rozumieją metafory i subtelności tak jak ja. Ale nie bójcie się, moi muskularni przyjaciele. Zostanę z wami, by poprowadzić was przez różne niewyobrażalne rzeczy. Wiem na przykład, że naszym pierwszym testem będzie zjednoczenie Domu, zanim wróg zapuka do drzwi.

– Niech to szlag – mamroczę pod nosem, wyglądając ponad krawędź parapetu.

– Stało się coś? – pyta Cassius.

– Wygląda na to, że gra właśnie się zaczęła. – Wskazuję w dół.

W dolinie, tuż na granicy lasu i trawiastej równiny, widać Vixusa wlokącego za włosy dziewczynę. Pierwszy niewolnik Domu Mars. Zamiast odrazy czuję zazdrość. Jestem zazdrosny, że to nie ja ją pojmałem. Zrobił to sługa Titusa, a to oznacza, że Titus zyskał na wiarygodności.

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozłam

Choć wszyscy śpimy pod tym samym dachem, wystarczyły zaledwie cztery dni, żeby Dom rozpadł się na cztery plemiona. Antonia, która najwyraźniej jest potomkinią rodziny posiadającej całkiem spory pas asteroid, zbiera grupę ze średniego Poboru, wśród której są gaduły, beksy, mózgowcy, słabeusze, niedołęgi, snoby i politycy.

Titus ściąga w większości wysoko- i średnioPoborowych – mięśniaków, brutalni, tyranów, nieustraszonych wojowników, ambitnych i oportunistów. Oczywisty wybór dla Domu Mars. Genialna pianistka, Cassandra, należy do niego. Tak samo Pollux o ochrypłym głosie i psychotyczny Vixus, który drży z rozkoszy na samą myśl o wbiciu komuś metalu w ciało.

Gdybyśmy z Cassiusem byli bardziej zaangażowani w politykę, moglibyśmy ukraść Titusowi uczniów z wysokiego Poboru. Cholera, wszyscy mogliby za nami pójść, gdybyśmy tylko kazali im słuchać. W końcu przez jakiś czas Cassius i ja byliśmy najsilniejsi, ale później daliśmy czas Titusowi na zastraszenie nas, a Antonii na manipulację.

– Przeklęta Antonia – mówię.

Cassius śmieje się i kręci złocistą czupryną, gdy przemierzamy wyżyny w poszukiwaniu ukrytych skrzynek z zapasami. Moje nogi w ciągu minuty są w stanie przebyć kilometr.

– Och, można się było tego po niej spodziewać. Gdyby nasze rodziny nie spędzały ze sobą wakacji, gdy byliśmy dziećmi, już pierwszego dnia mógłbym nazwać ją demokratką. Tyle że ona wcale nią nie jest. Przypomina bardziej Cezara albo... jak oni ich nazywali? Prezydentów? To tyran w przebraniu.

– Jak gówno pływające w kuflu piwa.

– Co to miało, u diabła, znaczyć? – śmieje się Cassius.

Wujek Narol mógłby mu wytłumaczyć.

– Słucham? Och, usłyszałem to kiedyś w Yorkton od jakiegoś NadCzerwonego. To znaczy, że jest jak mucha w winie.

– NadCzerwonego? – Cassius prycha pod nosem. – Jedna z moich nianiek była NadCzerwoną. Dziwne. Powinna być Brązową. Opowiadała mi historie na dobranoc, gdy próbowałem zasnąć.

– To miłe.

– Miałem ją za zarozumiałą babę. Chciałem powiedzieć matce, żeby kazała jej się zamknąć i zostawić mnie w spokoju, bo gadała tylko o dolinach i ponurych romansach, które zawsze kończyły się tragicznie. Przygnębiające z niej było stworzenie.

– Co zrobiła twoja matka?

– Matka? Ha! Trzepnęła mnie po głowie i stwierdziła, że zawsze można się od kogoś czego nauczyć. Nawet od NadCzerwonego. Ona i ojciec lubili udawać, że są postępowi. Wprawiało mnie to w zakłopotanie. – Kręci głową. – *Yorkton*. Julian nie mógł uwierzyć, że *jesteś* z *Yorkton*.

Znów czuję ogarniającą mnie ciemność. Nawet myślenie o Eo jej nie odpędza. Tak samo jak moja szlachetna misja, która nie jest w stanie zmyć poczucia winy. Tylko ja nie powinienem czuć się winny z powodu przejścia Chrztu, ale myślę, że jestem jedynym oprócz Roque, który tak się właśnie czuje. Spoglądam na swoje dłonie i widzę na nich krew Juliana.

Cassius wskazuje nagle w stronę nieba na południowy zachód.

– Co to, u licha, znaczy?

Chmara mrugających statków medycznych wylewa się z dryfującego Olimpu. Słyszę ich wycie. Cenzorzy mkną za nimi jak płonące strzały, kierując się ku odległym, południowym górcom. Cokolwiek się tam stało, jedno jest pewne: południem zawładnął chaos.

I chociaż moje plemię dalej sypia w zamku, przenieśliśmy się z wysokiej wieży do budynku bramnego, żeby nie musieć natykać się ciągle na Titusa. W celu zachowania bezpieczeństwa gotowanie utrzymujemy w sekrecie.

Spotykamy się z naszym plemieniem w trakcie kolacji nad jeziorem w północnej części wyżyn. Nie wszyscy należą do wysokoPoborowych. Owszem, jest kilku, jak Cassius i Roque, ale później nie ma nikogo aż do siedemnastego picku. Mamy dwójkę ze średniego, Quinn i Leę, ale reszta to dregowie z ostatniego Poboru – Klaun, Śrubokręt, Chwast, Kamyczek i Oset. To martwi Cassiusa, mimo że dregowie Instytutu nadal są nadludźmi w porównaniu z resztą Kolorów. To atleci. Są wytrzymali. Nigdy nie proszą, żebyś coś powtórzył, chyba że sami chcą wyrazić jakąś opinię. I w dodatku akceptują moje rozkazy, a nawet oczekują na nie. Podchodzę z szacunkiem do ich mniej uprzywilejowanego wychowania.

Większość z nich jest bystrzejsza ode mnie. Mimo to posiadam tę unikalną umiejętność, którą określają mianem „mądrości ulicznej”, popartą wysokim wynikiem z ekstrapolacyjnego testu na inteligencję. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. W końcu to ja mam zapalki i to czyni ze mnie Prometeusza. Z tego, co wiem, ani Antonia, ani Titus nie mają ognia. Jestem zatem jedyną osobą, która może napęścić brzuchy pozostałych jedzeniem. Każę każdemu z plemienia zabić kozła albo

owcę. Nikomu nie wolno sępić, choć Śrubokręt stara się jak może. Nie zauważają, jak trzęsą mi się ręce, gdy podrzynam gardło swojemu pierwszemu kozłowi. W oczach zwierzęcia jest zaufanie, które w chwili śmierci zastępuje dezorientacja. Nadal uważa mnie za przyjaciela. Jego krew jest ciepła, tak jak Juliana. Mięśnie szyi twarde. Muszę je piłować tępym nożem, tak samo jak Lea, która zabiła swoją pierwszą owcę, piszcząc przy tym przez cały czas. Przy pomocy Oset wspólnie obdzieramy ją ze skóry. Gdy ręce odmawiają jej posłuszeństwa, ujmuję je w swoje dłonie i pomagam, dodając siły.

– Tatuś też będzie musiał pociąć za ciebie to mięso? – kpi Oset.

– Zamknij się – mówi Roque.

– Sama potrafi się obronić, Roque. Lea, Oset zadała ci pytanie. – Dziewczyna patrzy na mnie z szeroko otwartymi, pełnymi zmieszania oczami. – Zadaj jej kolejne.

– Co się stanie, gdy znajdziemy się w podbramkowej sytuacji z Titusem? Wtedy też będziesz pisać? Dzieciuch.

Oset doskonale wie, czego od niej chcę. Poprosiłem ją o to pół godziny temu, zanim przyniosłem kozła Lei.

Kiwam głową w stronę dziewczyny.

– Rozplączesz się? – pyta Oset. – Obetrzesz oczy i...

Lea zaczyna wrzeszczeć i rzuca się na nią. Obie kotłują się na ziemi, bijąc się po twarzach. Po chwili Oset przydusza Leę ramieniem. Roque wierci się niespokojnie u mojego boku. Quinn przytrzymuje go w miejscu. Twarz Lei robi się purpurowa. Wali rękami po dłoniach przeciwniczki. Później mdleje. Kiwam głową Oset w podziękowaniu. Dziewczyna o ponurej twarzy powoli odwzajemnia mój gest.

Następnego ranka ramiona Lei są już mniej przygarbione, a dziewczyna ma w sobie więcej determinacji. Wykrzeszała z siebie na tyle odwagi, by wziąć Roque za rękę. Stwierdziła także, że całkiem dobry z niej kucharz, ale okazało się to nieprawdą. Roque próbuje swoich sił w gotowaniu, ale jemu też kiepsko idzie. Jedzenie ich papki przypomina połykanie żylastych, suchych gąbek. Nawet Quinn z całym arsenałem opowieści nie jest w stanie wymyślić żadnego przepisu.

Gotujemy mięso kozłów i saren nad kempingową kuchenką, sześć kilometrów od zamku. Robimy to nocą w kotlinach, tak żeby nikt nie zauważył ognia ani dymu. Nie zabijamy owiec. Zamiast tego gromadzimy całe stado, które przetrzymujemy w północnym forcie na później. Mógłbym dostarczyć swojemu plemieniu więcej pożywienia, ale jedzenie jest zarazem dobrodziejstwem i wielkim niebezpieczeństwem. Wystarczy pomyśleć o tym, czego Titus i jego mordercy mogliby dokonać, gdyby mieli ogień, jedzenie i czystą wodę...

Wracam do zamku z Roque po wypadzie na południe, gdy słyszymy hałasy dobiegające z niewielkiej kępy drzew. Kiedy podpełzamy bliżej, docierają do nas odgłosy chrząkania i rąbania. Spodziewając się zobaczyć watahę wilków rozszarpującą kozła, wyglądamy zza krzaków i widzimy czterech żołnierzy Titusa siedzących na czworakach wokół martwego zwierzęcia. Twarze mają zakrwawione,

oczy ciemne i wyglodniałe. Drą nożami pasy surowego mięsa. Pięć dni jedzenia trujących jagód i braku ognia wystarczyło, by zmienili się w dzikusów.

– Musimy dać im zapalki – mówi mi później Roque.

– Nie. Jeśli to zrobimy, Titus zdobędzie jeszcze większą władzę.

– Czy to ma teraz jakiegokolwiek znaczenie? Jeśli dalej będą jedli surowe mięso, pochorują się. Już są chorzy!

– Najwyżej się posrają – mamroczę. – Są gorsze rzeczy.

– Powiedz mi, Darrow, czy gorzej będzie, jeśli Titus przejmie władzę i wzmocni Dom Mars, czy jeśli ty będziesz dowodził osłabionym Domem?

– Gorzej dla kogo? – pytam nadąsanym tonem.

Roque tylko kręci głową.

– „Niech im zgniją te pieprzone flaki”. Tak powiedział Cassius. Jak sobie posłali, tak się wyśpią. Teraz obsrają własne łóżka.

Moja armia się ze mną zgadza.

Lubię swoją armię, dregów, niskoPoborowych. Nie są tak utytułowani ani dobrze urodzeni, jak pozostali. Większość z nich pamięta, by podziękować mi, gdy daję im jedzenie – z początku tego nie robili. Nie paradują po zamku po nocnych najazdach Titusa tylko dlatego, że sprawia im to przyjemność. Są z nami dlatego, że Cassius jest charyzmatyczny jak słońce, a w jego świetle cień, jaki rzucam, wygląda, jakby wiedział, co robi. Ale nie wie. Ów cień, tak samo jak ja, urodził się w kopalni.

Mimo to wygląda, jakbym miał jakąś strategię. Razem rysujemy mapy naszego terytorium na cyfrowych płytkach, jakie znaleźliśmy w zalanej wodą tunelu na dnie kotliny. W dalszym ciągu nie mamy żadnej broni prócz mojego slinga, kilku noży i zaostrzonych kijów. Jakąkolwiek strategię obierzemy, jest oparta na zbieraniu informacji.

Zabawne, że tylko jedno plemię ma choć blade pojęcie, o co w tym wszystkim chodzi. I w dodatku nie nasze. Antonii również nie. A już na pewno nie Titusa. To plemię Sevro, a ja jestem prawie pewien, że on jest jedynym członkiem tego plemienia, no chyba, że do tej pory adoptował jakieś wilki. Trudno powiedzieć. Nasz Dom nie spotyka się podczas rodzinnych obiadków. Choć od czasu do czasu widzujemy go, jak biegnie nocą po zboczach ubrany w wilczą skórę, wyglądając, jak to ujął Cassius, niczym „włochaty demon na środkach halucynogennych”. Któregoś razu Roque słyszał, jak coś – i nie był to wilk – wyje pośród zamglonych wyżyn. Czasami Sevro włóczy się całkiem normalnie po obozie, obrażając wszystko, co się rusza, nie licząc Quinn. Dla niej robi wyjątek, przynosząc jej mięso i jadalne grzyby. Myślę, że ma do niej słabość, choć ona ma słabość do Cassiusa.

Prosimy ją, by opowiedziała nam o nim jakieś historie, ale nie chce. Jest lojalna i pewnie dlatego przypomina mi o domu. Zawsze opowiada świetne historie, choć zdecydowana ich większość to podkoloryzowane kłamstwa. Ma w sobie życiową iskrę, taką samą, jak kiedyś moja żona. Jest ostatnią osobą, która nazywa Goblina „Sevro”. I tylko ona wie, gdzie on mieszka. Pomimo zwiadów nadal nie wpadliśmy na jego ślad. Z tego, co wiem, skalpuje wrogów gdzieś za wyżynami. Titus wysłał za nim tropicieli, ale nie sądzę, żeby im się powiodło. Nawet mnie nie są w stanie wysledzić, co doprowadza go do szału.

– Chyba masturbuje się w krzakach – chichocze Cassius. – Tylko czeka, aż sami się wymordujemy.

Dopiero gdy Lea wraca poturbowana do zamku, znajduje nas Roque.

– Pobili ją. Niezbyt mocno, ale oberwała kopniaka w brzuch i zabrali jej dzienny uropek.

– Kto to zrobił? – jeży się Cassius. – Co to za idiota?

– To bez znaczenia. Liczy się to, że są głodni, więc przestań pogrywać z nimi w „oko za oko”. To nie może trwać wiecznie – przypomina Roque. – Chłopaki Titusa głodują. Czego się po nich spodziewasz? Ten wielki brutal ściga Goblina, bo potrzebuje jedzenia i ognia. Gdybyśmy zapewnili mu jedno i drugie, możemy zjednoczyć Dom i zachowywać się w cywilizowany sposób. Może nawet Antonii uda się przemówić swojemu plemieniu do rozsądku.

– Antonia? Rozsądek? – ryczy ze śmiechu Cassius.

– Jeśli tak się stanie, Titus w dalszym ciągu będzie najpotężniejszy – mówię. – A to nie jest lek na wszystko.

– Ach tak. Nie możesz znieść faktu, że ktoś inny dzierży władzę. W porządku. – Roque ciągnie za pasmo swoich długich włosów. – Porozmawiaj z Vixusem albo Polluxem. Jeśli musisz, odbierz mu kapitanów, tylko pamiętaj o uzdrowieniu Domu, Darrow. W przeciwnym razie przegramy, gdy zaatakuje nas inny Dom.

Szóstego dnia wcielam w życie jego poradę. Wiedząc, że Titus jest na zwiadzie, ryzykuję odszukanie Vixusa w stołpie. Niestety, Titus wraca wcześniej, niż się spodziewałem.

– Wyglądasz całkiem zdrowo i rześko – mówi, zanim udaje mi się znaleźć Vixusa. Blokuje mi drogę swoim zwalistym ciałem. Jego ramiona prawie dotykają obu ścian korytarza. Za plecami wyczuwam obecność kilku innych osób, Vixusa i pozostałej dwójki. Czuję ściskanie w dołku. Niezłe się wkopałem. – Dokąd się wybierasz, jeśli mogę spytać?

– Chciałem porównać nasze mapy z główną mapą w sali narad – kłamię, wiedząc, że mam w kieszeni elektroniczną płytkę.

– Och, chciałeś porównać nasze mapy z główną mapą... dla dobra Domu Mars, prawda, szlachetny Darrow?

– A o jakie inne dobro mogło mi chodzić? – pytam. – Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie, zgadza

się?

– Och, jesteśmy po tej samej stronie – odpowiada. Momentalnie wybucha nieszczerym śmiechem. – Vixus, skoro jesteśmy po tej samej stronie, nie sądzisz, że byłoby dobrze, gdybyśmy pokazali sobie nasze mapy?

– Tak by było najlepiej – zgadza się Vixus. – Grzyby. Mapy. Wszystko jedno. – A więc to on napadł na Leę. Jego oczy są martwe. Jak u kruka.

– Owszem. Pozwól więc, że sobie spojrzę, Darrow. – Titus wrywa mi mapy zwiadowcze. Nie mogę zrobić nic, żeby go powstrzymać.

– Ależ proszę bardzo – mówię. – Z tego, co wiecie, na dalekim wschodzie palą się ogniska nieprzyjaciela. Bardzo możliwe, że od południowej strony Wielkiej Kniei stacjonują wrogowie. Możecie ich najeżdżać, ile tylko chcecie. Tylko nie dajcie się złapać z opuszczonymi gaciami.

Titus węszy w powietrzu. Nie słuchał mnie wcale.

– Skoro już się dzielimy, Darrow – węszy ponownie, tym razem bliżej mojej szyi – to może powiesz nam, dlaczego pachniesz dymem z ogniska?

Zastygam w bezruchu, nie mając pojęcia, co dalej.

– Zobacz, jak się wije. Jak próbuje wymyślić kolejne kłamstwo. – Głos Titusa ocieka wstrętem. – Czuję bijący od ciebie fałsz. Czuję kłamstwa ściekające z ciebie jak pot.

– Zupełnie jak suka w rui – dodaje sardonicznym tonem Pollux. Wzrusza ramionami w przepaszającym geście.

– Ohyda – uśmiecha się pogardliwie Vixus. – Co za odrażająca kreatura. Zniewieściały idiota.

Nie mam pojęcia, czemu sądziłem, że uda mi się zwrócić go przeciwko Titusowi.

– Jesteś pasożytem – ciągnie Titus. – Podkopujesz morale, bo sam nie chcesz nikogo słuchać. Czekasz, aż moi szlachetni chłopcy i dziewczęta zagłodzą się na śmierć. – Otaczają mnie ze wszystkich stron. Titus jest ogromny. Pollux i Vixus są okrutni, prawie tak samo wielcy jak ja. – Jesteś odrażającym stworem. Robakiem toczącym nas od środka.

Wzruszam niedbale ramionami, chcąc im wmówić, że niczym się nie martwię.

– Możemy to naprawić – mówię.

– Czyżby? – pyta Titus.

– Rozwiązanie jest proste, olbrzymie. Sprowadź swoich ludzi do domu. Przestań codziennie napadać Ceres, zanim jakiś inny Dom przyjdzie i was wymorduje. Wtedy porozmawiamy o ogniu. I o jedzeniu.

– Myślisz, że możesz nam mówić, co mamy robić, Darrow? – pyta Vixus. – Że jesteś lepszy, bo miałeś wyższy wynik na tym głupim teście? Dlatego że Cenzorzy wybrali cię pierwszego?

– Zgadza się – chichocze Titus. – Wydaje mu się, że *zasługuje* na Prymusa.

Jastrzębia twarz Vixusa pochyla się w moją stronę, cedząc każde słowo. Ładne w bezruchu, jego usta wykrzywiają się teraz w okrutnym grymasie. Oddech mu cuchnie, Vixus patrzy na mnie, taksując wzrokiem od stóp do głów. Chce, żebym myślał, że nie wywarłem na nim żadnego wrażenia. Parska pogardliwym śmiechem. Widzę, jak odchyła głowę, by splunąć mi w twarz. Pozwalam mu. Flegma powoli spływa po moim policzku w stronę ust.

Titus obserwuje wszystko z wilczym uśmiechem. Jego oczy błyszczą. Vixus spogląda na niego, szukając wsparcia. Pollux podchodzi bliżej.

– Jesteś rozpieszczonym, małym kutasem – szydzi Vixus. Jego nos prawie styka się z moim. – I właśnie to mam zamiar od ciebie wziąć, przyjacielu... twojego małego kutasa.

– Albo pozwolisz mi odejść – mówię. – Wygląda na to, że blokujesz drzwi.

– Oho! – Wybuchą śmiechem, patrząc na swojego pana. – Chce pokazać, że się nie boi. Próbuje uniknąć walki. – Obrzuca mnie spojrzeniem swoich złocistych, martwych oczu. – Tysiące razy niszczyłem w pojedynkach takich aroganckich chłopaczków jak ty.

– Naprawdę? – pytam z niedowierzaniem.

– Łamałem ich jak gałązki. A potem dla sportu brałem ich dziewczyny. Wprawiałem w zażenowanie na oczach ich własnych ojców. Z chłopaków takich jak ty robiłem prawdziwe bekсы.

– Och, Vixusie – wzdycham, powstrzymując drżenie gniewu i strachu. – *Vixusie, Vixusie, Vixusie*. Nie ma chłopców takich jak ja.

Przenoszę spojrzenie na Titusa, by upewnić się, że nasz wzrok się krzyżuje, a potem niedbale, zupełnie jakbym tańczył, wysuwam swoją dłoń Helldivera z za pleców i z siłą młota wbijam pięść w bok szyi Vixusa, prosto w tętnicę. Vixus osuwa się na ziemię, a ja dalej okładam go łokciem, kolanem i drugą ręką. Gdyby jego stopy były lepiej przytwierdzone do podłoża, pierwszy cios mógłby złamać mu kark. Zamiast tego osuwa się w bok w niskiej grawitacji, dygocząc pod wpływem gradu moich ciosów. Jego oczy robią się puste. Wszystko się we mnie ściska. Moje ciało jest takie silne.

Titus i reszta są zbyt zaskoczeni tym nagłym wybuchem przemocy, by zatrzymać mnie, gdy mijam ich wyciągnięte ręce i biegnę wzdłuż korytarza.

Nie zabiłem go.

Nie zabiłem go.

Rozdział dwudziesty czwarty
Wojna Titusa

Nie zabiłem Vixusa. Zabiłem jednak szansę na zjednoczenie Domu. Zbiegam po krętych schodach stołpu. Za sobą słyszę krzyki. Mijam odpoczywających studentów Titusa. Dziela się kawałkami surowej ryby. Mogliby mnie złapać, gdyby wiedzieli, co zrobiłem. Dwie dziewczyny patrzą, jak uciekam, słyszą krzyki swoich przywódców, ale poruszają się zbyt wolno. Mijam je, mijam niższą bramę wartowni i wpadam na główny dziedziniec zamku.

– Cassius! – wrzeszczę w stronę miejsca, w którym śpią moi ludzie. – Cassius! – Wysuwa głowę z okna i widzi moją twarz.

– O cholera. Roque! – krzyczy. – Zaczęło się! Wezwijcie dregów!

Trójka chłopców Titusa i jedna z jego dziewczyn zaczynają mnie ścigać po dziedzińcu. Są wolniejsi ode mnie, ale kolejna postać zrywa się z miejsca przy ścianie, by odciąć mi drogę. To Cassandra. Jej krótkie włosy pobrzękują od kawałków metalu, które w nie wplotła. Bez wysiłku zeskakuje osiem metrów w dół z parapetu z siekierą w dłoni i pędzi, by dopaść mnie, zanim dotrę do schodów. Jej złoty pierścień z wilkiem połyskuje w gasnącym świetle. Stanowi piękny widok.

Wtedy całe moje plemię wylewa się z bramy wartowni. Przynoszą swoje prowizoryczne plecaki, noże i kije wystrugane z opadłych gałęzi zabranych z lasu. Nie biegną jednak w moją stronę. Są bystrzy, więc otwierają na oścież ogromne, podwójne wrota oddzielające zamek od długiej, pochyłej ścieżki schodzącej do doliny. Mgła sączy się przez wrota, a oni znikają w ciemności. Na miejscu zostaje tylko Quinn.

Quinn, najszybsza z Domu Mars. Skacze po płytach brukowych jak gazela, śpiesząc mi na pomoc. Jej

kij wiruje w powietrzu. Cassandra jej nie widzi. Długi, złocisty kucyk łopocze na nocnym wietrze, gdy Quinn obraca się z uśmiechem i atakuje Cassandrę z zaskoczenia, z całej siły waląc ją kijem w kolano. Trzask drewna uderzającego o silną Złotą kość jest głośny. Tak samo jak wrzask Cassandry. Nie łamie nogi, ale upada na bruk. Quinn nie zwalnia ani na sekundę. Podbiega do mnie i razem zostawiamy watahę Titusa w tyle.

Doganiamy resztę w kotlinie. Przemierzając surowe wzgórza, kierujemy się w stronę naszego północnego fortu leżącego na odległych, zasnuty mgłą wyżynach. Opary skleją nam włosy, skraplając się. Po północy docieramy do fortu. To ogromna, naga wieża pochylająca się nad jarem jak pijany czarodziej. Szary kamień jest pokryty porostami. Gzymsy spowija mgła. Przygotowujemy pierwszy posiłek z ptaków mieszkających pod dachem samotnej wieży. Część z nich ucieka. Słyszę w ciemności łopot ich skrzydeł. Nasza wojna domowa właśnie się rozpoczęła.

Niestety, Titus nie jest głupim wrogiem. Nie ściga nas, tak jak się tego spodziewaliśmy. Miałem nadzieję, że zaatakuje nasz północny fort, że jego armia dostrzeże ogień za kamiennymi murami i poczuje zapach skwierczącego mięsa. Owce, które zgromadziliśmy wcześniej, zapewnią nam przetrwanie na wiele tygodni, a nawet miesięcy, gdybyśmy mieli wodę. Moglibyśmy ucztować co noc. Wtedy mogliby na nas napaść. Zostawiliby Titusa z tyłu. Tyle że Titus wie o mojej broni i ogniu, więc unika nas, żeby jego pomocnicy nie widzieli luksusów, w jakie opływamy.

Nie zostawia swojego plemienia na tyle długo, by zaczęło samodzielnie myśleć. Maniakalny szal i wojna stępują w człowieku poczucie rozsądku. Dalej najeżdżają Dom Ceres, a Titus rozdaje nagrody za akty odwagi i przemocy w postaci krwawych znaków na policzkach, z którymi obnoszą się z dumą. Podkradamy się, podglądając ich zza krzaków i wysokich traw porastających równinę. Czasami udaje nam się zdobyć punkt obserwacyjny na szczytach południowych wyżyn w pobliżu Fobos. Stamtąd jesteśmy świadkami rzezi Domu Ceres.

Dym unosi wokół niego jak ponura korona. Rosnące tam jabłonie zostają ścięte, a konie okaleczone lub skradzione. Najeżdżcom Titusa udaje się nawet wyszarpnąć lassem pochodnię z muru obronnego. Jeźdźcy Ceres traktują ich wiadrami wody, zanim udaje im się uciec. Titus skrzeczy z wściekłością, gdy konie Ceres mkną obok, gasząc płomień. Wraz ze swoim najlepszym żołnierzem, ochrypłym Polluxem, zatrzymuje jednego z koni gałęzią wystruganą na kształt włóczni. Koń staje dęba, a dziewczyna wylatuje z siodła. Pollux rzuca się na nią. Tego dnia biorą dwóch kolejnych niewolników.

Ósmego dnia w Instytucie wraz z Cassiusem i Roque obserwujemy kolejną napaść. Dziś Titus jedzie na ukradzionym koniu pod murem Domu Ceres. W dłoni trzyma lasso i prowokuje łuczników Ceres do strzelania w siebie i konia. Jedna głupia dziewczyna wychyla głowę, by mieć lepszy kątek strzelania. Naciąga strzałę, celuje, ale Titus robi zamach lassem, które łopocze w powietrzu. Dziewczyna wrywa się do tyłu. Za późno. Lina okręca się wokół jej szyi, a Titus kopniakiem odpędza konia od muru, zacieśniając uchwyt. Przyjaciele dziewczyny śpieszą jej na ratunek. Trzymają ją mocno, ale są zmuszeni puścić, zanim złamie kark.

Krzyki jej przyjaciół odbijają się echem od równiny, gdy zostaje brutalnie ściągnięta z muru i zawleczona przez Titusa do reszty jego uradowanych pomagierów. Cassandra kopie ją w kolano i przy użyciu naszego sztandaru robi z niej niewolnika. Płomienie buchające z palących się upraw tła

się o zmięczeniu. Nad nimi unosi się kilku Cenzorów z pękatymi dzbanami wina i tacą pełną smakołyków.

– „Gwałtowne serca rozpalają największy ogień” – mamrocze Roque.

– Jest odważny – mówię z szacunkiem. – I podoba mu się to. – Jego oczy błyszcząły z podniecenia, gdy uderzyłem Vixusa w szyję. Cassius kiwa głową, zgadzając się. – O wiele za bardzo.

– Jest śmiertelnie niebezpieczny – dodaje Cassius, ale ma na myśli coś innego. Spoglądam na niego. W jego głosie słyhać ostrą nutę. – I w dodatku to kłamca.

– Mówisz serio? – pytam.

– Nie zabił Priama.

Roque cały czas milczy. Mniejszy od nas, wygląda jak dziecko, klęcząc na jednym kolanie. Długie włosy ma związane w kucyk, pod paznokciami pełno brudu. Po omacku zawiązuje buty, a potem unosi wzrok.

– Nie zabił Priama – powtarza Cassius. Wiatr wyje na wzgórzach za naszymi plecami. Noc zapada dzisiaj wyjątkowo wolno. Policzki Cassiusa wyglądają na zapadnięte. Mimo to nadal wygląda przystojnie. – Nie umieściliby Priama w jednym pomieszczeniu z potworem takim jak Titus. Priam to przywódca, nie wojenny watażka. Daliby mu kogoś łatwego do zabicia, jak jeden z naszych dregów.

Wiem, do czego zmierza Cassius. Widać to w sposobie, w jaki obserwuje Titusa. Chłód w jego oczach przypomina mi spojrzenie żmii śledzącej ofiarę. I choć moje wnętrzości skręcają się w supeł, pozwalam Cassiusowi iść w kierunku, w którym chce podążać, zapraszając do kłania. Roque przekrzywia głowę, zauważając coś dziwnego w mojej interakcji z Cassiusem.

– Daliby Titusowi kogoś innego – mówię.

– *Kogoś innego* – powtarza Cassius, kiwając głową.

Myśli o Julianie. Nie mówi tego na głos. Ja też tego nie robię. Uznaję, że lepiej będzie, jeśli ta myśl zacznie jątrzyć mu umysł. Pozwalam, by mój przyjaciel myślał, że nasz wróg zabił mu brata. To mój sposób na uwolnienie się.

– „Krew rodzi krew rodzi krew rodzi krew...” – szepcze Roque na wietrze, który niesie słowa na zachód, ku rozległej równinie i płomieniom tańczącym na horyzoncie. Za nim majaczą zimne i mroczne góry. Na ich szczytach zalega już śnieg. Ten widok zapiera dech w piersiach, mimo to Roque ani na chwilę nie spuszcza wzroku z mojej twarzy.

Cieszy mnie to, że niewolnicy Titusa nie są dla niego zbyt pomocnymi sojusznikami. Dalecy od wyrażenia pozwolenia na indoktrynację, ci nowi niewolnicy są dość upartymi stworzeniami. Wykonują rozkazy, nie ryzykując bycia Zhańbionymi po ukończeniu szkoły. I celowo nie robią niczego więcej ponad rozkaz. To ich akt buntu. Walczą, gdy im każe i z kim każe, nawet gdy powinni się wycofać. Zrywają jagody, które im pokazuje, choć wiedzą, że są trujące. Zbierają kamienie na kupę,

aż w końcu sterta się rozsypuje. Ale gdyby brama wiodąca do twierdzy wroga była otwarta, a on nie powiedziałby im, że mają tam iść, staliby w miejscu, dłubiąc w nosach.

Pomimo nabytku w postaci niewolników i zrównaniu z ziemią upraw oraz sadów Ceres siła Titusa, oparta w głównej mierze na przemocy, jest żalosna, gdy próbują zrobić cokolwiek innego. Jego ludzie wypróżniają się w płytkich latrynach, za drzewami albo do rzeki, chcąc zatruć uczniów Ceres. Jedna z jego dziewczyn wpada do wody, młóćąc rękami pośród własnych odchodów. Scena jest komiczna, ale wybuchy śmiechu nieliczne, z wyjątkiem Domu Ceres. Jego uczniowie siedzą bezpiecznie za wysokimi murami, łapiąc ryby z rzeki, jedząc chleb z własnych pieców i miód z pasiek.

W odpowiedzi na wybuch wesołości Titus wlecze jednego z niewolników przed frontową bramę. Niewolnikiem jest wysoki chłopak z długim nosem i zawadiackim uśmiechem przeznaczonym dla dam. Wydaje mu się, że to gra, dopóki Titus nie odcina mu ucha. Wtedy zaczyna wyc jak małe dziecko, domagające się matki.

Cenzorzy, nawet z Domu Ceres, nie robią nic, by powstrzymać przemoc. Obserwują nas z nieba dwójkami lub trójkami, podczas gdy ekipy medyczne przylatują z Olimpu przyżegać rany lub leczyć poważne urazy głowy.

Dwudziestego ranka w Instytucie, gdy ludzie Titusa próbują staranować wysokie wrota zwalonym drzewem, obrońcy zamku zrzucają w dół kosz bochenków chleba. Najeźdźcy zaczynają walczyć ze sobą o jedzenie tylko po to, by odkryć, że w chlebie jest pełno żyłek. Wrzaski słychać aż do południa.

Odpowiedź Titusa przychodzi tuż po zapadnięciu nocy. Wraz z piątką nowych niewolników, wliczając w to chłopaka z obcięty uchem, zatrzymuje się niecałą milę od bramy. Defiluje, trzymając w dłoni cztery długie kije. Daje je każdemu z niewolników prócz dziewczyny, którą ściągnął lassem z murów obronnych.

Kłaniając się nisko w stronę wrót Ceres, macha ręką i każe niewolnikom spuścić jej lanie. Podobnie jak Titus, dziewczyna jest wysoka i silna, więc trudno wykrzesać z siebie choć odrobinę współczucia. Z początku.

Niewolnicy dość niepewnie uderzają ją kijami. Titus przypomina im o hańbie, która na zawsze okryje ich imiona, jeżeli go nie posłuchają. Wtedy zaczynają uderzać mocniej, celując w złocistą głowę dziewczyny. Biją ją i biją, choć jej krzyki już dawno ucichły, a krew plami jasne włosy. Gdy Titus zaczyna się nudzić, wlecze poranioną dziewczynę z powrotem do obozu. Jej ciało ślizga się bezwładnie po ziemi.

Obserwujemy wszystko ze swojej kryjówki na wyżynach. Lea i Quinn muszą powstrzymać Cassiusa przed zbiegnięciem ze zbocza prosto na równinę. Mówię mu, że dziewczyna przeżyje. Że całe to bicie to tylko przedstawienie. Roque pluje w trawę i wyciąga rękę po dłoń Lei. To dziwne patrzeć, jak dziewczyna daje mu siłę.

Następnego ranka odkrywamy, że rewanż Titusa nie skończył się wraz z biciem. Po tym jak

wróciliśmy do zamku, przekradł się w środku nocy z powrotem pod zamek Ceres, by ukryć dziewczynę tuż przed bramą pod grubą warstwą trawy, związaną i zakneblowaną. Później kazał jednej ze swoich dziewczyn krzyczeć w nocy i udawać, że jest niewolnicą w obozie, poniewieraną i gwałconą.

Może pojmana dziewczyna myślała, że pod trawą będzie bezpieczna. Może wydawało jej się, że Cenzorzy ją oddalą i wróci do domu, do rodziców, do lekcji jazdy konnej, swoich szczeniaczków i książek. Mimo to wczesnym rankiem zostaje stratowana przez rozwścieczonych fałszywymi krzykami jeźdźców, galopujących od strony twierdzy Ceres, by uratować ją z obozu Titusa. Odkrywają swoją głupotę dopiero wtedy, gdy słyszą świst statku ekipy medycznej, który ląduje za ich plecami, by zabrać jej poranione ciało na Olimp.

Dziewczyna nigdy stamtąd nie wraca. Cenzorzy nie interweniują. Nie jestem pewien, po co w ogóle istnieją.

Tęsknię za domem. Oczywiście mam na myśli Lykos, ale również to miejsce, w którym czułem się bezpiecznie z Tancerzem, Matteo i Harmony.

Wkrótce po tym nie ma już nowych niewolników. Uczniowie Domu Ceres nie wychodzą po zmroku, a ich wysokich murów nie strzegą płomienie. Drzewa poza nimi zostały ścięte, ale wewnątrz murów dalej rozpościerają się uprawy i sady. Dalej pieką chleb, a rzeka nadal płynie między wałami. Titus może jedynie niszczyć ich ziemię i kraść resztki jabłek, z których większość została naszpikowana igłami i żądłami os. Titus poniósł klęskę. Jego oczy, tak jak oczy wszystkich tyranów po przegranej wojnie, wywracają się w głąb czaszki.

Rozdział dwudziesty piąty
Plemienna wojna

Przez trzydzieści dni spędzonych w Instytucie nie widziałem ani śladu innych wrogich Domów, nie licząc dymu unoszącego się z odległych ognisk. Żołnierze Ceres przeczesują wschodnie granice naszej krainy. Najeżdżają ją zupełnie bezkarnie, odkąd plemię Titusa wycofało się z powrotem do zamku. Zamek. Teraz przypomina cuchnącą norę.

Wraz z Roque docieramy do niego wczesnym rankiem. Mgła nadal czepia się czterech iglic, a światło próbuje przedrzeć się przez ołowiane niebo. Odgłosy dobiegające zza kamiennych murów odbijają się echem w ciszy poranka, niczym monety pobrzękujące w blaszanej puszcze. Słysząc głos Titusa. Obrzuca przekleństwami swoich współplemieńców, każąc im wstać. Najwidoczniej niewielu z nich to robi. Ktoś każe mu się pieprzyć. Nic dziwnego. Piętrowe łóżka są jedynym prawdziwym udogodnieniem, jakie posiada zamek. Bez wątpienia wstawiono je tu, by zachęcić do lenistwa. Moje plemię nie ma takich luksusów. Śpimy na kamieniach, zwinięci jedno przy drugim przy trzeszczącym ogniu. Och, co ja bym dał za łóżko.

Cassius i ja przekradamy się w stronę stromej ścieżki prowadzącej do warowni. Mgła jest tak gęsta, że ledwie ją widzimy. Słyszymy jeszcze więcej odgłosów. Wygląda na to, że niewolnicy się obudzili. Słyszę pokasywanie, narzekanie i kilka krzyków. Przeciągły zgrzyt i szczęk łańcuchów oznacza, że wrota się otwierają. Cassius odciąga mnie na bok. Obaj kryjemy się w oparach mgły, gdy niewolnicy przechodzą obok nas, szurając nogami. W nikłym świetle ich twarze są chorobliwie blade. Mają zapadnięte policzki i brudne włosy. Warstwa błota pokrywa skórę wokół ich Sigili. Titus mija mnie na tyle blisko, że czuję odór jego ciała. Nagle sztywnieję, zmartwiony tym, że znów wyczuje ode mnie zapach dymu, ale tak się nie dzieje. Cassius milczy u mego boku, ale czuję promieniującą z niego wściekłość.

Wracamy na ścieżkę i patrzymy, jak niewolnicy harują z dala od lasu, który zapewnia im względne bezpieczeństwo. W niczym nie przypominają Aureatów, gdy szukają jagód w ostrych liściach krzewów. Kilkorgu z nich brakuje uszu. Vixus, który doszedł do siebie po moim ataku, nie licząc ogromnego fioletowego sińca na szyi, chodzi dokoła, poszturchując ich długim kijem. Jeśli test miał polegać na zjednoczeniu podzielonego Domu, to zdecydowanie go oblewam.

Gdy ranek przemija, a nastroje zmieniają się wraz z pojawieniem się pięknej pogody, Cassius i ja słyszymy coś, co sprawia, że włos jeży się nam na głowie. To krzyki dochodzące z wysokiej wieży Domu Mars. Należą do szczególnego rodzaju. Mają zniszczyć w ludziach odwagę.

Gdy byłem małym chłopcem na Lykos, mama podawała mi zupę na naszym kamiennym, rodzinnym stole w noc Święta Lauru. To było rok po śmierci ojca. Kieran i Leanna siedzieli razem ze mną. Żadne z nich nie miało więcej niż dziesięć lat. Pojedyncza żarówka włączała się i wyłączała nad stołem, więc mama była pogrążona w ciemności, nie licząc ręki od łokcia w dół. Wtedy rozległy się krzyki, stłumione przez odległość i czeluści naszego osiedla. Nadal widzę, jak rosół drżał na chochli, jak trzęsła się dłoń matki, gdy je usłyszała. Krzyki. Okrzyki nie bólu, tylko przerażenia.

– To, co robi dziewczynom... – syczy Cassius, gdy oddalamy się od zamku w miarę, jak zapada noc.
– To potwór.

– To wojna – mówię, choć te słowa brzmią pusto nawet w moich własnych uszach.

– To szkoła! – przypomina mi. – A gdyby Titus zrobił to którejś z naszych dziewczyn? Na przykład Lei... albo Quinn?

Milczę.

– Zabilibyśmy go – odpowiada za mnie Cassius. – Zabilibyśmy go, odcięli fiuta i wepchnęli mu go do gęby.

Wiem, że myśli też o tym, co Titus musiał zrobić Julianowi.

Ujmuję Cassiusa za ramię i odciągam od zamku. W nocy wrota znów są zamknięte. Nie możemy nic zrobić. Znowu czuję się bezradny, tak jak wtedy, gdy Brzydki Dan odebrał mi Eo. Zmieniłem się jednak. Zaciskam dłoń w pięści. Jestem czymś więcej niż wtedy.

W drodze powrotnej do fortu dostrzegamy w powietrzu jakiś błysk. Żłociste buty grawitacyjne migoczą, gdy Fitchner ląduje w nich na ziemi. Żuje gumę. Przyciska dłoń do piersi, gdy widzi nasz wściekły wzrok.

– Co takiego zrobiłem, młodzi przyjaciele, że zasłużyłem na takie spojrzenia?

– On traktuje dziewczyny jak zwierzęta! – gotuje się ze złości Cassius. Żyły na jego szyi wybrzuszą się widocznie. – Należą do Żółtych, a on traktuje je jak psy, jak Różowych.

– Jeżeli traktuje je w ten sposób, to znaczy, że nie odznaczyły się niczym szczególnym w tym małym świecie, podobnie jak Różowi w naszym.

– Chyba żartujesz. – Cassius nie jest w stanie tego pojąć. – To Żółte, nie Różowe. Titus to potwór.

– Więc udowodnij, że jesteś mężczyzną, i powstrzymaj go – mówi Fitchner. – O ile nie morduje ich jedna po drugiej, to nie nasza sprawa. Wszystkie rany kiedyś się goją. Nawet te.

– Kłamstwo – odzywam się. Nigdy nie wyleczę się z Eo. Ten ból będzie trwał wiecznie. – Niektórych rzeczy się nie zapomina. Niektórych nigdy nie można naprawić.

– A mimo to nie robimy nic, ponieważ on ma więcej *wojowników* – warczy Cassius.

Do głowy wpada mi pewien pomysł.

– Możemy to zmienić.

Cassius odwraca się w moją stronę. Słyszy martwy ton w moim głosie, podobnie jak ja widzę to w jego oczach, gdy mówi o Titusie. Łączy nas coś dziwnego. Jesteśmy jak ogień i lód – choć nie mam pewności, który jest czym. Mimo to popadamy w skrajności bardziej, niżbyśmy tego chcieli. Dlatego należymy do Marsa.

– Masz plan – stwierdza Cassius.

Kiwam beznamiętnie głową.

Fitchner obserwuje nas i szczyrzy się w uśmiechu.

– Najwyższa pora.

Plan zaczyna się od tego, co tylko ktoś, kto był kiedyś mężem, mógłby wymyślić. Cassius nie może powstrzymać się od śmiechu, gdy streszczam mu szczegóły. Następnego ranka nawet Quinn parska śmiechem. Chwilę później już jej nie ma. Pędzi jak gazela do wieży Deimos, by przekazać Antonii moje formalne przeprosiny. Ma się ze mną spotkać z odpowiedzią przy jednej z naszych skrzynek z zapasami niedaleko rzeki Furor, na północ od zamku.

Cassius zostaje na straży fortu z pozostałościami naszego plemienia, na wypadek gdyby Titus zaatakował, podczas gdy ja i Roque idziemy w ciągu dnia do umówionego miejsca. Quinn nie zjawia się. Zapada zmierzch. Pomimo ciemności idziemy drogą, którą wróciłyby z Deimos. W końcu docieramy do wieży, stojącej na niskich wzgórzach, otoczonej gęstymi lasami. Pięciu ludzi Titusa rozbiło obóz u jej podstawy. Roque chwyta mnie i wciąga w gąszcz. Wskazuje na drzewo rosnące pięćdziesiąt metrów dalej, gdzie na wysokiej gałęzi siedzi ukryty Vixus. Czy to możliwe, że złapali Quinn? Nie, jest za szybka, żeby dać się złapać. A może ktoś nas zdradził?

Wczesnym rankiem wracamy do fortu. Jestem pewien, że bywałem bardziej zmęczony, ale nie potrafię sobie przypomnieć kiedy. Pomimo dopasowanych butów moje stopy pokrywają pęcherze, a skóra na karku łuszczy się od długich godzin na słońcu. Coś jest nie tak.

Lea wita nas przy bramie. Ścisza Roque i patrzy na mnie, jakbym był jej ojcem czy czymś w tym stylu. Nie widać w niej ani śladu nieśmiałości. Jej drobne ciało trzęsie się nie ze strachu, lecz wściekłości.

– Musisz zabić tego drania, Darrow. Musisz odciąć mu te pieprzone jaja.

Titus.

– Co się stało? – Rozglądam się dokoła. – Lea. Gdzie jest Cassius?

Lea opowiada całą historię.

Titus schwytał Quinn, gdy wracała z wieży do fortu. Stłukli ją na kwaśne jabłko. Później Titus przysłał tu jej ucho. Przeznaczone dla mnie. Myśleli, że Quinn była *moją* dziewczyną. Titusowi zdaje się, że zna mnie na wylot. Reakcja, której się spodziewali, nadeszła, tyle że nie ode mnie.

Cassius był na warcie i gdy tylko reszta poszła spać, wymknął się do zamku, by rzucić Titusowi wyzwanie. Jakimś cudem ten wspaniały młody człowiek był na tyle arogancki, żeby myśleć, iż setki lat tradycji i honoru Aureatów przewyciężą szaleństwo, które pochłonęło plemię Titusa w ciągu zaledwie paru tygodni. Syn Imperatora pomylił się. Nie jest przyzwyczajony do tego, że jego dziedzictwo znaczy tu tak niewiele. W prawdziwym świecie zostałby uratowany. W tym nie.

– Ale żyje? – dopytuję się.

– Tak, żyję, Pixie! – Cassius wytacza się z fortu bez koszuli.

– Cassius! – Roque wstrzymuje oddech. Jego twarz blednie.

Lewe oko Cassiusa jest tak spuchnięte, że się zamknęło. Ma rozcięte usta i fioletowe siniaki na zębach. Drugie oko nabiegło krwią. Trzy wyszarpnięte ze stawów palce sterczą jak korzenie, a ramię wystaje pod dziwnym kątem. Pozostali przyglądają mu się ze smutkiem. Cassius był synem Imperatora – ich rycerzem w lśniącej zbroi. Teraz jego ciało jest pokiereszowane, a wyraz ich twarzy i odcień bladości na skórze mówią mi, że jeszcze nigdy w życiu nie widzieli, by ktoś tak piękny został skatowany.

Ja widziałem.

Cassius cuchnie moczem.

Próbuje obrócić wszystko w żart.

– Gdy rzuciłem mu wyzwanie, sprali mnie na kwaśne jabłko. Walnęli łopata w głowę. Potem stanęli w kręgu i nasikali na mnie. Związali i wrzucili do tego śmierdzącego stołpu, ale Pollux uwolnił mnie i zgodził się otworzyć bramę, gdybyśmy tego potrzebowali.

– Nie sądziłem, że będziesz na tyle głupi – mówię.

– Oczywiście, że jest. Chce zostać jednym z rycerzy Królestwa – mruczy pod nosem Roque. – Jedyne, czym się zajmują, to pojedynki. – Potrząsa długimi włosami. Skorupa brudu pokrywa skórzaną opaskę, którą związał je w kucyk. – Powinieneś być na nas poczekać.

– Co się stało, już się nie odstanie – mówię. – Od teraz działamy zgodnie z planem.

– W porządku – prychna ze złością Cassius. – Ale gdy nadejdzie pora, Titus jest mój.

Rozdział dwudziesty szósty

Mustang

Jakaś część Cassiusa zniknęła. Niepokonany chłopak, którego na początku poznałem, jest inny. Upokorzenie zmieniło go. Nie umiem jednak określić, w jaki sposób. Pomagam mu nastawić palce i bark. Cassius przewraca się z bólu.

– Dzięki, bracie – mówi, dotykając mojego policzka. To pierwszy raz, kiedy tak się o mnie wyraża. – Oblałem test. – Nie zgadzam się z nim. – Poszedłem tam jak skończony głupek. Gdyby to miało miejsce gdziekolwiek indziej, zabiliby mnie.

– Przynajmniej nie kosztowało cię to życia.

Cassius chichocze.

– Tylko dumę.

– Świetnie. To coś, czego masz w nadmiarze – mówi Roque, uśmiechając się.

– Musimy ją odbić. – Grymas na twarzy Cassiusa znika, gdy patrzy na Roque, a później na mnie. – Quinn. Musimy ją odbić, zanim Titus weźmie ją do swojej wieży.

– Zrobimy to.

Zrobimy.

Zgodnie z planem razem z Cassiusem idziemy na wschód, o wiele dalej niż kiedykolwiek. Trzymamy się północnych wyżyn, ale upewniamy się, że podążamy wzdłuż wysokich szczytów, widocznych z leżących poniżej równin.

– Jeździec na południowym wschodzie – mówię. Cassius nie patrzy w tamtą stronę.

Przekraczamy wilgotną kotlinę, gdzie mamy okazję napić się wody z ciemnego jeziora naprzeciwko grupy jeleni. Nogi mamy umazane błotem. Owady przelatują nad taflą zimnej wody. Ziemia między moimi palcami jest przyjemna, gdy nachylam się, by się napić. Moczę głowę i razem z Cassiusem jemy trochę starzejacej się jagnięciny. Mięso potrzebuje soli. Mój żołądek zaciska się w supeł od samego białka.

– Jak daleko jesteśmy od zamku? – pytam Cassiusa, wskazując na krajobraz za jego plecami.

– Jakieś dwadzieścia kilometrów. Trudno określić. Wydaje się, że dalej, ale to pewnie dlatego, że bolą mnie nogi. – Prostuje się i patrzy w miejsce, które wskazałem. – Och, faktycznie.

Dziewczyna na pstrokatym koniu obserwuje nas z krawędzi kotliny. Do siodła ma przytroczony długi, owinięty czymś kij. Nie mogę dostrzec, do jakiego należy Domu, ale widziałem ją wcześniej. Pamiętam, jakby to było wczoraj. To ona nazwała mnie Pixie, gdy spadłem z kucyka, na którego kazał mi wejść Matteo.

– Chcę jej konia – mówi Cassius. Nie widzi na lewe oko, ale jego brawura wróciła, choć trochę wymuszona. – Hej, kochanie! – woła. – *Cholera, od tego bolą zebra.* Niezła przejażdżka! Z jakiego jesteś Domu?

Niepokoi mnie ta cała sytuacja.

Dziewczyna zbliża się na odległość dziesięciu metrów, ale jej Sigile na rękawie i szyi są zakryte kawałkami materiału. Jej twarz przecinają trzy ukośne linie namalowane sokiem z jagód zmieszany z zwierzęcym tłuszczem. Nie wiemy, czy należy do Ceres. Oby nie. Może być z południowych lasów, ze wschodu, a nawet z odległych północno-wschodnich wyżyn.

– Witaj, Mars – odzywa się zadowolonym tonem, spoglądając na Sigile na naszych kurtkach.

Cassius kłania jej się patetycznie. Ja nie zawracam sobie tym głowy.

– Cudownie. – Kopię butem kamyk. – Witaj... Mustang. Ładny Sigil. I koń. – Sygnalizuję jej, że posiadanie konia to wielka rzadkość.

Dziewczyna jest niewysoka, delikatna. Lecz próżno by szukać delikatności w jej kpiącym uśmiechu.

– Chłopcy, co robicie na tym zadupiu? Znowu grasujecie?

Klepię się po slingu.

– W domu mamy wystarczająco dużo zapasów. – Wskazuję na południe od zamku.

Dziewczyna tłumi śmiech z powodu mojego nieudolnego kłamstwa.

– Jasne, że macie.

– Będę z tobą szczerą. – Cassius zmusza swoją pokiereszowaną twarz do uśmiechu. – Jesteś oszałamiająco piękna. Musisz być z Wenus. Walnij mnie tym czymś, co masz na siodle, i zabierz do swojej fortecy. Zostanę twoim Różowym, jeśli obiecasz, że nie będziesz się mną dzielić i dotrzymasz mi towarzystwa każdej nocy. – Robi niepewny krok naprzód. – I każdego ranka. – Jej mustang cofa się, aż w końcu Cassius poddaje się i nie próbuje już ukraść konia.

– Ale z ciebie czaruś, przystojniaku. Sądząc po widłach w twojej dłoni, musisz być również wspaniałym wojownikiem. – Trzepocze rzęsami.

Cassius wypręży klatkę piersiową, zgadzając się.

Dziewczyna czeka, aż dotrze do niego sens jej słów.

Chwilę później Cassius marszczy brwi, a dziewczyna mówi:

– Och. Widzisz, nie mieliśmy żadnych narzędzi w naszym bastionie, prócz tych związanych z naszym bóstwem, więc sądzę, że musieliście napotkać już na swej drodze Dom Ceres. – Pochyliła się w siodle. – Nie macie żadnych upraw. Po prostu pokonaliście tych, którzy je mieli, i najwidoczniej nie macie teraz żadnej lepszej broni, bo w przeciwnym razie wzięlibyście ją ze sobą. Wychodzi na to, że Ceres również znajduje się w tej części doliny, prawdopodobnie na nizinach blisko lasu. Albo przy tej wielkiej rzece, o której wszyscy mówią.

Dziewczyna ma wiecznie roześmiane oczy, usta wykrzywione w uśmiešku, twarz w kształcie serca i długie włosy splecione w warkocz, tak złociste, że aż migoczą w słońcu.

– Wy też zamieszkujecie te lasy? – pyta. – Pewnie północne wyżyny. Och, ale zabawa! Jak słabą macie broń? To oczywiste, że nie posiadacie koni. Wyjątkowo biedny Dom.

– Kurwa mać – mówi z naciskiem Cassius.

– Sprawiasz wrażenie bardzo dumnej z siebie. – Kładę slinga na ramieniu.

Dziewczyna unosi dłoń i macha nią w tę i we w tę.

– Po części. Jestem o wiele bardziej dumna niż ten tutaj Przystojniak. Nic, tylko gada. – Przenoszę ciężar ciała na palce, żeby sprawdzić, czy zauważy. Cofa konia. – No, no, Kosiarzu. Ty też spróbujesz wskoczyć na moje siodło?

– Po prostu cię z niego zrzucę, Mustang.

– Masz ochotę na małe tarzanie się w błocie, tak? Co powiesz na to, że pozwolę ci tu wejść, jeśli udzielisz mi paru wskazówek co do lokalizacji waszego zamku? Potrafię być dobrym panem.

Taksuje mnie figlarnym spojrzeniem. Jej oczy błyszczą jak u lisicy. Dla niej to wszystko nadal jest grą, co znaczy, że jej Dom to cywilizowane miejsce. Zazdroszczę jej. Cassius nie kłamał. Faktycznie, jest na co popatrzeć, ale wolałbym zrzucić ją z konia. Bolać mnie nogi, a sytuacja zaczyna być coraz bardziej niebezpieczna.

– Jaki miałaś numer w Poborze? – pytam, żałując, że nie uważałem dostatecznie dobrze.

– Wyższy od ciebie, Kosiarzu. Pamiętam, że Merkuremu strasznie na tobie zależało, ale jego Poborowi nie pozwolili wybrać cię w pierwszej rundzie. To chyba miało związek z twoją skalą gniewu.

– Byłaś wyżej ode mnie? W takim razie nie należysz do Merkurego, bo wybrali chłopca zamiast mnie. Nie jesteś też z Jupitera, bo wybrali tamtego wielkoluda. – Próbuję sobie przypomnieć, kto

jeszcze został wybrany przede mną, ale nie potrafię, więc się uśmiecham. – Może nie powinnaś być tak próżna. Wtedy nie wiedziałbym, jaki masz numer.

Dostrzegam nóż pod jej czarną tuniką, ale nadal nie mogę jej sobie przypomnieć. Nie zwracałem uwagi na to, co się działo. Cassius powinien ją zapamiętać, bo obserwował każdą dziewczynę, ale możliwe, że jest w stanie myśleć tylko o Quinn i jej brakującym uchu.

Nasze zadanie dobiegło końca. Możemy już opuścić Mustang. Jest wystarczająco bystra, żeby domyślić się reszty. Ale odejście stąd bez konia może być problemem, a ja nie sądzę, żeby faktycznie potrzebowała swojego.

Udaję znudzenie. Cassius ma oko na otaczające nas wzgórza. Wtedy wzdragam się niespodziewanie, jakbym coś zauważył. Szepczę „wąż” do jego ucha, patrząc pod przednie kopyta konia. On również spogląda w to miejsce. Dziewczyna reaguje odruchowo. Nawet jeśli uświadamia sobie, że to trik, pochyla się, by zerknąć między kopyta. Rzucam się do przodu, niwelując dzielącą nas odległość dziesięciu metrów. Jestem szybki. Ona również, ale na sekundę straciła równowagę i musiała przechylić się do tyłu, żeby szarpnąć koniem. Zwierzę ślizga się w błocie. Skaczę w jej stronę, chwytając w prawą rękę długi warkocz w momencie, w którym koń zrywa się do ucieczki. Próbuję rzucić ją z siodła, ale dziewczyna leci jak burza.

Zostaję sam z dłonią pełną złota. Koń uciekł, a dziewczyna na przemian śmieje się i przeklina z powodu odciętych włosów. Wtedy Cassius rzuca widłami, trafiając prosto w konia, który wraz z dziewczyną upada na ubłoconą trawę.

– Do diabła, Cassius! – krzyczę.

– Przepraszam!

– Mogłeś ją zabić!

– Wiem! Wiem! Przepraszam!

Podbiegam, żeby sprawdzić, czy złamała kark. To by wszystko zrujnowało. Dziewczyna leży bez ruchu. Nachylam się, szukając pulsu, i czuję ostrze wbijające się w pachwinę. Błyskawicznie wykręcam jej nadgarstek. Odbieram jej sztylet i przyciskam do ziemi.

– Wiedziałaś, że chciałeś wytarzać mnie w błocie. – Wykrzywia usta w uśmiešku. Jej wargi nadymają się, jakby chciała, bym ją pocałował. Odsuwam się. Z ust dziewczyny wydobywa się gwizd, a cały plan coraz bardziej się komplikuje.

Słyszę tętent kopyt.

Każdy prócz nas ma pieprzonego konia.

Dziewczyna mruga, a ja zrywam materiał zakrywający jej Sigil. Dom Minerwa. Grecy nazwaliby go Atena. No jasne. Siedemnaście koni pruje przez kotlinę, zbiegając ze szczytu wzgórza. Dosiadający ich jeźdźcy mają ogłuszacze. Skąd, u diabła, je wytrzasnęli?

– Czas uciekać, Kosiarzu – drwi Mustang. – Moja armia nadchodzi.

Nie ma czasu na ucieczkę. Cassius skacze do jeziora. Złazę z Mustang, biegnę w ślad za nim po błocie i skaczę ponad brzegiem prosto do wody. Nie umiem pływać, ale szybko się uczę.

Jeźdźcy Domu Minerwa nabijają się z nas, gdy płyniemy na środek niewielkiego jeziora. Mamy lato, ale woda jest zimna i głęboka. Zapada zmrok. Moje kończyny sztywnieją. Jeźdźcy nadal krążą wokół, czekając, aż się zmęczymy. Nie dopuszczamy do tego. Mam w kieszeni trzy wzmacniane worki, które napełniam powietrzem. Dwa podaję Cassiusowi, a jeden zatrzymuję dla siebie. Pomagają nam utrzymać się na powierzchni, a skoro żaden z wrogów nie wydaje się skory do wypłynięcia nam na spotkanie, przez jakiś czas jesteśmy bezpieczni.

– Roque powinien je już rozpaść – mówię do Cassiusa kilka godzin później. Jest w kiepskim stanie z powodu odniesionych ran i zimna.

– Zapali je. Miej trochę wiary... przyjacielu... wiary.

– Powinniśmy być teraz blisko domu.

– Cóż, i tak idzie nam lepiej, niż zakładał mój plan.

– Wyglądasz na znudzoną, Mustang! – krzyczę, szczękając zębami. – Chodź popływać.

– I nabawić się hipotermii? Nie jestem głupia. Należę do Minerwy, nie do Marsa, pamiętaj! – Śmieje się z brzegu. – Ogrzeję się w ciepłe kominka na twoim zamku. Widzisz? – Wskazuje ręką za naszymi plecami i mówi coś szybko do trzech wysokich chłopców. Jeden z nich jest wielki jak Obsydian.

Słup gęstego dymu unosi się w oddali.

Nareszcie.

– Do diabła, jakim cudem ci idioci zdali test? – pytam na głos. – Oddali nasz zamek.

– Jeśli wrócimy, utopię ich we własnych szczytach – mówi Cassius jeszcze głośniejszym głosem. – Oprócz Antonii. Jest na to za ładna.

Szczękamy zębami z zimna.

Osiemnastu jeźdźców myśli, że Dom Mars jest głupi, nieprzygotowany i bez koni.

– Kosiarzu, Przystojniaczku, muszę was zostawić! Postarajcie się nie utonąć, zanim wrócę z waszym sztandarem. Możecie zostać moimi ochroniarzami. Dostaniecie takie same kapelusze! Ale najpierw będziemy musieli nauczyć was myśleć!

Odjeżdża z piętnastką ludzi. Ogromny Złoty u jej boku przypomina wielki cień. Dziewczyna zostawia nam towarzystwo w postaci dwóch jeźdźców z ogłuszaczami. Nasze rolnicze narzędzia leżą na brzegu w błocie.

– M-mustang to p-prawdziwa s-s-seks-b-b-bomba – mamrocze Cassius.

– J-jest p-p-przerażająca.

– P-p-przypomina m-mi m-ma-matkę.

– C-c-coś jest z t-t-tobą nie tak.

Kiwa głową.

– N-nasz p-p-plan ch-chy-chyba dz-dzi-działa.

O ile uda nam się wydostać z jeziora i uniknąć schwywania.

Zapada noc, a wraz z ciemnością rozlega się wycie wilków. Zaczynamy tonąć, gdy z naszych worków ucieka powietrze przez najbardziej nadwerężone miejsca. Mieliśmy szansę wymknięcia się nocą, ale trwający na posterunku uczniowie Minerwy nie siedzą beczynn timer wokół ogniska. Chodzą w ciemności, a my nawet nie wiemy, gdzie właściwie są. Dlaczego nie mogą siedzieć jak idioci w swoim zamku, zmagając się z konfliktami wewnętrznymi, jak nasi koledzy?

Znowu będę niewolnikiem. Może nie takim prawdziwym, ale to bez znaczenia. Nie przegram. Nie mogę przegrać. Eo umarłaby na darmo, gdybym tutaj utonął i pozwolił, by mój plan spalił na panewce. Nie wiem jednak, jak pokonać wrogów. Są sprytni, a szczęście mi ostatnio w ogóle nie sprzyja. Marzenie Eo tonie razem ze mną w mrocznym jeziorze. Już mam zamiar podpłynąć do brzegu, niezależnie od rozwoju sytuacji, gdy coś płoszy konie.

Powietrze przecina krzyk.

Dreszcz strachu przebiega mi po plecach, gdy słyszę wycie. I nie należy ono do wilka. Niemożliwe, że to coś, o czym właśnie myślę. Niebieskie światło mruga, gdy ogłuszacze młóca powietrze. Chłopak klnie. Oberwał nożem. Ktoś pędzi mu na pomoc, a strumień prądu znów rozjarza się na niebiesko. Widzę czarnego wilka stojącego na czyimś ciele. Pada kolejny trup. Zapada ciemność. Przez chwilę jest cicho, a potem rozlega się żałobny świst statków ekip medycznych zstępujących z nieba.

Słyszę znajomy głos:

– Już czysto. Możecie wyjść z wody, rybki.

Z trudem docieramy do brzegu, dysząc w błocie. Odczuwam już skutki łagodnej hipotermii. Nie zabije nas, ale moje palce nadal poruszają się powoli i niemrawo. Trzęsę się niczym wiertacz w pracy.

– Goblin, ty psychopato. To ty? – wołam.

Czwarte plemię wyłania się z mroku. Ma na sobie skórę wilka, którego zabił. Zakrywa go od głowy po łydki. Cholerny dzieciak. Złoto jego czarnej szaty jest umazane błotem. Tak samo twarz.

Cassius podnosi się z kolan, by uściskać Sevro.

– Och, j-j-jesteś w-w-wspaniały, Goblinie. W-w-wspaniały z ci-ci-ciebie ch-ch-chłopak. I w dodatku cuchnący.

– Nazarł się grzybków czy co? – pyta Goblin ponad ramieniem Cassiusa. – Nie dotykaj mnie, Pixie. – Odpycha go, sprawiając wrażenie zażenowanego.

– Z-zabiłeś t-tych d-d-dwóch? – pytam, trzęsąc się na całym ciele. Pochyliam się nad nimi i zdejmuję ich suche ubrania. Wyczuwam puls.

– Nie. – Sevro przechyliła głowę w bok. – A powinienem?

– D-d-dlaczego pytasz m-mnie o to, jakbym b-b-był twoim C-c-cenzorem? – Wybucham śmiechem. – Przecież wiesz, o co chodzi.

Sevro wzrusza ramionami.

– Jesteś taki jak ja. – Spogląda z pogardą na Cassiusa. – I jakimś cudem taki jak on. No więc jak, mam ich zabić? – pyta od niechcienia.

Cassius i ja wymieniamy zaskoczone spojrzenia.

– N-n-nie – mówimy jednogłośnie, gdy pojawiają się lekarze, by zabrać uczniów. Poturbował ich wystarczająco mocno, by zakończyli udział w grze.

– C-c-czemu w-w-włóczysz się po o-okolicy w wi-wilczej skórze? – pyta Cassius.

– Roque powiedział, że będziecie po wschodniej stronie – mówi oschłym tonem Sevro. – Mówi, że dalej działacie zgodnie z planem.

– C-c-czy Dom Minerwa d-d-dotarł do zamku?

Sevro spluwa na trawę. Bliźniacze księżycy rzucają dziwne cienie na jego ciemną twarz.

– A skąd, u diabła, mam to wiedzieć? Minęli mnie po drodze. Nie macie żadnej karty przetargowej. Ten wasz plan to ślepa uliczka. – Czy Sevro faktycznie nam pomaga? Oczywiście jego pomoc zaczyna się od wyliczenia naszych wad. – Jeśli dotrą do warowni, zniszczą Titusa i zajmą nasze terytorium.

– Tak. O to właśnie chodzi – mówię.

– Zabiorą nam także sztandar...

– To ryzyko, które musimy podjąć.

– ...więc pomyślałem o tym zawczasu, ukradłem go i zakopałem w lesie.

Powinienem się tego domyślić.

– Ukradłeś. Tak po prostu. – Cassius parska śmiechem. – Ty walnięty, mały gnojku. Jesteś kompletnie szalony. Wybrany jako ostatni z Poboru. Zupełnie stuknięty.

Sevro wygląda na wkurzonego. Zadowolonego, ale wkurzonego.

– Nawet wtedy nie możemy zagwarantować, że opuszczą wasze ziemie.

– Jakieś s-s-sugestie? – pytam zniecierpliwiony, nadal dygocząc. Mógł nam pomóc znacznie wcześniej.

– Zdobądź przewagę, by ich wypędzić po tym, jak już pokonają Titusa.

– Tak. T-tak. Rozumiem. – Otrząsam się z ostatnich dreszczy. – Tylko jak?

Sevro wzrusza ramionami.

– Zdobędziemy sztandar Minerwy.

– Cz-czekaj – przerywa Cassius. – Wiesz, jak to zrobić?

Sevro prycha pod nosem.

– A co ja niby robiłem przez ten cały czas, ty wymuskany głupku? Myślałeś, że onanizuję się w krzakach?

Cassius i ja spoglądamy na siebie.

– Tak jakby – mamroczę.

– Właściwie to tak – zgadza się Cassius.

Jedziemy na koniach Domu Minerwa na wschód od wyzyn. Nie jestem zbyt dobrym dżokejem. Cassius jest, więc szybko obejmuję rękami jego posiniaczone żebra. Nasze twarze są umazane błotem. W nocy będzie wyglądało jak cień, więc zobaczą nasze konie, broń, Sigile i uznają nas za swoich.

Zamek wroga znajduje się na falistej równinie porośniętej dzikimi kwiatami i drzewkami oliwnymi.

Księżycy błyszczą jasno ponad ziemią. Sowy pohukują w sękatych gałęziach. Gdy docieramy do fortecy z piaskowca, z murów obronnych nad bramą rozlega się czyjś głos. Sevro nie prezentuje się zbyt dobrze w wilczej skórze, więc jego zadaniem jest strzeżenie wyjścia.

– Znaleźliśmy Marsa – wołam. – Hej! Otwieraj te przeklęte wrota.

– Hasło – mówi nieśpiesznie wartownik z blanek.

– Dupoliz! – krzyczę. Sevro podслуchał to za ostatnim razem.

– Świetnie. Gdzie Virginia i pozostali? – pyta wartownik.

Mustang?

– Zabrali im sztandar! Te obszcymury nie miały nawet swoich koni. Nadal możemy podbić zamek!

– Co za wiadomość! Virginia to diabeł wcielony. June przygotowała kolację. Weź sobie trochę z kuchni i dołącz do mnie, jeśli chcesz. Nudzę się i potrzebuję rozrywki.

Wrota otwierają się ze zgrzytem powoli, bardzo powoli. Wybucham śmiechem, gdy w końcu są na tyle szeroko, byśmy mogli wjechać do środka ramieniem w ramię. Nie wita nas żaden ze strażników. Ich zamek jest inny – bardziej suchy, czystszy i mniej ponury. Mają tu ogrody i drzewka oliwne rosnące między kolumnami piętro niżej.

Chowamy się w cień, gdy mijają nas dwie dziewczyny z kubkami mleka. Nie ma tu żadnych pochodni ani ognisk, które wróg mógłby dostrzec z oddali. Są jedynie małe świece, dzięki czemu łatwo jest przemknąć się niezauważonym. Najwidoczniej dziewczyny są ładne, bo Cassius robi minę i udaje, że idzie za nimi po schodach.

Rzuca mi uśmiech i przekrada się w stronę odgłosów dochodzących z kuchni, podczas gdy ja wyruszam na poszukiwanie sali narad. Znajduję ją na trzecim poziomie. Okna wychodzą na ciemną równinę. Przed nimi spoczywa mapa. Płonąca flaga unosi się nad zamkiem mojego Domu. Nie wiem, co oznacza, ale na pewno nic dobrego. Kolejna forteca, należąca do Domu Diana, leży na południe od Minerwy, na terenie Wielkiej Kniei. Na razie tylko te zostały odkryte.

Mają własną tablicę wyników, na której śledzą na bieżąco wszystkie dokonania. Ktoś o imieniu Pax musi być niezłym zakapiorem. Sam wziął ośmiu niewolników i za jego sprawą dziewięciu uczniów trafiło pod opiekę lekarzy, więc zakładam, że tamten chłopak o posturze Obsydiana to właśnie on.

Nie udaje mi się odnaleźć ich sztandaru. Podobnie jak my, nie są na tyle głupi, żeby zostawić go gdzieś na wierzchu. Nic nie szkodzi. I tak go znajdziemy. Jak na zawołanie, czuję sącący się przez okna dym z ognia, który podłożył Cassius. Mają całkiem ładną kwaterę główną. O wiele ładniejszą niż Mars.

Niszczę wszystko, co znajduje się na mojej drodze.

Po rozwaleniu mapy i oszpeceniu posągu Minerwy biorę siekiere, którą znalazłem, i wycinam imię

Marsa na ich długim, pięknym, wojennym stole. Kusi mnie, żeby wyciąć nazwę innego Domu i zdezorientować ich, ale chcę, żeby wiedzieli, kto to zrobił. Ten Dom jest zbyt zorganizowany, zbyt poukładany i zrównoważony. Mają przywódcę, najeźdźców, wartowników (i to naiwnych), kucharzy, drzewka oliwne, ciepłe mleko, ogłuszacze, konie, miód i strategię. Napuszeni idioci. Niech poczują się jak Dom Mars. Niech poznają, co to gniew. Chaos.

Słysząc krzyki. Ogień Cassiusa rozprzestrzenia się. Do arsenału wbiega dziewczyna. Prawie mdleje na sam widok podniesionej siekiery. Krzywdzenie jej nie ma sensu. Wyciągam więc oba slingi i ogłuszacz. Na twarzy mam błoto. Moje złote włosy są w dzikim nieładzie. Wyglądam strasznie i budzę grozę.

– Ty jesteś June? – warczę.

– N-nie... A co?

– *Umiesz gotować?*

Parska śmiechem pomimo strachu. *Zza zakrętu wypada trójka chłopców. Dwóch jest lepiej zbudowanych ode mnie, ale niższych. Wrzeszczę jak wściekły bóg. O rany, ale wieją!*

– Nieprzyjacieli! – krzyczą. – Nieprzyjacieli!

– Są w wieży! – ryczę, by ich zmylić, gdy zbiegam po schodach. – Na samej górze! Wszędzie! Za dużo ich! Całe mnóstwo! Mars atakuje! *Mars atakuje!*

Ogień wzmaga się, tak samo jak ich wrzaski.

– Mars! – krzyczą. – Mars atakuje!

Młody mężczyzna mija mnie pędem. Chwytam go za kołnierz i wyrzucam przez okno prosto na dziedziniec, rozpraszając zebrane tam masy uczniów. Idę do kuchni. Ogień nie jest zbyt wielki. Wyjąca dziewczyna próbuje go ugasić.

– June! – wołam. Odwraca się i nadziewa prosto na mój ogłuszacz. Wstrząsają ją drgawki, gdy elektryczność przeszywa jej ciało. W ten sposób udaje mi się wykraść kucharkę.

Cassius dołącza do mnie, gdy biegnę przez ogród z June przewieszoną przez ramię.

– Co, u diabła?

– To kucharka! – tłumaczę.

Cassius śmieje się tak bardzo, że ledwie może oddychać.

Wśród uczniów Domu Minerwa panuje chaos. Sądzą, że wróg napadł na ich wieże. Myślą, że ich cytadelę trawi pożar. Że Dom Mars zaatakował z całą mocą. Cassius prowadzi mnie do stajni, w której zostawiono siedem koni. Kradniemy sześć po wrzuceniu świecy w stóg siana i wyjeżdżamy

główną bramą. Dym i panika pochłaniają fortecę. Nie mam ze sobą sztandaru. Sevro powiedział, że do twierdzy prowadzi ukryte tylne wejście. Uznaliśmy, że ktoś na tyle zdesperowany, by uciec ze zdobytej fortecy, skorzystałby z niego, próbując ochronić sztandar. Mieliśmy rację.

Sevro dołącza do nas dwie minuty później. Daleko za nami wróg ściga go pieszo z ogłuszaczami. Teraz to oni nie mają koni. Nie mają też szans na odzyskanie sztandaru z sową, który połyskuje w ubłoconych dłoniach Goblina. Z nieprzypadną kucharką na siodle pędzimy pod rozgwieżdżonym niebem do swojego zamku, śmiejąc się i wyjąc.

Rozdział dwudziesty siódmy

Dom gniewu

Znajdujemy Roque w wieży Fobos, razem z Leą, Śrubokrętem, Klaunem, Oset, Chwastem i Kamyczek. Mamy osiem koni – dwa zabrane znad jeziora i sześć skradzionych z zamku. Dodajemy je do planu. Cassius, Sevro i ja przekraczamy most spinający rzekę Metas. Zwiadowca wroga pędzi na północ, by ostrzec Mustang. Antonia podąża za nim, idąc okrężną drogą na północ i prowadząc resztę skradzionych koni. Roque, który jest bez wierzchowca, kieruje się na południe.

Tylko mój wierzchowiec nie jest upaprany błotem. To klacz o jasnej sierści. Ja też prezentuję się całkiem nieźle. W lewej ręce trzymam złoty sztandar Minerwy. Mogliśmy go ukryć, ale oni muszą wiedzieć, że go mamy. Choć to Sevro ukradł sztandar, nie ma zamiaru go nieść. Za bardzo lubi swoje zakrzywione noże. Jestem pewien, że z nimi rozmawia. A Cassius jest nam potrzebny do innych rzeczy niż dzierżenie sztandaru. Gdyby go niósł, wyglądałby jak przywódca, a nie o to chodzi.

Przemierzamy niziny w martwej ciszy. Mgła unosi się między drzewami. Cassius i Sevro jadą po

drugiej stronie. Nie widzę ich ani nie słyszę, ale wilki wyją gdzieś w oddali. Sevro odwzajemnia się tym samym. Dużo wysiłku kosztuje mnie utrzymanie się w siodle, gdy moja klacz rzuca się, wystraszona. Spadam dwa razy. Z ciemności dobiega śmiech Cassiusa. Z trudem pamiętam o tym, że robię to wszystko dla Eo. Że daję początek rebelii. Tej nocy mam wrażenie, że to tylko gra, i w pewnym sensie nią jest, bo w końcu zaczynam odczuwać z jej powodu radość.

Nasz zamek został podbity. Blask ognia palącego się wzdłuż murów obronnych jest tego dowodem. Pochodnie rzucają dziwne rozbłyski w przykrytej mgłą ciemności. Kopyta mojego konia stąpają cicho po mokrej trawie. Po prawej rzeka Metas bulgocze jak dziecko w chorobie. Cassius jedzie tą drogą, ale go nie widzę.

– Kosiarzu! – krzyczy we mgle Mustang. Tym razem jej głos dźwięczy powagą. Zatrzymała się czterdzieści metrów dalej, blisko podstawy pochyłej drogi prowadzącej do zamku. Pochyliła się do przodu z rękami skrzyżowanymi na łuku siodła. Otacza ją szóstka jeźdźców. Pozostali prawdopodobnie są w środku. Spoglądam na chłopca za jej plecami. Pax jest tak wielki, że w jego olbrzymich łapach pika wygląda jak różdżka.

– Witaj, Mustang.

– A więc nie utonąłeś. Tak byłoby łatwiej. – Jest zasepiona. – Należysz do podłego gatunku, wiesz? – Obejrzała wnętrze stołu i jak dotąd nie znalazła odpowiednich słów, aby wyrazić oburzenie. – Gwałt? Okaleczenie? Morderstwo?

– Nic nie zrobiłem – mówię. – Cenzorzy również umyli ręce.

– Tak. Nie zrobiłeś *niczego*. A mimo to zdobyłeś sztandar. I co teraz? Przystojniaczek czai się we mgle? No dalej, udawaj, że nie jesteś ich przywódcą. Jakbyś nie był za wszystko odpowiedzialny.

– Titus jest odpowiedzialny.

– Ten wielki drań? Pax go pokonał. – Wskazuje na potwora u swego boku. Włosy Paxa są krótkie, oczka małe, a szczeka przypomina koło z wgnieceniem. Jego koń wygląda pod nim jak pies. Obnażone ramiona są jak głazy obciążone skórą.

– Nie przyszedłem tu, żeby rozmawiać, Mustang.

– A po co? Żeby obciąć komuś ucho? – szydzi.

– Nie. Goblin już to zrobił.

Wtedy jeden z jej ludzi ześlizguje się z wrzaskiem z siodła.

– Co, u diabła...? – mamrocze jeździec.

Za nimi, z nożami ociekającymi krwią, Sevro wyje jak szaleniec. Sześć innych głosów przyłącza się do niego, gdy Antonia z połową garnizonu Fobos nadciąga od strony północnych wzgórz na skradzionych, pokrytych błotem rumakach.

Wszyscy wyją jak bestie. Żołnierze Mustang szykują się do odwrotu. Sevro zabija kolejnego. Załogi medyczne pojawiają się na niebie, które nagle zapełniło się Cenzorami. Wszyscy przyszli popatrzeć. Merkury podąża za resztą, niosąc naręcze flaszek, które rozdaje pozostałym. Zerkamy w górę, obserwując ich niecodzienne pojawienie się. Konie pędzą dalej. Czas staje w miejscu.

– Do walki! – Apollo nawołuje kpiącym tonem z wysokości. Wygląda na to, że dopiero przed chwilą wstał z łóżka. – Do walki!

Chaos rozpętuje się, gdy Mustang wykrzykuje rozkazy. Czwórka jeźdźców wyjeżdża z bramy, śpiesząc jej na ratunek. Teraz moja kolej. Wbijam sztandar Minerwy pionowo w ziemię i wrzeszczę jak opętany. Piętami spinam konia. Klacz wystrzeliwuje do przodu, prawie zrzucając mnie z siodła. Dygoczę na całym ciele, gdy wali w wilgotną ziemię masywnymi kopytami. Lewą ręką ściskam wodze, a prawą dobywam slinga. Znowu czuję się jak Helldiver.

Wrogowie rozpraszają się, widząc, jak pędzę rozszałały w ich stronę. Moja wściekłość wprawia ich w zakłopotanie. To szaleństwo Sevro, maniackalna brutalność Marsa. Jeźdźcy uciekają, oprócz jednego. Pax zeskakuje z konia i biegnie prosto na mnie.

– *Pax au Telemanus!* – krzyczy jak obłąkany z pianą na ustach. Wbijam pięty w boki konia i wyję. Pax zderza się z moim wierzchowcem. Ramieniem trafia go w mostek. Zwierzę ryczy z bólu. Świat wywraca mi się do góry nogami. Wylatuję z siodła ponad głową konia i rozbijam się o ziemię.

Oszołomiony, z trudem podnoszę się na kolano wśród zrytego kopytami pola bitwy, które ogarnia prawdziwe szaleństwo. Wojsko Antonii uderza we flankę Mustang. Mają prymitywną broń, ale ich konie wzbudzają postrach. Kilku uczniów Domu Minerwa wylatuje z siodeł. Pozostali śpieszą w stronę porzuconego zamku, ale Cassius wyłania się z mgły w pełnym galopie i zabiera sztandar na południe. Dwóch wrogów rzuca się w pościg, dzieląc swoje siły. Szóstka żołnierzy z garnizonu Antonii czeka, by wciągnąć ich w zasadzkę w lasach, gdzie konie nie są w stanie biec.

Dzięki szybkiemu refleksowi unikam ciosu piką w czaszkę. Podnoszę się ze swoim slingiem. Próbuje trafić go w nadgarstek. Poruszam się jak w tańcu, pamiętając rytm, którego nauczył mnie wujek w opuszczonych kopalniach. Taniec Śmierci sprawia, że płynę w powietrzu. Robię zamach slingiem, celując w rzepekę. Kość Złotego nie łamie się, ale siła ciosu wyrwa go z siodła. Okręcam się na pięcie i uderzam jeszcze raz, i jeszcze raz, trafiając konia w kopyto i łamiąc mu pęcinę. Zwierzę upada na ziemię.

Ktoś próbuje trafić mnie ogłuszaczem. Udaje mi się uniknąć kontaktu z końcówką, wyrwać broń i wbić rażący prądem czubek w brzuch innego miotającego się konia. Zwierzę osuwa się. Jakiś wielkolud odpycha je na bok i pędzi na mnie. Pax. Na wypadek gdybym był idiotą, wykrzykuje swoje imię. Rodzice wychowali go, by dowodził wojskami lądowymi Obsydianów.

– *Pax au Telemanus!* – Uderza swą ogromną piką w pierś i trafia rozczochranego Klauna tak mocno, że mój przyjaciel dosłownie leci w powietrzu. – *Pax au Telemanus!*

– *Jest pedziem!*

Wtedy odbijam się plecami od boku konia i zataczam w stronę Paxa. Jestem z góry skazany na przegraną. Równie dobrze mógłby nadzieć mnie na swoją pikę. Zamiast tego ściska mnie w objęciach. To jak bycie przytulany przez złotego niedźwiedzia, który bez przerwy wywrzaskuje swoje przekłete imię. Mój kręgosłup trzeszczy. Matko Boska. Miażdży mi czaszkę. Bolą mnie ramiona. Niech to szlag. Nie mogę oddychać. Nigdy nie spotkałem się z taką mocą. Pax to jakiś cholerny tytan. Słyszę, jak ktoś wyje. Dołącza do niego tuzin innych głosów.

– Mam waszego kapitana! Szczam na was, Domie Mars! Pax au Telemanus pokonał waszego kapitana! Pax au Telemanus! – ryczy triumfalnym głosem Pax.

Mam mroczki przed oczami i gotuję się ze złości.

Zanim zemdleję, z mojego gardła wyrywa się ostatni okrzyk gniewu. Miażdżę Paxowi jaja kolanem. Staram się trafić tyle razy, ile to możliwe. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pax wywraca oczami i mdleje. Osuwam się na niego w błoto przy akompaniamencie śmiechu Cenzorów.

Po bitwie, szperając w kieszeniach naszych więźniów, Sevro streszcza mi sytuację. Po tym jak Pax i ja wykończyliśmy się nawzajem, Roque zrobił wypad do doliny razem z Leą i moim plemieniem. Mustang, ta spryciara, uciekła do zamku, który udało jej się utrzymać przy pomocy sześciu żołnierzy. Wszyscy więźniowie Marsa, których schwytała, nie będą należeć do niej, dopóki nie dotknie ich czubkiem sztandaru. Mamy jedenastu jej ludzi, a Roque wykopał nasz sztandar, by oznaczyć ich jako naszych niewolników. Moglibyśmy oblegać własny zamek – za murem nie widać żadnego poruszenia – ale Ceres albo pozostali członkowie Domu Minerwa mogliby zaatakować w każdej chwili. Gdyby do tego doszło, zadaniem Cassiusa jest przekazać sztandar Minerwy w ręce Ceres. To ma utrzymać go z daleka, podczas gdy ja będę umacniał się na pozycji lidera.

Roque i Antonia towarzyszą mi w trakcie negocjacji z Mustang przy bramie. Utykam na jedną nogę i oszczędzam połamane żebra, które bolą przy oddychaniu. Gdy docieramy na miejsce, Roque robi krok w tył, żebym wyglądał na najważniejszą osobę w naszym gronie. Antonia marszczy nos i w końcu robi to samo. Mustang jest zakrwawiona po potyczce, a ja nie dostrzegam uśmiechu na jej twarzy.

– Cenzorzy wszystko widzieli – mówi zjadliwie. – Widzieli, co stało się w tym... miejscu. To wszystko...

– Wina Titusa – cedzi Antonia zmęczonym głosem.

– I nikogo innego? – Mustang przenosi spojrzenie na mnie. – Dziewczyny nie przestają płakać.

– Nikt nie umarł – mówi poirytowana Antonia. – Choć to słabeusze, ich rany same się zagoją. Pomimo tego, co zaszło, nikt ze Złotych nie ucierpiał.

– Nikt ze Złotych... – mamrocze Mustang. – Jak możesz być taka zimna?

– Dziewczynko – wzdycha Antonia – złoto to zimny metal.

Mustang patrzy na nią z niedowierzaniem, a potem kręci głową.

– *Mars*. Okrutne bóstwo. Pasujecie do niego, co? Lubicie barbarzyństwo? Zupełnie jak w średniowieczu.

Nie mam ochoty, by Aureat pouczał mnie w kwestii moralności.

– Chcemy, żebyście opuścili zamek – mówię. – Jeżeli ty i twoi ludzie posłuchacie, możesz zatrzymać więźniów. Nie zmienimy ich w niewolników.

Sevro stoi obok pojmanych u stóp wzgórza z naszym sztandarem w dłoni. Łaskocze sponiewieranego Paxa końskim włosiem.

Mustang grozi mi palcem.

– To szkoła. Zdajesz sobie z tego sprawę, tak? Zasady narzucone przez twój Dom nie mają znaczenia. Możecie sobie być tak bezwzględni, jak tylko chcecie, ale są pewne granice. Są pieprzone granice mówiące o tym, co możecie robić w szkole i w grze. Im bardziej jesteście brutalni, tym głupsi stajecie się w oczach Cenzorów, dorosłych, którzy będą wiedzieli, co zrobiliście. Myślicie, że chcą, aby Elitą rządziły potwory? Kto by chciał potwora za praktykanta?

Mam przed oczami obraz Augustusa patrzącego na moją wiszącą żonę oczami martwymi jak u jaskiniowej żmii. Potwór chciałby, żeby uczeń został stworzony na jego podobieństwo.

– Chcą wizjonerów. Przywódców, nie morderców. Są granice – ciągnie dziewczyna.

Kończy mi się cierpliwość.

– Nie ma żadnych pieprzonych granic – warczę.

Mustang zaciska nerwowo szczęki. Rozumie, jaki będzie tego koniec. W ostatecznym rozrachunku oddanie nam zamku z powrotem nie będzie jej nic kosztować, ale próba zatrzymania go już tak. Równie dobrze może skończyć jak jedna z jej dziewczyn w wysokiej wieży. Nigdy wcześniej nie przyszło jej to na myśl. Wiem, że chce opuścić to miejsce, ale poczucie sprawiedliwości ją dobija. Wydaje jej się, że powinniśmy za wszystko zapłacić, że Cenzorzy powinni zstąpić z nieba i interweniować. Większość dzieciaków ma taki sam tok myślenia. Cholera, nawet Cassius powiedział tak ze sto razy, gdy chodziliśmy na zwiady. Ale nie na tym polega gra, bo nie na tym polega życie. Bogowie nie zstępują z nieba, by wymierzać sprawiedliwość. Robią to ludzie u władzy. Właśnie tego nas uczą. Nie tylko bólu, jaki towarzyszy jej zdobywaniu, ale desperacji wpływającej z faktu, że się jej nie ma. Desperacji, jaka pojawia się, gdy nie jesteś Złotym.

– Zatrzymamy niewolników Ceres – ogłasza Mustang.

– Nie. Oni należą do nas – syczę. – I zrobimy z nimi, co nam się podoba.

Przygląda mi się długą chwilę, myśląc.

– W takim razie bierzemy Titusa.

– Nie.

– Albo *weźmiemy* Titusa, albo nie ma żadnej umowy.

– Nikogo nie zatrzymacie.

Nie jest przyzwyczajona do tego, że ktoś mówi jej „nie”.

– Chcę zapewnienia, że będą bezpieczni. Chcę, żeby Titus za wszystko zapłacił.

– Gównu mnie obchodzi, czego chcesz. Dostajesz to, co masz. Oto część planu. – Wyjmuję slinga i dotykam czubkiem ziemi. – Titus należy do Domu Mars. Jest nasz. Więc proszę bardzo, spróbuj go odbić.

– Zostanie osądzony – zapewnia ją Roque.

Odwracam się w jego stronę z płonącymi oczami.

– Zamknij się.

Spuszcza wzrok ze świadomością, że nie powinien był się odzywać. To bez znaczenia. Mustang nie patrzy ani na niego, ani na Antonię. Nie patrzy w kierunku kotliny, gdzie Lea i Cipio przetrzymują jej bandę, a Oset wraz z Chwastem siedzą Paxowi na plecach, na zmianę łaskocząc go końskim włosiem. Nie spogląda na ostrze miecza. Spojrzenie jej oczu jest zarezerwowane wyłącznie dla mnie. Nachylam się w jej stronę.

– Gdyby Titus zgwałcił małą dziewczynkę, która byłaby Czerwoną, jak byś się poczuła?

Nie wie, co odpowiedzieć. Prawo wie. Nic by się nie stało. To nie gwałt, chyba że nosiłaby Sigile starszego Domu, takiego jak Augustus. Ale nawet wtedy przestępstwo byłoby wymierzone w jej pana.

– A teraz rozejrzyj się dokoła – mówię przyciszonym głosem. – Nie ma tu Złotych. Jestem Czerwonym. Ty jesteś Czerwoną. Wszyscy jesteśmy Czerwonymi, dopóki któreś z nas nie zdobędzie wystarczająco dużej władzy. Wtedy ustalimy własne prawa. – Odsuwam się, podnosząc głos. – O to w tym wszystkim chodzi. By przerazić was światem, w którym nie rządzą. Bezpieczeństwo i sprawiedliwość nie są nam nadane. To silni je tworzą.

– Powinieneś mieć nadzieję, że to nieprawda – mówi równie cicho Mustang.

– Dlaczego?

– Dlatego że jest tu chłopak podobny do ciebie. – Jej twarz staje się mroczna, jak gdyby żałowała swoich słów. – Mój Cenzor nazywa go Szakalem. Jest bystrzejszy, okrutniejszy i silniejszy od ciebie. Zwycięży w tej grze i robi z nas niewolników, jeśli dalej będziemy się zachowywać jak zwierzęta. – Świdruje mnie wzrokiem. – Więc proszę bardzo, pośpiesz się i ewoluuj.

Rozdział dwudziesty ósmy

Mój brat

Gdy zapalam pierwsze ognisko w zamku Marsa, udaję, że zapalki wzięłem od jednego z uczniów Minerwy. June zostaje wyciągnięta ze swojego prowizorycznego więzienia i przygotowuje nam ucztę z mięsa kóz, owiec i ziół zebranych przez moje plemię. Z kolei moje plemię udaje, że to ich pierwszy prawdziwy posiłek od tygodni. Pozostali są tak wygłodniali, że wierzą w to kłamstwo.

– Co teraz? – pytam Roque, gdy reszta je na dziedzińcu. Stołp nadal wygląda jak chlew, a blask ognia tylko podkreśla brud. Cassius poszedł zobaczyć się z Quinn, więc jestem sam z Roque.

Plemię Titusa siedzi w milczących grupach. Dziewczyny nie rozmawiają z chłopcami z powodu tego, co widziały. Jedzą ze spuszczoneymi głowami. Są zawstyżeni. Ludzie Antonii siedzą z moimi i obrzucają tych od Titusa morderczymi spojrzeniami. Na ich twarzach maluje się wstręt. I poczucie zdrady, nawet kiedy napęłniają brzuchy. Doszło już do kilku bójek. Zaczęło się od słów, a skończyło na okładaniu pięściami. Wydawało mi się, że zwycięstwo zjednoczy ludzi, ale tak się nie stało. Rozłam jest jeszcze większy niż przedtem, choć nie jestem w stanie go zdefiniować i myślę, że istnieje tylko jeden sposób na poprawę sytuacji.

Roque nie ma w zanadrzu odpowiedzi, którą chciałbym usłyszeć.

– Cenzorzy nie interweniują, bo chcą zobaczyć, czy jesteśmy w stanie wymierzyć sprawiedliwość, Darrow. Ten konflikt pokazuje większy problem. Jak zamierzamy respektować Prawo?

– Wspaniale. I co? Mamy wychłostać Titusa? Zabić go? Tak nakazuje Prawo.

– Czyżby? A może zemsta?

– To ty jesteś poetą. Sam to rozwikłaj. – Zrzucam stopą kamyk z murów.

– Nie możemy trzymać go w piwnicy w nieskończoność. Wiesz o tym. Nigdy nie wyrwiemy się z tego marazmu, jeśli tam zostanie. To ty musisz zdecydować, co się z nim stanie.

– A Cassius? – pytam. – Myślę, że zasłużył na to, by wypowiedzieć się w tej sprawie. W końcu to on rzucił mu wyzwanie.

Nie chcę, żeby Cassius miał jakikolwiek udział w rządzeniu, ale też nie chcę, by ukończył Instytut bez żadnych perspektyw. Jestem mu to winny.

– Rzucił wyzwanie? – chrząka dyskretnie Roque. – To dopiero barbarzyństwo.

– Więc Cassius nie powinien odegrać żadnej roli?

– Kocham go jak brata, ale nie. – Na wąskiej twarzy Roque pojawia się napięcie, gdy kładzie dłoń na moim ramieniu. – Cassius nie może przewodzić temu Domowi. Nie po tym, co zaszło. Ludzie Titusa mogą go słuchać, ale nie obdarzą go szacunkiem. Nie uznają go za silniejszego od siebie, nawet jeśli tak jest. Darrow, oni na niego nasikali. Jesteśmy Żłotymi. Nie zapominamy takich rzeczy.

Ma rację.

Szarpię się z frustracją za włosy i piorunuję rozmówcę spojrzeniem, jakby to on był winien trudnościom.

– Nie rozumiesz, jak wiele to dla niego znaczy. Po śmierci Juliana... Musi odnieść sukces. Nie może zostać zapamiętany wyłącznie w związku z tym, co się stało. Po prostu nie może.

Dlaczego tak bardzo mi na tym zależy?

– Nie ma znaczenia, ile to dla niego znaczy – Roque powtarza moje słowa z uśmiechem. Jego palce na moim bicepsie wyglądają jak źdźbła słomy. – Nigdy nie będą się go bać.

A strach jest tu konieczny. Cassius o tym wie. Niby dlaczego nie uczestniczy w świętowaniu zwycięstwa? Antonia ani na chwilę nie opuściła mojego boku. Pollux, ten, który otworzył bramę, też nie. Trzymają się kilka metrów dalej, starając się uszczknąć nieco z mojej potęgi. Sevro i Oset obserwują ich z przebiegłymi uśmieszkami.

– To dlatego tutaj jesteś, ty spiskująca łasico? Żeby mieć swój udział w chwale?

Roque wzrusza ramionami i wgryza się w barani udziec, który przyniosła mu Lea.

– Pieprzyć to. Jestem tu dla jedzenia.

Znajduję Titusa w piwnicy. Uczniowie Minerwy związali go i stłukli na kwaśne jabłko po tym, jak

zobaczyli zniewolone dziewczyny w jego wieży. To ich sposób wymierzenia sprawiedliwości. Uśmiecha się, gdy nad nim stoję.

– Ilu uczniów Domu Ceres zabiłeś w trakcie swoich najazdów? – pytam.

– Jeb się. – Pluje krwawą flegmą. Robię unik.

Ledwie udaje mi się zwalczyć chęć kopnięcia go. Po chwili Titus pyta, co się stało.

– Rządę teraz Marsem.

– Zleciłeś wykonanie brudnej roboty uczniom Minerwy, co? Nie chciałeś się zmierzyć twarzą w twarz? Typowy Złoty tchórz.

Boję się go i nie wiem dlaczego. Mimo to klękam na jedno kolano i spoglądam mu prosto w oczy.

– Jesteś skończonym idiotą, Titus. Nigdy nie ewoluowałeś. Nigdy nie zaliczyłeś pierwszego testu. Wydaje ci się, że tu chodzi wyłącznie o przemoc i zabijanie. Idiotę. Chodzi o cywilizację, nie wojnę. Żeby mieć armię, najpierw musisz stworzyć cywilizację – a ty przeszedłeś prosto do przemocy, tak jak tego chcieli. Jak ci się zdaje, dlaczego nam, Marsowi, nie dali niczego, a pozostałe Domy otrzymały tak wiele? Mamy walczyć jak szaleńcy i równie szybko się wypalić. Ale ja zdałem ten test. Teraz to ja jestem bohaterem. Nie uzurpatorem. A ty jesteś tylko ogrem w lochu.

– Och, hurra. Hurra! – Próbuje zaklaskać związanymi dłońmi. – Mam to w dupie.

– Ilu zabiłeś?

– Za mało. – Przekrzywia wielką głowę. Włosy ma tłuste i ciemne od brudu, zupełnie jakby chciał ukryć złote pasma. Wygląda na to, że lubi brud. Ma go pełno pod paznokciami. – Próbowałem rozwalić im łby. Zabić ich, zanim zjawią się ekipy medyczne. Ale oni zawsze byli zbyt szybcy.

– Dlaczego chciałeś ich zabić? Nie rozumiem tego. Przecież to twoi ludzie.

Uśmiecha się ironicznie.

– Mogłeś wszystko zmienić, draniu. – Jego wielkie oczy są spokojniejsze, smutniejsze, niż pamiętam. Uświadamiam sobie, że on wcale się nie lubi. Ma w sobie coś strasznie przygnębiającego. To, co miałem za dumę, wcale nie jest dumą, tylko pogardą. – Mówisz, że jestem okrutny, ale to ty masz zapałki i jodynę. Nie myśl sobie, że nie wiedziałem. Umieraliśmy z głodu, a ty wykorzystałeś swoje skarby do zostania przywódcą. Więc nie pouczaj mnie w kwestii moralności, dwulicowy skurwielu.

– To dlaczego nic z tym nie zrobiłeś?

– Pollux i Vixus się ciebie bali. Tak samo reszta. Myśleli, że Goblin zabije ich we śnie. Co mogłem zrobić, skoro tylko ja niczego się nie bałem?

– Dlaczego nie?

Wybuchła głośnym śmiechem.

– Jesteś zwykłym chłopczykiem ze slingiem. Na początku myślałem, że jesteś twardy. Że obaj mamy podobne spojrzenie na pewne sprawy. – Oblizuje zakrwawioną wargę. – Że jesteś taki jak ja, tylko gorszy z powodu chłodu w twoich oczach. Ale ty nie jesteś zimny. Zależy ci na tych gnojkach.

Marszczę brwi.

– To znaczy?

– To proste. Nawiązałeś przyjaźnie. Roque, Cassius, Lea, Quinn.

– Ty również. Mam na myśli Polluxa, Cassandrę, Vixusa...

Twarz Titusa wykrzywia paskudny grymas.

– To mają być *przyjaciele*? – powarkuje. – *Oni*? Ci Złoci? To potwory, bezduszne dranie. Banda kanibali. Robili to samo, co ja, ale...

– Nadal nie rozumiem, dlaczego postąpiłeś w ten sposób z niewolnicami. Mówię o gwałcie, Titus.

Jego twarz jest pełna spokoju i okrucieństwa.

– Oni zrobili to pierwsi.

– Kto?

Ale on już nie słucha. Nagle zaczyna opowiadać o tym, jak zabrali „ją” i zgwałcili na jego oczach. Tydzień później wrócili zabawić się jeszcze raz. Więc zabił ich, zmiażdżył im głowy.

– Zabiłem tych cholernych drani. A teraz ich córki dostaną to samo.

Czuję się tak, jakby ktoś zdzielił mnie w twarz.

Niech to piekło pochłonie.

Ogarnia mnie chłód.

Cholernych.

Zataczam się chwiejnie do tyłu.

– Co się z tobą, u diabła, dzieje? – pyta Titus. Gdybym był Złotym, mógłbym tego nie zauważyć, być zdezorientowany tym dziwnym słowem. Ale ja nie jestem Złotym. – Darrow?

Wybiegam na korytarz. Poruszam się jak w transie. Wszystko nabiera sensu. Nienawiść. Wstręt. Zemsta. Kanibale pożerają swoich ludzi. Nazwał ich kanibalami. Pollux, Cassandra, Vixus... Kim są ci „oni”? *Ich* córki. *Cholernych*. Nie *pieprzonych*. Titus powiedział cholernych. Żaden Złoty tak nie

mówi. Nigdy. I w dodatku nazwał moją broń slingiem, nie kosą.

Niech to szlag.

Titus jest Czerwonym.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Jedność

Titus uosabia wszystko to, czym Tancerz nie chciał, żebym się stał. Jest jak Harmony. Istotą pałającą chęcią zemsty. Rebelia z Titusem na czele upadnie w przeciągu kilku tygodni. Co gorsza, jeśli będzie kontynuował swoją niestabilną politykę, narazi mnie na ryzyko. Tancerz albo kłamał, albo nie ma pojęcia o istnieniu innych wyrzeźbionych Czerwonych, innych Czerwonych ukrywających się pod maskami Żółtych. Ilu Ares umieścił w szeregach Elity? W Instytucie? Nie ma znaczenia, czy tysiąc, czy tylko jednego. Chwiejność Titusa naraża każdego Czerwonego zmienionego w Żółtego na ryzyko. Naraża marzenie Eo. A to coś, czego nie jestem w stanie znieść. Eo nie umarła po to, by Titus mógł zabić parę dzieciaków.

Szlocham w zbrojowni, dochodząc do jedyne go sensownego wniosku.

Moje dłonie splami jeszcze więcej krwi, bo Titus jest wściekłym psem, którego za wszelką cenę trzeba unieszkodliwić.

Rankiem wyciągam go na dziedziniec przed Domem. Grupka jeńców sprząta resztki nocnej uczty. A zatem mam nawet niewolników, którzy mogą popatrzeć. Kilku Cenzorów fruwa w powietrzu nad

naszymi głowami. Obok nich nie ma ani jednej ekipy medycznej, co należy uznać za milczącą zgodę.

Popycham Titusa na ziemię na oczach jego dawnego plemienia. Patrzą w milczeniu. Mgła unosi się nad nimi. Szurają nerwowo stopami po zimnym bruku dziedzińca. Chłód wsiąka w moje dłonie przez stal slinga.

– Za gwałt, okaleczanie i usiłowanie zabójstwa jednego z członków Domu skazuję cię, Titusie au Ladros, na śmierć – wyliczam powody. – Czy ktoś podważa moje prawo do wykonania wyroku? – Spoglądam na Cenzorów. Nikt nie protestuje.

Patrzę na okrutnego Vixusa. Jego siniak jeszcze nie zniknął. Przenoszę spojrzenie na Cassandrę, a potem na Polluxa, tego, który uratował Cassiusa i otworzył dla nas bramę. Stoi obok Roque. Jego lojalność szybko zmieniła obiekt.

Moja również. Skażę Czerwonego na śmierć, bo zabił Złotych. Kopał w ziemi, jak ja. Ma duszę taką jak ja. Po śmierci trafi do doliny, ale za życia był głupi i samolubny w swoim smutku. Powinien być mądrzejszy. Czerwoni są lepsi od niego, prawda?

Plemię Titusa milczy. Ich poczucie winy jest związane z przywódcą. Jeśli on odejdzie, ono również się rozpadnie. Właśnie to sobie wmawiam. Wszystko będzie dobrze.

– Ja podważam wyrok – mówi Titus. – I rzucam ci wyzwanie, wypierdku.

– Przyjmuję, *przyjacielu*. – Kłaniam się uprzejmie.

– W takim razie tradycyjny pojedynek Zakonu Miecza – ogłasza Roque.

– Wybieram – mówi Titus, mierząc okiem mojego slinga. – Proste ostrza, nie zakrzywionego.

– Jak sobie życzysz. – Gdy cofam się o krok, czuję dłoń na swoim łokciu i obecność przyjaciela stojącego obok mnie.

– Darrow, on jest mój – szepcze lodowatym tonem Cassius. – Pamiętasz? – Nie daję żadnego znaku zrozumienia. – Proszę, Darrow. Pozwól mi uczcić Dom Bellona.

Spoglądam na Roque. Kręci głową. Tak samo Quinn, która stoi za Cassiusem. Ale to ja jestem przywódcą. Obiecałem coś swojemu przyjacielowi, który zaczyna dostrzegać mój status. Prosi, zamiast żądać, więc robię przedstawienie z zastanawianiem się nad jego słowami i przystaniem na prośbę. Usuwam się na bok, gdy Cassius wychodzi naprzód z prostym mieczem. To słaba broń, ale wyostrzył ją na kamieniach.

– A oto i Szczył – szydzi Titus. – Wspaniale. Gdy już będzie po wszystkim, z radością znów obsikam twojego trupa.

Titus sypie żartami. Jest stworzony do bitew i wojen domowych. Zastanawiam się, czy wie, jak łatwo dzisiaj umrze.

Roque rysuje koło w popiele wokół dwóch przeciwników. Klaun i Śrubokręt chodzą wokół uzbrojeni po zęby. Titus wybiera długi miecz o szerokim płazie, który zabrał pięć dni temu jednemu z żołnierzy Ceres. Metal szoruje po kamieniu, odbijając się echem od dziedzińca. Robi pojedynczy zamach, a potem drugi, by wypróbować broń. Cassius nie rusza się z miejsca.

– Obsikałeś już spodnie? – pyta Titus. – Nie martw się, postaram się być szybki.

Roque odprawia wszelkie niezbędne czynności i ogłasza początek walki.

Cassius ani trochę się nie śpieszy.

Prymitywne miecze uderzają o siebie z przenikliwym brzękiem. Szcherbią się. Krzeszą iskry. I milczą, natrafiając na ciało.

Jedynym dźwiękiem jest westchnięcie Titusa.

– Zabiłeś Juliana – odzywa się cichym głosem Cassius. – Juliana au Bellona z Domu Bellona.

Wyrywa miecz z nogi Titusa i wbija gdzieś indziej.

Titus zanosi się śmiechem i robi nieudany wymach bronią, co w tym momencie jest całkiem żalosne.

– Zabiłeś Juliana. – Słowom towarzyszą ciosy. Słowom, które powtarza, aż w końcu nie mogę patrzeć. – Zabiłeś Juliana.

Ale Titus już dawno nie żyje. Po twarzy Quinn płyną strumienie łez. Roque zabiera ją i Leę w inne miejsce. Moja armia milczy. Oset spluwa na bruk i obejmuje ręką ramiona Kamyczek. Klaun sprawia wrażenie jeszcze bardziej przygnębionego niż zwykle. Nawet Cenzorzy nie komentują sytuacji. To gniew Cassiusa wypełnia dziedziniec, jak okrutny lament po śmierci ukochanego brata. Powiedział, że uczynił to z poczucia sprawiedliwości, oddania honoru rodzinie i Domowi. Ale tak naprawdę to zwykły akt zemsty, która wydaje się teraz czymś strasznie małostkowym.

To było przeznaczone dla mnie, nie dla mojego biednego brata Titusa – o ile to w ogóle było jego prawdziwe imię. Zasłużył na coś więcej.

Mam ochotę się rozplakać. Gniew i smutek kłębią się we mnie, gdy przedzieram się przez tłum. Roque spogląda na mnie, gdy go mijam. Jego twarz wygląda jak u trupa.

– To nie była sprawiedliwość – mamrocze pod nosem, nie patrząc mi w oczy.

Oblałem test. Roque ma rację. Sprawiedliwość jest obojętna, uczciwa. Jestem przywódcą. Wydałem wyrok. To ja powinienem był go wykonać. Zamiast tego pozwoliłem na prywatną zemstę. Raka nie da się wyciąć. Tylko go pogorszyłem.

– Przynajmniej ludzie znów boją się Cassiusa – dodaje Roque. – Ale to jedyna rzecz, która ci wyszła.

Biedny Titus. Zakopuję jego ciało w zagajniku blisko rzeki. Mam nadzieję, że to przyspieszy jego

podróż do doliny.

Tej nocy nie śpię.

Nie wiem, czy tamci ludzie skrzywdzili jego żonę, siostrę, czy matkę. Nie wiem, z której był kopalni. Jego ból stał się moim bólem. Jego ból złamał go tak, jak mój złamał mnie na szubienicy. Tyle że ja otrzymałem drugą szansę. Gdzie podziła się jego?

Mam nadzieję, że ból Titusa zniknie po śmierci. Nie kochałem go, dopóki nie był martwy. I powinien być martwy, ale to nadal mój brat. Modlę się więc, żeby odnalazł spokój i wybaczył mi to, co mu zrobiłem, dlatego że uczyniłem to, by spełnić sen. Dla naszego ludu.

Moje imię, obok którego są już trzy kreski, zbliża się do rangi Prymusa.

Cassius również awansował.

Ale Prymus może być tylko jeden.

Skoro nie mogę zasnąć, przejmuję wartę od Cassandry. Mgła spowija flanki, więc przywiązujemy owce wokół murów. Zaczną beczeć, gdyby zbliżał się wróg. W powietrzu wyczuwam dziwny, smakowity zapach.

– Pieczona kaczka?

Odwracam się. Obok mnie stoi Fitchner. Jego włosy nad wąskim czołem są potargane. Nie nosi dzisiaj żadnej złocistej broni, tylko czarną tunikę ze złotymi zdobieniami. Podaje mi kawałek kaczki. Zapach jedzenia sprawia, że burczy mi w żołądku.

– Powinniśmy być na ciebie wściekli – mówię.

Na jego twarzy maluje się zaskoczenie.

– Dzieci, które tak mówią, zazwyczaj chcą wytłumaczyć, dlaczego nie są wściekłe.

– Ty i reszta Cenzorów wszystko widzicie, prawda?

– Nawet kiedy podcierasz tyłek.

– I nie powstrzymaliście Titusa, bo był częścią programu.

– Tak naprawdę pytanie brzmi, dlaczego nie powstrzymaliśmy ciebie.

– Od zabicia go.

– Tak, szkrabie. Byłby cennym nabytkiem w wojsku, nie sądzisz? Może i nie nadawałby się na Pretora dowodzącego flotą, ale byłby wspaniałym Legatem, prowadząc pod ostrzałem kosmiczne pojazdy przez bramy wroga. Czy widziałeś kiedykolwiek Żelazny Deszcz, kiedy ludzie są

wystrzeliliwani z orbit na podbój miast? On był do tego stworzony.

Nie odpowiadam.

Fitchner wyciera usta z tłuszczu czarnym rękawem tuniki.

– Życie to najskuteczniejsza szkoła, jaką kiedykolwiek stworzono. Dawno, dawno temu uczono dzieci, jak dygać i czytać książki. Rozwój zajmował całe wieki. – Klepie się po głowie. – Teraz mamy elektroniczne gadżety, a niższe Kolory odwalają za nas całą robotę. Nie musimy uczyć się chemii ani fizyki. Od tego są komputery i inni ludzie. Tym, co musimy studiować, jest ludzkość. Żeby rządzić, musimy zgłębiać nauki polityczne, psychologiczne i behawioralne – jak desperacko reagują na siebie same ludzkie jednostki, jak formują się grupy, na jakiej zasadzie funkcjonują armie, jak i dlaczego rozpadają się sojusze. Tego wszystkiego możesz nauczyć się wyłącznie tutaj.

– Rozumiem cel. Uczę się nowych rzeczy, gdy popełniam błędy, dopóki mnie nie zabiją.

Próbując zostać męczennikiem, otrzymałem świetną lekcję życia.

– Doskonale. Robisz ich całe mnóstwo. Jesteś impulsywnym małym gnojkiem. Ale to miejsce, by się uczyć. Na tym polega życie... z małym dodatkiem ekip medycznych, drugich szans i sztucznych scenariuszy. Pewnie domyśliłeś się już, że pierwsza próba, Chrzest, miała ocenić działanie instynktu samozachowawczego w starciu z emocjami. Drugą było przetrwanie plemienia. Od teraz będzie ich znacznie więcej. Więcej drugich szans, więcej nauczek.

– Ilu z nas może zginąć? – pytam nagle.

– Nie martw się o to.

– Ilu?

– Każdego roku Zarząd Kontroli Jakości ustala limit, ale jak na razie mieścimy się w jego granicach, pomimo tego, co stało się z Szakalem – uśmiecha się Fitchner.

– Szakal... To ma związek z tym, co działo się tamtej nocy, gdy ekipy medyczne ruszyły na południe?

– Czyżbym faktycznie wypowiedział jego imię? Ups. – Szczerzy się w uśmiechu. – Chciałem powiedzieć, że lekarze są bardzo skuteczni. Wyleczyli niemal wszystkie rany. Tylko czy okażą się tak samo skuteczni, gdy Cassius odkryje, kto tak naprawdę zabił jego brata?

Czuję ściskanie w żołądku.

– Zabił już mordercę Juliana. Najwyraźniej tego nie widziałeś.

– Oczywiście, oczywiście. Merkury uważa, że jesteś genialny. Apollo jest zdania, że to twój najślabszy punkt. On naprawdę cię nie znosi.

– Mam to w nosie.

– Och, powinieneś się bardziej przejmować. Apollo to szycha.

– W porządku. A ty co myślisz? Jesteś moim Cenzorem.

– Myślę, że jesteś starożytną duszą. – Przygląda mi się i opiera o mur obronny. Mgła unosi się poza zamkiem. Z jej głębi dobiega wycie wilków. – Że przypominasz jedną z tych bestii. Jesteś częścią watahy, ale w głębi odczuwasz wielki smutek i samotność. Nie potrafię odgadnąć dlaczego. To dopiero zabawa! Ciesz się nią! Życie wcale nie staje się lepsze.

– Jesteś taki sam. Samotny. Sypiesz żartami i szyderczymi komentarzami, zupełnie jak Sevro, ale to tylko maska. To dlatego, że nie wyglądasz jak reszta, prawda? A może jesteś biedny? Jakimś cudem jesteś outsiderem.

– Mój wygląd? – Fitchner wybucha śmiechem. – A jakie to ma znaczenie? Wydaje ci się, że jestem Brązowym, bo nie wyglądam niczym Adonis?

Nachyla się, bo tak naprawdę zależy mu na usłyszeniu tego, co powiem.

– Jesteś szkaradny i zresz jak świnia, ale łykasz metabolizery, choć równie dobrze mógłbyś iść do Snycerza i poprawić swój wygląd. W ułamku sekundy zająłby się tym wystającym brzuszyskiem.

Widzę jeden drgający mięsień w jego szczęce. Czy to z powodu gniewu?

– Niby czemu miałbym składać wizytę Snycerzowi? – syczy niespodziewanie. – Gołymi rękami potrafię zabić Obsydiana. Obsydiana! Umiem przechytrzyć Srebrnego w negocjacjach. Potrafię robić obliczenia, o jakich Zieloni mogą tylko śnić. Dlaczego zatem miałbym zmienić swój wygląd?

– Dlatego że to on cię hamuje.

– Pomimo niskiego urodzenia jestem osobistością. Jestem ważny. – Jego kanciasta twarz rzuca mi wyzwanie, bym zaprzeczył. – Jestem Złotym. Królem wśród ludzi. Nie zmieniam się, by pasować do reszty.

– Skoro to prawda, dlaczego wsuwasz metabolizery? – Nie odpowiada. – I dlaczego jesteś tylko Cenzorem?

– Bycie Cenzorem jest związane z prestiżem, chłopcze – warczy Fitchner. – Poborowcy głosowali na mnie, bym reprezentował Dom.

– A mimo to żaden z ciebie Imperator. Nie dowodzisz żadną flotą. Nie jesteś nawet Pretorem szwadronu ani Gubernatorem. Ilu ludzi mogłoby robić rzeczy, którymi się zajmujesz?

– Niewielu – mówi bardzo cicho, z wściekłością wypisaną na twarzy. – Bardzo niewielu. – Unosi wzrok. – Czego żądasz w zamian za zdobycie sztandaru Minerwy?

– To już sprawa Sevro, prawda? – odpowiadam, domyślając się, że rozmowa dobiega końca.

– Oddał ci go.

Proszę go o konie, broń i zapalki. Zgadza się uprzejmie i odwraca do wyjścia, zanim udaje mi się zadać ostatnie pytanie. Łapię go za ramię, gdy zaczyna opadać ku ziemi. W tej samej chwili czuję, jakby ktoś usmażył mi nerwy. Igły bólu wbijają się w dłoń i ramię. Brakuje mi powietrza. Na ułamek sekundy moje płuca przestają działać.

– Niech to szlag – udaje mi się wykrztusić. Osuwam się na ziemię. Fitchner ma na sobie zbroję pulsacyjną. Nawet nie widzę generatora.

Fitchner czeka bez uśmiechu.

– Szakał. Wspomniałeś o nim. Dziewczyna z Minerwy też o nim mówiła. Kto to jest?

– Syn ArcyGubernatora, Darrow. W porównaniu z nim Titus to tylko bełkoczący dzieciak.

Następnego ranka na polu pojawiają się wielkie konie. Wilki próbują schwytać małą klacz. Podjeżdża do nich ogier o płowej sierści i kopytami tratuje jednego na śmierć. Uznają go za swojego. Pozostali nazywają go Quietusem, co znaczy „ostateczny cios”.

Przypomina mi Pegaza, który ocalił Andromedę. Pieśni na Lykos opowiadają głównie o koniach. Wiem, że Eo ucieszyłaby się z możliwości przejechania się na jednym.

Dopiero po upływie kilku dni uświadamiam sobie, że gdy reszta ochrzciła konia Quietusem, tak naprawdę zakpili tym z mojego udziału w śmierci Titusa.

Rozdział trzydziesty

Dom Diana

Mija miesiąc. Po śmierci Titusa Dom Mars staje się silniejszy. Ta siła bierze się nie z uczniów wysokiego Poboru, lecz z dregów, mojego plemienia i uczniów średniego Poboru. Zakazałem dręczenia niewolników. Niewolnicy Ceres, choć nadal trochę wystraszeni obecnością Vixusa i paru innych, dostarczają nam jedzenia i ognia. Tylko do tego się nadają. Na wypadek ataku zgromadziliśmy w zamku pięćdziesiąt kóz i owiec. Zebraliśmy też stertę drewna na opał. Nie mamy jednak wody. Pompy w umywalni przestały działać już pierwszego dnia. W dodatku nie ma wiader, w których moglibyśmy ją przechowywać. Wątpię, by to był przypadek.

Przekuwamy tarcze w miski i wykorzystujemy hełmy do czerpania wody z rzeki pod naszym wysokim zamkiem. Ścięliśmy drzewa i wyłobiliśmy tak, że pełnią teraz rolę koryt. Zdjęliśmy kamienne płyty i wykopaliśmy studnię. Nie mogliśmy jednak przebić się wystarczająco daleko przez błoto, więc uszczelniliśmy studnię kamieniami i drewnem, chcąc zrobić z niej zbiornik na wodę. Okazało się, że przecieka. Tak więc pozostały nam koryta. Nie możemy dopuścić do podboju zamku.

Stołą jest teraz czystszy.

Po tym, co stało się z Titusem, proszę Cassiusa, by nauczył mnie posługiwać się mieczem. Nauka idzie mi zadziwiająco szybko. Ćwiczę na prostym mieczu. Nigdy nie używam slinga, który teraz stanowi już nieodłączną część mojego ciała. Celem treningu nie jest nauczenie się, jak używać prostego miecza, co przypomina nieco walkę na noże, ale poznanie technik, które mogą zostać wykorzystane przeciwko mnie. Nie chcę również, by Cassius odkrył, jak walczyć zakrzywionym mieczem. Jeśli kiedykolwiek dowie się o Julianie, ten rodzaj broni będzie moją jedyną nadzieją.

Niestety, w Kravat nie jestem już tak skuteczny. Nie potrafię wyprowadzać kopniaków, ale z drugiej strony, uczę się, jak zmiażdżyć komuś tchawicę. I jak właściwie wykorzystywać potencjał własnych dłoni. Nie chodzi już o zadawanie ciosów na oślep ani o idiotyczną obronę. Jestem śmiertelnie niebezpieczny i szybki, ale nie podoba mi się dyscyplina, jakiej wymaga Kravat. Pragnę zostać skutecznym wojownikiem. To wszystko. A Kravat za wszelką cenę chce nauczyć mnie wewnętrznego spokoju, co jest z góry skazane na porażkę.

Teraz trzymam już dłonie jak Cassius, jak Julian, w powietrzu, z łokciami na wysokości oka, więc zawsze mogę zadać cios lub zablokować go od dołu. Czasami Cassius wspomina Juliana, a ja czuję ogarniającą mnie ciemność. Myślę wtedy o Cenzorach obserwujących wszystko z góry i zaśmiewających się do rozpuku. W ich oczach muszę wyglądać jak zły do szpiku kości, manipulujący ludźmi potwór.

Zapominam, że zarówno Cassius, jak i Roque, Sevro i ja sam jesteśmy wrogami. Czerwony i Żółty. Zapominam, że pewnego dnia będę musiał ich wszystkich zabić. Nazywają mnie bratem, a ja nie mogę poradzić nic na to, że myślę o nich tak samo.

Wojna z Domem Minerwa podzieliła się na serię potyczek między bojówkami. Żadna z grup nie uzyskała wystarczającej przewagi nad drugą ani nie zaliczyła decydującego zwycięstwa. Mustang nie

chce zaryzykować udziału w zażartej walce, której pragnę, a ja nie dam się sprowokować. Nie można ich skusić do toczenia pojedynków o chwałę tak łatwo, jak moich żołnierzy.

Uczniowie Minerwy są zdesperowani w swoich staraniach, by mnie schwytać. Pax zmienia się w szaleńca, ilekroć mnie widzi. Antonia twierdzi, że Mustang próbowała nawet zaoferować jej pakt o wspólnej ochronie, tuzin koni, sześć ogłuszaczy i siedmiu niewolników w zamian za mnie. Nie wiem, czy kłamie, gdy o tym opowiada.

– Zdradziłabyś mnie w ułamku sekundy, gdyby to miało zapewnić ci pozycję Prymusa – mówię.

– Owszem – odpowiada zirytowana, gdy przerywam jej skrupulatną pielęgnację paznokci. – Ale skoro się tego spodziewasz, tak naprawdę nie będzie to zdrada, kochanie.

– W takim razie dlaczego nie przyjąłeś oferty?

– Och, dregowie są w ciebie wpatrzeni jak w obrazek. W tym momencie to byłaby katastrofa. Może później, kiedy już coś ci nie wyjdzie i sytuacja obróci się przeciwko tobie.

– A może zwyczajnie czekasz na lepszą propozycję.

– Dokładnie tak, skarbie.

Żadne z nas nie wspomina o Sevro. Wiem, że Antonia nadal boi się, że poderżnie jej gardło, jeśli spróbuje mnie tknąć. Sevro chodzi za mną krok w krok, ubrany w wilczą skórę. Czasem chodzi, czasem jedzie na grzbiecie małej czarnej klaczy. Nie lubi zbroi. Wilki podchodzą do niego, jakby należał do ich gatunku. Przychodzą pożreć jelenia, którego zabił, bo po tym, jak zebraliśmy w zamku owce i kozy, zrobiły się głodne. Kamyczek zawsze zostawia im jedzenie pod murami, gdy zabijamy jedno ze zwierząt. Przygląda im się jak dziecko, gdy zbliżają się trójkami i czwórkami.

– Zabiłem przywódcę ich sfory – mówi Sevro, gdy pytam, dlaczego wilki za nim chodzą. Taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów i rzuca psotny uśmiech spod wilczego futra. – Nie martw się. Twoja by na mnie nie pasowała.

Przekazałem mu dowództwo nad dregami, bo wiem, że mogą być jedynymi ludźmi, których będzie w stanie polubić. Z początku ich ignoruje. Potem powoli zaczynam zauważać, że nocami słyszczyć już więcej nieludzkiego wycia niż poprzednio. Reszta nazywa ich Wyjcami, a po kilku nocach pod okiem Sevro każdy z nich nosi czarną pelerynę z wilczej skóry. Jest ich sześcioro: Sevro, Oset, Śrubokręt, Klaun, Kamyczek i Chwast. Gdy się na nich patrzy, odnosi się wrażenie, że każda z ich beznamiętnych twarzy przygląda ci się ze środka uzbrojonej w kły paszczy wilka. Zlecam im dyskretne zadania. Nie jestem pewny, czy bez nich zdołałbym utrzymać pozycję lidera. Moi żołnierze mówią o mnie za moimi plecami, gdy przechodzę obok. Stare rany jeszcze się nie zagoiły.

Potrzebuję zwycięstwa, ale Mustang nie zetrze się ze mną w bitwie. Trzydziestometrowe mury zamku Minerwy nie są tak łatwe do zdobycia, jak na początku. Sevro chodzi w kółko po naszej sali narad i twierdzi, że gra została źle pomyślana.

– Przecież musieli wiedzieć, że za cholere nie damy sforsować murów swoich zamków. W dodatku nikt nie jest na tyle głupi, by wysyłać oddział, na którego utratę nie może sobie pozwolić. A już zwłaszcza nie Mustang. Możliwe, że Pax. To idiota. Zbudowany jak młody bóg, ale w dalszym ciągu idiota, i chce urwać ci jaja. Słyszałem, że uszkodziłeś mu jedno.

– Oba.

– Może powinniśmy wsadzić Kamyczek albo Goblina do katapulty i przerzucić ich przez mur – podsuwa Cassius. – Oczywiście najpierw musielibyśmy znaleźć katapultę...

Jestem już zmęczony wojną z Mustang. Gdzieś na południu lub zachodzie Szakal buduje swoją potęgę. Mój wróg, syn ArcyGubernatora, przygotowuje się, by mnie zniszczyć.

– Patrzymy na to od złej strony – tłumaczę Sevro, Quinn, Roque i Cassiusowi. Jesteśmy sami w sali narad. Jesienny wiatr przynosi ze sobą zapach gnijących liści.

– Och, w takim razie podziel się z nami swoją mądrością – mówi ze śmiechem Cassius. Leży na kilku krzesłach, z głową na kolanach Quinn, która bawi się jego włosami. – Umieramy z ciekawości.

– Ta szkoła istnieje od ponad trzystu lat. Zaobserwowano w niej już każdą możliwą kombinację zdarzeń. Każdy problem, z jakim mieliśmy do czynienia, został zaprojektowany tak, by go rozwiązać. Sevro, twierdzisz, że fortecy nie sposób zdobyć. Cenzorzy na pewno o tym wiedzą. To oznacza, że musimy zmienić wzór. Potrzebujemy sojuszu.

– Przeciwno komu? – pyta Sevro. – Hipotetycznie rzecz biorąc.

– Przeciwno Minerwie – odpowiada Roque.

– Głupi pomysł – burczy Sevro, czyszcząc nóż i chowając w czarnym rękawie. – Z taktycznego punktu widzenia ich zamek jest nieistotny. Nie przedstawia żadnej wartości. Żadnej. Terenem, którego potrzebujemy, jest ten przy rzece.

– Myślisz, że potrzebne nam piece Ceres? – mówi Quinn. – Przydałby mi się chleb.

Nam wszystkim. Dieta złożona z mięsa i jagód zwiększyła naszą masę mięśniową i kości.

– O ile gra będzie się toczyć aż do zimy. – Sevro z trzaskiem wyłamuje kłykie u rąk. – Ale te twierdze się nie poddadzą. Głupia gra. Potrzebujemy ich chleba i dostępu do wody.

– Mamy wodę – przypomina mu Cassius.

Sevro wzdycha z frustracją.

– Musimy opuszczać zamek, by ją przynieść, sir Czubku. W przypadku prawdziwego ataku przetrwalibyśmy pięć dni bez uzupełniania zapasów wody. Siedem, gdybyśmy wypili krew zwierząt, zanim nie zatrulibyśmy się solą. Potrzebujemy twierdzy Ceres. Ci farmerzy od siedmiu boleści nie potrafią się obronić, ale mają tam coś jeszcze.

– Farmerzy od siedmiu boleści. Ha, ha, ha – ryczy ze śmiechu Cassius.

– Uciszcie się – mówię. Nie robią tego. Dla nich to dalej zabawa. Nie mają żadnych rozpaczliwych potrzeb. Każda chwila, którą marnujemy, jest chwilą, którą Szakal wykorzystuje, by umocnić swoją siłę. Coś w sposobie, w jaki Mustang i Fitchner opowiadali o nim, przeraża mnie. A może chodzi o fakt, że to syn mojego wroga? Powinienem pragnąć go zabić. Zamiast tego wolę uciec i schować się na samą myśl o jego istnieniu.

To oznaka mojej słabnącej pozycji, którą muszę wzmocnić.

– *Cisza!* – wołam i w końcu wszyscy milkną. – Widzieliśmy pożar na horyzoncie. Wojna pochłania południe, tam gdzie jest Szakal.

Cassius chichocze na myśl o Szakalu. Wydaje mu się, że to duch, którego zmyśliłem.

– Przestajesz się w końcu ze wszystkiego naśmiewać? – warczę na niego. – To nie żart. No chyba że twój brat zginął dla rozrywki.

To go w końcu ucisza.

– Zanim cokolwiek zrobimy, musimy wyeliminować Minerwę i Mustang.

– Mustang. Mustang. Mustang. Myślę, że chcesz ją po prostu przelecieć – uśmiecha się pogardliwie Sevro. Quinn wydaje z siebie dźwięk wyrażający sprzeciw.

Łapię Sevro za kołnierz i podnoszę do góry jedną ręką. Próbuje się wyrwać, ale nie jest tak szybki jak ja, więc zwisa z mojej dłoni metr nad ziemią.

– Ani mi się waż – mówię, przysuwając go bliżej twarzy.

– Jasne. – Jego paciorkowate oczy są kilka cali od moich. – Zabronione. – Odstawiam go na ziemię. Poprawia kołnierz. – Chcesz się wybrać do Wielkiej Kniei, żeby zawrzeć sojusz?

– Tak.

– W takim razie czeka nas wesoła wycieczka! – oznajmia Cassius, siadając. – Idziemy grupą!

– Nie. Tylko ja i Goblin. Ty nie idziesz.

– Nudzi mi się. Chyba pójdę z wami.

– Zostajesz. Potrzebuję cię tutaj.

– Czy to rozkaz?

– Tak – odpowiada Sevro.

Cassius gapi się na mnie ze zdziwieniem.

– Ty wydajesz *mi* rozkazy? – pyta dziwnym głosem. – Być może zapomniałeś, że chodzę tam, dokąd chcę.

– I zostawisz dowództwo w rękach Antonii, podczas gdy my będziemy nadstawiać karku?

Dłoń Quinn zaciska się na jego przedramieniu. Myśli, że tego nie widzę. Cassius spogląda na nią i uśmiecha się.

– Oczywiście, Kosiarzu. Oczywiście, że zostanę. Tak jak *zasugerowałeś*.

Sevro i ja rozbijamy obóz w południowej części wyżyn, z widokiem na Knieję. Nie rozpalamy ogniska. Nocą nasi zwiadowcy przeczesują te wzgórza. W oddali zauważam dwa konie odcinające się na tle zachodzącego słońca za bańkowym sklepieniem. Sposób, w jaki promienie słońca rozpraszają się na powierzchni sklepienia, sprawia, że niebo nabiera purpurowych, czerwonych i różowych barw. Przypomina mi o ulicach w Yorkton, które widziałem z góry. Później światło znika, a Sevro i ja siedzimy w ciemnościach.

Sevro dalej upiera się przy zdaniu, że to głupia gra.

– To dlaczego w nią grasz?

– A skąd miałem wiedzieć, jak tu będzie? Myślisz, że mam broszurkę? Może ty masz jakąś? – pyta poirytowanym tonem. Dłubie kością w zębach. – Głupota.

Mimo to na promie doskonale orientował się, na czym będzie polegał Chrzest. Przypominam mu o tym.

– Nie wiedziałem.

– Wygląda na to, że posiadasz każdą pieprzoną umiejętność potrzebną w tej szkole.

– I co z tego? Gdyby twoja matka była świetna w łóżku, to by oznaczało, że jest Różową? Każdy się przystosowuje.

– Cudownie – mamroczę.

Sevro każe mi przejść do sedna.

– Wślizgnąłeś się do stołpu, ukradłeś nasz sztandar i zakopałeś. Uratowałeś go. Potem udało ci się ukraść sztandar Minerwy. Mimo to nie dostałeś ani jednej kreski zbliżającej cię do zdobycia pozycji Prymusa. Nie wydaje ci się to dziwne?

– Nie.

– Bądź szczery.

– Co mam powiedzieć? Nigdy nie byłem lubiany. – Wzrusza ramionami. – Nie urodziłem się piękny i wysoki jak ty i twój przydupas Cassius. Musiałem walczyć o to, czego chciałem. To nie czyni mnie sympatycznym. Jestem po prostu paskudnym, małym Goblinem.

Mówię mu o tym, co słyszałem. Był ostatnim z Poboru. Fitchner go nie chciał, ale reszta nalegała. Sevro obserwuje mnie w mroku, nie odzywając się ani słowem.

– Wybrali cię, bo byłeś najmniejszym dzieciakiem. Wyglądałeś na najslabszego. Miałeś okropne wyniki i byłeś taki mały. Wybrali cię, tak jak pozostałych uczniów ze średniego Poboru, bo można cię było łatwo zabić w trakcie Chrztu. Byłeś barankiem ofiarnym dla kogoś, z kim wiązali duże plany. Zabiłeś Priama, Sevro. To dlatego nie chcą pozwolić, żebyś został Prymusem. Ja też jestem na celowniku?

– Owszem. Zabiłem go tak, jak zabija się ładnego pieska. Szybko. Łatwo. – Wypluwa kość na ziemię.
– A ty zabiłeś Juliana. *Czy ja też jestem na celowniku?*

Nigdy więcej nie rozmawiamy o Chrzcie.

Rankiem zostawiamy wyżyny za sobą. Kierujemy się na przedgórze. Drzewa przeplatają się z połaciami trawy. Galopujemy na wypadek, gdyby bojówki Minerwy były w pobliżu. Gdy docieramy do linii drzew, zauważam jedną w oddali. Nie widzą nas. Daleko na południu niebo zasnuwa dym. Kruki gromadzą się tam, gdzie wędruje Szakał.

Chciałbym porozmawiać o czymś z Sevro, zapytać o jego życie, ale jego spojrzenie jest zbyt badawcze. Nie chcę, by pytał o mnie i przejrzał mnie tak łatwo, jak ja Titusa. Dziwne. Ten chłopiec mnie lubi. Obraża mnie na każdym kroku, ale darzy sympatią. Jeszcze dziwniejsze jest to, że rozpaczliwie pragnę, by mnie lubił. Dlaczego? Pewnie dlatego, że czuję, że prócz Roque i Cassiusa Sevro jest jedynym, który rozumie, na czym polega życie. Jest brzydki w świecie, w którym powinien być piękny. Z powodu swoich niedostatków został wybrany, by umrzeć. Pod wieloma względami wcale nie jest lepszy od Czerwonego.

Chcę mu zdradzić, że jestem Czerwonym. Jakaś część mnie myśli, że on też nim jest. Druga część sądzi, że szanowałby mnie bardziej, gdyby znał prawdę. Nie urodziłem się w uprzywilejowanym świecie. Jestem taki jak on. Trzymam jednak język za zębami. Nie mam wątpliwości, że obserwują nas Cenzorzy.

Quietusowi nie podoba się las. Z początku poszycie jest tak gęste, że musimy torować sobie drogę mieczami. Po jakimś czasie przerzedza się, a my wkraczamy do królestwa boskich drzew. Niewiele istot jest w stanie tu przetrwać. Drzewne olbrzymy blokują dostęp światła. Ich korzenie rozciągają się jak macki, czerpiąc siły życiowe z gleby. Rosną wysokie jak budynki. Znowu jestem w mieście, gdzie krzątają się zwierzęta, a zamiast metalu i betonu to pnie drzew przesłaniają mi widok. Gdy zapuszczamy się głębiej, konary zmieniają się w istne sklepienie i przypomina mi się kopalnia – mroczna i ciasna, jakby nie istniało niebo ani słońce.

Jesienne liście wielkości mojej klatki piersiowej marszczą się pod stopami. Wiem, że jesteśmy obserwowani. Sevro się to nie podoba. Chce się wymknąć i odnaleźć wroga.

– To się będzie mijać z celem – tłumaczę mu.

– *To się będzie mijać z celem* – kpi.

Robimy przerwę na posiłek złożony z ukradzionych oliwek i koziego mięsa. Obcy przyglądają się nam z drzew. Myślą, że jestem zbyt głupi, by zmienić wzór postępowania, i że w życiu nie wpadłbym, iż mogą się ukryć nade mną zamiast na ziemi. Mimo to nie podnoszę wzroku. Nie widzę potrzeby straszenia tych idiotów ani uświadomienia im, że rozpracowałem tę taktykę. Jeśli nadal mam być przywódcą Domu, wkrótce muszę ich pokonać. Jestem ciekaw, czy mają liny do przemieszczania się po drzewach, czy też gałęzie są wystarczająco szerokie.

Sevro nadal korci, by wyciągnąć sztylet i wspiąć się na drzewo. Nie powinienem był go ze sobą zabierać. Nie ma w nim za grosz dyplomacji.

W końcu ktoś postanawia się do mnie odezwać.

– Witaj, Mars – mówi czyjś głos. Głosy pozostałych powtarzają słowa po mojej prawej. Głupie dzieci. Powinni poczekać z tym do zapadnięcia nocy. Po zmroku las stałby się ponurym miejscem, z głosami wydobywającymi się ze wszystkich stron. Coś płoszy konie. Zwierzętami bogini Diany są niedźwiedź, dzik oraz jelen. Mamy ze sobą włócznie do pokonania pierwszych dwóch. W lasach są ponoć olbrzymie potwory – monstualne niedźwiedzie stworzone przez Snycerzy, którzy najwidoczniej znudzili się robieniem jeleni. Słyszymy ich ryki w głębszych częściach lasu. Uspokajam Quietusa.

– Nazywam się Darrow i jestem przywódcą Domu Mars. Chcę się spotkać z waszym Prymusem, o ile takiego macie. Jeśli nie, zadowolę się waszym liderem. Jeżeli nie ma wśród was żadnej z tych osób, zaprowadźcie mnie do kogoś, kto ma największe jaja.

Cisza.

– Dziękujemy za współpracę – woła Sevro.

Unoszę pytająco brew, a on tylko wzrusza ramionami. Milczenie jest idiotyczne. Mam myśleć, że to nie ode mnie przyjmują rozkazy, że robią wszystko po swojemu. W końcu dwie wysokie dziewczyny wyłaniają się zza rosnącego kawałek dalej drzewa. Noszą szaty w kolorach lasu. Z pleców zwisają im łuki. W cholewach butów mają schowane noże. Jedna ma chyba sztylet wsunięty w splątane włosy. Na ich twarzach widnieją księżyce namalowane sokiem z jagód. Zwierzęce skóry dyndają im przy pasach.

Nie wyglądam jak bóg wojny. Wyszorowałem włosy tak, że aż lśnią. Moja twarz jest czysta, rany opatrzone, a rozdarcia w czarnej szacie załatane. Piaskiem i zwierzęcym tłuszczem usunąłem nawet plamy potu. Wyglądam, jak jednomyślnie stwierdziły Lea i Quinn, diabelnie przystojnie. Nie chcę zastraszyć Domu Diana. To dlatego wziąłem ze sobą Sevro. Wygląda śmiesznie i niedorzecznie, przynajmniej dopóty, dopóki jego noże są schowane.

Obie dziewczyny uśmiechają się pogardliwie na widok Sevro. Gdy patrzą na mnie, wyraz ich oczu

od razu mięknie. Kilka osób schodzi z drzew. Zabierają większość naszej broni – tą, którą udaje im się znaleźć. Zarzucają nam na głowy worki z futra, żebyśmy nie poznali drogi do ich fortecy. Liczę kroki, Sevro również. Futro cuchnie zgnilizną. Słyszę dziecięcy i przypominam sobie żart Fitchnera. Musimy być blisko, więc udaję, że się potykam. Zero poszycia. Zakręcamy. Odchodzimy od miejsca, w którym było słycać dziecięcy. Z początku martwię się, że ci łowcy są mądrzejsi, niż mi się zdawało. Potem uświadamiam sobie, że jest na odwrót. Znowu słycać dziecięcy.

– Hej, Tamara, mamy go!

– Idioci! Nie przyprowadzajcie ich tu! – krzyczy dziewczyna. – Nie możemy dopuścić, żeby poznali okolice. *Ile razy mam powtarzać, że...* Zaczekajcie. Zejdę na dół.

Prowadzą mnie kawałek dalej i popychają na drzewo.

Jakiś chłopak odzywa się ponad moim ramieniem. Głos ma leniwy jak powoli zagłębiające się ostrze noża.

– Moim zdaniem powinniśmy obciąć im jaja.

– Zamknij się, Tactus. Zróbmy z nich niewolników, Tamaro. Nie ma tu miejsca na dyplomację.

– Spójrz na jego miecz. To pieprzona kosa.

– Ach, więc to on – mówi ktoś.

– Gdy już podzielimy łupy, chcę jego miecz. I skalp, o ile nikt się po niego nie zgłosi. – Tactus wydaje się bardzo nieprzyjemnym typem.

– Zamknijcie się. Wszyscy – warczy dziewczyna. – Tactus, odłóż ten nóż.

Zdejmują mi futro z głowy. Wraz z Sevro stoimy w niewielkim zagajniku. Nie widzę zamku, ale słyszę dziecięcy. Rozglądam się dokoła i obrywam cios w głowę od chudego, żyłastego chłopaka o znudzonym spojrzeniu i brązowych włosach postawionych do góry na sok roślinny zmieszany z czerwonymi jagodami. Jego skóra ma ciemny odcień miodu, a wysokie kości policzkowe i głęboko osadzone oczy nadają twarzy wyraz wiecznej pogardy.

– Więc to ty jesteś tym, którego nazywają *Kosiarzem* – cedzi Tactus. Robi próbny wymach moją bronią. – Jesteś za ładny, żeby siać zniszczenie.

– Czy on ze mną flirtuje? – pytam Tamarę.

– Tactus, idź sobie! Dzięki za wszystko, ale możesz już iść – mówi chuda, agresywna dziewczyna. Włosy ma krótsze od moich. Otacza ją trójka dobrze zbudowanych chłopców. Sposób, w jaki piorunują Tactusa wzrokiem, potwierdza moje podejrzenia co do jego parszywego charakteru.

– Kosiarzu, po co ci ten pigmej? – pyta Tactus, wskazując na Sevro. – Poleruje ci buty? Wyczesuje śmieci z włosów? – Chichocze, patrząc na pozostałych. – Może jest lokajem?

– Wynocha, Tactus! – warczy Tamara.

– Oczywiście – kłania się Tactus. – Pójdę pobawić się z innymi dziećmi, mamó. – Rzuca miecz na ziemię i mruga do mnie, jakbyśmy tylko my wiedzieli o żarcie, który ma się niedługo rozegrać.

– Przepraszam za niego – mówi Tamara. – Nie jest zbyt grzeczny.

– W porządku.

– Jestem Tamara... Prawie zdradziłam nazwisko swojej prawdziwej rodziny – śmieje się. – Z Domu Diana.

– A oni? – pytam, wskazując ruchem brody chłopców.

– To moi ochroniarze. A ty jesteś... – Unosi palec. – Niech zgadnę. *Kosiarz*. Och, słyszeliśmy o tobie. Dom Minerwa ani trochę za tobą nie przepada.

Sevro prycha pod nosem, słysząc o mojej złej sławie.

– A on to kto? – pyta Tamara, unosząc brwi.

– Mój ochroniarz.

– *Ochroniarz?* Ale on jest strasznie niski!

– A ty wyglądasz jak... – powarkuje Sevro.

– Tak samo jak wilki – odpowiadam, przerywając mu ciąg przekleństw.

– Bardziej boimy się Szakala niż wilków.

Może powinienem zabrać ze sobą Cassiusa, tylko po to, by wiedział, że nie zmyśliłem sobie tego drania. Pytam ją o Szakala, ale dziewczyna ignoruje to.

– Wytlumacz mi coś – mówi serdecznym tonem. – Gdyby ktoś powiedział mi, że Kosiarz okrutnego Domu Mars przyjdzie na moją polanę i zacznie gadać o dyplomacji, pomyślałabym, że to żart jakiegoś Cenzora. Czego tak naprawdę chcesz?

– Pokonać Dom Minerwa.

– Żebyś mógł przyjść tutaj i zamiast tego zmasakrować nas? – warczy jeden z jej ochroniarzy.

Odwracam się ku Tamarze z ostrożnym uśmiechem i wyjawiam jej prawdę.

– Chcę mieć z głowy Minerwę, żeby potem móc pokonać was, a potem wygrać tę głupią grę i zniszczyć waszą cywilizację.

Wybuchają śmiechem.

– Cóż, przynajmniej jesteś szczerzy. Ale niezbyt bystry. Pozwól, że coś ci powiem, Kosiarzu. Nasz Cenzor mówi, że wasz Dom nie wygrał od wielu lat. A dlaczego? Bo wy, rzeźnicy, jesteście jak szalejący ogień. W początkowym stadium gry palicie wszystko, czego dotykacie. Siejecie zniszczenie. Rujnujecie Domy, bo sami nie umiecie się utrzymać. Potem umieracie z głodu, bo nie zostaje już nic, co moglibyście spalić. Nadchodzi oblężenie, zima, postęp w technologii. To zabija waszą żądzę krwi, wasz słynny gniew. Powiedz mi zatem, dlaczego miałabym uścisnąć dłoń ogniowi, skoro mogę siedzieć i patrzeć, jak kończy się wam wszystko, co możecie pochłonąć?

Kiwam głową i wystawiam przynętę.

– Ogień może być użyteczny.

– Wytłumacz.

– Możemy umierać z głodu, gdy wy będziecie patrzeć, ale czy będziecie robić to jako niewolnicy innego Domu? A może wolelibyście patrzeć ze swojej solidnej twierdzy, z dwa razy większą armią gotową uprzatnąć popiół?

– To za mało.

– Osobiście przysięgam, że Dom Mars nie odpowie agresją wobec Domu Diana tak długo, jak nasza umowa nie zostanie naruszona. Jeśli pomożecie mi usunąć Minerwę, ja pomogę wam zlikwidować Ceres.

– Dom Ceres... – mruczy, spoglądając na swoich ochroniarzy.

– Nie bądź chciwa. Jeśli wyruszyacie przeciwko Ceres na własną rękę, to zarówno Mars, jak i Minerwa się na was uwezmą.

– Tak. Tak. – Tamara macha niecierpliwie dłonią. – Czy Ceres jest blisko?

– Bardzo blisko. I w dodatku mają chleb. – Patrzę na skóry zwierząt, jakie noszą jej ludzie. – To byłaby całkiem miła odmiana po całym tym mięsie.

Przenosi ciężar ciała na palce, a ja już wiem, że mam ją w garści. Zapisuję sobie w pamięci, żeby zawsze negocjować jedzeniem.

Tamara chrząka dyskretnie.

– Wspominałeś o tym, że moja armia może być dwa razy większa, tak?

Jadę ubrany jak na wojnę. Cały na czarno. Z rozczochranymi włosami związanymi kozimi jelitami. Moje przedramiona zakrywają stalowe zarekawia złupione w walce. Mój pancerz jest metalowy i lekki. Z łatwością odeprze atak każdego ostrza poza mieczem jonowym i kosą. Mam ubłocone buty. Smugi czerni i czerwieni przecinają moją twarz. Na plecach mam slinga, a noże powtykałem gdzie się tylko dało. Dziewięć czerwonych skrzyżowanych piszczeli i dziesięć wilków pokrywa bok Quietusa. Namalowała je Lea. Każda kość przedstawia rozbrojonego wroga, który często był ratowany przez ekipę medyczną i zrzucany z powrotem do gry. Każdy wilk symbolizuje niewolnika. Cassius jedzie u mego boku. I lśni. Wzmacniana stal, którą otrzymał w nagrodę, jest wypolerowana tak, że błyszczy jak jego miecz i włosy podskakujące niczym zwinięte złote sprężyny wokół jego królewskiej głowy. Wygląda tak, jakby nikt nigdy na niego nie nasikał.

– Cóż, wierzę, że jestem piorunem – oznajmia. – A ty, mój zamyślony bracie, jesteś grzmiotem.

– A ja? – pyta Roque, popędzając swojego konia, by szedł obok nas. Błoto pryska na wszystkie strony. – Może wiatrem?

– Jesteś go pełen po brzegi – parskam śmiechem. – Tym gorącym.

Dom jedzie za nami, wszyscy poza Quinn i June, które zostały jako reprezentantki naszego garnizonu. To ryzykowna gra. Jedziemy powoli, tak by Minerwa wiedziała, że nadchodzimy. Nie wiedzą jednak, że byłem tu w nocy zaledwie kilka godzin temu i że moje miejsce zajął teraz Sevro. Za paznokciami nadal mam półksiężycy błota.

Zwiadowcy Minerwy pędzą po skalistych szczytach wzgórz. Robią tym przedstawienie i kpią z nas, ale tak naprawdę liczą, ilu nas jest, by lepiej poznać naszą strategię. Mimo to sprawiają wrażenie zmieszanych, gdy wkraczamy do ich krainy wysokich traw i drzewek oliwnych. Tak bardzo zmieszanych, że wycofują zwiadowców za mury fortecy. Nigdy wcześniej nie pokazaliśmy się w pełnej formacji, jak ta. Wyjce, nasi zwiadowcy, jadą na widoku na swych czarnych koniach.

Czarne peleryny powiewają za nimi jak krucze skrzydła. Nasi zabójcy z wysokiego Poboru posuwają się przed wszystkimi jako straż przednia – okrutny Vixus, ochryply Pollux, złośliwa Cassandra, większość bandy Titusa. Niewolnicy biegną obok swoich właścicieli.

Wysuwam się naprzód z Cassiusem i Antonią po obu stronach. To ona niesie dziś sztandar. Na murach widać zaledwie garstkę łuczników, więc każe Cassiusowi upewnić się, że nie zostaniemy wpędzeni w zasadzkę od flanki, na wypadek gdyby uczniowie Minerwy mieli zamiar to zrobić. Odjeżdża na bok.

Fortecę Minerwy otacza stumetrowy pierścień nagiej, błotnistej ziemi powstałej po gwałtownych ulewach w zeszłym tygodniu. To pole bitewne. Jeśli na nie wejdiesz, łucznicy zabiją twojego konia. Jeśli w dalszym ciągu nie będziesz chciał się wycofać, zabiją ciebie. Blisko dwadzieścia martwych wierzchowców obu Domów zaściela pole. Dwa dni temu Cassius przypuścił krwawy atak na bojówkę Minerwy, ścigając ją aż do samych wrót zamku.

Zaraz za polem rośnie trawa. W niektórych miejscach jest tak wysoka, że Sevro mógłby tam stanąć i nie zostać zauważonym. Zatrzymujemy się na granicy błotnistej kręgi pośrodku łąki porośniętej przez dzikie jesienne kwiaty. Grunt zapada się pod kopytami Quietusa, który rzy cicho pode mną.

– *Pax!* – wołam. – *Pax!*

Imię odbija się echem od murów tak długo, aż w końcu główna brama otwiera się powoli. Równie powoli jak tej nocy, gdy Cassius i ja zakradliśmy się do środka. Zza bramy wyłania się Mustang. Jej koń brnie nieśpiesznie przez błoto i zatrzymuje się tuż przed nami. Mustang obejmuje wzrokiem całą scenę.

– Szykujecie się do pojedynku? – pyta z uśmiechem. – Pax z Mądrej i Szlachetnej Minerwy kontra Kosiarz z Domu Krwawego Rzeźnika?

– W twoich ustach brzmi to niewiarygodnie ekscytująco – ziewa Antonia. Nie ma na sobie ani jednej plamki brudu.

Mustang ignoruje ją.

– Jesteś pewien, że w trawie nie kryje się nikt, kto mógłby wpędzić nas w zasadzkę, gdy wyjdziemy na zewnątrz wspierać swojego czempiona? – pyta mnie. – Może powinniśmy ją spalić i sami się o tym przekonać.

– Przeprowadziliśmy wszystkich ludzi – odpowiada Antonia. – Dobrze wiesz, ilu nas jest.

– Tak. Umiem liczyć. Dziękuję. – Mustang nie patrzy na nią, tylko na mnie. Wygląda na zmartwioną. Zniża głos. – Pax robi ci krzywdę.

– Pax, jak tam twoje jaja?! – krzyczę ponad jej głową. Mustang krzywi się, gdy z wnętrza twierdzy daje się słyszeć dudnienie bębna. Tyle że to wcale nie bęben. Pax wychodzi przed bramę. Wojennym toporem uderza o tarczę. Mustang każe mu się wycofać, a on słucha jej rozkazu jak wierny pies.

Mimo to huk uderzeń topora nie milknie. Ustalamy, że stawką w pojedynku będą wszyscy pozostali niewolnicy obu stron. Całkiem niezła nagroda.

– Myślałam, że to Przystojniaczek stanie do walki – mówi Mustang, a potem wzrusza ramionami. Spojrzeniem cały czas wraca w stronę traw. – A gdzie ten wariat? Twój cień, ten, który dowodzi sforą wilków? Chowa się w trawie? Nie chcę, żeby znowu wyskoczył mi z nienacka zza pleców.

Wołam Sevro. W grupie Wyców widać uniesioną dłoń. Mustang liczy. Pięciu Wyców. Tak naprawdę zgromadziliśmy tu wszystkie siły, nie licząc Quinn. Mimo to Mustang nie jest usatysfakcjonowana. Mamy przenieść armię o sześćset metrów od krawędzi błotnistego kręgu. Potem zajmie się wypaleniem całej trawy w zasięgu stu metrów od miejsca, w którym stoimy. Gdy ogień zgaśnie, wypalona ziemia będzie naszym polem bitwy. Ludzie, których sama wybierze, dołączą do dziesiątki moich wybrańców w celu utworzenia kręgu, w jakim stoczymy pojedynek. Reszta jej oddziału zaczeka w środku twierdzy, a moi będą zajmować pozycję sześćset metrów dalej.

– Nie ufasz mi? Nie ukryłem w trawie żadnych ludzi.

– Świetnie. W takim razie nikt nie spłonie.

Nikt nie płonie. Gdy ogień gaśnie, a ziemię pokrywa warstwa popiołu i błota, opuszczam swą armię. Towarzyszy mi dziesiątka ludzi. Pax wali toporem w tarczę ozdobioną wizerunkiem kobiecej głowy z wężami zamiast włosów. Meduza. Nigdy przedtem nie walczyłem z przeciwnikiem uzbrojonym w tarczę. Jego zbroja jest ciasna i zakrywa wszystko prócz stawów. W dłoni, którą pomalowałem na czerwono, trzymam ogłuszacz, a w drugiej, pomalowanej na czarno, slinga.

Serce wali mi jak młot, gdy krąg wokół nas zamyka się. Cassius przyzywa mnie gestem. Nawet w przytłumionym świetle mieni się kolorami. Na jego twarzy maluje się ironiczny uśmiech.

– Nigdy nie stój w miejscu. To jest jak Kravat. – Mierzy wzrokiem Paxa. – A ty jesteś szybszy od tego pieprzonego drania, jasne? – Mruga porozumiewawczo i klepie mnie po ramieniu. – Prawda, bracie?

– Jasne, że tak. – Odwzajemniam mrugnięcie.

– Piorun i grzmot, bracie. Piorun i grzmot.

Pax jest zbudowany jak Obsydian. Ma ponad dwa metry wzrostu i porusza się jak pieprzona pantera. W grawitacji rzędu zero koma trzydzieści siedem mógłby rzucić mną na odległość trzydziestu metrów albo dalej. Zastanawiam się, jak wysoko jest w stanie skoczyć. Podskakuję na próbę, by rozciągnąć mięśnie nóg. Prawie trzy metry. Z łatwością mógłbym obciąć mu głowę. Ziemia nadal dymi.

– Skacz, skacz, pasikoniku – mówi Pax gburowatym tonem. – Ostatni raz używasz nóg.

– Co to było? – pytam.

– Powiedziałem, że ostatni raz używasz nóg.

– Dziwne – mruć pod nosem.

Pax mruga zdziwiony i marszczy brwi.

– Co jest... dziwne?

– Mówisz zupełnie jak dziewczyna. Coś ci się stało w jaja?

– Ty mały...

Mustang zbliża się z ich sztandarem i mówi coś o tym, że dziewczyny nigdy nie wyzywają się na idiotyczne pojedynki.

– Walczycie aż do...

– Poddania się – przerywa jej niecierpliwie Pax.

– Aż do śmierci – poprawiam go. Tak naprawdę to bez znaczenia. W tym momencie zwyczajnie z nimi pogrywam. Wystarczy tylko, że dam sygnał.

– Do poddania się – potwierdza Mustang. Dopilnowuje wszelkich niezbędnych czynności i pojedynki się rozpoczyna. Prawie. Seria wyładowań na niebie sygnalizuje przybycie Cenzorów z Olimpu. Sfruwają ze szczytu dryfującej góry z kilku różnych wież. Każdy nosi dziś swój symbol, wspaniałe nakrycia głowy z połyskującego złota. Ich zbroje to ósmy cud świata. Nie potrzebują ich, ale uwielbiają się stroić. Dziś zabrali ze sobą stół unoszący się na własnej platformie grawitacyjnej, który ugina się od ogromnych dzbanów z winem i półmisek z jedzeniem.

– Mam nadzieję, że stanowimy wystarczającą atrakcję – wołam. – Macie coś przeciwko podrzuceniu tu trochę wina? Minęło już sporo czasu!

– Powodzenia w starciu z gigantem, śmiertelniku! – krzyczy Merkury.

Jego dziecięca twarz zanosi się jowialnym śmiechem, gdy podnosi dzban do ust. Kilka kropel spada na dół pół mili z nieba i rozpryskuje się na mojej zbroi, ściekając po niej jak krew.

– Jesteśmy im winni niezłe przedstawienie – ryczy Pax.

Wymieniamy się szczerymi uśmiechami. To swego rodzaju komplement, że wszyscy przyszli popatrzeć. Wtedy Neptun, z nakryciem głowy w kształcie trójzębu, które kołysze się, gdy przetyka w całości przepiórcze jajo, krzyczy z góry, żebyśmy zaczęli. W tej samej chwili Pax wymachuje toporem jak miotłą, celując w moje nogi. Wiem, że chce, bym skoczył, bo ma zamiar popędzić naprzód z tarczą i zmieść mnie w powietrzu jak muchę. Cofam się więc o krok, a potem rzucam do przodu, gdy jego ramię kończy zadawać cios. Wymijam go i z całej siły wbijam mu ogłuszacz pod pachę. Broń pęka na pół. Pomimo porażenia prądem Pax nie upada na ziemię. Zamiast tego odrzuca mnie w tył z taką siłą, że przelatuję przez krąg i ląduję prosto w błocie. Złamał mi ząb trzonowy. Usta mam pełne błota i krwi. Chyba doznałem jakiegoś urazu kręgosłupa.

Udaje mi się podnieść. W dłoni trzymam slinga. Oblepia mnie warstwa błota. Zerkam na mury. Armia Mustang stoi na blankach, obserwują przebieg walki. To właśnie ta chwila. Mogę dać sygnał. Wrota są otwarte na wypadek, gdyby musieli przysłać pomoc. Nasz stojący najbliżej niej jeździec znajduje się sześćset metrów dalej, o wiele za daleko. Zaplanowałem wszystko, mimo to nie daję żadnego sygnału. Chcę sam zapracować na swoje zwycięstwo, nawet jeśli jest ono samolubne. Moja armia musi wiedzieć, dlaczego stoję na jej czele.

Wracam do kręgu. Nie mam nic mądrego do powiedzenia. Pax jest silniejszy. Ja jestem szybszy. To wszystko, czego się o sobie dowiedzieliśmy. Nie przypomina to w niczym walki Cassiusa. Nie ma w niej nic ładnego, jest wyłącznie brutalność. Pax napiera na mnie z tarczą. Trzymam się blisko niego, by nie mógł zamachnąć się toporem. Tarcza druzgocze mi ramię. Każde uderzenie wywołuje falę przeszywającego bólu w złamanym zębie. Pax szykuje się do kolejnego ciosu, więc skaczę, lewą ręką chwytam się krawędzi tarczy i przeskakuję ponad nim. Wyciągam z rękawa nóż i dżgam go w oko. Nie trafiam i udaje mi się tylko zadrapać mu przyłbice.

Gdy dzieli nas kilka metrów, sięgam po nóż i próbuję znanej sobie sztuczki. Odbija tarczą lecące w jego stronę ostrze, ale gdy opuszcza ją, by na mnie spojrzeć, mknę już w powietrzu, całym ciężarem ciała lądując na jej powierzchni. Udaje mi się go zaskoczyć na tyle, że opuszcza tarczę o parę centymetrów. Zranioną ręką pakuję garść błota do wnętrza jego hełmu.

Pax jest ślepy. W jednej dłoni trzyma topór, w drugiej tarczę. Żadną nie może wytrzeć przyłbicy. Trafiam go z tuzin razy w nadgarstek, aż w końcu upuszcza topór. Chwytam cholerstwo i walę go prosto w hełm. Zbroja w dalszym ciągu nie chce ustąpić. Pax prawie powala mnie tarczą. Robię kolejny zamach ciężkim toporem i Pax wreszcie osuwa się na ziemię. Padam na kolana, dysząc.

Chwilę później zaczynam wyć.

Wszyscy zaczynają wyć.

Wycie rozlega się w krainie Minerwy. Wyje moja stojąca sześćset metrów dalej armia i dziesięciu zabójców z wysokiego Poboru, którzy pomogli utworzyć krąg. Wycie unosi się nad polem walki. Mustang słyszy za plecami straszliwy dźwięk i odwraca konia. Na jej twarzy zastyga wyraz przerażenia. Wyją nawet Cenzorzy, nie licząc Minerwy, Apolla i Jupitera. Wycie słychać z brzuchów martwych koni leżących na środku pola, blisko otwartych wrót.

– Są w błocie! – krzyczy Mustang.

Prawie ma rację, ale myśli jak Złoty. Ktoś zaczyna wrzeszczeć, gdy Sevro i jego Wyjce wylaniają się z zaszytych brzuchów martwych i nabrzmiątych koni leżących w błocie pod bramą. Jak rodzące się demony wypełzają z opuchniętych trzewi i rozciętych bebechów. Połowa najlepszych żołnierzy Diany wychodzi razem z nimi. Tactus z najeżonymi włosami wypada z brzucha płowej kłaczy. Biegnie z Chwastem, Oset i Klaunem. Wszyscy są w zasięgu pięćdziesięciu metrów od niewiarygodnie powoli zamykających się wrót.

Strażnicy Minerwy stoją na murach, obserwując starcie. Nie są w stanie odeprzeć nagłego ataku demonicznych żołnierzy. Ledwie udaje im się naciągnąć łuki, gdy Sevro, Wyjce i nasi sprzymierzeńcy

wślizgują się do środka przez zamykające się wrota. Po drugiej stronie miasta żołnierze Diany zaczynają się wspinać po murach na linach, których używali do chodzenia po swoich głupich drzewach. Słysząc stamtąd gwizd. Strażnik ich zauważył. Nikt nie przybędzie mu z pomocą. Moja armia posuwa się naprzód, nawet fałszywe Wyjce, których pożyczaliśmy od Diany i przebraliśmy tak, by udawali Sevro i jego bandę.

Niszczymy Minerwę w ciągu kilkunastu minut. Wysoko nad ziemią Cenzorzy nadal wyją i zanoszą się śmiechem. Myślę, że są całkiem pijani. Zanim Mustang jest w stanie zrobić coś więcej prócz ucieczki przez błotniste pole i tłącą się trawę, jest po wszystkim. Dwanaście koni rusza za nią w pościg. Pośród nich są Vixus i Cassandra. Złapią ją, nim nadejdzie północ. Widziałem już, co Vixus robi z więźniami i ich uszami, więc spinam Quietusa i pędzę za nimi.

Mustang porzuca swojego wierzchowca na granicy niewielkiego lasu. Zsiadamy z koni i zostawiamy na miejscu trzech ludzi, by pilnowali zwierząt na wypadek, gdyby wróciła. Cassandra znika między drzewami. Vixus idzie ze mną, zachowując się tak, jakby wiedział, gdzie kryje się Mustang. Nie podoba mi się to. Nie podoba mi się przebywanie w lesie w obecności Vixusa i Cassandry. W każdej chwili mogą wbić mi nóż w plecy. Oboje są do tego zdolni. W odróżnieniu od Polluxa w dalszym ciągu mnie nienawidzą. Wyjce i Cassius są daleko. Mimo to nie nadchodzi żaden zdradziecki cios.

Znajduję Mustang przypadkiem. Para złotych oczu wygląda z dołu pełnego błota i napotyka mój wzrok. Jest ze mną Vixus. Gada coś o tym, jak bardzo podekscytowany jest perspektywą schwytania tej pieprzonej suki i ciekawy, jak będzie wyglądała na smyczy. Gdy tak stoi obok, wpatrując się w poszycie, sprawia wrażenie złego i pokręconego – jak uschnięte, zdeformowane drzewo po pożarze. Ma mniej tłuszczu na ciele niż ktokolwiek inny, więc każda z jego żył i wszystkie ścięgna falują pod naprężoną skórą. Przesuwa językiem po idealnie białych zębach. Wiem, że chce mnie sprowokować, więc prowadzę go dalej od błotnistej doły.

Eo nie zasłużyła na to, by umrzeć jako niewolnica Elity. Pomimo swojej przynależności do Koloru Mustang również nie zasługuje na jakiegokolwiek jarzmo.

Rozdział trzydziesty drugi

Antonia

Zdałem kolejny test. Ciągająca się wojna z Domem Minerwa dobiegła kresu. W dodatku udało mi się zastawić pułapkę na Dom Diana.

Przed wojną jego członkowie mieli trzy opcje do wyboru. Po pierwsze, mogli zdradzić mnie Minerwie i przejąć mój Dom oraz niewolników, ale kazałem Cassiusowi wysłać zwiadowców, by przechwycili każdego jeźdźca. Po drugie, mogli przyjąć moją propozycję. Wreszcie po trzecie, mogli spróbować podbić nasz zamek. Nie obchodziłoby mnie, gdyby wybrali to ostatnie. To była starannie zaplanowana pułapka. Nie zostawiliśmy w środku wody i z łatwością mogliśmy ich stamtąd wyprzeć.

Teraz mają w rękach twierdzę Minerwy, a my jesteśmy na zewnątrz, na równinach. Mogą uznać umowę za wiążącą. My zdobędziemy sztandar, a oni dostaną miasto i mieszkańców. Jednak zdaję sobie sprawę, że wkrótce staną się chciwi. I faktycznie tak się dzieje. Wrota do zamku zamykają się, a oni myślą, że przejęli władzę nad bastionem. Świetnie. Właśnie dlatego wysłałem między nimi Sevro.

Niedługo po tym na niebie ukazuje się dym. Sevro niszczy zapasy, podczas gdy reszta bierze w niewolę uczniów Minerwy. Później Goblin wrzuca nieczystości do studni, by skazić wodę, i chowa się ze swoimi Wyjcami w piwnicach.

Diana nie jest przyzwyczajona do tego typu taktyki. Nigdy wcześniej nie zostawiali za sobą lasu. Przeczekanie ich to bułka z masłem. Trzy dni później nadal są zdziwieni, że nie oddaliśmy się od zamku, a zamiast tego rozbijamy obozy na północ i południe od miasta. Rozpaliliśmy wokół ogniska, by nikt nie mógł się wymknąć nocą. Uczniowie Diany są spragnieni. Ich przywódczyni, Tamara, nie chce mnie widzieć. Jest zbyt zażenowana faktem, że została przyłapana na zdradzie.

W końcu czwartego dnia Tamara oferuje mi dziesięciu niewolników Minerwy i wszystkich naszych żołnierzy, jeśli pozwolę jej bezpiecznie wrócić do domu. Wysyłam Leę, by przekazała jej, że może się pieprzyć. Gdy Lea wraca, chichocze jak dziecko. Odrzuca włosy w tył, ujmuje mnie za ramię i nachyla się, naśladowując zdesperowany ton Tamary.

– *Miej litość!* – woła płaczącym głosem. – *Nie masz zamiaru dotrzymać słowa?*

Gdy piątej nocy próbują uciec, udaje nam się schwytać wszystkich co do jednego. Oprócz Tamary, która spadła z konia i została stratowana na śmierć w błocie.

– Jej siodło przecięto od dołu. – Sevro pokazuje mi gładko ucięty skórzany pas. – *Czyżby Tactus?*

– *Możliwe.*

– Jego matka jest Senatorem, ojciec Pretorem – mówi Sevro. – Poznałem go, gdy byliśmy dziećmi. Pobił jedną dziewczynkę prawie na śmierć za to, że nie chciała pocałować go w policzek. Obląkany drań.

– Opuśćmy to sobie. Niczego nie udowodnimy.

Tactus jest naszym niewolnikiem, tak jak wszyscy z Domu Diana i Minerwa, wliczając w to nawet Paxa. Ja, Cassius i Roque siedzimy na koniach, obserwując nowych niewolników rozkładających sterty drewna i siana po całej minerwańskiej fortecy. Dają początek ogromnemu pożarowi, a nasza trójka wznosi toast za zwycięstwo.

– To twoja ostatnia nagroda za zasługi – mówi Cassius. – To czyni z ciebie Prymusa, bracie. – Klepie mnie po ramieniu, a ja dostrzegam w jego oczach mały tylko błysk zazdrości. – Nie mogło być lepiej.

– Panie na wysokościach, nigdy nie sądziłem, że zobaczę taką stronę charakteru naszego przystojnego przyjaciela – mówi Roque. – Skromność! Cassius, to naprawdę ty?

Cassius wzrusza ramionami.

– Ta gra to zaledwie rok wyjęty z naszego życia, może mniej. Potem dostaniemy się na staże albo do Akademii. Dopiero później zaczniemy żyć własnym życiem. Cieszę się, że nasza trójka trafiła do tego samego Domu – nagroda będzie czekać nas wszystkich.

Ściskam go za ramię.

– Zgadza się.

Nadal wbija wzrok w ziemię, nie podnosząc go, dopóki znów nie udaje mu się odzyskać mowy.

– Może i straciłem tu brata. Ten ból nigdy nie zniknie. Ale mam wrażenie, jakbym zyskał dwóch nowych. – Spogląda na nas płonącymi oczami. – Mówię serio, chłopaki. Musimy się tu urządzić. Pokonać kilka Domów. Wygrać przeklętą grę. Mój ojciec będzie potrzebował oficerów dowodzących statkami jego armady... o ile jesteście zainteresowani. Dom Bellona zawsze potrzebował Pretorów do wzmocnienia swojej potęgi.

Ostatnią część wypowiedzi mówi dość nieśmiałym tonem, jakbyśmy mieli już coś lepszego do roboty.

Ponownie ściskam go za ramię i kiwam głową, podczas gdy Roque mówi coś żartobliwie o zostaniu Politykiem, bo wolałby wysyłać ludzi na śmierć, niż samemu iść na wojnę. Synowie Aresa obśliniliby się na wieść, że zostałem Pretorem Domu Bellona.

– Nie martw się, Roque. Wspomnę ojcu o twojej poezji – śmieje się Cassius. – Od zawsze pragnął mieć wojownika barda.

– Oczywiście – odpowiada rozmarzonym tonem Roque. – Nie zapomnij szepnąć słówka drogiemu Imperatorowi Bellona, że jestem mistrzem metafor i szelmą asonansu.

– Roque szelmą... o Boże. – Wybucham śmiechem, gdy Sevro z Quinn podjeżdżają do nas w towarzystwie dziewczyny na koniu. Dziewczyna ma worek na głowie. Quinn przekazuje nam, że to emisariuszka Domu Pluton.

Nazywa się Lilath. Znaleźli ją, gdy czekała na granicy lasu. Jej życzeniem jest porozmawiać z Cassiusem.

Lilath z pewnością miała kiedyś pyzată twarz i policzki skore do uśmiechu, ale teraz nie ma po nich śladu. Są ściągnięte, poparzone, pokryte krostami i okrutne. Widziała, czym jest głód, i emanuje specyficznym chłodem, którego nie umiem rozpoznać. Boję się. Czuję się jak Mickey, gdy na mnie patrzył. Byłem zimną, milczącą istotą, której nie rozumiał. Ona również nią jest. Przypomina to oglądanie ryby z dna podziemnej rzeki.

Słowa Lilath długo unoszą się w powietrzu.

– Przychodzę od Szakala.

– Nazwij go prawdziwym imieniem, jeśli możesz – podsuwam.

– Nie przyszedłem tu, by rozmawiać z tobą – mówi bez cienia emocji. – Przyszedłem do Cassiusa.

Jej koń jest mały i smukły. Ma zdarte kopyta. Siodło Lilath jest wypchane od dodatkowych ubrań. Nie widzę żadnej broni prócz kuszy. Ich Dom leży w górach – mają więcej ciepłej odzieży i mniejsze konie do trudnych przepraw. Oczywiście pod warunkiem, że to nie podstęp. Każę jej pokazać pierścień. Przedstawia żałobne drzewo – cyprys Plutona. Jego korzenie sięgają głęboko w ziemię. Brakuje jej dwóch palców. Na kikutach widać ślady przyżegania, więc mają broń jonową. Włosy Lilath klekoczą, gdy dziewczyna się porusza. Nie mam pojęcia dlaczego.

W milczeniu taksuje mnie wzrokiem, jakby osądzając mnie na przekór swojemu panu.

Najwidoczniej czegoś mi brakuje.

– Cassiusie au Bellona, mój pan chce Kosiarza – ciągnie dalej, nim ktoś z nas zdąży się odezwać. Jesteśmy zbyt zaskoczeni. – Żywego. Martwego. Nie obchodzi nas to. W zamian za niego otrzymasz pięćdziesiąt sztuk tego dla swojej... armii.

Rzuca mu dwa miecze jonowe.

– Możesz powiedzieć swojemu panu, że powinien był sam stawić mi czoła – mówię.

– Nie rozmawiam z trupami – odzywa się Lilath w powietrzu. – Mój pan wydał wyrok na Kosiarza. Zginie, nim nadejdzie zima. Z tej czy z innej ręki.

– Pieprz się – warczy Cassius.

Rzuca mu małą sakiewkę.

– To pomoże ci podjąć decyzję.

To już koniec jej przemowy. Quinn unosi brwi ze zdziwienia i wzrusza ramionami, zakłopotana, odprowadzając Lilath.

Patrzę na niewielki woreczek, który Cassius trzyma w dłoni. Ogarnia mnie paranoja. Co może być w środku?

– Otwórz go – domagam się.

– E tam. Ta laska jest szalona jak Fioletowy – parska śmiechem Cassius. – Nie chcę, żeby nas poróżniła. – Mimo to chowa sakiewkę do cholewy buta. Mam ochotę wrzeszczeć, żeby ją otworzył, ale uśmiecham się tak, jakby nic się nie stało.

– Coś z nią było nie tak. Nie wyglądała jak człowiek – dodaję swobodnym tonem.

– Prędeż jak jeden z naszych wygłodzonych wilków. – Cassius robi zamach mieczem. Powietrze trzeszczy. – Przynajmniej mamy broń. Teraz będę mógł cię nauczyć, jak nimi walczyć. Wchodzą w zbroję jak w masło. Niebezpieczne zabawki.

Szakał wie o mnie. Ta myśl sprawia, że dostaję dreszczy. Słowa Roque tylko pogarszają sprawę.

– Zauważyliście, jak jej włosy klekotały? – pyta. Jego twarz jest całkiem biała. – W warkocze miała wplecione ludzkie zęby.

Musimy przygotować się na spotkanie armii Szakala. To oznacza zebranie sił i wyeliminowanie wszystkich zagrożeń. Muszę zniszczyć niedobitki Domu Diana, przebywające w Wielkiej Kniei. Potrzebuję Domu Ceres. Wysyłam Cassiusa, Wyjców i tuzin jeźdźców, by zniszczyli pozostałości Domu Diana. Resztę armii i niewolników kieruję do zamku, by przygotowali go na starcie z Szakalem. Nie obmyśliłem jeszcze planu, ale będę gotowy, gdy tylko bestia podniesie łeb.

– Po nocy spędzonej w brzuchach martwych koni Wyjce prawdopodobnie wykurzą ich z Kniei samym smrodem! – śmieje się Cassius, spinając konia ostrogami i odłączając się od głównej kolumny. – Naśle na nich Goblina i wrócę, zanim zdążysz położyć się do łóżka.

Sevro nie chce iść beze mnie. Nie rozumie, dlaczego Cassius potrzebuje jego pomocy w pozbyciu się niedobitków Diany. Wyznaję mu prawdę.

– Cassius ma w bucie sakiewkę, którą dała mu Lilath. Chcę, żebyś ją dla mnie ukradł.

W oczach Sevro nie widzę śladu oceny. Nawet teraz. Są momenty, gdy zastanawiam się, co zrobiłem, że zasłużyłem sobie na taką lojalność. Są też inne, kiedy staram się nie nadwyręzać swojego szczęścia zaglądaniem w zęby darowanemu koniowi.

Tej nocy, gdy Cassius sieje pogrom wśród uczniów Diany, reszta mojej armii ucztuje za wysokimi murami zamku Mars. Stołp jest czysty, a dziedziniec wesoły. Nawet niewolnicy otrzymują po porcji upieczonej w tymianku koźliny June i dziczyzny skropionej oliwą z oliwek. Zadbalem o wszystko.

Niewolnicy z zakłopotaniem spuszczaają wzrok, gdy przechodzę obok nich. Nawet Pax. Wyjący wilk na czole zmiażdżył jego dumę. Tylko Tactus nie boi się spojrzeć mi w oczy. Jego ciemna jak miód skóra przypomina karnację Quinn, ale oczy dalej wyglądają jak u żmii.

Mruga do mnie.

Po zwycięstwie nad Paxem uczniowie z wysokiego Poboru wreszcie zaakceptowali moje dowództwo, wliczając w to nawet Antonię. Przypomina mi to o sposobie, w jaki byłem traktowany na ulicach po tym, jak Mickey mnie wyrzeźbił. Tutaj jestem Żółtym. Uosobieniem władzy. Czuję się tak po raz pierwszy od czasu skazania Titusa na śmierć. Wkrótce Fitchner sfrunie z nieba, wręczy mi kamienną dłoń Prymusa i wszystko będzie dobrze.

Roque, Quinn, Lea i teraz także Pollux jedzą razem ze mną. Nawet Vixus i Cassandra, którzy zazwyczaj są w komitywie z Antonią, podeszli, by pogratulować mi zwycięstwa. Śmieją się i klepią mnie po ramieniu. Cipio, ulubieniec Antonii, liczy niewolników. Antonia nie wchodzi mi w drogę, ale skłania złocistą głowę w geście aprobaty. Jednak cuda się zdarzają.

Jestem Prymusem. Mam na koncie pięć złotych kresiek. Niedługo pojawi się Fitchner. Rankiem Dom Ceres upadnie. Mają mniej niż jedną trzecią naszej liczby żołnierzy. Dzięki ich zbożu i fortecy, którą możemy wykorzystać jako bazę operacyjną, zdobędziemy potęgę czterech Domów. Zmieciemy z powierzchni ziemi wszystko, co zostało na północy, i zaatakujemy południe, nim spadnie pierwszy śnieg. Wtedy stawię czoła Szakalowi.

Roque podchodzi do mnie i razem obserwujemy ucztę.

– Myślałem o tym, by pocałować Leę – mówi niespodziewanie. Widzę, jak śmieje się z kilkoma uczniami ze średniego Poboru w pobliżu ogniska. Obcięła włosy na krótko. Zerka w naszą stronę, kokietyjnie spuszczaając głowę, gdy napotyka spojrzenie Roque. On również się czerwieni i odwraca głowę.

– Myślałem, że jej nie lubisz. Chodzi za tobą jak szczeniak – śmieję się.

– Cóż, no tak. Z początku wcale mnie nie interesowała, bo wydawało mi się, że chwyciła się mnie tak jak... tonący brzytwy. Ale teraz... wydorosłała.

Patrzę na niego i śmieję się. Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

Wyglądamy jak blondwłose wilki. Jesteśmy teraz szczuplejsi niż przed wejściem do Instytutu. Brudniejsi. Nasze włosy są dłuższe. Mamy pełno blizn. Ja mam więcej niż reszta. Chyba za bardzo uzależniłem się od czerwonego mięsa. Jeden z moich zębów jest całkiem strzaskany. Mimo tego śmieję się. Śmieję się tak bardzo, aż mój wyżej wspomniany ząb nie jest w stanie tego znieść. Zapomniałem już, że jesteśmy ludźmi. Nastolatkami, które miewają zauroczenia.

– Cóż, w takim razie nie zmarnuj tego pierwszego pocałunku. To moja jedyna rada.

Mówię, żeby zabrał ją w jakieś wyjątkowe miejsce, które dla niego i dla nich obojga ma szczególne

znaczenie. Ja zabrałem Eo do mojego wiertła... Lorán i Barlow żartowali sobie z tego. Maszyna była wyłączona i położona w tunelu wentylacyjnym, więc nie musieliśmy zakładać skafandrów, tylko uważać na żmije. Mimo to Eo pociła się z podniecenia. Włosy kleiły jej się do twarzy i karku. Ścisnęła mnie mocno za nadgarstek i puszczała tylko wtedy, gdy byłem tuż obok. Wtedy ją pocałowałem.

Szczerzę zęby w uśmiechu i klepię Roque w tyłek na szczęście. Wujek Narol mówi, że to tradycja. W moim przypadku posługiwał się płazem slinga. Wydaje mi się, że kłamał.

W nocy śnię o Eo. Rzadko zdarza mi się spać, nie śniąc o niej. Piętrowe łóżka w wysokiej wieży zamku są puste. Roque, Lea, Cassius, Sevro i Wyjce wyszli. Nie licząc Quinn, nie ma tu żadnego z moich przyjaciół. Jestem Prymusem, a czuję się strasznie samotny. Ogień trzeszczy. Nadciąga zimny jesienny wiatr. Wyje jak wichur w opuszczonych tunelach kopalni i sprawia, że myślę o żonie.

Eo. Tęsknię za ciepłem jej ciała w łóżku. Tęsknię za jej szyją, za całowaniem jej miękkiej skóry, zapachem włosów, smakiem ust, gdy szeptała, jak bardzo mnie kocha.

Wtedy słyszę szuranie stóp i obraz Eo rozplywa się.

Lea wpada do dormitorium. Wyrzuca z siebie potok gorączkowych słów. Ledwie ją rozumiem. Podnoszę się i kładę dłoń na jej ramieniu, by ją uspokoić. To niemożliwe. Spod krótko obciętej grzywki spoglądają na mnie rozbiegane oczy pełne obłędu.

– Roque! – lamentuje. – Roque wpadł do szczeliny. Ma połamane nogi. Nie mogę go wyciągnąć!

Wychodzę za nią tak szybko, że nie zabieram ze sobą ani peleryny, ani slinga. Zamek jest pogrążony we śnie, nie licząc straży. Pędzimy przez bramę, zapominając o koniach. Krzyczę na jedną ze strażniczek, by nam pomogła. Nie oglądam się przez ramię, by sprawdzić, czy to zrobiła. Lea biegnie przodem, prowadząc mnie do kotliny, a potem ponad północnymi wzgórzami w stronę strumienia, nad którym rozpaliliśmy nasze pierwsze ognisko jako plemię. Opary mgły są gęste jak mleko. Noc ciemna. A ja uświadamiam sobie, jak bardzo jestem głupi.

To pułapka.

Przestaję biec za Leą. Nie mówię jej o tym. Nie wiem, czy nadejdą od tyłu, więc padam plackiem na brzuch i pełnę w stronę wąwozu, znikając we mgle. Okładam się liśćmi paproci. Teraz słyszę całkiem wyraźnie – odgłosy wyciągania mieczy, kroków, szcęk ogłuszaczy i przekleństwa. Ilu ich jest? Lea nawołuje mnie szaleńczo. Nie jest już sama. Przyproceedziła mnie do nich. Słyszę pokręconego Vixusa. Czuję zapach kwiatów Cassandry. Zawsze wciera je w skórę, by zamaskować odór ciała.

Nawołują się we mgle. Zorientowali się, że odkryłem ich pułapkę. Jak mam wrócić do swojej armii? Zastygam w bezruchu. Ilu może ich być? Szukają mnie. Gdybym teraz rzucił się do biegu, czy udałoby mi się dotrzeć do zamku? A może skończyłbym na czubku czyjś miecza? W cholewach butów mam dwa noże. To wszystko. Wyciągam je teraz.

– Kosiarczy! – woła wśród mgły Antonia. Jest gdzieś nade mną. – Nieustraszony przywódco! Nie ma powodu, by się ukrywać, kochany. Nie jesteśmy wściekli za to, że rozkazujesz nam, jakbyś był królem, ani na tyle oburzeni, by wbić ci nóż w oko. Ani trochę. Kochanie?

Prowokują mnie, grając na mojej próżności. Nigdy nie miałem jej zbyt wiele, ale oni tego nie rozumieją. Obok mojej głowy pojawia się czyjś but. Zielone oczy przeczesują ciemność. Wydaje mi się, że mnie widzą. Jednak nie. Noktowizory. Ktoś dał im noktowizory. Słyszę Vixusa i Cassandrę. Frustracja Antonii pogłębia się.

– Kosiarczy, jeśli nie wyjdiesz, będą tego surowe konsekwencje. – Wzdycha. – Pewnie chciałbyś zapytać jakie. A mianowicie takie, że poderżnę gardło małej Lei do samej kości. – Słyszę stłumiony okrzyk, gdy łapie Leę za włosy. – Ukochana Roque...

Nie wychodzę. Niech to szlag. Nie mogę wyjść. Moje życie nie należy wyłącznie do mnie, tylko do Eo i mojej rodziny. Nie mogę tego odrzucić, nie z powodu dumy ani dla Lei, ani po to, by uniknąć bólu po stracie kolejnego przyjaciela. Czy to możliwe, że pojмали również Roque?

Szczęka mnie boli. Zaciskam zęby. Mój pęknięty trzonowiec aż wyje. Antonia nie odważy się tego zrobić.

Nie może.

– Ostatnia szansa, kochanie. Nie? – Słysząc świst ostrza, bulgot i głucho uderzenie ciała upadającego na ziemię. – Szkoda.

Z moich ust wyrywa się niemy krzyk, gdy widzę ekipę medyczną lecącą przez nocną mgłę. Pomimo siły drzemiącej w moich dłoniach i ciele jestem całkowicie bezradny.

Nie ruszam się z miejsca aż do świtu, gdy mam pewność, że wszyscy poszli. Medycy nie zabrali ciała Lei. Cenzorzy zostawili je, bym wiedział, że zginęła, i nie czepiał się nadziei, że jakimś cudem ją odratowali. Cholerni dranie. Jej ciało po śmierci jest takie kruche. Przypomina małego ptaszka, który wypadł z gniazda. Układam wokół niej kopiec z kamieni. Są wysokie, ale nie utrzymają z dala wygłodniałych wilków.

Nie znajduję ciała Roque, więc nie mam pojęcia, co się z nim stało. Czyżby mój przyjaciel też był martwy?

Czuję się jak upiór, przedzierając przez wyżyny i krążąc wokół zamku, by uniknąć spotkania z przybocznymi Antonii. Wchodzę na ścieżkę, którą Cassius będzie wracał z Kniei, kryję się pod krzakami. Dochodzi południe, gdy pojawia się na czele niewielkiej kolumny złożonej z koni i niewolników. Zatrzymuje konia, żeby powitać mnie, gdy wyłażę z krzaków.

– Bracie! – woła. – Przywiozłem ci prezent! – Zeskakuje z końskiego grzbietu i ściska mnie, a potem wyciąga jeden z gobelinów Domu Diana i drapuje go na moich ramionach. Odsuwa się ode mnie o krok. – Jesteś blady jak ściana. Stało się coś?

Wyciąga mi liść z włosów. W tym momencie dostrzega smutek w moich oczach.

Sevro podjeżdża na wierzchowcu, opowiadam im, co zaszło.

– A to suka – mamrocze Cassius. Sevro milczy. – Biedna, biedna Lea. Była taka kochana. Myślisz, że Roque nie żyje?

– Nie wiem. Po prostu nie wiem.

– Kurwa mać. – Cassius kręci głową.

– Cenzorzy musieli dać Antonii noktowizory – sugeruje Sevro. – A może przekupił ją Szakal? To by nawet pasowało.

– Kogo to teraz obchodzi? – podnosi głos Cassius, wymachując niecierpliwie ręką. – Człowieku, Roque leży gdzieś tam martwy albo ranny. Nie zauważyłeś tego? – Łapie mnie za kark i przyciska czoło do mojego czoła. – Znajdziemy go, Darrow. Znajdziemy naszego brata.

Kiwam głową, czując odrętwienie rozlewające się w piersi.

Antonia nigdy nie wróciła do naszego zamku. Tak samo jak jej pomocnicy, Vixus i Cassandra. Nie udało im się mnie zabić, więc uciekli. Tylko dokąd?

Quinn wyrzuca ręce w powietrze i zaczyna wrzeszczeć, gdy przejeżdżamy przez bramę.

– Nie wiedziałam, gdzie, do kurwy nędzy, się wszyscy podziali! Zanim wróciłeś, niewolnicy przewyższyli nas liczebnie cztery do jednego! Ale już w porządku. W porządku. – Ścisła dłoń Cassiusa, gdy opowiadamy, co się stało. Jej oczy wzbierają łzami z powodu Lei, ale nie chce przyjąć do wiadomości faktu, że Roque nie żyje. Ciągłe kręci głową. – Możemy wziąć niewolników, by go szukali. Pewnie jest ranny albo gdzieś się ukrył.

Nie udaje nam się odszukać Roque. Cała armia wyrusza na poszukiwania. Nie został po nim żaden ślad. Naradzamy się przy długim stole.

– Pewnie leży martwy na dnie jakiegoś rowu – mówi Sevro. Korci mnie, żeby go uderzyć. Wiem jednak, że ma rację.

– Szakal to zrobił – mamroczę.

– A to pech – mówi Goblin.

– Co proszę?

– Chodzi mu o to, że nie ma znaczenia, czy to zrobił. W tej chwili jesteśmy całkiem bezradni. Nawet gdyby spróbował cię zabić, nie jesteśmy w stanie wyrządzić mu krzywdy – tłumaczy Quinn. – Zajmijmy się najpierw naszymi sąsiadami.

– Idiotyzm – mruczy pod nosem Sevro.

– To mi dopiero niespodzianka. Wygląda na to, że Goblin się nie zgadza – warczy Cassius. – Mów głośniej, jeśli masz jakiś pomysł, pigmeju.

– Nie mów do mnie z góry – odzywa się szyderczym głosem Sevro.

Cassius chichocze.

– Nie sikaj na moje buty tylko dlatego, że sięgasz mi do kolan.

– Jesteśmy jednakowi. – Wyraz twarzy Sevro sprawia, że pochylam się nagle, przerażony, że w oku Cassiusa za chwilę pojawi się nóż.

– Jednakowi? Pod jakim względem? Urodzenia? – uśmiecha się Cassius. – Och, chwileczkę, miałem na myśli wzrostu, wyglądu, inteligencji i pieniędzy. Wymieniać dalej?

Quinn z całej siły kopie w jego krzesło.

– Co jest z tobą, u diabła, nie tak? – warczy na niego. – Nieważne. Po prostu się zamknij.

Sevro wbija wzrok w ziemię. Ogarnia mnie nagła potrzeba ściśnięcia go za ramię.

– Co mówiłeś, Sevro? – pyta Quinn.

– Nic.

– Daj spokój.

– Przecież powiedział, że nic – chichocze Cassius.

– Cassius. – Ton mojego głosu ucisza go. – Sevro, mów, proszę.

Sevro wzdycha i patrzy na mnie z policzkami zaczerwienionymi z gniewu.

– Tak sobie myślałem, że nie powinniśmy siedzieć beczynnie, kiedy Szakal wyprawia, co mu się żywnie podoba. – Wzrusza ramionami. – Wyślij mnie na południe. Namieszam tam trochę.

– Namieszasz? – pyta Cassius. – Co masz zamiar zrobić? Zabić Szakala?

– Nie inaczej. – Sevro patrzy ze spokojem na Cassiusa. – Wsadzę mu nóż w gardło i będę wiercił, dopóki nie zobaczę kręgosłupa.

Napięcie jest wystarczająco wielkie, by przyprawić mnie o niepokój.

– Chyba nie mówisz poważnie – mówi cicho Quinn.

– Jak najbardziej poważnie. – Cassius marszczy brwi. – I w dodatku źle gada. Nie jesteśmy

potworami. A przynajmniej ty i ja, Darrow. Pretorzy Bellona nie są cichymi zamachowcami. Strzeżemy liczących sobie pięćset lat tradycji i honoru.

– Gówna prawda. – Sevro zbywa go machnięciem ręki.

– Mamy to we krwi. – Cassius ledwie zauważalnie podnosi nos.

Usta Sevro wykrzywiają się w okrutnym grymasie.

– Jesteś Pixie, skoro wierzysz w cały ten szajs. Myślisz, że twój ojczulek dorobił się stołka Imperatora na byciu honorowym?

– Nazwij to rycerstwem, Goblinie – szydzi Cassius. – Zamordowanie kogoś z zimną krwią nie byłoby właściwe, zwłaszcza w *szkole*.

– Zgadza się z Cassiusem – mówię po chwili milczenia.

– Nic dziwnego. – Sevro zrywa się nagle do wyjścia. Pytam go, dokąd się wybiera.

– Najwidoczniej mnie nie potrzebujesz. Otrzymałeś już wszelkie możliwe rady.

– Sevro.

– Idę przeszukać rowy. *Znowu*. Założę się, że Bellona by tego nie zrobił. Nie chciałby sobie upaprać swoich cennych kolanek. – Przed wyjściem kłania się kpiąco przed Cassiusem.

Quinn, Cassius i ja zostajemy w pokoju narad, aż w końcu mój przyjaciel ziewa i mówi coś o złapaniu trochę snu, zanim za sześć godzin nastanie świt. Quinn i ja zostajemy sami. Dziewczyna ma krótko obcięte i wystrzępione włosy, choć parę kosmyków zwisa nad jej wąskimi oczami. Garbi się jak chłopak na swoim krześle i dłubie w paznokciach.

– O czym myślisz? – pyta.

– O Roque... i Lei. – Słyszę w myślach stłumiony bulgot. Wraz z nim przypominają mi się wszystkie odgłosy towarzyszące śmierci. Trzask szyi Eo. Milczenie Juliana, który wił się w kałuży własnej krwi. Jestem Kosiarem, a śmierć jest moim cieniem.

– To wszystko?

– Powinniśmy się trochę przespać – mówię.

Milczy, odprowadzając mnie wzrokiem do drzwi.

Rozdział trzydziesty trzeci
Przeprosiny

Cassius budzi mnie w środku nocy.

– Sevro znalazł Roque – mówi przyciszonym głosem. – Jest w opłakanym stanie. Chodź.

– Dokąd?

– Na północ. Nie mogą go wyciągnąć.

Oddalamy się galopem od zamku w świetle dwóch księżyców. W powietrzu wirują płatki wczesnozimowego śniegu. Kopyta koni taplają się w błocie, gdy jedziemy na północ do rzeki Metas. Nie słysząc żadnych innych dźwięków prócz bulgotania wody i świstu wiatru w koronach drzew. Trąc zaspane oczy, spoglądam na Cassiusa. Ma ze sobą nasze dwa miecze jonowe. Miecze. Gdy uświadamiam sobie, co to znaczy, w moim brzuchu otwiera się dziura. Cassius nie ma pojęcia, gdzie jest Roque. Ale wie coś innego.

Wie, co zrobiłem.

To pułapka, z której nie mogę uciec. Chyba nadszedł ten moment w moim życiu. To jak gapienie się na ziemię w trakcie upadku z wysokości. Widok zbliżającego się końca nie oznacza, że można go uniknąć, naprawić, zatrzymać.

Jedziemy przez kolejne dwadzieścia minut.

– To nie była niespodzianka – odzywa się niespodziewanie Cassius.

– To znaczy?

– Od ponad roku wiedziałem, że Julian umrze. – Śnieg pada, gdy brniemy razem przez błoto. Gorący grzbiet konia porusza się między moimi nogami. Krok po kroku suniemy przez brązową maź. – Zawalił test. Nigdy nie był najmądrzejszy, nie w sposób, jakiego oczekiwali. Och, był świetny, jeśli chodzi o emocje, w sekundę potrafił wyczuwać smutek albo gniew. Ale empatia to cecha charakterystyczna niskiego Koloru.

Nie odzywam się ani słowem.

– Istnieją sprzeczności, które nigdy się nie zmieniają, Darrow. Koty i psy. Lód i ogień. Augustus i Bellona. Moja rodzina i rodzina ArcyGubernatora. – Cassius wbija wzrok przed siebie, choć jego koń potyka się co chwila. Jego oddech unosi się w powietrzu jak mgła. – Więc bez względu na to, co się zapowiadało, Julian był podekscytowany, gdy otrzymał list potwierdzający przyjęcie do szkoły z osobistą pieczęcią Augustusa. Ani mnie, ani moim braciom nie wydawało się to normalne. Nigdy nie sądziłem, że Julian będzie typem człowieka, który tam zabłąśnie. Kochałem go, wszyscy moi bracia i kuzyni go kochali, ale spotkałeś go przecież. Może i nie miał umysłu ścisłego, ale nie był głupi. Na pewno nie znalazłby się w jednym procencie najsłabszych uczniów. Nie było potrzeby odsiewać go od reszty. Ale Julian miał na nazwisko Bellona. Nazwisko, którego nasz wróg nienawidzi. Wykorzystał więc biurokrację, swój tytuł, nadaną mu władzę i zamordował dobrego chłopca. Odrzucenie zaproszenia do Instytutu jest nielegalne. A on był taki zachwycony. My – moja matka, ojciec, bracia, siostry, kuzyni i reszta bliskich – pokładaliśmy w nim wielkie nadzieje. Tak ciężko trenował. – W jego głos wkrada się kpiąca nuta. – Ale na końcu Julian został rzucony na pożarcie wilkom. A może powinienem powiedzieć wilkowi?

Zatrzymuje konia, świdrując mnie spojrzeniem płonących oczu.

– Jak się dowiedziałeś? – pytam, patrząc ponad taflą ciemnej wody. Płatki śniegu znikają w czarnej powierzchni. Góry wyglądają teraz jak pogrążone w cieniu pagórki w oddali. Rzeka wrze. Nie zsiadam z konia.

– Że odwalileś za Augustusa brudną robotę? – Cassius wybucha ironicznym śmiechem. – Ufałem ci, Darrow. Nie widziałem potrzeby, żeby sprawdzić, co przysłał mi Szakał. Ale po tym, jak Sevro próbował to ukraść, gdy spałem w Kniei, wiedziałem, że coś jest na rzeczy. – Zauważa moją reakcję. – Co? Myślałeś, że sprzymierzyłeś się z tępakami?

– Czasami tak.

– Cóż, obejrzałem to dziś wieczorem.

Hologram.

Przez to zamieszanie z Roque i Leą zapomniałem o sakiewce. Teraz żałuję, że nie postąpiłem inaczej. Byłoby lepiej, gdybym mu zaufał i nie wysyłał Sevro. Może wtedy Cassius pozbyłby się jej. Może sytuacja wyglądałaby inaczej.

– Obejrzałeś?

– Hologram pokazujący, jak zabijasz Juliana, *bracie*.

– Szakal dostał nagranie – pryham pogardliwie. – Jego Cenzor mu je dał. To znaczy, że gra jest ustawiona. Chyba nie ma dla ciebie znaczenia, że Szakal to syn ArcyGubernatora i że manipuluje tobą, żeby się mnie pozbyć.

Cassius wzdryga się.

– Nie wiedziałeś, że Szakal to jego syn, co? Domyślił się, że go rozpoznasz, i dlatego wysłał Lilath.

– Nie rozpoznałbym go. Nigdy nie spotkałem synalka tego drania. Trzymał ich przed nami w ukryciu, nim trafiliśmy tutaj. A moja rodzina trzymała mnie z dala od niego po tym, jak... – Jego głos cichnie, gdy ogarniają go wspomnienia.

– Razem możemy go pokonać, Cassius. Nie musimy się rozdzielać...

– Dlatego że zabiłeś mojego brata? – warczy. – I nie ma żadnego „my”, ty nieudolny dupku. Złaź z tego pieprzonego konia.

Zeskakuję z wierzchowca, a Cassius rzuca mi jeden z mieczy. Stoję w błocie naprzeciwko przyjaciela. Naszą jedyną widownią są kruki i dwa księżycy. Oraz Cenzorzy. Przy siodle mam slinga, ale w starciu z mieczem jonowym jest bezużyteczny. Cassius ma zamiar mnie zabić.

– Nie miałem wyboru. Mam nadzieję, że to wiesz.

– Zgnijesz w piekle, ty manipulujący wszystkimi sukinsynu – krzyczy. – Pozwoliłeś, żebym nazywał cię *bratem*!

– Więc co według ciebie miałem zrobić? Pozwolić, by Julian zabił mnie w trakcie Chrztu? Tak byś postąpił, będąc na moim miejscu?

Moje słowa sprawiają, że zastyga w bezruchu.

– Chodzi o sposób, w jaki go zabiłeś. – Milczy przez moment. – Trafiamy tu jako książęta, a szkoła ma nas nauczyć, jak stać się bestiami. Ale ty przyszedłeś jako bestia.

Wybucham gorzkim śmiechem.

– A kim byłeś ty, gdy rozerwałeś Titusa na kawałki?

– Na pewno nie kimś takim, jak ty! – krzyczy Cassius.

– Pozwoliłem ci go zabić, żeby Dom zapomniał, jak grupa chłopaków nasikała ci na twarz. Nie traktuj mnie więc jak jakiegoś potwora.

– Jesteś nim – szydzi.

– Och, zamknij już swoją przeklętą jadaczkę i przejdźmy do rzeczy. Hipokryta.

Pojedynek nie jest długi. Ćwiczyłem z nim od miesiący. Cassius toczył walki całe swoje życie. Szczęk ostrzy odbija się echem od płynącej wody. Pada śnieg. Błoto chlupocze. Obaj dyszymy. Moje ręce drżą pod wpływem uderzeń. Jestem szybszy od niego, moje ruchy są bardziej płynne. Prawie trafiam go w udo, ale on zna schemat tej gry. Drobnym ruchem nadgarstka odbija mój miecz w bok, zapiera się nogami w ziemię i przebija mieczem zbroję, trafiając mnie w brzuch. Ostrze powinno przypalić ranę i zniszczyć uszkodzone nerwy, pozostawiając mnie przy życiu. Cassius wyłączył jednak ładunek jonowy, więc jedyne, co czuję, to okropny ucisk, gdy obcy kawałek metalu wbija się w ciało, a wokół wypływa gorąca ciecz.

Zapominam złapać tchu. Krztuszę się. Moje ciało drży. Ściskam miecz, czuję zapach szyi Cassiusa. Jest blisko. Tak jak wtedy, gdy objął mnie za głowę i nazwał bratem. Jego włosy są tłuste.

Opuszczają mnie resztki godności i zaczynam skomleć jak pies.

Pulsujący ból narasta – zaczyna się od ucisku i przechodzi w upiorną mękę. Dygoczę, próbując złapać oddech. Nie mogę. Zupełnie jakbym w miejscu brzucha miał czarną dziurę. Upadam w tył, jęcząc. Zalewają mnie kolejne fale bólu. Czuję strach i przerażenie. Moje ciało wie, że w ten sposób zakończy życie. Wtedy miecz znika i zaczyna się cierpienie. Cassius zostawia mnie wykrwawiającego się i pochlipującego w błocie. Wszystko, czym byłem, ulatnia się, a ja staję się niewolnikiem własnego ciała. Płaczę.

Znów jestem dzieckiem. Zwijam się w kłębek. Boże, czuję się potwornie. Nie rozumiem bólu, który mnie pochłania. Nie jestem mężczyzną, tylko dzieckiem. Boże, pozwól mi umrzeć szybko. Zapadam się w lodowato zimnej brei. Dygoczę i szlocham. Nie mogę się powstrzymać. Moje ciało mnie zdradza. Metal przeszedł na wylot przez moje wnętrze.

Wypływa ze mnie krew, a wraz z nią nadzieje Tancerza, poświęcenie mojego ojca, marzenie Eo. Ledwie o nich myślę. Błoto jest mroczne i zimne. Tak bardzo mnie boli. Eo. Tęsknię za nią. Tęsknię za domem. Jaki był jej drugi prezent? Nigdy się nie dowiedziałem. Jej siostra nigdy mi tego nie powiedziała. Teraz jedyne, co znam, to ból. Nic nie jest go warte. Absolutnie nic. Zniosę wszystko inne. Znowu mogę być niewolnikiem, mogę zobaczyć Eo, a nawet umrzeć. Wszystko, tylko nie to.

CZEŚĆ CZWARTA
KOSIARZ

Kobiety z Lykos mówią, że gdy mężczyzna zostanie ukąszony przez jaskiniową żmiję, z rany musi zostać wysrana cała trucizna, która jest niebezpieczna. Założę się, że gdy zostałem ugryziony, wujek Narol celowo zostawił odrobinę.

*Rozdział trzydziesty czwarty
Północny Las*

Agonia.

I klaustrofobia.

Jestem chory i ranny.

Ból jest w snach.

W ciemności. W moim brzuchu.

Budzę się i krzyczę, czując delikatny dotyk dłoni.

Dostrzegam zarys czyjejś sylwetki.

Eo? Szepczę jej imię i wyciągam rękę. Moje ubłocone palce pozostawiają smugi na jej anielskiej twarzy. Przyszła, by zabrać mnie do doliny. Ma złociste włosy. Zawsze wiedziałem, że będzie Złota. Zamiast Czerwonych na dłoniach ma dwa Sigile w postaci złotych skrzydeł. Potrzeba było śmierci, by to się zmieniło.

Pocę się obficie pomimo deszczu i śniegu. Jestem w jakimś schronieniu. Drzę. Ściskam w rękę szkarłatną opaskę. We włosach mam błoto. Eo wymywa je wodą. Czule gładzi moje czoło. Kocham ją. Coś w moim wnętrzu krwawi. Słyszę, jak Eo mówi do siebie, do kogoś. Czy jestem w dolinie? Widzę mgłę, niebo i wielkie drzewo.

Trzęsę się i pocę. Gnij w piekle, Cassius. Byłem twoim przyjacielem. Co prawda zabiłem twojego brata, ale nie miałem innego wyboru. Ty miałeś, arogancki sukinsynu. Nienawidzę go. Nienawidzę Augustusa. Widzę ich razem, jak wieszają Eo. Kpią ze mnie, śmieją się. Nienawidzę Antonii, Fitchnera, Titusa. Nienawidzę. Nienawidzę. Jestem rozpalony, szalony i spocony jak mysz. Nienawidzę Szakala, Cenzorów. Po prostu nienawidzę. Nienawidzę też siebie za wszystko, co zrobiłem. I po co? Żeby wygrać grę dla kogoś, kto nigdy o niczym się nie dowie. Eo nie żyje. Już nigdy nie wróci, by zobaczyć, czego dla niej dokonałem.

Nie żyje.

Wtedy się budzę. Ból przeszywa mi trzewia. Przenika na wskroś. Nie pocę się już. Gorączka minęła, a paskudne czerwone szramy świadczące o zakażeniu zbladły. Jestem u wylotu jaskini. Widzę niewielkie ognisko i dziewczynę śpiącą zaledwie kilka cali ode mnie, przykrytą futrem. Oddycha cicho. Włosy ma złociste i zmierzwione. To nie Eo, tylko Mustang.

Krzyczę bezgłośnie. Chcę Eo. Dlaczego nie mogę jej mieć? Dlaczego nie mogę przywrócić jej do życia? Pragnę Eo. Nie chcę obok siebie tej dziewczyny. To boli bardziej niż rana. Nigdy nie będę w stanie naprawić tego, co stało się mojej żonie. Nie umiałem nawet poprowadzić własnej armii. Nie potrafiłem wygrać ani pokonać Cassiusa, nie wspominając już o Szakalu. Byłem najlepszym Helldiverem, ale tutaj jestem nikim. Świat jest zbyt wielki i zimny, a ja nic nie znaczę. Świat zapomniał o Eo i o jej poświęceniu. Nic już nie zostało.

Zasypiam ponownie.

Gdy się budzę, Mustang siedzi przy ogniu. Wie, że nie śpię, ale pozwala mi udawać. Leżę z zamkniętymi oczami, słuchając, jak nuci pod nosem piosenkę, którą znam. Słyszę ją w snach. Echo śmierci mojej miłości. Piosenkę zaśpiewaną przez tę, którą nazywają Persefoną.

Szlocham. Jeśli kiedykolwiek sądziłem, że Bóg istnieje, to właśnie teraz, gdy słucham żałobnej melodii. Moja żona nie żyje, ale jakaś jej część nadal tu jest.

Następnego ranka odzywam się do Mustang:

– Gdzie usłyszałaś tę piosenkę?

– Na hologramie – mówi, czerwieniąc się. – Śpiewała ją mała dziewczynka. Jest kojąca.

– Raczej smutna.

– Jak większość rzeczy.

Mustang mówi, że minęły cztery tygodnie. Cassius jest Prymusem. Nadeszła zima. Dom Ceres przestał być atakowany. Żołnierze Jupitera zapuszczają się czasami do lasu. Słychać odgłosy walki między dwoma supermocarstwami Północy, Jupiterem i Marsem. Ten pierwszy zajmuje zachód, drugi wschód. Odkąd rzeka zamarzła, są w stanie ją przejść i napadać na siebie nawzajem. Myszołowy opuściły swoje zimowe doliny. Głodne wilki wyją po nocach. Stada wron nadlatują z południa. Tak naprawdę Mustang wie bardzo mało i mam do niej coraz mniej cierpliwości.

– Utrzymanie cię przy życiu było trochę rozprasające – przypomina mi. Jej sztandar leży pod kocem niedaleko mojej stopy. Jest ostatnią z Domu Minerwa. W dodatku nienaznaczoną. I nie zrobiła ze mnie niewolnika.

– Niewolnicy są głupi – stwierdza. – Jesteś kaleką, więc po co miałam robić z ciebie jeszcze idiotę?

Mijają dni, zanim mogę chodzić. Zastanawiam się, gdzie są teraz ekipy medyczne. Pewnie zajmują się kimś, kogo Cenzorzy lubią. Wygrałem rękę Prymusa, ale oni nigdy mi jej nie dali. Teraz wiem, dlaczego Szakal zwycięży. Pozbywają się jego konkurencji.

Mustang chodzi ze mną po lesie przez kilka następnych tygodni. Poruszam się sztywno przez gęsty śnieg, ale siły mi wracają. Mustang dawkuje mi lekarstwo, które znalazła pod krzakiem. Jakiś przyjazny Cenzor je tam umieścił. Zatrzymujemy się, gdy w zasięgu naszego wzroku pojawia się jeleń. Wyjmuję łuk, ale nie jestem w stanie dociągnąć cięciwy do ucha. Boli mnie rana. Mustang przygląda mi się. Próbuję jeszcze raz. Ból przeszywa mnie głęboko w środku. Upuszczam strzałę. Tej nocy jemy resztki królika. Smakuje dziwnie i mam po nim skurcze. Od teraz już zawsze mam skurcze. Po wodzie też. Nie mamy jej w czym ugotować. Nie mamy jodyny. Tylko śnieg i mały strumień, z którego można się napić. Czasami nie mamy z czego rozpalić ognia.

– Powinieneś zabić Cassiusa albo go odesłać – mówi Mustang.

– Myślałem, że jesteś bardziej szlachetna – odpowiadam, zdejmując skórę z królika, którego schwytaliśmy.

– Lubię wygrywać. Taka cecha rodzinna. Czasami oszustwo jest nieuniknione. – Uśmiecha się. – Dostajesz nagrodę za każdym razem, gdy udaje ci się odzyskać twój sztandar, więc zaaranżowałam jego parokrotną kradzież na rzecz Domu Diana. Potem jechałam tam i odbijałam. Zostałam Prymusem w ciągu tygodnia.

– Sprytnie. Mimo to twoja armia cię lubiła.

– Każdy mnie lubi. A teraz jedz tego przeklętego królika. Jesteś kościsty jak trup.

Robi się coraz zimniej. Żyjemy w głębi Północnego Lasu, daleko na północ od Ceres i na północny zachód od moich wyżyn. Nie widziałem jeszcze żołnierzy Marsa. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym ich spotkał.

– Ukrywałam się przed wszystkimi prócz ciebie – dodaje Mustang. – Utrzymywało mnie to przy życiu.

– Jaki masz plan? – pytam.

Parska śmiechem.

– Utrzymać się przy życiu.

– Jesteś w tym lepsza ode mnie.

– Co masz na myśli?

– Nikt w twoim Domu by cię nie zdradził.

– To dlatego, że nie rządziłam jak ty. Musisz pamiętać, że ludzie nie lubią, gdy ktoś im dyktuje, co mają robić. Możesz traktować swoich przyjaciół jak służących i będą cię kochać, ale jeśli powiesz im, że są służącymi, zabiją cię. Tak czy inaczej, kładłeś za duży nacisk na hierarchię i strach.

– Ja?

– A kto? Od razu to wyczułam. Obchodziła cię wyłącznie twoja misja, czymkolwiek ona była. Jesteś jak wypuszczona luzem strzała ze strasznie depresyjnym cieniem. Gdy spotkałam cię po raz pierwszy, wiedziałam, że poderzniesz mi gardło, by zdobyć to, czego chcesz. – Urywa na chwilę. – Tak przy okazji, czego właściwie chcesz?

– Wygrać.

– Och, błagam. Stać cię na więcej.

– Myślisz, że mnie znasz? – Tłuszcz z mięsa królika skwierczy nad ogniem.

– Wiem, że płakałeś we śnie z powodu dziewczyny imieniem Eo. To twoja siostra? A może ktoś, kogo kochałeś? Bardzo nie-Kolorowe imię. Zupełnie jak twoje.

– Jestem mieszkańcem dalekiej planety. Nie mówili ci o tym?

– Nie chcieli. Nie dowiedziałam się zbyt wiele. – Macha ręką. – Tak czy inaczej, to bez znaczenia. Liczy się to, że nikt ci nie ufa, bo oczywistym jest, że zależy ci bardziej na twoim celu niż na ludziach.

– A ty różnisz się ode mnie pod tym względem?

– Och, i to bardzo, sir Kosiarzu. Lubię ludzi bardziej niż ty. Uosabiasz wilka, który wyje i gryzie. Ja jestem mustangiem, który trąca nosem czyjąś dłoń. Ludzie wiedzą, że mogą ze mną współpracować. A jak to wygląda w twoim przypadku? Zabij albo sam zostaniesz zabity.

Ma rację.

Gdy miałem plemię, dbałem o nie. Sprawilem, że wszyscy mnie kochali. Że zasłużyli na szacunek. Nauczyłem ich zabijać kozły, jakbym sam to umiał. Dałem ogień, zupełnie jakbym wynalazł zapalki. Łączyła nas jedna tajemnica – fakt, że mieliśmy jedzenie, a plemię Titusa nie. Postrzegali mnie jak ojca. Pamiętam, że widziałem to w ich oczach. Gdy żył Titus, byłem dla nich symbolem dobra i nadziei. Po jego śmierci... stałem się nim.

– Czasami zapominam, że Instytut ma mnie nauczyć wielu rzeczy – mówię.

Muszę być lepszy od nich, a nie tylko ich *pokonać*. To właśnie w *ten* sposób pomogę Czerwonym. Jestem chłopcem. W dodatku głupim. Gdy nauczę się, jak być przywódcą, zostanę kimś więcej niż tylko agentem Synów Aresa. Mogę zapewnić swoim ludziom lepszą przyszłość. Właśnie tego pragnęła Eo.

Od jakiegoś czasu wilki są głodne. Wyją nocami. Gdy Mustang i ja idziemy na polowanie, czasami musimy je odstraszać. Gdy o zmierzchu udaje nam się zabić karibu, z północy nadciąga stado drapieżników. Wyłaniają się zza drzew niczym mroczne zjawy. Największy z nich jest mojego rozmiaru i ma białe futro. Sierść pozostałych jest szara, nie czarna. Wilki zmieniają się wraz z porami roku. Patrzą, jak nas otaczają. Każdy porusza się z charakterystyczną tylko dla siebie przebiegłością, a mimo to dalej stanowi część sfory.

– Właśnie tak powinniśmy walczyć – szepczę do Mustang, gdy obserwujemy zbliżające się bestie.

– Możemy porozmawiać o tym później?

Trzema strzałami powalamy na ziemię przywódcę watahy. Reszta ucieka. Mustang i ja zabieramy się do obdzierania ze skóry wielkiego, białego potwora. Dziewczyna, gdy wsuwa nóż pod skórę, podnosi wzrok. Nos ma czerwony z zimna.

– Niewolnicy nie są częścią sfory, więc nie możemy walczyć jak oni. Ale to bez znaczenia. Wilki zachowują się tak samo. Za bardzo polegają na przywódcy... wystarczy odciąć głowę, a ciało się wycofuje.

– A więc odpowiedź kryje się w autonomii.

– Być może. – Mustang przygryza dolną wargę.

Później wieczorem rozwija wątek.

– To przypomina dłoń. – Siedzi obok wygodnie, dotykając mnie nogą. Wystarczająco blisko, by

ogarnęło mnie poczucie winy. Karibu piecze się nad ogniem, wypełniając jaskinię wspaniałym, smakowitym aromatem. Na zewnątrz szaleje zamieć, a wilcza skóra schnie przy ogniu. – Podaj mi rękę. Który z twoich palców jest najlepszy?

– Wszystkie są dobre w różnych rzeczach.

– Nie bądź uparty.

Mówię jej, że kciuk. Każe mi utrzymać patyk wyłącznie kciukiem. Z łatwością wrywa mi go z ręki. Potem każe mi utrzymać go tylko pozostałymi palcami. Wystarczy jeden ruch jej nadgarstka i patyk znów wylatuje z uścisku.

– Wyobraź sobie, że twój kciuk symbolizuje członków Domu. Pozostałe palce to niewolnicy, których zdobyłeś. Prymus czy ten, który jest liderem, to mózg operacji. Razem działają bez zarzutu.

Nie może wyjąć patyka z mojej dłoni. Odkładam go i pytam o sens jej słów.

– Teraz spróbuj zrobić cokolwiek poza złapaniem sztandaru. Ruszaj kciukiem w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, a palcami zgodnie z ruchem wskazówek, poza palcem środkowym.

Robię to. Gapi się na moje ręce i śmieje z niedowierzaniem.

– Niech to szlag.

Zrzućmy jej przedstawienie. Helldiverzy są niewiarygodnie zwinni. Patrę, jak próbuje odtworzyć tę samą sztuczkę. Nie udaje jej się. Zaczynam rozumieć.

– Dłoń jest jak Elita – mówię.

To struktura armii w Instytucie. Hierarchia jest dobra do prostych zadań. Niektóre palce są ważniejsze od innych. Część jest lepsza w pewnych rzeczach. Wszystkie są kontrolowane przez wyższy porządek, mózg. Kontrola mózgu jest skuteczna. Sprawia, że kciuk i palce pracują razem. Jednak kontrola pojedynczego mózgu jest ograniczona. Wystarczy wyobrazić sobie, że każdy z palców posiada własny mózg, który wchodzi w interakcje z głównym mózgiem. Palce słuchają jego rozkazów, ale funkcjonują niezależnie. Czego wtedy mogłaby dokonać ręka? Czego mogłaby dokonać armia? Obracam patyk w palcach, kreśląc skomplikowany wzór.

Mustang patrzy mi w oczy, wodząc palcami wzdłuż mojej dłoni. Wiem, że chce, żebym zareagował na jej dotyk, ale zmuszam swój umysł do zajęcia się innymi sprawami.

Pomysł Mustang nie jest częścią lekcji Cenzorów.

Ich lekcja mówi o ewolucji od anarchii do porządku. Traktuje o kontroli. O systematycznym gromadzeniu władzy, strukturze owej władzy i jej utrzymaniu. To wzór, który potwierdza, że zasada hierarchii jest najlepsza. Elita stanowi ostatni etap ewolucji, jedyną odpowiedź. Ona podważyła tę zasadę, a przynajmniej pokazała jej ograniczenia.

Gdybym mógł zdobyć dobrowolną lojalność niewolników, moja armia w niczym nie przypominałaby Elity. Byłaby lepsza. Gdyby Czerwoni z Lykos wiedzieli, że naprawdę mogą wygrać Laur, ich praca byłaby o wiele wydajniejsza. Albo gdyby Pretor na swoim gwiazdnym statku mógł wykorzystać nie tylko swój geniusz, ale także geniusz zespołu Niebieskich.

Strategia Mustang uosabia marzenie Eo.

Mam wrażenie, jakby poraził mnie prąd.

– Dlaczego nie wypróbowałaś tego na niewolnikach, których schwytałaś?

Zabiera rękę, gdy zauważa, że nie reaguję na jej dotyk.

– Wypróbowałam.

Milczy przez resztę wieczoru. Gdy zbliża się poranek, dostaje kaszlu.

Rozchorowuje się w ciągu kilku następnych dni. Ma flegmę w płucach. Karmię ją bulionem ze szpiku, mięsa wilków i liści, ugotowanym w znalezionym hełmie. Mustang wygląda, jakby miała umrzeć. Nie wiem, co robić. Mamy niewiele jedzenia, więc zaczynam polować. Zwierzyny łownej jest mało, a wilki są głodne. Większe stworzenia opuściły te lasy, więc żywimy się głównie małymi zającami. Jedyne, co mogę, to utrzymywać ją w cieple i modlić się, by medycy zstąpili z nieba. Cenzorzy wiedzą przecież, gdzie jesteśmy. Zawsze wiedzą.

W następnym tygodniu znajduję w lesie ślady ludzkich stóp. Idę za nimi do opuszczonego obozu z nadzieją, że mają jedzenie, które będę mógł ukraść. Znajduję kości zwierząt i żarzące się jeszcze resztki ogniska. Nie widzę koni, więc to chyba nie zwiadowcy. Raczej Łamiący Przysięgę, Zdrajcy, którzy złamali śluby po wzięciu do niewoli. Jest ich teraz całe mnóstwo.

Idę po ich śladach przez jakąś godzinę, aż ogarnia mnie niepokój. Zataczają krąg, kierując się w znajomą stronę, prosto do naszej jaskini. Nim wracam na miejsce, zapada noc. Z domu, który dzielę z Mustang, dobiega śmiech. Naciągam strzałę. Powinienem uklęknąć dla złapania oddechu. Boli mnie rana. Dyszę. Nie mogę jednak dać im więcej czasu, jeśli złapali Mustang.

Nie widzą mnie, gdy stoję przy zamarznętej skórze karibu na krawędzi zasy py ubitego śniegu odgradzającej naszą jaskinię od reszty świata i chroniącej przed nieprzyjazną pogodą. W środku słychać trzaskanie ognia. Dym sączy się przez szyby wentylacyjne, których zrobienie zajęło nam cały dzień. Dwóch chłopaków siedzi razem, jedząc resztki naszego mięsa i pijąc naszą wodę.

Są brudni i obszarpani. Tłuste włosy zwisają im w strąkach. Na twarzach mają przebarwienia i wągry. Jestem pewien, że kiedyś byli przystojni. Jeden z nich siedzi na klatce piersiowej Mustang. Dziewczyna, która uratowała mi życie, jest zakneblowana i w samej bieliźnie. Trzęsie się z zimna. Jeden z nich krwawi ze śladu po ugryzieniu na szyi. Chcą, żeby zapłaciła za tę ranę. W ogniu grzeją się noże. Drugiemu chłopakowi najwidoczniej podoba się widok jej odsłoniętego ciała. Wyciąga rękę, by dotknąć skóry Mustang, zupełnie jakby była zabawką stworzoną dla jego przyjemności.

Moje myśli są w tym momencie dość prymitywne, zwierzęce. Ogarnia mnie przerażające uczucie. Nie sądziłem, że mogę je żywić w stosunku do tej dziewczyny. Aż do teraz. Chwilę zajmuje mi uspokojenie się i powstrzymanie ręki od drżenia. Dłoń chłopaka zawędrowała na wewnętrzną stronę jej uda.

Trafiam pierwszego w kolano. Drugi obrywa, gdy sięga po nóż. Jestem kiepskim strzelcem. Zamiast w oko dostaje w ramię. Wsuwam się do jaskini z nożem do skórowania, gotowy wykończyć ich, gdy wyją z bólu. Jakaś część mnie, ta ludzka, wyłączyła się. Dopiero gdy napotykam spojrzenie Mustang, zatrzymuję się.

– Darrow – odzywa się cichym głosem.

Jest piękna nawet, gdy dygocze z zimna – drobna, wiecznie uśmiechnięta dziewczyna, która przywróciła mnie do życia. Pogodna dusza podtrzymująca pamięć o piosence Eo. Trzęsę się z wściekłości. Gdybym wrócił dziesięć minut później, ta noc zniszczyłaby mnie na zawsze. Nie jestem w stanie znieść kolejnej śmierci, a zwłaszcza Mustang.

– Darrow, pozwól im żyć – szepcze tak, jak szeptałaby Eo o tym, że mnie kocha. Dotyka mnie to do żywego. Nie mogę znieść dźwięku jej głosu i ogarniającego mnie gniewu.

Moje usta odmawiają współpracy. Twarz mam jak odrętwiałą. Nie potrafię pozbyć się wściekłego grymasu, który nią zawładnął. Wywlekam chłopców na zewnątrz za włosy i kopię ich do momentu, w którym dołącza do nas Mustang. Zostawiam ich jęczących na śniegu i wracam do niej, by pomóc jej się ubrać. Gdy otulam kościste ramiona zwierzęcym futrem, wydaje mi się strasznie krucha i delikatna.

– Nóż czy śnieg? – pyta chłopaków, gdy kończy się ubierać. W drżących dłoniach trzyma rozgrzane do czerwoności noże. Zanosi się kaszlem. Wiem, o czym myśli. Jeśli puścimy ich wolno, zabiją nas we śnie. Żaden nie umrze od poniesionych ran. Gdyby było inaczej, pojawiłaby się ekipa medyczna. A może w przypadku Zdrajców jest inaczej?

Wybierają śnieg.

Cieszę się z tego powodu. Mustang nie chciała korzystać z noży.

Przywiązujemy ich do drzewa na granicy lasy i rozpalamy ognisko, żeby znalazł ich któryś z Domów. Mustang nalega na przeniesienie się w inne miejsce, kaszląc po drodze, jakby bała się, że nie zrobię tego, o co mnie poprosiła. Akurat w tym przypadku ma rację.

Nocą, po tym jak zasypia, wstaję, by wrócić i zabić tamtą dwójkę. Jeśli znajdzie ich Jupiter albo Mars, wypalają, gdzie jesteśmy, i zostaniemy pojmani.

– Nie rób tego, Darrow – mówi dziewczyna, gdy odsuwam skórę karibu. Odwracam się. Wysuwa twarz spod warstwy koców.

– Jeśli przeżyją, będziemy musieli się przenieść. A ty jesteś poważnie chora. Umrzesz. Jaskinia

zapewnia nam ciepło i schronienie.

– W takim razie pójdziemy stąd z samego rana. Jestem silniejsza, niż ci się zdaje.

Czasami to prawda. Ale nie tym razem.

Budzę się rano i odkrywam, że przysunęła się do mnie w nocy i zwinęła w kłębek, szukając ciepła. Jej ciało jest takie delikatne. Trzęsie się na wietrze niczym liść. Czuję zapach jej włosów. Oddycha cicho. Na jej twarzy widać słone ślady. Chcę Eo. Wolałbym, żeby to były jej włosy, jej ciepło. Mimo to nie odpycham Mustang. Czuję ból, obejmując ją, ale jego źródłem jest przeszłość, nie ona. Mustang to powiew świeżości i nadziei. Jest jak wiosna w porównaniu z moją zimą.

Wraz z nadejściem poranka przenosimy się głębiej w las i wznosimy wspartą na skale przybudówkę z pni powalonych drzew i ubitego śniegu. Nigdy nie dowiadujemy się, jaki los spotkał Zdrajców i naszą jaskinię.

Mustang kaszle tak bardzo, że ledwie jest w stanie spać. Gdy zasypia, wtulona we mnie, całuję delikatnie skórę jej karku, tak delikatnie, żeby jej nie zbudzić. W głębi duszy pragnę, by się ocknęła, choćby tylko po to, żeby wiedzieć, że jestem obok. Jej skóra płonie z gorąca. Nucę pod nosem Pieśń Persefony.

– Nigdy nie pamiętam słów – szepcze. Jej głowa leży na moich kolanach. – Chciałabym je znać.

Nie śpiewałem od czasu Lykos. Głos mam szorstki i schrypnięty. Słowa przychodzą powoli.

Postuchaj, postuchaj,

Pamiętasz ogrom

Słońca i falujące zboża,

Które żęliśmy,

Tańcząc na polach,

Nucąc pod nosem

Pieśń zła i dobra?

Mój synu, mój synu,

Pamiętasz płomienie,

Gdy liście gorzały, pory się zmieniały?

Żeliśmy, żeliśmy,

Śpiewając piosnkę,

Przez całą jesień

Budując schronienie.

Na dnie doliny

Usłysz kosa świst, kosa świst.

Na dnie doliny

Usłysz żniwiarza śpiew

I pieśń o końcu zimy.

Dziewczyno ma, dziewczyno ma,

Pamiętasz ten chłód,

Gdy zamarzał deszcz i zabijał lód?

Żeliśmy, żeliśmy,

Tańcząc na polach,

W lodowym piekle,

Przy melodii słowach.

Ukochany, ukochany,

Pamiętasz ten krzyk,

Gdy zima ustąpiła wiosnie?

On rośnie, on rośnie.

A my wzięliśmy swoje ziarno

I stworzyliśmy pieśń

Przeciwko ich chciwości.

Synu mój, synu mój,

Pamiętaj niewolę,

Gdy Złoci rządzą żelazną ręką.

Krzyczeliśmy, krzyczeliśmy,

Wołając o swoje,

Wołając o lepsze sny.

Na dnie doliny

Usłysz kosi świst, kosi świst.

Na dnie doliny

Ustysz żniwiarza śpiew

I pieśń o końcu zimy.

– Dziwne – mówi.

– Co takiego?

– Ojciec powiedział mi, że z powodu tej piosenki wybuchnie bunt. Że będą ginąć ludzie. Ale to taka łagodna melodia... – Kaszle krwią w zwierzęcą skórę. – Kiedyś śpiewaliśmy piosenki przy ognisku na wsi, gdzie ojciec trzymał nas z dala od... – znów zanosi się kaszlem – ludzi. Gdy... mój brat umarł... ojciec już nigdy ze mną nie zaśpiewał.

Wiem, że Mustang wkrótce umrze. To tylko kwestia czasu. Twarz ma bladą, uśmiech słaby. Jest tylko jedna rzecz, jaką mogę zrobić, skoro nie pojawiła się żadna z ekip medycznych. Będę musiał ją zostawić i poszukać lekarstwa. Jeden z Domów mógł znaleźć lub dostać dożylny lek w nagrodę. Wkrótce wyruszę, ale najpierw zapewnię jej jedzenie.

Ktoś śledzi mnie tego dnia, gdy poluję samotnie w zimowym lesie. Mam na sobie nową, białą wilczą skórę. Oni również są zamaskowani. Nie widzę twarzy, ale wyczuwam ich obecność. Udaję, że oglądam cięciwę łuku, jakby potrzebowała naprawy, i zerkam w tył. Nic. Cisza. Śnieg. Świst wiatru w suchych gałęziach. Gdy ruszam dalej, idą za mną.

Czuję ich za sobą. Przypomina mi to ból w ciele od rany. Udaję, że zauważam jelenia, i przechodzę szybko przez gęste zarośla tylko po to, by wspiąć się na wysoką sosnę po drugiej stronie.

Rozlega się trzask.

Przechodzą pode mną. Czuję to na skórze, w kościach. Strząsam śnieg z gałęzi pod nogami. Nagromadzony biały puch spada w dół. Dostrzegam zniekształconą ludzką postać. Patrzy na mnie.

– Fitchner? – wołam.

Jego guma do żucia znowu strzela.

– Możesz już zleźć na dół, młody – warczy.

Dezaktywuje swoją niewidzialną pelerynę i buty grawitacyjne, zapadając się w śniegu. Jest ubrany w cienki, czarny kombinezon termiczny. Mimo wielu warstw ubrań i cuchnących zwierzęcych skór nawet w połowie nie jest mi tak ciepło jak jemu.

Minęło wiele tygodni, odkąd widziałem go po raz ostatni. Wygląda na zmęczonego.

– Masz zamiar dokończyć to, co zaczął Cassius? – pytam, zeskakując w dół.

Taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów i uśmiecha się krzywo.

– Wyglądasz okropnie.

– Ty również. Miękkie łóżko, ciepłe posiłki i wino dają ci się we znaki? – Pokazuję w górę. Spomiędzy cienkich gałęzi zasypanych śniegiem drzew ledwie widzimy Olimp.

Fitchner uśmiecha się.

– Odczyt pokazał, że straciłeś dziesięć kilogramów.

– Dziecięcy tłuszczyk. Miecz Cassiusa skutecznie go wyciął. – Naciągam łuk i celuję w niego. Zastanawiam się, czy ma na sobie zbroję pulsacyjną, która odeprze każdą broń. – Powinienem cię zastrzelić.

– Nie ośmieliłbyś się. Jestem Cenzorem.

Strzelam mu w udo. Strzała traci prędkość, zanim uderza w niewidzialną tarczę, która rozbłyska światłem, a potem odbija się i upada na ziemię. A więc noszą to przez cały czas, nawet jeśli nie mają na sobie zbroi.

– No cóż, to było głupie. – Ziewa.

Ma na sobie zbroję, buty grawitacyjne, niewidzialną pelerynę, rękawicę pulsacyjną i nóż. Śnieg topi się w kontakcie z jego skórą. Zobaczył mnie między drzewami, więc domyślałem się, że ma implanty optyczne z opcją widzenia w ciemności i celownikiem termicznym. Ma też podkładkę elektroniczną i analizator. Znał moją wagę. Pewnie zna też dokładną liczbę moich białych krwinek. A co z analizą spektralną?

Znowu ziewa.

– Kiepsko ze snem na Olimpie. Ciągłe jesteśmy czymś zajęci.

– Kto dał Szakalowi holo, na którym zabijam Juliana?

– Cóż, wygląda na to, że nie marnowałeś czasu.

Zrobił coś, gdy się odezwałem, bo zakres rozchodzących się dźwięków wokół nas kurczy się. Nie słyszę niczego poza niewidzialną bańką. Nie wiedziałem, że mają na wyposażeniu takie zabawki.

– Cenzorzy.

– Który dokładnie?

– Apollo. My wszyscy. To bez znaczenia.

Nie rozumiem.

– Myślałem, że to dlatego, że wszyscy go faworyzują. Mam rację?

– Jak zawsze. – Jego guma do żucia strzela. – Niestety, tobie zwyczajnie nie wolno wygrać, a zaczynałeś już nabierać rozpędu, więc...

Każę mu to wytłumaczyć. Mówi, że właśnie to zrobił. Oczy ma czerwone i znużone pomimo wstrzykniętego kolagenu i warstwy makijażu, który teraz nosi, by ukryć zmęczenie. Brzuch mu urósł, ale ręce nadal ma kościste. Coś go dręczy i nie chodzi tylko o wygląd.

– Nie wolno? – powtarzam za nim jak echo. – Nie wolno. Nikomu *nie wolno* wygrać. Myślałem, że celem gry jest utworzenie sobie drogi na sam szczyt. Więc skoro mnie *nie wolno*, to Szakalowi na pewno wolno wygrać.

– Dokładnie. – Fitchner nie wygląda na zadowolonego.

– W takim razie to wszystko nie ma sensu. Zawładnęła wami korupcja – mówię rozgorączkowanym tonem. – Złamaliście zasady.

Wśród nas miał się wyłonić najlepszy ze Złotych, a oni zdążyli już wybrać zwycięzcę. Ten fakt nie tylko rujnuje Instytut. Rujnuje też Elitę. Rządzą najlepsi. Sami tak mówili. Teraz okazuje się, że zdradzili własne zasady, opowiadając się za jedną ze stron. Zupełnie jakby na moich oczach ponownie rozgrywała się szopka z Laurem. Co za hipokryzja.

– A kim niby jest ten dzieciak? Drugim Aleksandrem? Cezarem? Dżyngis-chanem? – pytam. – To jakaś pieprzona bzdura.

– Adrius jest synem naszego drogiego ArcyGubernatora Augustusa. Tylko to się liczy.

– Owszem, powiedziałaś mi to, ale dlaczego ma wygrać? Dlatego że jego ojciec jest jakimś ważniakiem?

– Niestety tak.

– Podaj konkrety.

Fitchner wzdycha.

– ArcyGubernator w tajemnicy przekupywał, namawiał i szantażował wszystkich Cenzorów tak długo, aż doszliśmy do wniosku, że jego syn powinien wygrać. Musimy być jednak bardzo ostrożni w oszukiwaniu. Poborowcy, moi prawdziwi przełożeni, obserwują każdy ruch ze swoich pałaców i statków. Oni również są bardzo ważnymi ludźmi. Do tego dochodzi Zarząd Kontroli Jakości, Królowa, Senatorzy i pozostali Gubernatorzy. Ponieważ choć istnieje wiele szkół, każdy z nich może obserwować was, kiedy tylko chce.

– Co? Jak?

Stuka palcem w mój pierścień.

– Dzięki biometrycznej nanokamerze. Nie martw się, w tej chwili pokazuje im coś zupełnie innego. Włączyłem blokujące wszystko pole siłowe, a w dodatku trwa właśnie półdniowe opóźnienie związane z montowaniem materiałów. Za każdym razem wszyscy Poborowcy i Naznaczeni mogą was oglądać, by sprawdzić, czy na końcu zaoferowaliby wam staż. Tak naprawdę darzą cię wielką sympatią.

Podglądało mnie tysiące Aureatów.

Moje wnętrzności, które zdążyły już zlodowacieć, zaciskają się w supeł.

Tiberius au Bellona, Imperator Szóstej Floty, ojciec Cassiusa i Juliana, Poborowiec Domu Mars, widział, jak zabijam mu jednego syna i oszukuję drugiego. Świadomość tego wyciska mi powietrze z płuc. Co, jeśli powiedziałbym Titusowi, że wiem, że jest Czerwonym, bo sam nim jestem? Czy zauważyli, jak mówi „cholerny”? Czy powiedziałem, że był Czerwonym na głos, czy to działo się wyłącznie w mojej głowie?

– Co się stanie, gdy zdejmę pierścień?

– Wtedy znikniesz, nie licząc kamer, które ukryliśmy na polu walki. – Mruga do mnie. – Nie mów o tym nikomu. Gdyby Poborowcy odkryli spisek ArcyGubernatora... rozpętałoby się piekło. Do tego dojdzie napięcie panujące między szkolnymi Domami. Ale najważniejszą konsekwencją jest to, że dojdzie do Wojny Krwi między Augustusami a Bellonami.

– A ty wpadniesz w tarapaty, gdy dowiedzą się o łapówkach?

– Będę trupem. – Próbuje się uśmiechnąć, ale mu to nie za bardzo wychodzi.

– To dlatego tak okropnie wyglądasz. Jesteś w samym środku sztormu. Gdzie w tym wszystkim jest moje miejsce?

Parska oschłym śmiechem.

– Wielu Poborowców cię lubi. Ci z Domu Mars zaoferują ci twój pierwszy staż, ale możesz przyjmować oferty spoza Domu. Jeśli umrzesz, będą bardzo niezadowoleni, zwłaszcza Pierwszy Miecz Marsa. Nazywa się Lorn au Arcos. Na pewno o nim słyszałeś. Jest diabelsko dobry w walce na miecze.

– Gdzie. Jest. Moje. Miejsce? – pytam ponownie.

– Nigdzie. Postaraj się przeżyć. Trzymaj się z dala od Szakala. W przeciwnym razie Jupiter lub Apollo zabiją cię i w żaden sposób nie będę mógł ich przed tym powstrzymać.

– A więc to oni są jego ochroniarzami, tak?

- Jednymi spośród wielu.
- Cóż, jeśli mnie zabiją, Poborowcy będą wiedzieć, że coś jest nie tak.
- Mylisz się. Apollo wykorzysta inne Domy, by to zrobić, albo sami się tym zajmiemy i zmienimy materiał filmowy z kamer. Apollo i Jupiter nie są głupi, więc nie wchodź im w drogę. Pozwól Szakalowi wygrać, a będziesz miał zapewnioną przyszłość.
- Ty również.
- Ja również.
- Rozumiem.
- Świetnie. Wiedziałem, że rozsądny z ciebie chłopak. Wiesz, wielu Cenzorów bardzo cię lubi. Nawet Minerwa. Z początku cię nienawidziła, ale skoro uwolniłeś Mustang, mogła dalej mieszkać na Olimpie. To o wiele mniej upokarzające.
- Pozwolono jej zostać na Olimpie? – pytam niewinnym tonem.
- Naturalnie. Taka jest zasada w Instytucie. Gdy twój Dom zostanie pokonany, Cenzor wraca do domu, by stawić czoła opinii publicznej i wytłumaczyć się Poborowcom z tego, co poszło nie tak. – Uśmiech Fitchnera znika, gdy dostrzega nagły błysk w moich oczach.
- Więc gdy Dom zostaje rozbity, jego Cenzor musi odejść, tak? Mówiłeś, że Apollo i Jupiter chcą mojej śmierci, hmm?
- Nie... – zaczyna, słysząc groźbę w moim głosie.

Przekrzywiam głowę.

- Nie?
- Nie... nie możesz! – jąka się, zdezorientowany. – Przecież przed chwilą powiedziałem ci, że Pierwszy Miecz pieprzonego Domu Mars chce cię wziąć na staż. Do tego dochodzą inni – Senatorzy, Politycy, Pretorzy. Nie zależy ci na przyszłości?
- Chcę urwać Szakalowi jaja. To wszystko. Wtedy poszukam sobie praktyki. Wyobrażam sobie, że będzie imponująca.
- Darrow! Bądź rozsądny, człowieku.
- Fitchner, moi przyjaciele Roque i Lea zginęli przez knowania ArcyGubernatora. Ciekawe, jak mu się spodoba, gdy zrobię z jego syna niewolnika.
- Jesteś szalony jak jakiś Czerwony! – Kręci głową. – Wystawiasz na wielkie ryzyko źródło utrzymania Cenzorów. Żaden z nich nie jest zadowolony ze swojej obecnej sytuacji. Wszyscy szukają

sposobu, by awansować. Jeśli zagrozi ich przyszłości, Apollo i Jupiter zejną z Olimpu i utną ci głowę!

– Nie zrobią tego, jeśli najpierw zniszczą ich Domy. – Marszczę brwi. – Czy przypadkiem nie będą musieli wtedy odejść? Ktoś zaufany powiedział mi, że takie są zasady. – Zacieram ręce. – A skoro już o tym mowa, mam innego przyjaciela, który umiera, i chciałbym dostać jakieś antybiotyki. Byłoby świetnie, gdybyś mógł mi je dać.

Wpatruje się we mnie z niedowierzaniem.

– Niby czemu miałbym to zrobić po tym wszystkim?

– Dlatego że do tej pory byłeś beznadziejnym Cenzorem. Jesteś mi winny nagrody. I musisz się zająć własną przyszłością.

Fitchner parska śmiechem, poddając się.

– W porządku.

Wyjmuje strzykawkę z kasetki przypiętej do nogi i podaje mi ją. Zauważam, że zbroja nie robi mi krzywdy, gdy jego dłoń dotyka mojej. A więc mogą je wyłączać. Dziękuję mu, klepiąc go po plecach w afektowany sposób. Fitchner przewraca oczami. Zbroja jest wyłączona na całej długości jego ciała. Chwilę później znów się aktywuje. Słyszę szum na wysokości pasa Fitchnera, gdzie znajduje się urządzenie. Skoro Cenzorzy są teraz moimi wrogami, dobrze to wiedzieć.

– Co masz zamiar zrobić? – pyta Fitchner.

– Kto jest groźniejszy? Apollo czy Jupiter? Bądź szczery, Fitchner.

– Obaj są potworami. Apollo jest bardziej ambitny. Jupiter jest znacznie prostszy w obsłudze – po prostu uwielbia odgrywać boga.

– A takim razie na pierwszy ogień pójdzie Dom Apollo. Później zniszczę Jupitera. A gdy skończę z nimi oboma, kto będzie chronił Szakala?

– Szakal – śmieje się Fitchner.

– W takim razie przekonamy się, czy naprawdę zasługuje na wygraną.

Zanim odchodzę, Fitchner rzuca na ziemię małą paczuszkę.

– To teraz bez znaczenia, ale dostałem to. Mam ci przekazać, że twoi przyjaciele o tobie nie zapomnieli.

– Kto taki?

– Nie mogę zdradzić.

Ktokolwiek mu to dał, jest przyjacielem, ponieważ w pudełku znajduje się mój Pegaz, w którego wnętrzu leży pęk haemanthusa Eo. Zakładam medalion na szyję.

Rozdział trzydziesty piąty

Zdrajcy

Moi przyjaciele mnie nie opuścili. Co chcieli mi przez to powiedzieć? Jacy przyjaciele? Synowie Aresa? A może bliżej nieokreślony, tajemniczy przyjaciel, robiący aluzje do tych, którzy wspierają mnie w Instytucie? Czy mają pojęcie o znaczeniu Pegaza? A może po prostu chcą mnie zjednoczyć z czymś, za czym uważają, że mogę tęsknić?

Tyle pytań, a każde bez znaczenia. Są poza grą. Gra. Czy istnieje coś prócz niej? Wszystkie ważne rzeczy na świecie, moje związki z ludźmi, aspiracje i potrzeby kręcą się wokół gry i mojego zwycięstwa. By wygrać, potrzebuję armii, ale takiej, która nie jest złożona z niewolników. Nie mogę powtórzyć tego błędu. Żeby stanąć na czele rebelii, muszę mieć zwolenników.

Człowiek nie może zostać wyzwolony przez tą samą niesprawiedliwość, która go zniewoliła.

Tydzień po wstrzyknięciu Mustang lekarstwa i z biciu gorączki kierujemy się na północ. Im więcej się ruszamy, tym szybciej odzyskuje siły. Jej kaszel zniknął. Znow się uśmiecha. Czasem potrzebuje chwili odpoczynku, ale wkrótce prawie udaje jej się mnie prześcignąć, o czym nie zapomina dać mi znać. By przywabić do siebie ofiary, robimy wokół tyle hałasu ile wlezie. Szóstej nocy, po rozpaleniu okropnie wielkich ognisk, trafia nam się pierwsza szansa.

Zdrajcy przychodzą wzdłuż strumienia, wykorzystując szum wody do zagłuszenia kroków. Od razu

czuję do nich sympatię. Gdyby nasze ogniska nie były pułapką, wzięliby nas z zaskoczenia. Ale to jest pułapka, i gdy pierwsza dwójka wchodzi w krąg światła, prawie udaje nam się ją zatrzasnąć. Skoro byli na tyle sprytni, by iść wzdłuż brzegu, na pewno zostawili kogoś na czatach w ciemności. Słyszę odgłos strzały naciąganej na cięciwę. Rozlega się czyjś zduszony okrzyk. Mustang trafia jednego w mroku. Ja zdejmuję drugiego. Podnoszę się zza zaspy, strącając śnieg z peleryny, i powalam ich od tyłu ramieniem łuku.

Później ten, którego Mustang trafiła, opatruje przy ogniu spuchnięte oko. Rozmawiam z przywódczynią. Na imię jej Milia. Jest wysoką dziewczyną o podłużnej, końskiej twarzy i nieco zgarbionych ramionach. Jej kościste ciało okrywają łachmany i kradzione skóry. Drugą osobą, która nie odniosła ran, jest Dax. Niski, przystojny, z trzema odmrożonymi palcami. Dajemy im dodatkowe futra i od razu zauważam różnicę w konwersacji.

– Rozumiecie chyba, że możemy zrobić z was niewolników? – pyta Mustang, wymachując sztandarem. – Gdy gra się skończy, będziecie podwójnymi Zdrajcami i narazicie się na podwójny ostracyzm.

Milia ma to gdzieś. Dax również. Pozostali po prostu słuchają jej rozkazów.

– Gównu mnie to obchodzi. Nie widzę żadnej różnicy – mówi. Wszyscy mają na czołach niewolniczy znak Marsa. Nie rozpoznaję ich, ale pierścienie wskazują na przynależność do Domu Junona. – Wolę znieść wstyd, niż kaleczyć sobie kolana. Znasz mojego ojca?

– Mam w nosie twojego ojca – prychem pogardliwie.

– Mój ojciec – ciągnie, niczym niezrażona – to Gaius au Trachus, Sędzia południowej marsjańskiej hemisfery.

– Nadal mam to gdzieś.

– A jego ojciec był...

– Powiedziałem, że mam to gdzieś.

– W takim razie jesteś głupcem – cedzi. – I to podwójnym, jeśli sądzisz, że możesz zrobić ze mnie *swojego* niewolnika. Zasztyletuję cię w nocy.

Kiwam głową w stronę Mustang, która wstaje nagle ze sztandarem i przykłada czubek do czoła Milii. Znak Marsa ustępuje miejsca Minerwie. Potem ściera drugi znak, a na złocistej skórze Milii pozostaje tylko warstwa brudu. Dax otwiera szeroko oczy ze zdumienia.

– Nawet jeśli jesteś wolna? – pytam. – Nadal chcesz mnie zabić?

Nie wie, co powiedzieć.

– Mily – odzywa się cichym głosem Dax – co o tym myślisz?

– Żadnego niewolnictwa – dodaję. – Żadnych kar. Jeśli ty kopiesz dół kloaczny, ja też kopię dół dla naszego obozu. Jeśli ktoś cię skrzywdzi, ja skrzywdzę jego. Pytam więc, czy chcecie dołączyć do naszej armii?

– *Jego* armii – poprawia Mustang. Spoglądam na nią, marszcząc brwi.

– A kim on jest? – pyta Milia, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy.

– To Kosiarz.

Tydzień zabiera nam zgromadzenie dziesięciu Zdrajców. Ta dziesiątka wyraziła się jasno, że nie mają zamiaru być niewolnikami. Mogą polubić pierwszą lepszą osobę, która da im cel, jedzenie, futra i nie domaga się, żeby całowali ją po piętach. Większość z nich słyszała o mnie, ale są rozczarowani faktem, że nie mam słynnego slinga, którym pokonałem Paxa. Najwidoczniej stał się legendą. Mówią, że podniósł konia razem z jeźdźcem i rzucił do Argos, gdy niewolnicy Marsa walczyli z żołnierzami Jupitera.

W miarę jak nasz oddział się powiększa, zaczynamy ukrywać się przed większymi wojskami. Może i należę do Domu Mars, ale skoro Roque nie żyje, a Cassius jest moim wrogiem, jedynymi przyjaciółmi, jacy mi pozostali, są Quinn i Sevro. Mógłbym dodać do tego Polluxa, ale on pójdzie tam, gdzie zawieje wiatr.

Nie mogę zostać ze swoim Domem. Nie ma tam dla mnie miejsca. Byłem jego liderem, ale pamiętam sposób, w jaki ludzie na mnie patrzyli. Teraz najbardziej istotną rzeczą jest, by dowiedzieli się, że żyję.

Pomimo wojny między Marsem i Jupiterem solidna wieża Ceres stoi nad brzegiem rzeki, niepodbita. Za wysokimi murami nadal unosi się dym z chlebowych pieców. Bandy na koniach z obu armii przeczesują równiny wokół twierdzy, bez stresu przekraczając zamarzną Argos. Są teraz uzbrojeni w miecze jonowe, więc mogą porażać prądem i okaleczać się nawzajem jednym muśnięciem metalu. Ekipy medyczne latają nad polem bitwy, a gdy potyczki przeradzają się w zażarte boje, leczą rannych, zakrwawionych uczniów, pojękujących z powodu złamanych kości. Czempioni obu wojsk noszą jonowe pancerze, chroniące ich przed nową bronią. Konie uderzają w siebie nawzajem. W powietrzu świszczą strzały. Niewolnicy walczą ze sobą starszą, prostszą bronią, kotłując się na szerokiej równinie oddzielającej wyżyny od wielkiej rzeki Argos. Widok jest zarazem spektakularny oraz idiotyczny.

Obserwuję wraz z Mustang i Milią, jak dwa opancerzone oddziały Marsa i Jupitera pędzą ku sobie po równinie, tuż przed wieżą Fobos. Proporce łopoczą na wietrze. Konie tratują głęboki śnieg. Gdy dwie metalowe fale zderzają się ze sobą, mamy okazję oglądać wspaniałe widowisko. Lance migoczą ogłuszającą elektrycznością, krzesząc iskry na szerokich tarczach. Oślepiające miecze wytrącają z rąk inną broń. Uczniowie z wysokiego Poboru walczą ze sobą. Niewolnicy atakują grupami, wyrzynając się nawzajem, niczym pionki na gigantycznej szachownicy.

Dostrzegam Paxa w zardzewiałej zbroi tak starej, że wygląda jak skafander termiczny. Wybucham śmiechem, gdy powala na ziemię konia. Jeżeli kiedykolwiek istniało wyobrażenie idealnego rycerza, to z pewnością nie byłby nim Pax. O nie. Zostałby nim Cassius. Widzę go. Jego zbroja lśni, gdy rozbraja jednego przeciwnika za drugim, galopując przez zastępy wroga i wymachując mieczem na prawo i lewo jak jęzorem ognia. Potrafi walczyć, ale jestem zszokowany tym, jak idiotyczny wybrał sposób – wjeżdża prosto w ich szeregi, przechwytyjąc przeciwników. Chwilę później ocalali żołnierze przegrupowują się i robią to samo, co przed momentem. I tak w kółko. Żadna ze stron nie zdobywa przewagi.

– Idioci – mówię do Mustang. – Te wszystkie ładne zbroje i miecze oślepiły ich. Może gdy jedni zaatakują drugich trzy albo cztery razy, wtedy im się uda.

– Stosują pewną taktykę – odpowiada. – Popatrz, tutaj widać formację klinową. A tam manewr dywersyjny, który zmiecie przeciwnika od flanki.

– A jednak mam rację.

– A jednak się nie mylisz. – Obserwuje przez chwilę. – Zupełnie jak powtórka z naszej małej wojny, tyle że teraz nikt nie biega w kółko, wyjąc na ludzi jak wilk w trakcie pełni. – Mustang wzdycha i kładzie dłoń na moim ramieniu. – Ach, te stare dobre czasy.

Milia przygląda się nam ze zmarszczonym nosem.

– Taktyka wygrywa bitwy. Strategia wygrywa wojny – mówię.

– Ooo. Jestem Kosiarz. Bóg wszystkich wilków. Król strategii. – Mustang szczypie mnie w policzek. – Jesteś na to zbyt słodki.

Odpędzam ją. Milia przewraca oczami.

– Jaką mamy strategię, milordzie? – pyta Mustang.

Im dłużej będę przeciągał konflikt z wrogiem, tym większe szanse będą mieli Cenzorzy na zniszczenie mnie. Mój powrót musi być błyskawiczny i spektakularny.

– Szybkość jest naszą strategią – mówię. – Szybkość i ekstremalne zniszczenia.

Następnego ranka bojówka Domu Mars odkrywa, że ich most na rzece Metas zablokowały powalone w nocy drzewa. Jak można się było spodziewać, banda zawraca w stronę zamku, obawiając się zasadzki. Ich strażnicy na Fobos i Deimos nie widzą nas. Spoglądają w dół i wysyłają sygnały dymne, że w nagich liściastych lasach wokół mostu nie czai się żaden wróg. Nie widzą nas, bo leżymy nieruchomo pięć metrów od mostu, odkąd nastał świt. Każdy z moich Zdrajców ma białą lub szarą wilczą skórę. Tydzień zajęło nam znalezienie odpowiednich zwierząt, ale chyba wyszło nam to na dobre. Polowanie wytworzyło więzi. Moja dziesiątka żołnierzy to zgraja niezłych szuj. Kłamcy i niebezpieczni oszuści, którzy prędzej zrujnowaliby karierę, niż znów zostali niewolnikami. Dumna, pragmatyczna, lecz niezbyt honorowa zgraja. Dokładnie taka, jakiej potrzebuję. Twarze pomalowali na biało ptasimi odchodami i szarą gliną. Wyglądamy jak zimowe bestie z parą unoszącą się z wyszczerzonych w uśmiechach pysków.

– Lubią być doceniani przez kogoś budzącego postrach – powiedziała mi zeszłej nocy Milia. Jej głos był równie zimny i szorstki, jak sople lodu zwisające z oszronionych drzew. – Ja również.

– Mars połknie przynętę – szepcze mi do ucha Mustang. – W Domu nie pozostało już zbyt wielu mózgowców.

Na pewno nie po tym, jak zginął Roque. Mustang wybiera miejsce tuż obok mnie. Jest tak blisko, że jej nogi dotykają moich, a twarz wykręcona w bok jest oddalona o zaledwie kilka cali. Gdy biorę wdech, powietrze jest ciepłe od jej oddechu. To pierwszy raz, gdy przeszło mi przez głowę, by ją pocałować. Odpędzam od siebie tę myśl, przywołując obraz psotnych ust Eo.

W południe Cassius wysyła oddział, w obawie przed zasadzką składający się głównie z niewolników, by uprzętnęli z mostu zwalone drzewa. W rzeczywistości pogrywa w zbyt inteligentną jak na siebie grę. Skoro wierzy, że walczy z Jupiterem, zakłada, że pułapka będzie polegać na niespodziewanym ataku kawalerii, gdy tylko most zostanie odblokowany. Wysyła więc konie na zwiad wokół rzeki, na południe przez wyżyny i zawraca na dalekim krańcu mostu w pobliżu wieży Fobos, by przypuścić atak na wojsko, które w jego mniemaniu ma nadejść od strony Wielkiej Kniei albo równin. Milia, cwana dziewczyna, przynosi mi wieści o jego zamiarach w postaci wycia dobiegającego z kryjówki oddalonej o milę, gdzie ma punkt obserwacyjny w gałęziach wysokich sosen. Czas działać.

Nie wyjemy ani nie krzyczymy, gdy nasza jedenastka pędzi przez nagi las w kierunku harujących niewolników. Czterech uczniów z wysokiego Poboru siedzi na koniach, obserwując ich pracę. Jednym jest Cipio. Biegniemy jeszcze szybciej przez nagie drzewa, nadciągając od ich flanki. Nie widzą nas. Rozdzielamy się, ścigamy się sami ze sobą, by zadać pierwszy cios.

Ja wygrywam.

Wyskakując pięć metrów w górę w niskiej grawitacji, wylatuję z lasu niczym opętany demon i stępionym mieczem trafiam Cipio prosto w ramię. Chłopak wypada z siodła. Konie rżą, wystraszone. Mustang powala kolejnego ucznia swoim sztandarem. Mój oddział pruje naprzód, milczący, zamaskowany w biel i szarości. Dwójka Zdrajców wskakuje na konie pozostałych uczniów i okłada jeźdźców pałkami i stępionymi toporami. Rozkazałem nikogo nie zabijać. Walka kończy się po jakichś czterech sekundach. Konie nie wiedzą nawet, gdzie się podzieli ich jeźdźcy. Mój oddział zostawia za sobą zwierzęta i biegnie w stronę niewolników odblokowujących most ze zwalonych pni. Połowa z nich nawet nas nie zauważa do momentu, w którym Mustang zmienia sześciu w niewolników Minerwy i każe im schwytać resztę. Wtedy rozlega się wrzask, a niewolnicy Marsa podnoszą siekiery na mój oddział.

Uczniowie Minerwy rozpoznają Mustang i zostają uwolnieni, gdy zdejmuje z nich znak Marsa. Przypomina to zmieniającą się falę. Zdobyliśmy sześciu niewolników. Łapią resztę i przytrzymują ich, podczas gdy Mustang podbiega i nawraca ich na naszych. Mamy już ośmiu. Dziesięciu. Jedenastu. Tylko jeden sprawia kłopoty i jest największą nagrodą. To Pax. Dzięki Bogu, nie ma na sobie zbroi, bo przyszedł tu pracować, ale w dalszym ciągu potrzeba siedmiu ludzi, by powalić go na ziemię. Pax ryczy i wywrzaskuje swoje imię. Rzucam się na niego i walę go pięścią w twarz. Pluję i zanoszę się śmiechem, gdy skaczymy na siebie, aż w końcu dwunastu ludzi przygwaźdża do ziemi tego genetycznie zmodyfikowanego potwora. Mustang uwalnia go od znaku Marsa, a jego ryk przechodzi w śmiech tak wysoki, że brzmi zupełnie jak dziewczyna.

– *Wooolnooooość!* – wrzeszczy. Jednym skokiem zrywa się na nogi, szukając kogoś, kogo mógłby sprać na miazgę. – *Darrow au Andromedus!* – krzyczy na mnie, gotowy zmasakrować mi facjatę, dopóki Mustang nie przywołuje go do porządku.

– On jest po naszej stronie – mówi.

– To prawda? – pyta Pax. Jego gigantyczna twarz pęka w uśmiechu. – Co za wiadomość! – Obejmuje mnie ramionami w niedźwiedzim uścisku. – *Wolność*, bracia... i siostry! Słodka wolność!

Zostawiamy Cipio i pozostałych z wysokiego Poboru pojękujących z bólu na ziemi.

Sygnaly dymne unoszą się z wież Fobos i Deimos, gdy pędzimy przez las w dolinie do karłowatych gór na północy, zanim jeźdźcy Marsa zdążą zawrócić wokół zablokowanego mostu i przypuścić na nas atak. Strażnicy widzieli wszystko. Muszą być przerażeni. Wszystko rozegrało się w mniej niż dziesięć sekund. Pax nie przestaje się śmiać jak dziewczyna.

Dom Mars będzie zdezorientowany nagłym zmniejszeniem liczebności. Mimo to potrzebuję czegoś więcej. Chcę, żeby zastąpili wcześniejszą wizję mnie jako niedoskonałego przywódcy czymś zupełnie nie z tej ziemi, czymś wykraczającym poza ich zrozumienie. W ich oczach muszę stać się kimś takim, jak Szakal – bezimiennym i naddludzkim.

Tej nocy przekradam się przez śnieg na północ od zamku Marsa. Kotlinę patrolują żołnierze na koniach. Ich kopyta stąpają cicho. W ciemności słyszę szcęk wędzideł. Nie widzę ich. Moja peleryna jest równie biała jak padający śnieg. Ściągam kaptur, więc wyglądam niby strażnik z najzimniejszych otchłani piekieł. Kamień jest bardziej stromy, niż zapamiętałem. Prawie spadam na ziemię, gdy podciągam się po oblodzonej, pionowej ścianie. Docieram do zamkowych murów. Na blankach palą się pochodnie. Wiatr szarpie płomieniami. Mustang powinna za chwilę zapalić ogień.

Zdejmuję pelerynę i zwijam ją w kulę. Skórę mam wysmarowaną sadzą. Wpycham metalowe szczypce w szczeliny między kamieniami. Przypomina to wspinanie się po wiertle, tyle że teraz jestem silniejszy i nie obciąża mnie skafander. Łatwizna. Medalion odbija się od mojej szyi, gdy się podciągam. Nie mam nawet zadyszki, kiedy sześć minut później docieram na szczyt.

Palcami czepiam się kamienia tuż pod parapetem. Wiszę na rękach, nasłuchując przechodzącego strażnika. Oczywiście jest nim niewolnik. W dodatku niegłupi. Dziewczyna widzi mnie, gdy przeskakuję ponad murem, i przyciska mi do gardła koniec włóczni. Pokazuję jej pierścień i przykładam palce do ust.

– Niby dlaczego miałabym nie wszcząć alarmu? – pyta. Należała kiedyś do Minerwy.

– Kazali ci strzec murów przed wrogami? Jestem pewien, że tak. Należę do Domu Mars. Świadczy o tym mój pierścień. Nasuwa się zatem logiczny wniosek, że nie mogę być wrogiem, prawda?

Dziewczyna marszczy brwi.

– Prymus kazał mi pilnować murów na wypadek ataku intruzów, zabić ich i wszcząć...

– To mój dom. Jestem z Domu Mars. Jestem twoim panem i *nakazuję* ci kontynuować straż na wypadek napaści. – Mrugam do niej. – Słowo daję, że Virginia bardzo się ucieszy na wieść, że wypełniłaś rozkaz co do joty.

Na dźwięk prawdziwego imienia Mustang przekrzywia głowę w bok i taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Mój Prymus żyje?

– Dom Minerwa nie upadł – potwierdzam.

Twarz dziewczyny prawie załamuje się pod wpływem emocji i szerokiego uśmiechu.

– Cóż... w takim razie... to chyba faktycznie twój dom. Nie mogę ci zabronić do niego wejść. Jestem związana przysięgą. Chwileczkę... znam cię. Mówili, że nie żyjesz.

– Podziękuj swojemu Prymusowi za to, że nadal oddycham.

Dowiaduję się od niej, że członkowie Domu śpią, podczas gdy niewolnicy strzegą twierdzy nocą. Właśnie na tym polega problem z niewolnikami. Chętnie szukają sposobów na wymiganie się od obowiązków i są skory do dzielenia się tajemnicami. Zostawiam ją w tyle i zakradam się do stołu dzięki kluczowi, który przypadkowo upuściła na moją dłoń.

Kiedy przemykam się korytarzami, kusi mnie, by złożyć Cassiusowi wizytę. Nie przyszedłem tu jednak, żeby go zabić. Przemoc to narzędzie w rękach głupca. Czasami nim jestem, ale dziś czuję się mądrzejszy. Nie wróciłem tu, by kraść sztandar. Jestem pewien, że będą go pilnować. Jestem tutaj, żeby przypomnieć im, że kiedyś napawałem ich strachem. Że jestem najlepszy. Że chodzę tam, dokąd chcę, i robię, co chcę.

Trzymam się cienia, choć mógłbym użyć tego samego argumentu na każdym strażującym niewolniku, jakiego mają. Zamiast tego wycinam symbol slinga na wszystkich drzwiach w stołpie. Zakradam się do sali narad i wycinam ten sam znak na ogromnym stole, by stworzyć pewien mit. Potem rzeźbię czaszkę na krześle Cassiusa i wbijam nóż głęboko w drewno w celu stworzenia plotek.

Gdy opuszczam zamek tą samą drogą, na północ od twierdzy widzę zbocze wzgórza stojące w ogniu. Chrust ułożony na kształt slinga Kosiarza płonie, rozpraszając mrok.

Sevro, o ile nadal trzyma się Domu Mars, znajdzie mnie bez trudu. Pomoc tego małego drania bardzo by mi się przydała.

Rozdział trzydziesty szósty

Drugi test

Żeby stworzyć armię, muszę umieć ją wykarmić. W tym celu przejmę kontrolę nad piecami chlebowymi Ceres, których Jupiter i Mars tak bardzo pożądamy.

Nowi członkowie grupy uznają za całkiem logiczne zaakceptowanie mojego statusu lidera, jednak nie mam się co oszukiwać. Owszem, są pod wrażeniem tego, że miesiąc temu ukryłem swoich Wycjów w brzuchach martwych koni, i pamiętają, jak pokonałem Paxa, ale są posłuszni dlatego, że Mustang mi ufa. Uczniów Diany zostawiamy na razie jako niewolników. Muszę zapracować na ich zaufanie. Co dziwne, tylko Tactus zdaje się we mnie wierzyć. Choć z drugiej strony, ten lakoniczny chłopak był cały w skowronkach, gdy powiedziałem mu ponad miesiąc temu, że zaszyję go w trzewiach zdechłego konia. Prócz niego jest jeszcze dwójka uczniów, których tam ukryłem. Reszta nazywa ich Końskimi Trupami. Każdy z nich nosi we włosach warkocze z białego końskiego włosia. Myślę, że są nieco pomyleni.

Jeśli w lasach i na wyżynach jest czegoś w nadmiarze, to z pewnością są to wilki. Polujemy na nie, by wytrenować nowych rekrutów moim sposobem. Nie stosujemy żadnych widowiskowych szturmów kawalerii. Żadnych lanc. A już na pewno nie używamy głupich kodeksów honorowych. Każdy zdobywa pelerynę, która cuchnie w trakcie suszenia. Obskrobujemy je ze zgniłego mięsa. Mają je wszyscy prócz Paxa. Nie stworzyli jeszcze wystarczająco dużego wilka.

– Dom Ceres jest przyzwyczajony do napaści – mówi Mustang. Ma rację. Nocą twierdzy strzeże więcej żołnierzy niż za dnia. Wypatrują podstępnych ataków. Płonące sterty huby oświetlają podstawę ich murów. Jakimś cudem zdobyli psy, które grasują wzdłuż blanek. Droga wiodąca do źródła wody jest strzeżona od momentu, w którym próbowałem wysłać Sevro przez latryny podczas ataku, gdy byliśmy jeszcze w trakcie wojny z Minerwą. Z trudem mi to przebaczył. Uczniowie Ceres nie wychodzą już na zewnątrz. Poznali ryzyko walki z silniejszymi Domami na otwartej przestrzeni. Zabunkrują się na zimę w twierdzy, a kiedy zimno i głód osłabia pozostałych, wyłonią się z ukrycia na wiosnę – silni, przygotowani i zorganizowani.

Z tym że nie dotrwają do wiosny.

– Atakujemy w ciągu dnia? – domyśla się Mustang.

– Naturalnie.

Czasami zastanawiam się, po co w ogóle używamy słów. Zna moje myśli na wylot. Nawet te szalone.

Ten pomysł jest wyjątkowo szalony. Ćwiczyliśmy manewr na polanie w Północnym Lesie przez cały dzień, po spłaszczeniu pnia drzewa siekierami. Pax umożliwia wcielenie planu w życie. Urządzamy

zawody, by sprawdzić, kto najlepiej utrzymuje równowagę na pniu. Wygrywa Mustang. Milia o końskiej twarzy jest druga. Wścieka się, gdy nie udaje jej się pokonać Mustang. Zajmuję trzecie miejsce.

Tak samo jak w przypadku zasadzki zastawionej na Dom Mars, noc wcześniej podkradamy się najbliżej, jak tylko zdołamy, i zakopujemy w głębokim śniegu. Mustang i ja znów dobieramy się w parę, tuląc się do siebie pod śniegiem. Tactus próbuje dołączyć do Milii, ale dziewczyna każe mu się odpieprzyć.

– Jeśli spojrzysz na to od właściwej strony, zrozumiesz, że próbowałem wyświadczyć ci przysługę – mamrocze urażony, kuląc się pod śmierdzącą pachą Paxa. – Jesteś równie ładna, co brodawka na nosie gargulca. Kiedy miałaś okazję poprzytulać się do kogoś takiego jak ja? Niewdzięczna dziewczucha.

Mustang i pozostałe dziewczyny prychają szyderczo pod nosami. Później zapada cisza, a chłód otwartej lodowej przestrzeni przenika nas do szpiku kości.

Z nadejściem poranka Mustang i ja trzęsiemy się, przytuleni jedno do drugiego, a śnieg, który spadł nocą, zagraża naszym planom, zakopując nas jeszcze głębiej. Jednak z czasem wiatr przybiera na sile, a płatki nie zasypują nas, wirując w powietrzu. Budzę się pierwszy, choć nie ruszam się z miejsca. Gdy ziewnięciem odpędzam resztki snu, moja armia budzi się jak jeden organizm: jeden uczeń poszturchuje drugiego, aż w płytkim tunelu pod warstwą śniegu budzi się do działania wąż złożony z kaszlących i pociągających nosami Złotych. Nie widzę ich, ale pomimo świstu szalejącego wiatru słyszę, jak wstają.

Wokół moich grubych wilczych futer utworzyła się lodowa skorupa. Mustang wsunęła dłonie między moje skóry. Czuję ich ciepło z boku. Jej oddech ogrzewa moją szyję. Gdy zaczynam się ruszać, ziewa i przeciąga się jak kot, odsuwając nieco. Śnieg kruszy się między nami.

– Niech to szlag, co za koszmar – mamrocze towarzysz Milii, Dax. Nie widzę go w naszym śnieżnym tunelu.

Mustang szturcha mnie łokciem. Ledwie dostrzegamy Tactusa zwiniętego w kłębek pod pachą Paxa. Przytulili się w nocy jak kochankowie i gdy tylko otwierają przyprószone śniegiem powieki, odsuwają się od siebie jak oparzeni.

– Ciekawe, który to Romeo – szepcze Mustang.

Chichoczę i wywiercam dziurę w dachu naszego tunelu. Okazuje się, że moja dwudziestoczteroosobowa banda jest sama na równinie, nie licząc porannych zwiadowców na koniach w oddali. Nie będą stanowić żadnego problemu. Wiatr nadciąga od rzeki, wgryzając się nieprzyjemnie w moją twarz.

– Jesteś na to gotowy? – pyta Mustang, uśmiechając się, gdy wsuwam głowę z powrotem do naszego schronienia. – A może za bardzo zmarzłeś?

– Było mi zimniej w jeziorze, gdy pierwszy raz cię oszukałem – mówię, odwzajemniając uśmiech. – Ach, stare dobre czasy.

– To wszystko stanowiło część wielkiego planu, dzięki któremu miałam zdobyć twoje zaufanie. – Uśmiecha się psotnie. Dostrzega troskę w moich oczach, więc ściska moje udo i przysuwa się bliżej tak, by inni nie słyszeli. – Myślisz, że siedziałabym tu z tobą w zaspie, gdyby ten plan miał nie wypalić? Nie. Odmrażam sobie jajniki, a wiatr słabnie, więc ruszajmy w drogę, Kosiarzu.

Daję znak, wszyscy wstajemy, krusząc wokół śnieg. Wiatr chłoszcze nasze twarze. Pokonujemy sto metrów pustej równiny, pędząc w stronę murów i nie wydając ani jednego dźwięku. Wiatr uderza falami. Niesiemy ze sobą długi pień drzewa, ściskając go mocno tak samo, jak w nocy, gdy zajmował większą część tunelu. Jest ciężki jak diabli, ale jest nas dużo, a rodzice Paxa obdarzyli go genami zdolnymi przewracać cholerne konie. Dyszymy ze zmęczenia. Mięśnie nóg płoną z bólu. Zgrzytamy zębami, gdy drewniany pal przytłacza nasze ramiona w głębokim śniegu. To wyczerpujący marsz. Od strony murów słychać krzyk. Samotny, głuchy krzyk, który odbija się echem w nieruchomym powietrzu zimowego poranka. Dołączają do niego kolejne. Rozlega się warkot psów. Zamieszanie. W powietrzu mknie strzała, potem druga. Zadziwiające, jak cichy jest świat, gdy strzała szybuje, niosąc śmierć. Wiatr znów ustał. Słońce wygląda zza zwałów chmur, kąpiąc nas w porannym cieple.

Jesteśmy przy murze. Zza kamiennych fortyfikacji niosą się krzyki. Ktoś dmie w róg. Słychać ujadanie psów. Śnieg spada z parapetów, gdy łucznicy wychylają się ponad blankami. Strzała wbija się w drewno obok mojej ręki. Ktoś pada, zalewając się krwią. Dax. Wtedy Pax daje sygnał. On, Tactus i pięciu naszych najsilniejszych żołnierzy biorą belkę i z całej siły wpychają końcówkę w ścianę. Trzymają ją pod określonym kątem. Ryczą z wysiłku. Do szczytu nadal brakuje pięć metrów, ale ja wbiegam już na wąską kładkę. Pax charczy jak dzik, dźwigając ciężar. Mustang jest tuż za mną, potem Milia. Prawie tracę równowagę. Ale czucie i dłonie Helldivera utrzymują mnie na sękatej powierzchni. Okryci futrami, wyglądamy jak wiewiórki, nie wilki. Strzała prześlizguje się po mojej pelerynie. Stoję przy ścianie na końcu chwiejącej się belki. Pax i jego chłopaki porykują gardłowo z wysiłku. Nadbiega Mustang. Nadstawiam ręce. Przerzucam ją ostatnie pięć metrów nad blankami. Wyciąga miecz i krzyczy jak upiór. Milia pokonuje tę samą drogę, wyskakując z moich rąk. Lina u jej pasa huśta się z tyłu. Przywiązuje ją do szczytu, a ja podciągam się, pokonując ostatni odcinek. Drewniana belka spada na ziemię z trzaskiem. Wyciągam miecz. Istny chaos. Dom Ceres został wzięty z zaskoczenia. Nigdy wcześniej żaden ich wróg nie dostał się na blanki. Jest nas trójka. Wściekłość i podniecenie wypełniają mnie, gdy zaczynam swój taniec.

Uczniowie Ceres mają jedynie łuki. Minęły miesiące, odkąd używali mieczy. Nasze może i nie są ostre ani naładowane elektrycznością, ale zimna stal jest paskudna w każdej postaci. Najtrudniej jest okiełznać psy. Kopię jednego w łeb. Drugiego zrzucam na dół. Milia gryzie psa w szyję i uderza w jaja tak długo, aż zwierzę ucieka, kwiląc.

Mustang zrzuca kogoś z blanków. Trafiam jednego z łuczników, gdy do niej celuje. Na zewnątrz Pax krzyczy do mnie, żebym otworzył bramę. Wręcz domaga się udziału w walce.

Zbiegam za Mustang na dziedziniec, zeskakując z parapetów do miejsca, w którym walczy z wielkim uczniem Ceres. Wykańczam chłopaka łokciem i mam okazję po raz pierwszy obejrzeć wewnątrz chlebowej fortecy. Zamek wygląda obco. Dziedziniec prowadzi do kilku budynków i ogromnego

stołpu, gdzie piecze się chleb, sprawiając, że zaczyna mi burczeć w brzuchu. Dla mnie liczy się jednak tylko brama. Rzucam się w jej stronę. Za naszymi plecami słychać krzyki. Jest ich zbyt wielu. Docieramy do wrót w momencie, w którym trzy tuziny uczniów Ceres pędzą przez dziedziniec w naszą stronę.

– Szybciej! – krzyczy Mustang. – *Szybciej!*

Milia ostrzeliwuje wroga z gzymsu.

Udaje mi się otworzyć bramę.

– *Pax au Telemanus! Pax au Telemanus!*

Pax odpycha mnie na bok. Jest bez koszuli, masywny, umięśniony i rozwrzeszczany. Włosy pomalował na biało i ułożył w dwa sterczące rogi. Kawał drewna długości mojego ciała służy mu za pałkę. Uczniowie Domu Ceres odskakują w tył. Część upada, część się potyka. Jakiś chłopak zaczyna krzyczeć, w miarę jak Pax się do nich zbliża.

– *Pax au Telemanus! Pax au Telemanus!*

Nie chce żadnych przydomków, gdy szarżuje naprzód niczym szalony Minotaur. Gdy trafia pałką skłębioną masę uczniów Ceres, rozpętuje się piekło. Chłopcy i dziewczęta latają w powietrzu jak sieczka w dzień dożynek.

Reszta mojej armii wbiega do środka tuż za tym wariatem. Zaczynają wyć, ale nie dlatego, że im kazałem, i nie dlatego, że uważają się za Wycjów Sevro, ale dlatego, że to dźwięk, który usłyszeli, gdy moi żołnierze wynurzyli się z końskich brzuchów, dźwięk, który wprawił ich serca w drzenie. Teraz nadeszła ich kolej, gdy walka przeistacza się w bijatykę. Pax wykrzykuje swoje i moje imię, gdy zdobywa dla mnie cytadelę niemal wyłącznie w pojedynkę. Łapie jakiegoś chłopaka za nogę i używa go jak pałki. Mustang krąży po polu bitwy niczym walkiria, niewołąc tych, którzy leżą ogłuszeni.

W ciągu pięciu minut piece i twierdza są nasze. Zamykamy wrota, wyjemy i zajadamy się pieprzonym chlebem.

Uwalniam niewolników Domu Diana, którzy pomogli mi zdobyć twierdzę, i każdemu z nich poświęcam chwilę. Tactus siedzi na plecach jakiego biedaka, związując włosy swojego więźnia w dziewczęce kucyki. Popycham go, żeby z niego zszedł. Uderza mnie w rękę.

– Nie dotykaj mnie.

– Coś ty powiedział? – warczę.

Podnosi się błyskawicznie, ledwie sięgając mi nosem do brody, i mówi bardzo cicho, tak żebym tylko ja go usłyszał:

– *Posłuchaj, wielkoludzie. Jestem z rodziny Valii. Moja czysta krew cofa się aż do czasów*

Zwycięstwa. *Mógłbym cię kupić i sprzedać za swoją tygodniówkę, więc nie poniżaj mnie tak, jak robisz to z resztą, królu szkolnego podwórka.* – A później dodaje głośniejszym tonem, tak by usłyszeli go pozostali: – Robię, co chcę, bo zdobyłem dla ciebie ten zamek i spałem we flakach zdechłego konia, żebyśmy mogli podbić Minerwę! Zaslługuję na *trochę* zabawy.

Przysuwam się bliżej.

– *Dwa litry.*

Przewraca oczami.

– Co tam mamrocześ pod nosem?

– *Tyle krwi każę ci połknąć.*

– Cóż, silniejszy ma zawsze rację – chichocze, odwracając się do mnie plecami.

Opanowując gniew, mówię członkom swojej armii, że dopóki noszą wilczą pelerynę, nigdy nie będą w tej grze niewolnikami. Jeśli nie podoba im się ten pomysł, mogą odejść. Nikt się nie zgłasza, ale mogłem się tego spodziewać. Chcą wygrać, ale żeby wypełniać moje rozkazy i zrozumieć, iż nie uważam się za wielkiego i wspaniałego imperatora, ich dumne serca muszą poczuć, że darzę je szacunkiem. Upewniam się więc, że o tym wiedzą. Każdemu z uczniów mówię szczególny komplement. Taki, który zapamiętają na zawsze.

Nawet gdy będę niszczył ich Elitę, stojąc na czele miliarda wrzeszczących Czerwonych, opowiedzą później swoim dzieciom, że Darrow z Marsa poklepał ich kiedyś po ramieniu i wypowiedział komplement.

Pokonani uczniowie z Domu Ceres z niedowierzaniem obserwują, jak uwalniam swoją armię niewolników. Niczego nie rozumieją. Rozpoznają mnie, ale nie pojmują, dlaczego nie ma tu żadnego innego ucznia Marsa, dlaczego jestem u władzy i dlaczego myślę, że uwalnianie niewolników jest dozwolone. Gdy tak się gapią, Mustang bierze ich do niewoli, znakując symbolem Minerwy. Są podwójnie dezorientowani.

– Zdobądźcie dla mnie fortecę, a zwrócimy wam wolność – mówię. Ich ciała różnią się od naszych. Są bardziej miękkie od nadmiaru chleba i małej ilości mięsa. – Musieliście się stęsknić za dziczyzną. W waszej diecie brakuje białka.

Przynieśliśmy ze sobą mnóstwo mięsa do podziału.

Uwalniamy kilku niewolników schwytych przez Ceres miesiąc wcześniej. Jest ich niewielu, głównie z Domu Mars albo Junona. Uważają ten sojusz za dziwny, ale po tygodniach spędzonych na harówce przy piecach gorzka pigułka jest łatwiejsza do przełknięcia.

Noc kończy się nieprzyjemnym akcentem, gdy Mustang budzi mnie po godzinie snu. Siedzi na krawędzi mojego łóżka. Gdy ją dostrzegam, ogarnia mnie przerażenie, że przyszła tu z całkiem innego powodu i że jej dłoń spoczywająca na moim udzie oznacza coś prostszego, ludzkiego. Zamiast tego

przynosi mi wieści, których wolałbym nigdy nie usłyszeć.

Tactus podważył mój autorytet i próbował zgwałcić w nocy jedną z niewolnic Ceres. Milia przyłapała go na gorącym uczynku, a Mustang ledwie udało się powstrzymać ją od zaszlachtowania Tactusa na tysiąc różnych sposobów. Wszyscy są oburzeni jego zachowaniem.

– Jest naprawdę źle – mówi Mustang. – Uczniowie Diany założyli broje i chcą odbić go z rąk Milii i Paxa.

– Są na tyle szaleni, by walczyć z *Paxem*?

– Na to wygląda.

– Ubiorę się.

– Tylko szybko.

Dwie minuty później spotykam się z nią w pokoju narad Ceres. Na blacie stołu ktoś zdążył wyciąć mojego slinga. Udało mu się to o wiele lepiej niż mnie.

– Jakies pomysły? – Opadam na miejsce naprzeciwko niej. Rada składa się z naszej dwójki. W takich momentach tęsknię za Cassiusem, Roque i Quinn, ale najbardziej za Sevro.

– Gdy Titus zrobił to samo, powiedziałaś, że sami stanowimy prawo. Skazałaś go na śmierć. Dalej stosujemy się do tej zasady? A może wymyślimy coś wygodniejszego? – pyta, jakby z góry zakładała, że Tactus uniknie poniesienia odpowiedzialności.

Kiwam głową, zaskakując ją.

– Zapłaci za to.

– To... takie wkurzające. – Zdejmuje stopy ze stołu i nachyla się, kręcąc głową. – Jesteśmy stworzeni do czegoś lepszego. Tacy mają być wszyscy Naznaczeni: wyzbywający się pragnień – unosi palce w cudzysłowie – „niewolących” słabsze Kolory.

– Tu nie chodzi o pragnienia. – Stukam w blat w przyływie frustracji. – Chodzi o władzę.

– Tactus jest z Domu Valii! – podnosi głos Mustang. – Jego ród jest starożytny. Ile władzy pragnie ten dupek?

– Chce władzy nade mną – wyjaśniam. – Powiedziałem mu, że nie może czegoś zrobić, a teraz on chce udowodnić, że jest odwrotnie.

– Więc nie jest kolejnym dzikusiem jak Titus.

– Spotkałaś go. Oczywiście, że jest dzikusiem. Ale nie. To była zagrywka taktyczna.

– Ten sprytny dupek postawił cię w trudnej sytuacji.

Walę pięścią w stół.

– Nie podoba mi się, że ktoś powoduje konflikty. To prosta droga do przegranej.

– Tak naprawdę nie ma tu wygranej. To nie skończy się niczym dobrym. Ktoś i tak zacznie cię nienawidzić. Musimy po prostu znaleźć sposób, który przyniesie najmniej szkód. Racja?

– A co ze sprawiedliwością?

Jej brwi szybują w górę.

– A co z wygraną? Chyba tylko to się liczy, prawda?

– Chcesz mnie wpędzić w pułapkę?

Uśmiecha się.

– Tylko cię sprawdzam.

Marszczę brwi.

– Tactus zabił Tamarę, swojego Prymusa. Podciął jej siodło, a potem po niej przejechał. Jest szurnięty. Zasluguje na każdą karę, jaką mu wymierzymy.

Wyraz twarzy Mustang sugeruje, że można się było tego spodziewać.

– Wie, czego chce, i bierze to.

– Urocze – mruczę pod nosem.

Przekrzywia głowę w bok, taksując wzrokiem moją twarz.

– To rzadkość.

– Co takiego?

– Myliłam się co do ciebie. To rzadkość.

– A czy ja myślę się w przypadku Tactus? Jest niebezpieczny, a może chce nas oszukać? A może po prostu lepiej rozumie sens gry.

– Nikt nie rozumie tej gry.

Mustang znów kładzie ubłocone buty na stole i odchyła się na krześle. Długi warkocz złotych włosów opada jej za ramię. Ogień na kominku trzeszczy, odbijając się w oczach. Gdy uśmiecha się w ten sposób, nie tęsknię za starymi przyjaciółmi. Proszę ją, by wytłumaczyła, o co jej chodzi.

– Nikt nie rozumie gry, bo nikt nie zna zasad. Nikt nie przestrzega tego samego kodeksu. To przypomina życie. Niektórym się wydaje, że honor jest wartością uniwersalną. Niektórzy myślą, że Prawo obowiązuje wszystkich. Inni po prostu mają więcej oleju w głowie. Ale koniec końców ci, którzy osiągnęli władzę dzięki truciznie, umierają od niej.

Wzruszam ramionami.

– Tylko w książkach. W prawdziwym życiu często nie ma nikogo, kto mógłby ich otruć.

– W takim razie oczekujcie zemsty oko za oko, uczniowie Ceres. Jeśli ukarzesz Tactusa, wkurzysz dzieciaków z Diany. Zdobyli dla ciebie twierdzę, a ty plujesz na nich za to. Pamiętaj, że dla nich liczy się to, że Tactus przez pół dnia ukrywał się dla *ciebie* w brzuchu martwego konia, gdy ty zdobywałeś mój zamek. Uraza będzie w nich nabrzmiwać, równie denerwująca, jak biurokracja Miedziaków. Jeśli go nie ukarzesz, stracisz wszystkich uczniów Ceres.

– Nie mogę sobie na to pozwolić. – Wzdycham. – Już raz oblałem ten sprawdzian. Skazałem Titusa na śmierć, myśląc, że wymierzam sprawiedliwość. Myliłem się.

– Tactus to Żelazny Złoty. Jego rodzina jest tak stara, jak sama Elita. Dla nich współczucie, litość i reformy są jak choroba. Tactus nie różni się niczym od reszty rodziny. Nie zmieni się, niczego się nie nauczy. Wierzy w siłę. Pozostałe Kolory nie są dla niego ludźmi. Pośledni Złoci nie są dla niego ludźmi. Jest z góry skazany na swój los.

A ja jestem Czerwonym udającym Złotego. Żaden człowiek nie jest z góry skazany na swój los. Mogę go zmienić. Wiem, że mogę. Tylko jak?

– Jak myślisz, co powinienem zrobić?

– Ha! Wielki Kosiarz. – Klepie się po udzie. – Czy kiedykolwiek przejmowałeś się tym, co ktoś myśli?

– Ty nie jesteś tylko *kimś*.

Mustang kiwa głową i odzywa się po chwili:

– Któregoś razu mój nauczyciel, Pliniusz, będący skądinąd dość upiornym człowiekiem, opowiedział mi pewną historię. W dodatku został Politykiem, więc wysłuchałam jej z przymrużeniem oka. A wracając do opowieści, na Ziemi był sobie człowiek i jego wielbłąd. – Wybucham śmiechem. Niezrażona Mustang ciągnie dalej: – Podróżowali razem przez wielką pustynię pełną niebezpieczeństw. Któregoś dnia, gdy człowiek rozbijał obóz, wielbłąd kopnął go bez powodu. Człowiek wychłostał więc wielbłąda. W rany zwierzęcia wdało się zakażenie i zdechło, pozostawiając człowieka samemu sobie.

– Najpierw dłonie, teraz wielbłądy. Ty i te twoje metafory...

Wzrusza ramionami.

– Bez armii jesteś jak ten samotny człowiek na pustyni. Stąpaj ostrożnie, Kosiarzu.

Rozmawiam z Nylą, dziewczyną z Ceres, w cztery oczy. Jest cicha. Bardzo inteligentna, ale brakuje jej siły fizycznej. Przypomina roztrzęsionego ptaka, Leę. Ma zakrwawioną, spuchniętą wargę. Mam ochotę wykastrować Tactusa. Ta dziewczyna nie jest wypaczona jak reszta. Z drugiej strony, udało jej się przejść Chrzest.

– Powiedział, że chce, żebym wymasowała mu ramiona. Kazał mi to zrobić, bo był moim panem i zdobył zamek okupił krwią. A potem próbował... cóż... sam wiesz.

Setki pokoleń mężczyzn posługiwało się tą samą nieludzką logiką. Smutek, jaki rozbudzają we mnie jej słowa, sprawia, że tęsknię za domem. Ale nawet tam się to wydarzyło. Pamiętam krzyki, od których trzęsła się chochla do zupy w dłoni mojej matki.

Nyla mruga i wbija wzrok w podłogę.

– Powiedziałam mu, że jestem niewolnicą Mustang i Minerwy, że to jej sztandar i wcale nie muszę go słuchać. Ale on dalej przyciskał mnie do ziemi. Krzyczałam. Uderzył mnie, a potem trzymał za gardło, aż zaczęłam tracić przytomność i ledwie wyczuwałam zapach jego wilczej skóry. Potem ta wysoka dziewczyna, Milia, zepchnęła go ze mnie.

Nie wspomniała ani słowem, że w pokoju byli inni żołnierze Diany, którzy wszystko widzieli. Moja armia. Dałem im władzę, a oni wykorzystują ją w taki sposób. To moja wina. Należą do mnie, ale są skorumpowani. Ukaranie jednego z nich nic nie zmieni. Muszą zapragnąć być dobrymi ludźmi.

– Co chcesz, żebym z nim zrobił? – pytam.

Nie wyciągam ręki, by ją pocieszyć. Nie potrzebuje tego, choć wydaje mi się, że ja tak. Przypomina mi Evey.

Nyla dotyka swych brudnych, kręconych włosów i wzrusza ramionami.

– Nic.

– Nic to za mało.

– Niby co miałbyś uczynić? Naprawić to, co próbował zrobić? – Kręci głową, obejmując się rękami.

– Nic w zupełności wystarczy.

Następnego ranka zbieram swą armię na placu. Kilkunastu uczniów utyka. Niewiele kości Aureatów jest w stanie ulec złamaniu, więc większość obrażeń odniesionych w trakcie napaści jest powierzchowna. Wyczuwam urazę uczniów Ceres i Diany. To rak, który toczy organizm tej armii, bez względu na to, przeciwko komu jest skierowany. Pax wyprowadza Tactusa przed wszystkich i popycha go na kolana.

Pytam, czy próbował zgwałcić Nylę.

– W trakcie wojny prawo nie obowiązuje – cedzi, przeciągając słowa.

– Nie cytuj mi tu Cyserona. Jesteś stworzony do czegoś więcej niż plądrowania.

– Przynajmniej w tym jednym się zgadzamy. Jestem wyższą istotą, wywodzącą się z dumnego rodu z chwalebnym dziedzictwem. Rządzą najsilniejsi, Darrow. Jeśli coś biorę, zasługuję, by to mieć. To coś, w co wierzą Naznaczeni.

– Miarą wartości człowieka jest suma jego czynów – mówię.

– Przejdźmy do sedna, Kosiarszu – warczy Tactus, pewny siebie tak jak inni przed nim. – To ofiara wojny. Moja siła obezwładniła ją. Słabi uginają karki przed silnymi.

– Jestem silniejszy od ciebie, więc mogę zrobić z tobą, co tylko chcę, prawda?

Milczy, uświadomiwszy sobie, że wpadł w pułapkę.

– Pochodzisz z rodziny zajmującej wyższe miejsce w hierarchii. Moi rodzice nie żyją. Jestem jedynym przedstawicielem swojego rodu, a mimo to jestem lepszą istotą od ciebie.

Tactus uśmiecha się szyderczo.

– Nie zgadzasz się? – Rzucam mu pod nogi nóż i wyciągam własny. – Ależ proszę, opowiedz o swoich obawach. – Nie podnosi noża. – Dzięki nadanej mi władzy zrobię z tobą, co mi się podoba.

Ogłaszam, że od tej pory gwałt jest czynem niedozwolonym, a potem pytam Nylę, jaką wymierzyłaby mu karę. Tak jak mówiła wcześniej, nie chce dla niego kary. Upewniam się, że wszyscy o tym wiedzą, żeby pod jej adresem nie padły później żadne bezpodstawne oskarżenia. Tactus i jego uzbrojeni sojusznicy gapią się na nią ze zdumieniem. Nie rozumieją, dlaczego Nyla nie chce zemsty, ale to nie powstrzymuje ich od posłania sobie znaczących uśmieszków. Wydaje im się, że ich wódz uniknął kary.

– Zostaniesz ukarany dwudziestoma batami, Tactusie. Próbowaleś posiąść coś, co wykracza poza granice gry. Poddałeś się swoim żalonym, zwierzęcym instyktom. Twoja zbrodnia jest mniej wybaczalna od morderstwa. Mam nadzieję, że będziesz czuł wstyd za każdym razem, gdy powrócisz do tego wspomnienia, choćby nawet za pięćdziesiąt lat, i zdasz sobie sprawę z własnej słabości. Ufam, że będziesz się bał, że twoje dzieci mogą odkryć, co próbowaleś zrobić jednemu ze swoich. Na razie dwadzieścia batów wystarczy.

Część uczniów Diany występuje z szeregu w przyplýwie gniewu, ale Pax kładzie siekię na ramieniu w wymownym geście, a oni cofają się, obrzucając mnie morderczymi spojrzeniami. Zdobyli dla mnie twierdzę, a ja za chwilę wychłostam ich ulubionego wojownika. Armia umiera na moich oczach, gdy Mustang zdejmuje Tactusowi koszulę. Chłopak wpatruje się we mnie jak wąż. Wiem, jakie paskudne myśli krążą mu po głowie. To samo myślałem o swoich oprawcach.

Wymierzam dwadzieścia brutalnych razów. Krew spływa Tactusowi po plecach. Pax musi powstrzymać jednego z żołnierzy Diany przed pośpieszeniem mu na pomoc.

Tactusowi ledwie udaje się stanąć na nogach. W jego oczach płonie gniew.

– To był błąd – szepcze do mnie. – Duży błąd.

Chwilę później kompletnie go zaskakuję. Wciskam mu bat do ręki i obejmując tył jego głowy, przysuwam go do siebie.

– *Zasłużyłeś na to, by urwać ci jaja, samolubny draniu* – szepczę mu do ucha. – To moja armia – dodaję głośniej. – *Moja* armia. Jestem odpowiedzialny za zło, jakie wyrządza, tak samo jak ty. Za każdym razem gdy popełnisz podobną zbrodnię, coś nieuzasadnionego i perwersyjnego, odpowiedzialność spadnie na ciebie w takim samym stopniu, co na mnie. Gdy robisz coś nikczemnego, krzywdzisz nas wszystkich.

Tactus sterczy jak idiota. Jest zagubiony.

Uderzam go mocno w pierś. Potyka się. Idę za nim, popychając go co chwila.

– Co właściwie chciałeś zrobić? – Popycham jego dłoń trzymającą bat w stronę jego piersi.

– Nie wiem, o czym mówisz... – mamrocze.

– No dalej, stary! Chciałeś wepchnąć swojego fiuta w kogoś należącego do *mojej* armii. Skoro już zacząłeś, to może i mnie wychłuszczesz, co? To będzie proste. Milia nawet nie spróbuje cię dźgnąć, obiecuję.

Znów go popycham. Rozgląda się dokoła. Nikt się nie odzywa. Zdzieram koszulę i osuwam się na kolana. Powietrze jest zimne. Pod kolanami mam kamień i śnieg. Odwzajemniam spojrzenie Mustang. Mruga do mnie, a ja czuję, że mogę zrobić wszystko. Każę Tactusowi wymierzyć mi dwadzieścia pięć batów. Zniosłem gorszą karę. Jego ramiona są słabe, tak samo wola. Każde uderzenie piecze niemiłosiernie, ale po pięciu razach wstaję i podaję bat Paxowi.

Zaczynają odliczać od sześciu.

– Od początku! – krzyczę. – Ten żaloszny kundel nie umie się nawet zamachnąć na tyle mocno, żeby zrobić mi krzywdę.

Ale Pax umie. I to cholernie dobrze.

Moja armia krzyczy w proteście. Niczego nie rozumieją. Złoci tak nie postępują. Nie poświęcają się dla innych. Przywódcy tylko biorą, nie dając nic w zamian. Żołnierze znów głośno protestują. Pytam ich, czy to gorsze od gwałtu, na który wszyscy tak chętnie przymknęli oko. Przecież Nyla jest teraz jedną z nas. Nie wiedzą, że stanowi część tego samego organizmu?

Tak samo jest w przypadku Czerwonych, Obsydianów, wszystkich pozostałych Kolorów.

Pax próbuje być delikatny, ale to w końcu Pax, więc gdy kończy, moje plecy wyglądają jak przeżute kozie mięso. Wstaję. Robię wszystko, co w mojej mocy, by się nie chwiać. Przed oczami widzę

gwiazdy. Chce mi się wyć. Chce mi się płakać. Zamiast tego ogłaszam, że każdy, kto uczyni coś złego – doskonale wiedzą, co mam na myśli – będzie musiał wychłostać mnie na oczach całej armii. Teraz widzę, jak patrzą na Tactusa, na Paxa i na moje plecy.

– Nie podążacie za mną dlatego, że jestem najsilniejszy. Pax jest. Nie podążacie za mną, bo jestem najmądrzejszy. Mustang jest. Podążacie za mną, ponieważ nie wiecie, w jakim zmierzacie kierunku. Ja wiem.

Przyzywam do siebie Tactusa. Trzęsie się, jest blady i zdezorientowany jak nowo narodzone jagnię. Na jego twarzy maluje się lęk. Lęk przed nieznanym, przed bólem, który dobrowolnie zniosłem. Ogarnia go strach, gdy uświadamia sobie, jak bardzo się ode mnie różni.

– Nie bój się – mówię. Obejmuję go ramionami w uścisku. – Jesteśmy braćmi krwi, ty mały gnojku. Braćmi krwi.

Uczę się.

Rozdział trzydziesty siódmy

Południe

– Kurwa mać! – krzyczę, gdy Mustang nakłada maść na moje plecy w pokoju narad. – Dlaczego?

– Miarą wartości człowieka jest suma jego czynów. – Wybucham śmiechem. – Zakpiłeś z niego, że zacytował Cyncerona, a potem zasunąłeś mu Platonem.

– Platon jest starszy. Rozkłada Cyclerona na łopatki. Ała!

– O co chodziło z tymi braćmi krwi? To absolutnie nic nie oznacza. Równie dobrze mogłeś powiedzieć, że jesteście kuzynami.

– Nic nie wiąże ludzi tak bardzo, jak wspólne cierpienie.

– Cóż, jest tego więcej. – Wyciąga z rany kawałek skóry. Z mojego gardła wyrywa się krzyk.

– Wspólne cierpienie... – Dygoczę. – Nie wyrządzone sobie nawzajem. Psychotyczny... Ała!

– Skamlesz jak dziewczyna. Myślałam, że męczennicy są twardzi. Choć z drugiej strony, możesz być kompletnie szurnięty. To chyba skutek gorączki. Tak na marginesie, Pax nabawił się przez ciebie poważnej traumy. Ciągłe płacze. Świetna robota.

Słyszę, jak Pax pociąga nosem w zbrojowni.

– Ale podziałało, prawda?

– Jasne, mesjaszu. Zrobiłeś z siebie obiekt kultu – mówi cierpkim tonem. – Wznoszą dla ciebie świątynię na dziedzińcu. Klęczą, wychwalając chórem twoją mądrość. O wielki panie, umrę ze śmiechu, gdy odkryją, że tak naprawdę wcale cię nie lubią i mogą wychłostać, kiedy tylko przyjdzie im ochota. A teraz leż spokojnie, Pixie. I przestań gadać. Denerwujesz mnie.

– Wiesz, gdy skończymy szkołę, powinnaś zostać Różową. Twój dotyk jest taki delikatny.

Mustang uśmiecha się krzywo.

– Chcesz mnie wysłać do Różanego Ogrodu? Ha! To by doprowadziło mojego ojca do szału. Och, przestań jęczeć. Żart wcale nie był taki zły.

Następnego dnia zajmuję się organizowaniem armii. Przydzielam Mustang obowiązek wybrania sześciu oddziałów złożonych z trzech zwiadowców. Mam pięćdziesięciu sześciu żołnierzy, z których więcej niż połowa to niewolnicy. Każę jej umieścić w każdej grupie ucznia Ceres, z tych najbardziej ambitnych. Dostają sześć z ośmiu krótkofalówek, które znalazłem w warowni Ceres. Urządzenia są prymitywne i ciągle trzeszczą, ale dają mojej armii coś, czego nigdy wcześniej nie mieli – ewolucję wykraczającą poza wysyłanie sygnałów dymnych.

– Rozumiem, że wymyśliłeś jakiś plan, który zakłada coś więcej niż tylko wyruszenie na południe niczym mongolska horda... – mówi Mustang.

– Oczywiście. Najpierw zlokalizujemy Dom Apollo.

Jestem wierny obietnicy złożonej Fitchnerowi.

Zwiadowcy opuszczają tej nocy Dom Ceres, rozchodząc się na południe w sześciu różnych kierunkach. Moja armia idzie w ich ślady o świcie, tuż przed wschodem zimowego słońca. Nie

zaprzepaszczę tej okazji. Zima zmusiła Domy do zaszycia się w fortcach. Głębokie zasy i ukryte szczeliny sprawiają, że ciężka jazda kawalerii jest powolna, mniej użyteczna. Gra zwolniła tempo, ale ja nie. Mars i Jupiter mogą napadać się do woli. Wrócę po nich później.

Wraz z zapadnięciem nocy po drugim dniu wędrówki na południe widzimy twierdzę Junony podbitą przez Jupitera. Leży na zachód w jednym z dopływów rzeki Argos. Otacza ją górski łańcuch. Za nim znajdują się wysokie na sześć kilometrów ściany Valles Marineris. Moi ludzie przynoszą mi wieści o trójce wrogich zwiadowców i wojsku na skraju lasów na wschodzie. Myślą, że to ludzie Szakala z Domu Pluton. Konie są czarne, a włosy jeźdźców ufarbowane na ten sam kolor i ozdobione kośćmi. Mówią, że klekoczą na wietrze jak bambusowe dzwoneczki.

Kimkolwiek są, nigdy nie podchodzą zbyt blisko. Nigdy nie wpadają w moje pułapki. Podobno dowodzi nimi dziewczyna. Jeździ na srebrnym koniu udrapowanym skórzaną narzutą zszytą białymi kośćmi – najwidoczniej ekipy medyczne na południu nie są aż tak skuteczne. Wydaje mi się, że to Lilath. Ona i jej zwiadowcy znikają na południu, gdy od południowego wschodu nadciąga większa banda i jedzie wzdłuż Wielkiej Kniei.

To armia z prawdziwego zdarzenia na prawdziwych koniach.

Samotny jeździec wysuwa się naprzód. Trzyma proporzec z łuczniakiem Apolla. Włosy ma długie i rozpuszczone, a twarz wysmaganą surowym, zimowym wiatrem nadpływającym od strony południowego morza. Rana na czole o mały włos nie pozbawiła go oczu, które wpatrują się we mnie jak dwa płonące węgle w opalonej twarzy.

Wychodzę mu na spotkanie po tym, jak przekazałem swej armii, by sprawiała wrażenie najbardziej zmęczonej i żalosnej, jak tylko się da. Paxowi kiepsko to wychodzi. Mustang każe mu klęknąć, więc wygląda względnie normalnie, a potem wchodzi mu na ramiona i zaczyna bitwę na śnieżki, gdy przybysz podchodzi bliżej. To hałaśliwa, głupia zabawa, a moja armia wygląda dzięki niej cudownie bezbronne.

Udaję, że utykam. Zrzucam pelerynę. Symuluję dreszcze. Upewniam się, że mój żalosny stalowy miecz wygląda bardziej jak laska niż broń. Zginam się wpół, gdy tamten podchodzi, i zerkam w tył na swoją bawiącą się armię. Wyraz zażenowania na mojej twarzy prawie ustępuje chęci wybuchnięcia głośnym śmiechem. Ledwie udaje mi się go stłumić.

Głos nieznanego przypomina stal szorującą po szorstkim kamieniu. Nie ma w nim śladu poczucia humoru, żadnego zrozumienia faktu, że wszyscy nadal jesteśmy nastolatkami grającymi w grę, podczas gdy poza granicami doliny nadal toczy się prawdziwe życie. Na Południu wydarzyły się rzeczy, które sprawiły, że o tym zapomnieli, więc gdy uśmiecham się do niego zachęcająco, chłopak nie odwzajemnia się tym samym. To dorosły mężczyzna. Chyba po raz pierwszy widzę kogoś, kto przeszedł pełną transformację.

– Jesteście godnymi pożałowania niedobitkami z Północy – odzywa się szyderczym głosem Novas, Prymus Apolla. Próbuje zgadnąć, z którego jesteście Domu. Zadałem o to, by jedynym sztandarem, jaki widzi, był ten Ceres. Jego oczy błyszczą. Pragnie go dla własnej chwały. Z radością zauważa, że więcej niż połowa pięćdziesięciosześciosobowej armii to niewolnicy. – Nie przetrwacie długo na

Południu. Jeśli liczyliście na schronienie przed zimnem, ciepłe posiłki i łóżka, to się pomyliliście. Południe bywa bardzo nieprzyjazne.

– Nie sądzę, żeby było gorsze od Północy – mówię. – Mają tam miecze i broje pulsacyjne. Cenzorzy odwrócili się od nas.

– Nie są tu po to, żeby was faworyzować, słabeuszu. Pomagają tym, którzy pomagają sobie nawzajem.

– Robiliśmy to najlepiej, jak potrafimy – odpowiadam potulnym tonem.

Novas spluwa na ziemię.

– Nie jęcz, smarkaczu. Południe nie toleruje łez.

– Ale... ale Południe nie może być gorsze od Północy. – Wzdrygam się i opowiadam mu o Kosiarzu z wyżyn. O potworze. Brutalu. Zabójcy. Same złe rzeczy.

Kiwa głową, gdy o nim wspominam. A więc słyszał o mnie.

– Twój Kosiarz nie żyje. Co za szkoda. Z rozkoszą stanąłbym z nim do walki.

– Był jak demon!

– My też mamy tu swoje demony. Jednookiego potwora w lasach i jeszcze gorszą bestię w górach na zachodzie. Szakala – zwierza się, kontynuując przemowę.

Proponuje mi dołączenie do Apolla w roli najemnika, nie niewolnika. Pomoże mi pokonać Szakala, a potem podbić Północ. Zostaniemy sojusznikami. Uważa mnie za słabego i głupiego.

Zerkam na swój pierścień. Cenzor Apolla będzie wiedział, co powiedziałem. Chcę, by wiedział, że mam zamiar zniszczyć jego Dom. Jeśli ma zamiar spróbować mnie powstrzymać, oto jego zaproszenie.

– Nie. Moja rodzina wyrzekłaby się mnie. Gdybym do ciebie dołączył, byłbym dla nich nikim. Wybacz. – W głębi duszy uśmiecham się. – Mamy wystarczająco dużo jedzenia, by podróżować przez wasze ziemie. Jeśli nam pozwolicie, nie będziemy...

Novas uderza mnie w twarz.

– Ale z ciebie Pixie. Przestań się trząść. Przynosisz wstyd swojemu Kolorowi. – Nachyla się w moją stronę. – Utknąłeś w walce między gigantami i zostaniesz zmiażdżony. Dorośnij, zanim po ciebie przyjdziemy. Nie walczę z dziećmi.

W tej chwili Mustang trafia go śnieżką w głowę. Jej rzut jest celny, a śmiech szczery.

Novas nie reaguje. Jedyne, co się porusza, to jego wierzchołek, który obraca się, by zabrać go

z powrotem do bandy. Obserwuję, jak odjeżdża, i czuję przenikający mnie niepokój.

– Wracaj do domu, mały łuczniku! – woła za nim Tactus. – Wracaj do mamusi!

Novas dołącza do swoich trzydziestu koni. Naszą jedyną kawalerią są zwiadowcy. Nie są w stanie odeprzeć broni jonowej w pełnym ataku, nawet w otoczeniu głębokich zwałów śniegu. Nasza broń jest wykonana ze wzmocnionej stali. Za zbroje służą nam zwykle pancerze albo wilcze skóry. Ja nie noszę żadnej. Na razie nie planuję walki. Nie otrzymaliśmy jeszcze nagród za zdobycie twierdzy Ceres i ich sztandaru. Cenzorzy zapomnieli o nas, ale pogoda wręcz przeciwnie. W normalnych okolicznościach piechota szybko przegrywa w bezpośrednim starciu z kawalerią, ale śnieg i jego zdradzieckie głębokie chronią nas.

Rozbijamy obóz na zachodnim brzegu rzeki, blisko pasma gór, z dala od otwartej przestrzeni rozciągającej się przed mroczną Wielką Knieją. Konnica Apolla musi teraz przejść przez zamrożoną rzekę w ciemnościach, jeśli chce napaść na nasz uspioły obóz. Wiem, że spróbują, gdy tylko uznają nas za słabych. Poniosą sromotną klęskę. Banda arogantów. Wraz z zapadnięciem zmroku wysyłam Paxa i jego grupę osiłków z siekierami, by naruszyli nieco grubą warstwę lodu. Nocą słyszymy przeraźliwe rżenie koni i plusk ciał wpadających do wody. Medycy zlatują z nieba ratować życie uczniom, którzy automatycznie wypadają z gry.

Wędrujemy dalej na południe, zmierzając do miejsca, gdzie według zwiadowców leży zamek Apolla. Wieczorem jemy porządną posiłek. Przygotowujemy zupę na mięsie i kościach upolowanych zwierząt. Chleb przechowujemy w prowizorycznych plecakach. To jedzenie utrzymuje moją armię w dobrym humorze. Jak powiedział kiedyś pewien wielki wódz, pogromca słynnego Korsykanina, armia maszeruje na brzuchu.

Mustang idzie obok mnie na czele kolumny. Ledwie sięga mi do ramienia. Gdy brniemy przez głęboki śnieg, prawie wybucham śmiechem, gdy widzę, jak próbuje dotrzymać mi kroku. Jak tylko zwalnim, patrzy na mnie spode łba. Jej warkocz podskakuje, odbijając się od pleców. Kiedy docieramy na pewniejszy grunt, ogląda się przez ramię. Jej zadarty nos jest czerwony jak wiśnia, ale oczy przypominają kolorem płynny miód.

– Ostatnio nie sypiasz zbyt dobrze – zauważa.

– A kiedy ja właściwie śpię, co?

– Gdy jesteś obok mnie. Płakałeś przez pierwszy tydzień spędzony w lesie. Potem spałeś jak niemowlę.

– Zapraszasz mnie z powrotem?

– Nigdy nie kazałam ci odchodzić. – Milknie na chwilę. – Dlaczego więc to zrobiłeś?

– Rozpraszasz mnie – mówię.

Wybucho śmiechem, nim wraca do marszu, teraz u boku Paxa. Zostaję sam, zaskoczony zarówno jej

słowami, jak i swoją odpowiedzią. Nigdy nie sądziłem, że będzie ją obchodzić, że się oddaliłem. Moje usta rozciągają się w uśmiešku, który dostrzega Tactus.

– Papużki nierozłączki – nuci pod nosem.

Ciskam śnieżką w jego głowę.

– Ani słowa więcej.

– Muszę z tobą porozmawiać. *Na poważnie*. – Podchodzi bliżej, biorąc głęboki wdech. – Tobie też staje od samego bólu pleców, tak jak mnie? – śmieje się.

– Czy ty kiedykolwiek jesteś poważny?

Jego przenikliwe oczy błyszczą.

– Och, wiesz, wcale nie chcesz, żebym był poważny.

– Co powiesz na „posłuszny”?

Klaszcze w dłonie.

– Cóż, dobrze wiesz, że nie bardzo podoba mi się pomysł bycia na smyczy.

– A widzisz ją gdzieś? – pytam, wskazując na jego czoło, gdzie powinien być znak niewolnika.

– Skoro wiesz, że nie potrzebuję smyczy, możesz powiedzieć mi, dokąd idziemy. Byłbym wtedy bardziej... *efektywny*.

Nie prowokuje mnie, bo mówi przyciszonym głosem. Po chłóście, jaką obaj przeszliśmy, przywiązał się do mnie w przerażająco lojalny sposób. Pomimo uśmiechów i kpin wiem, że jest mi posłuszny, a jego pytanie szczere.

– Idziemy zniszczyć Apolla.

– Dlaczego akurat jego? Czy nasze zadanie polega wyłącznie na przypadkowym usuwaniu kolejnych Domów, czy może chodzi o coś więcej?

Ton jego głosu sprawia, że przekrzywiam głowę. Zawsze przypominał mi wielkiego kota. Może chodzi o przyporządkowany o dreszcze swobodny sposób, w jaki biega. Jakby mógł coś zabić bez konieczności wyężdżania mięśni. A może to dlatego, że potrafię sobie wyobrazić, jak leży na kanapie i wylizuje się do czysta.

– Widziałem na śniegu pewne rzeczy – dodaje cicho. – A konkretnie odciski. Odciski, których nie pozostawiły ludzkie stopy.

– A co? Łapy? Kopyta?

– Nie, mój drogi przywódco. – Przysuwa się jeszcze bliżej. – Ślady linearne. – Dociera do mnie znaczenie jego słów. – Pozostawione przez bardzo nisko latające buty grawitacyjne. Powiedz mi, dlaczego Cenzorzy nas śledzą? Dlaczego noszą niewidzialne peleryny?

To, że wszystko powiedział szeptem, nic nie zmienia, bo nadal nosimy pierścienie, ale Tactus nie ma o tym pojęcia.

– Dlatego że się nas boją.

– Chciałeś powiedzieć: ciebie. – Przygląda mi się bacznie. – Co takiego wiesz, czego ja nie wiem? Co mówisz Mustang, ale nie nam?

– Chcesz wiedzieć? – Nie zapomniałem o jego zbrodniach, ale ujmuję go za ramię i przyciągam do siebie jak brata. Wiem, jaka siła tkwi w dotyku. – W takim razie zetrzyj Dom Apollo z pieprzonej mapy, a zdradzę ci wszystko.

Jego usta wykrzywają się w zabójczym uśmiechu.

– Z rozkoszą, Kosiarzu.

Trzymamy się z dala od otwartych równin i wędrujemy dalej na południe wzdłuż rzeki, nasłuchując przez wspólne łącze sprawozdań zwiadowców o zamiarach wroga. Wygląda na to, że Apollo sprawuje kontrolę nad wszystkim. Jedyne ślady Szakala, jakie widzimy, to niewielkie grupy skautów. W jego żołnierzach jest coś dziwnego, coś, co mrozi krew w żyłach. Po raz tysięczny myślę o swoim wrogu. Co sprawia, że ten chłopak budzi taką grozę? Jest wysoki? Smukły? Umięśniony? Szybki? Brzydki? Co sprawiło, że ma taką reputację i przydomek? Nikt tego nie wie.

Zwiadowcy Plutona nigdy nie podchodzą zbyt blisko, pomimo pokusy, jaką stanowimy. Każę Paxowi nieść sztandar Ceres tak wysoko, żeby każdy kawalerzysta Apolla w promieniu kilku mil mógł widzieć, jak błyszczy. Każdy z nich uświadamia sobie, że to szansa na okrycie się chwałą. Niewielkie oddziały atakują nas co jakiś czas. Zwiadowcom wydaje się, że mogą zniszczyć naszą dumę i zapewnić sobie wyższą pozycję w szeregach swojego Domu. Przychodzą więc jak idioci w trzy- i czteroosobowych grupkach, a my gromimy ich dzięki łucznikom Ceres, lancom Minerwy albo pułapkom w postaci zakopanych w śniegu naostrzonych pali. Wgryzamy się w nich powoli, jak wilk odrywający kawałki mięsa jelenia. Zawsze puszczamy ich wolno. Chcę, by po powrocie do Domu byli wściekli jak cholera. Niewolnicy tacy jak oni tylko by nas spowolnili.

Tej nocy Pax i Mustang siedzą ze mną przy niewielkim ognisku i opowiadają o swoim życiu poza szkołą. Pax jest świetny, gdy pozwolić mu się wygadać – to zaskakująco energiczny mówca z nawykiem komplementowania wszystkiego w swoich opowieściach, wliczając w to czarne charaktery, więc tak naprawdę ciężko się domyślić, kto jest dobry, a kto zły. Opowiada nam, jak złamał kiedyś na pół berło ojca i że któregoś razu pomyłono go z Obsydianem i prawie wysłano na Agogę, gdzie ćwiczą się w walce w kosmosie.

– Chyba mogę powiedzieć, że zawsze marzyłem, by być Obsydianem – mówi grzmiącym głosem.

Gdy był chłopcem, wymykał się z letniej rezydencji rodziców w Nowej Zelandii na Ziemi i dołączał do Obsydianów, którzy odprawiali Nagogę, nocną praktykę będącą częścią ich treningu, polegającą na łupieniu i kradzieży jedzenia, by uzupełnić ubogą dietę obowiązującą na Agodze. Walczył z nimi o resztki jedzenia. Twierdzi, że zawsze wygrywał, dopóki nie spotkał Helgi. Mustang i ja wymieniamy znaczące spojrzenia i staramy się nie wybuchnąć śmiechem, gdy Pax rozwodzi się nad hojnymi kształtami Helgi, jej wielkimi pięściami i masywnymi udami.

– Wielką była ich miłość – mówię Mustang.

– Miłość zdolna wstrząsnąć ziemią – odpowiada.

Następnego ranka budzi mnie Tactus. Oczy ma równie zimne jak poranek.

– Nasze konie zdecydowały się uciec. Wszystkie. – Prowadzi mnie do uczniów Ceres, którzy pilnowali koni. – Żaden z nich nic nie widział. W jednej chwili konie tu były, a w następnej nie został po nich nawet ślad.

– Biedne konie muszą być zagubione – dodaje ze smutkiem Pax. – Wczoraj szalała burza. Może uciekły do lasu, żeby czuć się bezpieczniej.

Mustang podnosi liny, którymi zwierzęta były uwiązane w nocy. Węzły są przesunięte do połowy.

– Silniejsze, niż wyglądają – mówi z powątpiewaniem.

– Tactus, co o tym myślisz? – Kiwam głową w stronę lin.

Przenosi spojrzenie z Paxa na Mustang, zanim odpowiada.

– Zauważyłem ślady stóp...

– *Ale?*

– Po co się wysilać? – Wzrusza ramionami. – Dobrze wiesz, co mam zamiar powiedzieć.

To Cenzorzy rozluźnili więzy.

Nie mówię żołnierzom, co się stało, ale plotki szybko się rozchodzą, gdy ludzie tłoczą się obok siebie przy ogniu. Mustang nie zadaje zbędnych pytań, choć wie, że nie mówię jej wszystkiego. Przecież nie znalazłem ot tak sobie lekarstwa, które podałem jej w Północnym Lesie.

Staram się patrzeć na ten najnowszy incydent jak na test. Gdy zaczyna się rebelia, takie rzeczy się zdarzają. Jedyne, co mogę zrobić, to zacisnąć zęby i ruszyć dalej.

Idziemy przez las na wschód. Bez koni nie mamy jak zakładać pułapek na równinach blisko rzeki. Zwiadowcy mówią, że zamek Apolla jest niedaleko. Jak mam go podbić bez koni? Bez jakiegokolwiek elementu zaskoczenia?

Gdy zapada noc, dochodzi do kolejnego incydentu. Garnki do gotowania zupy, które zabraliśmy z Ceres, zostają stłuczone. Wszystkie. Chleb, który z taką starannością przechowywaliśmy zawinięty w papier w plecakach, jest pełen larw. Gdy jem kolację, kromki kruszą się w zębach. Dla Poborowców będzie to wyglądać jak nieszczęśliwy wypadek, ale ja wiem, że tu chodzi o coś więcej.

Cenzorzy chcą, bym zawrócił.

– Dlaczego Cassius cię zdradził? – pyta Mustang tej nocy, gdy śpimy w zagłębieniu pod zaspą. Zwiadowcy Diany pilnują z drzew granicy obozu. – Tylko nie kłam.

– Tak naprawdę to ja go zdradziłem. Ja... to ja zabiłem jego brata podczas Chrztu.

Jej oczy rozszerzają się ze zdumienia. Po chwili kiwa głową.

– Mój brat też zginął. To nie jest... to nie było to samo. Ale... śmierć taka jak ta zmienia wiele rzeczy.

– Ciebie też zmieniła?

– Nie – mówi takim tonem, jakby właśnie to sobie uświadomiła. – Ale zmieniła moją rodzinę. Sprawiała, że stali się ludźmi, których czasami nie poznaję. Takie jest życie. – Odsuwa się nagle. – Dlaczego powiedziałeś Cassiusowi, że zabiłeś jego brata? Jesteś aż tak szalony?

– Nie powiedziałem mu ani słowa. Cenzorzy zrobili to przez Szakala. Dali mu hologram.

– Rozumiem. – Jej oczy robią się zimne. – Oszukują wszystkich dla syna ArcyGubernatora.

Zostawiam ją i ciepło bijące z ognia, by wysikać się w lesie. Powietrze jest zimne i rześkie. Sowy pohukują w gałęziach, sprawiając, że czuję się obserwowany.

– Darrow? – odzywa się w ciemności Mustang. Odwracam się.

– Śledziłaś mnie?

Darrow. Nie Kosiarz. Coś jest nie tak. Coś w sposobie, w jaki wypowiedziała moje imię, i sam fakt, że w ogóle je wypowiedziała. To tak, jakbym zobaczył szczekającego kota. Nie widzę jej w mroku.

– Wydawało mi się, że coś widziałam – mówi, nadal ukryta w cieniu. Jej głos wydobywa się z głębi lasu. – Całkiem blisko. Będziesz niezłe zdziwiony.

Podążam za dźwiękiem jej głosu.

– Mustang. Nie opuszczaj obozu. *Mustang*.

– Już go opuściliśmy, kochanie.

Wokół mnie rosną strzeliste drzewa, wyciągając gałęzie w moją stronę. Las jest pogrążony w ciszy.

Mroczny. To pułapka. To nie Mustang.

Cenzorzy? Szakał? Ktoś mnie obserwuje.

Gdy coś cię obserwuje, a ty nie wiesz, gdzie to jest, pozostaje tylko jedna rozsądna rzecz do zrobienia. Trzeba zmienić przeklęty wzór, wyrównać szanse.

Rzucam się do biegu. Pędzę w kierunku swojej armii. Później znikam za drzewem, wspinam się na nie i czekam, obserwując wszystko. Wyciągam noże. Jestem gotowy do ataku.

Cisza.

Wtem rozlega się trzask pękających gałązek. Coś idzie przez las. Coś dużego.

– Pax? – wołam z góry.

Żadnej odpowiedzi.

Na ramieniu czuję dotyk czyjejś silnej dłoni. Gałąź, na której przycupnąłem, ugina się pod dodatkowym ciężarem, gdy nieznajomy dezaktywuje swoją niewidzialną pelerynę i pojawia się w drżącym powietrzu. Jego kręcone blond włosy są krótko przycięte i otaczają śniadą twarz. Ma wyrazistą szczękę, a jego oczy połyskują niebezpiecznie, równie jasne, jak zbroja. To Cenzor Apollo. Pod nami znów porusza się jakaś wielka istota.

– Darrow, Darrow, Darrow – cmoka z dezaprobatą na mój widok głosem Mustang. – Byłeś naszą ulubioną marionetką, ale nie chciałeś tańczyć tak, jak ci zagramy. Poprawisz się i wrócisz na Północ?

– Ja...

– Odmawiasz? To bez znaczenia.

Z całej siły spycha mnie z gałęzi. W drodze na dół uderzam w kolejną. Wpadam w zaspę. Wzbiera we mnie gniew. Czuję zapach sierści. Wtedy rozlega się ryk bestii.

Rozdział trzydziesty ósmy

Upadek Apolla

Niedźwiedź jest ogromny – większy niż koń. Biały niczym bezkrwisty trup, o czerwono-żółtych ślepiach. Jego ostre jak brzytwa czarne kły są długości mojego przedramienia. Nie przypomina niedźwiedzi, jakie widziałem na hologramach. Na plecach ma czerwoną pręgę. Jego pazury wyglądają jak palce. Jest ich osiem u każdej łapy. Wygląda nienaturalnie. Snycerze stworzyli go chyba dla sportu. Przyprawdzono go do tych lasów, by zabijał, a konkretnie, by zabił mnie. Sevro i ja słyszeliśmy je wiele miesięcy temu, gdy poszliśmy zawrzeć pokój z Dianą. Teraz czuję na karku jego oddech.

Przez sekundę stoję w miejscu jak idiota. Niedźwiedź ryczy ponownie i rzuca się w moją stronę.

Biegnę szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Prawie szybuję. Ale bestia jest szybsza, choć mniej zwinna. Ziemia trzęsie się, gdy pędzi między drzewami.

Mijam ogromny pień i wpadam w jeżyny. Grunt pęka pod moimi stopami, a ja uświadamiam sobie, w miarę jak liście i śnieg zapadają się pode mną, gdzie właściwie stoję. Ustawiam się między tym miejscem a bestią i czekam, aż zwierzę przedrze się przez poszycie. Wylatuje chwilę później i rzuca się na mnie. Odskakuję w tył. Bestia znika z rykiem w pułapce i nadziewa się na gąszcz drewnianych, zastrzonych pali. Moja radość potrwałaby nieco dłużej, gdybym nie odsunął się za bardzo i nie wszedł w kolejną zasadzkę.

Ziemia usuwa mi się spod nóg. A właściwie to ja robię fikołka. Moja noga szybuję w górę na końcu liny.

Wiszę tak całymi godzinami, zbyt przerażony, by wezwać kogoś z armii. Twarz szczypie mnie i mrowi od krwi spływającej do głowy. Wtedy do uszu dobiega znajomy głos.

– Kogo my tu mamy? – szydzi z dołu. – Dwie skóry do wzięcia.

Sevro uśmiecha się złośliwie, gdy opowiadam mu o sojuszu z Mustang. W obozie, gdzie Mustang przygotowywała już grupy poszukiwawcze, żeby mnie odnaleźć, jego reputacja wyróżnia go spośród innych. Uczniowie Minerwy boją się go. Tactus i reszta Końskich Trupów są z drugiej strony zachwyceni.

– Niech mnie szlag, mój kolega z końskiego brzucha! – mówi Tactus. – Czemu utykasz, przyjacielu?

– Twoja matka zajeżdżała mnie na śmierć – burczy pod nosem Sevro.

– Ha, musiałbyś stanąć na palcach, żeby pocałować ją w brodę.

– Nie w brodę próbowałem ją pocałować.

Tactus klaszcze, zagarniając Sevro w okropnym uścisku. Ci dwaj to bardzo dziwni ludzie. Domyślam się jednak, że ukrywanie się w końskich truchłach sprzyja nawiązaniu więzi – i czyni z nich coś na kształt spaczonych bliźniąt.

– Gdzie byłeś? – pyta Mustang przyciszonym głosem.

– Daj mi chwilę.

Sevro ma teraz jedno oko. A więc to on jest jednookim demonem, przed którym ostrzegął mnie ten z Domu Apollo.

– Zawsze się zastanawiałam, jakimi szalonymi, małymi ludźmi wy, Wyjce, musicie być – mówi Mustang.

– Małymi? – pyta Sevro.

– Ja... nie chciałam nikogo obrazić.

Sevro szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Przecież jestem mały.

– Cóż, my z Minerwy braliśmy was za duchy. – Klepie go po ramieniu. – Byliśmy w błędzie. A tak przy okazji, na wypadek gdybyś się zastanawiał, nie jestem prawdziwym mustangiem. Nie mam ogona, widzisz? I nie – przerywa Tactusowi – nigdy nie nosiłam siodła, jeśli o to chciałeś spytać.

Chciał.

– Nada się – mruczy Sevro w moją stronę.

– Podobają mi się – mówi o Wyjcach Mustang kilka minut później. – Sprawiają, że czuję się wysoka.

– Cuuudownie! – Tactus bierze do ręki zakrwawioną skórę. – Nie do wiary. Znaleźli coś w rozmiarze Paxa.

Zanim dołączamy do grupy przy wielkim ognisku, które rozpałił Pax, Sevro odciąga mnie na bok i wyjmuję koc. W środku spoczywa mój sling.

– Zatrzymałem go po tym, jak znalazłem w błocie. Naostrzyłem. Czas tępych mieczy minął.

– Jesteś moim przyjacielem. Mam nadzieję, że o tym wiesz. – Klepię go po ramieniu. – Nie

przyjacielem z gry, tylko takim prawdziwym, gdy już stąd wyjdziemy i tak dalej. Wiesz o tym, prawda?

– Nie jestem idiotą. – Mimo wszystko jego policzki pokrywa rumieniec.

Przy ogniu dowiaduję się od niego, że on i Wyjce – Oset, Śrubokręt, Klaun, Chwast i Kamyczek, dregowie mojego starego Domu – nie zostali w zamku Marsa ani dnia dłużej po tym, jak zniknąłem.

– Cassius powiedział, że porwał cię Szakal – mówi Sevro z ustami pełnymi robaczywego chleba. – Pyszne orzeszki. – Je tak, jakby od tygodni nie widział pożywienia.

Siedzimy przy ogniu w Wielkiej Kniei, skąpani w świetle trzeszczących polan. Mustang, Milia, Tactus i Pax dołączają do nas, opierając się o zwalone drzewo w śniegu. Kulimy się przy sobie jak zwierzęta. Siedzę blisko Mustang. Jej noga przeplata się z moimi pod futrami. Niedźwiedzia skóra cuchnie i skwierczy nad ogniem. Tłuszcz kapie w płomień. Pax założy ją, gdy wyschnie.

Sevro szukał Szakala po tym, jak Cassius wcisnął mu to kłamstwo. Mój mały przyjaciel nie zagłębia się w szczegóły. Nie znosi ich. Dotyka tylko pustego oczodołu i mówi:

– Szakal jest mi coś winien.

– Widziałeś go?

– Było ciemno. Zobaczyłem jego nóż. Nie słyszałem nawet jego głosu. Musiałem zeskoczyć z góry. To był długi upadek. – Opowiada o tym w tak zwyczajny sposób. Już przedtem zauważyłem, że utyka.

– Nie mogliśmy zostać w górach. Jego ludzie byli... wszędzie.

– Ale zabraliśmy stamtąd małą pamiątkę – odzywa się Oset. Z matczynym uśmiechem głaszcze przytroczone do pasa skalpy. Mustang wzdryga się ze wstrętem.

Na Południu zapanował chaos. Pozostali tam jedynie Apollo, Wenus, Merkury i Pluton, ale słyszałem, że Dom Merkury został zredukowany do bandy włóczęgów. Szkoda. Lubiłem ich Cenzora. Prawie zostałem przez niego wybrany w Poborze. Zrobiliby to, gdyby mógł. Ciekawe, jak by się wtedy potoczyły wydarzenia?

– Sevro, jak szybko jesteś w stanie przebiec z tą nogą dwa kilometry?

Reszta jest zaintrygowana pytaniem, ale Sevro tylko wzrusza ramionami.

– Nie spowalnia mnie. W tej grawitacji jakieś półtorej minuty.

Zapisuję sobie w pamięci, żeby opowiedzieć mu później o swoim pomysśle.

– Mamy ważniejsze rzeczy do przedyskutowania, Kosiarczy – uśmiecha się Tactus. – Słyszałem od tej małej, że wisiałeś w lesie do góry nogami na linie. – Klepie Oset po udzie. Dziewczyna uśmiecha się, a Tactus nie zabiera ręki. To kolekcja skalpów przyciąga jego uwagę. – Chyba nie sądziłeś, że wymigasz się od opowiedzenia, jak do tego doszło, co?

Sprawa nie wygląda wcale tak zabawnie, jak mu się zdaje.

Obracam w palcach swój pierścień. Zdradzenie prawdy będzie jak podpisanie na nich wyroku śmierci. Apollo i Jupiter słuchają mnie teraz. Patrzę na Mustang i czuję pustkę. Zaryzykuję jej stratę tylko po to, by wygrać ich chorą grę. Gdybym był dobrym człowiekiem, trzymałbym pierścień na palcu i język za zębami. Ale jest kilka planów do zrealizowania, paru bogów do zniszczenia. Zdejmuję pierścień i kładę go na śniegu.

– Przez chwilę udawajmy, że nie należymy do różnych Domów – mówię. – Porozmawiajmy jak przyjaciele.

Bez środka transportu w postaci koni nie mam nad swoimi wrogami żadnej przewagi w otaczających nas ziemiach. Kolejna nauczka. Opracowuję następną strategię. Sprawiam, że zaczynają się mnie bać.

Obieram taktykę na zasadzie fragmentacji. Rozdzielam armię na sześć jednostek po dziesięć osób pod dowództwem swoim, Paxa, Mustang, Tactusa, Milii oraz, dzięki zaskakującej rekomendacji od tej ostatniej, Nyli. Z chęcią przydzieliłbym Sevro własny oddział, ale ani on, ani jego Wyjce nie mają zamiaru znowu opuszczać mojego boku. Obwiniają się za bliznę na moim brzuchu.

Moja armia wgryza się w przyczółki Apolla jak banda wygłodniałych wilków. Nie atakujemy ich zamku, ale najeżdżamy forty. Podkładamy ogień w schowkach z zapasami. Strzelamy z łuków do ich koni. Zanieczyszczamy źródła wody i przekazujemy więźniom fałszywe informacje, a potem puszczamy ich wolno. Zabijamy ich świnie i kozy. Siekierami rąbiemy łodzie. Kradniemy broń. Nie bierzemy żadnych jeńców oprócz tych z Domów Wenus, Junona i Bachus zniewolonych przez Apolla. Wszystkich pozostałych uwalniamy. Strach i legenda muszą zataczać szerokie kręgi. Moja armia rozumie to doskonale. Praktykują mój kult. Przy ogniskach opowiadają sobie historie o mnie. Pax jest ich prowodyrem. Ma mnie za człowieka legendę. Wielu żołnierzy wycina na drzewach i ścianach wzór mojego slinga. Tactus i Oset wycinają go na ludzkim ciele. Bardziej przedsiębiorczy członkowie oddziałów robią sztandary z pomalowanych wilczych skór, które zabieramy ze sobą na pola bitew, nadziane na końce włóczni.

Rozdzielam od siebie niewolników Domu Ceres i resztę pojmanych, by zintegrować ich i połączyć w różnorodne jednostki. Wiem, że ich lojalność się zmienia, krok po kroku. Zaczynają odnosić się do siebie nie według nazw swoich Domów: Ceres, Minerwa czy Diana, ale zgodnie z nazwą jednostki. Przydzielam czwórkę najmniejszych żołnierzy do Sevro i jego Wyjców. Nie wiem, czy ci piekarze dołączą do elity wojowników tak jak dregowie Marsa, ale jeśli istnieje ktoś, kto da radę pozbawić ich dziecięcego tłuszczu, to z pewnością Sevro.

Strach dręczy Dom Apollo od tygodnia. Nasze szeregi powiększają się, ich wręcz przeciwnie. Wyzwoleni niewolnicy opowiadają nam o przerażeniu panującym w zamku i niepokoju, że wyskoczą z ciemności z bandą swoich ludzi w zakrwawionych skórach, by palić i kaleczyć.

Nie obawiam się Domu Apollo. To tylko zgraja niezdarnych głupców, którzy nie potrafią przystosować się do mojej taktyki. Tak naprawdę strachem napawają mnie Cenzorzy i Szakal. Dla mnie są jednym i tym samym. Po nieudanym zamachu Apolla na moje życie boję się, że staną się bardziej bezpośredni i któregoś dnia obudzę się z nożem w plecach. To ich gra. Mogę umrzeć

w każdej chwili. Muszę zniszczyć Dom Apollo teraz i wyeliminować jego Cenzora z gry, zanim będzie za późno.

Moi kapitanowie i ja siedzimy w lesie przy ognisku i omawiamy strategię na następny dzień. Znajdujemy się niecałe dwie mile od zamku Apolla, ale jego uczniowie nie są na tyle odważni, by zaatakować. Ukrywamy się głęboko w lesie. Siedzą w zamku z obawy przed nami. My również na nich nie napadamy. Zdaję sobie sprawę, że Cenzor Apollo zrujnowałby nawet najsprytniejszą z nocnych napaści.

Zanim zabieramy się do roboty, Nyla pyta o Szakala. Sevro opowiada przyciszonym głosem, czego się dowiedział w górach. Mówi głośniej, gdy zauważa, że wszyscy nasłuchujemy.

– Zamek leży gdzieś w niskich górach, pod ziemią, blisko Domu Wulkan. Wulkan zaczął rozgrywkę bardzo dobrze. Napadli na Plutona już trzeciego dnia, i to z niezłym skutkiem. Pluton nie był przygotowany. Szakal objął dowodzenie, kazał wszystkim wycofać się do głębokich tuneli. Uczniowie Wulkanu zaatakowali z użyciem zaawansowanej broni ze swoich kuźni. Plan miał iść według ich myśli. Szakal od pierwszego tygodnia gry zostałby niewolnikiem. Więc niewiele myśląc, zawalił tunel – bez planu, bez drogi ucieczki – żeby tylko zachować szansę na zwycięstwo. Zabił dziesięciu uczniów swojego Domu i mnóstwo ludzi z wysokiego Poboru. Lekarze nie byli w stanie nikogo uratować. Czterdziestka pozostałych utknęła w mrocznych jaskiniach. Mieli mnóstwo wody, ale żadnego jedzenia. Tkwili tam przez blisko miesiąc, zanim zdołali się odkopać. – Uśmiecha się, a ja przypominam sobie, dlaczego Fitchner nazwał go Goblinem. – Jesteście ciekawi, co jedli?

Jeśli szakal wpadnie w pułapkę, odgryzie sobie własną nogę. Kto mi to powiedział?

Ogień strzela między nami. Spodziewałbym się po Mustang, że będzie się wiercić niespokojnie, ale zamiast tego czuję emanujący z niej gniew, pogłębiający się w miarę poznawania nowych szczegółów. Czysta furia. Zaciska szczęki. Ściskam jej dłoń pod kocem, ale nie odwzajemnia uścisku.

– W jaki sposób się o tym dowiedziałeś? – odzywa się grzmiącym głosem Pax.

Sevro głaszcze palcem jeden ze swoich zakrzywionych sztyletów, który wydaje z siebie cichy brzdęk, odbijający się echem od drzew i powracający do naszych uszu jak zagubione słowo. Sekundę później nie słyszę niczego z wnętrza lasu, nic poza obrębem ogniska. Serce podchodzi mi do gardła. Napotykam wzrok Sevro. Będzie musiał poszukać Tactusa.

Otacza nas blokujące pole siłowe.

– Witajcie, dzieci – odzywa się z ciemności głos. – Taki wielki ogień bywa nocą niebezpieczny. A wy tulicie się do siebie jak małe szczeniaczki. Nie, nie wstawajcie. – Głos jest melodyjny, frywolny. Dziwnie się go słucha po tylu miesiącach niewygody. Żaden głos nie brzmi tak jak ten. Jego właściciel zbliża się spacerowym krokiem i siada obok Paxa. Apollo. Tym razem nie zabrał ze sobą niedźwiedzia, tylko ogromną włócznię plującą fioletowymi iskrami.

– Cenzorze Apollo, witaj – mówię. Wartownicy czatują nad nami w gałęziach drzew ze strzałami wycelowanymi w Cenzora. Odsyłam ich machnięciem ręki i pytam go, dlaczego przyszedł, tak

jakbyśmy nigdy wcześniej się nie spotkali. Jego obecność to prosty przekaz: moi przyjaciele są w niebezpieczeństwie.

– By powiedzieć wam, żebyście wrócili do domu, moi drodzy nomadowie. – Otwiera dzban wina i podaje innym. Nikt nie pije prócz Sevro, który przyssał się do naczynia.

– Cenzorom nie wolno interweniować w przebieg sytuacji. Taka jest zasada – mówi skonfundowany Pax. – Jakim prawem tutaj przyszedłeś? To nieuczciwe.

Mustang dołącza się do pytania.

Aureat wzdycha, ale zanim udaje mu się cokolwiek powiedzieć, Sevro wstaje i beka. Zaczyna się oddalać.

– Dokąd się wybierasz? – odzywa się Apollo zgrzyliwym tonem. – Nie odchodź, kiedy tu jestem.

– Idę się odlać. Wypiłem całe twoje wino. Wolałbyś, żebym wysikał się tutaj? – Przekrzywia głowę i dotyka swojego małego brzucha. – Może nawet się wysram.

Apollo marszczy nos ze wstrętem i wraca spojrzeniem do nas, odprawiając Sevro.

– Sugerowanie trudno nazwać nieuczciwością, mój wielki przyjacielu – tłumaczy. – Po prostu zależy mi na waszym samopoczuciu. W końcu jestem tu, by wam przewodzić w trudnych sytuacjach. Będzie dla was lepiej, jeśli wszyscy wrócicie na Północ. To wszystko. Dokończcie bitwę, skonsolidujcie siły, a potem idźcie dalej. To jedna z reguł wojny – nie narażajcie się na straty, gdy jesteście osłabieni. Nie prowokujcie swego wroga do walki, gdy jesteście w gorszym położeniu. Nie macie kawalerii, żadnego schronienia. Wasza broń jest nędzna. Nie uczycie się tak, jak powinniście.

Jego uśmiech jest zapraszający. Przecina piękną twarz niczym sierp księżycy. Cenzor obraca pierścienie na palcu, czekając na naszą odpowiedź.

– To miło z twojej strony, że przejmujesz się naszym samopoczuciem – mówi Mustang kpiącym tonem w wysokim lingo. – Powiedziałabym nawet, że bardzo miło! Człowiekowi aż się ciepło robi w środku, zwłaszcza że jesteś z innego Domu. Powiedz mi jednak, czy mój Cenzor wie, że tu jesteś? Czy wie o tym Cenzor Marsa? – Kiwa głową w stronę milczącej Milii. – Junony? Pogrywasz sobie z nami, sir? Jeśli nie, po co to pole siłowe? A może inni też nas obserwują?

Spojrzenie Apolla twardnieje, choć uśmiech nie schodzi mu z twarzy.

– Mówiąc szczerze, wasi Cenzorzy nie mają pojęcia, w co gracie. Miałaś swoją szansę, Virginio. Przegrałaś, więc nie daj się ponieść goryczy. Darrow pokonał cię w uczciwej walce. A może wasza wspólnie spędzona zima zaślepiła cię na tyle, że zapomniałaś już, iż może być tylko jeden zwycięski Dom i tylko jeden Prymus? Czy naprawdę wszyscy jesteście ślepi? Ten... chłopak nie może wam niczego dać. – Spogląda na twarze wokół. – Powtórzę, skoro nie jesteście na tyle bystrzy: wygrana Darrowa nie oznacza, że i wy wygracie. Nikt nie zaoferuje wam praktyki, bo to w nim zobaczą klucz do waszych sukcesów. Wy tylko za nim podążacie – jak generał Ney za Napoleonem albo Ajaks Mały

za Achillesem, ale czy ktoś tak naprawdę o nich pamięta? Ten cały wasz *Kosiarz* nie ma nawet własnego sztandaru. Wykorzystuje was. Przynosi wam wstyd i rujnuje wasze szanse na karierę po zakończeniu pierwszego roku.

– Z całym szacunkiem, ale jesteś strasznie wkurzający, Cenzorze – odzywa się Nyla bez swojej zwykłej uprzejmości w głosie.

– A ty nadal jesteś niewolnikiem. – Apollo wskazuje na jej znak. – Nadającym się do wszelkiego rodzaju nadużyć.

– Tylko do momentu, w którym zasłużę sobie na prawo do noszenia jednej z nich. – Pokazuje na wilczą pelerynę Mustang.

– Twoja lojalność jest wzruszająca, ale...

– Pozwoliłbyś mi się wychłostać? – przerywa mu Pax. – Darrow pozwolił. Daj mi się wychłostać, a będę posłuszny jak Różowy. Przysięgam na groby moich przodków, Telemanusów, i...

– Jesteś niczym więcej, jak tylko zwykłym biurokrata – syczy Milia. – Zrób nam przysługę i odwal się.

Moi kapitanowie są lojalni, choć drzę na myśl o tym, co powiedzieliby Sevro i Tactus, gdyby byli tu z nami. Przysuwam się i patrzę na Apolla z góry. Mimo wszystko muszę go sprowokować.

– Swoimi zagrywkami tylko nas wzmocniliście, co? Weź sobie swoją radę, wsadź w tyłek i spadaj stąd.

Nad naszymi głowami rozlega się kobiecy śmiech. Pozostali Cenzorzy obserwują nas z wnętrza pola. W kłębach dymu widzę zarysy postaci. Kto nas obserwuje? Jupiter? Zapewne. Ale sądząc po śmiechu, możliwe, że także Wenus. Idealnie.

Tańczące płomienie ognia oświetlają przystojną twarz Apolla. Jest wściekły.

– Oto logika, którą znam. Zima może stać się jeszcze bardziej dokuczliwa, dzieci. Gdy na zewnątrz robi się zimno, stworzenia umierają. Stworzenia takie jak wilki, niedźwiedzie i mustangi.

Mam na to gotową odpowiedź, i to całkiem wyczerpującą.

– Ciekawe, co się stanie, gdy Poborowcy odkryją, że spiskujecie, by zapewnić wygraną synowi ArcyGubernatora. Że ty sam ustawiasz grę, niczym jakiś król przestępczego półświatka.

Apollo zastyga w bezruchu. Kontynuuję myśl.

– Gdy próbowałeś zabić mnie w lesie przy pomocy tego głupiego niedźwiedzia, poniosłeś porażkę. Teraz przychodzisz tu jak zdesperowany idiota, którym zresztą jesteś, i grozisz moim przyjaciółom, bo nie ślinią się z radości na pomysł zdradzenia mnie. Naprawdę chcesz nas wszystkich zabić? Wiem, że możesz wyciąć to z materiału filmowego tak, żeby Poborowcy niczego nie zobaczyli. Ale

jak masz zamiar wytłumaczyć fakt, że wszyscy zginęliśmy?

Moi ludzie udają oburzenie.

Ciągnę dalej:

– Powiedzmy, że Imperator floty, Legat lub którykolwiek z Poborowców z pozostałych Domów dowie się, że ArcyGubernator płacił wszystkim Cenzorom, by oszukiwali i doprowadzili do eliminacji rywali tak, żeby jego syn mógł wygrać. Jak myślisz? Czy wyciągną konsekwencje wobec przekupnych Cenzorów? Czy ArcyGubernator też je poniesie? Myślisz, że nie zainteresują się faktem, że ich własne dzieci umierają w z góry ustawionej grze? A może tym, że gdy dostajecie w łapę, niszcycie ich system sprawiedliwego nagradzania? Tylko najlepsi sięgną po władzę. A może najlepsi zawsze mają jakieś plecy?

Apollo zaciska szczęki.

Spogląda w górę, w stronę pozostałych Cenzorów, którzy przezornie pozostają niewidoczni. Pewnie wyciągnął najkrótszy patyk i za karę musiał tu zejść i stać się twarzą ich oszustw. Moi kapitanowie milczą.

– Jeśli się dowiedzą, konsekwencje poniosą wszyscy – mówi złowróżbnym tonem. – Strzeżcie więc swoich języków, skoro jeszcze je macie.

– Bo co? – pyta zaczepnie Mustang. – Co wtedy zrobisz?

– Ty ze wszystkich ludzi powinnaś wiedzieć najlepiej – odpowiada. Nie rozumiem jego uwagi, ale ta szarada właśnie dobiegła końca. Liczyłem sekundy, odkąd zniknął Sevro. Cenzorzy nie. Odwracam się do Mustang.

– Jak szybko Sevro jest w stanie przebiec dwa kilometry?

– Półtorej minuty w tej grawitacji, tak mi się zdaje. Chociaż to mały kłamca, więc chyba szybciej.

– A o ile jest oddalony zamek Apolla?

– Jakies trzy kilometry, może trochę więcej.

Apollo zrywa się na nogi, szukając wzrokiem Sevro.

– Cudownie. Mustang, wiesz, co najbardziej lubię w polach siłowych?

– To, że żaden dźwięk nie może się z nich wydostać na zewnątrz?

– Nie. To, że żaden nie może przeniknąć do środka.

Apollo dezaktywuje pole, a my słyszymy wycie. Dobiega z odległości dwóch mil. Z murów obronnych. Z zamku Apolla. Załogi medyczne lecą w stronę źródła wrzasku.

– Wenus! Czemu ich nie upiłnowałaś? Ty głupia... – warczy Apollo w puste powietrze.

– Ten mały zdjął pierścień – krzyczy niewidzialna kobieta. – Wszyscy je zdjęli! Nie widzę niczego, gdy nie mają na palcach pierścieni, a już na pewno nie w polu siłowym!

– Założę się, że zdążyli je założyć – mówię. – Wyciągnij więc swoją podkładkę i powiedz mi, co widzisz.

– Ty mały... – Apollo zaciska dłoń w pięść. Odskakuję w tył. Mustang wchodzi między nas razem z Paxem.

– Hola, hola! – grzmi Pax, waląc się w pierś ogromną siekierą. Zbroja pod jego peleryną dudni rytmicznie.

Śnieg podrywa się do góry, gdy Apollo wlatuje w powietrze. Pozostali Cenzorzy depczą mu po piętach. Dotrą na miejsce zdecydowanie za późno. Mogą sobie kasować i montować materiał ile chcą i mieszać się w nie swoje sprawy, ale bitwa dla Domu Apollo właśnie się rozpoczęła, a Sevro i Tactus zdobyli ich mury.

Moi kapitanowie i ja docieramy na miejsce akurat na czas, by zobaczyć, jak Tactus wspina się po najwyższej wieży z nożem w zębach. Tam, stojąc na krawędzi stumetrowego parapetu niczym jakiś lekkomyślny grecki heros, ściąga spodnie i sika na porządek Domu Apollo. Przeszedł przez niezłe gówno, żeby zasłużyć na ten sztandar. Niewolnicy, których złapaliśmy w ciągu ostatniego tygodnia, powiedzieli nam o największej słabości zamku – wielkich dziurach kloacznych – więc Tactus, Sevro i Wyjce wykorzystali wskazówkę w zabójczo krótkim czasie. Żołnierzy Domu Apollo obudziły demony wysmarowane odchodami. Och, jakże okropnie cuchną moi waleczni żołnierze, gdy otwierają przede mną bramę. W środku panuje istny chaos.

Zamek jest wysoki, biały i ozdobny. Jego dziedziniec ma kształt koła i posiada sześć wielkich pasaży prowadzących do sześciu wielkich spiralnych wież. W jego dalekim krańcu, w prowizorycznych zagrodach, stoją krowy i owce. Tutaj wycofali się strażnicy. Wsparcie nadbiega od strony drzwi wieży za nimi. Liczebnie przewyższają moją armię trzy do jednego, ale moi żołnierze to wolni ludzie, nie niewolnicy. Będą walczyć o wiele lepiej. Jednak to nie liczebność zagraża obróceniu sytuacji na naszą niekorzyść. To Prymus Apolla, Novas. Cenzor dał mu własną zbroję pulsacyjną i włócznie krzeszącą fioletowe iskry. Gdy dotyka końcówką jednej dziewczyny z Końskich Trupów, ta wylatuje dziesięć stóp w tył i wije się na ziemi jak zepsuta zabawka.

Zbieram siły w pobliżu budynku bramnego u wejścia na dziedziniec. Wielu z moich przebywa jeszcze w wieżach, tak jak Tactus. Mam pod ręką Paxa, Milię, Nylę, Mustang i czterdziestu innych. Wrogi Prymus gromadzi własne siły. Sama jego broń jest w stanie zniszczyć nas wszystkich.

– Mustang, gotowa do użycia sztandaru?

Czuję jej dłoń na plecach, poniżej pancerza. Nie noszę hełmu. Włosy mam związane paskami skóry, a twarz umazaną sadzą. W prawej dłoni trzymam slinga, w lewej skrócony ogłuszacz. Nyla niesie sztandar Ceres.

– Pax, jesteśmy kosą. Dziewczyny, jesteście zbieraczami.

Moi ludzie na wieżach wyją, zeskakując z parapetów, by dołączyć do walki, zalewając dziedziniec ze wszystkich stron. Ich poplamione peleryny cuchną zgnilizną. Kocie łby między moją bandą a bandą Apolla są zaścielone grubą, sięgającą kostek warstwą śniegu. Cenzorzy połyskują w powietrzu, czekając, aż broń pulsacyjna zgniecie moją armię na miazgę.

– Pokonaj ich Prymusa – szepcze mi na ucho Mustang. Wskazuje palcem wysokiego chłopaka i strzela mnie w pośladek. – Zmiażdż go.

– Dwadzieścia metrów i stop, Pax.

Kiwa głową, przyjmując rozkaz.

– Prymus jest mój! – ryczę do swojej armii i do wojsk przeciwnika. – Novas, ty pieprzony psie! Jesteś mój. Ty cuchnąca kupo gówna. – Gdy wysoki, rozszalały intruz ze slingiem wrzeszczy na ich Prymusa, żołnierze Apolla instynktownie się wycofują. – Zniewolić resztę! – wyję.

Wtedy Pax i ja rzucamy się do szarży.

Pozostali pędzą za nami, próbując mnie dogonić. Pozwalam, by Pax mnie prześcignął. Biegnie z krzykiem, wymachując wojennym toporem, prosto na Novasa i jego bandę ochroniarzy – grupę chłopców i dziewczyn ubranych w ciężkie zbroje ze szkarłatnymi odciskami dłoni na hełmach. Są na czele wrogiej szarży, biegnąc prosto na Paxa z obniżonymi włóczniami, by go zatrzymać. To wysocy, stylowi zabójcy, którzy stali się zbyt aroganccy, by zrozumieć, że znaleźli się w niebezpieczeństwie, i nie czują strachu na myśl o starciu z Paxem.

Pax zatrzymuje się.

Nie zwalniając tempa, wyskakuję w górę tak, żeby dłonią chwycił moje pięty. Odpycham się, a on wyrzuca mnie dziesięć metrów naprzód w powietrze. Wyję przez całą drogę jak potwór wyrwany żywcem z koszmaru i wpadam na ochroniarzy. Trójka pada na ziemię. Czyjaś włócznia szoruje mi po żebrach, wytrącając z równowagi. Trójząb przecina powietrze w miejscu, w którym przed chwilą znajdowała się moja głowa. Odzyskuję równowagę, robię zwrot i wymach nogami. Unikam ciosu i z góry trafiam kogoś wysokiego w obojczyk. Kolejna włócznia mknie w moją stronę. Odbijam ją i wbiegam na drążek, kopiąc kolanem w twarz kolejnego ucznia. Upada do tyłu, ciągnąc mnie za sobą. Spadając w dół, wymachuję szaleńczo mieczem, ogłuszając po drodze trójkę następnych.

Wpadamy w zaspę. Przeciwnik ma złamany nos i jest nieprzytomny, ale moje kolano zdrętwiało od siły uderzenia, więc wyrrywam je z hełmu. Odtaczam się w bok, spodziewając się gradu ciosów, które jednak nie spadają. Zniszczyłem front armii Apolla jedną szaloną szarżą. Pax i moi żołnierze otaczają mnie jak żelazna kurtyna. Jestem sam na sam z Novasem w centrum chaosu. Jest wysoki i silny. Potężny wymach jego włóczni roztrzaskuje tarczę jednego z Wyjców. Posyła Milię daleko w tył i trafia Paxa w ramię, powalając na ziemię jak zabawkę. Jestem wyższy i silniejszy.

– Novas, ty mała dziewczynko! – krzyczę. – Biadolący Różowy!

Jego oczy płoną, gdy widzi, jak nadchodzę.

Wszyscy wstrzymują oddech, gdy odwraca się i pędzi w moją stronę jak jeleń szarżujący na przywódcę wilczej sfory. RzUCA się na mnie pierwszy. Robię unik i wiruję wzdłuż włóczni tak długo, aż jestem za nim. Wtedy, zupełnie jakbym ścinał drzewo, jednym potężnym wymachem slinga łamię mu nogę i odbieram włócznię.

Pojękuje jak dziecko. Siadam na jego piersi, zadowolony z siebie i pełen satysfakcji, że nie jęczałem tak jak on, gdy Mickey łamał i nastawiał mi nogi w swojej pracowni. Robię przedstawienie z ziewaniem pomimo szalejącego wokół mnie chaosu.

Mustang przejmuje kontrolę nad bitwą.

Tylko jednej osobie z Domu Apollo udaje się uciec. Dziewczynie. Szybkiej, lecz mało ważnej w szeregach Domu. Jakimś cudem zeskoczyła z najwyższej wieży i zwyczajnie sfrunęła na ziemię ze sztandarem swego Domu. Prawie jak magia. Zauważam jednak zniekształcone powietrze wokół niej. Cenzorowi Apollo udało się zachować w grze swoją pozycję. Dziewczyna znajduje konia i odjeżdża. Pax rzuca w ślad za nią włócznię. Cel ma doskonały i przygwoździłby konia do ziemi za kark, ale dziwny wiatr w cudowny sposób odbija broń. W końcu Mustang bierze konia ze stajni Apolla i goni dziewczynę wraz z Oset i Kamyczek. Przyprawia uciekinierkę, przełożoną przez szyję swojego konia, klepiąc ją po pupie sztandarem.

Moja armia ryczy, gdy Mustang wjeżdża na dziedziniec podbitego zamku. Zdążyliśmy już uwolnić niewolników Ceres. Zasłużyli na miejsce w armii. Macham do Mustang z wysokich murów obronnych obok Sevro i Tactusa. Nasze stopy dyndają beztrudnie ponad krawędzią. Dom Apollo upadł w niecałe trzydzieści minut pomimo podarunku ich Cenzora w postaci włóczni.

Cenzor Apollo rozmawia na niebie z Jupiterem i Wenus. Migoczą w porannym świetle, jakby nic się nie wydarzyło. Mam jednak świadomość, że będzie musiał opuścić grę. Sztandar i zamek zostały zdobyte. Nie może mi już zrobić krzywdy.

– To koniec! – szydę z niego. – Twój Dom upadł!

Moja armia wydaje z siebie jeszcze jeden ryk. Rozkoszuję się tym dźwiękiem i mroźnym powietrzem, gdy słońce zaczyna wyłaniać się po stronie zachodniej krawędzi Valles Marineris. Większość z tych głosów została niewolnikami. Zamiast tego podążają za mną z własnej woli. Wkrótce nawet ci z Apolla będą to robić.

Śmieję się dziko. Ogień zwycięstwa płonie w moich żyłach. Pokonaliśmy jednego Cenzora. Jednak Jupiter w dalszym ciągu może wyrządzić nam krzywdę. Jego nieugięty Dom leży daleko na północ. Ogarnia mnie wściekłość wraz z innym, mroczniejszym uczuciem – straszną, szaloną arogancją. Chwytam włócznię, ustawiam ramię i ciskam bronią w zgromadzonych Cenzorów. Moja armia obserwuje ten akt nierozwagi. Trójka Cenzorów rozprasza się, gdy włócznia przebija się przez ich osłony. Odwracają się, by na mnie spojrzeć. W ich oczach połyskuje ogień. Jednak pasji, jaka we mnie rozgorzała, nie da się zdusić zwykłym rzutem włócznią. Nienawidzę tych spiskujących głupców. Zniszczę ich.

– Jupiter! Ty jesteś następny. Jesteś następny, ty kupo psiego gówna!

Pax wykrzykuje moje imię grzmiącym głosem. Potem powtarza je Tactus, a później Nyla z dalekiej wieży. Wkrótce setka głosów wyśpiewuje je chórem w podbitym zamku – począwszy od dziedzińca, a skończywszy na wysokich blankach i wieżach. Wystukują rytm mieczami, oszczepami i tarczami, a potem rzucają nimi w Cenzorów. Setka pocisków uderza głucho w pole siłowe, nie czyniąc im żadnej szkody. Wielu żołnierzy musi uciekać, żeby nie nadzieć się na własną spadającą broń, ale to mimo wszystko cudowny widok. Wspaniale jest słuchać dźwięku stalowego deszczu padającego na bruk. Ponownie słyszę swoje imię. Śpiewają Cenzorom imię Kosiarza, bo teraz już wiedzą, przeciwko komu walczymy.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Nagroda Cenzora

Moja armia śpi smacznie aż do rana. Nie mam potrzeby odpoczywać, więc dotrzymuję towarzystwa Sevro i sześciu innym żołnierzom na murach obronnych. Stoją blisko mnie, jak gdyby każda wolna przestrzeń mogła dać szansę Cenzorom na zabicie mnie.

Sevro uwolnił pięciu uczniów Merkurego z grupy niewolników Apolla. Tłoczą się wokół niego na murach, grając w gry zręcznościowe, uderzając się po dłoniach, by sprawdzić, kto porusza nimi szybciej. Nie biorę w tym udziału, bo wygrywam zbyt łatwo. Niech dzieci bawią się same. Choć to Sevro i Tactus odegrali większą rolę w podbiciu zamku, moi ludzie uważają, że to czyni ze mnie coś na podobieństwo cudu. Mustang powiedziała mi, że to rzadkość.

– Myślę o tobie jako o czymś z dawnych czasów.

– Nie bardzo rozumiem.

– Jesteś dla nich jednym ze starożytnych zdobywców. Złotym, który uzurpował sobie Ziemię, zniszczył jej floty i tak dalej. Wykorzystują to jako wymówkę, by z tobą nie rywalizować. No bo niby jak Hefajstion miałby rywalizować z Aleksandrem albo Patrokles z Achillesem?

Moje wnętrze skręcają się w supeł. To tylko gra, a oni tak bardzo mnie kochają. Gdy zaczną się rebelia, wszyscy staną się moimi wrogami, a ja zastąpię ich Czerwonymi. Jak wielkimi fanatykami będą moi pobratymcy? Czy ów fanatyzm będzie miał jakiegokolwiek znaczenie, gdy staną do walki przeciwko ludziom takim jak Sevro, Tactus, Pax i Mustang?

Patrzę, jak Mustang idzie ku mnie wzdłuż murów. Kuleje ledwo zauważalnie z powodu skręconej kostki, ale i tak jest uosobieniem wdzięku. We włosach ma pełno połamanych gałązek, a pod oczami ciemne kręgi. Uśmiecha się do mnie. Jest piękna. Tak jak Eo.

Z murów widzimy Wielką Knieję i skrawki wyżyn Marsa na północy. Góry spoglądają na nas złowroźnie od zachodu po naszej lewej. Mustang wskazuje dłonią na niebo.

– Zbliża się Cenzor.

Moi ochroniarze zacieśniają wokół mnie krąg, ale okazuje się, że to tylko Fitchner. Sevro spluwa ponad blankami.

– Powrócił nasz ojciec marnotrawny.

Fitchner sfruwa w dół z uśmiechem, za którym kryją się wyczerpanie, strach i odrobina dumy.

– Możemy porozmawiać? – pyta, rozglądając się po twarzach moich patrzących na niego spode łba przyjaciół.

Zasiadamy razem w warowni Apolla. Mustang rozpala ogień. Fitchner mierzy ją wzrokiem, nie aprobując jej obecności. Ma wiele opinii na różne tematy, zupełnie jak ktoś, kogo znam.

– Narobiłeś niezłego bałaganu, chłopcze.

– Umówmy się, że nie będziesz nazywał mnie chłopcem.

Kiwa głową. W jego ustach nie ma gumy do żucia. Nie wie, jak przekazać mi wieści, z którymi przyszedł. Zmartwienie widoczne w jego oczach naprowadza mnie na właściwy trop.

– Apollo nie opuścił Olimpu – mówię.

Fitchner sztywnieje, zaskoczony trafnością mojego domysłu.

– Zgadza się. Nadal tam przebywa.

– Co to właściwie oznacza, Fitchner? – Mustang siada obok mnie.

– Tylko tyle – mówi Fitchner, spoglądając na mnie. – Nie opuścił Olimpu, tak jak powinien. Rozpętało się piekło. Apollo miał zagwarantowaną ciepłą posadkę, gdyby wygrał Szakal. To samo tyczy się Jupitera i kilku pozostałych. Chodziły słuchy o stanowisku Pretora Rycerza, które miało zostać utworzone na Lunie.

– A teraz ta szansa wymyka mu się z rąk – odzywa się Mustang. Zerka na mnie, uśmiechając się krzywo. – A wszystko z powodu jednego chłopca.

– Tak.

Parskam śmiechem. Dźwięk odbija się echem od blokady pola siłowego.

– I co teraz?

– Nadal chcesz wygrać, tak? – pyta Fitchner.

– Owszem.

– Jaki jest cel tego wszystkiego? – ciągnie, choć najwidoczniej coś innego chodzi mu po głowie. – I tak otrzymałbyś od kogoś propozycję wstąpienia na staż.

Pochylam się i stukam palcem w blat stołu.

– Chodzi o to, by pokazać im, że nie mogą oszukiwać we własnej grze. Że ArcyGubernator nie może tak po prostu powiedzieć, że jego syn jest najlepszy i powinien mnie pokonać tylko dlatego, że *urodził* się pod szczęśliwą gwiazdą. Tu chodzi o zasługi.

– Nie – zaprzecza Fitchner, schylając się. – Chodzi o politykę. – Zerka na Mustang. – Kiedy ją wreszcie odprawisz?

– Mustang zostaje.

– *Mustang* – powtarza kpiącym głosem. – A więc Mustang, co sądzisz o tym, że ArcyGubernator oszukuje na korzyść syna?

Mustang wzrusza ramionami.

– Zabij albo giń, oszukuj albo daj się oszukać. Tymi zasadami kierują się Aureaci, a zwłaszcza Niezrównani Naznaczeni.

– Oszukuj albo daj się oszukać. – Fitchner stuka palcem w górną wargę. – *Interesujące*.

– Powinieneś wiedzieć, o co chodzi.

– Pozwól, że Darrow i ja zamienimy parę słów na osobności, *Mustang*.

– Ona zostaje.

– W porządku – mówi dziewczyna zagadkowym tonem. Odchodząc, ścisza mnie za ramię. – Twój Cenzor i tak zdążył mnie znudzić.

Gdy Mustang zostawia nas samych, Fitchner zaczyna świdrować mnie wzrokiem. Sięga do kieszeni, waha się, a potem wyciąga z niej jakiś przedmiot. Małe pudełko. Rzuci je na stół i gestem każe mi otworzyć. Jakimś cudem wiem, co jest w środku.

– Cóż, wy, dranie, jesteście mi winni kilka nagród – śmieję się gorzko, gdy wsuwam na palec pierścień Tancerza z ukrytym w środku sztyletem. Rozprostowuję palec, a ostrze wyskakuje na wierzch, długie na osiem cali. Zginam palec, a sztylet chowa się na miejsce.

– Obsydiani zabrali ci go, zanim trafiłeś na Chrzest. Powiedziano mi, że należał do twojego ojca.

– Ktoś ci tak powiedział? – Dłubię sztyletem w blacie stołu. – To bardzo nieładnie z ich strony.

– Nie musisz być złośliwy, *chłopcze*. – Fitchner patrzy mi w oczy. – Trafiłeś tu, by dostać się na staż. Udało ci się osiągnąć cel. Jeśli nadal będziesz prowokował Cenzorów, zabiją cię.

– Pamiętam, że już raz wałkowaliśmy ten temat.

– Darrow, w tym, co robisz, nie ma ani krzty sensu! To lekkomyślność!

– Nie ma sensu? – powtarzam jak echo.

– Gdy pokonasz syna ArcyGubernatora, co masz zamiar zrobić dalej? Co osiągniesz?

– Wszystko! – mówię, podnosząc głos. Drzę z gniewu i wpatruję się w ogień tak długo, aż udaje mi się odzyskać kontrolę nad głosem. – To udowodni, że jestem najlepszym Złotym w tej szkole. Pokaże, że jestem w stanie zrobić to samo, co oni. Po co ja w ogóle z tobą rozmawiam, Fitchner? Dokonałem tego bez twojej pomocy. Nie potrzebuję cię. Apollo próbował mnie zabić, a ty nawet nie kiwnąłeś palcem! Więc co właściwie ci zawdzięczam? Może to? – Ponownie wysuwam ostrze.

– Darrow.

– Fitchner – mówię, przewracając oczami.

Uderza pięścią w stół.

– Nie mów do mnie jak do głupca. Spójrz na mnie. Spójrz na mnie, ty mały zarozumiały osłe.

Patrzę na niego. Brzuch mu urósł. Twarz ma wyjątkowo wymizerowaną, jak na Złotego. Żółte włosy przykleiły mu się do czaszki. Nigdy nie był przystojny – a teraz wygląda jeszcze paskudniej.

– Spójrz na mnie, Darrow. O wszystko, co mam, musiałem walczyć. Nie urodziłem się w rodzinie ArcyGubernatorów. To najwyższa pozycja, jaką jestem w stanie osiągnąć, choć powinienem zejść o wiele dalej. Mój syn również powinien osiągnąć więcej, ale nie może i nigdy tego nie robi. Zginie, jeśli spróbuje. Każdy ma jakieś granice, Darrow. Poprzeczkę, której nie jest w stanie przeskoczyć. Twoja sięga wyżej niż moja, ale nie jest aż tak wysoka, jak byś chciał. Jeśli ją przeskoczysz, zniszczą cię.

Odwraca wzrok, jakby był zawstydzony, wbija oczy w ogień. Jego syn. To leży w ich charakterze, w rysach twarzy, skłonnościach i sposobie, w jaki się do siebie odnoszą. Jestem głupcem, że nie powiedziałem tego na głos już wcześniej.

– Jesteś ojcem Sevro.

Fitchner nie odzywa się przez jakiś czas. Gdy w końcu to robi, w jego głosie słychać błagalny ton.

– Sprawiasz, że wydaje mu się, iż może wspiąć się wyżej, niż potrafi. Zabijesz go, chłopcze. Siebie też.

– W takim razie pomóż nam! – nakłaniam go. – Daj mi coś, co mogę wykorzystać przeciwko Apollo.

Albo lepiej, walcz razem z nami. Zbierz pozostałych Cenzorów, a my staniemy do walki z resztą.

– Nie mogę. Po prostu nie mogę.

Wzdycham ciężko.

– Tak właśnie myślałem.

– Moja kariera będzie skończona, jeśli ci pomogę. Wszystko, co wywalczyłem, zostanie narażone na ryzyko. I po co? Żeby coś udowodnić ArcyGubernatorowi.

– Wszyscy tak bardzo boją się zmian – mówię, uśmiechając się szczerze do przygnębionego mężczyzny. – Przypominasz mi wujka.

– Nie będzie żadnej zmiany – mamrocze Fitchner, wstając. – Nigdy do niej nie dojdzie. Musisz znać swoje miejsce, inaczej nigdy nie wyjdiesz z tego żywy, chłopcze. – Wygląda, jakby chciał mnie uścisnąć za ramię. Nie robi tego. – Niech to szlag, pułapka już na ciebie czeka. Wchodzisz prosto w jej sidła.

– Jestem gotowy na pułapki Szakala, Fitchner. I Apolla. Bez różnicy. Nie będą w stanie powstrzymać tego, co po nich idzie.

– Nie – mówi Fitchner po chwili wahania. – Nie miałem na myśli ich pułapek. Chodziło mi o dziewczynę.

Udzielam mu odpowiedzi w taki sposób, żeby dobrze mnie zrozumiał.

– Fitchner. Nie rób ze mnie głupca wymijającymi, irytującymi aluzjami na temat dwulicowości. Moja armia należy do mnie. Zdobyłem jej serce, ciało i duszę. W tym momencie żaden z nich nie jest w stanie mnie zdradzić, tak jak ja sam bym tego nie zrobił. Jesteśmy czymś, czego jeszcze nie widziałeś. Więc przestań.

Fitchner kręci głową.

– To jest twoja walka, chłopcze.

– Owszem. – Uśmiecham się. Nadszedł moment, na który czekałem. – Fitchner, zaczekaj – mówię, zanim udaje mu się dotrzeć do drzwi. Zatrzymuje się i ogląda przez ramię. Odsuwam kopniakiem krzesło i podchodzę do niego. Obrzuca mnie zaciekawionym spojrzeniem. Wyciągam rękę. – Pomimo wszystkiego, co się stało, dziękuję ci.

Ujmuje moją dłoń.

– Powodzenia, Darrow. Opiekuj się Sevro. Ten mały gówniarz wszędzie za tobą łązi, bez względu na to, co powiem.

– Zajmę się nim, obiecuję.

Przez moment jesteśmy przyjaciółmi. Sekundę później Fitchner krzywi się z powodu mojego bolesnego uścisku. Z początku wybucha śmiechem, a potem dociera do niego prawda i jego oczy otwierają się szeroko.

– Wybacz – mówię.

Dopiero wtedy łamię mu nos i trafiam łokciem w skroń, aż w końcu przestaje się ruszać.

Rozdział czterdziesty

Paradygmat

– Fitchner wyszedł? – pyta mnie Mustang.

– Przez okno.

Przyglądam się jej zza białego stołu w sali narad Apolla. Na zewnątrz szaleje zamieć, która bez wątpienia ma zatrzymać moją armię w zamku przy ogniskach i garnkach z gorącą zupą. Jej włosy kręcą się na ramionach, związane pasami skóry. Ma na sobie wilczą pelerynę tak jak inni, choć jej jest zabarwiona na czerwono. Stopy w ubłoconych butach z ostrogami oparła na stole. Sztandar, jedyna broń, jaką naprawdę polubiła, stoi oparty o krzesło obok niej. Twarz Mustang wyraża zmienne emocje. Jest stworzona do kpiących uśmiechów. Posyła mi taki uśmiech i pyta, co mi chodzi po głowie.

– Zastanawiam się, kiedy mnie zdradzisz.

Marszczy brwi.

– Spodziewasz się tego?

– Oszukuj albo daj się oszukać. Sama tak powiedziałaś.

– A ty masz zamiar mnie zdradzić? – pyta. – Nie. Bo niby co byś na tym zyskał? Ty i ja wygraliśmy tę grę. Chcieli nas przekonać, że tylko jeden może wygrać kosztem całej reszty. To nieprawda, i my jesteśmy tego dowodem.

Milczę.

– Zdobyłeś moje zaufanie, bo gdy zobaczyłeś, jak ukrywam się w błocie po upadku mojego zamku, pozwoliłeś mi uciec – wyjaśnia skrupulatnie. – A ja zdobyłam twoje zaufanie po tym, jak wyciągnęłam cię z błota, gdy Cassius zostawił cię na śmierć.

Nie odpowiadam.

– Oto odpowiedź. W przyszłości dokonasz wielkich rzeczy, Darrow. – Nigdy nie zwraca się do mnie po imieniu. – Być może nie będziesz musiał tego robić sam.

Jej słowa przyprawiają mnie o uśmiech. Nagle zrywam się z miejsca, zaskakując ją.

– Zbierz naszych ludzi – rozkazuję.

Wiem, że szukała tutaj odpoczynku, zresztą ja też. Kusi mnie zapach zupy. Tak samo jak ciepło, łóżko i myśl o spędzeniu z nią spokojnych chwil. Nie tak się jednak podbija innych.

– Zaskoczmy Cenzorów. Zdobędziemy Jupitera.

– Nie możemy ich niczym zaskoczyć. – Stuka palcem w pierścień. Blokada w postaci pola siłowego Fitchnera zniknęła. Porzucilibyśmy pierścienie zupełnie, gdyby nie fakt, że są naszym zabezpieczeniem. Cenzorzy mogą wykasować parę rzeczy tu i tam, ale zdrowy rozsądek podpowiada im, że nie mogą manipulować za bardzo przy materiale na wypadek, gdyby Poborowcy stali się podejrzliwi.

– Nawet gdyby udało się nam przejść przez zamieć, co osiągniemy zdobyciem Jupitera? – pyta. – Skoro Apollo nie odszedł, gdy upadł jego Dom, Jupiter też tego nie robi. Sprowokujesz ich tylko do działania. Powinniśmy teraz zaatakować Szakala!

Mam świadomość, że Cenzorzy obserwują rozwój wydarzeń. Chcę, by wiedzieli, dokąd się wybieram.

– Nie jestem gotowy na spotkanie z Szakalem. Potrzebuję więcej sojuszników.

Mustang patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami. Nie rozumie, ale to bez znaczenia. Wkrótce pojmię znaczenie moich słów.

Pomimo zamieci moja armia porusza się w szybkim tempie. Owijamy się futrami i skórą tak grubo, że wyglądamy jak zwierzęta brnące przez śnieg. Nocą podążamy za gwiazdami, maszerując pomimo wzmagającego się wiatru i zasp. Żołnierze nie marudzą. Wiedzą, że nie prowadzę ich bez celu. Nowi rekruci wyciskają z siebie siódme poty, choć nie sądziłem, że to możliwe. Słyszeli o mnie. Pax zadbał o to. Są zdeterminowani, by mi zaimponować. Z czasem przeradza się to w problem. Gdziekolwiek bym nie poszedł, procesja wokół mnie nagle podwaja wysiłki tak, że albo wyprzedza tych na czele, albo pozostawia w tyle resztę.

Zamieć jest wyjątkowo dokuczliwa. Pax zawsze trzyma się blisko mnie i Mustang, jak gdyby chciał nas osłonić przed wiatrem. On i Sevro wiecznie depczą sobie po piętach, żeby znaleźć się jak najbliżej mnie, choć Pax z pewnością najchętniej opatuliłby mnie w kołdrę i położył do łóżka, gdybym mu na to pozwolił. Sevro kazałby mi wsadzić sobie palec w tyłek. Teraz za każdym razem, gdy na niego patrzę, widzę jego ojca. Odkąd wiem o jego rodzinie, sprawia wrażenie słabszego. Nie widzę jednak powodu, żeby tak było. Chyba naprawdę wyskoczył prosto z łona wilczycy.

W końcu śnieg ustępuje miejsca błyskawicznej wiośnie, co tylko potwierdza moje podejrzenia. Cenzorzy znów coś knują. Wyjce upewniają się, że oczy wszystkich zwrócone są ku niebu na wypadek, gdyby zdecydowali się napaść na nas w trakcie wędrówki. Żaden tego nie robi. Tactus wypatruje śladów. Jest cicho. Nie widzimy zwiadowców wroga, nie słyszymy w oddali wojennych rogów ani nie widzimy unoszących się smug dymu, nie licząc tych na Północy na wyżynach terytorium Domu Mars.

Napadamy składy z żywnością w spalonych i zrujnowanych zamkach w drodze do Jupitera. W zamku Bachusa znajdujemy dzbanki, które, ku wielkiemu rozczarowaniu Sevro, są pełne soku z winogron zamiast wina. Z piwnic zamku Junony zabieramy soloną wołowinę. Znajdujemy też sery pleśniowe, ryby zawinięte w liście i paczki z wszechobecną wędzoną koniną. Dzięki zapasom mamy pełne brzuchy w trakcie marszu.

Po czterech męczących dniach docieram na miejsce i podbijam schowany za potrójnymi murami zamek Jupitera na przełęczy położonej w paśmie niskich gór. Śnieg topi się wystarczająco szybko, by grunt stał się zbyt grząski dla naszych koni. Przez obóz płyną strumienie. Nie zawracam sobie głowy wymyślaniem planu. Po prostu mówię oddziałom Paxa, Mili i Nyli, że ktokolwiek zdobędzie dla mnie fortecę, zgarnie nagrodę. Obrońców jest jak na lekarstwo, a moja armia zdobywa zewnętrzne fortyfikacje w ciągu jednego dnia dzięki drewnianym rampom zbudowanym pod ostrzałem.

Moje pozostałe trzy dywizje przeczesują pobliskie terytorium na wypadek, gdyby Szakał zdecydował się włączyć do walki. Wygląda na to, że główna armia Jupitera jest uwięziona gdzieś po drugiej stronie topniejącej Argos, oblega zamek Marsa. Nie spodziewali się, że odwilż przyjdzie tak szybko. Mimo to w dalszym ciągu nie widzimy ani śladu Szakała czy Cenzorów. Zastanawiam się, czy znaleźli już Fitchnera zamkniętego w jednej z cel zamku Apolla. Zostawiłem mu jedzenie, wodę i twarz pełną siniaków.

Trzeciego dnia oblężenia na murach obronnych zamku pojawia się biała flaga. Chudy chłopak średniego wzrostu z nieśmiałym uśmiechem wychodzi przez boczną bramę. Zamek leży na wysokim, skalistym terenie, schowany między dwiema olbrzymimi skalnymi ścianami, więc jego trójpoziome mury wychodzą na zewnątrz. Wkrótce pošlę tam żołnierzy. To zadanie dla Wyjców,

ale oni zdążyli już okryć się wystarczającą chwałą. Ten zaszczyt należy się żołnierzom pojmanym w trakcie naszej bitwy z Domem Apollo.

Chłopak wychodzi ostrożnie przed główną bramę. Idę mu na spotkanie razem z Sevro, Milią, Nylą i Paxem. Budzimy grozę nawet bez Tactusa i Mustang, choć akurat jej nigdy nie można było określić jako budzącą grozę samym wyglądem – co najwyżej pełną zapału. Milia wygląda jak istota wyrwana z koszmaru – zaczęła zbierać trofea tak jak Tactus i Oset. Pax wykonał nacięcia na swoim olbrzymim toporze, symbolizujące każdego niewolnika, jakiego zdobył.

Stojąc przed moimi kapitanami, chłopak okazuje zdenerwowanie. Jego uśmiechy są szybkie, prawie jakby był zmartwiony, że mogą mi się nie spodobać. Pierścień na jego palcu wskazuje na przynależność do Jupitera. Sprawia wrażenie wygłodzonego, bo obrączka prawie ześlizguje mu się z palca.

– Nazywam się Lucian – mówi, próbując nadać swojemu głosowi męskie brzmienie. Wydaje mu się, że to Pax jest dowódcą. Pax wybucha śmiechem i wskazuje na mnie i mojego slinga. Lucian wzdyga się, gdy przenosi na mnie wzrok. Myślę, że doskonale wiedział, że to ja jestem przywódcą.

– Przeszedłeś tu, żebyśmy wymienili się uśmiechami? – pytam. – Jakie przynosisz wieści?

– O głodzie. – Śmieje się żałośnie. – Przez ostatnie trzy tygodnie nie jedliśmy nic prócz szczurów i surowego zboża w wodzie.

Prawie mi go żal. Włosy ma brudne, oczy zażawione. Wie, że właśnie zaprzepaszcza szansę na staż. Będą go wyśmiewać do końca życia za to, że się poddał. Ale jest głodny. Tak samo jak siódemka pozostałych obrońców. Co dziwne, wszyscy należą do Jupitera i nie są niewolnikami.

Jedynym warunkiem, jaki stawiają przed poddaniem zamku, jest to, byśmy nie brali ich do niewoli. Tylko Pax mamrocze coś o honorze i tym, że sami muszą zasłużyć sobie na wolność, tak jak reszta, ale przystaję na prośbę chłopaka. Każę Milii obserwować całą grupę. Jeśli spróbują jakichś numerów, zrobi sobie trofea z ich skalpów. Uwiązujemy nasze konie na brukowanym, brudnym dziedzińcu. Wysoki stółp o nieregularnych kształtach pnie się w górę, wbudowany w ściany klifu.

Ciemność sączy się przez chmury. Nad góry nadciąga burza, więc gromadzę swoje siły w zamku i barykaduję wrota. Mustang i jej oddział pozostają poza murami i wrócą późnym wieczorem ze zwiadu z Tactusem. Rozmawiamy przez wspólne łącze, a Tactus przeklina nas za to, że mamy nad głowami suchy dach. Nocna ulewa była bardzo obfita.

Dopilnowuję tego, by nasi weterani otrzymali pierwsze łóżka w dormitorium Jupitera, zanim zabierzemy się do jedzenia. Moi żołnierze są zdyscyplinowani, ale w zamian za ciepłe łóżko zadźgaliby własne matki. To jedyna rzecz, do której większość z nich się nie przyzwyczaiła – spanie na gołej ziemi. Tęsknię za materacami i jedwabną pościelą. Ja tęsknię za wąską pryczą, taką, jaką dzieliłem z Eo, która nie żyje już dłużej, niż byliśmy małżeństwem. Jestem zaskoczony, jak bardzo boli mnie ta świadomość.

Wydaje mi się, że według ziemskiej metryki skończyłem osiemnaście lat, ale nie jestem do końca

pewny.

Nasz chleb i mięso są jak nektar bogów dla wygłodzonych obrońców Jupitera. Lucian i jego ludzie, chudzi jak szkapy i wyczerpani, jedzą tak szybko, że Nyla obawia się, iż zaszkodzą swoim żołądkom. Biega w kółko, powtarzając wszystkim, że wędzona konina nigdzie im nie ucieknie. Pax i jego wojownicy od czasu do czasu rzucają w nich ogryzionymi kośćmi. Śmiech olbrzyma jest zaraźliwy. Wylewa się z niego falami, a potem nabiera dziewczęcych tonów, gdy trwa dłużej niż dwie sekundy. Nikt nie jest w stanie zachować kamiennej twarzy, gdy Pax się śmieje. Znowu rozprawia o Heldze. Szukam wzrokiem Mustang, żebyśmy mogli pośmiać się razem, ale nie będzie jej jeszcze przez kilka godzin. Tęsknię za nią nawet teraz i rozpiera mnie w piersi na myśl o tym, że zwinie się w kłębek w moim łóżku tej nocy i razem będziemy chrapać jak wujek Narol w dniu Święta Lauru.

Wzywam Milię do szczytu stołu. Moja armia odpoczywa w warowni Jupitera. Mapa Domu została zniszczona. Nie jestem w stanie określić, co wiedzą.

– Co myślisz o naszych gościach?

– Naznaczyłabym ich wszystkich sztandarem.

Cmokam w zamyśleniu.

– Nie lubisz dotrzymywać obietnic, prawda?

Z ostrymi rysami twarzy i wypisanym na niej okrucieństwem Milia wygląda jak jastrząb. Jej głos przypomina jego skrzek.

– Obietnice są jak łańcuchy – odzywa się ochryłym tonem. – Można je zrywać.

Mówię jej, żeby zostawiła uczniów Jupitera samych, a potem nakazuję głośno przynieść wino, które zdobyliśmy w trakcie wędrówki. Bierze ze sobą kilku chłopców i przynosi beczki z zapasów Bachusa.

Wchodzę na stół.

– Rozkazuję wam się upić! – ryczę. Moja armia patrzy na mnie jak na wariata.

– Upić się? – pyta ktoś.

– Tak! – przerywam mu, zanim zdąży powiedzieć coś jeszcze. – Dacie radę to zrobić? Chociaż raz zachowywać się jak głupcy?

– Spróbujemy! – krzyczy Milia. – Prawda?

Odpowiada jej chór głosów. Jakiś czas później, gdy opróżniamy zapasy Bachusa, proponuję część uczniom Jupitera. Zataczając się, Pax protestuje na myśl o podzieleniu się z kimś tak doskonałym winem. Świętny z niego aktor.

– Chcesz się ze mną sprzeczać?

Waha się przez moment, a potem udaje mu się skinąć wielką głową.

Wyciągam slinga z tylnej osłony. Wpatruje się w nas setka oczu. Na zewnątrz słychać uderzenie pioruna. Pax robi gigantyczny, pijacki krok naprzód. Jego dłoń spoczywa na rękojeści topora, ale nie wyciąga broni. Po chwili kręci głową i klęka. W tej pozycji jest nadal prawie mojego wzrostu. Chowam miecz i pomagam mu wstać. Każę mu wyruszyć na patrol.

– Patrol? Ale... na dworze jest burza i leje deszcz.

– Słyszałeś mnie, Pax.

Z głośnym pomrukiem jego wojownicy idą za nim. Są wystarczająco bystrzy, by domyślić się roli, jaką mają odegrać, nawet jeśli nie znają gry.

– Dyscyplina! – przechwalam się na oczach Luciana. – Dyscyplina to najlepsza z cech ludzkości. Drzemie nawet w takich wielkich brutalach jak ten.

Podczas nieobecności Paxa robię show z przydzielaniem ceremonialnych wilczych skór niewolnikom Wenus i Bachusa, którzy zasłużyli sobie na wolność zdobyciem fortecy – ceremonialnych, ponieważ nie mamy czasu znaleźć wilków. W zamku panuje wesoła atmosfera. Wszyscy są w radosnym nastroju, choć nikt nie pozbywa się broni. Nyla zostaje namówiona na zaśpiewanie piosenki. Ma głos jak anioł. Występuje w Marsjańskiej Operze Narodowej i miała wyjechać do Wiednia na koncerty, ale trafiła się jej lepsza propozycja w postaci zaproszenia do Instytutu. Propozycja trafiająca się raz w życiu. Co za ironia.

Lucian siedzi w kącie pokoju z pozostałą siódmką uczniów, obserwując szopkę, jaką odstawiają moi żołnierze z zasypianiem na stołach, przy ogniu i pod ścianami. Część wymyka się, by potajemnie zająć wolne łóżka. Odgłos chrapania łaskocze mnie w uszy.

Sevro trzyma się blisko, jak gdyby mieli zjawić się Cenzorzy i zabić mnie w każdej chwili. Mówię mu, żeby się upił i zostawił mnie w spokoju. Wkrótce sam się śmieje, a potem chrapie, leżąc na blacie długiego stołu. Idę ponad moimi żołnierzami w kierunku Luciana z uśmiechem na twarzy. Nie byłem pijany od dnia, w którym umarła moja żona.

Mimo potulności Lucian wydaje mi się interesujący. Jego oczy rzadko napotykają mój wzrok. Ma przygarbione ramiona. Dłonie nigdy nie szperają za czymś w kieszeniach, nigdy ich nie załamuje ani nie składa, żeby się osłonić. Pytam go o wojnę z Marsem. Tak jak myślałem, jest prawie wygrana. Mówi coś o dziewczynie, która zdradziła Marsa. Wygląda na to, że to Antonia.

Muszę szybko planować kolejny ruch. Nie wiem, co się stanie, gdy sztandar mojego Domu i zamek zostaną podbite, choć posiadam niepodległą armię. Technicznie rzecz biorąc, mógłbym przegrać.

Przyjaciele Luciana są zmęczeni, więc każę im iść i poszukać sobie łóżek. Nie będą stanowić problemu. Lucian zostaje, by porozmawiać. Zapraszam go do stołu. Gdy jego przyjaciele rozchodzą

się, słyszę w korytarzu powracającą Mustang. Wchodzi do pokoju tanecznym krokiem. Na zewnątrz grzmi piorun. Włosy ma mokre i matowe. Jej peleryna nasiąkła wodą, a buty ma umazane błotem.

Na jej twarzy maluje się wyraz zdumienia, gdy widzi mnie z Lucianem.

– Mustang, kochanie! – wołam. – Obawiam się, że przyszedłeś za późno. Zdążyliśmy już opróżnić całe zapasy wina! – Pokazuję ręką w stronę mojej chrapiącej armii i mrugam. Pozostało ich może z pięćdziesięciu, rozproszonych po różnych kątach wielkiej warowni. Wszyscy są pijani jak Narol podczas Święta Lauru.

– Urznięcie się jak świnia wydaje się w tej chwili całkiem dobrym pomysłem – mówi dziwnie. Przenosi spojrzenie z Luciana na mnie. Coś jej się wyraźnie nie podoba. Przedstawiam ją Lucianowi. On mamrocze coś pod nosem, jak to miło mu jest ją poznać, ona parska śmiechem.

– Jakim cudem przekonał cię, żebyś nie czynił z niego niewolnika, Darrow?

Nie wiem, czy domyśla się, co właściwie knuję.

– Dał mi swoją fortecę! – Macham niezdarnie w stronę na wpół zniszczonej kamiennej mapy na ścianie. Mustang mówi, że zaraz do nas dołączy. Zaczyna wołać któregoś ze swoich ludzi, ale przerywam jej. – Nie, nie. Ja i Lucian jesteśmy na najlepszej drodze do zostania przyjaciółmi. Dziewczynom wstęp wzbroniony. Weź swoich ludzi i poszukaj Paxa.

– Ale...

– Idź po Paxa – powtarzam.

Wiem, że jest zdezorientowana, ale ufa mi. Żegna się ze mną i Lucianem i zamyka drzwi. Stukot jej obcasów powoli cichnie.

– Myślałem, że już nigdy nie wyjdzie! – śmieję się. Lucian odchyła się na krześle. Jest naprawdę szczupły, żadnego zbędnego tłuszczu. Blond włosy ma krótko przystrzyżone, dłonie wąskie i zręczne. Przypomina mi kogoś.

– Większość mężczyzn nie chce, by piękne dziewczęta wychodziły – mówi Lucian, uśmiechając się szczerze. Rumieni się nawet, gdy pytam go, czy naprawdę uważa, że Mustang jest piękna.

Rozmawiamy blisko godzinę. Stopniowo się rozluźnia. Jego pewność siebie rośnie, a wkrótce opowiada o swoim dzieciństwie, władczym ojcu i oczekiwaniach rodziny. Nie uważa się jednak nad sobą. Jest realistą. To cecha, którą podziwiam. Nie musi dłużej unikać mojego spojrzenia. Jego ramiona nie garbią się już tak bardzo. Staje się miły, a nawet zabawny. Wzbudził mój śmiech co najmniej z tuzin razy. Robi się coraz później, a my nadal żartujemy i rozmawiamy. Śmieje się z butów, które noszę, owiniętych w zwierzęce skóry dla zatrzymania ciepła. Jest mi w nich gorąco, odkąd stopił się śnieg, ale muszę nosić skóry.

– A co z tobą, Darrow? Ciągłe gadamy tylko o mnie. Teraz twoja kolej. Powiedz mi, co cię tu sprowadza? Jaki masz cel? Nie sądzę, bym kiedykolwiek słyszał o twojej rodzinie...

– Prawdę mówiąc, nie są to ludzie, o których chciałbyś słuchać. Wydaje mi się, że wszystko sprowadza się do dziewczyny. Jestem prostym człowiekiem. Takie są też moje powody.

– Chodzi o tę ładną? – rumieni się Lucian. – O Mustang? Wcale nie wydaje się prosta.

Wzruszam ramionami.

– Opowiedziałem ci już wszystko! – protestuje. – Nie wciskaj mi ogólników jak Fioletowy. Przejdź do sedna! – Stuka z niecierpliwością w stół.

– Dobra, dobra. Opowiem ci całą historię. – Wzdycham. – Widzisz paczkę obok ciebie? Jest w niej torba. Podaj mi ją, jeśli możesz.

Lucian wyciąga torbę i rzuca w moją stronę. Uderza z brzękiem o blat.

– Pokaż mi dłoń.

– Moją dłoń? – pyta, śmiejąc się.

– Tak. Wyciągnij ją, proszę. – Klepię ręką w stół. Lucian nie reaguje. – No dalej, stary. Mam pewną teorię, nad którą pracuję. – Stukam dalej. Lucian wyciąga rękę.

– W jaki sposób to ma się do twojej historii bądź teorii? – pyta. Na jego twarzy nadal gości uśmiech.

– To dość skomplikowane. Będzie lepiej, jeśli ci pokażę.

– W porządku.

Otwieram torbę i wytrząsam jej zawartość. Zbiór złotych pierścieni z Sigilami toczy się po stole. Lucian obserwuje je z uwagą.

– Wszystkie pochodzą od nieżyjących uczniów. Dzieciaków, których ekipy medyczne nie zdołały uratować. Popatrzmy. – Grzebię w stercie pierścieni. – Mamy Jupitera, Wenus, Neptuna, Bachusa, Junonę, Merkurego, Dianę, Ceres... a tutaj Minerwę. – Marszczę brwi i szukam dalej. – Hmm. Dziwne. Nie mogę znaleźć Plutona.

Spoglądam na niego. Jego oczy zmieniły wyraz. Są martwe. Zimne.

– O, tu się schował.

Wyrywa błyskawicznie rękę. Jest szybki.

Ale ja jestem szybszy.

Wbijam mu nóż w dłoń, przyszpilając ją do stołu.

Wciąga głośno powietrze z bólu. Gdy szarpie się z nożem, z jego ust wydobywa się morderczy syk. Ale to ja jestem większy i wsuwam nóż kolejne cztery cale. Przybijam go dzbankiem. Teraz nie może go wyciągnąć. Opieram się na krześle i patrzę, jak próbuje. W jego początkowej szalonej panice jest coś prymitywnego, co ustępuje miejsca zdecydowanie bardziej ludzkim emocjom, gdy bierze się w garść. Wydaje się to bardziej zimne i obojętne niż mój akt przemocy. Uspokaja się szybciej niż ktokolwiek inny, kogo widziałem. Trwa to sekundę, może trzy, a potem odchyła się na krześle z taką swobodą, jakbyśmy razem pili.

– Niech to szlag – mówi napiętym głosem.

– Pomyślałem, że powinniśmy się lepiej poznać. – Wskazuję palcem na siebie. – Szakału, jestem Kosiarz.

– Masz lepszy przydomek – stwierdza. Bierze głęboki oddech. Potem kolejny. – Od jak dawna wiesz?

– Że jesteś Szakalem? Szczęśliwy traf. O tym, że knujesz coś złego? Zanim jeszcze wszedłem do zamku. Nikt nie poddaje się bez walki. Jeden z twoich pierścieni nie pasował. Następnym razem schowaj dłonie. Niepewne mięczaki zawsze chowają albo bawią się nerwowo swoimi dłońmi. Ale tak naprawdę nie miałeś żadnych szans. Cenzorzy wiedzieli, że tu idę. Uznali, że mówiąc ci o tym, że nadchodzę, wpędzą mnie w pułapkę i zrujniają. Więc zakradłeś się tu, próbując złapać mnie z ręką w nocniku. Ich błąd. Twój błąd.

Obserwuje mnie, krzywiąc się na widok moich trzeźwych żołnierzy podnoszących się z ziemi. Jest ich niemal pięćdziesięciu. Chciałem, by obejrzeni mój fortel.

– Ach. – Szakal wzdycha, gdy dociera do niego, jak daremna była pułapka. – A moi żołnierze?

– Którzy? Ci z tobą czy ci, których ukryłeś w zamku? Może w piwnicach? Pod podłogą w tunelu? Nie sądzę, by się teraz cieszyli. Pax to prawdziwa bestia, a Mustang ma mu pomóc, tak na wszelki wypadek.

– To dlatego ją odesłałeś.

Również dlatego, by przypadkiem nie zapytała, dlaczego udajemy, że upijamy się sokiem z winogron.

Pax z pewnością znalazł ich kryjówkę. Na zewnątrz nadal szaleje burza. Mam nadzieję, że Szakal pogrążył w pułapce większość swojej armii. Jeśli nie, będą problemy. Skoro zdobył zamek Jupitera, to podbił też jego armię, która podporządkowała sobie Junonę i większą część Wulkana, a wkrótce też Marsa. Jego armia będzie dwa razy większa od mojej, a nasza dwójka będzie ostatnią, jaka pozostanie. Tyle że mnie udało się go złapać.

Szakal jest przygwożdżony do stołu, krwawi i otacza go moja armia. Jego zasadzka nie wypaliła. Przegrał, ale nie jest bezradny. Przestał być Lucianem. Jest prawie tak, jakby jego dłoń nie była nadziana na sztylet. Jego głos nie drży. Nie jest wściekły, tylko kurewsko przerażający. Przypomina mi mnie samego, nim wpadłem w szal. Jest cichy. Nie śpieszy się. Chciałem, by moi żołnierze patrzyli, jak się wije. Nie robi tego, więc każę im wyjść. Pozostaje jedynie dziesiątka Wyjców, starych i nowych.

– Skoro mamy przeprowadzić rozmowę, proszę, wyjmij ten nóż z mojej ręki – mówi Szakal. – Możesz mi wierzyć albo nie, ale to boli. – Nie jest tak zabawny, jak sugerowałyby to jego słowa. Pomimo stanowczości jego twarz jest blada, a ciało zaczyna trząść się pod wpływem szoku.

Uśmiecham się.

– Gdzie jest reszta twojego wojska? Gdzie ta dziewczyna, Lilath? Jest winna oko mojemu przyjacielowi.

– Uwolnij mnie, a dam ci jej głowę na talerzu. Jeśli pożyczysz mi jabłko, wsadzę je jej do ust, żeby wyglądała jak prosię na ucztę. Twój wybór.

– No jasne! To stąd się wziął twój przydomek, prawda? – pytam z szyderczym aplauzem.

Szakal cmoka z dezaprobatą.

– Lilath podobało się brzmienie tego słowa. Dlatego właśnie wsadzę jej jabłko w usta. Wolałbym, żeby to było coś bardziej... królewskiego niż *Szakal*, ale reputacja często mówi sama za siebie. – Kiwa głową w kierunku Sevro. – Tak jak w przypadku tego małego Goblina i jego Żabich Stołków.

– Co masz na myśli? – pyta Oset.

– Tak was nazywamy. Żabie Stołki, na których mogą usiąść Kosiarz i Goblin. Gdybyście jednak chcieli otrzymać lepsze imiona, gdy gra dobiegnie końca, musicie zabić wielkiego, wrednego Kosiarza. Nie ogłuszyć, tylko zabić. Wbijcie mu miecz w plecy, a staniecie się Imperatorami, Gubernatorami, czymkolwiek chcecie. Ojciec i tak będzie zadowolony. To bardzo proste zadanie. Quid pro quo.

Sevro wyciąga swoje noże i wraz z Wyjcami piorunuje go morderczym wzrokiem.

– Nie aż tak proste.

– Warto było spróbować – wzdycha Szakal. – Muszę przyznać, że mam zadatki bardziej na polityka niż żołnierza. Skoro mamy rozmawiać, musisz coś mówić, Kosiarzu. Wyglądasz jak posąg. Nie rozmawiam z posągami.

Jest zimny. Wyrachowany.

– Naprawdę zjadłeś członków własnego Domu?

– Po miesiącach spędzonych w ciemności człowiek je wszystko, co mu podejdzie pod usta. Nawet jeśli nadal się rusza. Tak naprawdę to mało godne podziwu. Mniej ludzkie, niżbym wolał. Na moim miejscu każdy by tak postąpił. Ale wyciąganie na światło moich brudnych wspomnień to nie jest dobry wstęp do negocjacji.

– Nie negocjujemy.

– Ludzie zawsze negocjują. Od tego są rozmowy. Ktoś jest w posiadaniu czegoś, wie o czymś... Ktoś czegoś pragnie. – Uśmiech ma uprzejmy, ale jego oczy... Coś jest z nimi nie tak. Zupełnie jakby od momentu, w którym przestał być Lucianem, w jego ciało wstąpiła inna dusza. Widziałem już aktorów... ale tym razem to co innego. Zachowuje się tak rozsądnie, że to aż nieludzkie. – Kosiarzu, powiem mojemu ojcu, by dał ci wszystko, czego zapragniesz. Flotę. Armię Różowych do pieprzenia, Kruki, z którymi mógłbyś podbijać, co tylko zechcesz. Dostaniesz wspaniałą posadę, jeśli wygram ten pierwszy rok szkoły. Jeśli ty wygrasz, będzie jeszcze więcej nauki. Więcej testów. Więcej ciężkiej pracy. Słyszałem, że twoja rodzina jest pogrążona w długach i zhańbiona – trudno ci będzie dojść do czegoś na własną rękę.

Prawie zapomniałem o swojej fałszywej rodzinie.

– Sam zapracuję na własne laury.

– Kosiarzu, Kosiarzu, Kosiarzu. Myślisz, że *to* jest koniec drogi? – Cmoka z dezaprobatą. – Błąd. Błąd, przyjacielu. Ale jeśli puścisz mnie wolno, wtedy wszelkie trudy... – Robi gest wolną dłonią. – Znikają. Mój ojciec zostanie twoim patronem. A wtedy witaj, władzo. Witaj, sławo. Pożegnaj się z tym – wskazuje na nóż – a rozpocznie się twoja przyszłość. Jako dzieci byliśmy wrogami. Teraz jako mężczyźni możemy być sojusznikami. Jesteś mieczem, a ja piórem.

Tancerz chciałby, żebym przyjął ofertę. Zagwarantowałaby mi przetrwanie. Zagwarantowałaby mój

spektakularny awans. Znalazłbym miejsce w rezydencji ArcyGubernatora. Byłbym blisko człowieka, który zabił Eo. Och, jakże pragnę przyjąć propozycję. Ale wtedy musiałbym pozwolić Cenzorom, by mnie pokonali. Pozwoliłbym wygrać temu wypierdkowi, a jego ojciec uśmiechnąłby się i poczuł dumę. Musiałbym patrzeć, jak jego usta rozciągają się w tym zarozumiałym uśmiešku. Pieprzyć to. Jedyne, co poczują, to ból.

Drzwi otwierają się, do pokoju wpada Pax z uśmiechem.

– Co za wspaniała noc, Kosiarzu! – śmieje się. – Złapaliśmy tych małych gnojzków w piwnicy. Pięćdziesięciu. Wygląda na to, że mają tam całkiem długi tunel. Chyba tak zdobyli zamek. – Zatrzaszkuje drzwi i siada na krawędzi stołu, zabierając się do dokończenia resztek posiłku. – Mokra robota! Ha! Ha! Pozwoliliśmy im wyleźć i rozpętała się zajebista rzeźnia! Mówię ci! Cudowna! Heldze z pewnością by się podobało. Wzięliśmy wszystkich do niewoli. Mustang naznacza ich w tej chwili. Jest w bardzo dziwnym nastroju. – Wypluwa kość. – Ha! To on? *Szakał*? Jest równie blady, jak dupa Czerwonego. – Przygląda się uważniej. – Niech to diabli. Przyszpiliłeś go!

– Myślę, że przechodziłeś przez większe gówno niż on, Pax – dodaje Sevro.

– Jasne, że tak. I bardziej kolorowe. Jest ponury jak jeden z Brązowych.

– Uważaj na język, głupcze – mówi Szakał. – Wkrótce możesz go stracić.

– Podobnie jak ty fiuta, jeśli dalej się będziesz sadził! Ha! Jest tak samo mały, jak ty?

Szakał nie lubi, gdy się z niego kpi. Gapi się w milczeniu na Paxa przez chwilę, a potem strzela oczami w moją stronę, podobnie jak wąż językiem.

– Zdajesz sobie sprawę, że Cenzorzy ci pomagają? – pytam. – Wiesz, że próbowali mnie zabić?

– Oczywiście – odpowiada, wzruszając ramionami. – Moje nagrody wykraczają... ponad przeciętną.

– Nie przeszkadza ci oszustwo?

– Oszukuj albo daj się oszukać.

Brzmi znajomo.

– Cóż, już nie będą tego robić. Za późno. Nadszedł czas, żebyś pomógł sam sobie. – Wbijam w stół kolejny nóż. Wie doskonale, po co. – Usłyszałem kiedyś, że jeśli szakał wpadnie w pułapkę, odgryzie sobie własną łapę. Użycie noża będzie prostsze od zębów.

Parska krótkim śmiechem podobnym do szczeknięcia.

– Więc jeśli odetnę sobie rękę, pozwolisz mi wyjść? To naprawdę wszystko?

– Drzwi są tam. Pax, przytrzymaj nóż tak, żeby nie oszukiwał.

Nawet jeśli pożarł członków własnego Domu, nie odważy się tego zrobić. Jest w stanie poświęcić przyjaciół i sojuszników, ale nie siebie. Obleje ten test. Jest w końcu Aureatem. Nie można się go bać. Jest mały, słaby, zupełnie jak jego ojciec. Znajduję jego pierścień Plutona za cholewą buta i zakładam mu na palec, żeby Poborowcy i jego ojciec widzieli, jak ich duma i chwała się poddaje. Będą wiedzieli, że jestem od niego lepszy.

– Cenzorzy być może mnie wspierają, ale i tak sam muszę na wszystko zasłużyć, Darrow.

– Czekamy.

Wzdycha.

– Mówiłem już. Jestem inny niż ty. Dłoń jest narzędziem rolnika. Narzędziem Złotego jest jego umysł. Gdybyś pochodził z lepszej rodziny, uświadomiłbyś sobie, że ta ofiara znaczy dla mnie naprawdę niewiele.

I to mówiąc, zaczyna ciąć. Łzy spływają mu po twarzy, gdy pojawia się pierwsza krew. Piłuje dalej, a Pax nie może na to patrzeć. Szakal jest już w połowie drogi, gdy spogląda na mnie z rozsądnym uśmiechem, który przekonuje mnie o jego kompletnym szaleństwie. Zęby mu dzwonią. Śmieje się ze mnie, z sytuacji, z bólu. Nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś takiego. Teraz wiem, co czuł Mickey, gdy na mnie patrzył. To potwór w ciele człowieka.

Szakal ma zamiar złamać własny nadgarstek, żeby ułatwić sobie pracę. Pax klnie pod nosem i rzuca mu miecz jonowy, który przecina rękę jednym ruchem.

– Dziękuję ci, Pax – mówi Szakal.

Nie wiem, co robić. W moim wnętrzu wszystko krzyczy, żebym go zabił. Poderżnął gardło. To ktoś, kogo nie puszcza się wolno. Ktoś, na kogo się nie sika i nie odsyła do lasu. Szakal tak bardzo wykracza poza rozumowanie Cassiusa, że aż chce mi się śmiać. Mimo to obiecałem, że może odejść, jeśli odetnie sobie rękę, a on właśnie to zrobił. Dobry Boże.

– Kompletnie ci odbiło – mamrocze Pax.

Szakal mruczy coś pod nosem o głupcach. To tylko dłoń, mówi. Dla mnie moje dłonie są wszystkim. Dla niego są niczym.

Po uporaniu się ze swoim zadaniem siedzi na krześle z prawie całkowicie przypalonym kikutem. Twarz ma białą jak śnieg. Pasek ze spodni posłużył mu za opaskę uciskową. Dobrze wie, że nie mam zamiaru go wypuścić.

Wtedy dostrzegam zniekształcenie przenikające przez otwarte okno. Cenzorzy przybyli, tak jak się spodziewałem, ale jestem nieprzygotowany, rozproszony. Gdy widzę, jak niewielki detonator upada z trzaskiem na stół, a Szakal łapie go zdrową ręką, wiem, że popełniłem błąd. Dałem Cenzorom czas. Wszystko zwalnia, a ja mogę co najwyżej patrzeć.

Tą samą dłonią, w której trzyma malutki detonator, Szakal robi wymach jonowym mieczem Paxa.

Wbija ostrze w gardło mojego przyjaciela. Krzyczę i zrywam się z miejsca w chwili, w której Szakal wciska guzik.

Soniczny wybuch eksploduje z urządzenia, rzucając mną przez pokój. Wyjce wpadają na ściany. Pax osuwa się na podłogę. Kubki, jedzenie i krzesła fruują w powietrzu strzaskane na drobno. Leżę na ziemi. Potrząsam głową, próbując ustalić swoje położenie, gdy Szakal zbliża się w moją stronę. Pax wstaje chwiejnie na nogi. Krew cieknie mu z uszu i gardła. Szakal mówi coś do mnie, unosi miecz. Pax rzuca się naprzód, ale nie na niego, tylko na mnie. Przygniata mnie całym ciężarem ciała. Ledwie oddycham. Nie widzę, co się dzieje, ale czuję to przez ciało Paxa. Wstrząs. Spazm. Dziesięć uderzeń, gdy Szakal dźga w niego, próbując mnie dosięgnąć. Przypomina w tym jakieś zarażone wściekłą zwierzę ryjące w ziemi, dłubiące w Paxie, by mnie zabić, kiedy leżę na podłodze.

A potem cisza.

Krew cieknie mi po twarzy, ogrzewa ciało. Krew mojego przyjaciela.

Próbuję ruszyć Paxa. Ledwie udaje mi się spod niego wygramolić. Szakal uciekł, a Pax wykrwawia się na śmierć. Słyszę w głowie wrzask. Cenzorzy również się wynieśli. Wyjce z trudem podnoszą się na nogi. Gdy spoglądam ponownie, Pax nie żyje, a jego usta są rozciągnięte w łagodnym uśmiechu. Krew płynie po kamieniach. Czuję ściskanie w piersi i padam na kolana, szlochając.

Nie wypowiedział ostatnich słów. Nie miał żadnego pożegnania.

Rzucił się, żeby mnie ratować. I został zabity.

Nie żyje.

Lojalny Pax. Ściskam jego wielką głowę. Upadek mojego tytana potwornie boli. Był stworzony do wielkich rzeczy. Tak łagodne serce w tak twardym ciele. Już nigdy nie wybuchnie śmiechem. Nigdy nie stanie na mostku niszczyciela. Nigdy nie założy peleryny Rycerza ani nie wzniesie buławy Imperatora. Nie żyje. Nie powinno tak być. To moja wina. Powinienem zakończyć sprawę szybko.

Paxa mogła czekać świetlana przyszłość.

Sevro staje za mną z pobladłą twarzą. Wyjce są w pełnej gotowości i kipią z gniewu. Czterech z nich łąka milczącymi łzami. Krew cieknie im z uszu. Świat jest całkiem bezgłośny. Nie słyszymy, ale sfora wilków nie potrzebuje słów, by wiedzieć, że nadszedł czas na polowanie.

Szakal zabił Paxa. Teraz my zabijemy jego.

Ślad jego krwi prowadzi do jednej z niskich wież. Znika na dziedzińcu – deszcz zmył go całkowicie. Nasza jedenastka zeskakuje z wieży ku niższym murom. Zbiegamy na dziedziniec, a Sevro, nasz tropiciel, prowadzi nas przez boczną bramę w postrzępione, niskie góry.

Noc jest ciężka. Śnieg i deszcz zacinają z ukosa. Błyskają pioruny. Po niebie przetaczają się grzmoty, ale słyszę to jak we śnie. Biegnę z Wyjcami w nierównej linii. Wspinamy się na pogrążone w ciemności turnie, skaczemy po stromych zboczach. Moje owinięte skórami buty spowalniają mnie,

ale muszą pozostać zakryte. Mój plan nadal może wypalić, nawet po tym wszystkim.

Nie mam pojęcia, jakim cudem Sevro udaje się nas prowadzić. Jestem zagubiony w chaosie. Myślami wracam do Paxa. Nie powinien zginąć. Zapędziłem Szakala w kozi róg i pozwoliłem, by stamtąd uciekł. Pamiętam, jak Mustang na niego patrzyła. Wiedziała, kim jest. Wiedziała i chciała porozmawiać ze mną na osobności. Cokolwiek ich łączy, jej lojalność należy do mnie. Ale jak to możliwe, że ona go zna?

Sevro zabiera nas w wysoko położone w górach przełęcze, gdzie śnieg nadal sięga po kolana. Natrafiamy na ślady. Śnieg wiruje wokół nas. Jestem zmarznięty. Moja peleryna nasiąkała wilgocią. Sling obija mi się o plecy. Buty ślizgają się po lodzie. Na śniegu widać krople krwi. Pędzimy przez zaśnieżoną przełęcz między dwoma poszarpanymi szczytami. Widzę Szakala. Brnie w śniegu jakieś sto metrów przed nami. Wpada w zaspę, ale podnosi się chwilę później. Musi być niewiarygodnie silny, skoro zaszedł tak daleko. Złapiemy go i zabijemy za to, co zrobił Paxowi. Nie musiał dźgać mojego tytana mieczem. Moja sfora wydaje żałobne wycie. Szakal ogląda się przez ramię i potyka. Tym razem nie ucieknie.

Wbiegamy na zaśnieżony stok. Jest ciemno i zimno. Wiatr zacina z ukosa. Wyję, ale dźwięk jest stłumiony po eksplozji, jakbym miał owinięte szczelnie uszy. Nagle coś dziwnego deformuje płatki śniegu przed nami. Jakiś kształt. Niewidzialny, nieuchwytny kształt, którego zarys wyróżnia padający śnieg. To Cenzor. Żołądek opada mi w dół jak kamień. To tutaj mnie zabijają. Przed tym ostrzegwał mnie Fitchner.

Apollo dezaktywuje niewidzialną osłonę. Uśmiecha się do mnie pod hełmem i woła coś. Nie słyszę, co mówi. Macha rękawicą pulsacyjną, a Sevro i Wyjce rozpraszają się, gdy malutka, dźwiękowa eksplozja zrzuca ze zbocza pięciu naszych ludzi. Bębenki w moich uszach wyją z bólu. Chyba już nigdy nie będą takie, jak dawniej. Apollo znów wymachuje rękawicą. Robię unik. Ból przeszywa mi stopę. Obraca mną. Chwilę później znika. Zrywam się na równe nogi i pędzę ku Apollo. Jego rękawica wytwarza pola energii, którymi we mnie ciska. Unikam trzech wybuchów. Obracam się na pięcie, wiruję jak bąk i skaczę. Sling spada na jego głowę i zatrzymuje się w pół ruchu. Zbroja pulsacyjna, gdy jest włączona, nie może zostać naruszona przez żadną broń prócz kosy. Wiedziałem o tym, ale musiałem się czymś popisać.

Apollo obserwuje mnie, niewzruszony w swojej zbroi. Moja wataha została zrzuciona w dół zbocza. Widzę, jak Szakal wspina się po górskiej ścianie. Wydaje się silniejszy. Otacza go zniekształcone powietrze. Jakiś inny Cenzor zapewnia mu swoją siłę, prawdopodobnie Wenus.

Z mojego gardła wrywa się wrzask pełen furii, która narastała od momentu, kiedy poszedłem pod nóż Mickeya.

Apollo mówi coś, czego nie słyszę. Przeklinam go i znów biorę zamach slingiem. Łapie go i rzuca w śnieg. Niewidzialna warstwa pola siłowego wokół jego pięści trafia mnie w twarz – nawet mnie nie dotyka, ale przyprawia nerwy o prawdziwą agonię. Krzyczę i padam na ziemię. Apollo dźwiga mnie za włosy i razem unosimy się w burzowe powietrze. Wzlatuje na butach grawitacyjnych, aż wisimy dobre trzysta metrów nad ziemią. Zwisam z jego garści. Śnieg wiruje wokół mnie. Odzywa się ponownie, dostosowując nieco częstotliwość do moich poranionych uszu, tak bym mógł usłyszeć.

– Powiem to w prosty sposób, żebyś zrozumiał. Pojmaliśmy twoją małą Mustang. Jeśli nie przegrasz w następnym starciu z synem ArcyGubernatora tak, że wszyscy Poborowcy będą tego świadkami, zniszczę ją.

Mustang.

Najpierw Pax. Teraz dziewczyna, która śpiewała przy ogniu pieśń Eo, dziewczyna, która wyciągnęła mnie z błota. Która zwijała się przy mnie w kłębek, gdy dym z ogniska unosił się w naszej małej jaskini. Cudowna Mustang, która podążała za mną z własnego wyboru. I oto, dokąd ją zaprowadziłem. Nie spodziewałem się tego. Nie planowałem. Schwytali ją.

Żołądek zaciska mi się w supeł. Tylko nie to. Nie jak ojciec. Nie jak Eo. Nie jak Lea. Nie jak Roque. Nie jak Pax. Nie zabiją jej. Ten sukinsyn nie zabije już nikogo więcej.

– Zaraz wyrwę ci to *cholerne* serce!

Uderza mnie w brzuch, nadal trzymając za włosy. Jego twarz ma dziwny wyraz, gdy próbuje przypomnieć sobie to słowo. *Cholerny*. Unosimy się wysoko w powietrzu. Bardzo wysoko. Dyndam jak wisielec, gdy znów mnie trafia. Z moich ust wyrывa się jęk. Wtedy przypominam sobie jedną rzecz, jakiej nauczyłem się od Fitchnera, gdy klepnałem go w ramię w lesie. Skoro Apollo trzyma mnie za włosy, a ja nie czuję wibracji jego tarczy, to znaczy, że jest wyłączona. I to na całym ciele. Jest okryty fizyczną zbroją wszędzie poza jednym miejscem.

– Teraz już wiem, że jesteś małą, głupią marionetką – mówi w zamyśleniu. – Szaloną, wściekłą, małą marionetką. I tak nie zrobisz tego, co każę, prawda? – Wzdycha. – Znajdę jakiś inny sposób. Najwyższy czas odciąć ci sznurki.

Puszcza mnie.

A ja nadal dryfuję w powietrzu, oddalony o kilka cali od jego wyciągniętej ręki.

Nie spadam, bo pod warstwą futer ukryłem buty grawitacyjne, które ukradłem Fitchnerowi, gdy napadłem go w warowni Apolla. Tarcza Apolla jest wyłączona. A on strasznie mnie wkurzył. Gapi się na mnie, zdumiony. Uwalniam mechanizm sztyletu z pierścienia i trafiam go w twarz, wbijając go przez przyłbicę w oko cztery razy.

– Nie jestem marionetką! – wrzeszczę na niego, gdy umiera. Cała wściekłość, jaką czułem, pęcznieje we mnie, oślepia i napełnia wielką, namacalną wręcz nienawiścią, która odchodzi w zapomnienie dopiero w momencie, w którym buty Apolla dezaktywują się, a on spada w dół przez wirujące płatki śniegu.

Znajduję swoich Wycjów zebranych wokół ciała Cenzora. Śnieg jest czerwony. Wpatrują się we mnie, gdy opadam z nożem mokrym od krwi Niezrówanego Naznaczonego. Wcale nie zamierzałem go zabić. Ale nie powinien był jej uwięzić. I nie powinien nazywać mnie marionetką.

– Zabrali Mustang – mówię.

Przyglądają mi się w milczeniu. Szakal nie ma już żadnego znaczenia.

– Teraz my przejmujemy Olimp.

Uśmiechy, które sobie rzucają, są zimne jak śnieg.

Sevro wybucha zgrzytliwym śmiechem.

Rozdział czterdziesty drugi
Wojna na niebie

Nie ma czasu na powrót do fortecy. Mam ze sobą wszystkich, których potrzebuję, najtwardszą z armii. Małych, zabójczych, lojalnych i szybkich żołnierzy. Biorę zbroję Apolla. Złoty pancerz otula moje kończyny jak ciekły metal. Daję jego buty Sevro, ale są na niego za duże. Zdejmuję więc swoje, należące do jego ojca, żeby mógł je założyć – strasznie poraniły mnie w stopy – a sam wkładam buty Apolla.

– Czyje to? – pyta.

– Twojego tatusia – mówię.

– A więc się domyśliłeś. – Wybucha śmiechem.

– Jest zamknięty w zamkowym lochu.

– Głupi Pixie! – Znow się śmieje. Łączy ich przedziwna relacja.

Zatrzymuję również miecz Cenzora, jego hełm, rękawicę bojową i tarczę. Sevro dostaje w prezencie niewidzialną pelerynę. Nakazuję mu być moim cieniem, a reszcie Wyjców mówię, żeby związali razem swoje paski.

Buty grawitacyjne są w stanie udźwignąć człowieka w pełnej zbroi, na którego ramionach siedzą dwa słonie. Z łatwością unoszą więc Wyjców, którzy zwisają z moich ramion i nóg na uprzęży z pasków, gdy lecę przez szalejącą burzę śnieżną w stronę Olimpu. Sevro niesie pozostałych.

Cenzorzy zdążyli się już pobawić. Prowokowali mnie od bardzo dawna. Wiedzieli, że jestem kimś niebezpiecznym, czymś innym. Musieli zdawać sobie sprawę z tego, że prędzej czy później nie wytrzymam i ich pokonam. A może nadal sądzą, że jestem dzieckiem? Głupcy. Aleksander też był dzieckiem, gdy doprowadził do ruiny swój pierwszy podbity naród.

Lecimy przez zamieć ponad zboczami Olimpu. Unosi się niemal na milę od Argos. Nie ma tu drzwi. Żadnego portu. Warstwa śniegu pokrywa stoki. Chmury zasłaniają błyszczący wierzchołek. Prowadzę Wyjców do białej jak kość cytadeli na szczycie stromego zbocza. Wyłania się z masywu góry jak marmurowy miecz. Wyjce rozwiązują paski parami, zeskakując na najwyższy balkon.

Kucamy na kamiennym tarasie. Widzimy stąd mgliste terytorium Marsa, skaliste wzgórza i pola Minerwy, Wielką Knieję Diany i pasmo gór, gdzie moja armia oblega Jupitera. Mogłem być teraz na dole. Ci głupcy mogli zostawić mnie w spokoju.

Nie powinni porywać Mustang.

Zbroja jest jak druga skóra. Jedyne twarz mam odsłoniętą. Biorę garść popiołu od jednego z Wyjców i smaruję się dokładnie. Moje oczy płoną gniewem. Zmierzwione blond włosy są rozpuszczone. Wyciągam slinga. W lewej ręce ściskam rękawicę pulsacyjną. Kosa wisi mi u pasa. Nie mam pojęcia, jak jej używać. Pod paznokciami mam pełno brudu. Na środkowym i małym palcu lewej dłoni widać odmrożenia. Cuchnę. Moje futra śmierdzą padliną, zwisając bezwładnie. Ich biel została splamiona krwią Cenzora. Naciągam kaptur. Wszyscy naciągamy. Wyglądamy jak wilki. Pachniemy krwią.

Lepiej, żeby Poborowcom się to spodobało, bo w przeciwnym razie jestem już trupem.

– Chcemy Jupitera. Znajdźcie mi go. Zneutralizujcie pozostałych, jeśli tylko się na nich natkniecie. Oset, weź moje buty i sprowadź wsparcie.

Bosy, otwieram z hukiem drzwi przy pomocy rękawicy bojowej. W środku zastajemy Wenus leżącą na łóżku w jedwabnej halce. Jej zbroja ocieka z wody przy ogniu z kominka. Dopiero co skończyła pomagać Szakalowi. Na nocnym stoliku stoją winogrona, sernik i wino. Wyjce przyciskają ją do łóżka. Czwórka, tak dla wzmocnienia efektu. Przywiązujemy ją do słupków. Jej złote oczy otwierają się szeroko pod wpływem szoku. Prawie odebrało jej mowę.

– Nie możecie! Jestem Naznaczoną! Jestem Naznaczoną! – udaje jej się wykrztusić. Mówi, że to nielegalne, że jest Cenzorem, że nie wolno nam ich atakować. Pyta, jak się tu dostaliśmy. Kto nam pomógł. Czyją mam na sobie zbroję. Och, to zbroja Apolla. Apolla. Gdzie jest Apollo? Jego miękki

nocny strój leży w rogu pokoju. Są kochankami. – Kto ci pomógł?

– Nikt mi nie pomógł – mówię, poklepując ostrzem sztyletu jej lśniąca dłoń. – Ilu Cenzorów opuściło Olimp?

Brak jej słów. To nie mogło się wydarzyć. Nigdy do tego nie doszło. Dzieci nie podbijają Olimpu. Nikt w ciągu całej historii wszystkich planet nigdy o tym nie pomyślał. Kneblujemy ją i zostawiamy związaną i na wpół nagą przed otwartym oknem, żeby poczuła, czym jest chłód.

Wyjce i ja przedzieramy się przez wieżę. Słyszę, jak Oset prowadzi posiłki. Niedługo będzie tu Tactus, który da upust własnej wściekłości. Zjawi się też Milia. I Nyla. Moja armia staje do walki dla Mustang. Dla mnie. I z powodu Cenzorów, którzy oszukiwali nas, zatruli nasze jedzenie i wodę i spłoszyli konie. Przechodzimy od pokoju do pokoju. Przeszukujemy baseny z zimną wodą, termy, łaźnie parowe, lodowe komnaty, pokoje uciech pełne Różowych i hologramowe zbiorniki. Rozbrajamy Junonę w łaźniach. Wyjce wskazują do wody, żeby ją wyciągnąć. Nie ma przy sobie broni, ale Sevro musi ogłuszyć ją ze skradzionego miotacza po tym, jak łamie Klaunowi rękę i zaczyna podtapiać. Jak widać, ona również nie opuściła Olimpu, choć powinna.

Wulkana znajdujemy w pokoju hologramowym, gdzie w kącie trzeszczy ogień. Nie zauważa naszego wejścia do momentu, w którym wyłączamy maszyny. Oglądał Cassiusa stojącego na krawędzi murów obronnych, podczas gdy płonące pociski przecinały niebo dymem. Dali im cholerne katapulty. Na kolejnym ekranie widać Szakała pełzającego przez śnieg do wylotu jaskini. Na miejscu wita go Lilath ze skafandrem termicznym i lekarzami.

Pytam Cenzorów, dokąd została zabrana Mustang. Każą mi zapytać Apolla albo Jupitera. To nie ich zmartwienie. I nie powinno być moim. Za chwilę zacznę mi się kręcić w głowie. Pytam ich, czym mają zamiar mnie zaatakować.

– Mam w rękach wszystkie atuty.

Moja armia jest podniesiona na duchu, bo ma mnie. Myślą, że jestem nieśmiertelny, nie do zatrzymania. Słyszeli już, że zabiłem Apolla. Gdy mijamy złociste, szerokie korytarze, słyszę przydomki, jakie powstają na moją cześć. *Zabójca Bogów. Morderca Słońc*. Cenzorzy również mają okazję to usłyszeć. Nadal są zszokowani pomysłem, by uczniowie napadali Olimp, wpatrują się we mnie z pobladłymi twarzami. Uświadamiają sobie, że są częścią gry, przed którą od tylu lat uciekali, i że żadna z załóg medycznych nie przylatuje na Olimp. To zabawne, gdy patrzy się na bogów, do których w końcu dotarło, że od samego początku byli śmiertelnikami.

Wysyłam w głąb pałacu dwunastu zwiadowców, mówiąc im, czego mi trzeba. Z korytarzy pode mną dobiegają odgłosy realizowania mojego planu. Jupiter, Pluton, Merkury i Minerwa pozostają w zamku. Idą po mnie? A może to ja idę po nich? Sam już nie wiem. Próbuję poczuć się jak drapieżnik, ale nie potrafię. Mój gniew stygnie. Ustępuje miejsca strachowi. Pojmali Mustang. Przypominam sobie zapach jej włosów. To Naznaczeni, którzy brali łapówki od mordercy mojej żony. Krew zaczyna krążyć szybciej w moich żyłach. Wściekłość powraca.

W korytarzu natykam się na Merkurego. Znosi się histerycznym śmiechem i wywołuje na ekranie

hologramu sprośne, pijackie piosenki, by sekundę później stanąć oko w oko z szóstką moich żołnierzy. Ma na sobie płaszcz kąpielowy, ale tańczy w kółko jak opętany, robiąc uniki przed mieczami trójki Końskich Trupów. Nie widziałem takiego wdzięku i gracji u nikogo poza kopalniami. Porusza się tak, jak ja kopię. Czysta furia zrównoważona fizyką. Wystarczy kopniak, cios łokciem i odpowiedni nacisk, żeby wybić komuś rzepkę.

Trafia jednego z moich żołnierzy w twarz. Drugiego kopie w pachwinę. Przeskakuje ponad kolejnym, chwytając go za włosy w locie do góry nogami, łąduje i rzuca nim o ścianę jak szmacianą lalkę. Kolanem kopie chłopaka w twarz, wyrywa dziewczynie kciuk, żeby nie mogła utrzymać miecza. Próbuje strzelić mnie na odlew, zanim się odsunę. Jestem szybszy niż on i silniejszy, i mam przewagę, choć on mistrzowsko włada mieczem. Gdy jego dłoń zbliża się niebezpiecznie blisko mojej twarzy, walę go w przedramię tak mocno, jak tylko potrafię, naruszając kość. Merkury wydaje okrzyk bólu i próbuje odskoczyć, ale przytrzymuję go za rękę z całej siły i uderzam w ramię pięścią tak długo, aż w końcu się łamie.

Puszczam go wreszcie.

Jesteśmy w hallu. Otaczają go moi żołnierze. Zwołuję resztę i podnoszę slinga. Merkury wygląda jak cherubinek. Drobny, niski, z twarzą dziecka. Policzki ma zaróżowione z wysiłku. Pił. Kręcone złote włosy opadają mu na oczy. Odgarnia je do tyłu. Pamiętam, że chciał wybrać mnie do swojego Domu, ale jego szefowie się sprzeciwili. Teraz wymachuje mieczem jak poeta piórem, ale jego poraniona ręka jest całkiem bezużyteczna.

– Jesteś dzikusiem – mówi przez zaciśnięte z bólu zęby. – Powiedziałem im, żeby cię nie naciskali. I co? Posłuchali mnie? Nie, nie, nie, nie. Głupi Apollo. Duma potrafi zaślepić.

– Podobnie jak miecz.

– Wbity w oko? – Merkury taksuje wzrokiem moją zbroję. – Nie żyje, prawda? – Ktoś krzyczy, żeby go zabił. – No, no. Są głodni krwi. Taki pojedynek może być całkiem zabawny.

Robię ukłon.

Merkury dyga z wdziękiem.

Lubię tego Cenzora, ale nie mam zamiaru dać mu szansy, aby mnie zabił.

Chowam więc miecz do pochwy i strzelam mu w pierś pociskiem ogłuszającym z rękawicy. Związujemy go. Nadal się śmieje. W dalszym odcinku korytarza dostrzegam Jupitera – tytana w pełnej zbroi – pędzącego przed siebie z wygiętą włócznią i mieczem. Towarzyszy mu drugi uzbrojony Cenzor, zdaje się, że Minerva. Wycofujemy się. Dziesiątkują mój oddział. Napadają na nas w długim korytarzu, rozrzucając dokoła uczniów jak gązdy toczące się po polu. Nie możemy zrobić im krzywdy. Moi żołnierze biegiem wracają tą samą drogą, którą przyszlismy, wspinają się po schodach na wyższe piętra, gdzie wpadamy na nowe grupy posiłków. Potykamy się o siebie, przewracając na marmurową podłogę. Biegniemy przez złote apartamenty, uciekając jak najdalej od Jupitera i Minery, którzy wbiegają na schody. Jupiter wybucha gromkim śmiechem, gdy nasze

proste miecze i włócznie odbijają się od jego zbroi.

Tylko moja broń jest w stanie go zranić, ale to za mało. Jego miecz przechodzi przez moją tarczę i prześlizguje się po zbroi na udzie. Syczę z bólu i wystrzeliwuję w niego impuls z rękawicy bojowej. Tarcza Cenzora wchłania impuls, ledwie wytrzymując jego siłę. Wymachuje mieczem jak batem. Ostrze szoruje po mojej powiece, prawie pozbawiając mnie oka. Z niewielkiej rany sączy się krew. Ryczę z wściekłości. Rzucam się na niego, łamiąc rękawicę na jego szczęce. Cios niszczy moją broń i uszkadza rękę, ale udaje mi się zrobić wgniecenie w jego złotym hełmie i zachwiać nim. Nie daję mu czasu na odzyskanie równowagi. Z wrzaskiem zataczam wirujące łuki slingiem i rąbię gdzie popadnie, jednocześnie dźgając nieporadnie mieczem, trzymanym w lewej ręce. To szalony taniec. Trafiam go w kolano. Jupiter rozcina mi udo. Zbroja zamyka się wokół rany, uciskając ją i dostarczając środków przeciwbólowych.

Znajdujemy się na końcu okrągłej klatki schodowej. Ostrze Jupitera robi się elastyczne, a potem owija wokół mojej nogi jak lasso. Jeszcze chwila, a zaciśnie się i odetnie mi ją na wysokości uda. Skaczę na niego i spadamy ze schodów. Zrywa się z ziemi i skacze na równe nogi. Popycham go w tył. Zbroja uderza o zbroję.

Wpadamy do pokoju holograficznego. W powietrzu fruują iskry. Nie przestaję krzyczeć i popycham go nieustannie, żeby nie mógł oderwać mi nogi, wokół której nadal jest owinięty jego miecz. Cofa się, wytrącony z równowagi. Wypadam z nim przez okno. Żaden z nas nie ma butów grawitacyjnych, więc lecimy trzysta metrów w dół i lądujemy w zaspie zalegającej na zboczu góry. Staczamy się po stromym zboczu, prosto ku wijącej się w dole wstędze rzeki Argos półtora kilometra stąd.

Udaje mi się znaleźć oparcie w śniegu. Podnoszę się. Nie widzę go nigdzie. Wydaje mi się, że słyszę jego pomruk w oddali. Jesteśmy skryci w chmurach. Kucam i nasłuchuję, ale moje uszy jeszcze nie doszły do siebie po incydencie z Apollem.

– Umrzesz za to, chłopcze – mówi Jupiter, stając przede mną. Jego głos sprawia wrażenie, jakby wydobywał się spod wody. Gdzie on właściwie jest? – Powinieneś znać swoje miejsce. Wszystko ma granice. Jesteś blisko szczytu, ale nie na szczycie.

Mówię coś zjadliwego o tym, że zasługi nie mają tu żadnego znaczenia.

– Zasług nie można rozdawać.

– A więc ArcyGubernator płaci ci, żebyś to robił?

W oddali słyszę wycie. Mój cień.

– Co właściwie masz zamiar zrobić, chłopczyku? Zabić wszystkich Cenzorów? Zmusić nas, żebyśmy pozwolili ci wygrać? Nie tak to działa. Wkrótce Kruki ArcyGubernatora przylecą tu na okrętach z mieczami i bronią. To prawdziwi żołnierze, którzy mają blizny, o jakich możesz tylko pomarzyć. Obsydiani dowodzeni przez Legatów i Rycerzy. Ty się tylko bawisz. Uznają, że oszalałeś. Zabiorą cię stąd, skrzywdzą, a potem zabiją.

– Nie, jeśli najpierw uda mi się wygrać. – To klucz do wszystkiego. – Może być opóźnienie na hologramach, zanim materiał zobaczą Poborowcy. Tylko jak długie? Kto zajmuje się montowaniem filmu, skoro jesteś tutaj? Zadbamy o to, by światło dzienne ujrzała właściwa wiadomość.

Zdejmuję czerwoną opaskę z czoła, ścieram pot z twarzy i ponownie ją zawiązuję.

Jupiter milczy.

– Poborowcy wysłuchają tej rozmowy. Zobaczą, że ArcyGubernator płaci wam za oszustwa. Dowiedzą się, że jestem pierwszym uczniem w historii, który napadł na Olimp. I zobaczą, jak zabieram ci zbroję i każe paradować nago po śniegu. Jeśli się poddasz. Jeśli nie, zrzucę twojego trupa z Olimpu i naszczam na niego, jak będzie spadał.

Chmury rozrzedzają się na chwilę, a ja wyraźnie dostrzegam stojącego przede mną Jupitera. Krew ścieka po jego złotej zbroi. Jest wysoki, smukły i niebezpieczny. To miejsce to jego dom. Jego plac zabaw. Uczniowie są dla niego pionkami w grze, dopóki nie zdobędą Blizn. Jest taki sam, jak każdy tyran w historii. To niewolnik własnych zachcianek. Mistrz egoizmu i niczego innego. Uosabia Elitę – to potwór nurzający się w dekadentckim upadku, a mimo to niedostrzegający własnej hipokryzji. Postrzega to całe bogactwo i władzę jako swoje prawo. Jest w błędzie. Oni wszyscy są. Nie mogę jednak zrobić mu krzywdy, stojąc z nim twarzą w twarz, bez względu na to, jak dobrze posługuję się mieczem. Jest zbyt silny.

Miecz zwisa z jego ręki jak wąż. Jego zbroja lśni. Nastaje poranek. Usta Jupitera wykrzywia uśmiech.

– Mógłbyś daleko zajść w moim Domu. Ale jesteś tylko głupim małym chłopcem, pełnym gniewu i w dodatku z Domu Mars. Nie potrafisz zabijać tak jak ja, a mimo to rzucasz mi wyzwanie. Zawładnął tobą czysty gniew. Czysta głupota.

– Nie. Nie mogę rzucić ci wyzwania. – Rzucam mu slinga i miecz pod nogi. – Więc będę oszukiwał. – Kiwam głową. – Teraz, Sevro.

Miecz unosi się z ziemi, zastyga w bezruchu, a potem przechodzi gładko przez ścięgna nóg Jupitera, który okręca się na pięcie. Robi wymach bronią o dwie stopy za wysoko. Przywykł do walki z wysokimi mężczyznami. Niewidzialny Sevro rani go w rękę i odbiera mu broń. Zbroja Cenzora zasklepia się wokół ran i powstrzymuje krwawienie, ale naprawienie ścięgna będzie wymagać czasu.

Gdy Jupiter cichnie, Sevro zrzuca niewidzialną pelerynę Apolla. Zabieramy pokonanemu całe uzbrojenie. Jego zbroja i tak nie pasowałaby na nikogo prócz Paxa. Biedny Pax. Wyglądałby wspaniale w tym pięknym pancerzu. Wciągamy Jupitera z powrotem na zbocze.

Na Olimpie szala zwycięstwa zaczyna przechylać się na naszą stronę. Wygląda na to, że moi zwiadowcy znaleźli to, czego kazałem im szukać. Milia podbiega do mnie z zadowolonym uśmiechem. Jej głos, tak jak zawsze, jest niski i ochrypy, gdy przekazuje mi dobre wieści.

– Znaleźliśmy ich arsenał.

Orszak członków Domu Wenus, wyzwolony ledwie przed chwilą, przebiega obok. Ich rękawice bojowe i zbroje lśnią. Olimp należy do nas, a moi żołnierze znaleźli Mustang.

Teraz mamy w rękach wszystkie asy.

Rozdział czterdziesty trzeci

Ostatni test

Znajduję ją pogrążoną we śnie w apartamencie obok sypialni Jupitera. Złote włosy ma w nieładzie, a wilczą pelerynę brudniejszą od mojej. Zwisa smętnie, brązowa i szara. Po bieli nie został ślad. Pachnie dymem i głodem. Zniszczyła pokój, wywróciła tacę z jedzeniem i wbiła sztylet w drzwi. Brązowi i Różowi służący boją się jej i mnie. Patrzę, jak rozpierzchają się w różne strony. Moi dalecy kuzyni. Poruszają się jak obce istoty. Jak mrówki. Są całkowicie pozbawieni uczuć. Czuję kłucie w piersi. Punkt widzenia bywa zdradliwy. W ten sposób Augustus postrzegał Eo, zanim kazał ją zabić. Jako mrówkę. Nie. Nazwał ją „czerwoną suką”. W jego oczach była zwykłym psem.

– Jedzenie zostało czymś nafaszerowane? – pytam jednego z Różowych.

Piękny chłopiec mamrocze coś pod nosem, wbijając wzrok w podłogę.

– Mów jak mężczyzna – warczę.

– To środki usypiające, panie. – Nie patrzy na mnie. Nie dziwię mu się. Jestem Złotym. O głowę od niego wyższym. O niebo silniejszym. W dodatku sprawiam wrażenie całkiem stukniętego. Musi mnie uważać za potwora. Każę mu odejść.

– Ukryj się. Moja armia nie zawsze słucha, gdy mówię im, żeby nie bawili się członkami niższych kast.

Łoże jest wielkie, przykryte jedwabną pościelą. Materac z pierza. Zdobia je słupki z kości słoniowej, mahoni i złota. Mustang śpi na podłodze w rogu pokoju. Po tych wszystkich miejscach, w jakich spaliśmy, musiało jej się wydać czymś nieprzyzwoitym odpoczywanie w wygodnym łóżku, nawet pod wpływem środków uspokajających. Próbowała wybić też okno. Cieszę się, że nie wyszło. Spotkałby ją wyjątkowo długi i bolesny upadek.

Siadam obok. Mój oddech porusza kosmykiem jej włosów. Tyle razy miałem okazję oglądać ją śpiącą z gorączką. Ona robiła to samo. Teraz nie ma żadnej gorączki. Żadnego chłodu. Żadnego bólu w moim brzuchu. Rana zadana mieczem Cassiusa zagoiła się. Zima dobiegła końca. Na zewnątrz widziałem pierwsze wiosenne kwiaty. Zerwałem jeden na zboczach góry. Schowałem go do ukrytej kieszeni mojej peleryny. Chcę podarować go Mustang. Chcę, by obudziła się z kwiatem haemanthusa przy ustach. Jednak gdy go wyjmuję, moje serce przeszywa niewidzialny sztylet, gorszy od każdego innego ostrza. Eo. Ból po jej stracie nigdy nie minie. Nie wiem nawet, czy w ogóle powinien. Nie wiem też, czy ogarniające mnie poczucie winy jest uzasadnione. Całuję pąk haemanthusa i chowam go z powrotem. Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Budzę ją delikatnie ze snu.

Uśmiech pojawia się na jej ustach, zanim jeszcze otwiera oczy, jakby wiedziała, że jestem obok. Wypowiadam jej imię i odgarniam włosy z twarzy. Otwiera oczy. W tęczęwkach wirują złote plamki, tak dziwne w zderzeniu z moimi pokrytymi pęcherzami, brudnymi palcami i popękkanymi paznokciami. Trąca nosem moją dłoń i podnosi się, ziewając. Rozgląda się dokoła, prawie wybucham śmiechem, widząc, jak dociera do niej to, co się stało.

– Miałam zamiar powiedzieć ci o smokach, które mi się śniły. Były fioletowe, śliczne i lubiły śpiewać piosenki. – Trąca palcem moją zbroję. Słychać brzdęk. – Niezły sposób na zwrócenie mojej uwagi.

– Zdarza się.

– Zostałam damą w opresji, prawda? Niech to szlag! Nienawidzę tych lasek.

Przekazuję jej najnowsze wieści. Armia Szakala rozdzieliła się. Jego wojsko szturmuje Dom Mars, podczas gdy on i Lilath kryją się głęboko w górach. Z łatwością będziemy go mogli namierzyć.

– Jeśli chcesz, możesz wziąć naszą armię i zetrzeć tego drania z powierzchni ziemi.

– Załatwione. – Uśmiecha się krzywo i unosi pytająco brew. – Jesteś w stanie mi zaufać? Może to ja chcę być wielkim Prymusem tej dziwacznej armii.

– Ufam ci.

– Skąd masz tę pewność? – pyta ponownie.

Wtedy ją całuję. Nie mogę podarować jej haemanthusa. To moje serce i pochodzi z Marsa – jedna z niewielu rzeczy zrodzonych z czerwonej ziemi. I nadal należy do Eo. Ale ta dziewczyna, gdy ją zabrali... Zrobiłbym wszystko, by znów ujrzeć jej krzywy uśmiech. Możliwe, że pewnego dnia będę miał dwa serca, które będę mógł ofiarować.

Mustang smakuje tak samo, jak pachnie. Dymem i głodem. Nie odsuwamy się od siebie. Zanurzam dłonie w jej włosy. Jej palce wędrują wzdłuż linii mojej szczęki, przesuwały się po szyi i dotykają karku. W pokoju jest łóżko. Mamy czas. Płonie we mnie głód, który różni się od tego, gdy po raz pierwszy pocałowałem Eo. Pamiętam, jak Helldiver Gamm, Dago, zaciągnął się papierosem, w kilka chwil rozpalając go do czerwoności i gasząc. „To ty” – powiedział.

Wiem, że jestem porywczy, gwałtowny. Rozumiem to. Jest we mnie wiele różnych rzeczy – pasja, żal, poczucie winy, smutek, tęsknota, gniew. Są chwile, w których te emocje rządzą mną, ale nie w tym momencie. Nie tutaj. Skończyłem jako wisielec na szafocie z powodu pasji i smutku. Wylądowałem w kałuży błota przez poczucie winy. Na widok Augustusa zabiłbym go w przypływie gniewu. Ale teraz jestem tutaj. Nie wiem nic o historii Instytutu. Wiem jednak, że odważyłem się sięgnąć po to, czego nie zdobył nikt przede mną. Wziąłem to z furią i przebiegłością, pasją i szalem. Nie wezmę Mustang w ten sam sposób. Miłość i wojna to dwa całkiem inne pola bitwy.

Więc pomimo pożądanego odsuwam się od niej. Zna moje myśli i dlatego wiem, że to słuszna decyzja. Kradnie mi jeszcze jeden pocałunek. Chwilę później wstajemy i wychodzimy. Trzymamy się za ręce aż do drzwi. Odwracam się do niej.

– Przynieś mi sztandar Szakala.

– Oczywiście, Lordzie Kosiarszu. – Składa kpiący ukłon i mruga zawadiacko. Później wychodzi.

Zamek został doszczętnie splądrowany. W całym tym chaosie Sevro udało się znaleźć hologramowe urządzenie nadawczo-odbiorcze, na którego dyskach zapisano wszystkie nasze doświadczenia, czekające na wysłanie do Poborowców. Nie jest to transmisja na żywo, więc nie otrzymali jeszcze relacji z dzisiejszych wydarzeń. Przekazuję Sevro odpowiednie instrukcje i każe mu zmontować historię, jaką mam zamiar opowiedzieć. Nie powierzyłbym tego zadania nikomu innemu.

Kazałem sprowadzić Fitchnera z lochu zamku Apolla. Siedzi na krześle w jadalni Olimpu. Twarz ma fioletową w miejscu uderzenia. Podłoga jest utkana ze skondensowanego powietrza, więc jesteśmy zawieszani w górze jakąś milę od ziemi. Stopy oparł o blat stołu, a jego usta wykrzywają się w uśmiechu.

– Oto i nasz szaleniec – woła, gładząc palcem podbródek. – Wiedziałem, że los będzie ci sprzyjał.

Witam się z nim, wystawiając środkowy palec.

– Kłamca.

Odwzajemnia się tym samym.

– Gnojek. – Ściska mi dłoń. – Tylko mi nie mów, że nadal się wściekasz o tę aferę z zatruciem, chorobę, Cassiusa, niedźwiedzie w lesie, gównianą broń, paskudną pogodę, próbę zabójstwa i szpiega.

– Szpiega?

– Żartuję. Ha! Nadal jesteś jak dziecko. A skoro o tym mowa, gdzie są twoi żołnierze? Biegają dokoła, obżerają się, kąpią, śpią, pieprzą i zabawiają z Różowymi? To miejsce jest pułapką, mój chłopcze. Pułapką, która sprawi, że twoja armia stanie się bezwartościowa.

– Jesteś w lepszym nastroju, jak widzę.

– Mój syn jest bezpieczny – mówi, mrugając do mnie. – Co masz zamiar teraz zrobić?

– Wysłałem Mustang, żeby zajęła się Szakalem. Później wyruszam do Domu Mars. A potem będzie po wszystkim.

– Ooo, z tą tylko różnicą, że nie będzie. – Fitchner robi balon z gumy do żucia i krzywi się. Przywaliłem mu w szczękę. Chce mi się śmiać. Mam ochotę śmiać się od momentu, w którym Sevro pokonał Jupitera. Noga pulsuje mi bólem od rany, jaką zadał mi ten przekłety Cenzor. Nawet nafaszerowany środkami przeciwbólowymi, ledwo jestem w stanie chodzić.

– Oszczędź sobie zagadek. Dlaczego nie będzie?

– Z trzech powodów – mówi Fitchner. Przygląda mi się badawczo. – Jesteś osobliwym stworzeniem. Szakal też. Każdy z was chce tylko wygrać. Ale wy, czubki, różnicie się od pozostałych. Złoci nie umierają po to, by wygrać. Za bardzo cenimy sobie życie. Wy dwaj wprost przeciwnie. Skąd to się bierze?

Przypominam mu, że jest moim więźniem i powinien odpowiedzieć na pytanie.

– Nie skończyłem jeszcze. Zawrzyjmy umowę. Powiem ci, jakie trzy rzeczy mam na myśli, jeśli odpowiesz na moje pytanie: co cię napędza? – Wzdycha. – Pierwszą rzeczą, przyjacielu, jest Cassius. Nie ma innego wyjścia – będzie *musiał* z tobą walczyć tak długo, dopóki któryś z was się nie przekręci.

Tego się właśnie obawiałem. Odpowiadam na pytanie Fitchnera.

Mówię mu, że Szakal pragnął wiedzieć to samo. Co mnie napędza. Pierwszą z brzegu odpowiedzią jest gniew. Jeśli do czegoś dochodzi, a ja się tego nie spodziewałem, reaguję jak zwierzę – przemocą. Lecz tą właściwą, pochodzącą z głębi odpowiedzią jest miłość. To miłość mnie napędza. Więc muszę go trochę okłamać.

– Moja matka miała sen, że mogę zająć wyżej niż ktokolwiek w mojej rodzinie. Że stanę się większy niż ród Andromedus. Niż nazwisko ojca. – Fałszywego ojca. Fałszywej rodziny. Sens jest jednak taki sam. – Nie jestem z rodu Bellona, Augustus ani Arcos. – Uśmiecham się przebiegle, co Fitchner docenia. – Ale chcę górować nad nimi wszystkimi i szczać na ich pieprzone głowy.

Fitchnerowi podoba się to wytłumaczenie. Sam chciał tego samego, ale odkrył, że bez odpowiedniego rodowodu zasługi tak naprawdę niewiele znaczą. Że jest skazany na wieczną frustrację.

– Drugą rzeczą, która jeszcze się nie skończyła, jest *to*. – Macha dokoła ręką.

Dociera do mnie sens jego słów. Nie ma w nich nic odkrywczego. Zabiłem Cenzora. Jestem w posiadaniu dowodów, które mówią jasno, że ArcyGubernator rozdawał łapówki i groził pozostałym, by jego potomek mógł wygrać. To nepotyzm. Manipulowanie zasadami świętej szkoły. To nie są czcze wymysły. To prawda, która sprawi, że coś ulegnie zniszczeniu. Możliwe, że ArcyGubernator będzie musiał ustąpić z urzędu. Zostaną mu postawione zarzuty. A co z karą? Poborowcy zażądają krwi.

– ArcyGubernator będzie chciał cię dorwać. To przynosi mu hańbę i czyni potencjalne miejsce dla nowego ArcyGubernatora z rodu Bellona.

Fitchner pyta mnie, dlaczego ufam żołnierzom, którzy byli przedtem niewolnikami.

– Bo mają świadomość, jak by im poszło w grze, gdybym się nie zjawił. Myślisz, że woleliby mieć nad sobą Szakala?

– Racja – przyznaje Fitchner. – Ufasz im wszystkim. Cudownie, w takim razie nie ma trzeciej komplikacji. Mój błąd. – Naciskam go, by zdradził, o co mu właściwie chodzi, więc wzdycha i ustępuje. – Och, tylko tyle, że wysłałeś Mustang i połowę wojska, by zajęła się Szakalem.

– I?

– To naprawdę nic ważnego. Przecież jej ufasz.

– Nie. Powiedz mi. Co masz na myśli?

– W porządku. Skoro już musisz wiedzieć, Mustang jest siostrą bliźniaczką Szakala.

Virginia au Augustus. Siostra Szakala. Jego bliźniaczka. Dziedziczka wielkiej rodziny, *gens Augusta*. Jedyne córka ArcyGubernatora Nero au Augustusa. Człowieka, od którego wszystko się zaczęło. Trzymana w ukryciu przed ludźmi w celu uniemożliwienia prób zabójstwa, tak samo jak brat. To dlatego Cassius nie znał siostry rywala swojej rodziny. Gdy siedziałem z Szakalem przy stole, Mustang wiedziała, kim jest. Jej bratem. Czy wiedziała wcześniej o jego prawdziwej tożsamości? Jeśli tak, nic nie usprawiedliwia jej milczenia. Nic prócz rodziny, dla której lojalność jest ważniejsza niż przyjaźń, miłość czy pocałunek w kącie pokoju. Wysłałem połowę armii w poszukiwaniu Szakala. Dałem mu w prezencie broń, buty grawitacyjne, niewidzialne peleryny, kosa, broń pulsacyjną, wystarczająco dużo techniki, by podbił Olimp. *Niech to szlag najjaśniejszy trafi.*

Cenzorzy o wszystkim wiedzą. Gdy mijam ich w biegu, pękają ze śmiechu. Śmieją się z mojej głupoty. Ogarnia mnie wściekłość. Mam ochotę coś zabić. Zwołuję resztę swoich sił. Żołnierze są

rozproszeni po zamku, jedząc zapasy i korzystając z rozkoszy. Głupcy. Idioci. Moi najlepsi ludzie są tam, gdzie ich najbardziej potrzebuję. Sevro udał się wykonać swoje zadanie. To najważniejsze. Rozkazuję Tactusowi znaleźć resztę uczniów Wenus i Merkurego i wziąć ich do niewoli. Wysyłam Milię, by wraz z Nylą zebrała pozostałych członków armii. Muszę się udać do Domu Mars, natychmiast. Nie mogę czekać, aż moi żołnierze się zgromadzą. Potrzebuję nowych twarzy, bo kiedy rodzeństwo Augustus nadejdzie, będą dysponowali bronią i technologią odpowiadającą mojej i być może zyskają wsparcie większej liczby żołnierzy. Gra zmieniła przebieg. Nie przygotowałem się na taką okoliczność. Czuję się jak głupiec. Jak w ogóle mogłem ją pocałować? Moje serce spowija ciemność. Co, jeśli dałbym jej haemanthusa? Rwę go na strzępy, zeskakując z krawędzi góry Olimp w butach grawitacyjnych, i pozwalam, by płatki opadły ku ziemi.

Zabieram ze sobą jedynie Wyjców.

Mamy na sobie buty i zbroje. Niesiemy rękawice bojowe i miecze pulsacyjne. Śnieg na terytorium Domu Mars zniknął. Zastąpiła go błotnista ziemia, zryta stopami najeźdźców. Wyżyny są okryte mgłą. Wokół unosi się zapach ziemi i zgliszczy. Nasze wieże, Fobos i Deimos, leżą w gruzach. Katapulty podarowane naszym wrogom odwaliły kawał dobrej roboty. Poczywały znaczne szkody w murach mojego starego zamku. Frontowa fasada jest doszczętnie zrujnowana i zasypana strzałami, połamanymi glinianymi garnkami, mieczami, fragmentami zbroi i ciałami uczniów.

Prawie setka najsilniejszych żołnierzy oblega Dom Mars. Ich obóz leży w pobliżu linii drzew, ale wokół zamku wzniesiono ogrodzenie uniemożliwiające wyjście na zewnątrz. To była długa zima dla obydwu stron, choć zauważam garnki do gotowania na słońcu, przenośne grzejniki i paczki z żywnością, należące do wojsk Szakala – składających się z żołnierzy Jupitera, Apolla i Plutona. U stóp wzgórza, zwrócone ku zamkowi, stoi kilka wysokich krzyży. Wiszą na nich rozkładające się ciała, nad którymi krążą kruki. Jediną oznaką oporu Marsa jest nasza flaga z symbolem wilka, podarta i przypalona. Zwisa smętnie na słabym wietrze.

Razem z Wyjcami nadciągamy od strony nieba jak złociści bogowie. Poszarpane peleryny łopoczą za naszymi plecami. Jeśli najeźdźcy spodziewają się, że jesteśmy Cenzorami przynoszącymi więcej podarków, są w wielkim błędzie. Łądujemy twardo na ziemi. Wyjce jako pierwsze, a potem ja staję na ich czele. Gdy tylko to robię, wrogowie uciekają przede mną, ogarnięci czystym przerażeniem.

Kosiarz wrócił do domu.

Pozwalam Wyjcom zmasakrować żołnierzy wroga na naszej ziemi. To najbardziej zbliżone do domu i Lykos miejsce od miesięcy. Schylam się i nabieram garść ziemi, podczas gdy moi ludzie zajmują się wykonaniem swojego zadania. Mars. Dom. Walczyłem pod innym sztandarem, ale tęskniłem za swym prawdziwym Domem. Nieprzyjaciel rzuca się do ataku. Żołnierze widzą mojego slinga i od razu wiedzą, kim jestem. Wychodzę im naprzeciw, niepokonany. Zbroja jest moją tarczą, Sevro i Wyjce mieczem.

Podchodzę do trzech krzyży i unoszę wzrok, spoglądając na Antonię, Cassandrę i Vixusa.

Zdrajcy. Ciekawe, co zrobili tym razem?

Antonia nadal żyje, Vixus również. Ledwie. Każę Oset zdjąć ich z krzyży i zabrać do medyków. Będą musieli żyć ze świadomością, że poderżnęli Lei gardło. Mam nadzieję, że ich to boli. Stoję przez moment u stóp wzgórza. Podnoszę głos, by zakomunikować, kim jestem, ale tamci już wiedzą, bo flaga Marsa zjeżdża w dół i zostaje zastąpiona ubrudzonym prześcieradłem z pośpiesznie nabazgranym slingiem pośrodku.

– Kosiarzu! – krzyczą, jakbym był ich wybawieniem. – Prymusie!

Obrońcy zamku są wymizerowani, brudni i chudzi. Część jest tak słaba, że musimy wynieść ich z ruin. Ci, którzy mają dość sił, podchodzą, żeby mi zaszalutować, pochylić głowy w ukłonie lub ucałować policzki. Ci, którzy nie mogą, dotykają moich dłoni, gdy przechodzę. U niektórych widzę połamane nogi i zmiażdżone ręce. Zostaną uleczeni. Zabieramy ich na Olimp. Dom Mars nie przyda mi się w nadchodzącej walce, więc wykorzystam w niej najeźdźców z Plutona, Jupitera i Apolla. Każę Klaunowi i Kamyczek wziąć wszystkich do niewoli sztandarem Marsa. Przynosi mi go chudy jak patyk chłopiec, którego nie poznaję. Kiedy obejmuje mnie kościstymi ramionami, ściskając tak mocno, że aż boli, od razu wiem, kim jest.

Bezgłośny szloch wstrząsa moją pierśią.

Chłopak milczy, ściskając mnie. Nagle jego ciało zaczyna drżeć, tak jak ciało Paxa, gdy dosięgła go śmierć. Z tym tylko wyjątkiem, że przyczyną tych dreszczy jest radość, nie ból.

Roque żyje.

– Mój brat – płacze. – Mój brat.

– Myślałem, że nie żyjesz – mówię, obejmując jego kruche ciało. – Roque, myślałem, że nie żyjesz. – Przytulam go do siebie. Wypadło mu mnóstwo włosów. Przez ubranie czuję same kości. Przypomina mokrą szmatkę owiniętą wokół mojej zbroi.

– *Bracie* – mówi – wiedziałem, że wrócisz. Czulem to w sercu. Bez ciebie to miejsce było puste. – Uśmiecha się do mnie, pełen dumy. – Teraz je wypełniasz.

Prymus Domu Diana miał rację. Dom Mars jest jak niekontrolowany ogień. I w dodatku głoduje. Roque ma na twarzy blizny. Kręci głową, a ja wiem, że ma mi do opowiedzenia sporo historii – o tym, gdzie był, jak udało mu się wrócić. Odkładamy to jednak na później. Odchodzi, kulejąc. Quinn, zmęczona i z jednym uchem, odprowadza go. Wypowiada bezgłośnie „dziękuję” i kładzie dłoń na wąskich plecach mojego poety w sposób, który daje mi do zrozumienia, że zostawiła Cassiusa.

– Powiedział nam, że wrócisz – mówi. – Powinnam była wiedzieć.

Pollux nadal tryska dobrym humorem. Ściska mnie za ramię. Opowiada, jak Quinn i Roque udało się utrzymać Dom w jedności. Cassius poddał się już dawno temu. Czeka na mnie w pokoju narad.

– Nie zabijaj go... proszę. Dręczyły go straszne wyrzuty sumienia po tym, co ci zrobił. Wszyscy się o tym dowiedzieliśmy. Pozwól mu uciec na jakiś czas z tego miejsca, stary. To wszystko zaczyna się

po jakimś czasie odbijać na psychice. Sprawia, że zapominamy, że nie mamy żadnego wyboru. – Pollux kopie grudę błota. – Ci dranie umieścili mnie w celi z małą dziewczynką.

– W trakcie Chrztu?

– Tak. Sparowali mnie z małą dziewczynką. Próbowałem zabić ją w możliwie najbardziej delikatny sposób... ale ona nie chciała umrzeć. – Pollux mamrocze coś pod nosem i klepie mnie po ramieniu. Parska pełnym goryczy chichotem. – Dostaliśmy niezłe po dupie, ale przynajmniej nie jesteśmy Czerwonymi, co nie?

Jasne.

Pollux oddała się, zostawiając mnie samego w moim starym zamku. Titus zginął w miejscu, w którym stoję. Spoglądam na stołp. Wygląda gorzej niż za dawnych czasów. W jakiś sposób wszystko uległo pogorszeniu.

Kurwa mać. Dlaczego Mustang musiała mnie zdradzić? Wszystko jest pogrążone w mroku, przypomina cień majaczący nad życiem. Miała setki okazji powiedzieć mi prawdę, ale nigdy tego nie zrobiła. Wiem, że chciała porozmawiać ze mną wtedy, gdy zobaczyła mnie z Szakalem, ale prawdopodobnie tylko po to, by przekazać mi jakieś nieistotne wieści. A może zdradziłaby dla mnie swoją własną rodzinę? Nie. Gdyby faktycznie miała taki zamiar, powiedziała by mi, zanim przydzieliłbym jej połowę armii. Zabrała również swój sztandar i ten należący do Ceres. Na co jej to było potrzebne, jeśli nie po to, by wszcząć wojnę ze mną? Mam wrażenie, jakby to *ona* zabiła Eo. Jakby własnoręcznie założyła pętlę na jej szyję i szarpnęła za stopy. Jest nieodrodną córką swojego ojca.

Czuję dreszcz przenikający moje dłonie. To ja zdradziłem Eo.

Spluwam na kamienie. Usta wyschły mi na wiór. Nie piłem nic przez cały ranek. Boli mnie głowa. Czas wyłożyć karty na stół, jak mawiał wujek Narol. Czas na konfrontację z Cassiusem.

Cassius siedzi przy stole z wyciągniętym mieczem jonowym. Zajmuje krzesło, na którym wyciąłem swój Sigil. Stara flaga Domu leży mu na kolanach. Złota dłoń Prymusa zwisa z szyi. Minęło wiele czasu, odkąd wepchnął mi w brzuch ten miecz. Broń wygląda teraz jak dziecięca zabawka. Jak relikwiarz przeszłości. Stoję w przeciwległym krańcu pokoju, daleko od jego miecza, a mimo to spojrzenie Cassiusa mrozi mi krew w żyłach. Poczucie winy jest niczym gorzka żółć podchodząca do gardła. Zalewa moją pierś i sprawia, że tonę w niej.

– Przepraszam z powodu Juliana – mówię.

Jego złote loki zmatowiały, brudne, tłuste i pełne wszy. Nadal jest piękny. Przystojniejszy, niż ja kiedykolwiek będę. Ale iskra życia w jego oczach przygasła. Jego dusza potrzebuje oderwać się od tego miejsca, potrzebuje też czasu. Wiele miesięcy walki, gniewu, przegranych, strat i poczucia winy pozbawiło go wszystkiego, co czyniło z niego Cassiusa. Biedny człowiek. Żal mi go. Prawie wybucham śmiechem. Po tym, jak wbił mi miecz w brzuch, współczuję mu. Nigdy nie przegrał bitwy. Oprócz Szakala, może tak powiedzieć jako jedyny ze wszystkich Prymusów. Mimo to ściga odznakę

i rzuca ją w moją stronę.

– Wygrałeś. Było warto? – pyta Cassius.

– Tak.

– Żadnego wahania... – Kiwa głową. – To różnica między tobą a mną.

Kładzie miecz i sztandar na stole i podchodzi do mnie, tak blisko, że czuję jego cuchnący oddech. Wydaje mi się, że chce mnie uściskać. Ja również chcę go objąć, przeprosić i błagać o wybaczenie. Cassius zrywa jednak strup z ręki, wysysa z ranki nieco krwi i pluje mi nią w twarz, kompletnie mnie zaskakując.

– To zemsta krwi – syczy w wysokim lingo. – Jeżeli kiedykolwiek się spotkamy, należysz do mnie, a ja do ciebie. Jeżeli kiedykolwiek zdarzy się nam oddychać w tym samym pokoju, oddech jednego z nas ustanie. Słuchaj mnie uważnie, ty nędzna gnido. Jesteśmy dla siebie diabłami, dopóki serce któregoś z nas nie przestanie bić. A teraz gnij w piekle.

To formalna, wypowiedziana chłodnym głosem deklaracja, która wymaga ode mnie jednej rzeczy. Kiwnięcia głową. Kiwam więc, a on wychodzi. Po jego wyjściu stoję przez moment, drżąc na całym ciele. Serce wali mi w piersi. Tyle bólu. Myślałem, że będzie po wszystkim, ale blizny nie zniknęły, a grzechy nie zostały wybaczone.

Biorę do ręki sztandar Marsa i przypinam do zbroi odznakę Prymusa. Przyglądam się mapie na ścianie. Symbol mojego slinga powiewa nad każdym zamkiem. Moi ludzie zabezpieczyli resztę, podczas gdy Tactus przygotowuje Olimp na napaść Mustang. Teraz zamek należy do mnie, nie do wilka Domu Mars. Mój sling wygląda jak L wszystkich Lambd. Mojego klanu. Symbol miejsca, w którym mój brat, siostra, wuj, matka i przyjaciele nadal ciężko pracują. Mam wrażenie, jakby dzielił nas cały wszechświat, ale ich znak, znak naszej rebelii – narzędzie pracy zamienione w wojenną broń – unosi się nad wszystkimi Domami Aureatów oprócz jednego. Plutona.

Opuszczam zamek przez wieżę. Jestem Czerwonym Helldiverem z Lykos. Jestem Żółtym Prymusem Domu Mars. I wyruszam na ostatnią bitwę w tej cholernej dolinie. Potem zacznie się prawdziwa wojna.

Rozdział czterdziesty czwarty

Początek

Tactus objął dowództwo na czas mojej nieobecności. Facet jest okrutną bestią, ale to moja okrutna bestia. Z nim u boku moje siły są gotowe do rozlewu krwi. Nasze zbroje błyszczą. Trzystu najsilniejszych żołnierzy. Dziewięćdziesięciu nowych niewolników. Nie będą mieli szansy zasłużenia na swoją wolność. Butów grawitacyjnych nie starcza dla wszystkich. Nie mamy też zbyt wiele zbroi. Mimo to każdy coś mógł wziąć. Końskie Trupy i Wyjce łączą się w grupę niedaleko krawędzi góry Olimp. Spoglądają w dół na ziemię znajdującą się o milę stąd. Nasi przeciwnicy są w górach. Gdy Mustang i Szakal nadejdą od strony ośnieżonych szczytów, znajdą się w niekorzystnym położeniu. Mamy nad nimi przewagę. Reszta mojej armii – dawna jednostka Paxa i Nyli – strzeże złotej fortecy i Cenzorów. Są tam również niewolnicy. Żałuję, że nie ma przy mnie Paxa. W jego cieniu zawsze czułem się bezpieczniej.

Wysłałem Nylę, Milię i tuzin żołnierzy ubranych w niewidzialne peleryny na zwiad w góry, by wypatrywali kolejnych ruchów Szakala. Kto wie jakie informacje przekazała Mustang swojemu bratu. Będzie znał wszystkie nasze słabości i kondycję, więc dokonuję tylu zmian, jak to tylko możliwe. Cokolwiek mu powie, stanie się bezużyteczne. Wystarczy zmienić wzór. Zastanawiam się, czy pokonałbym ją w równie bezlitosny sposób, co Fitchnera. Dziewczynę, która nuciła piosenkę Eo? Nigdy. W głębi serca nadal jestem Czerwonym.

– Nienawidzę tej pieprzonej części – wzdycha Tactus. Przechyliła się nade mną, by wyrzucić sponad krawędzi dryfującej w powietrzu góry. – Mam na myśli czekanie. Hmm, potrzebujemy celowników optycznych.

– Czego?

– *Celowników optycznych!* – mówi głośniejsze.

Mój słuch wysiada od czasu do czasu. Naruszone bębniaki to paskudna rzecz.

Tactus mówi coś o Mustang i odcięciu jej kciuków na dobry początek. Nie słyszę większości z tego, co gada. I pewnie nie chcę. To typ człowieka, który zapłótlby warkocze z czyichś wnętrzności.

– Tam! – woła.

Widzimy złoty punkcik przedzierający się przez chmurę. Dołączają do niego jeszcze trzy. Nyla... Milia, Mustang... i coś jeszcze.

– Stać! – krzycząc do Sevro i jego Wycjów. Przekazują sobie rozkaz, podczas gdy Mustang zbliża się, niosąc w rękach coś dziwnego.

– Witaj, Kosiarzu – mówi. Czekam, aż wyląduje. Buty sprowadzają ją szybko na ziemię.

– Witaj, Mustang.

– Milia mówi, że wszystkiego się domyśliłeś. – Rozgląda się dokoła z zaciekawionym uśmiechem. – W takim razie to wszystko ze względu na mnie, tak?

– Oczywiście. – Nic nie rozumiem. – Sądziłem, że może dojść do potyczki między rodziną Augustus i Andromedus.

– Tym razem nie będzie żadnych bójek. Przyniosłam ci prezent. Pozwól, że przedstawię ci swojego brata, Adriusa au Augustusa, Szakala z Gór, i jego sztandar. Jest... – patrzy na mnie z twardym uśmiechem, gdy dociera do niej, że uznałem ją za zdrajcę – *nieuzbrojony*.

Rzuca go na ziemię, związanego, zakneblowanego i nagiego.

– Niech mnie szlag najjaśniejszy trafi – syczy Tactus.

Wygrałem.

Mustang stoi obok mnie, obserwując krążowniki lecące na Olimp. Powiedziała mi, że bym nie czuł się winny z powodu zwątpienia w jej lojalność. Powinna przyznać się do rodzinnych więzów z Szakalem, choć sama nie uznaje go za brata. Nie emocjonalnie. Jej prawdziwy brat, ten starszy, został zamordowany przez jednego z braci Cassiusa, brutala imieniem Karnus. Augustus i Bellona. Krwawa waśń między rodzinami sięga daleko wstecz, a ja czuję, jak jej pokłosie odbija się na mnie.

Mimo to jedna kwestia pozostaje nierozwiązana – czy Mustang faktycznie jest nieodrodną córką swojego ojca? A może jest dziewczyną, która nuci piosenkę Eo? Myślę, że chyba znam odpowiedź. Jest tym, czym Złoci mogą i powinni być. Jej ojciec i brat uosabiają zaś to, czym są. Eo nigdy by nie pomyślała, że to wszystko może być tak bardzo skomplikowane. W Złoty tkwi dobro, ponieważ pod wieloma względami są najlepszą rzeczą, jaką ludzkość ma do zaoferowania. I jednocześnie najgorszą. Co ten fakt może zrobić z jej marzeniem? Tylko czas pokaże.

Otoczają mnie moi kapitanowie – Mustang, Nyla, Milia, Tactus, Sevro, nawet Roque i Quinn. Zostawiamy miejsce dla Paxa i Lei. Wokół nich stoi kordon moich ludzi. Nie ma potrzeby zawstydzać uczniów Plutona. Chcę to zrobić, ale powstrzymuję się. Stoją rozproszeni między sześcioma moimi jednostkami. Czekamy na rozległym dziedzińcu po drugiej stronie platformy lądowniczej. Jest ciepły, wiosenny dzień. Śnieg szybko się topi.

Sevro stoi blisko mnie. Gdy na mnie patrzy, widzę w jego oczach subtelną różnicę. Rozmowa, którą przeprowadziliśmy po tym, jak skończył montować taśmy, była krótka i przerażająca. Nadal rozbrzmiewa echem w moich uszach.

– Zapis audio w trakcie burzy był pełen zakłóceń – powiedział. – Nie mogłem rozróżnić ostatnich

słów, jakie powiedziałeś do Apolla, więc je skasowałem.

Jednym z moich ostatnich słów było „cholerny”.

Co właściwie wie Sevro? Co mu się wydaje, że wie? Fakt, że wykasował ten fragment, oznacza, że ma świadomość, iż był na tyle ważny, że trzeba go było zatuszować.

Dyrektor Clintus, ArcyGubernator Augustus, Imperatorzy Bellona i Adriatus wraz z orszakiem składającym się z pozostałych dygnitarzy w liczbie dwustu osób schodzą z okrętów, każdy w asyście grupy służących. Dyrektor przygląda się nam i śmieje z obecnej sytuacji Cenzorów. Kazałem ich związać i zakneblować. Nie ma tu miejsca na litość. Jeśli miałem jakiegokolwiek obawy dotyczące kary, to teraz odeszły w niepamięć. Tylko Fitchner nie został skępowany. Jeśli przyznają jakieś nagrody Cenzorom, on powinien je otrzymać. Zdażyli już obejrzeć nagrania. Sevro zadbał o to, by były dobre. Wiedział doskonale, jaką chcę opowiedzieć historię. Ja dodałem tylko kilka poprawek.

Dyrektor Clintus to drobna kobieta o surowej twarzy. Udaje jej się powiedzieć żart o tym, że pierwszy raz w historii ceremonia odbywa się w tak wysoko położonym miejscu. Wydaje jej się, że tak jest po raz ostatni. Gra nie powinna rozegrać się w taki sposób, choć kierunek, w jakim poszła, świadczy o mojej kreatywności i sprycie. Wydaje się żywić do mnie wielką sympatię i z czułością nazywa mnie „Kosiarzem”. W rzeczywistości wygląda na to, że wszyscy mnie lubią, choć niektórzy są dość ostrożni. Władcy mają skłonność do żywienia antypatii wobec tych, którzy łamią zasady.

– Poborowcy wszystkich Domów zabijają się o ciebie, mój chłopcze. Będziesz miał wybór, choć Mars jako pierwszy może wystąpić z ofertą. Wszystko będzie zależeć od ciebie. Tyle możliwości! – chichocze nerwowo.

Bellona i Augustus, zażarci wrogowie, obserwują mnie jak para jadowitych węży. Zabiłem jednego z ich synów i zawstydziłem drugiego. Domyślam się, że sytuacja może być dość niezręczna.

Odprawiają skromną ceremonię. Służący krzątają się wkoło. To tylko formalność. Prawdziwa ceremonia odbędzie na Agei, gdzie rozpocznie się wielkie święto i zostaną zapalone ognie oraz pokażą hologram samej Królowej. Picie, tancerze, wyścigi, połykacze ognia, niewolnicy rozkoszy i mnóstwo innych rzeczy, jak mówi Mustang. Wydaje się dziwne, że komuś zależy na tym, co nam się tu przydarzyło, że tylu Złotych to puste i nudne stworzenia. Nie mają pojęcia, jak to jest zasłużyć sobie na Bliznę Naznaczonego albo pobić na śmierć chłopca w zimnej, kamiennej celi. Mimo to będą nas czcić. Na chwilę zapominam, z kim walczymy. Zapominam, że to wyścig, którego celem jest bezwzględna walka i parcie po trupach prosto do wyznaczonego celu, by zdobyć całkiem niepotrzebne rzeczy. Nie rozumiem tego dążenia. Rozumiem Instytut, rozumiem wojnę. Nie rozumiem jednak, co stanie się na Agei ani potem. Może dlatego jestem bardziej jak Żelazni Złoci. Najlepsi z Naznaczonych. Taki jak jeden z Przodków. Tych, którzy zniszczyli planetę, bo sprzeciwiła się ich rządowi. Stałem się całkiem inną istotą.

Gdy ceremonia dobiega końca, dyrektor Clintus przypina mi jakąś odznakę. Mruga i dotyka mojego ramienia. Chwilę później rozchodzimy się każdy w swoją stronę. Tak po prostu. Gra dobiegła końca. Krążowniki zostały już przygotowane, by zabrać nas do domów, gdzie czekają rodzice, żeby wyrazić aprobatę lub wyrzec się synów i córek. Tak po prostu. Do tego czasu kręcimy się po placu, czując się

idiotycznie w pełnych zbrojach, trzymając broń, która znaczy teraz tak niewiele. Spoglądam na swojego slinga i dociera do mnie, jak bezużytecznym stał się narzędziem. Mamy sobie gratulować, cieszyć się czy coś w tym stylu, ale na dziedzińcu panuje cisza. Martwa cisza dla zwycięzców i przegranych.

Jestem pusty.

Jaki będzie mój następny ruch? Przedtem zawsze istniał jakiś strach, zmartwienie lub troska o zgromadzenie jak największej ilości jedzenia i broni. Zawsze była jakaś wyprawa lub test. Teraz nie ma nic, tylko wiatr wyjący na naszym polu bitwy. Puste pole pełne echa utraconych rzeczy. Przyjaciół. Doświadczeń. Niedługo pozostanie wyłącznie wspomnieniem. Czuję się tak, jakby umarła ukochana osoba. Chce mi się płakać. Ogarnia mnie pustka. Szukam wzrokiem Mustang. Czy nadal będzie jej na mnie zależało? Nagle ArcyGubernator Augustus ujmuje mnie pod łokieć i prowadzi z dala od reszty zdumionych uczniów.

– Jestem zajęтым człowiekiem, *Kosiarzu* – mówi, kładąc kpiący nacisk na mój przydomek. – Więc powiem wprost. Spowodowałeś sporo komplikacji w moim życiu.

Jego dotyk sprawia, że chce mi się krzyczeć. Wąskie usta nie wyrażają żadnych emocji. Nos ma prosty, oczy przypominające tłące się węgle są pełne pogardy. Jest bez skazy. Mimo to nie jest przystojny. Jego twarz przypomina blok granitu. Ma wklęsłe policzki, twardą, szorstką skórę, nie tak gładką jak u tych głupców z hologramów albo Pixie goniących za klientami wokół nocnych klubów. Cuchnie władzą tak, jak Różowy cuchnie perfumami. Mam ochotę sprawić, żeby jego twarz zaczęła przypominać połamane puzzle.

– Zgadza się – to jedyne, co mówię.

ArcyGubernator nie uśmiecha się ani nie krzywi.

– Moja żona żebraczka. Wybłagała, żebym pomógł wygrać jej synowi.

– Chwileczkę. Miał czyjaś pomoc?

Jego usta rozciągają się w łagodnym uśmiechu, przeznaczonym dla prostych rozrywek.

– Zakładam, że nie podzieliłeś się z nikim informacjami o moim udziale.

Chcę go złamać. Po wszystkim, co się stało, oczekuje ode mnie współpracy, jakbym był mu coś winien. Jak gdyby to było jego prawo, że mam mu pomóc. Rozluźniam zaciśnięte pięści. Co kazałby mi powiedzieć Tancerz?

– Poradzisz sobie. Nie mogę pomóc ci na domowym froncie, ale nie pisnę ani słowa o tym, że Szakalowi pomógł tatuś.

Unosi podbródek.

– Nie nazywaj go tak. Mężczyźni z Domu Augustus są lwami, nie pokąsanymi przez pchły

padlinożercami.

– Wszystko jedno. Powinieneś był postawić wszystkie pieniądze na Mustang – mówię, celowo nie używając jej prawdziwego imienia.

– Nie mów mi o mojej rodzinie, Darrow. – Patrzy na mnie z góry. – Pytanie brzmi, ile chcesz za milczenie. Nie rozdaję prezentów. Nie jestem nic winny żadnemu człowiekowi. Będziesz musiał zadbać tylko o jedną rzecz.

– Trzymanie się z dala od twojej córki?

– Nie. – Wybuchła ostrym śmiechem, zaskakując mnie. – Te głupie rodziny martwią się wyłącznie więzami krwi. Nie obchodzi mnie czystość rodu ani przodkowie. To próżna drobnostka. Zależy mi wyłącznie na sile. Tym, co mężczyzna może zrobić drugiemu mężczyźnie albo kobiecie. A siła to coś, co posiadasz. Moc. – Przysuwa się blisko, a ja widzę w jego źrenicach umierającą Eo. – Mam wrogów, którzy są silni. Jest ich wielu.

– To Bellona.

– Między innymi. Ale owszem, Imperator Tiberius a Bellona ma ponad pięćdziesiąt siostrzenic i bratanków. Dziewięcioro dzieci. Ten Goliat, Karnus, jest najstarszy. Cassius to jego pupilek. Jego ród jest potężny. A mój... nieco mniej. Miałem syna wartego tyle, co wszyscy potomkowie Tiberiusa razem wzięci. Ale Karnus go zabił. – Milczy przez chwilę. – Teraz mam dwie siostrzenice. Jednego bratanka. Syna. Córkę. To wszystko. Więc werbuję praktykantów. Mój warunek jest taki. Dam ci wszystko, co tylko zechcesz, za milczenie. Kupię ci Różowych, Obsydianów, Szarych, Zielonych. Zaspensoruję przyjęcie do Akademii, gdzie nauczysz się żeglować okrętami, które podbijały planety. Zapewnię ci fundusze i pełen patronat. Przedstawię Królowej. Zrobię to wszystko, jeśli zostaniesz jednym z moich Lansjerów, adiutantem, członkiem mojej rodziny.

Prosi mnie, żebym zdradził swoje imię. Odsunął na bok własną rodzinę. Fakt, jest fałszywa i służy tylko zmyleniu przeciwnika, lecz na myśl o tym jakaś część mnie czuje ból.

Wiedziałem, że tak będzie. Nie wiem jednak, co powiedzieć.

– Jeden z żołnierzy twojego syna może powiedzieć coś o twoim współudziale, mój panie.

Augustus prychnął pod nosem.

– Bardziej się obawiam o kapitanów swojej marynarki.

Parskam śmiechem.

– Niewiele osób w mojej armii zna prawdę. A ci, którzy znają, nie pisną słowa.

– Pokładasz w nich tyle zaufania.

– Jestem ich Prymusem – odpowiadam zwyczajnie.

– Mówisz poważnie? – pyta, skonfundowany, jakby uznał, że nie pojmuję czegoś tak podstawowego, jak prawo powszechnego ciężenia. – Chłopcze, sojusze zostaną zerwane, kiedy tylko wejdziemy na pokład tego okrętu. Część twoich przyjaciół zostanie przetransportowana do posiadłości Władców Księżyców. Inni polecą służyć Gubernatorom Gazowych Gigantów. Kilku trafi nawet na Lunę. Będą cię pamiętać jako legendę ich młodości, ale to wszystko. Ta legenda nie pociągnie za sobą lojalności. Stałem w tym samym miejscu, co ty teraz. Byłem zwycięzcą swojego roku, ale lojalności nie spotkasz w tych korytarzach. Tak wygląda rzeczywistość.

– Tak wyglądała rzeczywistość – mówię ostrym tonem, zaskakując go. Wierzę w swoje słowa. – Jestem inny. Uwolniłem zniewolonych i pozwoliłem rannym się uleczyć. Dałem im coś, czego wy, stare pokolenie, nie rozumiecie.

Chichocze, irytując mnie.

– Właśnie na tym polega twój problem, Darrow. Zapominasz, że każde pokolenie przed tobą myślało dokładnie to samo.

– Tyle że dla mojego to prawda. – Mam rację, bez względu na jego przekonanie. To on jest w błędzie. Jestem iskrą, która sprawi, że światy staną w ogniu. Jestem młotem rozbijającym łańcuchy.

– Ta szkoła w niczym nie przypomina życia – oznajmia. – To nie jest prawdziwe życie. Tutaj jesteście królami. W prawdziwym życiu nie ma królów. Jest całe mnóstwo pseudokrólów. Jednak my, Niezrównani Naznaczeni, rozkładamy ich na łopatki. Wielu przed tobą wygrało tę grę. Teraz robią karierę poza murami szkoły. Nie zachowuj się więc, jakbyś po jej ukończeniu miał zostać królem i rządzić poddanymi. Tak się nie stanie. Będziesz mnie potrzebował. Będziesz potrzebował podstaw, wsparcia, które pomoże ci awansować. Nikt inny nie nada się do tego tak dobrze, jak ja.

To nie swoją rodzinę bym zdradził, lecz ludzi. Szkoła to jedno, ale wejście do jaskini lwa... pozwolenie, by otoczył mnie opieką i luksusem, podczas gdy moi ludzie harują w pocie czoła, głodują, umierają i płoną... To wystarczy, by wyrwać mi serce z piersi.

Obserwuje nas dwójka jego dzieci, podobnie Cassius i jego ojciec. Z oczu płyną im łzy z powodu Juliana. Wolałbym być ze swoją rodziną niż tutaj, czuć dotyk ręki Kierana na ramieniu i dłoń Leanny schowaną w mojej, gdy razem przyglądamy się matce szykującej nam obiad. Oto prawdziwa rodzina. Miłość. Tym ludziom zależy jedynie na chwale, zwycięstwie i rodowej dumie, nie mają pojęcia o miłości. Nie wiedzą nic o rodzinie. To fałszywe rodziny. Zaledwie zespoły. Zespoły, które bawią się w swoje gierki. ArcyGubernator nie pokwapił się nawet przywitać z własnymi dziećmi. Temu podłemu człowiekowi bardziej zależy na rozmowie ze mną.

– Zabawne – mówię.

– Co takiego? – pyta ponurym tonem.

– Zabawne, jak jedno słowo może zmienić wszystko w twoim życiu – wymyślam na poczekaniu.

– To wcale nie jest zabawne. Stal to potęga. Pieniądze to potęga. Ale ze wszystkich rzeczy na świecie najpotężniejsze są słowa.

Przyglądam mu się przez chwilę. Słowa to broń silniejsza, niż mu się zdaje. A pieśni są jeszcze potężniejsze. Słowa rodzą myśli. Melodia budzi serce. Wywodzę się z narodu pieśni i tańca. Nie musi mi mówić o mocy słów, ale mimo to uśmiecham się bezwiednie.

– Jak brzmi twoja odpowiedź? Tak czy nie? Nie zapytam ponownie.

Oglądam się przez ramię na zastępy Naznaczonych, którzy czekają, by zamienić ze mną parę słów. Bez wątplenia chcą mi zaoferować patronat lub staż. Stary Lorn au Arcos również jest obecny. Rozpoznaję go nawet pomimo maski, jaką nosi. Pan Gniewu. Człowiek, który wysłał mi medalion Pegaza i pierścień Tancerza. Człowiek nieskazitelnego honoru i lider trzeciego najpotężniejszego Domu na Marsie. Człowiek, od którego mógłbym się wiele nauczyć.

– Czy wzniesiesz się na wyżyny władzy wraz ze mną?

Patrzę na tętnicę szyjną ArcyGubernatora. Jego puls jest silny. Przypominam sobie Pieśń Żałobną po śmierci Eo. Gdy ja go powieszę, nie usłyszy jej. Jego życie nie odbije się echem. Zwyczajnie ustanie.

– Myślę, mój panie, że to rysuje przede mną całkiem interesujące możliwości. – Patrzę mu w oczy z nadzieją, że pomyli szalejącą tam furię z podnieceniem.

– Znasz słowa.

Kiwam głową.

– W takim razie musisz je wypowiedzieć. Tutaj. Teraz. Tak, by wszyscy byli świadkami tego, że zdobyłem najlepszego ze szkoły.

Zaciskam zęby i wmawiam sobie, że to właściwa droga. Dzięki niemu awansuję. Dostanę się do Akademii. Nauczę się dowodzić flotą. Wygram. Przekuję się w miecz. Oddam całą swą duszę. Skoczę w piekło w nadziei, że któregoś dnia zdobędę upragnioną wolność. Poświęcę się. Będę pielęgnował swoją legendę i szerzył ją wśród ludzi wszystkich światów, aż wreszcie będę w stanie dowodzić armią, która zerwie łańcuchy niewoli. Nie jestem tylko narzędziem w rękach Synów Aresa. Nie jestem strategią ani urządzeniem w planie Aresa. Jestem nadzieją swego ludu. Wszystkich ludzi w niewoli.

Klękam więc przed nim, tak jak nakazuje ich tradycja. ArcyGubernator kładzie dłonie na mojej głowie. Słowa wychodzą z jego ust, a ich echo drażni mi słuch jak potłuczone szkło.

– Opuszczę swojego ojca. Porzucę swoje imię. Będę twoim mieczem. Nero au Augustusie, odtąd moim celem będzie twoja chwała.

Ci, którzy nas obserwują, wstrzymują oddech, słysząc tę niespodziewaną deklarację. Inni przeklinają jej niestosowność i beczelność Augustusa. Czy on nie ma za grosz przyzwoitości? Mój pan całuje mnie w czubek głowy i szepcze, a ja robię wszystko, co w mojej mocy, by pohamować wściekłość,

która uczyniła ze mnie istotę twardszą niż Czerwony. Twardszą niż Złoty.

– Darrow, Lansjerze Domu Augustus. Powstań, bowiem masz obowiązki do wypełnienia. Powstań, bowiem czekają na ciebie zasługi do odebrania. Wnieś się ku chwale, sięgnij po władzę, podbijaj i sprawuj rządy nad poddanymi. Powstań, mój synu. Powstań.